

**Wspomnienia**  
**Dominika Wośki**



# Wspomnienia Dominika Wośki

- nauczyciela z Urzędowa

Urzędów 2021

Wydawca  
**Towarzystwo Ziemi Urzędowskiej**  
**ul. Błażeja Dzikowskiego 1, 23-250 Urzędów**

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-933046-2-2

Nakład 500 egzemplarzy

Na okładce fotografia Dominika Wośki wykonana w lipcu 1914 roku.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

Projekt okładki  
Mikołaj Malarczyk

Opracowanie tekstu, korekta, skład i łamanie komputerowe  
Wydawnictwo „Morpól” s.c. M. Malarczyk, A. Wyka-Malarczyk  
Zemborzyce Wojciechowskie 100A, 20-515 Lublin

Druk i oprawa  
Drukarnia „Tekst” E. Zonik i wspólnicy s.j.  
ul. Wspólna 19, 20-344 Lublin

## Przedmowa

Jednym z największych wydarzeń w trzydziestopięcioletniej działalności Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej jest wydanie oryginalnych, o wielkiej wartości naukowo-poznawczej, wspomnień urzędowskiego Rodaka Dominika Wośki, dokumentującego na przykładzie własnych kolei losów, w sposób kompleksowy i niepowtarzalny, życie mieszkańców swojego miasta, a w szerszym wymiarze także Polaków na przełomie okresu zaborów i odrodzonego państwa polskiego. To wiekopomne dzieło, możemy go tak określić bez żadnej przesady, ukazuje się w przeddzień ważnego wydarzenia – XV Zjazdu Towarzystw Regionalnych Lubelszczyzny, który odbywać się będzie w dniach 1-3 października 2021 roku w Urzędowie. Wspomnienia, które powstawały w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, były przez dłuższy czas nieznane. Spośród osób postronnych jako pierwszy zapoznał się z nimi i docenił ich wartość mgr Tadeusz Surdacki, który od początku zachęcał do ich wydania. Po tym, jak osobiście przestudiowałem je dziesięć lat temu, również dokładałem wszelkich wysiłków, by ujrzały światło dzienne i trafiły do szerszego grona odbiorców.

Poznanie przeszłości jest rzeczą o tyle trudną, co zarazem fascynującą, gdyż zaspakaja potrzeby duchowe człowieka, związane z jego tożsamością kulturową i pragnieniem poznania świata, który był, a już go nie ma. Nasza ciekawość i chęć rekonstrukcji minionych wydarzeń dotyczy tak „wielkiej” historii, jak i „małej” – regionalnej, niekiedy rodzinnej; wybitnych postaci zmieniających bieg dziejów i bohaterów niemal anonimowych, lokalnych, często zapomnianych. I jedni, i drudzy tworzą historię, bo jak twierdził Mark Bloch, twórca francuskiej szkoły historycznej *Annales*, historia to nauka o życiu i działalności ludzi w przeszłości, a zdecydowaną większość społeczeństwa stanowili ludzie zwyczajni, niczym się nie wyróżniający, by nie powiedzieć „masy społeczne”. Przy okazji wspomniany uczonec doceniał i podkreślał ogromną przydatność pamiętników i różnego typu wspomnień jako źródła historycznego.

Taką właśnie wartość posiadają publikowane dotąd jedynie we fragmentach w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” wspomnienia urodzonego w Urzędowie Dominika Wośki (1894–1979), spisywane w okresie późnej emerytury w latach 1972–1978. Pracę tę prowadził we własnym domu przy alei Kraśnickiej w Lublinie z inspiracji zamieszkującego z nim syna Tadeusza. Rozpoczął ją w wieku 78 lat. Wspomnienia swojego życia, w formie liczącego 840 stron rękopisu formatu A4, doprowadził do wybuchu II wojny światowej, która



**Dominik Wośko, 22 maja 1978 roku.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wośków**

zastała go w sile wieku 45 lat. Nie są znane powody przerwania pracy, na pewno nie miał już dostatecznych sił fizycznych, aby wkroczyć w tragiczny okres II wojny światowej.

Wartość i wiarygodność opisów pamiętnikarsko-wspomnieniowych w ogromnym stopniu warunkuje perspektywa czasowa, z której były one sporządzane. Zdziwiająca, wręcz kronikarska precyzja naturalistycznie odtwarzanych szczegółów i faktów, pozwala przypuszczać, że Autor opierał się na sporządzanych na bieżąco zapiskach. Te jednak, o ile istniały, do dzisiaj nie zachowały się. O tym, że robił notatki kilka razy sam wspomina w tekście. Intrygujące jest pytanie, jakim cudem uchronił je podczas zawieruchy i wędrówki wojennej oraz zachował przez około sześćdziesiąt lat, by móc je potem wykorzystać.

*Wspomnienia Dominika Wośki* stanowią niezmiernie bogaty skarb wiedzy. Opisują w sposób kronikarski jego drogę życiową, która rozpoczęła się pod koniec XIX w. w wiejskiej chałupie na przedmieściu Urzędowa, w Bęczynie, i wiodła przez miejscową edukację, szkołę ludową, poprzez urzędowskie progimnazjum – Szkołę Jagiellońską, Seminarium Nauczycielskie w Ursynowie koło Warszawy, okres służby w armii rosyjskiej i niezwykle bogatą pracę pedagogiczną w kilku szkołach na terenie Lubelszczyzny, a na koniec w Lublinie. Pod względem chronologicznym wspomnienia można podzielić na cztery okresy.

Z punktu widzenia historii lokalnej najbardziej interesujący jest okres „urzędowski”, tj. od narodzin do wyjazdu do Ursynowa (1894–1911). Przez zapamiętane wydarzenia ze swojego dzieciństwa, opowiadania rodziców – Marcina i Franciszki z domu Gajewskiej, oraz dziadków – Wojciecha i Katarzyny, sięga w głąb XIX wieku, kreśli obraz trudnego życia mieszkańców Urzędowa, którzy głównie zajmowali się rolnictwem. Dzięki temu można poznać warunki mieszkaniowe, stosunki sąsiedzkie, wykonywane prace polowe, narzędzia, którymi posługiwano się w gospodarstwie, a także zmiany, jakie następowały pod wpływem rozwoju cywilizacji. Znajdziemy tu opisy położenia geograficznego miasteczka Urzędowa wraz z jego przedmieściami (Bęczyn, Rankowskie, Mikuszewskie, Góry, Zakościelne, Wodna), opisy pór roku, zabaw dziecięcych, świąt kościelnych i związanych z nimi obrzędów katolickich i żydowskich, noszonych ubrań, spożywanych posiłków, pierwszych kroków w nauce, a potem prawdziwej nauki w szkole – słynnej „Jagiellonce”. Szkoła zajmuje wiele kart we wspomnieniach, wraz z drobiazgowym opisem uczęszczania do niej w latach 1906–1911. Jest to znakomity materiał dla historii szkolnictwa w tamtych trudnych latach zaboru rosyjskiego. Poznajemy prozę życia codziennego, chwile radosne, związane z narodzinami kolejnych sióstr i braci: Eufrozyny, Antoniego, Stefana, oraz przyrodnych Bronisławy i Bolesława – dzieci macochy Julianny z domu Rachoń, jak i smutne, gdy kolejno odchodzili dziadek, babcia i matka. Ten fragment wspomnień stanowi bezcenny przyczynek do poznania, na przykładzie Urzędowa, ogólnych dziejów kultury materialnej, życia codziennego i obyczajów, systemu i poziomu edukacji w schyłkowym okresie zaborów. Szczególnie cenne są scenki rodzajowe, w tym opisy sezonowych prac gospodarskich (żniwa, omłoty, wykopki) oraz ubiorów.

Część druga to czasy nauki w Seminarium Nauczycielskim w Ursynowie, w pięknym pałacu ofiarowanym na ten cel przez hr. Adama Krasińskiego. Te dwa miejsca na „U” – Urzędów i Ursynów – to dwa ukochane przez Dominika Woškę symbole, które starał się przekazać swojej rodzinie, najpierw w wielu ustnych opowiadaniach, aby u kresu swego życia zapełnić karty pamiętnika czytelnym, kaligraficznym pismem, wystudiowanym w latach nauki, a potem przekazywanym swym uczniom. To okres od 1911 do 1915 roku, czterech lat kursów, przerwanych wybuchem I wojny światowej. Na tych kartach jest wszystko, co można było napisać o tym seminarium: opis szkoły – pałacu, grona nauczycielskiego, charakterystyka kolegów, zajęć pozalekcyjnych, przygód uczniowskich, wycieczek, egzaminów, wakacji w Urzędowie i trudności komunikacyjnych. A wszystko to kosztem wielu wyrzeczeń, przymierania głodem i uzasadnionej po części niechęci jego ojca, któremu pierworodny syn wymknął się z oczekiwanej pomocy przy gospodarstwie dla uzyskania, nie zawsze rozumianej, odmiany losu.

Część trzecia wspomnień, obejmująca okres I wojny światowej, posiada szerszy, ogólnopolski, a nawet powszechny wymiar. Ważna jest dla historii politycznej i poznania losów Polaków wcielonych do armii rosyjskiej. Najpierw

jednak, przed poborem do armii carskiej, Autor kreśli obraz rekwizycji ciężarów narzuconych na ludność urzędowską w 1914 roku przez zaborcze wojska, następnie opisuje okoliczności poboru do wojska, długą podróż w głąb Rosji i dalszą służbę wojskową. Szczególnie fascynujący, zarazem przygnębiający i smutny jest opis podróży odbytej pociągiem z Lublina do trzeciego etapu w życiu Dominika na literę „U” – do pasma gór Uralu, a tam do Orenburga, gdzie poddano rekrutów polskich, w masie różnych nacji, obróbce frontowej. I znów kolejne, gęsto zapisane karty dramatycznych dni, tygodni i miesięcy na dalekiej, prawie azjatyckiej ziemi. Nie mniej intrygujące i dramatyczne są dalsze jego wojenne koleje, szkolenia i awanse wojskowe, podróże po Rosji, przez Orsk do Petersburga, wizyta w Moskwie, doświadczenia dolegliwości rewolucji, rana odniesiona w walkach na Wołyniu i w końcu powrót do domu po podpisaniu pokoju w Brześciu.

Część czwarta wspomnień dotyczy kariery i pracy zawodowej w kolejnych placówkach szkolnych w okresie międzywojennym, w których nie tylko realizował swoją dydaktyczno-nauczycielską karierę i pasję, ale też spędzał najlepsze lata swego życia rodzinnego. Pierwszą posadę nauczycielską otrzymał w Grabówce w gminie Annopol jako nauczyciel tymczasowy. Po rocznej pracy wrócił do Warszawy, by zakończyć naukę na IV kursie seminarium. Mimo nawrotu choroby, wskutek przestrelonej na froncie nogi, po operacji, udało mu się w czerwcu 1920 roku zdać egzamin maturalny i ukończyć seminarium. Jako rekonwalescent, nie został przyjęty do wojska w wojnie z bolszewikami. Objął posadę w szkole w Trzcińcu w gminie Chodel, w którym zamieszkał, rozpoczynając swoją długą drogę nauczyciela. W miejscowości tej poznał nauczycielkę Janinę Staszycównę – rodowitą lubliniankę, którą w 1924 roku poślubił w kościele pw. św. Pawła w Lublinie.

W sierpniu 1928 roku wraz z żoną i urodzonym w 1925 roku synem Zdzisławem dostali przeniesienie do Bystrzejowic. Szkoła, której został kierownikiem, mieściła się w chłopskiej chałupie, krytej strzechą, ale miała pełne 7 klas nauczania. W roku 1929 władze szkolne zleciły mu budowę nowej piętrowej szkoły przy szosie Lublin–Piaski. Od 1 września 1931 roku Dominik otrzymał posadę w kolejnej szkole przy linii kolejowej do Lublina – w Trawnikach, w której uczył w klasach od V do VII geografii i przyrody. Był tam też opiekunem harcerzy. Wtedy powiększyła się rodzina o dwóch następnych synów: Kazimierza (1932) i Tadeusza (1938). W roku 1939 z parcelacji pól majątku Konstantynów na przedmieściach Lublina zakupił działkę i rozpoczął budowę domu. Po wojnie nasz Bohater wraz z rodziną przeniósł się do Lublina. Zarówno on, jak i żona pracowali w szkołach lubelskich nr 8 i 10. W szkole nr 25 Autor wspomnień był przez kilka lat kierownikiem, a w szkole nr 24 przy ul. Radziwiłłowskiej pracowali oboje do czasu uzyskania emerytury. Po wielu trudach ukończyli dom budowany od 1939 roku i wraz z najmłodszym synem Tadeuszem przeprowadzili się do niego z wcześniejszego mieszkania przy ul. Kościuszki. Tam też Dominik Wośko wraz żoną zakończyli życie.



Przed wydaniem życiowej „sagi – epepei” Dominika Wośki, w szerszym kontekście także Jego rodziny zastanawiałem się, czym jest ta fascynująca opowieść, i jak ją zatytułować. Wszak kronikę pisze się na bieżąco, dziennik – nawet codziennie. Wydaje się, że najtrafniejszym określeniem są „wspomnienia”, tworzone z perspektywy krótszego czy dłuższego dystansu czasowego. W pewnym sensie synonimem wspomnień są pamiętniki, również, jak sama nazwa wskazuje, oparte nie na bieżącej rejestracji wydarzeń, ale na często zawodnej pamięci. Ponadto kojarzą się one bardziej z literacką, osobistą, sentymentalną, nieraz uczuciową formą przekazu. Tak czy inaczej przy korzystaniu z tego rodzaju relacji należy zawsze zachowywać pewien dystans, krytycyzm i pamiętać, że zawsze, nawet nieświadomie, skażone są dozą subiektywizmu. W wypadku Dominika Wośki, taką ewentualność należy wykluczyć. Od samego początku widać w jego lekturze troskę o ocalenie odchodzącej przeszłości, nie tyle nawet własnych losów i rodziny, co dziejących się wydarzeń i zjawisk społecznych, kulturowych. Szczegóły, w niektórych fragmentach wręcz przytłaczające, nie przesłaniają perspektywy uniwersalnej, czy używając dzisiejszej, często stosowanej terminologii – globalnej. Dużą wartość dokumentacyjną ma własnoręcznie wykonany rysunek chałupy, w której wychowywał się Dominik (s. 37). Autor jawi się jako człowiek o wysokiej świadomości historycznej, dokumentalista i „fotograf” swojego



Dom rodzinny Dominika Wośki około 1990 roku. Pokrycie dachu ze słomy zostało wymienione, natomiast cała konstrukcja budynku pozostała nienaruszona. Dom został rozebrany na początku XXI wieku. Fot. ze zbiorów Tadeusza Surdackiego

życia i czasów, w których przyszło mu żyć. Zdjęcia wkomponowane w tekst doskonale obrazują na bieżąco i chronologicznie opisywane wydarzenia i epizody. To tak, jakbyśmy czytali powieść i jednocześnie konfrontowali jej treść z nagrany filmem. Zresztą publikowane wspomnienia doskonale na taki film się nadają, i mogłyby zainspirować niejednego reżysera. Pomiedzy osobiste wspomnienia Autor wplatał opisy sytuacji politycznej i gospodarczej w kraju i na świecie, jako tło wydarzeń. W tekście książki zostały one złożone mniejszą czcionką. Niestety, czy to z powodu zawodzącej już pamięci, czy nieścisłości w sporządzanych na bieżąco notatkach, zawierają one liczne niedokładności historyczne, czasami wręcz pomyłki. Aby nie wprowadzać czytelnika w błąd, pewne ich fragmenty zostały pominięte.

Tak do końca trudno się było zdecydować na sformułowanie ostatecznego tytułu *Wspomnień*. Wątpliwości dotyczyły samego ich bohatera, a dokładnie potrzeby użycia słowa „nauczyciela”. Równie dobrze można było je pominąć, bowiem kapitalne opisy dzieciństwa, lat nauki szkolnej oraz działań na froncie wojennym zajmują ponad połowę narracji i dotyczą pierwszych około dwudziestu pięciu lat życia Autora, zaś opis rozpoczętej w 1920 roku pracy zawodowej i kariery szkolno-nauczycielskiej opisanej na łamach rękopisu tylko dwudziestu lat (do wybuchu II wojny światowej). Biorąc pod uwagę, że szkoła, najpierw jako miejsce nauki, a potem jako miejsce pracy, jest tematem przewodnim i głównym tłem losów i wspomnień Dominika Wośki, zdecydowaliśmy się im nadać taki właśnie tytuł. Nie bez znaczenia był fakt, że tytuł *Wspomnienia* nadał też po zapoznaniu się z całością materiału najmłodszy jego syn Tadeusz, w rękach którego znajdował się oryginał rękopisu.

*Wspomnienia Dominika Wośki*, jako źródło historyczne posiadają ponadlokalną, uniwersalną wartość. Są niezwykle z punktu widzenia biograficznego, historii jego rodzinnej miejscowości – Urzędowa, jak i historii Polski, a nawet Europy, ponieważ Autor był świadkiem wydarzeń ostatnich lat carskiej Rosji i przewrotów rewolucyjnych, które wstrząsnęły tym mocarstwem i otworzyły nowy rozdział w jego dziejach. Pamiętnikarsko-wspomnieniowe dzieło Dominika Wośki, bo tak można je określić z uwagi na jego objętość i ogrom przekazywanych informacji, jest niezwykle ważne dla historii wychowania i szkolnictwa oraz badaczy zajmujących się tą problematyką. Jako wydawnictwo źródłowe może stanowić bazę do dalszych badań, powinno też zainteresować studentów, zwłaszcza specjalizacji pedagogicznej. Jest wreszcie frapującą lekturą, po którą może sięgnąć każdy czytelnik zainteresowany kulturą i życiem codziennym poprzednich pokoleń.

Przeglądając się zewnętrznej formie rękopiśmiennych wspomnień zwraca uwagę bardzo wyrobione, „wyrafinowane” pismo, bez żadnych skreśleń i przeróbek. Można z tego wnosić, że Autor mógł posiadać wcześniejszy brudnopis, który pieczołowicie z należną starannością później przepisał. Przeglądając raz jeszcze kilka dni temu oryginał rękopisu, spostrzegłem, że od czasu do czasu występowały wykropkowane, bardzo krótkie pola, w któ-

44  
4

hodowli i warty szedł do kabiny bab-  
ci, a dochoił z hodowli wnętrza i ze  
I przedostawo szosa wplywał do Kaszy dział-  
ka mu uitaluonice gubiszycel spras gos-  
podarzych

### A jak wyglądali dziadek i babcia?

Na to pytanie najlepiej odpowiedziałoby  
dobra fotografia lub udany portret.

A tu ani jednego, ani drugiego nie ma.

Pozostał tylko suchy i nudny  
opis. Dziadek urodził się około... a babcia...  
Dziadek: dziadek i babcia idą do kościoła:  
Dziadek lekko pochylony, wzrostu około 180 cm  
dużymi krokami maszeruje gościeńców  
po kana i poyle, a wreszcie i po ścieżce,  
a obok niego babcia drobnymi kroczka-  
mi wzrostu około 140 cm idzie obok  
niego. O czym żywo rozmawiają.  
Dziadek spogląda na babcie ród dół, a  
ta odpowiada spoglądając od czasu do  
czasu do góry.

Dziadek jest prośolny, prośolny, mało  
niebony, a babcia odrobinie: iśdawa,  
encykliczna, godoliva.

[ Dziadek wyszedł buty z cholewami  
zadzi od Komina, a b wiatr mu roz-  
klopał pody ptaszcera siggajcego troche  
niej kolun. Ptascor ten i tyłu roz-  
cisty panyjof paca, i tyłu odobiony dwo-  
ma guzikami. Na głowie kapelusze

rych brakowało jakiegoś mało istotnego szczegółu, z reguły, dat, imienia czy nazwiska. W większości zostały one uzupełnione innym charakterem pisma już po śmierci Autora przez jego synów Tadeusza i Zdzisława.

Na koniec osobista refleksja. Otóż Dominik Wośko, którego nie miałem okazji osobiście poznać, i wszyscy trzej jego synowie – Zdzisław, Kazimierz i Tadeusz, poprzez omawiane tu *Wspomnienia* stali mi się jakoś bardzo bliscy, niezwykle serdeczni. Zdzisława i Tadeusza poznałem piętnaście lat temu. Zwłaszcza z tym pierwszym wielokrotnie później spotykałem się i rozmawiałem, zachęcając go do napisania artykułu o swoim ojcu i jego rodzinie. Uczynił to natychmiast, przez co jego obszerny tekst *Dominik Wośko i jego rodzina* opublikowany został w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” 2009 (s. 62–66). I dzięki mu za to, że się tak stało, bo mogłem z jego obszernych fragmentów skorzystać przy redagowaniu przedmowy do wydawanych *Wspomnień*. Kiedy dwa dni temu wieczorem (7 września) studiowałem jego artykuł i pisałem ową przedmowę, zadzwoniła pani Wiesława Wośko, żona Tadeusza, informując mnie, że Zdzisław odszedł z tego świata. Dzisiaj (9 września) miałem okazję uczestniczyć w jego pogrzebie na cmentarzu przy ulicy Lipowej w Lublinie i krótko go pożegnać w imieniu mieszkańców Urzędowa i Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej, do którego należał.

Tadeusza natomiast odwiedzałem ostatnimi laty dość często. Marzył, by wspomnienia ojca ukazały się drukiem, bo przecież on był gorliwym orędownikiem ich spisania. Kiedy na początku grudnia 2020 roku zadzwoniłem do niego, by powiedzieć, że publikacja *Wspomnień* jest w trakcie przygotowania, telefon odebrała jego żona, pani Wiesława. Dowiedziałem się od niej, że mąż jest bardzo ciężko chory. Przekazała mu jednak słuchawkę, wiedząc, że będzie to dla niego wielką radością i nadzieją. Porozmawialiśmy dłużej, łudziłem się, że perspektywa zobaczenia gotowego dzieła ojca doda mu sił do przetrwania. Niestety tak się nie stało. Na następny telefon po trzech tygodniach już nie odpowiedział. Ale pamiętam z ostatniej rozmowy radość i energię w jego głosie, wydobywającym się z bardzo słabego już ciała. Jestem przekonany, że z innej perspektywy dzieło to jeszcze dokładniej zobaczy.

Na końcu chciałbym bardzo podziękować całej trójce synów Dominika Wośki i ich żonom za solidarną pomoc finansową w budowie Anioła Wolności w Urzędowie w 2018 roku. Byli oni i są godnymi spadkobiercami i kontynuatorami postawy ich ojca Dominika. I jeszcze podziękowanie dla pana Tadeusza Surdackiego za przygotowywanie przez kilkanaście lat fragmentów *Wspomnień Dominika Wośki* do druku w „Głosie Ziemi Urzędowskiej” i „Bractwie”. Teraz już będzie można przeczytać je w całości.

Lublin, 9 września 2021 r.

Prof. dr hab. Marian Surdacki

## Moi przodkowie i rodzina\*

W długie zimowe wieczory przy kądzieli lubiła moja babcia opowiadać o różnych zdarzeniach w jej życiu panińskim i po zamążpójściu. Jedne opowiadania poszły w niepamięć, a inne głęboko utkwily mi w pamięci, tworząc plastyczny, niezatarty obraz.

Dziś, po 78 latach, żałuję, że nie wykorzystałem okazji, aby dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości, o kłopotach i radościach moich dalszych przodków. Wstrząsające wrażenie odniosłem, gdy babcia opowiadała o epidemii cholery, która zdziesiątkowała ludność; o tym, że w czasie największego nasilenia epidemii rozpalano na wzgórzach ogniska, wrzucano do nich krzaki surowego jałowca i nawóz koński, aby w ten sposób uzyskać jak najwięcej dymu, który rzekomo miał przyczynić się do umiejscowienia choroby i jej szybszego wygaśnięcia.

Ludzie z daleka omijali te domy, gdzie byli chorzy, którym nikt nie mógł dać skutecznej pomocy. Początkowo chowali (grzebali) ciała w trumnach na cmentarzu, a później, kiedy każdego dnia było kilkanaście, a nawet i kilkadziesiąt zgonów, ciała zwożono na upatrzone miejsca, w ogólnych mogiłach grzebano zmarłych, przesypując warstwy trupów wypalonym wapnem i napełnione doły zasypywano ziemią. Miejsce to ogrodzono wysokim płotem i nakazano, aby do mogiły nikt się nie zbliżał. Na mogile został wkopany wysoki krzyż, na ramionach którego rozpięto zgrzebną koszulę jako ostrzegawczy znak dla tych, którzy chcieliby wejść poza ogrodzenie. (Tablice z napisem były w tym wypadku zbędne, gdyż rzadko można było spotkać człowieka umiającego czytać i pisać).

### Rodzeństwo dziadka

Innym razem z opowiadania dowiedziałem się, że ojcem mojego dziadka, Wojciecha, był Jacenty (a może Jacek), dość zamożny i szanowany. O jego żonie babcia nic nie wspominała. Mieli oni troje dzieci: najstarszy to był mój dziadek Wojciech, w następnej kolejności była córka (imienia nie pamiętam), która wyszła za mąż za Wojtuszką z Kozarowa (parafia Boby, gmina Urzędów), zaś trzecia córka (jej imienia również nie pamiętam) wyszła za mąż za Cieśluka z Bęczyna.

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.



Z tym Wojtuszkciem dziadek, a potem i mój ojciec mieli ciągle kłopoty. Był on nałogowym alkoholikiem i złodziejem. Teść Jacenty 3 morgi lasu podzielił między swoje dzieci. Wojtuszek w krótkim czasie wyrąbał piękne sosny i sprzedał na wódkę, a gdy tego nie stało zaczął rąbać w nocy na działce Wojciecha i swojej. Kilka razy zabrano mu sosny z wozem i końmi. Musiał za skradzione sosny zapłacić i dopiero wtedy oddano mu wóz razem z końmi.

Natomiast Cieślik był uczciwym, gospodarnym człowiekiem. Z nim dziadek mój nie miał żadnych kłopotów.

Mój dziadek według książki podatkowej nazywał się Wośko vel Boszko Wojciech. Żył w Urzędowie na przedmieściu Bęczyn. Gospodarzył na 15 morgach\* ziemi uprawnej i 1 mordze lasu „Chojaki” na Pokrzywiu oddalonego około 4 wiorsty\*\* od miejsca zamieszkania.

Las ten dostarczał czarne jagody, liście na ściółkę i materiał budowlany do budowy pięciu kompletnych zagród gospodarskich, mech na uszczelnianie ścian i gałęzie na opał. Do gospodarstwa należała również i łąka o powierzchni pół morgi.

Najbliższymi sąsiadami byli od strony zachodniej Rogoza (później Jan Banaszek) i Krasieński, a od strony wschodniej Jakub Kamyk, powstaniec 1863 roku, tkacz i rolnik, oraz Kazimierz Wójcik, a od strony południowej Marcin Gajewski małorolny, garncarz. Z sąsiadami dziadek żył w zgodzie, z wyjątkiem Gajewskiego. Powodem do nieporozumień i kłótni były kury, które robiły duże szkody na grzędach w ogrodzie warzywnym.

W skład zagrody wchodziła stara chałupa składająca się z obszernej sieni, dużej izby i komory, kryta słomą. Nieco z tyłu była obórka dla krów, koni i świń. Podwórko nie grzeszyło czystością. Kury rozgrzebywały nawóz, a w powietrzu unosił się smród nawozowy. Po większym deszczu było dużo gnojówki. Znacznie dalej ku północy i w większej odległości od głównego gościńca nad wszystkim królowała duża drewniana stodoła ze spichlerzem, niestety nie zawsze napełnionym zbożem. Wszystkie zabudowania gospodarskie, nie wyłączając psiej budy, kryte były strzeszakami częściowo w pół wiązanych, a więcej głowiankami przywiązanych do drewnianej łąty, a ta z kolei drewnianymi kołeczkami przymocowana była do krokwi. Do budowy dachu, ścian, płotów o poziomych żerdziach ułożonych między dwoma kołkami wbitymi pionowo w ziemię, nie użyto ani jednego gwoźdźka żelaznego.

Pod ścianami i pod zapolem znajdowały się narzędzia rolnicze: drewniane sochy, okute tylko na samym szpicu żelazną blachą, drewniane brony o dębowych kołkach, drewniane widły do wyrzucania nawozu na podwórze lub nakładania na wóz w czasie wywozu nawozu na pole, drewniane motyki do zrzucania nawozu z wozu, wóz o drewnianych osiach, ale żelaznych już obręczach na kołach.

---

\* 1 morga, mórg = 0,5598 hektara – przyp. red.

\*\* 1 wiorsta = 1,0668 kilometra – przyp. red.

Na boisku w stodole o glinianej podłodze dziadek przez całą zimę młócił zboże drewnianymi cepami; nie miał młynka, do oczyszczania ziarna z plew posługiwał się drewnianą szuflą. Należało tylko wybrać odpowiedni dzień o małym podmuchu wiatru, otworzyć częściowo wierzeje i małymi porcjami rzucać do góry ziarna zboża z plewami. Ziarna jako cięższe spadały na boisko, a plewy lżejsze znosił wiatr na podwórze. Razem z ziarnami spadały pocięte na kawałki kłosy. Teraz przystępowała do pracy babcia. Czerpała ziarna z tymi pociętymi kłosami i tak umiejętnie kręciła w lipowym przetaku, że na dół spadały drobne nasiona chwastów; pocięte kłosy gromadziły się kupką na ziarnach w przetaku. Wystarczyło teraz rękoma te kłosy pozbierać i zebrać na bok boiska. Kury, świnię, konie dokończyły oczyszczania.

Obok zabudowań dziadek miał sad. Korzyści z niego było mało, gdyż dzieci na bieżąc, nie czekając aż owoce dojrzeją, łakomie zjadały jabłka, gruszki, czereśnie. Krzewów jagodowych nie było.

Na południe od zagrody za gościńcem (główna ulica przedmieścia) znajdował się ogród warzywny. Na grzędach babcia wysiewała i sadziła cebulę, czosnek, marchew, pietruszkę, pasternak (chętnie kupowany przez ludność żydowską), rzodkiew, a na pograniczu z łąkami kapustę. Nie zapominała babcia też o burakach ćwikłowych, ogórkach i dyni. Sałaty, rzodkiewki, pomidorów nie siano i nie sadzono.

A jakie zwierzęta dziadek hodował? A więc: miał trzy konie, kilka krów, kilka małych cieląt, obowiązkowo dwa byczki dwuletnie i nieco starsze, kilka sztuk świń dużych i kilkanaście małych prosiąt.

Babcia pomimo oporu dziadka przemyciała hodowlę kilkunastu kur i kilku gęsi i kaczek. Dziadek niechętnym okiem patrzył na hodowlę drobiu, gdyż profit z tej hodowli i warzyw szedł do kasy babci, a dochód z hodowli zwierząt i sprzedanego zboża wpływał do kasy dziadka na załatwianie grubszych spraw gospodarczych.

## **A jak wyglądali dziadek i babcia?**

Na to pytanie najlepiej odpowiedziałaby dobra fotografia lub udany portret. A tu ani jednego, ani drugiego nie ma. Pozostał tylko suchy i nudny opis. [...]

A więc dziadek z babcią idą do kościoła: dziadek lekko pochylony, wzrostu około 180 centymetrów, dużymi krokami maszeruje gościńcem po kurzu i pyłe, a czasem i po błocie, a babcia, wzrostu około 140 centymetrów, drobnymi kroczkami drepce obok niego. O czymś żywo rozmawiają. Dziadek spogląda na babcię na dół, a ta odpowiada, spoglądając od czasu do czasu do góry. Dziadek jest powolny, poważny, małomówny, a babcia odwrotnie – żwawa, energiczna, gadatliwa.

Dziadek wyczyścił buty z cholewami sadzą z komina, wiatr mu rozwiewa poły płaszczu sięgającego trochę niżej kolan. Płaszcz ten z tyłu rozcięty powyżej

pasa, nad rozcięciem ozdobiony dwoma guzikami. Na głowie kapelusz słomkowy własnej roboty. A w zimie w długim kożuchu, a na głowie granatowa, z czarnym futerkowym otokiem, watowana rogatywka przechyla się raz na prawy, a drugi raz na lewy bok w takt stawianych kroków.

Babcia w ciżmach miękkich, bez obcasów, w pończochach w czarne równoległe poziomo na tle czerwonym paski. A spódnic na sobie... no nie wiem, ale co najmniej cztery lub pięć sięgających do samych kostek u nóg. Na głowie gruba, ciepła, na rogi złożona chustka w czarne na szarym tle paski, a w lecie zamiast tej chusty zawija coś w rodzaju tureckiego turbanu – zawój z cienkiej różnokolorowej w kwiaty chusteczki. Zawój tak jest ułożony, żeby na przodzie głowy wypadły dwa końce związane razem w rodzaju motylka krawatu męskiego.

Dziadek po powrocie z kościoła do domu wygląda o 10 lat młodziej, gdyż przed sumą zdążył jeszcze wstąpić do felczera – balwierza Żydka i pozbyć się tygodniowego zarostu brody i wąsów.

Jak się ubierali w dzień powszedni? Tu sprawa wyglądała znacznie prościej. Dziadkowi wystarczył flanelowy pancierz-spencer, maciejówka granatowa, a obuwie bezpłatne – boso. Babcia zadowoliliła się zwykłym kaftanem. Chusteczka złożona w trójkąt i zawiązana pod brodą – od wczesnej wiosny, całe lato, do późnej jesieni. A obuwie – wisiało na strychu.

Z powodu braku odpowiednich narzędzi rolniczych praca na roli była nadzwyczaj trudna, a zbiory mizerne z powodu braku nawozów i nadmiernego zachwaszczenia gleby. Wierzyć się nie chce, że pięcioro ludzi żęło do południa zboże, a idąc na obiad zabierał każdy po parę snopeczków – wszystko co użęli. Wieczorem powtórzyli tę samą czynność – i pole czyste – zbiór uprzątnięty. A w jesieni i w zimie ludzie i zwierzęta skonsumowali wszystko. Zaraz na wiosnę zaczął się przysłowiowy przednówek, a z nim głód. Szczególnie kiedy lato było suche. Aby utrzymać się przy życiu, ludzie karmili się lebiodą, zamiast kaszy rzynano mokrzec (rdest), suszono, wykruszano nasiona, które musiały zastąpić kaszę. Zdarzały się i takie wypadki, że zrywano strzeszaki z dachu, aby z otrzymanej słomy narznąć sieczki dla bydła i koni. Oczywiście takie sceny nie powtarzały się corocznie. Wczesną wiosną zwierzęta trzeba było karmić zieloną nikłą paszą.

Najgorzej, wprost katastrofalnie, odbywała się orka pod wiosenne uprawy. Z zapartym oddechem słucałem opowiadania o jednej z takich orek, kiedy to zaprzęgnięto byczki (młode woły) do pług (sochy). Postaram się to odtworzyć jak można najdokładniej.

## **Bocasty i Cerwóny**

Stopniowo zbliżała się upragniona i z niecierpliwością oczekiwana wiosna. W piątek tuż po obiedzie dziadek i babcia zaczęli układać plan prac wiosen-



nych w polu. „Słuchaj Kasiu, dziś trza pomyśleć o byczkach. Na noc daj im po garści koniczyny, aby sobie podjadły, żeby jutro miały więcej siły do orki”. „Nie martw się. Ja już wcześniej dałam im po pół przetaka zgónin. W sobotę żebyś miał jarzmo, bał, sochę przysposobione”.

Dziadek napoił byczki, poklepał każdego po szyi. „Kasiu, bierz Bocastego na powróż, a ja Cerwónego. Równo założymy im jarzma. O, widzisz, jak to dobrze nam poszło”. „Wojtek, co chcesz tak ważną robotę zaczynać jak Żyd? Zacznij z Bogiem”. Dziadek, jak zwyczaj każe, zrobił na ziemi przed nogami byczków biczyskiem krzyż. Sam się nabożnie przeżegnał.

Ruszyli. „Będziemy orać na zakład. Prowadź prosto na tamten badył na górcie. Zaczynamy. Ho, ho, ahe, ahe. Co, cinżko wam byczki? No to spoczniwa. No jeszcze troszkę. Ho, ho, ahe, ahe”. „Wojtek, Bocasty ledwo stoi na nogach. Oczy ma jakieś zamglone”. „Trzymaj go! Nie daj Boże, żeby upadł. Ahe, ahe”. Jak pociągnie Bocasty, to Cerwóny stanie. „Cerwóny leci z nóg, ratuj go”. „Trzymaj go za rogi. Kasiu zerwij kilka chwastów, daj im pojeść. Ho, ho, ahe, ahe. Od siebie, od siebie. Widzisz, że krzywa bruzda wychodzi. Jak ty prowadzisz, nie widzisz badyla? K sobie, k sobie. Tylko troszkę. Południe. Ja tu z byczkami ostanę, a ty duchem leć do dom i wyrzychtuj jakiś obiad”.

Tak się zaczął dzień pierwszy, a następne były trochę lepsze, bo pięcioletniego Jaśka zabierali z sobą do orki.

## Rodzina babci

Babcia o sobie i swojej rodzinie i rodzicach wspominała niewiele. Miała trzy siostry. Jedna z nich wyszła za mąż za Iskrę i zamieszkała w Grabówce, druga wyszła za mąż za Szocińskiego. Mąż był chorowity i wkrótce zmarł. Owdowiała siostra zamieszkała w małym pokoiku w domu Surdackiego na Rankowskim przedmieściu. Z tą siostrą babcia utrzymywała kontakt. Ja, idąc do miasta, na chwilę wstępowałem do niej czasem. Interesowała się życiem Kasi. Czasem nawet otrzymywałem od niej karmelka. Co łączyło ją z Surdackim, dłaczego tam zamieszkała, tego się nie dowiedziałem.

Trzecia wreszcie siostra wyszła za mąż za Andrzejewskiego i zamieszkała na przedmieściu Zakościelnym. Mąż jej był murarzem i zdunem jednocześnie. Do niego babcia miała żal prawie do śmierci.

Po wybudowaniu nowego domu przez mego dziadka i ojca prosiła: „Szwagier, pobuduj nam w nowym domu na Bęczynie nowe mury. Pamiętaj tylko, żeby komin był niski, bo ja jestem małego wzrostu”. Szwagier solennie przyrzekł to zrobić. I wybudował, że komin babci sięgał prawie do brody. Przy gotowaniu biedaczka musiała przystawiać stół, żeby móc zająrzeć do garnka lub postawić nowy na kominie. Tak to spełnił przyrzeczenie szwagier Andrzejewski. Z tą siostrą spotykała się rzadko.

Z układu stosunków rodzinnych sióstr łatwo się można domyśleć, że rodzina mojej kochanej babci miała się materialnie nie najlepiej.

Wspomnę tylko jeden epizod z życia rodzicielskiego babci.

Rodzice babci przeżywali bardzo ciężkie chwile. Tu również wchodził w rachubę głód. Pewnego wieczoru ojciec babci został sam w domu z małymi córkami. Dziewczynki jedna przez drugą upominały się o chleb na wieczerzę. W domu nie było ani jednej kromki. Wtedy ojciec spokojnie wziął skrzypce, na których umiał grać, w takt piosenki półgłosem zaśpiewał: „Oj tra, ta, ta, ta, ta, zas... du... tata, a mama się zesza..., a potem płakała”. Dzieci wybuchnęły śmiechem. Prosiły, aby ojciec jeszcze raz zaśpiewał. Ojciec wykorzystał tę chwilę i jeszcze zaśpiewał kilkakrotnie. Dziewczynki jedna przez drugą zaczęły mrugać oczkami i zasnęły po tak „sutej” kolacji.

Małżeństwo dziadka Wojciecha z babcią Katarzyną nie było dobrane. Różnili się nie tylko wzrostem, ale cechami charakteru, o czym wspomniałem wyżej. Dziadek mało udzielał się rodzinie, cały ciężar wychowania dzieci i załatwianie ważnych spraw gospodarskich nie obyło się bez ingerencji babci. Dziadek to doceniał. Starał się tak stosunki domowe ułożyć, aby w domu był spokój i harmonia. Taka atmosfera była konieczna ze względu na to, że nikt ze starszych im w pracy nie pomagał.

## Rodzina dziadka

Po kilkuletnim pożyciu małżeńskim urodził im się pierwszy syn – Wojtek. Nie nacieszyli się nim długo, gdyż zachorował na zapalenie płuc i umarł w wieku trzech lat.

Dziadek i babcia byli tym nieszczęściem mocno przygnębieni. Dziadek powiedział babci, że syna nie pozwoli zakopać w ziemi na cmentarzu. Więc zmarły syn przeleżał cały dzień w łóżku. Wieczorem dziadek położył się obok niego. Kilka razy w nocy głaskał go po głowie i ramionach. Rano dziadek zajął się swoją pracą, a nieboszczyk nadal leżał na łóżku. Na drugą noc powtórzyło się to samo. Koło południa dziadek rzekł do babci: „Widzisz, on zimny, martwy, sztywny, on już nie mój syn. Idź do księdza i urządz mu pogrzeb. Ja na pogrzebie nie będę mógł być, bo chyba w czasie grzebania trupem padnę”.

Babcia zrozumiała boleść męża. Zajęła się pogrzebem. Kilka tygodni dziadek żył w jakimś otępieniu. Ludzi unikał, do nikogo nie odezwał się nawet jednym słowem. Dopiero po miesiącu otrząsnął się z apatii i zaczął żyć normalnym życiem.

Po dwóch latach od śmierci Wojtka urodził się syn Jaś. Chował się zdrowo i pomagał rodzicom w gospodarce. Szczegółów z jego chłopięcego życia nie znam. Natomiast dobrze pamiętam fakt poboru Jasia do wojska rosyjskiego.

Komisja poborowa uznała go za zdolnego do służby wojskowej. Ponieważ ilość zdrowych rekrutów przekraczała kontyngent, więc część tych rekrutów

należało zwolnić od służby. Komisja zastosowała losowanie. Szczęśliwie się złożyło, że Jan wyciągnął los zwalniający go do domu. Babcia z radością powitała syna, który pieszo z Janowa Lubelskiego 35 wiorst z radości przeszedł w ciągu nocy. Rano opowiadał, że „źrebij” (los po rosyjsku) był dla niego pomyślny. Babcia chwaliła się sąsiadkom, jak to jej syn „na żróbka” wrócił do domu. Pędził jak wichur przez zarośla, rowy i pola.

Ożenił się z Wyroślakówną, córką Adama Wyroślaka na Bęczynie. Mieli czworo dzieci. Najstarsza córka wyszła za mąż za Tomasza Grzebułę. W czasie bielienia mieszkania wapnem spadła ze stołu. Bardzo się potłukła, ciężko rozchorowała i w parę miesięcy umarła. Pozostawiła córkę Basię, która została nauczycielką. Wyszła za mąż za prawnika Szocińskiego i wyjechała na zachodnie ziemie odzyskane po II wojnie światowej. Brat Basi był studentem na UMCS\*. Studiów nie ukończył z powodu ciężkiej choroby i rychłej śmierci.

Drugim z kolei dzieckiem stryjka mego Jaśka był syn Antoni, który urodził się w nowo wybudowanym domu na końcu Bęczyna na skraju lasu. Strzyjek Jan pięknie, z pewnym planem, pobudował dom drewniany z przedniego materiału budowlanego, stodołę, chlew na nierogaciznę, stajnię i oborę. Budynki te stanowiły ładną, zwartą całość. Materiału budowlanego dostarczył dziadek mój z własnego lasu. W pracy pomagał dziadek radą i czynem.

Mój brat stryjeczny Antoni w wojsku nie służył. Ożenił się z Bronisławą Gozdalską. Mają dwóch synów. Jeden z nich ukończył politechnikę i pracuje jako inżynier w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie. Materialnie dobrze mu się powodzi.

Drugi syn, Stanisław, otrzymał średnie wykształcenie techniczne. Pracuje w Kraśniku w Fabryce Łożysk Kulkowych. Na miejscu starych zabudowań swego ojca Antoniego pobudował piętrową kamienicę z cegły. Dla swoich rodziców, Antoniego i matki, wydzielił duży pokój z kuchnią.

Trzecim dzieckiem stryjka Jana była córka Michalina, która razem ze swoją koleżanką wyjechała do USA. Na Bęczyn więcej nie powróciła.

Czwartym dzieckiem stryjka Jana była Felicja. Siostra jej Michalina przysłała jej „szifkartę” z USA, więc i ona również opuściła dom rodzinny i wyjechała do Ameryki Północnej. Tam się zaaklimatyzowała i na Bęczyn nie wróciła.

Stosunki rodzinne między rodziną Jana i rodziną mego ojca były luźne. W czasie siewu zbóż i zniw ktoś z członków rodziny zajrzał do dziadka Wojciecha i babci Katarzyny i rodziny naszego ojca.

Stryj Jan na kilka lat przed śmiercią zachorował na płaswicę. Chory nie mógł spać ani leżeć w łóżku. Musiał cały czas chodzić (dreptać) po przekątnej pokoju, bosy. Z jednego kąta w drugi. Chodząc tak, wydeptał ścieżkę na podłodze. O swojej chorobie nie chciał mówić. Ręce też miał bezwładne, tak że sam nie mógł w palcach utrzymać łyżki. Musieli go karmić w czasie tego chodzenia. Choroba ta trwała do śmierci kilka lat.

---

\* Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie – przyp. red..

## Rodzina Ambrożkiewiczowej

Drugim\* dzieckiem dziadka Wojciecha i Katarzyny była córka Marianna. Wyszła za mąż za garncarza Ambrożkiewicza. Ani jej, ani jej męża nie znałem, gdyż oboje dość wcześnie umarli. Pozostawili pięcioro dzieci: Marcina, Władysławę, Katarzynę, Paulinę i Jana.

Marcin był również garncarzem. Służył w wojsku carskim w Tblisie na Kaukazie. Pisywał często listy do babci naszej. Ja na te listy odpowiadałem, gdyż babcia była niepiśmienna. W listach tych upominała go, aby na swoje zdrowie uważał i aby nie ulegał rusyfikacji.

Po powrocie ożenił się z Mazikówną z Bęczyna. Mieli troje dzieci: syna, który otrzymał wyższe wykształcenie i pracuje jako geolog; dwie siostry nie otrzymały wykształcenia i pracują na gospodarce rolnej.

Siostra Marcina, Władysława, wyszła za mąż za bednarza z Bełżyc Chomiciego. Mieli dwoje dzieci: Piotra i Władysławę. Bednarz wyjechał do USA z myślą, że tam dobrze i prędko zarobi dużo dolarów i kupi sobie gospodarstwo rolne. Niestety tak się nie stało. Początkowo często pisał listy, ale o dolarach nawet nie wspominał.

Władysława – żona – przy pomocy mego dziadka Wojciecha i mego ojca pobudowała sobie mały domek. Ziemi miała mało. Brak jej było inwentarza żywego. Sama jedna z dwójką dzieci borykała się z biedą. Mój ojciec orał, siał jej kawałek gruntu, a za to ona u mego ojca odrabiała przy żniwach, kopaniu kartofli i innych pracach w gospodarce. Dzieci otrzymywały pożywienie od babci.

Syn jej Piotr pokłócił się z gajowym w lesie, rzucił się na niego z siekierą, a ten użył broni palnej i śmiertelnie przeciwnika zranił. Po kilku dniach Piotr umarł.

Córka Władysława wyszła za mąż za Piotra Skórę (Skórzewskiego) i pracuje na roli. Mają jedną córkę.

Chomiczka sprzedała swój domek na Bęczynie i ziemię, Skóra zrobił to samo ze swoją ojcowizną. Za uzyskane pieniądze kupili jedno większe gospodarstwo na kolonii pod Moniakami.

Katarzyna Ambrożkiewiczówna wyszła za mąż za Piroga z pobliskich Chruślanek. Piróg był wysokiego wzrostu, o powolnych ruchach, małymówny, niesympatyczny, grubianin.

Po kilku latach małżeńskich umarła, a jej mąż zerwał stosunki z jej rodziną, pozostał w Chruślanek i więcej go nikt na Bęczynie nie widywał.

Paulina Ambrożkiewicz wyjechała do Ameryki. Początkowo utrzymywała kontakt listowny z rodziną, a szczególnie z moją siostrą Eufrozyną. Po kilku latach i ten kontakt się urwał i nic więcej o niej nie wiedzieliśmy.

---

\* Marianna była trzecim dzieckiem Wojciecha i Katarzyny, ale drugim, które przeżyło. Na następnych stronach „numeracja” dotyczy dzieci, które przeżyły dzieciństwo – przyp. red.



Kaszarnia na Bęczynie, dom Jana Ambrożkiewicza, syna Marianny z domu Wośko, w którym zamieszkał po ślubie z Sakłakówną. Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>

Jaś Ambrożkiewicz, najmłodszy, pozostał sam jeden bez żadnej opieki. Z konieczności jego życiem zajęła się moja babcia. Przygarnęła go, ubrała w co można było w takich okolicznościach. Dzieci nazywały go rudym, gdyż miał rudoczerwonożółte włosy, przez co miał dużo przykrości.

Interesował się książkami i nie wiadomo w jakich okolicznościach nauczył się czytania na książce do nabożeństwa. Babcia miała z nim dużo kłopotu, gdyż zachorował na pęcherz, wskutek czego moczył w nocy poślanie i bieliznę. Wprawdzie w nocy często budzono go, aby uniknąć moczenia, jednak i ten zabieg nie dał pozytywnych wyników. Mało było tego kłopotu. Zachorował na ospę, która w owych czasach bardzo często grasowała. Duży procent dzieci i młodzieży umierało. W tych czasach nie stosowano szczepienia przeciw ospie. Po paru tygodniach wyzdrowiał, lecz twarz miał zeszpeconą. Babcia owijała mu ręce szmatami, aby nie mógł w końcowej fazie choroby drapać swędzące, a już przysychające strupki. Nie udało się upilnować i za to poniósł konsekwencję. Letnią porą pasł bydło u mego ojca, a w zimie musiał karmić bydło i poić je z oddalonej o 300 metrów studni.

W wolnym czasie pokazywał nam litery drukowane.

W wojsku nie służył. Ożenił się z doświadczoną życiowo Sakłakówną, której rodzice mieli młynek do robienia kaszy reczanej. Mieli jednego syna Stanisława, który dzięki kapucynom otrzymał średnie wykształcenie



i został zakonnikiem – kapucynem. Często w Lublinie słuchałem jego kazań w kościele na Krakowskim Przedmieściu. Dziwny miał śpiewny i akcentowany głos. Często odwiedzał moją siostrę Eufrozynę w Terpentynie, gmina Dzierzkowice. Ma ładny charakter, łatwo może nawiązać przyjazny kontakt z rozmawiającymi osobami\*.

## Rodzina Józefa, syna Wojciecha

Józef był trzecim dzieckiem z rzędu. Różnił się wzrostem w stosunku do swojego ojca Wojciecha, cechowała go krępa budowa, sumiaste wąsy i rubaszny charakter.

Los nie szczędził mu przykrości. W trzecim roku życia zachorował na lewą nogę. Babcia z rozrzewnieniem wspominała o jego chorobie. Całymi dniami i tygodniami nie mógł chodzić; choroba nie dała mu nawet spokojnie zasnąć. Ponieważ jeszcze dobrze nie umiał mówić, skarżył się babci: „Mamo nie mogę wytrzymać tak mnie »oga« boli”. Do końca choroby nie wzywano lekarza. Babcia stosowała różne okłady z ziół. Po dłuższej chorobie wyleczył się, ale do końca życia był kulawy, co mało mu przeszkadzało w pracach gospodarskich na roli i w hodowli inwentarza żywego. W wojsku z racji kalectwa nie służył. Umiał czytać tekst drukowany w książce do nabożeństwa i kantyczkach grubych, o kilkuset stronicach, kupowanych jako pamiątka odbytej pieszo pielgrzymki do Częstochowy. Kantyczki te miały największe powodzenie w czasie świąt Bożego Narodzenia. Śpiewaliśmy kolędy i pastorałki głośno i energicznie do zachrypnięcia i bólu gardła. Najlepiej pamiętam pastorałkę jak to „biegł Wojtek bez portek po śniegu, po grudzie, cieszą się, śmieją z niego cha, cha ludzie”.

Po zawarciu małżeństwa z Franciszką Krasieńską postanowił opuścić stary dom dziadka Wojciecha i zbudować sobie nowy dom i całe obejście gospodarskie. Tu zaczęły piętrzyć się kłopoty. Działka ziemi, którą otrzymał od swego ojca Wojciecha, wynosiła 3 morgi. Miała około 7 metrów szerokości, a ciągnęła się blisko 2 kilometry do granicy wsi Wierzbica. Na takiej wąskiej działce mógł stanąć dom, ale nie było gdzie urządzić ulicy, aby można było dojść czy dojechać.

W posagu od żony otrzymał taki sam kawałek ziemi z tą różnicą, że za sąsiadów miał od wschodu Rogozę (później Banaszka), którzy nie zgadzali się na żadne ustępstwa w sprawie wspólnej ulicy. Jednak młodzi małżonkowie nie zrażali się i nadal starali się wyjść z tej kłopotliwej sytuacji.

Na usilną prośbę dziadek z babcią przyszli im z pomocą. Ojciec nasz Marcin zgodził się na wspólną ulicę. Miała ta decyzja dobre i złe strony. Józef, jako starszy brat, więcej miał życiowego doświadczenia, z którego ojciec

\* Stanisław Ambroźkiewicz przybrał imię zakonne Kajetan, urodził się 6 stycznia 1914 roku, zmarł 17 maja 2002 roku – przyp. Zdzisława Wośki.

nasz często korzystał. Złą stroną było to, że za domem pobudował oborę dla krów i chlew dla świń. Nawóz gromadził między domem a zabudowaniami gospodarczymi. Po większym deszczu zbierało się dużo gnojówki, która przepływała na wspólną ulicę, co nie dawało ani przyjemnego widoku, ani zapachu. W zamian za to my, dzieciaki, mieliśmy wstęp do sadu stryja i możliwość korzystania z owoców. Nasz ojciec nie sadił drzewek, aby móc lepiej wykorzystać ziemię pod uprawę warzyw, a szczególnie pasternaku, poszukiwanego przez ludność żydowską. Była jedna tylko, stara, rachityczna grusza, owoce której konsumowaliśmy, nie czekając na dojrzewanie gruszek. W zamian za to rodzina stryja korzystała z owoców trzech starych, dziko rosnących grusz na polu mego ojca.

Stryj Józef miał dwoje dzieci: Mariannę i Andrzeja.

Starsza córka nie grzeszyła piękną urodą. Miała od urodzenia zdeformowaną stopę, co przeszkadzało jej w bieganiu i zabawie.

Andrzej był dorodnym synem. Córka nauczyła się od ojca czytania książki do nabożeństwa, pisać zaś nie umiała. Wyszła za męża za starszego od siebie o kilkanaście lat Feliksa Surdackiego. Znany był jako brodac i kontrabandzista. Często nielegalnie (przez zieloną granicę) przechodził do Galicji, skąd przewoził kontrabandę w postaci flanelowych, bardzo poszukiwanych, ciepłych koszul. Był również zapalonym kłusownikiem. Nielegalnie posiadał dubeltówkę, z którą chodził do pobliskich dzierzkowickich lasów na polowania na dziki.

Policja carska wiedziała o tym. Żandarmi często robili rewizje, ale dubeltówki znaleźć nie mogli. Pewnego razu wczesnym rankiem zawitali żandarmi. Przez okno zauważył to Feliks. Nie było czasu na porządne schowanie broni. Bez długiego namysłu Feliks momentalnie postawił strzelbę w kącie komina i zastawił nową brzożową miotłą. Żandarmi przeszukali wszystkie kąty, ale nic nie znaleźli. Nie podejrzewali, że broń stała prowizorycznie schowana za miotłą. Długo po tym fakcie śmialiśmy się z naiwności i braku zmysłu spostrzegawczego żandarmów.

Surdaccy dochowali się kilku synów, którzy byli zagorzałymi partyzantami w czasie okupacji hitlerowskiej II wojny światowej.

Andrzej urodził się w roku 1891. Ten już chodził do szkoły w czasie zaborów do wstępnego i pierwszego oddziału. Szkoła taka była w drewnianym domu, położona tuż koło kościoła. Przechodził dwie zimy i na tym skończyła się jego edukacja.

Interesowały go książki. Dokładnie parę razy przeczytał *Trylogię* Sienkiewicza. Zachwycał się czynami bohaterów *Trylogii*. Całymi godzinami mógł opowiadać treść przeczytanych książek przygodnym słuchaczom, których nie brak było w Urzędowie.

W wojsku jako jedynak, żywiciel rodziny, nie służył.

Ożenił się z Franciszką Jagiełło z Mikuszewskiego przedmieścia, z którą miał czworo dzieci. Żona dość wcześnie mu umarła. Powtórnie ożenił się

z Surdacką z Mikuszewskiego przedmieścia. Wychowali jedną córkę. Ta już uczęszczała do szkoły średniej, której nie ukończyła.

Z pierwszego małżeństwa Frania była mało rozgarnięta. Ukończyła dwie klasy szkoły ludowej na Bęczynie, a naukę przerwała z powodu choroby. Wyszła za mąż za Rachonia – wyrobnika tracza.

Czwartym dzieckiem dziadka mego Wojciecha była Anna, która wyszła za mąż za Stanisława Mareckiego. Będąc małym dzieckiem, widziałem ją parę razy. Rysy jej twarzy zatarły się w mojej pamięci, więc nic o niej nie mam do zapisania. Marecki był człowiekiem piśmiennym. Dziwny miał charakter. Lubił co niedzielę i w każde święto asystować księdzu proboszczowi w czasie procesji, zapalać świece przy ołtarzu, choć ta czynność do niego nie należała. Wódki nie pił, papierosów nie palił. Obdarzony tymi dodatnimi cechami, zdawałoby się, że rodzinę postawi na wyższy poziom. O zgrozo! Babcia dowiaduje się, że zamożny, bogobojny zięciaszek sprzedał kawałek ziemi, nie kupiwszy nic za otrzymane pieniądze. Po kilkunastu takich transakcjach wyzbył się całego majątku. Ostatnia sprzedaż to był nowy dom, stodoła – wszystko to dał dziadek ze swego lasu. Wszyscy z rodziny głowili się, co go zmusiło do wyzbycia się ładnego, niezadłużonego majątku. Znaleźli się dowcipni sąsiedzi, którzy twierdzili, że wszystko przejadł. Przecież żona gotowała posiłki dla siebie, dzieci i męża. Jedno jest pewne, że w każdą niedzielę czy święto zachodził do „faryniarza” (rzeźnika) na świeżą, przysmażaną kaszanę, której większą ilość spożywał z wielkim apetytem. Skończyło się na tym, że musiał szukać komornego dla siebie i całej rodziny.

Znamienną rzeczą jest jeszcze i to, że cały majątek zakupił Surdacki, nałogowy alkoholik. Jak poszedł w niedzielę rano, to wrócił późną nocą lub wręcz w poniedziałek rano w stanie nietrzeźwym. Wypada jeszcze dodać, że ziemi miał dużo, piękną pasiekę, która dawała mu przyzwoite zyski. Syn jego ożenił się z Cieślicką, wnuczką mego dziadka. Wnuk Surdackiego ukończył studia medyczne i został znanym lekarzem. Wszystko to razem stało na bakier z logiką. Wszystkie dzieci Mareckich były piśmienne, ale żadne z nich nie ukończyło nawet średniej szkoły.

Marecki z dziećmi zamieszkał w starym domu Piotra Pomykalskiego (dawniejszym właścicielem był bogaty, cieszący się szacunkiem miejscowego społeczeństwa Tomasz Gozdalski – ojciec dwóch synów, jeden z synów był księdzem). Marecki zajmował „dużą izbę”, a w „małej izbie” mieszkała Cieślikowa, której mąż był w Ameryce. Miała na utrzymaniu troje dzieci.

Z jej synem Staśkiem „swawolnikiem” bardzo przyjaźniliśmy się. Przez kilka lat był nauczycielem w końcowej fazie okupacji austriackiej, potem w 1918 roku w odrodzonej Polsce w Urzędowie – Bęczynie, a następnie w Trzcincu w gminie Chodel. Po roku pracy w Trzcincu po zawodzie miłosnym w stosunku do Barbary Gozdalskiej porzucił zawód nauczycielski i wstąpił do Seminarium Duchownego w Lublinie. Po uzyskaniu święceń kapłańskich odbył studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim



(KUL). Dłuższy czas był prefektem w Szkole Handlowej Vetterów, a później prefektem w gimnazjum w Lubartowie. Tu zastała go II wojna światowa. Aresztowany przez gestapo, wywieziony do Dachau, gdzie został zamordowany przez hitlerowców.

Brat Staszka - Paweł - studiował na KUL-u. Ukończył wydział prawny. Pracował w sądownictwie. Burza wojenna (II wojna światowa) porwała go gdzieś w nieznaną i ślad po nim zaginął.

Wreszcie siostra tych braci Joasia uczyła się w Lublinie na jakichś kursach handlowych, których nie ukończyła, gdyż musiała zostać z matką - wyrobnicą, ciężko pracującą na roli Gozdalskich (później Pomykalskich). Z Joasią często spotykaliśmy się (była ona moją sympatią). Po kilku latach wraz z matką przenieśli się do Dzierzkowic do własnego gospodarstwa i nowego domu. Wyszła za mąż za miejscowego nauczyciela.

Mąż Cieślikowej, a ojciec tych trojga dzieci, pozostał w Ameryce. W czasie II wojny światowej tam zakończył życie.

Trudno sobie wyobrazić, jak taka kobieta, malutka, sama jedna - wyrobница - zdołała wychować i wykształcić troje dzieci w takich ciężkich warunkach materialnych. Miała tylko jedną krowę, dla której musiała na zimę zgromadzić paszę. W tych ciężkich warunkach bardzo wydatnie pomagał jej Stach. Po skończonych lekcjach w Urzędowie w Szkole Jagiellońskiej brał siekierkę za pas i udawał się do pobliskiego dzierzkowickiego lasu, skąd przynosił drewno do gotowania pożywienia. Musiał też sobie w ten sposób zgromadzić większą ilość opału na zimę.

A Marecki? Do żadnej pracy w pole nie poszedł. Rzemiosła żadnego nie umiał. Został listonoszem. Sam upominał się o jakiś datek za dostarczoną korespondencję.

Marecka (Anusia), pupilka babci, po utracie majątku przez swego męża, a szczególnie domu, wkrótce zachorowała i umarła, pozostawiając gromadkę dzieci na los szczęścia. Nie mogła przeboleć, że Stasio bez jej wiedzy sprzedał i tę ziemię (3 morgi), którą otrzymała od swoich rodziców.

## **Rodzina mego ojca Marcina**

Ostatnim dzieckiem dziadka Wojciecha był Marcin (mój ojciec).

Urodził się w starej chałupie. Pomimo najtroskliwszej opieki ze strony swej matki, a mojej babci, nie uniknął choroby.

W wieku szkolnym babcia zapisała go w październiku do szkoły. Zaledwie przechodził kilkanaście dni - zachorował może na grypę, a może na szkarlatynę (lekarza nie wzywano). Babcia sama go pielęgnowała i leczyła różnymi ziołami. Często wspominała o tym, że Marcinek nie reagował na pytania. Okazało się, że ogłuchł. Teraz dopiero dowiedziała się z własnego doświadczenia i wypowiedzi lekarzy, że wskutek wysokiej temperatury ciała narząd

słuchu został uszkodzony i grozi synkowi głuchota na całe życie. I tak rzeczywiście się stało. Mówił niewyraźnie, operując wyrazami zapamiętanymi przed chorobą. Całe szczęście w nieszczęściu, że po układzie warg, ruchu języka i gestykulacji ze strony rozmawiającego rozumiał treść rozmowy. Należało tylko mówić wolno i wyraźnie.

Wyrósł na zgrabnego i energicznego młodzieńca. Nadszedł czas poboru do carskiego rosyjskiego wojska. Wezwany do Janowa Lubelskiego, stanął przed komisją poborową. Zaraz na wstępie przewodniczący komisji zapytał go jak się nazywa („Kak twoja familia?“). Marcin bez zastanowienia zrozumiał pytanie i wolno, dobitnie odpowiedział: „Marcin Woško“. Tu zaczęły się kłopoty i nieprzyjemności. Kazali mu się rozbierać, a Marcin patrzył się na mówiącego i stoi nieruchomo. Jeden z członków komisji pomógł mu zdjąć ubranie i bieliznę. Lekarz każe mu stanąć na wadze, a Marcin dobroduszenie uśmiecha się i stoi na miejscu. Teraz członkowie komisji uśmiechają się ironicznie. Z pomocą członka komisji lekarz zmierzył go, zbadał i rzekł: „Godien“ („Zdolny“). Sekretarz komisji zanotował wyniki oględzin i wpisał: „Nadaje się do służby“. Komisja uznała, że ojciec nasz słyszy, tylko symuluje i udaje głuchego, chcąc się wymigać od służby wojskowej.

W taki to sposób Marcin znalazł się na liście rekrutów przyjętych do wojska. W dalszym ciągu ojciec nie wiedział, co do niego mówią po rosyjsku. Postanowiono zatrzymać go w izbie chorych na obserwację.

Na drugi dzień (jak opowiadał później Marcin w domu) dawali mu różne polecenia, patrząc mu prosto w oczy i z tyłu poza nim. Delikwent nic nie odpowiadał. W izbie tej było jeszcze kilku innych zatrzymanych. Przynieśli obiad w dużym kociołku, ale nie dali łyżek. Ci, co mówili i słyszeli, upomnieli się o łyżki, a Marcin patrzył się tylko, jak tamci jedzą. Jeden z badanych zachęcał Marcina do jedzenia, dając mu swoją łyżkę. Niestety było już za późno, bo na dnie kociołka zostały w małej ilości resztki pożywienia. Na tym się zakończył pierwszy wojskowy obiad.

Po kilku dniach odprowadzili go do gabinetu lekarskiego, gdzie urzędowało trzech lekarzy. Posadzili delikwenta na specjalnym krześle. Jeden z lekarzy trzymał ojca mocno za głowę, a drugi gumową rurkę wtykał powoli do ucha, trzeci zaś obserwował jak chory na to reaguje. Zabieg ten skończył się wtedy, gdy koniec rurki zaczął wyłazić z nosa. Rzecz prosta, że delikwent krzyczał i wił się z bólu. Po tym zabiegu znów odprowadzono go do izby chorych, gdzie przebywał kilka dni.

Następne badania nie wykazały zmiany w uszach. Po upływie 3 tygodni wrócił do domu z papierkiem, że został zwolniony od służby wojskowej.

Ponieważ rodzice Marcina byli już w podeszłym wieku, starsze rodzeństwo usamodzielniało się, zakładając nowe rodziny, więc należało pomyśleć o ożenku. Nielatwa to była sprawa. Materialna strona nie czyniła przeszkód, ale kalectwo ojca było dużą przeszkodą do poślubienia odpowiedniej panny. Po konsultacji z rodzicami i starszymi członkami rodziny Marcin nawiązał

kontakt z Franciszką Gajewską, starszą od siebie. Panna sceptycznie odnosiła się do propozycji Marcina w sprawie ślubu. Niechętnym okiem oceniała partnera. Pod naciskiem i perswazją ze strony swoich braci Pawła i Józefa w końcu zgodziła się na projektowane małżeństwo.

Zgodnie z tradycją i miejscowymi zwyczajami odbył się ślub w Urzędowie i wesele na przedmieściu Bęczyn w roku 1893. Na drugi dzień ojciec pojechał furmanką do Gajewskich i zabrał żonę wraz z jej rzeczami osobistymi. Pożegnawszy się z braćmi Pawłem i Józefem oraz siostrą, ze łzami w oczach przekroczyła progi domu swego męża.

W wyniku podziału majątku po swoich rodzicach otrzymała 3 morgi ziemi, którą sprzedała swemu bratu Pawłowi, a za otrzymane pieniądze kupiła od Anny Mareckiej (Wośkówny) 3 morgi ziemi leżące obok działki ojca. Tę manipulację trzeba było przeprowadzić u notariusza w Kraśniku.

Wykorzystała rady swych braci i radcy prawnego Wojtuszkiewicza z Urzędowa oraz mieszkańca Bęczyna (piśmiennego Rolli) i połączyła swoją nabytą działkę ziemi z działką ojca, a całość zapisała na swoje imię. Ze względu na kalectwo ojca (głuchota) przyrzekła notariuszowi, że ona będzie prowadziła gospodarstwo i załatwiała wszystkie czynności związane z gospodarstwem w swoim i ojca imieniu. W ten sposób stała się właścicielką nowego gospodarstwa.

Akt kupna-sprzedaży został odczytany przez notariusza w języku rosyjskim (niezrozumiałym dla mego dziadka) i został skwitowany przez podpisanie krzyżykami. Ojciec o tym fakcie dowiedział się dopiero po 30 latach, kiedy ja sam przestudiowałem ten akt. Ta manipulacja wyszła nam, czworgu dzieciom, na korzyść, gdyż dzieci (dwoje) z drugiego małżeństwa nie mogły korzystać z tego majątku, który z punktu widzenia prawnego był własnością naszej matki.

Dziadek mój Wojciech prócz 3 mórg ziemi oddał na własność memu ojcu Marcinowi skompletowane całe gospodarstwo wraz z inwentarzem żywym i martwym. Z warunkiem, że Marcin da całkowite utrzymanie swoim rodzicom do śmierci. Zatrzymał sobie „staja”, tzn. kawał pola i ogrodu na całej szerokości dawniej posiadanej ziemi. To również powierzył ojcu z warunkiem urządzenia swego i babci przyzwoitego katolickiego pogrzebu. Na zakończenie oddał na własność 2 morgi lasu „Chojaki” na Pokrzywiu.

Rozdysponowawszy swój majątek, dziadek do gospodarstwa już się nie wtrącał. Chyba tylko wtedy, gdy ojciec prosił go o radę. Rady te ojciec nie zawsze wykorzystywał, gdyż życie zaczęło układać się inaczej pod wpływem powoli rozwijającej się cywilizacji i kultury.

Tak więc w starym domu pozostał dziadek z babcią i ojciec z moją matką. Ale trwało to niedługo, bo po roku przybył nowy członek rodziny, a byłem nim ja. Z aktu chrztu dowiedziałem się znacznie później, bo dopiero po kilku latach, że urodziłem się o 5 godzinie rano 3 sierpnia 1894 roku. Z tego aktu i późniejszych wspomnień rodziców moje pojawienie się na tym świecie

połączone było z całonocnym cierpieniem mojej matki, zanim krzyknąłem: „U-aaa”. Przy moim rodzeniu się nie było ani lekarza, ani akuszerki. Przyjęła mnie „zawodowa” babka, która w takich czasach obsługiwała inne kobiety w podobnym położeniu na Bęczynie. Ponieważ w domu nie było wanienki, więc wykąpała mnie w niecce, którą ojciec wyciosał z grubego pnia osiki, owinęła w pieluchy, przewiązała długim paskiem, usztywniając ręce i nogi, ażeby były proste, a na zakończenie pociągnęła mnie za nos i powiedziała, abym żył prosto, i długo, i zdrowo. Wyglądałem jak egipska mumia.

Ale z tym zdrowiem widocznie nie było jak najlepiej, skoro tego samego dnia o godzinie 5 wieczorem zawieziono mnie do kościoła. Ks. Ludwik Hera dokonał obrzędu chrztu, dając mi imię Dominik, a to dlatego, że urodziłem się w wigilię św. Dominika (4 sierpnia). Obawy, że przeniosę się do innego świata w pogaństwie okazały się przedwczesne, bo przetrzymałem kryzys choroby i zacząłem długoletnie życie, które nie szczędziło mi poważnych ciosów. Rodzice cieszyli się pierworodnym synem. Ojcu przysporzyłem troszkę kłopotu, że urodziłem się akurat we żniwa, kiedy w gospodarstwie rolnym było dużo pracy, a matka traciła czas na moją pielęgnację i nie mogła pracować w polu. Po kilkunastu dniach matka już mogła pomagać w robocie w polu, powierzając opiekę nade mną babci. W pogodne dni rodzice zabierali mnie z sobą na pole. Ojciec sporządził stojaki, rozpinali płachtę w postaci hamaku, w którym mnie ułożono wygodnie „na świeżym powietrzu”. W przerwach co kilka godzin mama mnie karmiła piersią i znów pracowała dalej.

## Dzieciństwo\*

### Aaa, aaa, kotki dwa...

Dużym ułatwieniem dla babci był fakt kupienia przez ojca w Kraśniku na targu nowej, ładnej, drewnianej, na biegunach, kołyski. Matka wymościła ją słomą i sianem, nakryła dużą pieluszką. Pod głowę położyła małą poduszeczkę i ułożyła mnie, ale już bez pieluszek, które krępowały ruchy rąk i nóg, do nowej wygodnej kolebki. Nakryła mnie pierzynką, nie zapominając o tym, aby rogami przymocować ją do krawędzi kołyski, abym nogami nie mógł jej zrzucić z siebie. Tutaj odżyłem. Tutaj puściłem w ruch nogi i ręce. Mogłem się odwracać na boki i cieszyć się, że wreszcie nie krępują powijaki. Babcia coraz podchodziła, poprawiała pościel, a kiedy zacząłem wykrzykiwać moje „U-aaa” zaraz mnie kołysała, śpiewając mi piosenkę „Były sobie kotki dwa, szare, bure obydwaj” do chwili uspokojenia i zaśnięcia.

### Pierwszy raz śmierć była blisko

Pewnego wieczoru po pracy zebrała się w mieszkaniu cała rodzina. Matka zapaliła małą lampę naftową i miała przygotować moją pościel do nocnego snu. Wzięła mnie na ręce z kołyski i podała ojcu do potrzymania. Ojciec wziął mnie w swoje spracowane całodniową pracą ręce i przytulił do siebie.

Wtem matka słyszy poza sobą stuk. Odwraca się i oczom jej przedstawia się widok, który zapał jej oddech. Oto widzi, że jej dziecko leży na podłodze, a nad nim ojciec w nieruchomej postawie. Chwyciła mnie na ręce, zaczęła płakać i huścić mnie. Po pewnej chwili zacząłem płakać. Matka, chcąc przerwać płacz, dała mi pierś do ssania. Pyta ojca: „Coś ty zrobił?”. Ojciec stoi bezradny i mówi, że mnie mocno trzymał i nie wie jak to się stało, że dziecko upuścił na podłogę. Nabilem sobie guza na głowie. Więcej żadnego innego obrażenia ciała nikt nie zauważył. Matka znów się rozplakała i dziwiła się mocno, do jakiego stopnia ojciec wykazał niedołęstwo. Niewiele brakowało do pożegnania tego padołu pełnego łez i cierpień.

O tym wypadku w późniejszych czasach ojciec sam osobiście opowiadał i zawsze kończył: „Nie wiem jak to się stało”.

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.

## **Za naukę trzeba płacić**

Minął roczek. Zacząłem rozglądać się po mieszkaniu, poznawać otoczenie, gaworzyć, co bardzo interesowało członków mojej rodziny. Nie mając żadnych zabawek, oglądałem swoje ręce, pociągałem każdy palec. Odróżniałem babcię i matkę, do której wyciągałem ręce, chcąc choć na chwilę opuścić kołyskę. Wielkie było wydarzenie, że przy pomocy matki czy babci mogłem usiąść w kołysce i oglądać otoczenie z innego punktu widzenia. Wodziłem wzrokiem za osobami, które co raz to w innym miejscu widziałem w różnych pozycjach. Uśmiechałem się do mówiących coś do mnie. Od czasu do czasu matka pozostawiała mnie na podłodze. Zacząłem raczkować i cieszyłem się, że mogę zmieniać miejsce. Z pomocą rodziców stawałem na nogi, ale zaraz nieporadnie siadałem.

Później sam już próbowałem wstawać. Przybywało mi coraz więcej sił i zręczności. Mogłem już kilka kroków postąpić od ojca do matki. Po kilku dniach tego wysiłku nabrałem takiej wprawy, że sam posuwałem się od jednego przedmiotu do drugiego na dwóch nogach lub na czworakach.

Pewnego dnia matka zmywała naczynia po obiedzie. Umyte garnki i sagany, w których gotowały się kartofle dla świń, stawiała po kolei na podłodze.

Chciałem przyjrzeć się tej pracy. Matka nie zauważyła, kiedy zbliżyłem się do tych saganów, aby bliżej im się przypatrzeć. Zaplątałem się w swojej sukience i runąłem jak długi na sagan. Matka, obejrzawszy się, widzi mnie leżącego na podłodze z twarzą umazaną krwią. Pochwyciła mnie, obmyła i wtedy zauważyła, że mam górną wargę rozciętą brzegiem saganu aż do kości. Ja głośno płacząc z bólu, matka również płacze. W domu zamieszanie, bieganie w poszukiwaniu jakiejś czystej szmaty do obandażowania.

Z pomocą babci matka opatrzyła mi ranę, ostrożnie nakarmiła łyżeczką mlekiem. Pokuśtawszy, ułożyła mnie do kolebki. Uspokoilem się i zasnąłem. Matka później miała dużo przykrości ze strony ojca, a nawet i dziadka, który do spraw domowych zwykle mało się wtrącał. Babcia do tego wypadku podchodziła spokojniej; z większą wyrozumiałością traktowała ten niecodzienny wypadek. Tak oto skończyło się, że została blizna na wardze na całe życie, ale mało widoczna pod wąsem. Tak, tak, za naukę chodzenia, za ciekawość co matka robi zapłaciłem krwią.

## **Bawimy się**

W wieku 2-4 lat w lecie bawiłem się z dziewczynkami na dworze, poważnie na gościńcu. Obsypywaliśmy się pyłem wyjeżdżonym przez furmanki lub rzucali do góry piasek z pyłem, imitując pożar. Zabawie tej towarzyszyła wrzawa, śmiechy, a niekiedy i płacz, gdy któreś z nas miało obsypane głowy, a nierzadko i oczy. Byliśmy czarni i brudni jak diablęta. Po takiej zabawie



matki miały nie lada jaką pracę w czasie mycia nas od stóp do głów. Niekiedy otrzymywaliśmy „w nagrodę” po parę kuksańców, ale to nic – najważniejsze, że była wesoła zabawa.

Po deszczu, gdy ziemia trochę obeschła, zaprzęgałem swoje koniki (ucha od zbitych garnków i dzbanków glinianych) i orałem (za pług służyła stara, złamana metalowa łyżka).

Dla odmiany i urozmaicenia bawiliśmy się w furmanów. Za wóz służyła tyczka drewniana. Na przedzie dwoje dzieci (para koni) trzymało rękami tyczkę, a z tyłu trzymał tyczkę „furman” z bacikiem w drugiej ręce. Bacikiem tym furman podcinał (niekiedy boleśnie) niesforne koniki, które w czasie biegu wierzgały lub wręcz upadały na ziemię.

Zdarzało się, że urządzaliśmy wyprawę na strączki grochu polnego. Właściciel tego grochu raz złapał dziewczynę na gorącym uczynku i poprowadził do matki ze skargą, a reszta uczestników rozbiegła się jak gromada wróbli na wszystkie strony.

\*

Gra w strąki. Usiadłszy pod ścianą stodoły zaczęliśmy grać w strąki. Przebieg gry był następujący: Jedno dziecko trzymało w zamkniętej dłoni strąk grochu. Zwróciło się do drugiego ze słowami: „Jedzie karyta [kareta]”, a drugie odpowiada: „Puni [Pani]. Na hyla [ile] kuni?”. „Na styry [cztery]”. „A wis [wiesz], że nie, bo na trzy”. I wygrywa, i otrzymuje od drugiego strąk.

Znów się powtarza to samo: „Jedzie karyta. Puni. Na hyla kuni?”. „Na dwa”. „Znowu przegrałeś, bo na styry”. Jeżeli dziecko zgadło ile było koni (nasion grochu w strąku) musiało oddać swój strąk.

Balsaminki. Innym razem wybraliśmy się na grzędy warzywne do Kamyka. Między warzywami rosły pięknie kwitnące kwiaty „balsaminki”\*. Każde z nas wyrwało z korzeniami po kilka kwiatów. Nie obeszło się bez zdeptania grzędy i warzyw. Kamykowa to zauważyła. Przepędziła całą naszą gromadkę, a rodzice nasi zmusili nas do posadzenia kwiatów na swoje miejsce. Oczywiście nie wszystkie kwiaty przyjęły się. Dużo z nich uschło. Musieliśmy się upokorzyć. To była dla nas największa kara. Od tej pory nikt na cudze grzędy nie wchodził.

\*

Zabawy na gościńcu przerywały nam przejeżdżające fury, w ślad za którymi unosiły się tumany kurzu, co nas niezmiernie bawiło. W jesieni gościńcem kupiec gęsi kupował od gospodyń po kilka sztuk, obcinał im koniuszki skrzydeł na znak, że te sztuki kupił, a nie włączył do gromady z waleśających się luźno gęsi (bo i tak się zdarzało). Z daleka słychać było głośnie gęganie i trzaskanie z bata poganiaczy. Niektóre gęsi, kupione wcześniej, po kilku kilometrach drogi, kulejąc, poruszały się w gromadzie bardzo wolno.

\* Niecierpek balsamina, roślina kwiatowa z rodziny niecierpkowatych – przyp. red.

Innym razem powoli przechodził druciarz ze zwojami drutu na plecach, głośno krzycząc: „Garnki drutowaaa”. Tu i ówdzie wychodziła z opłotków gospodyni ze zbitym garnkiem lub dzbankiem, prosząc o złożenie skorupy (musiały być duże kawałki). W kilka minut złożył kawałki, odrutował. Gospodyni zapłaciła i uszczęśliwiona zabrała garnek do domu.

Szmaciarz, siedząc na wozie na szmatach, wykrzykiwał: „Szmaty, szmaty, szmaty kupuję”. Wychodziła babinka, najczęściej z wnukiem. Oddawała stare gałgany, otrzymując w zamian, w zależności od ilości szmat, talerz z kwiatuskami, kubek czy szklanę, a niekiedy tylko kilka igieł. Wszystko to nas bawiło i dawało tematy do rozmów i naśladowania szmaciarza w zabawie.

Wprawdzie rzadko, bo może 3–4 razy do roku, przechodził krępy, mocny mężczyzna w butach z cholewami i w zielonym kapeluszu na głowie oraz przewieszoną torbą na plecach i zwojem linki na ramieniu, wołając: „Kastrować”. Usłyszawszy ten głos wszyscy chłopcy rzucili się do ucieczki. Zatrzymywali się każdy w swojej ulicy. Wychyliwszy się zza płotu, pilnie obserwowali tego człowieka. Łatwo się domyśleć, dlaczego bali się go. Tak, tak, mieliśmy się czego bać, bo święcie wierzyliśmy, że ten człowiek każdego chłopca może pozbawić w każdej chwili cech męskości. W pierwszym rzędzie ja uciekałem, tylko mi czerwona z białymi kwiatuskami sukienka fruwała. (Tak, mając już dwa lata, jeszcze paradowałem w tym żeńskim stroju). Ojciec uważał, że taki strój dla każdego dziecka jest najpraktyczniejszy.

Zimową porą lub w dzień deszczowy zbieraliśmy się w dużej izbie na zapiecku i bawili, naśladowując muzykantów na weselu lub kondukt pogrzebowy, śpiewając hałaśliwie bez słów, aż się chałupa trzęsła. Mama nie miała czasu nami się zajmować, a babcia z uśmiechem na ustach tolerowała nasze wyczyny. A kiedy zmęczyliśmy się tą „pracą” obserwowaliśmy jak babcia rozpala ogień na kuchni. Najpierw uprzątnęła popiół i niedopalone węgle z drzewa po poprzednim paleniu. Później ustawiła „wilka” z żelaza, ułożyła na nim smolne drzazgi, przygotowane w lecie na strychu przez dziadka, na to kładła mniejsze kawałeczki drewna, opierając jeden koniec na trzonie, a drugi na wilku w formie dwuspadowego dachu i podpalała ten stos od środka. Gdy ogień na dobre się rozpałił, dokładała grubsze polana. Dokoła tego ogniska poustawiała garnki gliniane całe i te zdrutowane, a także sagany z kartoflami dla świń. Gotowanie odbywało się na wierzchu trzonu kuchni, gdyż żadnych płyt z krążkami i drzwiczkami nie było. Dym i gazy spalinowe bezpośrednio unosiły się pod „kapę” do otworu kominowego, który kończył się nad słomianym dachem chałupy. Nagrzane powietrze rozchodziło się i ogrzewało wstawione garnki i sagany. Na poziomie tego paleniska był otwór pieca chlebowego. W czasie pieczenia chleba dym również przechodził pod kapą do tegoż samego otworu i unosił się nad dachem. W czasie dużych mrozów należało palić w „grubie”. Był to dodatkowy piec, zamykany od tyłu deską. Budowa tych murów z wapienia i gliny przyczyniła się do powstania



wspomnianego zapiecka izolowanego od reszty izby, idealnego miejsca do naszych zabaw. W razie potrzeby można było na piecu chlebowym urządzić miejsce do spania. Z uwagi na tak prymitywną budowę murów bardzo łatwo było o pożar, dlatego kominiarz musiał często oczyszczać przewody dymne. Czynność swą zaczynał zawsze od sakramentalnych słów: „Garnki z komina”. W czasie gotowania gospodyni musiała wtedy przerwać swą pracę i sprzątnąć naczynia kuchenne, bo w przeciwnym razie wszystkie sadze posypałyby się do garnków. W czasie palenia na trzonie, w piecu chlebowym lub grubie często w izbie unosiły się kłęby dymu, który powodował kaszel lub wyciskał łzy z oczu.

Często ojciec z dziadkiem zastanawiali się, czy nie czas już zacząć budować nowy dom. W końcu zapadła decyzja – budujemy nowy dom, bo i warunki finansowe nie stały na przeszkodzie. Ojciec miał pewne oszczędności, sprzedał młodego „bułanego” ogiera, a dziadek zobowiązał się dać materiał budowlany.

Wczesną wiosną 1897 roku zaczęto ścinać sosny. Babcia zwierzyła się sąsiadom o kłopocie, jaki czekał przy zwózce z oddalonego o 2 wiorsty od domu własnego lasu. Sąsiedzi przyrzekli pomoc w myśl tradycyjnej pomocy sąsiedzkiej. W oznaczonym dniu wyjechało do lasu kilkanaście wozów. W godzinach popołudniowych gromadnie zaczęły wracać wozy z pięknymi sosnami. Na upatrzonym miejscu na głównej ulicy Bęczyna wszczął się ruch, gwar mężczyzn, no i oczywiście gromady ludzi i dzieci. Wspólnym wysiłkiem zdejmowali chłopi sosny z wozów. Jeżeli sosna była gruba i ciężka, wywracali wóz, a sosna sama spadała na stos. Dziadek udzielał rad pracującym. Babcia z matką zajęły się przygotowaniem poczęstunku. Zaproszeni furmani siadali do stołu na ławach, krzesłach, wręcz stali obok. Poszły w ruch kieliszki z wódką. Cała izba wypełniła się gwarem, śmiechem i opowiadaniem, jak tam było w lesie. Dowcipniejsi żartowali, jak ten i ów z gospodarzy stęknął lub się wywrócił przy ładowaniu sosen na wóz. Na zakończenie babcia i dziadek podziękowali sąsiadom. Za tę pracę otrzymali zapłatę w postaci słów: „Bóg zapłać. Jak będzieta się stawiać, to wum to odrobimy”.

Następnego dnia ojciec, dziadek, stryj Józef i kilku parobczaków-sąsiadów przystąpili do okorowania sosen i ułożenia w stosy. Po obeschnięciu soków i żywicy na sosnach w kilkanaście dni zgłosili się zamówieni tracze Paweł i Stanisław Rachoń. Ojciec od Rachoniów przywiózł podłużną i poprzeczną piłę, torbę z narzędziami i mocne drągi.

Paweł rozniecił ognisko, do którego włożył kilka wierzbowych pali jednym końcem do płomienia, aby się częściowo zwęgliły. Stanisław według calowej miarki na końcach bali porobił nacięcia po jednej stronie, a potem, posługując się pionem, na drugiej stronie bala. Umocował sznur w jednym nacięciu, naprężył go i poczerzył węglem z opalonej główki, dwoma palcami uniósł sznur do góry i gwałtownie opuścił, dzięki czemu na balu odcisnęła się czarna prosta linia. W podobny sposób porobił linie po drugiej stronie bala.

Z pomocą dwóch drążków podnieśli jeden koniec bala, podstawili wysoką podpórę, a potem drugi koniec bala wciągnęli na drugą podpórę. Umocowali klinami bal, aby się nie poruszył. Stanisław wszedł na wysoki bal i podłużną piłę nastawił na nacięcie. Paweł zaś pod spodem chwycił za rączki piły i pociągnął na dół. Piła była rytmicznie wyciągana przez Stanisława, a ściągana na dół przez Pawła. W ciągu kilkunastu dni przerżnęli sosny na belki i deski. Dziadek z ojcem ułożyli belki na jednym stosie, a deski na drugim, aby materiał budowlany wysychał.

Niebawem przystąpiono do rozbioru starego domu: zrywanie strzechy, odbijanie łąt, krokwi i bierwion aż do „przyciesi” (podwalin). Na czas budowy przenieśliśmy się (cała rodzina) do stryjka Józefa. Mieszkanie strasznie się zagaściło. Rodzina stryja składała się z czterech osób i nasza szóstka (razem z 2-letnią moją siostrą Eufrozyną).

## **Budujemy nowy dom**

Do budowy przystąpił Szczęsny ze swoją brygadą robotników. Szczęsny (nie wiem, czy to było jego imię czy nazwisko) zabrał się energicznie do roboty. Naturalnie pomagał mu mój ojciec, no i oczywiście ja – musiałem wszędzie być, na wszystko patrzeć i niby pomagać. Ze mnie to większa była przeszkoda niż pomoc. Teraz miałem ruchy ułatwione, bo pozbyłem się od dwóch lat sukienki. Matka uszyła mi majtki zapinane z tyłu od szyi aż do kroku. Z tymi majtkami miałem wiele kłopotu, gdyż sam nie mogłem po załatwieniu czynności fizjologicznych zapiąć guzików z tyłu. Biegałem tak między robotnikami i dziećmi, których przy budowie nie brakowało, z wypuszczoną z tyłu koszulą w postaci jakby ogona. Z profilu więcej byłem podobny do oskubanego koguta niż chłopca. Mój wygląd bawił robotników i dostarczał tematów do kpin i uciesznych żartów. Od czasu do czasu od tych zajęć odrywał mnie głos matki, żebym poszedł do domu kołysać małą siostrę, która darła się wniebogłosy.

Przed nastaniem zimy dom w stanie surowym był gotowy. Teraz cały ciężar spadł na ojca, gdyż musiał nakryć go strzechą: od dołu dwa rzędy snopeczkami, a wyżej głowaczami, na wierzchołku zakończył kalenicą z paździerz i perzu. W czasie zimy stolarze wykonali drzwi, okna, ułożyli podłogi i sufity.

Ja zaś musiałem siedzieć w domu i bawić się z siostrą (urodzoną w 1897 roku). Nudna to była zima. Z powodu przeludnienia mieszkania stryjek nie pozwalał przychodzić dzieciom na zabawę. Jedynym urozmaiceniem była zabawa z Andrzejem, stryjecznym bratem, i jego siostrą Marysią.

Chętnie śpiewaliśmy z kanticzek w Boże Narodzenie i Nowy 1898 Rok kolędy. Zanosilem się od śmiechu, jak to „biegł Wojtek bez portek po śniegu, po grudzie” do Betlejem. Kanticzki te kupił stryjek w czasie pieszej pielgrzymki do Częstochowy.

Na wiosnę zaczęli przychodzić chłopcy bez dziewczynek. Biegaliśmy do upadłego po nowym, niewykończonym domu, bawiąc się w złodziei i policjantów, w chowanego itd.

W drugi dzień Świąt Wielkanocnych, naśladowując starszych chłopców, pobiegłem z butelką wody oblewać dziewczynki Salomkę i Antosię Ambrożkiewiczówny, córki garncarza. Ta eskapada niezbyt dobrze się udała. Salomka ubiegła mnie i ona pierwsza mnie oblała jakąś ciepłą wodą. Wprawdzie i ja ją oblałem, ale wynik był taki, że ona śmiała się, a ja zlany, z płaczem przybiegłem do domu. Andrzej bynajmniej nie wyraził swego współczucia, ale później żartował ze mnie i namawiał, aby pójść z wodą do Gajewskiego. Rozgoryczony odmówiłem mu tej przyjemności i do końca świąt napuczony siedziałem w domu.

Na wiosnę ojciec zakończył porządkowanie domu i obejścia. Wróciliśmy do własnego nowego domu w 1898 roku.

## **Nowy krok w postępie kultury**

Nowy dom zbudowany przez ojca bardzo różnił się od starego. Był dużo wyższy, obszerniejszy. Składał się z dużej izby, małej izdebki, komory i dużej sieni. W dużej izbie było jedno wprawdzie okno, ale o czterech ramach. Dużo światła. W komorze były drzwi z jedną poprzeczną szybą. Tutaj panował półmrok. W izdebce jedno zwykłe okno. Andrzejewski wybudował kominy dymowe jeszcze z wapienia, ale już umieścił żelazne płyty z krążkami. Można było gotować i na trzonie i wpuszczać garnki w otwory. Wilk i garnki gliniane, szczególnie drutowane, oraz drewniane łyżki poszły w kąta na „emeryturę”. Za pomocą szybra można było dym, ogień i gazy spalinowe kierować bezpośrednio do otworu dymnego lub skierować do pieca, dzięki czemu piec się ogrzewał już bez pomocy starej dawnej gruby. Piec chlebowy pozostał nadal czynny. Po wypieku chleba ciepło było użytkowane do suszenia owoców i reczki na kaszę reczaną.

Często musiałem na polecenie babci czy matki włożyć do tego pieca, aby z niego wygarnąć wysuszoną reczkę. Ciężka to była dla mnie praca, bowiem było tam jeszcze ciepło, duszno. Po wyjściu z pieca cały byłem oblany potem.

Naśladowując światlejszych, poważnych sąsiadów ojciec, ku zgorszeniu dziadka, wymienił stare sprzęty gospodarskie drewniane na żelazne. Poszły więc w kąta drewniane łopaty, widły, kopaczki, socha, radło itp.

W przeddzień wyjazdu ojca do lasu po drewno budulcowe na chałupę dziadek przeprowadził lustrację uprzęży i wozu. Po dokonaniu lustracji zastał ojca przy śniadaniu i zwrócił się do niego: „Ty do lasu na tym twoim wozie nie pojedziesz. Kto to widział, aby taki ciężar wóz wytrzymał. Po załadowaniu drzewa zaraz żelazne osie powyciągają się i konie z miejsca nie ruszą. Ja lepiej od ciebie wiem. Nie takie ciężary na drewnianych osiach

przewoziłem i dobrze było. Teraz opanowała was młodych głupia moda na żelazne rzeczy: a to osie, widły, łopaty, radła, brony, a nawet baby chwalą się jedna przed drugą, że kupiły sobie żelazne garnki, łyżki, miski. A przecież to wszystko kruche, złamie się, a i o wypadek łatwo, skaleczyć się można. Albo ta orka końmi. Orałem pługiem wołami. Skiba układała się równiutko obok skiby. Miło było popatrzeć, a teraz co? Ja szedłem sobie wolno z wołami, przystanąłem i ja, i woły, odpoczęliśmy i dalej do roboty. A ty, orząc końmi, musisz szybko za nimi iść po roli. A jak ta rola wygląda? Pług skiby rzuca jedne bliżej, drugie dalej, skiby są porwane, a nie takie równe, jak przy orce wołami. Jak dalej tak będziesz gospodarzył, to będziesz ty i twoje dzieci chleb jedli, jak psu wydrzecie z pyska. Ja ci to mówię, żebyś potem nie narzekał, że cię za młodu nie nauczyłem porządnie żyć, gospodarzyć”.

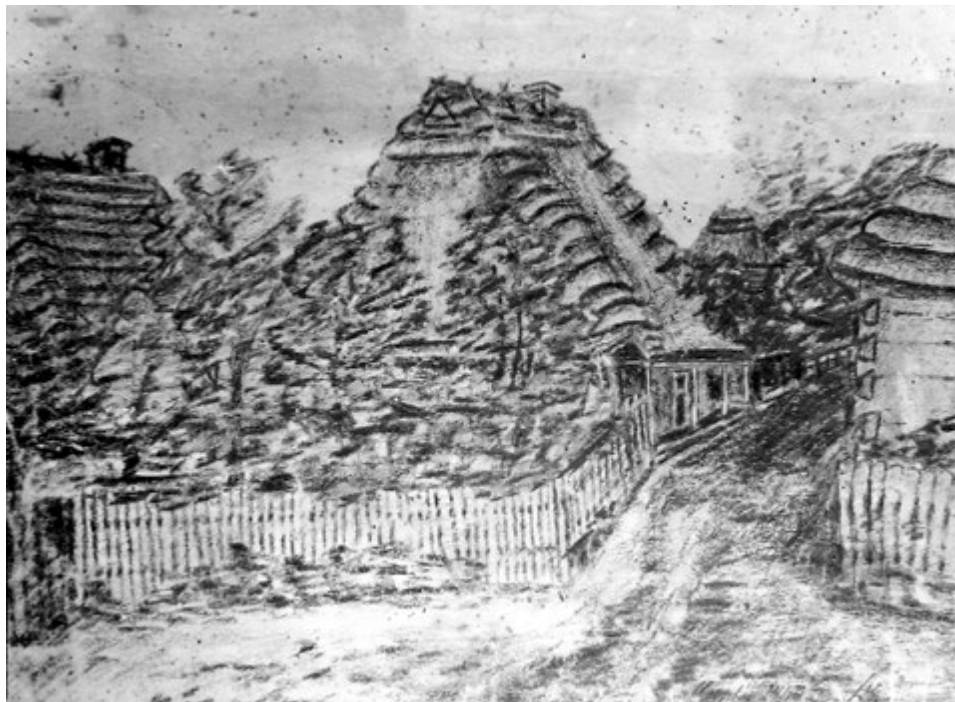
Na szczęście przepowiednie dziadka nie sprawdziły się. Ojciec przy pomocy matki i babci tak gospodarzył, że na 7 morgach ziemi zawsze mieliśmy chleba pod dostatkiem cały rok (nawet na przednówku), a nie tak, jak dziadek na 16 morgach przy jednakowej ilości członków rodziny.

## **Nowe życie w nowym domu**

Obszerne mieszkanie, a w nim idealny kącik za piecem sprzyjały urządzaniu zabaw. Mój stryjeczny brat Andrzej często mnie odwiedzał. Z zapartym oddechem słuchałem jego opowiadań o tym, co się dzieje w szkole. Chętnie opowiadał o nauczycielu, uczniach, nauce, o zabawach i grach w czasie przerw.

Dzięki temu, że mieszkanie było duże zaczęli znowu przychodzić rówieśnicy, ale przeważnie chłopcy, a więc: cioteczny brat Antoni Marecki, Feliks Gajewski, Maciek Gajewski, syn garncarza Jana z Górki, oraz Romek Mazik z Chruślanek (mieszkał u swego wujka Banaszka, naszego najbliższego sąsiada). W dni pochmurne i chłodne na zapiecku krzyczeliśmy: „Feluś, Feluś, ja cię lubię, ty mnie lub, chodźmy za piec, weźmy ślub”. Gdy nam się sprzykrzył ten krzyk, zaczęliśmy bawić się w szkołę. Tu wykorzystałem zdobyte wiadomości od Andrzeja. Z zabawami było pół biedy, natomiast gorzej się przedstawiała sprawa z czytaniem, ponieważ nikt z nas nie znał żadnej litery. Każde z nas układało dłonie w styku małych palców, co imitowało rozłożoną książkę. Podałem temat, np. „kotek”. Każde dziecko musiało patrzeć na rozpostarte dłonie i powiedzieć coś o kotku. Po każdym „przeczytanym” zdaniu wybuchła salwa śmiechu, gdyż było najczęściej pozbawione sensu. Niegrzeczne dziecko stawiałem do „kąta”, co znów było tematem do nowego śmiechu.

Większość czasu spędzałem na podwórzu. Tu był mój świat. Wszystkim się interesowałem. Nieodstępnym towarzyszem był Maciek Gajewski. Z nim bawiliśmy się kółkami od starego, wycofanego z użytku pługa. Tu „rąbałiśmy” na przemian drewno. Zdarzyło się, że ja nie mogłem „przerąbać” polana. Maciek siłą odebrał mi z rąk siekierę i zaczął nią rąbać. Ja chciałem



Dom rodzinny Dominika Wośki - odręczny rysunek autora wspomnień

mu w tym przeszkodzić. W momencie podniesienia do góry siekiery ja podsunąłem nogę. Ten w zapale pracy, chcąc mnie upokorzyć, opuścił siekiere i po drodze „rąbnął” mnie w nogę tak mocno, że się zachwiałem. Jakież było moje zdziwienie, kiedy spojrzałem na moją nogę. Ni mniej, ni więcej, mój but przedstawiał głowę kaczki z otwartym dziobem. Dzięki temu, że buty moje były zrobione „dostatnio”, skończyło się na tym, że przeciął buta, nie naruszając nogi. Musiałem wieczorem tłumaczyć się ojcu, że zaczepiłem o gwóźdź. Ojciec przyjął z niedowierzaniem moje naiwne i niezręczne tłumaczenie. Moje szczęście, że obeszło się bez roboty ojcowego paska.

Często „zmagalem” się z Maćkiem kto silniejszy, kto kogo przewróci, ze zmiennym szczęściem. Maciek używał fortelu – podstawił mi nogę, a ja jak niepyszny musiałem się uznać za pokonanego. Następnym razem, kiedy podstawił mi nogę, ja znienacka popchnąłem go i ten zwałił się na ziemię. Walki teraz często kończyły się na remis.

## „Papieroski”

Dla odmiany na propozycję Maćka zaczęliśmy sobie kurzyć papieroski. On przyniósł z domu machorkę i papier, ja dałem zapalki. Udaliśmy się do



pustego chlewa i ciągnęliśmy dym, zachłystując się jak „starzy”. Ponieważ ojciec mój miał machorkę zamkniętą w szufladzie u stołu, a kluczyk nosił przytroczony do paska od spodni, więc „rada w radę” zastąpiliśmy machorkę watą z mojego zimowego palta. Palenie to lepiej się udawało. Szkoda tylko, że to trwało niedługo, bo wata się skończyła. Mój płaszcz z zimowego palta stał się letnim płaszczem – został tylko wierzch i podszewka. Rodzice moi nie domyślali się przyczyny tej zmiany. Po krótkiej naradzie kupili nowe zimowe palto, z którego waty już nie skubałem. Na tym skończyło się moje palenie papierosów aż do 44. roku mojego życia.

## **Pomagam babci**

Babcia z matką hodowały kury. Po nakarmieniu kur babcia w ciemnej sieni łapała kury i macała, czy w tym dniu zniosą jajka. Podejrzane o zniesienie wpuszczala do znanego nam, palaczom, pustego chlewa, gdzie był w kącie postawiony koszyk wymoszczony słomą. Dla zachęty kur do szybkiego zniesienia były dwa sztuczne jajka, zrobione z białego wapienia. Naturalnych jajek nie zostawiano w obawie przed zjedzeniem przez łasicę. Po kilku godzinach babcia wypuszczała uwiecznione kury na wolność. Niektóre kury wolały znosić jajka w wasągu umieszczonym na strychu w drewnitni. Wasąg ten to były drabinki wyplecione prętami łoziny. Dziadek w młodości ustawiał wasąg na wozie, kiedy chcieli dziadkowie jechać na odpust lub jarmark. Ojciec tego wasągu nigdy nie używał do wyjazdu. Kury po zniesieniu jajek zdradziły się przez głośne gdakanie. Babcia to zauważyła. Ponieważ sama nie mogła się tam dostać, więc wzywała mnie, aby te jajka stamtąd wybrać, co czyniłem z wielką ochotą.

## **Do lasu po mech**

Ponieważ zbliżała się zima, rodzice postanowili oszalować nowy dom deskami. Dla zabezpieczenia od zimna należało między deskami a ścianą dać warstwę mchu. Pięknego jesiennego dnia rodzice wsiedli na wóz i mieli zamiar udać się do własnego lasu oddalonego o 3 wiorsty.

W chwili, kiedy wóz ruszył pobiegłem i ja do wozu, aby pomagać rodzicom. Ojciec był odmiennego zdania. Wóz ruszył, a ja za nim z głośnym płaczem. Matka obejrzała się raz i drugi i zwróciła się do ojca, aby przystanął i zabrał mnie z sobą do lasu. Ojciec na razie nie zareagował na prośbę matki i jechał dalej. Ja zaś uporczywie biegłem, nie przestając jak najgłośniej płakać. Matka wzięła za „lejce” i spowodowała, że wóz się zatrzymał. Ojciec zszedł z wozu, skierował się w moją stronę. Ale jakie było moje zdziwienie, kiedy zauważyłem, że ojciec odpina pasek od spodni. Z doświadczenia wiedziałem, że

zanosi się na lanie, ale nie cofnąłem się i w przyspieszonym tempie biegłem na spotkanie z ojcem.

Na moje szczęście jakaś kobieta przystanąła, przyglądając się jak się skończy to spotkanie. Widząc to ojciec zmieszał się, tym bardziej że ta kobiecina stanęła w mojej obronie. Ojciec zapiął pasek rzemienny, wziął mnie za rękę i podprowadził do wozu, z którego matka już zeszła, aby interweniować w mojej sprawie.

Ojciec powiedział, że mnie zabierze do lasu, ale w domu ze mną się rozmówi. Matka otarła fartuchem moje oczy i doprowadziła moją twarz do ludzkiego wyglądu. Pomyślałem sobie, niech się dzieje wola boska. Ale najważniejsze jest to, że siedzę na kolanach u matki i jadę do lasu pomagać grabić mech.

Po przybyciu na miejsce rodzice wzięli się energicznie do pracy. Ja przystanąłem i bacznie przyglądałem się pracy. A czy pomagałem? Jak miałem pomagać grabić, kiedy nie miałem grabi. Miałem inną robotę. Urwałem pęk barwinku, czarnych jagodzin, długie łodygi „wilczego ogona” (widłaka).

Rodzice złożyli mech na wozie. Wszyscy siedliśmy na tym mchu. Ja pieczołowicie ścisnąłem w dłoni swoje trofea. Ruszyliśmy do domu. Podróż była wspaniała. Tym bardziej że jakaś gałązka chrustu dotykała szprych koła i w miarę poruszania się koła przez całą drogę słychać było terkotanie tej gałązki, co mnie bardzo cieszyło.

## Ośnik

Maciek rzadko już do mnie przychodził, gdyż musiał pomagać swoim rodzicom w wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Ja również musiałem kołysać Antosia (urodzonego w 1900 roku). W wolnych godzinach sam się bawiłem kółkami od starego pługa.

Pewnego razu chciałem sobie zrobić jakąś nową zabawkę, do czego mi były potrzebne dwie cienkie deseczki. W rupieciarni znalazłem odpowiednio długą i szeroką deskę, ale ona była za gruba. Chciałem ją rozłupać na dwie cieńsze deseczki. Do tego użyłem ośnika (struga). Umocowałem deskę w pozycji stojącej, przyłożyłem ośnik w miejscu środkowym. Wziąłem siekiere i mocno uderzyłem w ośnik. Ośnik uwiązał w desce, ale ku mojemu zdziwieniu oba końce ośnika uniosły się do góry, lecz deska się nie rozłupała.

Należało taką operację powtórzyć jeszcze raz. Gdy pociągnąłem za uchwyty, z przerażeniem zobaczyłem, że ośnik pękł na dwie połówki. No a co będzie, jak ojciec zobaczy złamany sprzęt, który jest mu często potrzebny, aby zrobić orczyk lub inne drewniane narzędzie potrzebne w gospodarstwie?

Nie namyślając się długo, pobiegłem do babci, która obejrzała ten niezszczęśny ośnik i powiedziała: „Nie płacz, może da się to zreperować?”. Natychmiast poszła do kowala Surdackiego, który pracował w kuźni po drugiej stronie ulicy. Ten obejrzał te dwie połówki, pomyślał i zaraz zabrał się

do reperacji. Po kilku minutach „zeszwejsowany” ośnik oddał babci. Bardzo się ucieszyłem. Położyłem ośnik na dawnym miejscu. Czekałem na chwilę, kiedy ojciec to zobaczy. Po kilku dniach ojciec obejrzał, pokręcił głową, ale nic nie powiedział.

Tak oto moja kochana babcia ochroniła mnie od pasa, za co jej do dnia dzisiejszego jestem wdzięczny.

## Wyprawa po wiklinę

Jesień zbliżała się szybko. Ojciec, zaopatrzwszy mnie w ostry nóż, polecił mi w lesie dzierzkowickim na „smugu” (zagłębiona część lasu zalana wodą) naciąć wiązkę prętów i łożyny na kosze. Po kilkunastu minutach już byłem na miejscu.

Zakasawszy nogawice od majtek powyżej kolan, zacząłem ścinać nożem witki. Woda była zimna, nogi grzęzły głęboko w błocie, więc chciałem prędko spełnić polecenie ojca i wrócić do domu.

Już miałem duży pęk wikliny. Należało jeszcze uciąć grubszy pęd na pałąk. Dłuższy czas mozoliłem się z ucięciem wikliny. Ręce mi zmarzły, zgrabiwały, no i wypuściłem z palców nóż, który momentalnie utonął w wodzie. Na próżno włożyłem rękę do wody – noża nie znalazłem i chyba nikt go nie znajdzie, bo las został wycięty, a smug wysechł, że dziś nawet śladu po nim nie ma.

Wieczorem ojciec, ja i siostra obrywaliśmy liście. Nóż był potrzebny do pracy. Musiałem się przyznać i opowiedzieć całą przygodę. Oczywiście ojciec mnie nie pochwalił, a nazwał „niedołęgą”.

Do późnego wieczora obserwowałem pracę ojca i dziwiłem się niepomiernie, jak z takich prętów powstawał ładny kosz do kopania kartofli. Nawiasowo dodam, że pod tym względem mój ojciec był „mistrzem”.

## Nie umiecie zapalić

Piękny dzień październikowy. Rzadko przejeżdża wóz, a jeszcze rzadziej ktoś przechodzi główną ulicą Bęczyna. Dorosli i starsza młodzież zajęci są kopaniem kartofli. Tylko dzieci gromadkami kręcą się po podwórzach. Słychać gwar, śmiech, piski, a niekiedy i płacz.

Właśnie na podwórzu mego ojca zebrała się mała gromadka maluchów. Próbowaliśmy urządzić jakąś zabawę, ale w tym dniu jakoś nic ciekawego nie udawało nam się zrobić. Któreś z dzieci podsunęło myśl zabawić się w chowanego. Do tego celu najlepiej nadawało się miejsce pomiędzy zabudowaniami mego ojca i Banaszka. W tym to korytarzyku było sporo łącin (badyli) po zeszłorocznych kartoflach. Postanowiliśmy te łąciny zapalić i popatrzeć, jak się będą paliły. Romek Mazik przyniósł od swego wuja zapalki. Próbował



podpalić łąciny, ale wiatr zgasił palącą się zapalkę. Nie mogłem i ja podpalić. Maciek odebrał mi zapalki i głośno krzyknął: „Do niczego jesteście niezdatne. Nawet słomy podpalić nie umiecie”. Naraz ktoś ze starszych, przechodząc za stodołami, krzyknął: „A wy co tu robicie? Ogień chcecie zapalić i zrobić pożar? Przecież zaraz zapaliłyby się strzechy i kilkanaście gospodarskich zabudowań poszłoby z dymem. Oddajcie mi zapalki, a sami idźcie do domu”. Ta interwencja zapobiegła spowodowaniu pożaru.

## **Domiś zginął**

Wszystkimi ulicami, drogami i ścieżkami ciągną ludzie do „miasta” na doroczny jarmark na św. Łukasza. Oto stary gospodarz, przywiązawszy grubszy sznur do nogi świni, mozoli się niepomernie, bo warchlak opiera się i nie chce iść. Gospodyni go popędza kijem, ale i to nie pomaga. Chłop przystanął i nie namyślając się długo chwytając wieprza za ogon i ciągnie wstecz. Oporna swinia, zaparłszy się nogami, z całej siły skoczyła naprzód i wytrwale biegnie przed siebie. Właśnie o to chodziło gospodarzowi.

Ojciec mój z pomocą swego brata Józefa załadowali dwa wieprze na wóz, nie zapominając związać im nogi. Matka siadła obok. Jasiowi przykazali,



Południowy fragment rynku w Urzędowie około 1913 roku (ze zbiorów Stanisława Surdackiego). Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>



Strona północna urzędowskiego rynku, początek XX wieku. Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>

aby zaraz po obiedzie poszedł ze mną do miasta. Za uzyskane ze sprzedaży pieniądze rodzice chcą kupić Jasiowi i mnie ciepłe palta i buty na zimę.

Idzie Jaś dużymi krokami, a ja drobnymi za nim. Z wielkim trudem przedarliśmy się przez tłumy ludzi zdążających w różnych kierunkach przez rynek. Z rodzicami mieliśmy się spotkać na świńskim targowisku na Wodnej ulicy. Jaś przepycha się, idzie dalej, nie oglądając się na mnie. Co chwilę ktoś przechodzi w przeciwnym kierunku i mnie zatrzymuje. Po kilkunastu minutach straciłem Jasia z pola widzenia. Staram się go dopędzić.

Niestety co raz spotykam się z podobnymi przeszkodami i coraz bardziej zostaję w tyle. Czuję, że Jasia nie dopędzę. Przeszedłem jeszcze kawałek drogi. Ludzi spotykałem po drodze coraz mniej. A Jasia nigdzie nie widać. Po twarzy spływa mi pot pomieszany ze łzami. Przystanąłem. Pewnie Jaś skierował się już na świńskie targowisko. Nie chcąc spotykać się z tłumem, postanowiłem przejść w poprzek ulicy, gdzie stały fura. Brnę po kolana w błocie pomiędzy wozami i końmi. Zachwiałem się i chwyciłem się za orczyk u wozu. Znienacka koń mnie kopnął i ja momentalnie przewróciłem się w błoto. Jakiś mężczyzna woła: „Czegóż ty, dziecko, łazisz między końmi? Chodź tutaj. Czegóż ty płaczesz?”. Musiałem mu opowiedzieć całą historię z Jasiem.

Ruszyłem w powrotną drogę. Tymczasem Jaś spotkał się z moimi rodzicami, ale beze mnie. Zaczęli mnie wszyscy troje szukać i pytać się znajomych czy mnie gdzieś nie widzieli. Po pewnym czasie jakaś znajoma kobieta z Bęczyna wzięła mnie za rękę i doprowadziła do podcienia przy domu Żyszkiewicza w rynku. Kazała mi tu stać i uważać na przechodniów. Po pewnym czasie przybiegła zapłakana matka, która wracała z urzędu gminnego, gdzie zameldowała o moim zaginięciu.

W końcu nadszedł i ojciec z Jasiem. Udaliśmy się we czworo do straganów, gdzie kupiliśmy dla mnie i Jasia sprawunki.

## **Pierwszy płacz matki**

Pewnej październikowej soboty matka wzięła mnie z sobą w odwiedzinę do swojej rodziny. Najpierw wstąpiliśmy do ciotki Sadowskiej. Po krótkiej pogawędce pożegnaliśmy siostrę mej matki i wujka Sadowskiego.

U drugiego wujka, Józefa, też byliśmy bardzo krótko, gdyż rozmowa z nim i jego żoną jakoś nie kleiła się.

Inaczej było u wujka Pawła. Tu nas przyjęli gościnnie, dzięki wujence i jej życzliwemu stosunkowi i przyjaznej atmosferze. Na zapytanie, jak się powodzi mojej matce w naszym domu, matka wybuchnęła płaczem. Mocno zdziwił się wujek i zapytał się o przyczynę płaczu. Matka moja powiedziała: „Powiedz mi Pawle, co wam złego zrobiłam, że wypchnęliście mnie z domu. Widocznie wam przeszkadzałam”. Wujek indagował dalej: „Jakie są stosunki w waszym domu, że zmusiły cię do płaczu?”. Matka wyjaśniła, że mój ojciec traktuje ją poważnie. Nigdy jej nie uderzył. „Stara się być grzeczny. Nazywa mnie Francisją. Teściowa też jest dobra, wyrozumiała, życzliwa. Stara się dopomóc mi w gospodarce radą i czynem. Natomiast teść Wojciech jest mi nieżyczliwy. Daje mi do zrozumienia, że mało wniosłam w posagu do naszego gospodarstwa”. Ale najgorsze jest to, że nie może z mężem szczerze, życzliwie porozmawiać z powodu głuchoty mojego ojca. Dodała, że jej przykro żyć w takiej atmosferze.

Kiedy matka wyplakała się i uspokoiła, wujek tłumaczył jej, że Marcin jest pracowitym gospodarzem, nie jest ani pijakiem, ani tyranem. Pilnuje domu i gospodarstwa. Że nie słyszy, to nie jego wina, lecz choroby, jaką przeżył, mając 7 lat życia. Wujek ją pocieszył, że jest gospodynią, ma już troje zdrowych dzieci, dla których trzeba pracować, aby zabezpieczyć im byt materialny. Matka w milczeniu wysłuchała, rozpogodziła się i ucałowawszy się ze swoim bratem i jego żoną (z domu Paszkowska) opuściliśmy progi domu Pawła.

Nie pamiętam już, czy byliśmy tam jeszcze raz po tej wizycie, czy też matka zerwała stosunki ze swoją rodziną. Tego faktu, że matka nie była szczęśliwa w pożyciu małżeńskim i rodzinnym, do śmierci nie zapomnę.

## Na targu w Józefowie

Przed nadejściem zimy matka chciała pojechać z warzywami na targ do Józefowa nad Wisłą. Ojciec przygotował wóz do drogi. Pomógł umieścić worki z warzywami na wozie. Zaraz po północy obudziła mnie matka, ciepło ubrała, bo noc była już zimna. Ruszyliśmy przez Moniaki, Boby do Józefowa. Zatrzymaliśmy się na rynku obok innych fur. Konie zajadały podany im w sakwie obrok.

Zostałem sam na wozie, gdyż matka przeszła pomiędzy innymi furami, aby dowiedzieć się o cenie sprzedawanych warzyw. Wkrótce wróciła. Na rozwidlonym drążku, przymocowanym do drabiny, powiesiła piękny wianek cebuli – szyld sprzedaży warzyw.

Wkrótce zaczęły podchodzić Żydówki celem zaopatrzenia się na zimę w warzywa. Ceny widocznie odpowiadały nabywczyniom, bo chętnie kupowały towar. Po kilku godzinach większość warzyw została sprzedana. Pozostał tylko szyldowy wianek cebuli i worek rzodkwi. Większe porcje warzyw, według przyjętego zwyczaju, matka musiała na własnych plecach odnosić do domów nabywczyń. Ja zaś musiałem siedzieć na wozie, bacząc, czy ktoś nieproszony nie ściągnie czegoś z wozu.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że mój organizm żądał opróżnienia się. Zwierzyłem się matce z mojego kłopotu. Matka poprosiła sąsiadkę, aby ta uważała na nasz wóz. Udaliśmy się w poszukiwaniu ustępu. Zagląaliśmy do kilku podwórzy, ale nie mogliśmy znaleźć ustępu, a potrzeba opróżnienia stawała się coraz bardziej gwałtowna.

Tak wydostaliśmy się na koniec miasteczka. W końcu zauważyliśmy jakiś niski mur, tu i ówdzie wyszczerbiony. Momentalnie wdrapałem się przez przerwę w murze poza ogrodzenie do środka. Matka poszła w mój ślad. W trakcie opróżniania jakiś stary Żyd zbliżył się do nas z wielkim wrzaskiem, że tu takich spraw załatwiać nie wolno, bo to jest kirkut (cmentarz żydowski). Zagroził, że pójdzie na skargę do policji. Stropiona matka zaczęła wymachiwać rękami, udając, że mnie bije, wołając: „A mówiłam ci, że tu nie wolno. Uciekaj stąd”. Naturalnie teraz mogę uciekać, opróżniony, na skraj świata.

Matka sprzedała jeszcze resztę cebuli, a rzodkiew przywieźliśmy do domu. Zbliżał się wieczór, a do Urzędowa mamy 20 wiorst drogi. Zaledwie wyjechaliśmy z miasta, nastął ciemny wieczór. Konie, wypoczęte, biegły żwawo do domu. Wtem po drodze zza kępy drzew i krzaków wyskoczył mężczyzna z prośbą, aby go parę wiorst podwieźć. Matka stanęła na furze nogami, ściągnęła silnie lejce, popędziła batem konie, które cwałem pobiegły drogą. Mężczyzna został. Jakiś czas słychać było jego przekleństwa. Na kilka wiorst od Bęczyna matka odezwała się do mnie, że ten mężczyzna to pewnie jakiś złodziej, który chciał matce odebrać pieniądze za sprzedane warzywa.

Po kilku godzinach nocną porą byliśmy już w domu. Matka była zadowolona, że ma własne pieniądze na swoje wydatki. Ojciec wcale nie żądał rozli-

czenia się z pieniędzy, gdyż według zwyczaju pieniądze za warzywa należały wyłącznie do kobiety, która całe lato i jesień pracowała przy ich uprawie.

## **Kwaszenie kapusty**

Po pierwszych przymrozkach przystąpiono do robienia zapasów na zimę. Zapas ziemniaków umieszczano w dwóch dużych dołach na kartofle. Doły te zastępowały piwnicę. Strop nad takim dołem składał się z grubych bali, na których zostały ułożone deski, uszczelnione prostą, sztywną żytnią słomą, przywalony grubą warstwą ziemi celem zabezpieczenia od deszczu, śniegu i mrozu. Do takiego dołu wchodziło się przez specjalny ganek. Na zimę wejście było założone wiązkami słomy lub grochowin. W najdalszym kącie dołu ułożone były warzywa.

Nie mniej ważną sprawą było kwaszenie kapusty. Na wyprawę po kapustę wozem wyruszyła cała rodzina, z wyjątkiem chorego dziadka. Ojciec wycinał głowy tasakiem lub siekierą, a my z hałasem, śmiechem i żartami znosiliśmy je do fury.

Wieczorem przy świetle naftowym oczyszczaliśmy głowy ze zbędnych liści. Zdrowe, czyste liście na życzenie dziadka odkładaliśmy na bok, aby nam nie przeszkadzały w pracy.

Ojciec wtoczył do izby dużą dębową beczkę, na kilka dni przed tym gruntownie wyszorowaną, wyparzoną gorącą wodą, do której wrzucano rozpalone do czerwoności kamienie. Wytwarzało się dużo pary wodnej, która przenikała do najmniejszej szpary i zabijała ewentualne bakterie. Matka, zakasawszy rękawy i umywszy czysto ręce, przystąpiła do szatkowania kapusty na pożyczonym szatkowniku szufladowym. Dzieciaki otoczyły beczkę i pilnie obserwowały, jak do beczki za każdym poruszeniem szufladki sypie się kapusta podobna do drobnego makaronu.

Cała ta krzątanina pozornie nie obchodziła dziadka. Na usłyszane porównanie kapusty z makaronem poprosił, aby mu pokazać. Po obejrzeniu szczypty kapusty oznajmił, że przed zakwaszeniem ta kapusta zgnije i nie będzie zdatna do użycia. Poradził oddać tę jakąś tam nową „maszynkę” właścicielowi. On każdego roku kwaszył trzy duże beczki. Kapustę układał warstwami z całych główek kapusty i liści, ściśle ułożonych. Po ukwaszeniu babcia siekała liście i główki siekaczem na każde gotowanie oddzielnie, a jak smakowała wszystkim.

## **Sąsiedzkie pogwarki**

Chorego dziadka często odwiedzali sąsiedzi. Całym godzinami gwarzyli na różne tematy. Jakub Kamyk najchętniej opowiadał o swoich przygodach



w czasie powstania 1863 roku. Brał udział w potyczce pod Chruślankami (na zachód od Bęczyna, za dzierzkowickim lasem). Na Lubelszczyźnie partyzanci walczyli małymi grupkami pod ogólną komendą Michała Heidenreicha (późniejszego generała) pseudonim Kruk. Powstańcy byli źle uzbrojeni (strzelby najczęściej sporządzone przez siebie lub domorosłych rusznikarzy, brak prochu i kul). Grupy te były nieliczne. Znienacka w lasach napadali na mniejsze oddziały rosyjskie i natychmiast po akcji znikali w gąszczu leśnym.

Dziadek często opowiadał o wypadku przewożenia rannych, produktów żywnościowych i uzbrojenia. Pewnego razu przewoził czterech rannych powstańców do Urzędowa. Wóz drabiniasty był wymoszczony słomą, na której leżeli ranni nakryci workami. Na wierzchu wozu i po jego bokach były gałęzie z liśćmi. Znienacka pojawiło się na przedzie kilku kozaków z karabinami na plecach i lancami w dłoni. Z powodu szybkiej jazdy kozaków i małej odległości dziadek nie zdążył skręcić w bok, do lasu. Żołnierze zatrzymali furę z rannymi i zaczęli indagować, co wiezie i dokąd. Dziadek powiedział, że wiezie gałęzie na opał do Urzędowa. Kozacy podejrzliwie popatrzyli na dziadka i na siebie. Zaczęli lancami kłuć w te gałęzie. Na pewno źle skończyłoby się z dziadkiem i rannymi, gdyby nie to, że z drugiej strony dały się słyszeć głosy powstańców. Kozacy zaniechali swojej roboty i cwałem na swoich małych konikach rzucili się do ucieczki.

Natomiast Rogoza zaczął szeroko rozwodzić się na temat wojny Anglików z Burami 1900 roku w południowej Afryce. „Bo to widzita, choć Burów jest mało, ale uni w swoim kraju w górach, lasach dobrze się spisują. Anglicka wysłała dużo wojska z karabinami i harmatami. Jedzie Anglicka na przodku, a za nią jej wojsko piechotą, na wozach, na harmatach. A tu z boku Bur ze swoim wojskiem. Jak nie zacznie strzylać, a głośno wymyślać. Zaczem Anglicka ustawiła wojsko, a Bur schował się do lasu. Wojsko Anglicki rzuciło się za Burami, ale gdzie ich szukać. A tu Bur wyskakuje z gór i znowu strzyło, jaź huczy. Anglicka nijak nie może pobić Bura. Wzina się Anglicka na inny sposób. Sprowadziła inne wojsko na łodziach i okryntach. Ale i Bur też niegłupi. Tyż wypłynął na morze. Na poczuntek to strzylają do siebie z daleka, a potem to już i z bliska. Bur widzi, że jest źle – to myk pod wodę i Anglicce łodzie przewraca. To tero Anglicka myk pod wodę, a Bur już jest na wirzku i znów bije. I patrzta, tak się biju nie godzinę, nie dwie, ale całe tygodnie i misiunce i jedni drugich nie mogą przezwyciężyć. O, tam jest inaksza wojna, niż u nas powstanie. I nie wiadomo cem się skuńczy”.

Tak pogadali, pogwarzyli. Kamyk wstał i poszedł do domu tkać płótno, a Rogoza do swojej chałupy i swego zięcia Feliksa Ambroźkiewicza, garncarza.

Innym razem przyszedł Rogoza w adwencie do dziadka. Usiadł pod piecem obok kuchni na szerokiej i długiej ławie. Zdjął stary, połatany białą lnianą nicią kozuch. Dziadek w tym czasie spał sobie i na różne tony chrapał.



Frozyna, moja młodsza siostra, zajęta była sprząaniem izby, a ja wyszedłem na swoje ulubione podwórze. Rogoza rozglądał się po izbie, ale najczęściej spoglądał na kuchnię. W pewnym momencie zrywa się z ławy. Wybałuszył swoje duże oczy, pokręcił głową, wyszczerzywszy swoje stare, żółte zęby. Rozczapierzywszy palce, skoczył do Frozyny z krzykiem: „Oj, trzymajcie mnie, bo się wściekłem”. Siostra przestraszyła się i uciekła z płaczem do sieni, a potem do mnie na podwórze. Wróciliśmy do izby i co widzimy. Nasz Rogoza spokojnie siedzi sobie na ławie, trzymając na kolanach donicę z przygotowaną na obiad kapustą i drewnianą łyżką wcina kapustę z grochem, aż mu się uszy trzęsą i mówi: „Ot, to jest jedzenie. Moja córka nigdy takiego jedzenia nie ugotowała”.

W tym momencie obudził się dziadek. Rogoza postawił donicę na swoje miejsce na kuchni. Otarłszy usta rękawem swego wytluszczonego, starego kożucha, z powrotem usiadł na ławie. Siostra drwiącym tonem mówi do niego: „Tak się złąkłam. Myślałam, że Walenty naprawdę wściekł się”. Ten nic na to nie odrzekł, tylko szelmowsko uśmiechnął się. My też.

Dziadek popatrzył się na nas i rzekł: „Nie ma się z czego śmiać. Wścieklizna to straszna choroba. O niej wam coś powiem”.

„W kilka lat po ożenieniu się żona wypędziła bydło w doły, co to rosną tam krzaki, kilkanaście brzoź i dużo paproci oraz poziomek. Nad tym wszystkim króluje ta grusza, co tak lubicie jeść ulegałki z niej.

Wracając już do domu, obejrzała się jeszcze, chcąc sprawdzić, jak się pasie bydło. Zauważyła, że między bydłem kręci się jakiś duży, graniasty pies. Podszedł do Krasuli i złapał ją zębami za ogon, potem pobiegł dołem dalej do nowego gościńca, co to prowadzi z Urzędowa przez Moniaki i Boby do Józefowa nad Wisłą. W domu na razie nic nie powiedziała.

Upłynęło od tego czasu około 10 dni. Wypędzając bydło na pastwisko w doły zauważyła, jak Krasula trzęsie głową i strasznie beczy. Żona przestraszyła się i czym prędzej zamknęła tę jedną krowę w oborze.

Zawołałem kowala Surdackiego, co to zna się na różnych sprawach, bo nawet chorego zęba potrafi obcęgami wyrwać. Ostrożnie uchyliśmy drzwi obory i zajrzeli do środka. Krowa z pianą ciekącą z pyska skoczyła do drzwi, chcąc wyjść na podwórze. Nie zdążyła tego zrobić, bo prędko drzwi zamknęliśmy z powrotem. Kowal stwierdził, że krowa się wściekła.

Ale co teraz robić? Po dłuższym namyśle uradziliśmy, że przed progiem obory wykopujemy głęboki i szeroki dół, do którego krowa wpadnie po otwarciu drzwi. Tak się i stało. Nalaliśmy kilka wiader gnojówki, która zawsze była na podwórzu. Pożyczywszy łopaty od sąsiadów, zasypaliśmy tę krowę, która w tym błocie po pół godziny zdechła. Już była cała zasypana, a ziemia jeszcze się podnosiła, a kiedy już wszystko się uspokoiło mocno udeptaliśmy i tak do dnia dzisiejszego zostało”.

Tego opowiadania słuchaliśmy wszyscy z zapartym oddechem.

## **Ostatnie tygodnie życia dziadka**

Były takie dni, że dziadek odwróciwszy się do ściany leżał spokojnie i nic nie mówił. Zdarzało się, że siadał na łóżku, rozglądał się po izbie. Ze względu na późną jesień, błoto na podwórzu, chorobę dziadka, obowiązek kołysania Antosia, zerwałem kontakt z dziećmi i dużo czasu przebywałem w domu. Dziadek często potrzebował mojej pomocy.

W niedzielę siadał, prosił o lusterko i nożyczki. Starał się ostrzyć brodeę i wasy, które przez cały tydzień zdążyły odrosnąć. Jednak z tego niewiele wychodziło. Prosił, abym ja ten zabieg przeprowadził, co chętnie, ale niezręcznie uczyniłem. Ucieszył się i powiedział, że się odmłodził na parę lat. Gdy wychodziłem z Maćkiem Gajewskim do kościoła, prosił, aby mu kupić „olówek” tabaki (małą paczkę).

Teraz ja stałem się jego powiernikiem. Najczęściej do mnie się zwracał z prośbą o pomoc. Zwierzał się ze swoich dawnych kłopotów. Między innymi opowiadał, jak to kilkanaście lat temu, zimową porą, od strony północnej dołami, między krzewami tarniny, jałowców, kaliny, leszczyny i paproci podkradała się gromada wilków do chlewu, gdzie były świny. Pies strasznie szczekał, jakby żądał pomocy. Przebudzeni tym hałasem domownicy wybiegli z chałupy z kijami, a babcia nawet z miotłą, i przepędzili drapieżniki. Wilki znikły w tych dołach i chaszczach. Okazało się, że pies urwał się z uwięzi i skoczył na dach chlewu; wilki podkopały się do chlewa i zagryzły dwa prosiaki.

Miała i babcia swoje kłopoty. Do podwórza w biały dzień przychodziły lisy po kury.

Dziadek ostrzegał mnie, abym uważnie przechodził przez te doły, ostrożnie zbierał poziomki, bo może mnie ukąsić żmija.

W mroźny poranek matka wynosiła parzę dla świń i na chwilę zostawiła otwarte drzwi do sieni. Skorzystał z okazji Bryluś i wpadł do izby. Dziadek nie zdążył się zorientować, gdy piesek wskoczył na łóżko do dziadka z brudnymi łapkami. Chory schował go pod pierzynę. Matka bardzo się na dziadka rozgniewała, ale dziadek podziwiał przywiązanie zwierzęcia do człowieka.

Wczesny ranek. W mieszkaniu wyjątkowa cisza. Babcia obudziła mnie ze snu i oznajmiła, że w nocy umarł dziadek. Stryj Józef już załatwia formalności związane z pogrzebem.

Następnego dnia odbył się pogrzeb na miejscowym cmentarzu. Dziadka pochowano w zwykłym ziemnym grobie, na którym babcia postawiła mały drewniany krzyżyk.

Ojciec wywiązał się ze swych obowiązków należycie. Ksiądz proboszcz Klubecki zwłoki wyprowadził z domu do kościoła, a po nabożeństwie na cmentarz. Przez kilka lat odwiedzaliśmy grób często, później już rzadziej. Krzyżyk uległ zniszczeniu i dziś dokładnie nikt już nie wie, który to jest grób dziadka.

## **Wielkie pranie**

Znienacka chwycił mały mróz. Śnieg cienką warstwą pokrył ziemię. Prace w polu i ogrodzie ustały. Trzeba było zająć się praniem bielizny, której nagromadziło się dużo z lata i jesieni. Prócz bielizny należało wyprać worki po kartoflach.

Matka z babcią namoczyły brudną bieliznę, a na drugi dzień ojciec zajdy mokrej bielizny odwiózł do rzeki. Na upatrzonym brzegu rzeczki została ułożona szeroka deska. Na końcach deski usiadły obie kobiety, zabezpieczone od zimna grubymi chustami, z kijankami w rękę gotowymi do prania. Ojciec na brzegu obok kobiet postawił kilka snopów prostej żytniej słomy celem zabezpieczenia praczek od zimnego wiatru. Kobiety na desce ułożyły jedną sztukę bielizny. Zlały wodą bieliznę i zaczęły uderzać kijankami na sztorc (nie na płask) w szybkim tempie, na przemian, rytmicznie. Po wykręceniu z wody kładły drugą sztukę i powtarzały tę czynność do zakończenia całego prania. Musiały praczki szybko to robić, aby się przy pracy rozgrzewać. A co robiły, jak im ręce zmarzły od lodowatej wody? Ano, kładły ręce do wody. Wszak woda była cieplejsza od temperatury powietrza. Ojciec upraną bieliznę i worki powiązał w paczki i ułożył na wozie.

Ale to był dopiero początek pracy. Teraz przepraną bieliznę kobiety ułożyły warstwami do „tryfuska”. Bielizna ta była nakryta gęstą lnianą płachtą, na którą należało nasypać warstwę popiołu z osikowego spalonego drzewa (wcześniej przygotowanego). Dopiero teraz matka zalewała wrzątkiem gotowanej wody z mydłem tę bieliznę w tryfusku. Woda przechodziła przez popiół, warstwy bielizny i ściekała przez otwór w dnie do podstawionego naczynia. Wodę tę, ług, znów doprowadzano do wrzenia na kominie i powtórnie zalewano bieliznę. Czynność tę powtarzano kilka razy. Na drugi dzień znów praczki prały bieliznę w rzece, tak jak to czyniły poprzednio.

Po wypłukaniu bielizny następowało krochmalenie, wyżymanie i bieliznę rozwieszano na sznurach na strychu do wyschnięcia. Po kilku dniach suchą bieliznę babcia maglowała na długim stołku wałkiem i maglownicą. No, koniec tej ciężkiej, a jednocześnie niebezpiecznej pracy. Bielizna i worki uprane.

Dzisiaj pranie uważa się za ciężką pracę, ale nie można porównać do prania naszych matek i babć. Czy to było specjalnie, wyjątkowo u nas? Nie, tak na wsi było pranie stosowane powszechnie.

## **Pierwsze kroki nauki czytania**

Po Nowym 1901 Roku rozpoczął się nowy okres mego życia. Na jarmarku za 7 kopiejek (14 groszy) mama kupiła mi nowy, piękny, czysty, polski elementarz. Z zadowoleniem przyjąłem ten prezent. Obejrzałem go od początku do końca i od końca do początku. Może najwięcej interesowała się babcia.

Tegoż samego dnia na polecenie mamy i babci przystąpił do mojej „edukacji” Jaś Ambrożkiewicz, sierota, który po stracie swoich rodziców był na utrzymaniu babci i wuja Marcina. Najpierw nauczył mnie, że na pierwszej stronie było „abecadło” składające się z dużych i małych liter. Przeczytał tę stronę w całości. Dziwiłem się niezmiernie, że on te wszystkie znaki zna. Ale do dziś nie wiem, skąd on poznał sztukę czytania, gdyż w szkole nie był żadnego dnia. Pokazywał palcem litery, czytał i kazał mi powtarzać co on powiedział. Więc powtarzam za nim: „A, be, ce, de, ef...”. Tak on czytał, a powtarzałem do wieczora.

Pochwaliłem się nauką swoim rówieśnikom: Maćkowi Gajewskiemu – sąsiadowi, Felusiowi Gajewskiemu – ciotecznemu bratu, Antosiowi Mareckiemu – drugiemu ciotecznemu bratu. Teraz nauka była grupowa, ale ja pokazywałem, ale nie palcem tylko wskazówką – patykiem ułamanym ze starej brzozonej miotły. I znów czytamy: „A, be, ce, de, ef” z tą różnicą, że chóralnie dodawaliśmy: „A duże, a małe, B duże, b małe, C duże, c małe” itd. Do końca abecadła. Z pewnymi przerwami przepracowaliśmy pierwszy „szkolny” dzień.

To czytanie, a niekiedy pobekiwanie, trwało kilka dni. Na drugiej stronie już było zastosowanie w łączeniu tych „poznanych” liter. A praca wyglądała tak: „a – be = ab, a – ce = ac, a – de = ad...”, później już: „e – be = eb, e – de = ed, e – ef = ef...”, a później: „i – be = ib, i – ce = ic, i – de = id...”. Tak łączyliśmy samogłoski ze spółgłoskami kilka tygodni.

Trzecim etapem było czytanie łatwych wyrazów, np. „em + a + em + a = mama, te + a + te + a = tata”.

W lutym grupa „uczniów” zmalała. Maciek i Antoś Marecki uznali, że już się dużo nauczyli, więc przestali chodzić na „lekcje”. Zostałem tylko z Felusiem, który po kilku tygodniach nie pokazał się u mnie więcej. Nasz „nauczyciel” też już miał dosyć tej syzyfowej pracy.

Po Wielkanocy nastąpiła już wiosna. Jaś musiał paść krowy, w czym mu pomagałem. Z elementarza zostały luźne, zabrudzone, wytarte kartki, które też gdzieś się zapodziały. W kącie zostały szczątki starej miotły, bo grubsze patyki zużyliśmy na „wskazówki”. I tak skończył się pierwszy „rok” nauki.

Dodam jeszcze, że i Andrzej, mój stryjeczny brat, syn stryja Józefa, też skończył rok szkolny w Szkole Ludowej (Narodnoje Urzędowskoje Uczyliszcze). Przyniósł mi swoją polską książkę i kazał trochę przeczytać. Ku wielkiemu zdumieniu i memu przerażeniu okazało się, że nie umiałem nic z jego książki przeczytać, tłumacząc się, że na tej jego książce ja się nie uczyłem. Ten ironicznie uśmiechnął się i powiedział, że kto umie czytać na jednej książce to i na innej będzie czytał. Tak, tak...

## Zamknięcie „okólnika”

Stara, zbudowana przez dziadka stodoła przybrała wygląd niesamowity: podwaliny zgniły i wykruszyły się, dziurawe ściany wybrzuszyły się, dach przeciekał i pofalował się. Zaszła potrzeba usunięcia starej rudery i pobudowania nowej stodoły.

Po przygotowaniu materiału budowlanego ojciec z robotnikiem rozebrali „zawalisko”, uprzątnęli plac i przystąpili do budowy. Energicznie główny cieśla Ignacy Kamyk ze swoim zespołem ciesielskim wybudowali w kilka dni zrąb, a potem dach. Nie zapomniano przy budowie i o spichrzu na wymłócone zboże. Teraz przyszła kolej na ojca – poszycie dachu. Dzięki temu, że przygotował strzeszaki wcześniej, z pracą nie było kłopotu. Ojciec siedział na dachu i przytwierdzał do łąt strzeszaki, a my dostarczaliśmy mu potrzebne rzeczy.

Po kilku tygodniach już całkowicie wykończona stodoła górowała nad innymi budynkami. Do stodoły była dobudowana „podwozówka” i pomieszczenie do przygotowywania paszy dla bydła i koni.

Na zakończenie ojciec przystąpił do urządzania klepiska do młócenia zboża. Wyrównał teren, nawiózł kilkanaście fur czerwonej gliny, rozłożył ją równomiernie, zlał obficie wodą. Utworzyła się gęsta masa błota. Teraz musieliśmy wszyscy chodzić po tym błocie bosymi nogami, aby rozgnieść ewentualne bryły gliny. Później ojciec kilka godzin jeździł na koniu i dokończył mieszać glinę, a następnie wyrównał długą łątą powierzchnię i tak pozostawił do wyschnięcia. Po kilku dniach powierzchnia w niektórych miejscach popękała. Należało szpary zalepić gliną. Te pęknięcia jeszcze parokrotnie się powtarzały. Po dwóch tygodniach glina wyschła, skamieniała i klepisko było już gotowe do młócenia zboża.

Tymi budowlami zostało zamknięte podwórze w kształcie prostokąta, zbliżonego do kwadratu.

## Milus „pacyfista”

Wiosna rozpoczęła się na dobre. Kobiety z grabiami i łopatami wyszły na poprzednio przez mężczyzn zaorane grzędy sadzić i siać warzywa.

Matka nasza pozostawiła Antosia pod opieką babci, wyszła ze mną i Frozyną na grzędy. Ja niosłem dumnie na ramieniu grabie, siostra motykę, a matka torebki z nasionami warzyw. Zabraliśmy się do roboty. Ja grabielem, siostra rozbijała motyką duże grudy ziemi, a matka w pierwszym rzędzie posadziła cebulę dymkę, potem posiała marchew, pietruszkę.

Po obiedzie matka znów w moim, siostry i Milusia towarzystwie wyszła na grzędy kontynuować pracę. I co widzi? Na naszych grzędach kilka kur w najlepsze rozgrzebuje ziemię, szukając nasion i robaków. Mama niewiele

myśląc krzyknęła: „Miluś, weź je, goń je”. Milusiowi w to graj. Popędził za jedną kurą, za drugą – posypały się kurze pióra; reszta tych kur rozbiegła się z gładaniem po ogrodzie, a inne na podwórze swojej gospodyni.

Wyskoczyła z chałupki Gajewska, żona garncarza Marcina, mieszkającego po drugiej stronie ulicy, z krzykiem i wymyślaniem pod adresem matki. Matka też nie chciała być jej dłużna, odpowiedziała podobnymi epitetami. W końcu doszło do walki wręcz. My z siostrą, przestraszeni tym niebywałym widowiskiem, zaczęliśmy głośno płakać. Tylko Miluś nie stracił głowy. Wpadł pomiędzy szamoczące się kobiety, chwycił zębami moją matkę za fartuch i zaczął ją odciągać od rozwścieczonej baby.

Sąsiadki przerwały swoją pracę, obserwowały walkę. W końcu jedna z nich zbliżyła się i powiedziała: „Kobiety, wstydziliłybyście się. Dzieci na was, głupie baby, patrzą”. I nastąpiło zawieszenie broni.

Miluś, trzymając fartuch mamy w zębach, ciągnął ją w swoją stronę. A wynik walki? U naszej matki brak kilku guzików u bluzki, a u Gajewskiej urwany rękaw u kaftana. Włosy u jednej strony i drugiej zwichrzone, jak u papuasów. Jedna kobieta i druga cieszyła się kosmykiem włosów swojej przeciwniczki w ręku. Miluś zadowolony, merdając ogonkiem, wrócił razem z nami do domu bez żadnego uszczerbku. Zachowanie jego wszyscy domownicy ocenili krytycznie. Zamiast pomagać w walce swojej gospodyni, swoją interwencją uniemożliwił mojej matce odniesienie stuprocentowego zwycięstwa nad wieloletnim przeciwnikiem.

## **Kto wyżej?**

Pewnej słonecznej i ciepłej niedzieli po obiedzie grupa starszej młodzieży wybrała się na huśtawkę przy młynie nad rzeczką Urzędówką. Huśtawkę sporządził młynarz Prawicki. Pomiędzy dwoma zdrowymi i prostymi grabami na wysokości kilku metrów od ziemi mocno przytwierdził poprzeczną belkę, a na niej umocował dwa solidne haki żelazne. Na nich zawiesił dwa mocne drążki, zakończone u góry żelaznymi okuciami z otworami na zawieszenie ich na wspomnianych hakach. Na dole zaś założył mocną deskę z otworami na przeprowadzenie drążków. Celem uniemożliwienia opuszczenia się deski w drążkach, pod spodem tej deski umocował dwa mocne grabowe kołki, przechodzące przez drążki.

Tak powstała wyśmienita huśtawka, która dawała huśtającym się dużo przyjemności. Na desce w czasie huśtania mogły usiąść dwie, a nawet trzy osoby. Najczęściej siadał kawaler ze swoją sympatią. Jedną ręką trzymał się drążka, a prawą objął w pól sympatię, niby to dla lepszego zabezpieczenia panny od upadku. Stojący obok koledzy popychali huśtawkę, starając się, aby deska z „pasażerami” wzbijała się jak najwyżej. Po kilku minutach w ten sam sposób huśtali się pozostali amatorzy tej zabawy. Nie obyło się bez dowcipnych



żartów kawalerów i śmiechu, pisku panien. Dzieci, stojące obok, z zazdrością niecierpliwie czekały na swoją kolejkę.

Po paru godzinach starsi opuścili huśtawkę, udając się grupkami, a najczęściej parami na „spacer” po lesie. Teraz my zaczęliśmy huśtać się wesoło. Zadowoleni zabawą, postanowiliśmy wracać już do domu. Na zakończenie kilku chłopców z naszej grupy rozhuśtało pustą huśtawkę. Wtem Jasiek Brożek niespodziewanie błyskawicznym ruchem zerwał mi czapkę z głowy i rzucił pod huśtawkę. Skoczyłem po nakrycie głowy i w tym momencie deska huśtawki uderzyła mnie w głowę. Od razu straciłem przytomność i z rozciętą głową upadłem na ziemię pod huśtawkę. Chłopcy zatrzymali huśtawkę i podnieśli mnie z ziemi. Zaczęli wycierać krew, która obficie płynęła po twarzy, zalewając mi oczy. Podprowadzili mnie do stawu i zaczęli zmywać krew.

W tym czasie kilka dziewczyn pobiegło do naszego domu, powiadamiając matkę o tym wypadku. Natychmiast matka przybiegła zziębnięta, sama zajęła się moją twarzą. Ponieważ nie miała żadnych środków opatrunkowych, owinęła mi głowę mokrym fartuchem. W domu dokładnie mnie obmyła i przywróciła moją twarz do ludzkiego wyglądu.

Ojciec bardzo się zdenerwował. Niewiele brakowało, a byłbym otrzymał dla nauki lanie pasem. Po kilku dniach rana się zasklepiła, a po tygodniu pozostała nad prawym okiem czerwona blizna, która po latach wybielała. Za karę nie pozwolił mi się oddalać z domu i bawić z chłopakami.

Dziś, po 77 latach, zostało wspomnienie o tak atrakcyjnej zabawie i jej tragicznym zakończeniu.

## **Nie boję się os?**

Na wiosnę, buszując koło domu i stodoły, zauważyłem jak na miedzy za stodołą do nory wykopanej przez kreta wpadają i wylatują osy. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z chłopcami. Jeden z nich z pewnej odległości rzucił w stronę gniazda os grudę ziemi. Natychmiast z otworu wyleciało kilka os. Przezorni chłopcy szybko cofnęli się w stronę stodoły. Osy uspokoiły się i zajęły miejsce w norze. Znow zaczęliśmy rzucać, drażnić osy i uciekać. Tak powtórzyliśmy kilka razy tę zabawę. Jedna z większych grudek zatkała otwór i osy nie mogły się wydostać z kryjówki. Zanosilo się na to, że zabawa mogła się na tym skończyć. Chęć dalszej zabawy wzięła górę nad rozsądkiem. Należało tę grudę ziemi z otworu usunąć. Ale kto to miał zrobić? Wysuwaliśmy kilku kandydatów, ale jakoś nikt się nie kwapił do tej czynności.

Zaproponowali mnie. Wykręcałem się, jak mogłem i umiałem. Maciek Gajewski drwiącym tonem powiedział, że się boję. Dzieci podchwyciły te słowa: „Ooo, ty otworzyłbyś, ale się boisz. Patrzcie na Dominika, jak się boi, aż pobladł ze strachu. A może w majtkach ma mokro?”. Tego było dosyć. Wcale nie boję się, wy gorzej będziecie się bać i uciekać. Z desperacką miną

podbiegłem do otworu, odrzuciłem przeszkodę. Nie zdążyłem się jeszcze podnieść, gdy poczułem na twarzy w kilku miejscach ból, jakby mnie kto dotknął rozpalonym żelazem. Oczywiście zacząłem uciekać ile sił miałem w nogach do grupy dzieci.

Gromadka łobuziaków zamiast współczucia rechotała i zanosila się od śmiechu. Co ciekawsi uspokoili się i zaczęli się przyglądać mojej twarzy. Naliczyli trzy ukąszenia. Po kilku minutach każde z dzieci poszło do domu. Powlokłem się i ja. Jedna osa ukąsiła mnie w powiekę oka, druga w szyję, a trzecia w policzek. Cała twarz mi zapuchła, spuchnięta powieka zakryła mi całkiem oko, że nic na nie nie widziałem.

Wykorzystałem moment, że w domu nie było ojca, matka poszła z wiadrami do studni po wodę. Babcia zawinęła mi głowę ręcznikiem skropionym octem i doradziła mi żebym poszedł do stodoły i położył się na sianie. O zmierzchu zjadłem kolację i znów udałem się na siano.

Pod presją dokonałem „bohaterskiego” czynu, ale postanowiłem, że niczego podobnego więcej nie zrobię.

## Tragiczna śmierć Romka

A cóż to za fura wjeżdża w naszą ulicę? Powozi jakiś nieznajomy mężczyzna, a obok idzie nasz najbliższy sąsiad Banaszek. Na wozie leży chłopiec w wieku około 6 lat. Banaszek prosi babcię, aby mógł wjechać do naszej podwozówki. Zaintrygowana pyta się, co to ma wszystko znaczyć. Nieznajomy człowiek przedstawia się, że jest ojcem Romana Mazika z Chruslanek i jest szwagrem Banaszka.

Opowiada, że spotkało go wielkie nieszczęście. Oto Romka na pastwisku ukąsił wściekły pies. Chłopiec wcześniej nic o tym nie mówił. Kilka dni temu jego żona zauważyła dziwne zachowanie się syna podczas przygotowywania obiadu. Chłopiec brał z miski groch i rzucał na młodsze rodzeństwo, śmiejąc się bez żadnego powodu idiotycznie. Później rzucił miską z resztą grochu w okno, zbił szybę, a sam wlaź pod łóżko, skąd nie chciał wyjść. Nie pomagały ani prośby, ani groźby. Musiał interweniować ojciec. Wyciągnął go siłą. Romek obrzucił domowników obłąkanym wzrokiem i zaczął na czworakach uciekać na podwórze przez uchylone drzwi. Sąsiedzi poradzili, aby chłopca odwieźć do lekarza do Urzędowa.

Romek uciekał na czworakach, a złapany rzucał się i kopał każdego, kto się do niego zbliżył. Z pomocą sąsiadów udało się go schwycić i związać sznurem. Ułożono chłopca na wymoszczonym słomą wozie i przytroczono sznurem do drabinek. Początkowo leżał spokojnie, a później chciał uciekać. Gryzł sznury, chcąc się uwolnić. Lekarz Łubkowski stwierdził wściekliwość. Dał mu zastrzyk podskórny, przepisał leki, ale ostrzegł, żeby się do niego na krótki dystans nie zbliżać.

Przejeżdżając obok apteki, ojciec wykupił leki, ale teraz wyłonił się nowy problem, bo chory za nic w świecie nie chciał leku przyjąć. Tabletkę ojciec podstępnie wetknął mu do ust. Z popiciem wody ojciec nie mógł sobie z nim poradzić. Na widok szklanki czy kubka z wodą wstrząsały nim dreszcze. Kręcił na wszystkie strony głową i wrzeszczał nieludzkim głosem.

W takim stanie wjechał na nasze podwórze. Na razie uspokoił się i zamknął oczy. Ale to trwało krótko. Znow zaczął się rzucać na wozie. Natychmiast się uspokoił, gdy ojciec zbliżył się do niego z kubkiem wody. Czuł nieopisany wstręt do wody.

W godzinach poobiednich ogarnęła go apatia. Leżał spokojnie. Bicie serca i oddech świadczyły o tym, że jeszcze żyje. Wkrótce wstrząsnęły nim dreszcze, wyprężył się i umarł.

Ojciec, wzruszony do głębi, zabrał go do Chruślanek do domu. Grupa dzieci odprowadziła go do głównej ulicy. Fura zniknęła za zakrętem...

## Mała „motoryzacja”

Nie mogliśmy się doczekać powrotu moich rodziców z Kraśnika. Wrócili dopiero wieczorem, przywożąc nową sieczkarnię i kołowrotek do przędzenia nici. Po wyładowaniu sprzętów oglądaliśmy je ze wszystkich stron, dzieląc się nawzajem uwagami i spostrzeżeniami.

Na drugi dzień zainstalowaliśmy nowiutką sieczkarnię w przygotowanej poprzednio na ten cel komórce i zaczęli rznąć sieczkę dla bydła i koni. Każde z nas chciało kręcić korbą u koła zaopatrzonego w odpowiednie noże. Posypała się sieczka drobna, równa, nie taka, jaką otrzymywał dziadek i ojciec, używając starej skrzynki i odpowiedniej kosy. Nie upłynęło pół godziny, jak narzęliśmy kopę sieczki. Aby uzyskać tyle sieczki, ojciec czy dziadek musieli mozolić się prawie pół dnia.

Bywało, że dziadek zimową porą w krótkim dniu nie zdążył przygotować odpowiedniej ilości sieczki do karmienia krów i koni. Musiał przynieść skrzynkę i słomę do izby i wieczorem rznąć na skrzynce, posługując się przy tej pracy rękoma i nogą. Z zaciekawieniem tylko przyglądałem się jego mozolnej pracy.

Po kilku tygodniach rżnięcie sieczki na sieczkarni nam spowszedniało. Teraz obowiązek rżnięcia spadł na matkę i na mnie. Przestałem się zachwycać pracą i wszelkimi sposobami starałem się wymigać od tej roboty. Ale to nie zawsze się udawało.

W zimowe długie wieczory matka zręcznie przedła nici lniane, konopne i zgrzebne. Ojciec uprzedzone nici zwijał na motowidło, licząc po 30 nitek na pasmo. 24 pasma stanowiły motek, który należało wysuszyć i zawiesić na drążku przytroczonym sznurami do sufitu.

Babcia, a czasem i ojciec, nadal przedli nici starym zwyczajem. Tkacz wolał tkąć płótno z nici uprzedzonych na „prześlicy”.

## **Chciałem mieć „pasiekę”**

Pod krzakiem tarniny znalazłem gniazdo trzmieli z poprzecznymi pasami na tułowiu i odwłoku. Tych z brązowymi paskami bałem się, bo bardzo mocno gryzły. Ku swemu zadowoleniu spostrzegłem w gnieździe małe plasterki ze słodkim miodem.

Chciałem te trzmielie hodować. Małego ula zrobić nie umiałem i nie mogłem. Łapałem w rękawicy trzmielie i wpuszczałem je do bańki glinianej z małym otworem u góry. Bańki tej używano do przechowywania wody w czasie żniw.

Teraz powstał problem, gdzie tę bańkę z trzmielami umieścić. Może w sadzie na drzewie? Nie, tu ktoś z domowników, a może i ktoś obcy zauważy i wszystko zabierze. Chodziłem z tą bańką, medytowałem, ale nic mi jakoś nie przychodziło do głowy. Aha, wiem. Najlepiej będzie, jak tę bańkę umieszczę na dachu. Tu nikt nie zauważy, a trzmielom będzie wygodnie, będą ten mój „ul” widziały z daleka.

Wziąłem tę bańkę pod pachę jednej ręki, a drugą ręką trzymałem się poszycia słomianego dachu. Wtem słoma, której się trzymałem, urwała się i ja, przekoziolkowawszy kilka razy, runąłem na ziemię jak długi. Całe moje szczęście, że upadłem na stertę nawozu przed oborą. Bańki z ręki nie wypuściłem, ale trzmielie, korzystając z różnego położenia w czasie upadku, wszystkie uciekły.

Wstałem, obejrzałem się kilka razy, czy mnie ktoś nie widział, jak spadałem, z nosem spuszczonej „na kwintę” zaniósłem bańkę na miejsce, skąd ją wziąłem. Od tej pory ani trzmieli, ani pszczół nie hodowałem.

## **Drugi rok „edukacji”**

Znów zima. Jaś wolny od pasienia krów, a ja od różnych „rozbówek”. Przystąpiliśmy do nauki z nowego elementarza, ale tego samego wydania i autora.

Z działem materiału naukowego: „a - ka = ak, e - ka = ek, u - er = ur, a - zet = az” uporaliśmy się prędko. Dłużej zatrzymaliśmy się na końcowym materiale, gdzie trzeba było już czytać pojedyncze wyrazy i krótkie, łatwe zdania. W mojej głowie otworzyła się furka, tak że zrozumiałem na czym polega czytanie. Więc powoli, powoli już czytałem ku wielkiemu zadowoleniu mego „nauczyciela”.

Do Nowego 1903 Roku cały elementarz miałem już „w małym palcu”. A czas już był najwyższy, gdyż Jaś za poradą jakiegoś znajomka oświadczył, że u babci już nie będzie, bo idzie na służbę do bogatego gospodarza, skarbnika Kasy Oszczędnościowej w Urzędowie, obywatela Tomasza Gozdalskiego. Ojciec mój, rozliczywszy się z nim, zwolnił go od obowiązku i życzył powodzenia na nowym miejscu pracy.

## **Pasę bydło**

Jasia już nie ma. Kto będzie paść bydło? Początkowo krowy nie pasły się. Były karmione w oborze. W lipcu 1903 roku pasienie krów spadło na mnie.

Rodzice byli zajęci gospodarstwem. W domu została babcia, Frozyna i mały Antoś. Ojciec zarządził, aby babcia mnie obudziła i przygotowała krowy „do wyprawy” na pastwisko. Przewięzała krowom pyski, aby w czasie pędzenia nie zrywały i nie jadły zboża, koło którego przechodziły miedzą. Babcia, widząc jak ja sobie smacznie śpię i chrapię, nie spieszyła się z budzeniem mnie. Zanim wyruszyłem z krowami, słońce już było stosunkowo wysoko. Inni pasterze już paśli swoje bydło, a ja dopiero na paszę pędziłem.

Zaczął się nowy i dla mnie ważny i uciążliwy kłopot, bo krowy nie dały się złapać, aby im pyski od sznurka uwolnić i dać możliwość zrywania i jedzenia trawy. Przyszli mi z pomocą towarzysze pracy. Krowy połapali, odwiązali pyski, krowy już mogły swobodnie paść się.

Po kilku godzinach należało je znowu łapać i wiązać pyski. Z tym było jeszcze gorzej. Krowy bowiem były wypoczęte i nie dawały się złapać. Największy chłopiec gonił je aż do zmęczenia. Udało mu się złapać krowę za ogon. Krowa biegła jak oszalała, a on ją ciągnął na prawo i lewo dotąd aż upadła na kolana. Przewiązywał jej pysk i to samo robił z następną. Teraz gonię te krowy do domu. Gzy i muchy kąsały krowy, a te jak oszalałe nie biegły ścieżką obok miedzy, tylko środkiem po polu, po zbożu. Tak było kilka razy. Później już tak szybko nie biegały. Rwałem pęk trawy i podsuwałem im pod pyski i już tak nie uciekały. Dawały sobie powiązać pyski. Babcia obdarowała chłopca, który mi pomagał, jabłkami.

Samo pasienie nie było uciążliwe, gdyż krowy pasły się w łąbinie pod samą granicą wierzbicką razem z innymi krowami. Ponieważ z Bęczyna do „piorunowego dołu” było daleko i nie było drogi dojazdowej, więc wszyscy gospodarze siali łąbin jako nawóz roślinny. Następnego lata po łąbinie siali żyto. Pięknie wyglądały pola, gdy zakwitł łąbin. Całe pola były niebieskie. Żyto zaś było dorodne na tak użyźnionej glebie. W czasie małego wiatru falowało jak woda morza.

Gorzej się sprawa przedstawiała z pasieniem, gdy nie było łąbin tylko żyto. Musieliśmy się zadowolić tylko trawą, która rosła na zboczach górskich „piorunowego dołu” lub na drogach i dołkach bliżej domu, ale trzeba było trzymać krowy na powrozach. Jakaż to była nudna robota stać godzinami nad krowami i uważać, aby nie zjadały blisko rosnącego zboża i nie narazić się właścicielowi. Po żniwach już było lepiej, gdyż krowy pasły się na ścierniskach po sprzątnięciu zboża.

W kilka lat później ojciec wysiewał białą koniczynę, którą krowy chętnie jadły i prędko się nasyciły. Pasienie takie trwało znacznie krócej, a stan mleka i jego jakość znacznie się polepszyły.

## **Zimne, zimne rosy, a ja jestem bosy...**

Jeżeli jesień była wilgotna, ale stosunkowo ciepła, to żyto wysiane w pierwszych dniach września (po święcie Matki Boskiej Zielnej) pięknie powscho-  
dziło i mocno zakorzeniło się. Pole pokryło się pięknym zielonym kobiercem.

Po małym przymrozku można było to żyto użyć na pastwisko dla bydła. Ziemia pokryta była szronem, który ustępował w godzinach południowych. Więc pasę krowy bosy (bo to jeszcze nie zima). Nogi mi zmarzły i poczerwieniały jak u bociana. Co chwilę przysiadam, aby się zagrzały. W ślad za bydłem idę i znowu przysiadam. Czekam aż się zrobi ciepło.



## W szkole ludowej

### Pierwszy dzień mojej nauki

Pierwsze dni listopada 1903 roku. Na jarmark w Urzędowie wybraliśmy się we troje: ojciec, matka i ja. Rodzice mają mi kupić ubranie i buty, bo mam iść do prawdziwej szkoły.

Podeszliśmy najpierw do straganu z obuwem. Na wieszaku kupiec, Żyd, rozwiesił wiele butów małej, średniej i bardzo dużej wielkości. Matka wybrała odpowiednią parę butów z cholewami. Przymierzyłem but z prawej nogi. Rodzice obejrzelik dokładnie obuwie i zapytali o cenę. Kupiec zadowolony podał: 2 ruble 50 kopiejek. Matka usłyszawszy wysokość ceny „zachnęła się” i chciała oddać kupcowi buty, że buty są takie małe, a takie drogie. Kupiec pyta, a ile ona może dać. Padła odpowiedź: 1 rubel 50 kopiejek. Kupiec: „Za takie buty, z najlepszej skóry? Mogę sprzedać za 2 ruble 30 kopiejek”. Matka: „Jeden but jest zrobiony z jaśniejszej skóry, a drugi z ciemniejszej. Możemy zapłacić najwyżej 1 rubel 75 kopiejek”. Targowali się, przekonywali. W końcu doszli do zgody: 2 ruble. Kupiec udawał niezadowolenie, że otrzymał niską cenę. Z rezygnacją powiada, że sprzedaje ze stratą, ale niech już i tak będzie, niech: „Kawaler nosi je na zdrowie”. Więc... buty już mam. Przewiesiłem buty na ramieniu, tak że jeden but zwieszał się z przodu, a drugi z tyłu.

Zatrzymaliśmy się przy straganie z ubraniami. Matka wybrała odpowiednie palto. Przymierzyłem. Rękawy były cokolwiek za długie, a poły sięgały mocno poniżej kolan. Chcieliśmy kupić inne, ale ojciec sprzeciwił się. Uważał palto za dobre, a że jest za duże, to nic – palto musi być takie „na wyrost”. Ja byłem temu przeciwny, ale ojciec nie liczył się z moim zdaniem. I znowu zaczęły się starym zwyczajem targi. Kupiec oddał palto za 2 ruble 40 kopiejek. Żydek znów to samo, że „sprzedaje ze stratą, ale niech tam synek nosi na zdrowie”.

Kupno ubrania nie doszło do skutku, gdyż ojciec oznajmił, że mu pieniędzy nie wystarczy. Zresztą teraz będzie zima, z nowym ubranem wstrzymamy się do wiosny. Wiedziałem, że ojciec ma jeszcze pieniądze, ale przez oszczędność graniczącą ze skąpstwem więcej pieniędzy wydać nie może. Matka kupiła mi za 1 kopiejkę (2 grosze) bułkę i wyprawiła mnie do domu, gdyż rodzice musieli jeszcze zostać w „mieście”, aby uregulować jesienne podatki. Po powrocie do domu jeszcze kilka razy przymierzyłem buty. Byłem zadowolony ze sprawunku.

Po kilku dniach matka oznajmiła mi, że jutro idziemy zapisać się do szkoły. Ucieszyłem się z tej wiadomości. Nie mogłem doczekać się ranka.

Sąsiadka doradziła matce, że trzeba nauczycielowi dać jakiś upominek. Ale co? Jajka sprzedała, aby móc kupić sól, a sera i masła nie miała, gdyż wszystko mleko zużytkowała na przygotowanie śniadania i obiadu. Serek i masła trochę mogła mieć tylko w Wielkim Poście, gdy wszyscy pościliśmy. Jedzenie przygotowywała, używając tylko oleju lnianego lub rzepakowego. Mleko używaliśmy wyjątkowo tylko w niedzielę i to nie w każdą. Więc wzięła pod pachę kilka pięknych główek kapusty i wianek cebuli, a wzięwszy mnie za rękę pomaszerowaliśmy we dwoje do „miasta” do szkoły.

Nauczyciel był już w klasie. Moja mama wstąpiła do kuchni i oddała „prezent” żonie nauczyciela, a w zamian otrzymała karteczkę z kilkoma wyrazami. Tę karteczkę oddała mnie, abym ją wręczył panu „profesorowi”, co natychmiast uczyniłem po wejściu do izby szkolnej. „Pan” dyskretnie się uśmiechnął i posadził mnie na trzecim miejscu w czwartej ławce od przejścia między ławkami. W dzienniku zapisał moje personalia. Z tym zapisaniem miałem duży kłopot. Na zapytanie: „Kak twaja imia i familia?” z imieniem nie miałem kłopotu, ale z tą „familiją” było gorzej, bo nie wiedziałem czy mam mówić o ojcu, matce, siostrze i bracie. Z pomocą przyszedł mi mój sąsiad, który szepnął mi: „Powiedz swoje nazwisko”, co szybko podchwyciłem i dobitnie powiedziałem: „Woško”. No, to już po wszystkim. Jestem uczniem.

Nauczyciel przystąpił do swoich czynności. Zaczęło się od modlitwy. Nauczyciel rzekł: „Nitka naczinaj”. Wstał więc Nitka, syn policjanta, i wyrecytował modlitwę przed nauką po rosyjsku. A potem: „Ty Saszka”. Poderwał się na nogi nie żaden Saszka, a Oleś Gruchalski, który wyrecytował bez żadnego zająknięcia się modlitwę po polsku. Przez ten czas staliśmy wszyscy na „bacność”. Tylko dwóch Żydków i trzy Żydówki zaczęły naukę bez żadnej modlitwy (a może tylko myślą się modlili). Nauczyciel porozdawał prace uczniom oddziału wstępnego, I, II i III. Teraz dopiero przystąpił do nauki głośnej z IV oddziałem.

W czasie przerwy razem z innymi dziećmi wyszedłem na plac przed szkołą. Po krótkiej przerwie nauczyciel zastukał linią w okno. Na ten głos wszyscy uczniowie rzucili się do drzwi prowadzących do przedpokoju i klasy.

Nie mając żadnego zajęcia, jeszcze raz, ale dokładniej, zapoznałem się z izbą szkolną. W klasie były ustawione długie ławki na ośmiu uczniów w trzech rzędach. W rogu sali przy drzwiach stała szkolna szafa, a w niej były książki, atrament, pióro i dziennik. W rogu pod sufitem była „ikona” (obraz) ze św. Mikołajem. Za naszymi plecami (twarzą byliśmy zwrócenii do drzwi wejściowych) wisiał portret z carem Aleksandrem III i Mikołajem II obecnie panującymi w Rosji. W suficie był otwór wywietrznika. Przy ścianie wejściowej po lewej stronie była tablica szkolna, a po drugiej stronie piec przy tej samej ścianie. W każdej z trzech ścian były po dwa okna.

Na drugiej lekcji nauczyciel pracował głośno z oddziałem III, a inne oddziały miały ciche zajęcia. Wyraz „ciche” oznaczał dosłownie ciszę. Nikt z miejsca się nie mógł ruszyć i ani słowa, choćby nawet szeptem, powiedzieć.



**Kościół parafialny w Urzędowie, po lewej budynek szkoły ludowej, początek XX wieku (fotograf Kazimierz Broniewski?).  
Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>**

O skutkach naruszenia ciszy dużo mogłaby powiedzieć, gdyby mogła mówić, linia dębowa, masywna, wzmocniona w środku lekko widoczną przy brzegach blachą. Uczniowie z niecierpliwością czekali na drugą przerwę, aby wyprostować kończyny.

W czasie drugiej przerwy i następnych poznałem otoczenie szkoły. Szkoła była zbudowana z drewna. Wewnętrzne ściany były otynkowane, a zewnętrzne pobielone wapnem. Składała się z dwóch równych części przedzielonych krótkim korytarzem. W pierwszej, prawej, części była duża izba szkolna, a w drugiej dwa pokoje nauczyciela, na przedłużeniu zaś korytarza była kuchnia. Do korytarza wchodziło się przez ganek, z dachem podpartym dwoma pionowymi słupkami. Na trójkątnym szczycie daszka był umieszczony szyld z rosyjskim napisem: „Urzendowskoje Narodnoje Ucziliszcze w Urzendowie”. Napis ten był uwieńczony czarnym dwugłowym orłem.

Szkoła ta była usytuowana w pobliżu kościoła. Małe, brudne podwórko oddzielało ją od muru okalającego cmentarz kościelny. W głębi podwórka był ustęp o jednym oczku na tak dużą liczbę uczniów obojga płci. Na przerwę najpierw nauczyciel wypuszczał dziewczyny, a w parę minut za nimi chłopów. Nawiasowo należy dodać, że ustęp był brudny, a niekiedy przepełniony

ekskrementami. Na placu przed szkołą były wkopane cztery słupki u wierzchu połączone mocną belką, od której spuszczone były dwa cienkie, śliskie drążki (5 metrów długości). Na tych słupach, drążkach i belce wyżywiali się chłopcy w czasie pauzy.

Po trzech godzinach nauki była półgodzinna przerwa, w czasie której blisko mieszkający uczniowie mogli pobiegnąć do domu i posilić się po tak „wyczerpującej” pracy. Po tej długiej przerwie znów przez dwie godziny odbywały się lekcje. Głośno I i II oddział.

Po skończonym „pracowicie” dniu wracałem do domu z Antkiem Krasieńskim. Prosiłem go, aby mi pomógł zaopatrzyć się w odpowiednie pomoce naukowe. Dowiedziałem się, że książkę do nauki języka polskiego i do nauki języka rosyjskiego *Russkoje słowo* można kupić u nauczyciela, a tabliczkę łupkową w drewnianej ramce i „grifiel” (rysik) u Abramka, który miał sklep z różnymi towarami na rogu rynku i ulicy Wałowej, naprzeciwko apteki Michalewskiego.

Około godziny 15 zjadłem z wilczym apetytem obiad. Wieczorem poprosiłem ojca o pieniądze na kupno pomocy naukowych. Ojciec chętnie dał mi „całego rubla”, za który nazajutrz kupiłem sobie rzeczy potrzebne mi do nauki. Po kilka razy wszystko przeglądałem. Matka też bardzo się cieszyła razem ze mną. Nie lubiłem patrzeć na ostatnią kartkę rosyjskiej książki, gdzie był dwugłowy orzeł z otworzonymi dziobami, przypominającymi jakieś haki, oraz czarny Michał Archanioł.

## Pierwsze tygodnie mojej nauki

Mając już przybory do pisania, mogłem wziąć udział w nauce razem z kolegami wstępnego oddziału („otdielenija”):

- 1) język polski z tablicy: „mama” – cała godzina pisania,
- 2) język rosyjski: „papa” – cała godzina ćwiczenia,
- 3) arytmetyka:  $1 + 1 = 2$  („odin da odin połączajem dwa”);  $2 - 1 = 1$  („dwa otniať odin połączajem odin”) – godzina pracy,
- 4) rysunki: „naczeritiť swoju knigu” (narysować swoją książkę) – ćwiczenie całogodzinne,
- 5) śpiew: wstępny i I oddział w połączeniu „Żył był u babuszki sierenkij kozlik” – 2 tygodnie, itd.

Później odwzorowywaliśmy litery i pełne łatwe wyrazy z tablicy, a najczęściej z książki rosyjskiej i polskiej. Nauczyciel w przejściu między ławkami czasem przejrzał nad czym się pocimy i z jakim skutkiem.

Po kilkunastu dniach nauczyciel, rozdawszy cichą pracę starszym oddziałom, zajął się naszym wstępnym oddziałem. Każdemu z uczniów kazał napisać rysikiem na swoich łupkowych tabliczkach podyktowane wyrazy i liczby. Sprawdzał pracę i odnotował nazwisko ucznia.

Na drugi dzień z kartki odczytał nazwiska tych uczniów, którzy wykazali się złą pracą. Delikwentom kazał zabrać swoje rzeczy i przenieść się do ostatniej, „ośleję”, ławki, do której zajrzał najwyżej raz w tygodniu. Raz na kilka dni skierował kilku uczniów IV oddziału w czasie cichych zajęć do nauki osłaków.

Nauczyciel Paulson uczył dzieci w języku rosyjskim. W klasie też używał w rozmowie z dziećmi języka rosyjskiego. W jego obecności między sobą uczniowie obowiązani byli używać języka państwowego. Nic nie można było załatwić w języku polskim. Udawał chyba, że nie rozumie i nie umie mówić po polsku, gdyż w przeciwnym razie nie mógłby udzielać w naszym języku nauki religii po polsku. Nie stosował tu żadnego wykładu ani objaśnień odnoszących się do Starego i Nowego Testamentu. Wezwany uczeń musiał z pamięci recytować treść zadanej lekcji, bez zająknięcia. W przeciwnym razie usłyszał jedno słowo: „Na koleni” („Kłęczeć”). W ciągu jednej godziny cały piec był otoczony kłęczącymi na oba kolana delikwentami. Nikt z uczniów nie słyszał ani pochwały, ani nagany, ani naprowadzających pytań w języku polskim.

## **Raniec = tornister**

Duży miałem kłopot z noszeniem pomocy naukowych do szkoły, pomimo tego, że matka w domu mi wszystko zawijała w chusteczkę. A już z tym rysikiem to miałem wielkie utrapienie. Zawsze gdzieś się podział, zginął... Ze swego kłopotu zwierzyłem się matce, że chcę mieć na książki „raniec” – tornister, jaki mają inni chłopcy. Matka przyjrzała się tornistrowi Andrzeja, mego stryjecznego brata, i taki sam obstałowała u stolarza pod lasem. Po kilku dniach wręczyła mi nowiutki, pachnący jeszcze żywicą, wymarzony „raniec” z przykrywką na zawiasach, aby mi książki nie zamokły w czasie deszczu. Stolarz dodał jeszcze „kańcik”\*. Ojciec przymocował do „rańca” odpowiednie sznurki, abym miał możliwość noszenia swoich „skarbów” na plecach. Chodziłem, biegałem, skakałem i cieszyłem się, jak w takt chodu kłapała przykrywka na tornistrze. Teraz już miałem wszystko w należyтым porządku i nic mi nie ginęło.

## **Przygoda z butami**

Do szkoły i kościoła z Bęczyna musieliśmy przechodzić i przejeżdżać przez przedmieście Rankowskie, położone wzdłuż łąki. Jesienią, na wiosnę, a czasem w czasie odwilży i w zimie musieliśmy brnąć po błocie, sięgającym niemal do kolan. Staraliśmy się ominąć błoto, idąc poza stodołami lub po

\* Listewka do rysowania linii (por. s. 71/72) – przyp red.

łące (ale tu znowu była woda). Można było iść po błoniu wzdłuż rzeczki lub znacznie dłuższą drogą po znacznie mniejszym błocie przez ulicę Wodną.

Nasz pan bardzo się gniewał, że do klasy wchodzimy w swoich buciorach umazanych błotem. Chcieliśmy uniknąć jego i naszej przykrości, myjąc buty przy młynie w rzece lub przy pompie na środku rynku. Ponieważ amatorów do mycia przy pompie było zawsze dużo i trzeba było długo czekać na swoją kolejkę, więc wygodniej było myć buty przy młynie.

Tu myło już kilku chłopców, więc ja pobiegłem z górki i wskoczyłem do wody przy samym brzegu. Trafiłem na grząski grunt i zapadłem się po kolana w tej grząskiej mazi. Na razie wszyscy się śmiali, nie wyłączając mnie. Umyłem górne części cholew moich butów i chciałem wyjść na płytsze miejsce. Staram się wyciągnąć jedną nogę, potem drugą, ale nie mogę tego uczynić. Chłopcy, przychyleni, śmieją się, trzymając się za brzuchy. A ja zamiast wyciągnąć nogi, to jeszcze bardziej grzęznę w tym błocie. Tu mój śmiech obrócił się w płacz. Chłopcy uspokoili się, podali mi rękę. Ja wylazłem, ale nowy kłopot, bo wyciągnęli mnie z gołymi nogami. Buty zostały w błocie, tylko trochę górne części chwieją się nad wodą z błotem. Antek Krasiński uchwycił buta za ucho i ciągnie, a inni trzymają go za palto, aby i on nie wpakował się w tą maź. Po chwili wyciągnął drugi but.

Oddał mi buty pełne błota. Wylałem zawartość, zaczerpnąłem czystej wody i wypłukałem, cały czas stojąc boso na zimnej, mokrej ziemi. Wypłukałem onuce i nałożyłem na mokre, świeżo umyte nogi. W takim stanie poszedłem do szkoły. Początkowo było mi bardzo zimno, ale w ciepłej izbie szkolnej nagrzałem się. Do wieczora nogi, onuce i buty wyschły. Nawet kataru nie dostałem.

## „Akrobata” Franek

Wracamy ze szkoły całą gromadą, zatrzymujemy się na moście przerzuconym nad małym strumykiem, nachylamy się, obserwując bieg czystej wody, trzymając się bariery. Ten i ów z kolegów stara się sąsiadowi strącić czapkę do wody. Odważniejszy z chłopców chwytą się rękami i nogami poręczy mostu, zawiesza się nad wodą i jakiś czas wisi na wysokości około 5 metrów. Franek Gozdalski twierdzi, że on w tej pozycji będzie wisiał najdłużej. Z ciekawością obserwujemy go, czekając na wynik.

W pewnym momencie otworzyła się kłapa jego „rańca” i do wody zaczęły wypadać książki. Franek trzyma się jedną, prawą, ręką poręczy, a drugą ręką, lewą, stara się, aby mu nie wypadła reszta książek. Prawa ręka nie wytrzymuje ciężaru ciała, rozluźniają się palce i Franek, nie zdążywszy krzyknąć „Och”, ciapnął z wysokości 5 metrów do wody. Wszyscy wybuchliśmy głośnym śmiechem.

Frankowi nic się nie stało. Zamoczony od stóp do głowy, podjął pływającą czapkę i książki, wydostał się z płytkiej wody na most jak niepyszny.



Zmoczony, umazany błotem, pobiegł sam do domu. Zamiast współczucia ze strony kolegów dłuższy czas słuchał jak wołaliśmy: „Franek, wróć się i jeszcze raz zrób to przedstawienie”.

## Wielkanoc

Nawet nie spostrzegliśmy się, kiedy nadszedł okres Świąt Wielkanocnych.

Wieczorem, o zmroku razem z kolegami w Wielki Czwartek, zaopatrzywszy się w dużą butelkę, udaliśmy się do kaplicy św. Otylii po wodę. Nieduża drewniana kaplica jest zbudowana na stoku góry, spod której wytryska czysta, zimna woda w kilku źródłach. Odwiecznym zwyczajem w ciemną noc ludzie czerpią wodę, piją ją, choć im się pić nie chce, obmywają twarz, wierząc, że tym sposobem zaasekurują się przed chorobą oczną. Tę wodę święcą w Wielką Sobotę przed poświęceniem ognia na cmentarzu przed kościołem. Młodzież i podrastające dzieci więcej interesuje pobyt w taką porę dnia w lesie niż woda.

Jedna grupa przy ognisku śpiewa, żartuje. Chłopcy skaczą przez płomienie ogniska. Inna bawi się w chowanego, reszta biega po lesie, pohukuje. Wracamy grupkami z wodą do domu.

W piątek obowiązuje ścisły post – nabożeństwa w kościele tak, jak we wszystkich kościołach. Wielka Sobota: wczesnym rankiem nabożeństwo, palenie przed kościołem stosu tarniny, poświęcenie ognia i wody. Każdy chce sobie dolać święconej wody z balii. Ścisk, tłok, stukanie butelek, gwar.

Chłopcy robią sikawki z okrągłego palika, przygotowują się do oblewania wodą dziewczyn w drugim dniu świąt. Kobiety przygotowują posiłek na święta, a mężczyźni robią zapasy paszy dla bydła i koni. Dzieci same, a czasem z matkami, dążą do kościoła z koszyczkami wypełnionymi jajkami, kiełbasą, szczyptą soli i małej ilości tartego chrzanu.

Przed wschodem słońca wyruszamy na rezurekcję. W domu została tylko babcia, aby dopilnować gospodarstwa i przygotować święcone. Po skończonym nabożeństwie szybko wracamy do domu, gdyż poranek jest chłodny, a co ważniejsze jesteśmy głodni.

Siadamy do przygotowanego stołu i zaczynamy po siedmiogodniowym poście z wilczym apetytem spożywać święcone, składające się ze specjalnego barszczu ze śmietaną, przyprawionego chrzanem, jajkami i drobno pokrajaną kiełbasą. W pośpiechu jemy smakowite pożywienie ze wspólnej dużej miski. Na zakończenie dostajemy po kubku mlecznej kawy, zakąszając kromkami świeżej, białozółtej wielkanocnej babki.

W drugim dniu świąt po nabożeństwie chłopcy nie czekają na *ite missa est*, wybiegają z kościoła, pędzą w oszalałym biegu 2 wiorsty do domu, aby oblewać dziewczynki, a nawet i starsze niewiasty, wracające z kościoła wodą ze swoich drewnianych sikawek.

Wzajemne oblewanie się wodą, bo i dziewczyny włączyły się do tego zwyczaju, trwa do późnego wieczoru. Dziewczyny pamiętają, od którego

kawalera mają się upominać o pierścionek w czasie wielkiego odpustu w dzień Zielonych Świątek za najbardziej obfite zlanie wodą.

## **Koniec pierwszego roku szkolnego**

Słońce grzeje coraz mocniej. Drzewa i krzewy okryły się świeżymi zielonymi liśćmi i kwiatami. Zazieleniły się również ugory, drogi, nieużytki. Gospodarze zaczynają wypędzać z obór swoje krowy stęsknione świeżej zielonej paszy. Czas i na mnie. Ojciec przypomniał mi o moim obowiązku. Złożyłem swoje przybory do rańca i wyniosłem na strych, aby mi nic nie zginęło i nie przeszkadzało w domu.

Nie czekając zakończenia roku szkolnego, do szkoły już nie poszedłem. A czego się nauczyłem przez te miesiące? Naukę z języka polskiego opanowałem tak, że w każdej polskiej książce mogłem bez żadnej pomocy przeczytać dowolnie wybrany tekst. Na swojej tabliczce umiałem pisać, ale czy ortograficznie, to stwierdzić trudno. Z arytmetyki opanowałem pisanie cyfr i cztery działania w zakresie 10. W języku rosyjskim umiałem powoli przeczytać i napisać łatwiejsze wyrazy. Jednym słowem, nie straciłem w szkole pięciomiesięcznego czasu. W szkole do końca roku szkolnego wytrwali tylko ci uczniowie, którzy nie mieli co robić w domu lub ci, którzy mieli zamiar dalej się uczyć.

## **Moje pierwsze wakacje**

Moje pierwsze wakacje były bardzo prozaiczne. Pasłem krowy od samego rana, a po parugodzinnej przerwie, która była wypełniona bawieniem Antosia, znów pasłem do samego wieczora. Monotonia ta bardzo mnie męczyła i nudziła. Ponieważ za „piorunowym dołem” nie było łubinu, tylko falowało pięknie wyrosłe żyto, więc musiałem paść krowy na powrozach uczeplonych do rogów krów na drogach, miedzach i różnych nieużytkach.

Na tych skąpych w trawę pastwiskach krowy nie mogły należycie się najeść, więc z konieczności należało je dokarmiać w oborze różnymi chwastami wyrwanymi w zbożu, a najwięcej w kartoflach. Łaziłem po polu i zbierałem do płachty przewieszanej przez ramię paszę dla krów. Taka praca ciągnęła się całymi tygodniami aż do żniw. Po zbiorze zboża krowy wolno chodziły po ściernisku i wyskubywały sobie jedzenie.

Wieczorami w maju śpiewaliśmy nabożne pieśni przy kaplicy przydrożnej na Bęczynie. Z wielką niecierpliwością liczyłem dni, które nas dzieliły od wielkiego odpustu na Zielone Świąta.

W sobotę po południu z każdej chałupy wybiegały dzieci. Jedne były starsze ode mnie, inne nieco młodsze. Starsi chłopcy, zakasawszy nogawki u spodni, łazili po mokradłach jak bociany pomiędzy trzcinami i szuwarami,

omijając turzycę, która kaleczyła boleśnie, do krwi, jak ostrym nożem. Co pewien czas słyhać było, prócz bulgotania wody z błotem w takt posuwania się naprzód chłopca, wołanie: „Władek, chodź tutaj. Znalazłem kępę lepiechu”. Znacznie później dowiedziałem się, że „lepiech” to nic innego jak tatarak. Zbliżyłem się do tego „szczęśliwca”, choć nie byłem wołany. Zauważyłem jak obaj chłopcy pospiesznie zrywają liście, chowając je pod pachę. Nie chciałem im przeszkadzać, bo i ja znalazłem podobne. Nie omieszkalem pochwalić się tym Władowi. Ten wziął ode mnie jedną łodygę, popatrzył się na mnie z politowaniem, powąchał kłaczę i powiedział: „Oj ty głuptasie, głuptasie. Przypatrz się dobrze mojej łodydze i swojej, powąchaj jedną i drugą”. Pospiesznie to uczyniłem. Spozstrzegłem, że liście różnią się kolorem, a co najważniejsze, liść Władka pięknie pachnie, a mój obrzydliwie śmierdzi. „To, co ty zerwałeś to nie żaden lepiech, a pałka”. Skonsternowany rzuciłem w trawę ten nieprzydatny na Zielone Świąta „towa”. Niechętnym okiem spojrzalem na kępę pałek z dużymi, długimi liśćmi, spomiędzy których strzelała do góry okrągła mocna łodyga zakończona u góry watowatego pędu o długości 10 centymetrów kolbą owocnika. W krótkim czasie znalazłem kilka kępek upragnionego lepiechu. Skrętnie zerwałem liście. Ze sporym pękiem pod pachą wróciłem do domu pospiesznie, gdyż musiałem z ostrym nożem iść do lasu po zielone grabowe gałęzie do „umajenia” słupów na podcieniu naszego domu. Z ucinaniem gałęzi miałem dużo kłopotu, gdyż jak wiadomo drzewo grabowe jest twarde. Po dłuższym trudzie skompletowałem duży pęk gałęzi. Przyciągnąłem je do domu i umocowałem przy słupkach. Cieszyłem się, że tak ładnie umaiłem swój dom zielenią drzew i tatarakiem porzuconym na podłodze.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku po kolacji poszedłem do stodoły, aby dobrze się wyspać. Rano spostrzegłem, że to upiększenie było wątpliwej estetycznej wartości. Liście bowiem powiędły, a na wierzchu widać było zakurzone i zabłocone od ciągnięcia po ziemi brudne gałęzie.

Lepiej przedstawiała się sprawa z tatarakiem w mieszkaniu. Siostra razem z matką część tataraku włożyły do wody w słoiku, a część pozatykały za obrazy, które w dużej liczbie zawieszono były na trzech ścianach. Najbardziej utkwił mi w pamięci obraz przedstawiający św. Marcina – rycerza, który podzielił się swym płaszczem z żebrakiem.

## **Doroczny odpust w Urzędowie**

W pierwszym dniu Zielonych Świątek, wcześniej niż to czyniłem w inne dni, poprowadziłem na powrozech krowy na ugór pod wierzbami. Tam rosło dużo trawy, której przezornie nie wypasałem przez kilka dni, rezerwując to miejsce na święto, aby krowy możliwie szybko się nasyciły. Ojca trochę zdziwiło, że po paru godzinach krowy uwiązałem przy żłobach w oborze. Widząc, że krowy mają brzuchy dobrze wypełnione trawą, nie robił mi żadnych wymówek.

Prędko przystąpiłem do przebierania się w świąteczny przyodziewek. Dużo miałem kłopotu z butami przyniesionymi ze strychu. Były bowiem bardzo wyschnięte, twarde, gdyż przez dwa miesiące nie były używane. Chodziłem przez ten czas bosy, bo jakżeż miało być inaczej – przecież to było lato. Wszyscy chodziliśmy na bosaka w lecie, a nawet i jesienią.

Dostaliśmy od matki (ja i siostra) po 20 kopiejek (40 groszy) na swoje wydatki w czasie odpustu. Z dokonaniem zakupu nie spieszyłem się. Przez całą długość rynku ciągnęły się po obu stronach kramy. Przeszedłem wzdłuż po jednej stronie, a potem po drugiej. Kramy były obficie zaopatrzone w różne rzeczy. Najwięcej było zabawek dla dziewczyn: lalki, korale, broszki, pierścionki, kogutki itd., dla chłopców zaś: pistolety, organki, fujarki itp. Były też kramy z materiałami piśmiennymi i książkami do nabożeństwa, śpiewniki, kalendaryze, „senniki egipskie” i inne książki beletrystyczne, chętnie kupowane przez chłopów z okolicznych wsi. Cały rynek z przyległymi uliczkami, place przed kościołem, cmentarz kościelny i wały były okupowane przez tłumy ludzi. Do kościoła trudno się było dostać. Wspaniały mieszany chór pod kierownictwem organisty M. Kotlińskiego i orkiestra uświetniały nabożeństwo celebrowane przez miejscowego proboszcza księdza Klubeckiego.

Po nabożeństwie kupiłem sobie praktyczną i niełatwo psującą się zabawkę – dłuższą fujarkę za 8 kopiejek. Siostra kupiła sobie „złotą” (tombakową) broszkę za kilkanaście kopiejek.

Obiad. Po niesporach spotkałem się ze swoimi szkolnymi kolegami i razem w całej grupie łaziliśmy po wszystkich zakamarkach do samego wieczora.

Poniedziałek jest właściwym dniem odpustowym. W tym dniu uroczyste obchodzone jest święto św. Otylii, patronki parafii. Ona to, jak głosi legenda, ukazała się na pniu starej, złamanej przez burzę lipy na urwistym brzegu łąki i lasu, skąd tryska z ziemi kilka źródeł z bardzo czystą, zimną wodą. Tu przychodzą w ten dzień z dala przybyli pątnicy, aby się pomodlić, umyć twarz, a szczególnie oczy, i napić się w dzień upalny wody, wierząc, że to im zapewni zdrowie na długie lata. Ludzie kolejno wchodzili do kaplicy z butelkami na wodę. W kaplicy w podłodze był otwór, przez który dziadek Fronczek, zamieszkały w domu dla starych, opuszczonych ludzi, czerpał wiaderkiem umocowanym na końcu linki, przerzuconej przez blok, wodę. Kubkiem nalewał wodę do podstawionych przez pątników butelek. Pątnicy w zamian rzucali na tacę, umieszczoną na małym ołtarzyku, drobne miedziaki.

Od wczesnego rana ciągną z całej okolicy tłumy ludzi od strony Dzierzkowic przez ulicę Wodną, przez Bęczyn od strony Boisk i Chrusłanek, przez Rankowskie przedmieście z Józefowa przez Boby, Moniaki, przez Mikuszewskie od strony Chodla i Opoła, przez Zakościelne od strony Skorczyc i Popkowic, przez Wodną od strony Kraśnika. Tymi samymi szlakami zdążają kompanie pątników z krzyżem i chorągwiami na przedzie. Na spotkanie każdej kompanii wychodzi z kościoła urzędowski grupa ludzi z krzyżem, chorągwiami, z miejscowym księdzem na czele. Prócz pieszych dużo ludzi przyjeżdżało

furmankami. Strażacy regulują ruchem konnym, kierując furmanki na błonia i ustawiając je w rzędy.

Solenne nabożeństwo odprawił ksiądz dziekan z Kraśnika. Trwało ono dość długo ze względu na udział chóru i orkiestry. Większość ludzi brała udział we mszy na cmentarzu przykościelnym, na placach koło kościoła i na wałach (pozostałość po dawnej fortyfikacji).

Po skończonym nabożeństwie na bardzo wysokim ganku kościelnym koncertowała dęta orkiestra. Do środka miasteczka strażacy wpuszczali tylko uprzywilejowanych: dziedzica z Moniak Zembrzuskiego, z Popkowic Piaseckiego, ze Skorzyc Hempla i wielu innych, których nie znałem.

W kilka godzin po nabożeństwie i zakupie upominków dla dzieci pozostawionych w domu, posileniu się, formowały się kompanie do powrotu do domów. Ustawiały się grupami w zależności od kierunku swojej powrotnej drogi. Każda taka grupa ze śpiewem w towarzystwie grającej orkiestry wracała do swojej parafii.

Dla uzupełnienia należy dodać, że dużo ściągnęło żebraków obojga płci z okolicznych osiedli, oddalonych niekiedy o kilkanaście wiorst, a nawet z Lublina. Oni śpieszyli od tygodnia na odpust, jak do Mekki, na intratny finansowy interes. Rozlokowali się dwoma szpalerami przed kościołem, a spóźnieni lub bardziej przewidujący „zarobek” okupowali kaplice i krzyże okalające Urzędów. Jedni śpiewali nabożnie pieśni „solo”, inni pomagali sobie instrumentami muzycznymi, ale wszyscy celowo, dla wzbudzenia litości przechodniów, obnażali swoje ułomności fizyczne. Na zakończenie „odpustu” można było zauważyć na zboczach grobli, jak obficie zakrapiali wódką udaną transakcję finansową w towarzystwie podchmielonych bab. Tu milkły śpiewy i grania, a rozlegało się chrapliwe rechotanie i pokrzykiwanie rozbawionego towarzystwa.

„Odpust” był też pretekstem do spotkania się kawalerów z pannami, nawiązania towarzyskich znajomości. Niektóre panny upominały się o pierścionek od kawalerów, którzy obficie oblali je wodą w czasie Świąt Wielkanocnych.

Z nastaniem zmierzchu rynek stopniowo wyludniał się. Pozostały kramy i miejscowa ludność. Ale i kramarze składali w paczki niesprzedany towar, przygotowując się do powrotu do swoich domów, zadowoleni z dobrych obrotów handlowych. We wtorek urzędowiaci mieli dużo roboty ze sprzętaniem śmieci.

## **Kłopoty gospodarskie**

Lipiec 1903 roku był bardzo upalny, suchy. Każdego dnia chodziłem do rzeki kąpać się. Baraszkowałem razem z chłopcami w wodzie. Zanurzaliśmy się nawzajem i cieszyli z tego, jak delikwent wynurzywszy się z wody nie mógł tchu złapać, zataczał się, kręcąc głową jak pijany.

A ile było uciechy, gdy Brożek przyprowadził parę koni do wody. Jedni chłopcy siadali na konie, inni prowadzili konie na głęboką wodę, obserwowali jak konie pływają, trzymając swe głowy nad powierzchnią wody. Inni chłopcy, trzymając się końskich ogonów, próbują sztuki pływania. Mało brakowało, a byłbym się utopił, puściwszy ogon koński, bo pływać nie umiałem. Przebierałem rękami i nogami, naśladując płynącego psa. Dzięki tym ruchom wydostałem się z głębiny wody na mieliznę. Brożek, skończywszy pławienie koni, odjechał do domu. Czas i na mnie. Mama się gniewa za spóźnienie się na obiad.

Biegąc do domu, usłyszeliśmy za lasem nad Dzierzkowicami głucho, przeciągłe grzmoty. Nad lasem przeciągała czarnopłowa chmura. Błyskawice raz po raz zygzakiem przecinały chmurę. Pioruny były w najwyższe drzewa. Upadły pierwsze krople, kiedy wpadłem z impetem do sieni. Ciemno, pioruny, błyskawice, silna burza zapanowała na świecie. Żywieły opętały świat. Burza zrywa strzeszaki z dachu i niesie w powietrzu na dalekie odległości, przewraca płoty, łamie gałęzie w sadzie. Duża gałąź z jabłkami („psie głowy”) toczy się po ulicy, tarasuje wejście do domu. Struchlałe dzieci wyglądają oknem i zaczynają szlochać. Rozlega się szum, grzechot gradu po szybach. Wyleciały dwie szyby z okna; grad z deszczem wpadają razem ze szkłem do mieszkania. Matka zakrywa otwory okienne jaškami.

Nasilenie burzy słabnie. Widzimy przez uchylone drzwi podwórze zasypane gradem wielkości gołębiego jajka, połamane gałęzie i przybite do ziemi lodygi kwiatów w ogrodzie. Burza uspokoiła się. Słychać jeszcze oddalające się grzmoty. Pokazało się słońce. Powietrze czyste, chłodne owiało nasze strwożone twarze.

Gospodarze z żonami i dziećmi idą w pole obejrzeć skutki tej nieoczekiwanej burzy. Zaraz za stodołą widzimy powalone i pocięte na kawałki lodygi tak niedawno pięknego zboża. Ojciec nachyla się i podnosi pęki zniszczonego zboża ze łzami w oczach i zastanawia się, co będziemy jeść przez rok.

W miarę oddalania się od domu twarz ojca rozjaśnia się, gdyż w drugim, oddalonym końcu pola zboże ocalało. Widmo głodu ludzi i zwierząt przestało nękać naszego kochanego i nadzwyczaj pracowitego ojca – głowy rodziny. Matka nie brała udziału w oglądaniu poniesionej szkody w zasiewach; z powodu zaawansowanej ciąży została z babcią w domu i tego gospodarskiego ubytku nie widziała.

Zniszczone zasiewy ojciec zaorał i posiał jeszcze owies z gryką na paszę dla inwentarza żywego. Chleba wystarczyło nam na cały rok. Głodu nie zaznaliśmy.

## **Powitanie drugiego braciszka**

14 sierpnia 1903 roku. Przyprowadziłem krowy z pastwiska, napoiłem przy studni koło ogrodu Ignacego Surdackiego i uwiązałem przy żłobach.



Przyszła babcia ze skopkiem doić krowy. Wtem przybiega siostra, Frozyna, i woła: „Chodź babciu prędko do domu, bo mama czegoś płacze i chce, abyś zaraz przyszła”. Babcia ze łzami w oczach odpowiada: „Wiem, wiem czego matka płacze. Zostań tutaj i z Domisem pościelcie słomy pod krowami, bo mają mokro, a ja już lecę”. Po wypełnieniu polecenia chcieliśmy we dwoje wejść do mieszkania. Babcia nie pozwoliła. Do mieszkania wejdziemy wtedy, gdy nas zawoła. Płataliśmy się po podwórzu, ale żadna robota, ani zabawa nam nie wychodziła. Siostra zaczęła doić krowy, dawszy im po naręczu zebranych w kartoflach chwastów. Ja stałem obok i dorzucałem paszy, aby krowa zajęta jedzeniem nie kopnęła i nie wylała ze skopka już udojonego mleka. Praca ta siostrze ze względu na młody wiek szła niezdarnie, ale jak mogła, tak wydoiła. Mleko postawiła na stopniu schodów. Ja, wykorzystując wolny czas, udałem się do ogrodu przed domem na maliny.

O zmroku podeszła do mnie Frozyna i oznajmiła, że do mieszkania można już wejść. Na środku izby stała babka-położna Gozdalska z dzieckiem na rękę owiniętym pieluszkami i przewiązany trokiem na sztywno, aby dziecko rosło prosto i nie miało krzywych nóg. Powiedziała do mnie: „Przywitaj małego braciszka. No, podejdź bliżej, pocałuj go w czoło”. Machinalnie pocałowałem nowo przybyłego brata w czerwone czoło bez specjalnego zainteresowania jego osobą. Na drugi dzień odbył się chrzest Stefana, drugiego brata, a czwartego dziecka naszych rodziców. Po kilku dniach matka wstała z łóżka, zaczęła powoli chodzić i karmić maleństwo. Tak oto przybył nowy „źniwiarz” w samą porę, bo źniwa zaczęły się już na dobre.

## **Drugi rok nauki. Oddział I**

Szybko minęły źniwa, a za nimi kopanie kartofli. W pierwszych dniach października poszedłem do szkoły. Skierowałem swe kroki prosto na zeszłoroczne miejsce w ławce. Otoczyli mnie koledzy. Franek Krasieński z Gór powiedział mi, że się pomyliłem, bo to jest miejsce dla wstępniaków, a ja już jestem w I oddziale. Wkrótce wszedł do szkoły nauczyciel i wskazał mi nowe miejsce.

W pierwszym dniu posługiwałem się jeszcze swoją łupkową tabliczką i rysikiem. Nauczyciel oznajmił nam, że u niego można jutro kupić nowe książki do języka polskiego, języka rosyjskiego, do nauki religii Starego i Nowego Testamentu oraz „zadacznik” do nauki rachunków. Natomiast zeszyty i ołówek trzeba kupić w sklepie.

Zaopatrzwszy się w pieniądze, kupiłem wymienione książki za okrągłą sumę 1 rubla 70 kopiejek. Zamiast zeszytów kupiłem 5 arkuszy czystego papieru i ołówek za 7 kopiejek (14 groszy). Pierwsze pisanie ołówkiem na papierze bez żadnych linii wyglądało nienadzwyczajnie. Mój nowy sąsiad doradził mi, abym zdobył „kańcik” (linijka długości 20 centymetrów, o kwa-

dratowym przekroju) do liniowania papieru, aby nie dopuścić do ucieczki wyrazów od linii poziomej. Tego samego dnia znajomy stolarz sporządził mi żądany przybór do lepszego pisania. Teraz zaczęła się systematyczna nauka na nowych książkach. Nauczyciel więcej uważał na naszą naukę, niż to było ubiegłej zimy. Metoda była prosta. Pan zadawał nam teksty do wyuczenia się bez żadnych objaśnień, ale skrupulatnie żądał dobrej odpowiedzi. Nowością był fakt, że nauczyciel do nauki śpiewu przygrywał nam na skrzypcach. Och, jakbym chciał mieć takie skrzypce i umieć na nich grać jak nauczyciel.

Niektórzy uczniowie, czy to z powodu braku słuchu, czy niedbalstwa fałszowali melodię. Nauczyciel poprawił kilka razy, a jeżeli to nie pomagało, użył do pomocy smyczka zamiast linijki. Piosenkę „*Soldatiki druzja mołodyje*” powtarzaliśmy przez parę tygodni do znudzenia. Piosenka była długa, a nauczyciel żądał dokładnego i sprawnego śpiewania.

Byli i tacy uczniowie, którzy czy nie mogli, czy nie chcieli wyuczyć się tekstu z książki do religii. Na lekcji uczniowie mieli recytować tekst po polsku, ale nauczyciel nie odezwał się po polsku ani słowem.

Wskazał linią ucznia, a ten „wydawał” lekcję. Jeżeli się zatrzymał, zająknął, namyślał, nauczyciel krótko się rozprawił z nim powiedzeniem: „*Na koleni*”. Uczeń wychodził z ławki z książką i klękał na kolanach przed piecem. Często się zdarzało, że takich delikwentów zebrało się około dziesiątki. Każdy z nich musiał się douczyć, czego nie zrobił w domu.

W czasie następnej lekcji religii znów tych samych pytał lekcji bieżącej i poprzedniej. W razie powtórzenia się nieznamości materiału znów to samo „*Na koleni*”, ale uczeń ten, recydywista, musiał prócz tego klęczeć przez całą przerwę. Chyba największą karą było to, że do ubikacji mógł pójść dopiero po drugiej godzinie. Ta średniowieczna metoda trochę pomagała, bo okupacja pieca znacznie zmalała.

Przyszła kolej na moją recytację, którą wygłosiłem głośno „jednym tchem”, bez zająknięcia. Nauczyciel, spojrzawszy na mnie, lekko uśmiechnął się. Jakże ja wtedy byłem szczęśliwy! Dziś nie pamiętam, ale zdaje mi się, że więcej nauczyciel nie pytał mnie do końca roku. Na lekcji języka rosyjskiego, języka polskiego i arytmetyki zawsze odpowiadałem płynnie i głośno, na co nauczyciel zwracał dużą uwagę.

Jednak nie obeszło się bez potknięć. Na cichej lekcji rysunków, pomimo używania zeszytu w dużą kratę i kańcika, pomyliłem się w rysowaniu. Należało błędne kreski wytrzeć gumą i narysować rysunek zgodnie ze wzorem. Nie mogę znaleźć gumy ani w tornistrze, ani w kieszeni. Zdenerwowany, szepcąc mówię do kolegi: „*Daj rezinę*” („*Daj gumkę*”). W tym momencie uczułem mocne stuknięcie w czoło. Przyłożyłem rękę na stuknięte miejsce i słyszę, jak coś upadło białego na ławkę i stoczyło się na podłogę. Kreda. Spojrzałem na nauczyciela, który przerwał odpytywanie ucznia IV oddziału, a ten spokojnie mówi: „*Wot tiebie rezina*” („*Oto masz gumkę*”). Łzy mi stanęły w oczach. Tak, tak, do płaczu to ja zawsze byłem „skory”. No, lekcje odbywają się cicho, spokojnie, jak gdyby nic się nie stało.

## **Drugi płacz mojej matki**

Mama z babcią siedzą pod piecem i skubią pierze. Izba słabo oświetlona naftową lampą stojącą na „kapie” kuchni.

Stałem za plecami kobiet na ławie z książką polską, chcąc się popisać płynnym czytaniem i zrobić pracującym przyjemność, zacząłem głośno czytać. Po pewnej chwili spojrzałem na matkę, która fartuchem wyciera lzy płynące obficie po twarzy. Wstała, podeszła do okna i dalej płacze. Babcia spojrzała na mnie i na matkę i nie wie, jaka jest przyczyna nagłego, niczym nie spowodowanego płaczu. I ja do dnia dzisiejszego nie wiem. Przecież swoim czytaniem starałem się uprzyjemnić tę nudną pracę, a nie sprawiać komuś przykrość. Czy treść czytanki, czy mój sposób czytania, czy może przypomniały się matce jakieś kłopoty i przejścia rodzinne, a może przeczuwała w perspektywicznym obrazie moje przyszłe kłopoty i trudne życie. Nic nie wiem.

Na dzień duszy pozostała jakaś „zadra”, która w swoim czasie zrobi mi przykrość i wywoła żal do matki-natury, która spowodowała wybryk przed moim urodzeniem. Bo czym można wytłumaczyć, że z natury byłem nieśmiały, niezaradny, a musiałem z wielkim trudem pokonywać przeszkody, piętrzące się na każdym kroku mego życia.

## **Tragiczna śmierć mojej matki**

Całym szczęściem było to, że chciałem się uczyć. Chętnie biegłem 2 wiorsty do szkoły, w której czułem się dobrze. Naukę traktowałem poważnie. W czasie przerwy bawilem się z kolegami, dużo biegałem, aby wyładować energię, a potem zasiąść w ławce i brać czynny udział w lekcji.

17 marca 1904 roku „szalałem” na wałach w czasie obiadowej dużej przerwy, jak nigdy przedtem. Po skończonej nauce szybko szedłem do domu, śpiesząc się na obiad, bo po skąpym śniadaniu do godziny 3 byłem głodny. W połowie drogi do domu na Bęczynie spotkałem dwie kobiety z Bęczyna, zdążające naprzeciwko do „miasta”. Na chwilę zatrzymały się i powiedziały, abym szedł do domu prędzej, bo matka nie żyje. W pierwszej chwili nie mogłem ruszyć z miejsca z przerażenia. Teraz już nie szedłem, a biegłem do domu.

W izbie zastałem gromadę milczących ludzi, a między nimi rosyjskiego policjanta, który pomógł mi zdjąć z pleców tornister. Policjant załatwiał swoje sprawy służbowe u sołtysa Benedykta Bogusławskiego. Widząc gromadę ludzi przed naszym domem, zaintrygowany przyłączył się do nich i trafił na moment przenoszenia matki ze stodoły do domu. Wszedł do mieszkania, chcąc zobaczyć zmarłą. Na ten moment ja wróciłem ze szkoły.

Na łóżku leżała martwa matka, nakryta białym prześcieradłem. Za chwilę wszedł ojciec i odsłonił prześcieradło. Wybuchnąłem płaczem, widząc tak smutny i niezapomniany obraz.

Babcia podała mi obiad, który jadłem zakrapiając obfitymi, gorzkimi łzami. Zebrani ludzie, w większości kobiety, opuścili mieszkanie. Pozostaliśmy sami: ja, ojciec, babcia, Frozyna, Antoś i ośmiomiesięczny Stefan w kołysce. Wtedy ojciec z babcią zaczęli opowiadać o tym nieszczęściu. Ojciec z matką różnili na sieczkarni sieczkę dla bydła i koni. Przerwali pracę, udając się na obiad. Po obiedzie matka poszła do stodoły, aby przygotować koniczynę do zaprawienia sieczki, a ojciec wyszedł na drogę zapalić papierosa. Po wypaleniu udał się do stodoły i tam zastał matkę nieżywą.

Nazajutrz, 18 marca 1904 roku, odbył się pogrzeb. Tak więc zostało nas czworo pólserot, staruszka babcia i ojciec niezaradny z powodu swojej głuchoty. Największy kłopot był ze Stefanem. Kto będzie wychowywał ośmiomiesięczne dziecko? Przyszła nam z pomocą stryjenka, żona Józefa, którzy mieszkali obok, oddzieleni tylko ulicą. Wzięła więc najmłodszego Stefcia do swego domu. Karmiła go kaszką na mleku, prała pieluski i otaczała troskliwą matczyną opieką. Dzięki pomocy i ofiarnej pracy stryjenki chłopiec wychował się zdrowo. Wychowywała go półtora roku, a potem wrócił do swego domu.

To nieszczęście ujemnie wpłynęło na mój późniejszy charakter. Byłem smutny, milczący, zamknięty, mało towarzyski.

## **Końcowe tygodnie mojej edukacji w szkole ludowej**

Po przejrzeniu naszych prac pisanych ołówkiem nauczyciel oznajmił, że od jutra będziemy pisać normalnym atramentem. Zaopatrzyliśmy się w potrzebne pomoce u znanego Żyda Abramka (nazwisk Żydów nie znaleźliśmy). Miał sporo kłopotu z nalewaniem atramentu do naszych kałamarzy. Więcej atramentu wylało się na podłogę niż do podstawianych buteleczek.

W pierwszych dniach pisaliśmy nienadzwyczajnie. Stalówka oprawiona w „ruczkę” (obsadkę) drewnianą kręciła się na wszystkie strony w „niemrawych” palcach naszych rąk. Pełno było kleksów w zeszytach, książkach, nie mówiąc już o palcach wysmarowanych atramentem. Miałem poważne zmartwienie, gdyż jakiś łobuziak połamał mi nowo kupioną obsadkę i rzucił ją na podłogę. Nauczyciel rzadko reagował na nasze żale. Miał bowiem ważniejsze swoje sprawy: spodziewał się wizytacji inspektora szkolnego z Janowa Lubelskiego (miasto powiatowe). Zabrał się ostro do pracy. Sprawdzał często technikę czytania głównie z książki rosyjskiej, ale i o polskim czytaniu pamiętał.

Najwięcej mieliśmy kłopotu z tabliczką mnożenia. Zadawał duże porcje materiału, a potem żądał szybkiej, trafnej i głośniejszej odpowiedzi. Błędy poprawiał wypróbowaną metodą – liniałem. Co raz słyhać było: „Daj łapu”, trzask w dłoń i syknięcie nieuka. W czasie przerwy tu i ówdzie chłopcy (dziewczynek nie bił linią) pokazywali sobie nawzajem popuchnięte dłonie. Po kilkunastu lekcjach prawie wszyscy uczniowie umieli tabliczkę mnożenia po kolei i na wrywki.

Teraz pozostała sprawa utrwalenia i zmechanizowania odpowiedzi. Początkowo wezwany uczeń odpowiadał na wezwanie nauczyciela: „Siem raz wosiem (7×8) = piat’dziesiat szest’ (56)” itd., a potem skracał pytanie: „Siem u wosiem” (7×8). Uczeń musiał natychmiast odpowiedzieć „56”. W razie błędnej odpowiedzi „sakramentalne”: „Łapu” – trzask i syk, i dawaj drugiego itd. To była mechanizacja.

Drugim tematem wizytacji była odpowiedź na pytanie: „Kto u nas car?” („Kto jest obecnie carem?”). Odpowiedź: „Jewo impieratorskoje wieliczesstwo Nikolaј wtoroj Aleksandrowicz samodierżec wsiej Rossii”. I tak ta nauka trwała pod rząd kilka dni. Nawet najgorszy uczeń musiał głośno, wyraźnie wyrecytować, bo inaczej: „Łapu”.

## Galówki

Przez cały rok na kilka dni przed rocznicą urodzin jakiegoś członka rodziny cara było uczenie: „Jewo...” itd. Przed zakończeniem roku szkolnego musieliśmy umieć tytułować nie tylko cara, ale i jego nieżyjącego ojca, matkę, żonę i następcę tronu Aleksieja.

Dzień urodzin żyjącego członka rodziny cara był wolny od nauki. Urzędy były nieczynne. Domy, a szczególnie siedziby urzędów i szkół, były udekorowane flagami państwowymi (biało-czerwono-niebieskie). We wszystkich kościołach, cerkwiach i domach modlitwy prócz modlitw liturgicznych musiała być śpiewana lub mówiona modlitwa za cara lub członka jego rodziny.

## Wizytacja

Przewidywania nauczyciela sprawdziły się. W pierwszej połowie maja przybiegł zdyszany woźny gminy Bekier do nauczyciela do klasy i coś mu szepnął do ucha. Musiała to być jakaś ważna sprawa, bo nauczyciel pobladł, potem poczerwieniał. Podeszedł do ławki „oślaków” i cicho powiedział: „Idziecie do domu, ale omijajcie rynek”. Wyprawił do domu kilku najsłabszych uczniów ze wstępnego oddziału. Otworzył wywietrznik w suficie, kazał mokrą ścierką wytrzeć tablicę.

Zaledwie skończył te czynności, otworzyły się szeroko wejściowe drzwi do izby szkolnej. Wszedł wysoki, odpowiednio gruby i brodaty inspektor. Przywitał się z nauczycielem i zwróciwszy się do klasy powiedział: „Zdrowstwuјtie rebiata” („Witajcie dzieci”), na co my głośno odpowiedzieliśmy już dawno opracowaną z nauczycielem odpowiedzią: „Zdorowia żelajem Wasze Wysoko Błagorodie” („Zdrowia życzymy waszej wysokiej szlachetności”). Najpierw zatrzymali się przy wstępnym oddziale (ciche zajęcia) – dzieci przepisują z książki zadany tekst. Rzucił tu i tam okiem na zeszyty. Później zatrzymał

się przy naszym I oddziale (ciche zajęcia) – rachunki, przepisywanie z książki słupków na mnożenie i obliczanie. Zapytał ile to jest  $7 \times 9$ . Otrzymał dobrą odpowiedź. Uśmiechnął się i podszedł do II oddziału (zajęcia ciche) – przerysowywanie ze wzorca książkowego rysunku. W III oddziale (zajęcia ciche) – ćwiczenie kaligraficzne z tablicy, uprzednio napisane przez nauczyciela. W IV oddziale nauka głośna – rozwiązywanie zadania tekstowego z rachunków. Tu już nauczyciel prowadzi naukę głośno. Wywołany z dziennika uczeń podchodzi do tablicy z książką rachunkową. Nauczyciel wskazuje, które zadanie ma uczeń rozwiązać. Uczeń wynotował sobie i zapisał na tablicy dane liczbowe i stanął, namyślając się nad sposobem rozwiązania. Oj, coś za długo się namyśla. Nauczyciel przychodzi mu z pomocą, czego na żadnej lekcji nie robił. Uczeń podchwycił, coś tam napisał, wyliczył. I znowu się namyśla. Tu inspektor wtrącił swoje trzy grosze. Uczeń zapisał działanie, wyliczył, na zakończenie obliczania inspektor wezwał innego. Ten prędko uporał się z trudnościami. Obliczył. Pauza.

Na następnej lekcji nauka głośna w oddziale III – geografia. Uczniowie dobrze odpowiadają: nazwy rzek, miast, mórz... na mapie.

Na trzeciej lekcji lekcja historii – głośna. Uczniowie recytują jak z nut. Widać zadowolenie zwierzchnika. Oddział wstępny, I i II idą do domu, aby uczniowie tych młodszych oddziałów nie przeszkadzali w dalszej wizytacji.

Następnego dnia po wizytacji i dobrym obiedzie „Wysoko Błagorodie” odjechał do Janowa. Z zachowania się nauczyciela widać było, że wizytacja udała się, o czym można się było przekonać, bo koło pieca nikt nie klęczał.

## **Galówka w bóżnicy**

W kilka dni po wizytacji wypadła galówka, ale nauczyciel kazał I oddziałowi przyjść do szkoły bez książek. Zdziwiliśmy się bardzo, że tylko my mamy przyjść, a po wtóre, co to będzie za nauka bez książek.

Jednak cały I oddział przyszedł do udekorowanej trójkolorowymi flagami szkoły. Nauczyciel ustawił nas parami, czego nigdy nie robił, i oznajmił, że dziś zaraz idziemy do bóżnicy żydowskiej, znajdującej się nad stawem blisko młyna, posłuchać żydowskiego nabożeństwa galowego. Uprzedził, żeby się grzecznie zachowywać i nie śmiać się z rabina.

Wchodzimy. Kilku starszych Żydów krząta się, zamiatają dużą izbę bóżniczną. Dom jest drewniany, ściany wewnętrzne bielone wapnem, które tu i ówdzie odpadło i wynurzyły się czarne plamy. Izba domu modlitwy podzielona na dwie części drewnianym niskim przepierzeniem: przy wejściu z drewnianą podłogą na poziomie progu przeznaczona dla mężczyzn, a druga z podłogą drewnianą, ale wyższą o 1 metr, dla kobiet. W męskiej części przy oknie na drewnianym meblu, przypominającym katedrę szkolną, stał pięcioramienny świecznik ze świecami (na razie świece nie palą się). Niebawem zjawia się w otoczeniu kilku chłopców żydowskich sam rabin w białych, wełnianych



skarpetach i miękkim, bez obcasów obuwiu. Ubrany jest w długi, sięgający kolan, czarny, lśniący, atlasowy chałat, a głowę zdobi czarna czapka bez daszka z lisim otokiem. Za nim weszło kilku starszych Żydów w czarnych chałatach, z głowami nakrytymi czarnymi żydowskimi czapkami. Zapalono świece, ustały ciche rozmowy. Rabin włożył na ramiona „pacierze” okrywające z przodu klatkę piersiową, a z tyłu plecy powyżej pasa, w czarno-białe o szerokości około 2 centymetrów pasa, zakończone frędzlami („cycete”), na głowie przytroczył jakieś czarne pudło (nazwy nie znam) o rozmiarach 4×6×3 centymetry z jakimś talizmanem (lub wersetem z Pisma Świętego – dokładnie nie wiem), a lewą rękę obnażoną przez zawinięcie rękawa okręcił kilkakrotnie czarnym skórzanym paskiem. Poprawił brodę i zwichrzone długie, opadające na skronie „pejsy” (długie kosmyki włosów). Towarzyszący mu Żydzi też poglądzieli swoje „pejsy” i długie brody.

Zacząło się nabożeństwo polegające na czytaniu śpiewnym głosem hebrajskiego tekstu (nie rozumieliśmy ani słowa treści), zakończonego treścią modlitwy za cara (to wywnioskowaliśmy po wyrazach „Nikola Aleksandrowicz”). W czasie czytania-śpiewania modlitw Żydzi milczeli, kiwając głowami i pochylając, i kiwając lekko tułów do przodu. Kobiet Żydówek na nabożeństwie nie było. W tej części izby tylko kilku płątało się Żydziaków. Razem z nauczycielem cichutko staliśmy grupą, zgodnie z zapowiedzią naszego pana.

Nabożeństwo skończone. Wychodząc z synagogi, spłoszyliśmy trzech chłopców – Żydziaków, którzy obsikiwali bezceremonialnie odrapane ściany swojej bóżnicy, krytej gontami.

W ciągu mego dwuletniego pobytu w szkole w czasie galówki byliśmy kilka razy na nabożeństwie w kościele w luźnych grupach, ale bez udziału pana Paulsona, naszego nauczyciela – wychowawcy, rusyfikatora. Ksiądz po odprawieniu zwykłej cichej mszy odczytał odpowiednią modlitwę w związku z daną galówką po polsku.

## **Końcowe dni nauki w szkole ludowej**

Odprężenie po wizytacji szybko minęło. Nauczyciel ostro wziął się do wyrównania niedociągnięć, jakie zauważył w czasie wizytacji. Pierwszy raz zebrał do poprawy nasze zeszyty. Z niecierpliwością czekaliśmy na wynik poprawy. A wyniki były nieoczekiwane. Nauczyciel, stojąc przed ławkami, brał po kolei zeszyty i rzucał je uczniom. Trzy czwarte zeszytów, a właściwie tylko ich strzępy, fruwały po klasie. Uczniowie zbierali porwane kartki i zauważyli, że nauczyciel wcale nie poprawiał ich mozolnych prac w szkole. Jeżeli zauważył większą ilość błędów, kleksy, nie czytał dalej, tylko bez pardonu rwał na kawałki. Jedna czwarta zeszytów była poprawiona i oceniona. I mój zeszyt znalazł się w tej liczbie. Uczniowie musieli trzy ostatnie prace przepisać do nowych „kajetów”. Żadnego pisania do domu nie dawał, bo te prace robiliśmy w klasie.

## Rozróbki uczniów w drodze do domu

Antagonizmy między uczniami z poszczególnych dzielnic – „przedmieść”, trwały nadal. Wracaliśmy grupami. Uczniowie z przedmieścia Mikuszewskiego zastępowali drogę uczniom z Bęczyna. Zaczęło się od zmagania przywódców grup, a potem była walka wręcz. Zwarli się Kisiel z Mikuszewskiego z Jasiem Mazurkiewiczem z Bęczyna. Mazurkiewicz był niższego wzrostu, ale krępej budowy ciała. Kisiel, zacięty wróg, był szczuplejszy, ale za to wyższy. Raz był Kisiel na wierzchu i okładał pięścią Mazurkiewicza gdzie popadło, za chwilę było odwrotnie. Mazurkiewicz przycisnął kolanami Kisiela i oddał uderzenia z nawiązką. W pewnej chwili Mazurkiewicz krzyczy wniebogłosy: „Puść”. Pozostali uczniowie z każdej grupy kibicowali i zachęcali przeciwników do lepszej, skuteczniejszej walki. Mazurkiewicz w dalszym ciągu krzyczy „Puść”. I oto widzimy, że Kisiel złapał zębami Mazurkiewicza za palec i gryzie. Mazurkiewicz płacze, a Kisiel z idiotycznym wyrazem twarzy patrzy i śmieje się. Nareszcie Mazurkiewicz zdołał uwolnić swój zakrwawiony palec i mocnym rzutem ciała przyduśił Kisiela i okłada go pięściami. Walkę przerywają z wynikiem na remis. Z Mazurkiewiczowej ręki cieknie krew, a Kisiel ma całą twarz umazaną krwią Mazurkiewicza i własną z nosa.

Grupy rozchodzą się do domów, komentując walkę, kto komu lepiej dosolił. Każda grupa jest przekonana, że uczestnik walki ich grupy wyszedł zwycięsko.

Minęło kilka dni spokojnych. Wynikła nowa walka, ale bezkrwawa. Ktoś zauważył rabina chyłkiem przebiegającego z bóżnicy do domu. Uczniowie podnieśli wrzawę: „Łapaj go, trzymaj. Oddaj lisa” (przybranie czapki). Kilku Żydziaków zaczęło rzucać w uczniów grudami ziemi i kamieniami. Tak być nie może, żeby Żyd podnosił rękę na Polaka. Posypały się kamienie w stronę Żydków, a ci nogi za pas i do bóżnicy, a my do domów. Za chwilę większa gromadka Żydków zaczęła w naszą stronę rzucać. Wracamy, do nas dołączyła się grupa naszych niedawnych przeciwników. Znowu posypały się kamienie w większych ilościach. Żydki już są w swojej bóżnicy. Nareszcie jakiś rozsądny chłopiec powiedział, że szkoda czasu na taką walkę. Inni go poparli. Udaliśmy się do domu. To była ostatnia walka.

Koniec maja bliski, trawa na polach odrosła. Krowy w takim stanie rzeczy nie mogą stać w oborze. Ojciec powiedział, że do szkoły już nie pójde, bo umiem czytać, spotrafię list napisać jak pójde do wojska i policzyć pieniądze w czasie kupna, aby nie dać się oszukać Żydowi. Pozbierałem książki, niedopisane zeszyty, pióro, ołówek z gumą oraz wysłużoną tabliczkę z rysikiem do „rańca” i wyniosłem na strych. Na tym miała się skończyć moja „edukacja”. Zrobiłem jeden krok wyżej od moich niepiśmiennych rodziców i dziadków.

I znowu 26 maja 1905 roku stałem się pomocnikiem w gospodarce i pastierzem swoich krów.

## Wiejskie życie\*

### Drugie małżeństwo mojego ojca

Po tragicznej śmierci matki cały ciężar pracy w prowadzeniu gospodarki domowej spadł na barki mojej babci. Praca ta była ponad siły staruszki. Musiała sprzątać, prac, karmić inwentarz żywy: kury, krowy, świnię i gotować nam posiłki. Siostra, Frozyna, niewiele mogła jej pomóc, bo była małą dziewczynką, najwyżej mogła pomagać w wychowaniu Stefana. Prace te utrudniało babci pogarszające się zdrowie. Skarżyła się na bóle rąk i dotkliwe swędzenie na plecach.

Rzadko chodziła do kościoła, jedyne urozmaicenie w jej ciężkim życiu. Miała duże kłopoty w kościele, gdyż nie mogła uklęknąć na oba kolana z powodu dużego kaszaka na prawym kolanie.

Jedynym wyjściem z tych kłopotów było, aby ojciec ożenił się powtórnie i powierzył gospodarstwo domowe młodej żonie i gospodyni domu. Tu była trudność z wyborem kandydatki do małżeństwa. Bogusławska, córka sołtysa, oświadczyła wprost, że za ojca nie wyjdzie. Brała pod uwagę kalectwo naszego ojca – kompletną głuchotę, opiekę nad czworgiem dzieci i staruszką babcią oraz fakt, że ziemia była własnością nieboszczki naszej matki, a tym samym po jej śmierci własnością naszą, czworga dzieci. W razie powiększenia się rodziny dzieci z drugiego małżeństwa nie mogły korzystać z podziału majątku po śmierci naszego ojca.

Druga kandydatka, z Wodnej ulicy, Surdacka, protegowana przez koleżankę Banaszkową, naszą najbliższą sąsiadkę, swatom początkowo wyraziła zgodę, ale później w ostatniej chwili, kiedy trzeba było jechać do kościoła dać na zapowiedzi, przez posłańca przysłała odmowną odpowiedź, cofnęła się. Ja ją dobrze znałem. Była wprawdzie po trzydziestce, ale była miła w obcowaniu, przystojna, brunetka. Z siostrą cieszyliśmy się, że będziemy mieli taką macochę.

Wreszcie trzecia kandydatka, Julianna Rachoniówna, biedna panna w wieku około trzydziestu pięciu lat sama zaproponowała ojcu małżeństwo. Ojciec przyjął tę propozycję. Ślub odbył się w lutym 1905 roku. W przyjęciu weselnym wzięła udział tylko najbliższa rodzina ojca i macochy, bez żadnej muzyki. Macocha w przeddzień ślubu przeprowadziła gruntowne sprzątnięcie mieszkania, zrobiła duże pranie, bo brudnej bielizny pościelowej i osobistej nabrało się dużo.

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.

Sąsiedzi byli do niej ustosunkowani krytycznie. Nie omieszkali nas poinformować, że nasze życie będzie przykre, bo jest kobietą kłótniwą i despotyczną. Wiadomości te sprawiły, że przez parę tygodni odnosiliśmy się do niej z rezerwą. Późniejsze współzycie z macochą nie było zbyt uciążliwe.

Pierwszym krokiem w rządzeniu było to, że zaopatrzwszy się w ostre nożyczki posadziła mnie na stołku, ostrzygła moją głowę. Sądząc po ilości włosów ostrzyżonych i rzuconych na podłogę była już najwyższa pora przeprowadzenia tego kosmetycznego zabiegu. Po tym ostrzyżeniu siostra radziła mi, abym jak najmniej pokazywał się z gołą głową swoim kolegom, bo włosy były ostrzyżone „w schodki”. Po kilku dniach odrosły, wyrównały się i wszystko było w porządku. Siostrze i Antosiewi umyła w ciepłej wodzie z mydłem ich głowy, aż miło było na nich patrzeć. Ojciec był zadowolony z tych zabiegów.

## „Kopanina”

Z naszego domu przez okno widać było w południowej stronie ogród warzywny, za nim rozciągające się mokre łąki, a dalej pod lasem wiecznie turkoczący drewniany młyn nad Urzędówką, w końcu duży mieszany las dzierzkowicki.

W czasie zimy drwale na rozporządzenie administracji majątku w Dzierzkowicach wyrabali duży kawałek starego lasu. Wiekowe dęby i proste jak świeca sosny popłynęły w świat Wisłą. Drobniejsze drzewa i graby zostały porzniete na szczapy, ułożone w „sągi”, a gałęzie w „strachy” (stosy gałęzi) na sprzedaż na opał. Na miejscu został tylko drobny chrust i pnie po ściętych drzewach. Ziemię tę administracja (rosyjska) postanowiła bezpłatnie oddać chętnym do użytkowania na okres 2 lat.

Macocha udała się do Dzierzkowic i wzięła w dzierżawę 1 morgę tego ugoru, „kopaniny”. Po stopieniu śniegów i podeschnięciu ziemi dzierżawcy zaczęli kopać ręcznie. W czasie kopania wolno było wykopywać z ziemi pnie po ściętych drzewach i zabierać bezpłatnie na opał. Ojciec kupił trzy gracie (specjalne motyki) i zaopatrzwszy się w żywność na cały dzień udaliśmy się (ojciec, macocha i ja) do tej bardzo ciężkiej pracy – do kopania.

Ziemia była twarda, od wieków nie orana, zszyta korzeniami po dużych drzewach i mniejszymi korzonkami krzewów, krzewin, leśnych ziół i trawy. Zaczęliśmy kopać ostrymi gracami i odwracać ziemię drobnymi płatami trawą i korzonkami na dół. Jeżeli któreś z nas natrafiło na duży korzeń, to ojciec przychodził nam z pomocą z siekierą i rąbał go, odrzucając kawałki w tył na skopaną ziemię.

W niedalekiej odległości pracował z teściem Michalewski, syn aptekarza z Urzędowa, który ożeniwszy się z Brożkówną, córką rolnika, postanowił pracować na roli. Prócz gracie wzięli ze sobą pług, aby sobie ułatwić pracę. Konie ciągnące pług co kilka kroków stawały zmęczone, szczególnie wtedy,

gdy pług natrafił na duże korzenie. Teść orał, a Michalewski przecinał siekierą korzenie, które hamowały pracę. Orka nie trwała długo. Brożek popędził batem jednego i drugiego konia. Te mocno szarpnęły i pług przełamał się na kawałki. Musieli zabrać się do kopania wypróbowanymi graczami.

Po spożyciu uproszczonego obiadu, składającego się z jaglanej kaszy na mleku, kontynuowaliśmy pracę do wieczora. Wraz z zachodem słońca powlekliśmy się do domu, zmordowani do granic wytrzymałości ludzkiej.

Ta katorżnicza praca trwała około dni. Ja, niewdrożony do takiej ciężkiej pracy, czułem się bardzo źle. Bolały mnie wszystkie mięśnie, nie wyłączając nóg. Obie dłonie miałem pokaleczone trzonkiem od gracy, popuchnięte, pokryte od wewnątrz pęcherzami.

Po każdej kolacji spałem jak zarżnięty. Macocha też skarżyła się, że bołą ją ręce, tylko ojciec nie narzekał, natomiast cieszył się, że odwaliliśmy „kawał roboty”. Na zakończenie ojciec ze mną wykopał kilka jeszcze pni drzewnych z ziemi, które wraz z pociętymi korzeniami zwieźliśmy na podwórze na opał.

Następnego dnia posialiśmy proso. Nie chciało mi się wierzyć, żeby na takiej ubitej i zdeptanej w czasie kopania ziemi coś urosło. A jednak urosło piękne proso z dużymi zwieszającymi się „kiściami” na łądydze. Praca nie poszła na marne.

## **Żniwa**

Przybyła nowa pomoc w gospodarstwie – Frozyna. Teraz wypasanie krów ojciec powierzył mojej siostrze. Ona ma pracę dużo łatwiejszą niż była moja. Ojciec bowiem zasiał kawałek białej koniczyny dla krów. Koniczyna udał się. Urosła duża, gęsta, pachnąca miodem. Ojciec zabronił siostrze, aby krowy chodziły po całym kawałku pola i wdeptywały zieloną paszę w ziemię. Wyzначzył pas koniczyny na szerokość dwóch kroków. Więc stała siostra nad krowami i pilnowała, aby gruntownie po kolei wyjadały rośliny na wymierzonym pasku. Codziennie był wymierzany nowy, aż do końca działki, a przez ten czas odrastała nowa koniczyna i znów było wydzielanie.

Teraz siostra nie musiała oprowadzać krów na postronkach po różnych nieużytkach w poszukiwaniu trawy. Nie zazdroszczę jej stania nieruchomo na miejscu i pilnowania porządku.

Teraz będę ojcu pomagał w pracy żniwnej. Praca ta też nie jest łatwa, a wręcz uciążliwa. Ojciec dobrze o tym wiedział. Przygotował się do tego ciężkiego znoju.

Na dwa tygodnie przed żniwami wspólnie ze stryjkiem Józefem zabili wieprza i podzielili się mięsem. Macocha ze stryjenką Franciszką przygotowały kaszanke i kielbasę, a słoninę i boczek zamarynowały. W pierwszej kolejności na śniadanie zużyto kaszanke, której długo nie można przechować, za nią poszły kielbasy, na koniec zabraliśmy się do konsumowania boczku i słoniny.

Wczesnym rankiem każdy z rodziny dostał kawałek odgrzanej kaszanki lub kielbasy z chlebem (oczywiście razowym) na śniadanie, popijając przegotowanym mlekiem. Ze słoniną było trochę inaczej. Każdy ze żniwiarzy dostał po większym kawałku obgotowanej słoniny. A że tłusta – nie szkodzi. Pięknie pachniała, a dobrze smakowała – tylko palce lizać. Przy dużej pracy pełnej ruchu żołądek doskonale trawił – dając organizmowi dużo kalorii ciepła i siły.

Macocha przed wyjściem razem z nami w pole przygotowała z grubsza obiad i pożywienie dla małego Stefcia (oczywiście bez słoniny, bo do żniwiarzy jeszcze nie należał), a babcia dokończyła. Jeżeli żęliśmy sierpami blisko domu, to przychodziliśmy na obiad do mieszkania, jeżeli gdzieś daleko koło „piorunowego dołu” i starego gościńca, to macocha przychodziła do domu i przynosiła obiad na pole, aby nie tracić drogocennego czasu. Obiad taki konsumowaliśmy, siedząc na miedzy.

Jeśli w którejś z rodzin było małe dziecko, to matka szła ze żniwiarzami w pole. Małeństwo umieszczano w rozwieszanej w rodzaju hamaka płachcie, uwiązanej końcami do gałęzi gruszy, jeżeli była w pobliżu, lub do „półdrabka” drabiniastego wozu. Dziecko sobie spało w cieniu na świeżym powietrzu. Matka mniej więcej co dwie godziny przerywała pracę, aby małego „żniwiarza” pokarmić. A jeżeli było mokro? To nic – mocz przeciekał przez płótno płachty, a wiatr i słońce spełniały swoją powinność i prędko suszyły.

Mój ojciec nigdy do zbioru zboża nie używał kosy, gdyż uważał, że „garście” ułożone na ziemi brzydko wyglądają, słoma potargana i dużo ziarna wypada bezużytecznie na ziemię, a do tego dobry i oszczędny gospodarz dopuścić nie może. Tak więc każdy szedł na pole i wracał do domu ze swoim sierpem. A sierpy były ostre, bo kowal Kajetan Grabowski w „mieście” robił sierpy ręcznie i ostrzył na „toczaku”. Takiego majstra w całej okolicy nie było. Wszystkich w ciągu paru tygodni musiał obsłużyć.

Mój sierp, wybrany specjalnie dla mnie jako początkującego żniwiarza, był stary, lekki i dobrze uzębiony, wspaniale ścinał zboże, nie pozostawiając z tyłu żniwiarza żadnych „muzykantów” (źdźbeł niezżętego zboża), jak to nazywano w języku żniwiarskim. Jeżeli ojciec zauważył takich „muzykantów” kazał wrócić i uciąć źdźbła zboża i położyć na garściach. Dodać należy, że mój zagon do zżęcia był dużo węższy od zagonów dorosłych żniwiarzy. Żąłem zboże ostatni w rzędzie, aby nie hamować pracy innych żniwiarzy. Ojciec zręcznie żął zboże na przedzie i w ten sposób regulował tempo pracy. Wyglądało to jak klucz żurawi z przewodnikiem na czele.

W pierwszych dniach pracy odczuwałem straszny ból w krzyżu od ciągle pochylonej postawy. Często klękałem i w tej pozycji żąłem, ale to nie podobało się ojcu – niszczyłem spódnię na kolanach. Pozostawanie w tyle – to wielki wstyd dla żniwiarza. Od czasu do czasu spoglądałem na macochę, jak ona sobie radzi w żniwie. Z przyjemnością stwierdziłem, że jest doskonałą żniwiarką.

Po kilku dniach dobrej pogody zboże wyschło i należało je zwozić do stodoły. Żyto powiązane w snopy i ułożone w mendlach leżało na polu dłużej.





Żniwa, lata międzywojenne XX wieku. Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>

Tu praca była urozmaicona. Podawałem ojcu snopy, które starannie układał na furze drabiniastej, aby w czasie przewozu nie wysunęły się i nie wypadły z wozu na ziemię. Po napełnieniu fury zbożem z pomocą ojca wdrapywałem się na snopy i jechaliśmy ze zbożem do stodoły. Ja zrzucałem po jednym snopie, a ojciec starannie układał je w zapolu. Po opróżnieniu wozu znów wracaliśmy na pole po drugą partię. Macocha pracowała wraz z Władysławą Chomicką, która w czasie żniw odrabiała u nas należność za orkę, wysiew i zwózkę zboża ze swego pola memu ojcu (swojemu wujkowi).

Po zwiezieniu żyta, jęczmienia, owsa, pszenicy przyszła kolej do zbierania rzepaku i prosa. Przy sprzątaniu z pola tych dwóch ostatnich zbóż należało zachować daleko idącą ostrożność ze względu na to, że przy gwałtowniejszym ruchu obficie wypadały nasiona z łuszczyzny rzepaku i kiści prosa. Aby uniknąć strat, ojciec przed układaniem rozpinał na wozie płachty, a na nie układał plony. Z powyższej przyczyny nie można tych zbóż układać w zapolu, a z miejsca należy je młócić.

## Młocka

Bardzo dokładnie i czysto zamietliśmy boisko i złożyliśmy w jego kącie suchy rzepak. Ojciec widłami przenosił to zboże i cienką warstwę układał przy pustej ścianie stodoły. Ponieważ tego rzepaku było niedużo, więc młocka

trwała zaledwie kilka godzin. Po oczyszczeniu nasion z plew i połówek łuszczyń zsypał je do worka i umieścił w spichrzu.

Na drugi dzień przystąpiliśmy do żęcia prosa na kopaninie między lasami. Zbiór i zwózkę przeprowadziliśmy podobnie jak to było z rzepakami, z tą różnicą, że prosa było więcej (dwie fury). Złożyliśmy na boisku przy ścianie, za którą były poprzednio złożone snopy zbóż. Z młóceniem było znacznie więcej kłopotu. Ojciec sporządził dla mnie małe lekkie cepy. Ojciec wziął trzy snopy prosa, rozwiązał je i rozłożył wzdłuż ściany cienką warstwą odziomkami skierowanymi do ściany, a kłosami do środka boiska. Ojciec ze swoimi cepami stanął po prawej stronie, a ja ze swymi po lewej w odległości 1 metra od niego. Uderzaliśmy kolejno bijakami w rozłożone proso po kiściach z szybkością czterech uderzeń na 5 sekund, posuwając się od prawej strony ku lewej, doszedłszy do końca wracaliśmy w odwrotnym kierunku, uderzając po środkowych częściach źdźbła i znów wracaliśmy na lewo, bijąc po odziomkach przy ścianie.

Teraz należało tak przemłócone zboże przewrócić na drugą stronę, podgrabić na warstwę pocięte rozrzucone kłosa i powtórzyć kolejno poprzednie czynności. Następnie ojciec po kolei brał garść słomy i potrząsał nią, aby ze słomą nie zabierać ziarna, układał tę „prośniankę” na powrósło z żytniej słomy i wiązał jeden większy snop z trzech snopków prosa. Ta słoma była pocięta w swoim czasie na sieczkarni na paszę dla bydła. Razem z ziarnem były pocięte puste kłosa i słoma. Za pomocą grabi te odpadki zostały usunięte, a czyste ziarno zgarnięte na bok.

Po skończeniu młocki ojciec odczyścił ziarna od plew pożyczonym młynkiem (własnego nie miał). Następnymi czynnościami było suszenie ziarna na rozłożonych płachtach na słońcu i zsypywanie do beczki. Przez noc niewymłócone snopy prosa na boisku odwilgły i nie dałyby się wymłócić bez straty ziarna. Aby tego uniknąć, wynosiliśmy ostrożnie snopy i ustawialiśmy na rozpostartych płachtach na słońcu do wyschnięcia, a potem znów braliśmy się do młocki.

Ojciec (32 lata) swoimi dużymi cepami uderzał mocno, aż mu się głowa trzęsła od tych ruchów, a ja, początkujący mały „młockarz” (10 lat), sekundowałem słabymi uderzeniami. Od uderzenia ojca słychać było głośnie „łup”, a od mojego słabe „cup”. I tak młóćąc, przekomarzaliśmy się nawzajem: ojciec „łup”, a ja „cup”; „łup-cup, łup-cup...” było słychać do skończenia młocki, a wynikiem tych „łup-cup” były dwie duże beczki po kapuście, kwaszonej przez już nieżyjącego dziadka, pełne prosa.

Na zakończenie tej procedury ojciec w proso w beczkach powtykał pionowo grubsze suche kije, aby ziarna nie zapleśniały, nie zbutwiały przez długie stanie w spichrzu. Dobry plon z kopaniny.



Wykopki - ks. proboszcz Jan Łazicki błogosławi świeżo wykopane ziemniaki, lata trzydzieste XX wieku (?). Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>

## **Kopanie kartofli**

Kopanie kartofli jest ważną, a jednocześnie ciężką pracą w gospodarce rolnej. Dzięki obfitemu nawożeniu, racjonalnej pielęgnacji kartofle w tym roku udały się wspaniale. Wyrosły duże i w wielkiej ilości pod krzakiem. Ojciec do sadzenia użył nowej odmiany ziemniaków koloru niebiesko-fioletowego.

Zabraliśmy się dość wcześnie (uprzedził nas tylko kowal Surdacki) do pracy, w efekcie czego za nami po kilku godzinach na kartoflisku stały worki z kartoflami, czekając na zwiezenie do specjalnego dołu (piwnicy jeszcze ojciec nie wybudował). Ja i ojciec przerwaliśmy kopanie i przystąpiliśmy do układania worków na wozie (zamiast drabin były mocno umocowane drągi), kładąc worki poprzecznie na drągach. Z układaniem była poważna trudność, gdyż ja nie mogłem z powodu braku odpowiedniej siły utrzymać worka przewieszzonego przez nasze lewe ręce (podane sobie jakby na przywitanie) i upuściłem worek na ziemię. Z pomocą przyszła nam Chomicka. Ruszyliśmy w stronę domu. Przy wyładowywaniu nie miałem większych trudności. Ojciec rozwiązawszy „sypuł” worka, wsypywał zawartość do dołu.

Ta część pracy też była niełatwa, ale urozmaicona. Znów to kopanie. Bardzo mnie bolał krzyż, nie wyłączając bólu rąk od trzymania motyki i odwalania ziemi z krzakiem. Przy tej pracy postawa klęcząca, jaką czasem stosowałem

przy żniwach, była wykluczona. A kopanie kartofli dopiero się zaczęło. Po tygodniowej znoonej pracy dół po brzegi zapełnił się kartoflami; resztę zbioru ojciec zakopcował w ogrodzie, ciesząc się dobrym urodzajem.

Kartofle w gospodarstwie rolnym, obok chleba, mają zasadnicze znaczenie dla ludzi i zwierząt hodowlanych. O tym ojciec dobrze wiedział. Nie mogło być dnia bez użycia kartofli przy sporządzaniu zup, na przyrządzenie drugiego dania, smażenia na oleju rzepakowym, lnianym lub konopnym placków kartoflanych. Hodowla świń była nie do pomyślenia bez użycia kartofli i mąki jęczmiennej. Toż samo można powiedzieć o hodowli kur, kaczek i gęsi. Bydło, a nawet konie, chętnie i z pożytkiem zjadały sieczkę zaprawioną gotowanymi kartoflami. Ojciec rzadko sprzedawał kartofle.

## **Opał na zimę**

Uprawa nowiny leśnej na proso dostarczyła nam duży stos drewna opałowego, które na słońcu i wietrze prędko wyschło. Przez kilka dni ojciec rąbał te gałęzie, korzenie i pnie na drobne kawałki. Obowiązkiem moim i siostry było zniesienie tych drewnien do szopy i ułożenie w odpowiednie stopy. Ojciec bowiem nie tolerował porzucenia drewna opałowego byle gdzie i byle jak.

Mieliśmy już opał na zimę do gotowania i ogrzewania mieszkania (węgla nie znaleźmy). Macocha była rada, że sama nie musi rąbać lub szukać opału, gdyż go miała pod dostatkiem blisko na podwórzu, co jej ułatwiało pracę przy gotowaniu posiłków. Tylko dla sportu czasem przyniosła wiązkę chrustu z lasu.

## **Wolny czas**

W ciepłe wczesnojesienne wieczory przy domu garncarza Gajewskiego młodzież zbierała się i gwarzyła o różnych wypadkach, a czasem chóralnie śpiewała okolicznościowe piosenki. Lubilem posłuchać, choć jeszcze czynnego udziału z powodu młodego wieku nie brałem.

W adwencie według starego zwyczaju zbierali się mieszkańcy, przeważnie kobiety, w upatrzonym domu na różaniec. Nabożeństwo to celebrował bez jednej nogi Szociński. W ciągu dnia szedł na zarobek młócić zboże albo ręcznie szył „spencery” z powierzonego materiału (flaneli). Klientami byli przeważnie starzy ludzie, między którymi był mój nieboszczyk dziadek, a potem ojciec. Zarówno krawiec, jak i klienci uważali, że ręczna robota jest lepsza, bo szycia nie prują się, jak to jest przy szyciu kurtek na maszynie do szycia. Maszyny do szycia jeszcze nie cieszyły się uznaniem.

Na drugi wieczór to różańcowe nabożeństwo odbywało się w sąsiednim domu. Gospodyni, a najczęściej córka, na nakrytym obrusem stole ustawiała kilka wazonów z pelargoniami obwieszonymi obrazkami świętych i przysta-

wiała krzesło dla celebranta. W czasie modlitwy zebrani klęczeli na podłodze. Byłem kilka razy na różańcu, ale potem przestałem chodzić, bo do domu przyniosłem „nabytek” w postaci gryzących pcheł.

Mężczyźni często w długie wieczory przychodzili do naszego lokatora Berka, gdzie on „celebrował” w czasie gry karcianej w „woza”. Mężczyźni grali w karty, gwarzyli, a czasem i klócili się, paląc machorkowe papierosy. Całe to nieduże mieszkanie wypełnione było gryzącym dymem, tak że trudno było spokojnie oddychać. Gdy Żydówka Berkowa postawiła na stole herbatę z bułką własnego wypieku, mężczyźni przerywali grę i wychodzili z mieszkania późną godziną do domów. Tak było przez całe miesiące zimowe. Czasem Berek nie brał udziału w grze; albo odmawiał pacierze pod piecem, a czasem szedł do nocnej pracy – wypalać garnki gliniane, za co otrzymywał wynagrodzenie, z którego utrzymywał się z żoną. W młodym wieku prowadził handel wódką w dzierzawionej karczmie, ale później z niewiadomych przyczyn porzucił tę pracę, opuścił „miasto” i osiadł na Bęczynie. Był poważnego wzrostu, z poważnym wyrazem twarzy, dużą siwą brodą. W sobotę w „szabas” udawali się z żoną do miasta na modlitwy do bóżnicy, a resztę czasu spędzali u syna.

Moje pismo w zeszycie nie podobało mu się. Radził mi, abym przy pisaniu pisał każdą literę oddzielnie, a nie łączył je razem w wyrazie. Dał mi przykład swego pisma w języku hebrajskim. Dobrze, że z tego przykładu nigdy nie skorzystałem i nadal łączyłem litery w wyrazie.

---

## Rok 1905

27 stycznia 1904 roku Japonia bez wypowiedzenia zaczęła działania wojenne z carską Rosją. Rosja przewyższała powierzchnią, liczbą ludności i ilością wojska Japonię, ale Japonia wystawiła swoją dobrze zorganizowaną i wyszkoloną pod dobrym dowództwem armię. Okrętami przerzuciła swą armię do Mandżurii, gdzie pod Mukdenem rozgromiła wojska rosyjskie dowodzone przez nieudolnego głównego dowódcę Kuropatkina. Pod Cuszimą i w Port Arturze 20 grudnia 1904 roku zniszczyła rosyjską flotę wojenną. Rosja zmuszona była zawrzeć haniebny pokój. Nie spełniły się słowa Mikołaja II i jego generałów, że „zarzucą Japończyków czapkami”. Niezadowolenie ludu pracującego wzrosło niepomierne. Zaczęły się masowe strajki w styczniu 1905 roku w metalurgicznych Putilowskich Zakładach w Petersburgu. Fala strajków objęła inne miasta.

9 stycznia 1905 roku wojska carskie zmasakrowały 140 000 ludzi, którzy chcieli carowi złożyć petycję z prośbą polepszenia ich życia. Od salw piechoty i tratowania tłumu przez kozaków końmi zginęło powyżej 1000 ludzi. Wypadek ten decydująco wpłynął na powiększenie się nienawiści do cara.

Do strajku przyłączyła się też flota czarnomorska (Potiomkin). Rewolucja rozgorzała w całej Rosji. Fala strajków objęła również Królestwo Polskie (Warszawa, Łódź, Kielce, Lublin itd.).

W 1906 roku car ustanowił Dumę Państwową, która nic nie dała robotnikom, a za nią wydał „manifest”, o którym robotnicy śpiewali: „Car ispułgalsia, wydał manifest, miotwym dał swobodu, żywych pod arest” („Car się przestraszył, wydał manifest, martwym dał wolność, a żywych do aresztu”).

Masowa rewolucja zaczęła wygasać, a represje wzrastać. Wielu ludzi powiesili, a tysiące wysiedlili na Sybir lub katorgę.

---

## **A w Urzędowie?**

W roku 1904 masowo zaczęły się pojawiać ulotki, książki, śpiewniki o treści patriotycznej, przeważnie z pobliskiej Galicji, a szczególnie z Krakowa. Czytaliśmy chętnie wieczorami przy zasłoniętych oknach i uczyli się treści i melodii pieśni, gdyż wiedzieliśmy, że takimi sprawami bardzo interesuje się carska policja. Aby uchronić się przed niepożądaną wizytacją, wystawialiśmy czujki przed domem i na głównej ulicy Bęczyna, których zadaniem było sygnalizowanie o zbliżaniu się nieznanym ludzi. Grupki takie zbierały się i w innych domach.

Na środku izby przy nikłym świetle naftowej lampy pochłanialiśmy treść zakazanej lektury. Na tymże stole była rozłożona talia kart do gry, które w razie rewizji miały nam służyć za pretekst celu zebrania się młodzieży. W późnych godzinach wieczornych zebrani pojedynczo w pewnym odstępie czasu opuszczali dom zebrania, podzieliwszy się przed tym książkami i ulotkami. W ciągu dnia przepisywałem ważniejsze pieśni, chowałem opakowane w papier i szmatki za krokiew słoianego dachu na strychu. Zebrania takie odbywały się kilka razy na tydzień. Jednocześnie starsza część społeczeństwa przygotowywała się do publicznej patriotycznej manifestacji.

Wzmogło się czytelnictwo prasy i książek, gdyż wojna rosyjsko-japońska i wstrząs polityczny w Rosji dostarczały wielu interesujących tematów. W owym czasie na prowincji wielkim powodzeniem i poczytnością cieszyła się „Gazeta Świąteczna”, „Zorza” i „Polak-Katolik”, nie licząc prasy konspiracyjnej.

Na przełomie 1904/1905 roku ze składek społeczeństwa zostały postawione pomniki z piaskowca, zakończone u góry krzyżami, jeden na przedmieściu Rankowskim, a drugi taki sam na przedmieściu Mikuszewskim. Na Bęczynie, obok już istniejącej drewnianej kaplicy, cech garncarski ufundował pomnik M. B. Niepokalanie Poczętej. Poświęcenie tych pomników odbyło się w maju, w połączeniu z manifestacją patriotyczną.

Na poświęceniu dwóch pierwszych pomników nie byłem, a o manifestacji dowiedziałem się od znajomych, biorących udział w tych uroczystościach. Na Bęczynie byłem świadkiem od chwili zwiezienia płyt, wykuwania liter, składania, poświęcenia i patriotycznej manifestacji. Przybyła z kościoła procesja z krzyżem, sztandarami, w asyście księdza proboszcza Klubeckiego. Po



odśpiewaniu przez zgromadzonych Litanii do Matki Bożej ksiądz poświęcił pomnik i zaraz wrócił bryczką na plebanię.

Na wstępie odśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”, po czym Wojtuszkiewicz z miasta wygłosił przemówienie patriotyczne. Treści dziś, po 70 latach, nie pamiętam, ale utkwiły mi dokładnie w pamięci słowa: „...a Polska będzie krajem miodem i mlekiem płynącym”. Po nim przemawiał Żak z Leszczyny, późniejszy poseł do Dumy Państwowej. Pieśniami patriotycznymi zakończono uroczystość.

W drodze do kościoła (2 kilometry drogi) ludzie z tej procesji cały czas śpiewali „Boże coś Polskę”. Procesja ta spokojnie doszła do kościoła i tam się rozwiązała. Ani na ulicach, ani na rynku nie widzieliśmy żadnego policjanta (policjanci obserwowali przez okna domów stojących przy drogach).

Później odbyło się kilka wieców w Borze i Obrokach w nieprzebytym lesie dzierzkowickim. Wiece te miały już charakter konspiracyjny. Po upływie miesiąca żandarmi zaarrestowali mówców: Wojtuszkiewicza (grubego), Żaka i kilku innych statecznych obywateli, ale niczego im nie dowiedli i po tygodniu uwolnili ich z więzienia.

## **My też...**

Chłopcy w wieku 5-12 lat urządzali pochody po Bęczynie ze śpiewem patriotycznych pieśni ze swoim dziecinnym „sztandarem” (kilka czerwonych i białych wstążek na długim kiju). A śpiewaliśmy głośno, dobitnie, z przejęciem:

„Hej w górę, hej w górę, hej w górę kosa nasze,  
Wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze. (bis)  
Kiliński był szewcem, on poruszył Warszawę,  
Sprawił on Moskałom weselisko krwawe. (bis)  
Hej w górę, hej w górę, a spoglądaj na Boga,  
Większa miłość Jego niżli przemoc wroga. (bis)”

„Bies cię porwie Mikołaju, a swoboda będzie w kraju.  
Zaśpiewają w Polsce ludzie o Mikole i o cudzie. (bis)”

W naszym repertuarze znalazła się i frywolna piosenka:

„Nie bój się Moskału, jeszcze Bóg jest z nami.  
Oj będziesz ty wisiał do góry nogami. (bis)  
Nad moją kolebką matka się schylała  
I po polsku pacierz mówić nauczała. (bis)  
Ojczy Nasz i Zdrowaś, i Skład Apostolski,  
Przytem tym, bym miłował dzielny naród polski. (bis)  
Bo ten naród polski ma ten urok w sobie,  
Kogo raz pokocha, nie zapomni w grobie. (bis)”

Ho, ho, to będzie widok jak go powiesimy, ale gdzie? Czy na tej dużej wierzbie przy ulicy, co jest na pniu umieszczona malutka kapliczka, a na wierzchu drzewa bocianie gniazdo? A może na tej wiekowej gruszy, co rośnie w dołach? Ale chyba nie będzie straszyl.

Odpozywamy - niby wiec - śpiewamy:

„Raz pamiętam z wieczora w Raclawicach stoiwa,  
Coś tam błyszczący przed borem i Moskali widziwa.  
Tam się kręcą, gadają, ustawiają armaty.  
Wszystko dobrze tu widać w naszym oknie u chaty.  
Kum Bartłomiej Głowacki kosynierów prowadzi,  
Tnie Moskali kosami, bo to chłopak był chwacki.  
Uciekają jak wściekli poprzez rowy, przepaście.  
Myśmy armat dwanaście do Kościuszki przywlekli.”

Takie dziecinne „manifestacje” i „wiece” trwały przez kilka dni. Nasz zapal ostudził Walenty Kamyk, który przed kilku miesiącami wrócił do domu po odbyciu służby w carskim wojsku. Zatrzymał nasz „pochód” i oznajmił nam, że teraz zaczęły się aresztowania przywódców manifestacji i wieców w czasie poświęcenia pomników. Radził nam zaniechać tych pochodów, bo i nas może spotkać gruba nieprzyjemność, mogą nas żandarmi zamknąć do „kozy”.

## **Oj, te doły, doły...**

Moi rodzice w spadku od dziadka otrzymali najgorszy przydział ziemi. W odległości 200 metrów od domu zaczynały się doły, powstałe wskutek przepływu wody polodowcowej, a potem po roztopach wiosennych i dużych deszczach. Woda ta spływała z okolicznych pól, głęboko żłobiąc lessową ziemię z północy na południe wzdłuż naszego pola. Po dnie tego dołu ciągnęła się droga dla pieszych i furmanek długości około 250 metrów. Zbocza tego długiego i głębokiego dołu były porośnięte krzakami leszczyny, jałowców, tarniny, kaliny. Tu i ówdzie pięły się wysokie grusze, brzozy i sosny. Można było spotkać paprocie, poziomki, czarne jagody, a niekiedy i grzyby. Krajobraz był ładny, ale pożytku w gospodarstwie było z niego mało. Pasły się krowy własne i cudze. Na tym tle często dochodziło do nieporozumień sąsiedzkich.

Ojciec, mając mało dobrej ornej ziemi a liczną rodzinę, postanowił te góry zagospodarować, zacząć uprawę zboża. W roku 1904 podjął długą, ciężką, syzyfową pracę. W jesieni nacięliśmy kilka fur jałowców w swoim oddalonym lesie. Kładliśmy ten jałowiec w poprzek drogi, przybijaliśmy kołkami, zabezpieczając przed porwaniem przez bystro płynącą wodę, okładając ziemią. Takich tam zrobiliśmy kilka na długości drogi. Woda zatrzymywała się przed każdą tamą. Część popłynęła do następnej tamy, część wsiąkała w ziemię,

reszta wody parowała. Przed tamą zostawał muł, tworząc małą poprzeczną groblę. W następnych jesieniach tamy robiliśmy w innych niskich częściach koryta. W ten sposób wprzęgliśmy do pomocy ludziom tę wodę, która kiedyś wymulała i pogłębiała dno, a teraz je wyrównywała.

Na wiosnę wychodziliśmy z graczami i kopaliśmy ziemię wzdłuż drogi, co również przyczyniało się do równania. Ojciec posiał owies, który w niskich miejscach wyrósł duży, a na górze, na płonnej ziemi, malutki. Po paru latach takiej pracy góry się nieco wyrównały i obniżyły.

Zaczęliśmy następnie próbować orki pługiem w ten sposób, że ziemię pług odkładał na dno drogi między górami. Pierwsze skiby udało się odłożyć bez większych trudności, ale przy orce góry na wyższym poziomie musiałem konie za łby prowadzić, a ojciec orał pługiem. Ziemia pod ciężarem koni obsuwała się, konie przewracały się razem z pługiem, pociągając ojca na dół. Odpoczęliśmy, ustawili konie i pług na właściwym miejscu i „wio dalej”, a po kilku krokach znów upadek.

Ojciec się bardzo zdenerwował, uważał, że ja temu wszystkiemu jestem winien, bo nie umiałem dobrze prowadzić koni. I, abym na przyszły raz umiał lepiej prowadzić, dał mi nauczkę w postaci kilku razów batem po porciętach. Naukę z płaczem przyjąłem i do dzisiejszego dnia pamiętam, ale nie rękę, czy i dziś w takich warunkach umiałbym poprowadzić lepiej. Podobną nauczkę dostawał później Antoś. Ja, odżegnawszy się takiej i podobnej orki, poszedłem do szkoły. Dziś, po 75 latach od tej mordęgi, nie trzeba już kopać – można normalnie orać końmi.

## **A co w kościele?**

Celem przygotowania do pierwszej spowiedzi i komunii świętej corocznie w maju chodziły dzieci do kościoła na katechizację. Nauki katechizmu udzielał ksiądz proboszcz Klubecki w kościele. Ksiądz siadał w ławkach pośrodku, a dzieci zajmowały miejsce wokół niego. Spóźnione dzieci musiały stać obok ławek. Na ławkach leżały stare, grube książki do nabożeństwa i śpiewniki w twardej, skórzanej oprawie. Ksiądz jedną z tych książek kładł przed sobą i mocno uderzał w nią pięścią w takt odmawianego przez niego i dzieci pacierza ze wszystkimi dodatkowymi wiadomościami. Ponieważ początkowe modlitwy pacierza: Ojcze Nasz, Zdrowaś Mario dzieci znały z nauki w domu, więc ksiądz większy nacisk położył na dziesięcioro przykazań boskich i pięć kościelnych, szczególnie akcentując podniesieniem do góry ręki z wyprostowanym palcem wskazującym przykazanie piąte: „Kościołowi dziesięciny **wiernie** oddawać”.

Po tygodniowym kuciu różnych prawd wiary przyniósł proboszcz kilkanaście egzemplarzy „Krótkiego katechizmu” i sprawdzwszy umiejętność czytania, rozdał dzieciom. Niezmiernie ucieszyłem się z otrzymania katechi-

zmu, tym bardziej że przy wręczaniu mi daru ze zdziwieniem powiedział: „No, no, to i ty umiesz już czytać?”. Teraz, przechodząc koło szkoły, baczny okiem spoglądałem przez okno, chcąc zobaczyć, co się w tej chwili tam dzieje. Ogarnął mnie żal, że tak wcześnie opuściłem szkołę. Na zakończenie katechizacji był „egzamin”. Otrzymałem niebieską karteczkę z wypisanym imieniem i nazwiskiem, co oznaczało, że mogę już przystąpić do pierwszej spowiedzi.

Obserwując, jak inni rodzice kupili chłopcom granatowe garnitury, uczulem się pokrzywdzony, gdyż mój „siemieniaty” garnitur (wprawdzie praktyczny) i buty z cholewami dużo się różnią od ubrania innych kolegów na moją niekorzyść. Ale niech tam... niech się tym ucieszą. W domu nikt się nie interesował tą sprawą, nie mówiąc już o żadnym upominku lub przyjęciu, jak to w takich przypadkach czynią szczęśliwsi rodzice.

### **Ksiądz Klubecki a parafianie**

Ksiądz Klubecki stosował metodę średniowieczną – bezwzględne posłuszeństwa parafian względem proboszcza. Uważał siebie za pasterza w dosłownym znaczeniu tego słowa, a parafian za potulne owieczki, które przy każdej sposobności starał się materialnie wykorzystywać.

Każdego roku po Wielkim Poście posyłał organistę, aby ten przeprowadził spis mieszkańców, którzy powinni odbyć spowiedź wielkanocną. Organista w mieszkaniu spisywał, a w tym czasie przed domem zatrzymywał się wóz z workami, do których gospodarz obowiązany był wynieść przetak lub miarkę zboża jako zapłatę za włożoną pracę przy spisie. Ksiądz wyznaczał datę spowiedzi i rejon, z którego ludzie gremialnie mieli się spowiadać. Przed spowiedzią każdy musiał wziąć kartkę od organisty z wypisanym imieniem, nazwiskiem i numerem, pod którym jest zapisany na spisowym arkuszu papieru. Po przystąpieniu do konfesjonału każdy musiał najpierw oddać kartkę, a potem dopiero wyjawić spowiednikowi swe grzechy. Zaraz po świętach proboszcz na podstawie kartek odnotowywał na arkuszu spisowym i nanosił na specjalny arkusz papieru imiona, nazwiska i miejsca zamieszkania „bezbożników” i po niedzielnym krótkim kazaniu głośno, dobitnie odczytywał treść swoich notatek. Oporny parafianin prawdopodobnie wolał nie iść do kościoła, aby nie słyszeć swego nazwiska.

W czasie duszpasterskiej wizyty po Bożym Narodzeniu w mieszkaniu wobec zgromadzonej rodziny napiętnowany musiał się przed proboszczem „kajać”. A czy przed tym domem zatrzymywała się furmanka? Nie jedna... a dwie. Gospodarz czy też jego żona wynosili zboże, ale nie w przetaku, ale całą ćwierć zsyrywali do odpowiedniego worka. W domu w czasie kolędy musieli być wszyscy domownicy. Nie można się było tłumaczyć niewiedzą, bo od wczesnego ranka ksiądz przysyłał dwóch chłopców z dzwonekami, którzy uprzedzali, że wielbny proboszcz zaszczyli ich dom swoją obecnością.

Należy jeszcze dodać, że za usługi religijne parafianin winien obficie zapłacić. No, bo jakże mogło być inaczej. Urodziło się dziecko, chrzest – zapłacić, bo to zdarza się raz w życiu. A ślub, a pogrzeb – płacić, bo to się często nie powtarza, a śmierć raz jeden. A nieboszczyk, szczególnie stary człowiek, chyba sobie zarobił na katolicki pogrzeb. „Zastaw się, ale postaw się”.

Interesował się ksiądz nawet tym, co się działo na jarmarku. A działo się różnie: kradzieże, pijatyka, „litkup” po przeprowadzeniu transakcji handlowej, bójki po pijanemu, a czasem bójki ot tak dla sportu, jak to często miało miejsce na jarmarkach, odpustach.

Raz Polek Mazurkiewicz ze swoimi druhami dali wycisk wilkołaziakom i *vice versa*. Wilkołaziacy, lepiej zorganizowani i wytrenowani, na następnym jarmarku urzędowiakom oddali z procentem. I tak się powtarzała ta „zabawa”. Policja i lekarz mieli zajęcie tego dnia, a ksiądz miał temat do kazania w najbliższą niedzielę.

Ta ingerencja i ciągle strofowanie oraz wyciskanie nieraz ostatniej kopiejki sprawiły, że stosunki między parafianami a księdzem coraz bardziej się zaostrzały. Parafianie wyprawili delegację do biskupa z prośbą o zmianę proboszcza, a konkretnie prosili, aby biskup na miejsce znienawidzonego proboszcza pozwolił wrócić do Urzędowa księdzu Herze, który z Urzędowa został przeniesiony do Ratoszyna, a później do Czerniejowa. Biskup źle był ustosunkowany do delegacji, prośby nie załatwił. Nienawiść jeszcze bardziej się spotęgowała.

Polek Mazurkiewicz ze swoimi druhami wczesnym rankiem w niedzielę zebrali się koło kościoła, ustawili się w dwa szeregi, tak że utworzyła się taka kilkumetrowej szerokości uliczka, którą musiał przechodzić ksiądz z plebanii do kościoła. Kiedy ksiądz znalazł się przy pierwszej parze, usłyszał jak jeden drugiego niby strofuje: „Czemuś nie zdjął czapki przed pasterzem?”, a drugi odpowiada: „A ty czemu nie zdjąłeś pierwszy, bo czekałem na ciebie?”. To samo przy drugiej parze, trzeciej... Z ostatniej pary: „Te niedobre barany nie chcą się uklonić swemu pasterzowi?”. Całe przygotowanie do kazania wzięło w łeb. To przejście było arcyciekawym tematem kazania. Kto nie był świadkiem przechodzenia, to o wszystkim dowiedział się z kazania.

To wydarzenie nabrało jeszcze większej ostrości na tle pojawienia się wtedy sekty „mariawitów”. Sekta ta zaczęła ogarniać swym zasięgiem duże połacie kraju. Społeczeństwo podzieliło się na dwa zwalczające się obozy. Jedni drwili, a drudzy podnosili do wysokiej godności „Matkę” Kozłowską. Były zakonnik Macoch nie przysporzył godności zakonowi oo. paulinów w Częstochowie.

Wielu mężczyzn wychodziło z domu w niedzielę niby do kościoła, ale woleli zajść do Pinkwasa (piekarza żydowskiego) na świeże, prosto z pieca wyciągnięte obwarzanki lub obsiąść barierę przy szkole, jak jaskółki na drucie telefonicznym przed odlotem do ciepłych krajów. Ksiądz zmuszony był wysłać kościelnego Hetmana z przepasaną przez ramię szarfą i „pastorałem” (dwumetrowy drążek zakończony u góry kulką metalową o średnicy

5 centymetrów) w rękę celem spędzenia „niedowiarków” do kościoła. Na widok zbliżającego się kościelnego wszyscy zrywali się z miejsca i półbiegiem wpadali do kościoła.

Dużo zamieszania robili młodzieńcy (12-16-letni) w kościele. Spóźnieni, stłoczyli się w „babińcu” (kruchcie) i zaczęli na komendę „Raz...” napierać na ludzi stojących na przedzie, ci znów, nie chcąc upaść, napierają na innych. Powstała fala od kruchty do balustrady przed ołtarzem. Później działo się odwrotnie. Fala odbiła się od balustrady i przeszła przez całą długość kościoła aż do kruchty. I znów powtarza się to falowanie i trwa do końca nabożeństwa. Dziś jest to nie do pomyślenia, aby tak się ludzie zachowywali. Ale to był fakt rzeczywisty.

Wracających z kościoła z nabożeństwa Żydzi pytali czy bardzo ich bolały uderzenia kościelnego dużą „pałką” i co mówił ksiądz na kazaniu o zachowaniu się parafian w stosunku do księdza i o tym, że zagorzali zwolennicy mariawitów zamierzają kościół przegrodzić ścianą na połowę, aby w jednej połowie odprawiało się nabożeństwo dla katolików, a w drugiej dla mariawitów.

Biskup zdecydował się odwołać księdza Klubeckiego, a na jego miejsce ponownie powołać lubianego przez parafian księdza Herę. Zmiana ta wpłynęła dodatnio na uspokojenie opinii publicznej. Nastąpił pokój w parafii.

W takich to burzliwych czasach 12 sierpnia 1905 roku przybył na świat przyrodni braciszek Bolek – nowy „żniwiarz”.

Dla mnie były te żniwa bardzo nieprzyjemne, gdyż przy żęciu wyległego jęczmienia sierpem skaleczyłem sobie mały palec u lewej ręki do samej kości. Krew obficie oblała mi całą lewą dłoń. W pierwszej chwili z bólu i z przerażenia mocno syknąłem. Żniwiarze na chwilę przerwali pracę. Ojciec, widząc to zamieszanie, podszedł do mnie, popatrzył i, o dziwo!, zamiast mi pomóc, sięga po swój pasek od spodni, aby mi dać nauczkę, że tak się nie robi, mówiąc: „Ty umyślnie się skaleczyłeś, aby uwolnić się od dalszego żęcia”. Do „rżniętki” nie doszło, gdyż się zorientował, że ja już jestem i tak ukarany, a za jedno „przestępstwo” dwu kar być nie może. Wyłączyłem się z szeregu żniwiarzy, poszedłem upokorzony do domu i tu dopiero zrobiłem sobie opatrunek.

---

## Odwilż

Oficjalnie rewolucja została stłumiona, ale walka trwała nadal. W Rosji jeszcze tu i owdzie były strajki, ale na mniejszą skalę, które rząd carski bez większego wysiłku w zarodku tłumił. Głównie walka przeniosła się w poziomie. Przywódcy analizowali przyczyny upadku. Popelnili wielki błąd, że nie umieli w kurs walki włączyć chłopów, którzy stanowili trzon społeczeństwa w Rosji i Królestwie Polskim. Uważali, że tron carski jest już spróchniały i przy lepszej organizacji da się obalić. Z tego zdawał sobie sprawę i rząd carski. W stosunku do Polaków poszedł na pewne ustępstwa.



W owym czasie zaczęto budować szkołę ludową na Bęczynie i Rankowskim przedmieściu na błoni. W początkowej fazie z językiem wykładowym rosyjskim, a po paru latach polskim.

Władze oświatowe zezwoliły na powołanie do życia Polskiej Macierzy Szkolnej, która zorganizowała przy czynnym poparciu finansowym społeczeństwa Szkołę Jagiellońską w Urzędowie z polskim językiem wykładowym (otwarta w 1906 roku). Właściciel majątku w Popkowicach, Piasecki, ofiarował na ten cel dużą parterową kamienicę w rynku. Właściciel majątku w Moniakach zobowiązał się szkołę umeblować, a właściciel majątku Skorczyce Hempel zaopatrzył szkołę w pomoce naukowe. Na prezesa Spółki Szkolnej powołano Leona Hempla, który to zaszczytne stanowisko piastował do wybuchu I wojny światowej. Szkoła ta miała trzy klasy: wstępną, I i II na poziomie klas gimnazjalnych.

W Lublinie powstały szkoły: Gimnazjum Staszica, Gimnazjum Zamoyckiego, Szkoła Lubelska, Szkoła Handlowa im. Vetterów, gimnazjum żeńskie Sobolewskiej.

---

## Kary konik, kary

Przednówek. Zapasy zimowe dla zwierząt już są na ukończeniu, a do zniw trzeba poczekać kilkanaście dni, aby otrzymać nowe. Ojciec kazał mi paść konie na polnej drodze. Jeden koń idzie jedną koleiną, a drugi drugą i skubią sobie małą, przypaloną przez słońce trawę. Ja zaś siedzę na kobyle, bo to i mniejsza i łagodniejsza od większego, grubego karego, to i wsiąść na nią łatwiej. Więc siedzę całymi godzinami bez ruchu, ziewam, na słońce spoglądam czy daleko jeszcze do południa, do przerwy obiadowej. Poprawiam się w siedzeniu, bo już mnie i krzyż zaczyna boleć. No, nareszcie słońce już wysoko nad głową – pora do domu.

Po obiedzie ojciec z Chomiczką biorą kobyłkę do radlenia kartofli kuzynki, ja zaś siadam na tego wysokiego, grubego, niezgrabnego, ale za to mocnego karego. Po obradleniu kartofli ojciec ma mi oddać kobyłkę do pasienia razem z karym. Koń gruby, moje nogi krótkie, nie mogę go dobrze objąć, więc moja pozycja jest chwiejna, niepewna.

Krok za krokiem zbliżam się do dołu, gdzie po lewej stronie na dnie wąwozu rośnie kilka dużych, rozłożystych wierzb. Trzymam się grzywy konia, aby nie zsunąć się na jego łeb. Nagle koń gwałtownie skoczył z góry, a ja w połowie góry grzmotnąłem na ziemię, nie wiedząc, co się stało. Odczułem mocny ból w prawym biodrze, ruszyć się nie mogę. Słyszę głośnie łopotanie skrzydeł po gałęziach i to diabelskie krakanie gawronów. To tego koń się przestraszył i zrzucił mnie z siebie, wykonując niespodziewanie gwałtowny ruch. Gawrony poleciały, ja leżę nadal na ziemi, trzymając się za nogę. Wyprężyłem obie nogi, odwróciłem się na brzuch i powoli, powoli, postępując, stanąłem na

czworakach. Odpocząłem i po kilku próbach stanąłem na nogi. No dobrze. Ale gdzie jest mój kary? A ta czarna bestia stoi o kilkanaście kroków w głębi pola na drodze i smacznie sobie zajada owies rosnący na wzgórzu.

Powolutku podchodzę do niego i patrzę, kiedy on ogon zadrze do góry i pobiegnie sobie, gdzie tylko będzie chciał. I, o dziwo! Przestał jeść owies, podniósł łeb do góry i bacznie przygląda się, jak ja, kulejąc, zbliżam się do niego. Krokiem nie ruszył się z zamiarem ucieczki. Wziąłem go za trzęzle, trzymam i myślę, jak ja teraz na niego się wgramolę. Z trudem doprowadziłem go do miejsca, gdzie była głęboka koleina, z wielkim wysiłkiem usiadłem mu na grzbiecie. W krótkim czasie nadszedł ojciec z kobyłą. Radło zabrał do domu, a ja siedząc na karym dokończyłem to pasienie koni. Po kilku dniach siniak zbiełał, ale noga mnie bolała kilka tygodni.

\*

W drugiej połowie czerwca, po południu, ojciec siadł na progu okraczywszy pień, w którym była umocowana babka do klepania kosa. Wieczorem oznajmił mnie i siostrze Frozynie, że jutro zaczynamy sianokosy. Własnej łąki było bardzo mało, więc od szeregu lat ojciec dzierżawił we dworze Dzierzkowice 2 morgi łąki pod lasem za rzeką Urzędówką. O świcie ojciec udał się kosić dużą łąkę, a my z siostrą mieliśmy przyjść później, gdy rosa obeschnie, rozbijając ściętą trawę. Siostra podała ojcu śniadanie, a potem szukaliśmy krzaków dzikich porzeczek, rosnących między krzewami olszyny. Ojciec kosił dalej, a my we dwoje rozbijaliśmy pokosy. Po obiedzie przewracaliśmy siano, nad wieczorem zgrabiliśmy podsuszone siano w kręgi. Na drugi dzień ojciec dokończył koszenie, a my przed wieczorem ułożyliśmy siano w „kopki”. Na trzeci dzień dokończyliśmy suszenie. Po powtórnyim złożeniu siana w kopy przyszedł gajowy z pękiem gałązek olchowych. W zapłatę za dzierżawę dwór otrzymywał jedną trzecią zbioru. Gajowy powtykał gałązki w te kopy, które należały się dworowi.

Przed wieczorem zwieźliśmy suche siano i ułożyli na strychu nad stajnią i oborą. Lubilem grabić, suszyć, natomiast nie lubilem zrzucić siana z wozu i układać na dusznym, gorącym i zapyłonym strychu. Całe szczęście, że była blisko rzeka.

Minęło kilka dni od sprzątnięcia siana. Wczesnym rankiem w niedzielę wyjechałem na łąkę paść konie. Po spętaniu konie chciwie zaczęły skubać już trochę odrosłą trawę. Spokojnie podszedłem do kopy siana, którego dwór jeszcze nie zabrał. Oparłem się o kopę plecami, wygrzewałem się na słońcu, sen mnie zmorzył i w tej pozycji siedzącej zasnąłem.

Ciszę panującą na łące między rzeką a ścianą lasu przerwały jakieś podejrzane szmery i bulgotanie wody na skraju łąki i lasu. Ostrożnie wstałem, spojrzałem w stronę lasu i zauważyłem starą dziką kaczkę z kilkunastoma piskletami. Zacząłem się w tę stronę skradać z myślą schwytania małego kaczącia. Matka spostrzegła mnie i zaczęła bić skrzydłami o wodę i błoto. Ot, nieszczęśliwa,

pewnie postrzelona. No, jeżeli tak, to wolę złapać dużą kaczkę zamiast małego kaczącia. Wyciągnąłem ręce i już, już, a schwytam ją. Matka głośniejsze i energiczniej tarza się przede mną, ale odległość utrzymuje nadal o jakieś dwa kroki. Nagle uspokoiła się i gwałtownie oddaliła się w zarośla – przepadła. No, ale miała przy sobie dzieci, gdzież one są? Przepadły, nie ma nic. W ten sposób wyprowadziła mnie „w pole” i uratowała sama siebie i swoją gromadkę kaczątek. Jak niepyszny wróciłem na dawne miejsce, usiadłem i podziwiałem spryt, przebiegłość i instynkt dzikiej kaczki i jej malerstw.

Zbliżała się południowa pora, więc należało wracać do domu, aby zdążyć na nabożeństwo do kościoła. Energicznym krokiem zbliżyłem się do koni. W momencie uwalniania nóg końskich od pęta kary koń schwycił mnie za ubranie na piersiach zębami i rzucił mnie jak piłkę na odległość kilku kroków. Uczułem ból w piersiach od uderzenia końskiego pyska. Na piersiach zwieszał się oderwany kawałek kurtki, a przy niej nie było żadnego guzika. Ochłonąłem od chwilowego zdumienia i przerażenia, powoli zbliżyłem się do koni od strony kobyły. Przewlokłem jeden koniec sznura od kantara karego, drugim końcem związałem kantar kobyły. Wsiadłem na kobyłę i wróciłem do domu, powiewając kawałkiem marynarki, jak husarz, który z walki wraca do domu.

## „Czarna sotnia”

Druga połowa października 1906 roku. Zbliża się zima. Garncarz Marcin Gajewski, sąsiad z przeciwka, w lesie dzierzkowickim w gliniankach nakopał sobie na zimę zapas gliny do wyrobu garnków, donic, dzbanków, wazoników i prosił mego ojca, aby mu zwieźć tę glinę. Ojciec, mimo że stosunki sąsiedzkie nie zawsze układały się pomyślnie, zgodził się zadośćuczynić jego prośbie. A ponieważ sam nie miał czasu jechać, więc wydelegował mnie. Zaprząłem konie do wozu, obejrzał czy wszystko jest w porządku przy wozie, upomniał mnie, abym uważnie jechał, nie złamał orczyka lub kłonicy, a broń Boże dyszła. Takie upomnienia wzbudziły we mnie jakiś niepokój. Przyjechałem na miejsce przed wieczorem. Znalazłem urobek, bo był naznaczony gałązką grabową z liśćmi. Podjazd na bliską odległość utrudniały duże drzewa i doły po wykopanej glinie. Jedno miejsce byłoby dobre, tylko ta droga była podkopana. Podjechałem blisko. Zacząłem przenosić na wóz duże grudy gliny, ciężkie, z którymi ledwo dawałem sobie radę. Spieszyłem się, aby przed zmierzchem wyjechać z lasu. Ciemności sam jeden w lesie obawiałem się, tym bardziej że córka garncarza, starsza ode mnie 2-3 lata, naopowiadała mi, że „czarna sotnia” buszuje po okolicy, zabija ludzi, a zabudowania gospodarskie bez pardonu pali. Spaliła i splądrowała już Józefów, Chodel i inne miejscowości.

No, wszystka glina na wozie, teraz aby tylko to niebezpieczne miejsce przejechać. Przed ruszeniem wozu obmyśliłem taktykę przejazdu przez tę pułapkę: więc siądę na wóz, dam koniom po bacie i zanim się to sklepienie

oberwie, to ja już przejadę na bezpieczne miejsce. Tak zrobiłem. Konie prędko ruszyły, przednie koła niebezpieczne miejsce minęły, ale pod tylnymi ziemia się oberwała, wóz zapadł się w dole i połowa gliny wysypała się z wozu. Ja spadłem z wozu. No cóż. Wóz leży, konie gwałtownie robią bokami ze zmęczenia, ale wozu z dołu wyciągnąć nie mogą. Orczyki nie połamały się, ani kłonicie, dyszel cały. Wyładowałem resztę gliny z wozu. Wóz z trudem udało się postawić na koła. Konie zaparły się mocno kopytami i przy mojej pomocy wyrwały wóz z dołu. A tu w lesie już ciemno się robi. Wynosiłem duże grudy gliny i składałem na wozie, oddalonym od dołu o kilkanaście kroków. Spociłem się, zmęczyłem niepomieranie – ale wszystka glina już na wozie.

Dalej już droga była dobra, przejazd bezpieczny. Przy świetle latarni wyładowaliśmy z Gajewskim glinę i ułożyli w przygotowanym miejscu. Zmęczony i ubrudzony gliną wróciłem szczęśliwie do domu. Ojciec obejrzał wóz: orczyki, kłonicie i dyszel cały – wszystko w porządku! Nawet postronki nie porwane!

Posterunki w okopach za stodołami, gdzie były wiązki słomy i smoła, które miały służyć po podpaleniu za sygnał o zbliżającej się „czarnej sotni”, były już na miejscu. A „czarnej sotni” jak nie było, tak i nie ma do dnia dzisiejszego. A Józefów, Chodel i inne miejscowości jak stały, tak stoją. Nie zaszła potrzeba użycia wideł, motyk i cepów do odparcia wroga, bo go nie było. Niebezpieczeństwo wywołane psychozą bezpowrotnie minęło. A co to była ta „czarna sotnia” do dziś nie wiem.

## **Sadzimy nowy las**

Po zbiorze prosa w następnym roku ojciec, i nie tylko on, posiał owies, który udał się wspaniale, a potem żyto. Podczas każdej orki wykopywał stare pnie po dawnych drzewach. Przez te trzy lata została ziemia dobrze uprawiona. Na jesieni w niedzielę przeszedł gajowy przez Bęczyn i inne przedmieścia i ogłosił, że w nowo posianym życie będzie się sadzić sadzonki sosny. Agitował, aby chętni zgłaszali się do pracy, a w zamian za pracę dwór będzie płacił nie pieniędzmi a drewnem opałowym. Do tej pracy zgłosiło się dużo ludzi, przeważnie młodzież. Razem z innymi zgłosiłem się i ja.

Gajowi wcześniej przygotowali sadzonki sosny w odpowiednich łubiankach, kołki dwumetrowe na końcu ostro zakończone i sznur 10-metrowej długości z powtykanymi kołeczkami rozmieszczonymi co 1 metr jeden od drugiego. Końce sznura były przywiązane do dwumetrowych palików. Na końcach sznurów z palikami stanął jeden robotnik z miarką jednogłowką. Kładł na ziemi miarkę i na końcu wtykał kij, to samo zrobił drugi na drugim końcu, naprężając mocno linkę. Koło linki stawali inni robotnicy i przez mocne uderzenie zaciosanym kołkiem wybijali w ziemi otwory. Odmierzali metrówką i przerzucali linkę naprzód. Za tymi robotnikami posuwał się szereg sadzaczy

z sadzonkami w dłoni. W otwory wtykali sadzonki, mocno obciskając młodą roślinkę, z której miała w przyszłości urosnąć nowa duża sosna.

I tak zręcznie, zgrabnie posuwali się robotnicy z liną, za nimi dziurkacze, a na końcu sadzacze. Gajowi pilnowali czy dobre otwory i czy dobrze posadzono nowe rośliny. W ciągu trzech dni cały pas kopanin został zalesiony sosnami.

Na wiosnę 1907 roku podobną metodą sadziliśmy żołądzie dębowe. Ta praca szła jeszcze sprawniej, gdyż żołądz nie musiał być tak starannie posadzony jak sosienka. Wystarczyło w otwór wrzucić żołądzia i byle jak zasypać ziemią.

## **Jedziemy po drewno**

Po obliczeniu dniówek pracy przy sadzeniu lasu gajowi ogłosili dzień i godziny, w czasie których będzie można z lasu pobrać drewno na opał. Do oznaczonego miejsca zjechały się fury z ludźmi, którzy mieli zgromadzić i załadować opał.

Las był własnością rządu rosyjskiego, który dawnemu właścicielowi za udział w powstaniu zarekwirował dobra wraz z okolicznymi lasami. Leśniczy Rosjanin objaśnił, że wolno zabierać suche gałęzie z drzew, a nawet i całe drzewa uschnięte. W ostateczności można wycinać inne drzewa tam, gdzie zbyt gęsto rosną.

Na dany sygnał ruszyły na wyścigi fury do lasu. Leśniczy konno, a gajowi pieszo udali się za furami, aby dopilnować, czy wydane zarządzenie będzie ściśle przestrzegane. W pół godziny znaleźli się przy naszej furze. Tu zdążyłem zauważyć, że jeden gajowy trzyma w rękach dwie siekiery, a drugi jedną. Siekiery zostały wzięte tym furmanom, którzy wbrew zarządzeniu leśniczego ścinał drzewa zdrowe, proste, wolno rosnące. A u nas? Suchego drzewa nie znaleźliśmy, a suche gałęzie już przedtem ludzie obłamali i zabrali do domu. Ojca przyłapali jak ścinał krzywe, surowe drzewo, które rosło obok drugiego. Myśleliśmy, że ojcu też zabiorą siekiere, ale tego nie zrobili, bo to drzewo przeszkadzało rosnać drugiemu i w dodatku było krzywe. Po oddaleniu się nadzoru mieliśmy wolną rękę. Ścieliśmy dwa drzewa, które nie odpowiadały normom. Włożyliśmy to drzewo w środku fury drabiniastej, a obłożyli po bokach drobnymi gałęziami. Przy wyjeździe z lasu jeszcze raz gajowy obejrzał furę dokoła, lecz nie zauważył nic podejrzanego. Przywieźliśmy na podwórze solidną furę drewna opałowego. No, teraz może już być zima.

## **Inne usługi dworskie**

W owych czasach plantatorami buraka cukrowego były dwory. Majątek w Dzierzkowicach był bardzo duży. Administracja dworu musiała często korzystać z pracy ludzi niedworskich. Dziesiątki ludzi pracowało przy wykopkach

kartofli, zbiorze chmielu, ale najwięcej przy pielęgnacji i zbiorach buraków cukrowych. Przy kopaniu, wrywaniu i ogławianiu były przeważnie kobiety.

Zebrane buraki kobiety składały do kopców. Okoliczni drobni rolnicy zgłaszali się do wywożenia buraków do cukrowni w Zakrzówku. Do tych ostatnich należał i mój ojciec.

Najczęściej wyjeżdżał po obiedzie na niwę, napełniał wóz burakami i przywoził do domu. Następnego dnia o świcie odwoził do cukrowni w Zakrzówku. Tam po oddaniu i zważeniu buraków otrzymywał kwit, który był realizowany w Dzierzkowicach gotówką, ale najchętniej drewnem z lasu.

\*

Innym sposobem zarobkowania był wywóz drewna ściętego w lesie. Proste, zdrowe sosny okorowane miały chętnych nabywców w kraju i za granicą. Najbardziej poszukiwane było drewno dębowe. Przy ścinaniu i obrabianiu tego drewna prócz zwykłych drwali pracowali fachowcy.

Trzeba było ścięte drzewo porządkować na możliwie proste i długie kawałki. Inni robotnicy ośnikami obkorowywali, a jeszcze inni mierzyli długość, grubość, masę drzewa. Wyniki tych pomiarów były wyryte odpowiednim ryłcem na sztuce drewna. Otóż te sztuki (plansony) z wiedzą i obecnością gajowego zabierali do domów, a potem w wolniejszym czasie odwozili do Wisły, gdzie formowano tratwy i spławiano Wisłą do morza.

Ojciec najchętniej pracował przy wywózce dębów. Niekiedy musiałem z ojcem jechać do lasu, aby mu pomóc przy wkładaniu na wóz (zimową porą na sanie) te ciężkie kłocce oraz podać gajowemu personalia ojca.

## **Wszystkich Świętych**

Około godziny 4 wszyscy idziemy do kościoła, skąd wyrusza procesja na cmentarz grzebalny przy Wodnej. Wierni kroczą poważnie, ksiądz z procesją obchodzi kwartały z grobami, święci groby.

Ludność z Bęczyna wraca krótszą drogą przez łąki. O zmroku idziemy z ojcem po obejściu gospodarskim. Ja niosę wodę święconą na talerzu, ojciec moczy kropidło i święci w stodole, oborze, stajni, w sieni i izbach. Może to wydać się naiwną czynnością, ale w tym dniu i o tej porze ma to swoisty symbol połączenia się żywych z umarłymi. Na mnie to robiło duże wrażenie.



## Nowa Szkoła Jagiellońska, 1906–1911

Niedziela, maj. Wcześniej niż to zwykle czyniłem przebrałem się w świąteczne ubranie i wyszedłem przed dom, stanąłem na wzgórku, gdzie kiedyś był piec do wypalania garnków i obserwowałem jak ludzie grupkami szli do kościoła.

Przeszli obok mnie Jan Chęciński, uczeń nowo powstałej szkoły polskiej – Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie, Lizinkiewicz, pisarczyk gminny, i Zygmunt Turkowski, uczeń rosyjskiego gimnazjum. Rozmawiali między sobą o czymś ciekawym, bo co raz wybuchali głośnym, beztroskim śmiechem. Zauważyłem, że w rozmowie używają języka literackiego, a nie gwarowego, którego używali mieszkańcy Bęczyna i samego Urzędowa.

Tak doszedłem w niewielkiej odległości od nich do rynku. Oni poszli wprost do kościoła, a ja na parę minut zatrzymałem się na rynku, obserwując jak chłopcy łapią żydowskie kozy za rogi. Niektórzy próbowali wsiąść na kozę jak na konia. Kozą się wyrwała psotnikom i pobiegła po schodach, gdzie na strychu miała swój stały pobyt. Z krzykiem wybiegła Żydówka, chłopcy się rozproszyli. Na rynku nastał spokój.

Tak się złożyło, że w kościele stanąłem obok Julka Pyza, ucznia nowej szkoły w Urzędowie. W rękę trzymał swoją okrągłą, granatową z niebieskim otokiem czapkę. W środku czapki na całej powierzchni nakrycia była kartka papieru z napisem dużymi kształtnymi literami „Szkoła Jagiellońska w Urzędowie”. Jak ja zazdrościłem mu, że może dalej się uczyć, w dodatku w nowej szkole. Napis ten tak mnie zainteresował, że o niczym nie myślałem, tylko o tej czapce i nazwie szkoły.

Wracając do domu po nabożeństwie, widziałem jeszcze kilku znajomych uczniów w takich samych czapkach. Minęli mnie Ignacy Wośko z Mikuszeńskiego, Hilary Grzebuła z Bęczyna i inni.

Po żniwach, w niedzielę spotkałem się z Piotrkim Gozdalskim z końca Bęczyna. Zaprosiłem go do odwiedzenia mnie w godzinach przedwieczornych. Chętnie się zgodził. W rozmowie pytałem się go, czy trudna jest nauka w klasie wstępnej nowej szkoły, kiedy będą przyjmowali nowych uczniów. W czasie tej rozmowy wszedł do mieszkania mój ojciec. Piotruś włożył nową czapkę na głowę i zabierał się do wyjścia. Prosiłem go, aby mi pozwolił przymierzyć czapkę, na co chętnie się zgodził. Ojciec przez ten czas, zapalając papierosa, obserwował Piotrka i mnie, z lekka uśmiechając się. Odprowadziłem kolegę do kapliczki i wróciłem do domu. Utkwił mi w pamięci ten szczegół, że ojciec nic nie mówiąc, uśmiechnął się.

Minęło kilka dni. Po kolacji ojciec mimochodem powiedział, że dokupi do karego drugiego dużego, mocnego konia, nowy mocny wóz i ja będę zarabiał końmi, przewożąc do sklepów towary i świnie po każdym jarmarku. Popatrzyłem na ojca i pomyślałem, skąd mu to do głowy przyszło. Kontynuował dalej, że Starak z podlasia w ten sposób dobrze zarabia. Nie namyślając się długo odpowiedziałem, że furmanem nie będę, bo do tego nie mam zdolności. Ojciec zmarszczył brwi i powiedział: „Ja wiem, że ty chciałbyś pójść na lekki chleb. Pewnie chciałbyś być organistą i razem z księdzem paradować po kościele”. Powiedziałem, że do tego jest potrzebna długa i niełatwa nauka. Musiałbym najpierw skończyć jakąś „większą” szkołę. Na tym rozmowa się urwała.

Poprosiłem stryja Józefa, aby poszedł ze mną do nauczyciela „nowej szkoły”, aby tam się zapisać i uczyć razem z innymi chłopcami. Stryjek przyrzekł mi, że o tym porozmawia z moim ojcem. Na drugi dzień spotkałem go na ulicy i poprosiłem jeszcze raz. Wieczorem po zachodzie słońca udaliśmy się do miasta.

Weszliśmy do kuchni. Tam zastaliśmy matkę kierownika szkoły, od której dowiedzieliśmy się, że syn Franio nie wrócił jeszcze z wieczornego spaceru. Jak wróci, to mu o tym powie. Rozejrzałem się po kuchni i zauważyłem prócz naczyń kuchennych wiszące na ścianie skrzypce o dwóch strunach i smyczek. To mi nasunęło myśl, że te skrzypce od dłuższego czasu nie były używane. Po wejściu syna matka wskazała na mnie mówiąc, że chcę się zapisać do szkoły.

Nauczyciel kazał mi siąść przy kuchennym stole, postawił kałamarz z atramentem, położył pióro i kartkę papieru. Podyktował mi parę zdań: „W ogródku rosną kwiatki, różne bratki” i dwa inne zdania, których dziś nie pamiętam. Charakterem pisma, a zapewne i treścią nie był zachwycony. Przecież minęły 2 lata od chwili mego ostatniego pisania piórem. Przeprowadził mnie bardzo krótko z tabliczki mnożenia. Tu wypadło lepiej. Popatrzył na mnie krótką chwilę i zapytał, czy naprawdę chcę się uczyć. Odpowiedziałem: „Bardzo chcę”. Rozłożył ręce i powiedział: „No cóż! Przyjmuję cię, ale musisz dobrze popracować, bo my już przerobiliśmy dużo materiału od 5 września”. Na pożegnanie ukloniłem się jak najgrzeczniej i opuściliśmy kuchnię. Na zakończenie pan Franciszek Brzozowski przypomniał, abym przyszedł do szkoły przed godziną 8. Do domu nie szedłem, a „leciałem na skrzydłach”.

Wtajemniczyłem o tym babcię, która następnego dnia przed odejściem do szkoły dała mi pół rubla (50 kopiejek) w srebrze. „Nowy pan” polecił nauczycielce pani Decyusz wpisać mnie do dziennika na listę uczniów wstępnej klasy. W ciągu pierwszej godziny byłem biernym uczniem, gdyż nie miałem ze sobą ani książek, ani zeszytów. Na pierwszej przerwie kupiłem komplet zeszytów u Abramka, a po lekcjach książkę do języka polskiego *Rok czytania*, na drugi dzień zaś, po otrzymaniu pieniędzy od ojca, skompletowałem resztę

podręczników do języka rosyjskiego, arytmetyki i blok rysunkowy. Teraz już byłem uczniem Szkoły Jagiellońskiej w pełnym tego słowa znaczeniu.

Zamówiłem u czapnika, Żydka, nową uczniowską czapkę, którą odebrałem po kilku dniach. Nie mogłem się nią nacieszyć. Używałem ją tylko, gdy szedłem do szkoły. W domu nosiłem starą, dawniej używaną czapkę.

Wracałem do domu w towarzystwie kolegów: Piotra Gozdalskiego, Karola Lizinkiewicza, Stanisława Turkowskiego, Romana Jagiełły, Zygmunta Wojtuszkiewicza, Romana Jacniackiego, Stanisława Więckowskiego.

## **Nauka w klasie wstępnej**

Do klasy prowadziły drzwi od strony zajazdu Więckowskiego, po trzech stopniach schodów. Przed dwoma laty w tej sali była herbaciarnia. Naprzeciwko drzwi wisiała tablica szkolna, a przed nią stał długi sosnowy stół na krzyżakach dla nauczyciela. Izba zastawiona była dwoma rzędami kiluosobowych ławek. Ściany były malowane niebieską farbą kredową z brązowymi ornamentami. Prócz tablicy na ścianie wisiał krzyż i podział godzin (zamiast carów, jak to było w szkole ludowej). Podłoga była malowana brązową olejną farbą. W jednym kącie sali były wieszaki na palta i czapki. Ale najważniejszą różnicą było to, że tu panował język polski na wykładach i w czasie pauzy. Uczyliśmy się pięć godzin z 20-minutową przerwą między trzecią i czwartą godziną lekcyjną. Wszystkie godziny były wypełnione głośną nauką nauczyciela. Prace piśmienne były zadawane do domu. Wzywany(a) uczeń(nica) podchodził do stołu względnie tablicy, szarmancko kłaniał się nauczycielowi i odpowiadał na pytania nauczyciela, odchodząc na miejsce powtórnie się kłaniał (tego nie było w szkole ludowej). Nauczyciel w notesie stawiał uczniowi odpowiedni stopień. Klasa była nieliczna. Nauka była płatna w wysokości 5 rubli kwartalnie. Po kilku dniach mojej nauki zostałem wezwany przez panią Decyusz do odpowiedzi z języka polskiego. Nie wiem, co spowodowało, że przy ostatniej odpowiedzi rozplakałem się, choć na wszystkie pytania dałem odpowiedzi zadawalające. Nauczycielka i uczniowie z politowaniem spoglądali na mazgaja. To się więcej nie powtórzyło.

Kierownik szkoły pan Brzozowski uczył nas arytmetyki, języka rosyjskiego, rysunków i gimnastyki. Pani Decyusz uczyła języka polskiego, religii, kaligrafii. Przerwy w nauce spędzaliśmy na rynku, grając w piłkę (sparzanego) lub w palanta obok szkoły, kościoła i apteki Michalewskiego w narożnym domu Dzikowskiego.

W czasie dużej przerwy nauczyciele udawali się do swoich mieszkań na drugie śniadanie, a mieszkali w tym samym domu. Blisko mieszkający uczniowie również biegli do domów, a my, co mieszkaliśmy daleko, w klasie spożywaliśmy suchy prowiant przyniesiony z domu.

## **Nie wolno w klasie hałasować**

Po spożyciu kawałka czarnego razowca z olejem razem z innymi uganiałem się za piłką po rynku. Gdy mi się ta zabawa znudziła, wpadłem prędko do klasy i coś tam głośniej krzyknąłem, za co dyżurny Piotr Komza, syn organisty z Bobów, zapisał mnie kredą na tablicy.

Niebawem po dzwonku wszedł do klasy nauczyciel Brzozowski i spojrział na tablicę z wypisanymi nazwiskami uczniów, którzy hałasowali w czasie przerwy. Zapytał dyżurnego, za co uczeń został zapisany. Dyżurny Komza odpowiedział, że za hałas w czasie dużej przerwy. Pan Brzozowski wzywał do stołu delikwenta i pociągał go za uszy. To samo spotkało i mnie. Pierwszy raz w czasie mojej nauki zostałem tak ukarany. (Moim zdaniem niesłusznie, bo tylko raz jeden coś tam głośniej powiedziałem).

## **A co robiłem w domu po lekcjach?**

Po przybyciu do domu zjadłem z wilczym apetytem obiad, który macocha zostawiła mi w duchówce. Natychmiast brałem się do odrabiania piśmiennej pracy. Wiedziałem, że przy nikłym świetle małej naftowej lampy nie będę mógł tego zrobić. Jeżeli praca trwała krótko, to pomagałem przy młóceniu zboża, rżnięciu siewki czy znoszeniu porąbanego przez ojca drewna opałowego itp. Przy świetle stawałem na ławie przy kominie i uczyłem się lekcji przy lampie stojącej na „kapie” kuchni. Kobiety zimową porą przędły nici, a ojciec tłukł jaglaną kaszę drewnianym tłuczkiem w drewnianej „stępie” na jutro na obiad, ale to nie była jego codzienna wieczorna praca.

Często zachodziłem do komorników do małej izdebki. Po opuszczeniu mieszkania przez Berka zamieszkali Winiarscy – trzech braci kawalerów. Z rozmowy z nimi dowiedziałem się, że przed tym pracowali w jakimś dworze. Tam pokłócili się z dziedzicem, który im wymówił pracę. Znaleźli się w krytycznym położeniu bez dachu nad głową. Wynajęli u ojca izdebkę za 12 rubli rocznie i w niej zamieszkali. Udało im się znaleźć pracę w dzierżkowickim lesie. Na jesieni i wiosną kopali rowy, odgradzając las od dróg i chłopskich pól, a w zimie wycinali drzewo w lesie na budowę i opał. Praca była dorywcza a ciężka. Byli czytani, znali dobre i złe strony życia. Starszy brat, Wacław, około 50 lat, zostawał w domu. Prał, sprzątał mieszkanie, starał się o produkty żywnościowe i gotował pożywienie dla młodszego brata Teodora i najmłodszego Józefa.

W wolnych chwilach robił skrzypce, ale te prawdziwe, nadające się do grania, a nie zabawki. Z wielkim zainteresowaniem patrzyłem na jego pracę. Podziwiałem, jak on zwykłym nożem, „cygankiem” ze zgiętym ostrzem, może robić tak piękne rzeczy. Bracia przynosili mu czasem krótkie, połupane szczapy mokrej, surowej olchy, od ojca dostał wybrane, w równe,

drobne słoje deski sosnowe, które posłużyły mu na wyrób spodniej i górnej deski do skrzypiec. Boki porobił z desek surowej wiśni, bo te nadawały się do wyginania. Szyjkę skrzypiec ze „ślimakiem” zrobił z olszyny. Smyczek i gryf upiększył oszlifowanymi kawałeczkami muszli szczeżui. Na wykonanie takich skrzypiec zużywał kilka tygodni. Parę sztuk takich skrzypiec zrobił, bo nie miał amatorów – odbiorców. Często młodzież zapraszała go do przygrywania na młodzieżowej zabawie. Najmłodszy brat bębnił na bębnie, też swojej roboty.

Ojciec, sąsiedzi, parobcy często „chłopaków” odwiedzali na pogawędki w długie wieczory. Najbardziej był czytany średni brat, Teodor. Miał on kilka kalendarzy, już wykorzystanych. Jeden z tych kalendarzy pożyczyłem sobie. W ciągu kilku dni przy dorywczym czytaniu „przestudiowałem” „od deski do deski”. Resztę tych kalendarzy kupiłem od niego. Każdego wieczoru z wielkim zainteresowaniem czytałem i czytałem cicho, a czasem to i głośno.

## **Stosunki koleżeńskie w szkole**

Najlepiej czułem się w życiu i zabawie ze znanymi kolegami, synami rolników, takimi jakim byłem i ja. Życie i bycie innych obserwowałem z dala. Wyróżniałem się w klasie pracowitością, mniej zdolnościami. Nie mogłem się równać z Fiutówną, córką sekretarza Sądu Pokoju, jej kuzynem Wilczyńskim, Pyzem z Wodnej i Matyldą Pytlakowską, siostrą profesora gimnazjalnego w Lublinie, późniejszego kuratora Okręgu Szkolnego Warszawskiego, i Kotlińskim, synem organisty. Oni, przyzwoicie ubrani, zaopatrzeni w pomoce naukowe, teczki na książki, a nie tak jak ja: w podniszczonym garniturze, w butach z cholewami, nie zawsze oczyszczonych, w lnianej koszuli. Książki nosiłem zapakowane w chustkę. Przybory pisemne w futerałach papierowych, który sobie sam zrobiłem. Drugie śniadanie składało się z dwóch kromek chleba posmarowanych nie masłem, a zwykłym olejem lnianym lub rzepakowym.

Duży procent kolegów i koleżanek rekrutował się z oddalonych miejscowości: Kraśnika, Bobów, Moniaków, Chodla, Wierzbicy, Chruślanek, Dzierzkowic, Popkowiec itp. Początkowo stronili od nas urzędowiaków – rolników. Z końcem roku różnice stanowe zaczęły się zacierać i poziomy w nauce i zachowaniu równać.

W klasie było praktykowane nieoficjalne współzawodnictwo. Uwidoczniło się to szczególnie w nauce arytmetyki. W czasie klasówki z arytmetyki nauczyciel pisał na tablicy tekst zadania, który wpisywaliśmy do zeszytów, a później sami prędko rozwiązywaliśmy na kartkach. Kto pierwszy rozwiązał zadanie, podchodził do nauczyciela i wręczał mu kartkę z rozwiązaniem. Nauczyciel rzucił okiem na kartkę, działania i uzyskaną odpowiedź i skinął głową, że dobrze, albo pokręcił głową, gdy zadanie było źle rozwiązane. Szczęśliwiec biegł szybko na miejsce, pisał pytania, działania

i odpowiedzi. Biegiem odnosił swój zeszyt i kładł go na nauczycielskim stole. Wiadomo już było, że za pracę otrzyma bardzo dobrą ocenę, kilku następnych uczniów otrzyma dobre noty, reszta już tylko dostateczne. Oczywiście, kto nie rozwiązał zadania dobrze – ocena niedostateczna. Przy rozwiązywaniu zadań klasowych celował Hipolit Cieszkowski. Później już uprzedzali go i inni. Między ostatnimi byłem i ja.

W czasie zapisywania zadania na tablicy kolega mój najszczęśliwszy Romek Jagiełło odczytał tytuł i autora podręcznika. Udało mu się zdobyć taki sam podręcznik od Aleksandra Golińskiego, ojca przyszłego biskupa częstochowskiego Zdzisława. Przed każdą klasówką wcześniej w domu rozwiązywaliśmy z Romkiem kilka, a nieraz kilkanaście zadań naprzód. W czasie przepisywania odnalazłem już rozwiązane zadanie, skinałem głowę Romkowi, że zadanie mamy. Teraz należało wpisać, i to bardzo szybko, podać kartkę i złożyć zeszyt na stole, uprzedzając Cieszkowskiego. Z dumą spoglądaliśmy na innych uczniów, którzy mozolili się nad rozwiązaniem. Ocena: bardzo dobra. To współzawodnictwo postawiło mnie w rzędzie bardzo dobrych uczniów z matematyki.

## Zakończenie roku szkolnego 1907/1908

Czy to prawda, że koniec roku bliski? A tak, prawda. W drugiej połowie czerwca po lekcjach zatrzymała mnie pani Decyusz. Stałem przy niej przy długim stole nauczycielskim i myślałem, co to być może. Przebiegłem myślą ostatnie dni, chcąc sobie przypomnieć, czy w tych dniach popełniłem jakieś „przestępstwo”. Ale nic nie znalazłem w tej materii. Tymczasem nauczycielka podaje mi piękną, grubą, choć krótką, książkę pachnącą wodą kolońską. Otworzyła ją i powiedziała, że w czasie uroczystego zakończenia roku będę deklamował wiersz Adama Asnyka *Wędrowało sobie słonko...* Sama przeczytała ten krótki wiersz. Kazała mi, abym się go dobrze nauczył na pamięć. Z nabożeństwem wziąłem tę książkę. Naturalnie tegoż samego wieczoru już się nauczyłem. Dla pewności rano jeszcze przed pójściem do szkoły przypominałem sobie treść wiersza. Po lekcjach zapytała się, czy już nauczyłem się. Wygłosiłem wiersz z pewnym zacinaniem się. Przez cały tydzień wygłaszałem, a ona poprawiała dykcję i intonację.

Tak nosiłem tę książkę cały tydzień. Zdarzyło się, że książka ta nie pasowała swymi rozmiarami do moich podręczników, wypadła mi na ziemię i trochę się zabrudziła. Przerażony wytarłem ją z ziemi dokładnie. Nie wiem, czy pani nie zauważyła pobrudzonej kartki, czy też nie chciała na ten temat nic mówić.

W dniu zakończenia ubraliśmy salę szkolną (I klasy), na oknach ustawili w słojach dużo bławatków, które zerwałem w naszym życiu. Przy stole przydialnym zasiadł pan Hempel, Goliński, grono nauczycielskie: pan Brzozowski oraz panie Decyusz i Splizgart. Hempel zadał jednemu uczniowi: kiedy był



chrzest Polski?, Goliński: ile mamy części świata i jakie? Teraz zaczęły się deklamacje; najpierw uczennica wygłosiła *Stefek Burczymucha*, a potem przyszła kolej na mnie, na wiersz Adama Asnyka:

„Wędrowało sobie słonko,  
uśmiechnięte, jasne, złote,  
Szło nad polem, szło nad łąką,  
napotkało w łzach sierotę.

Ten się żali: Słonko moje,  
piękne nosisz swoje stroje,  
A ja tutaj taki biedny,  
tu nad polem smutny stoje.

Słonko na to: Nie pomogą próżne żale,  
Ból swój niebu trza polecić,  
A samemu wciąż wytrwale,  
Trzeba naprzód iść i świecić”.

Przy ostatniej zwrotce głos mi się załamał, a łzy napęłniły moje oczy. Momentalnie wytarłem oczy chusteczką do nosa. Hempel to zauważył i powiedział: „Jak to z przejściem powiedziałeś ten piękny wiersz”. Podał mi w nagrodę za pilność i dobre sprawowanie książkę *Młodość w pięciu częściach świata* ze słowami: „Ucz się tak dobrze dalej”. Podziękowałem, ukloniłem się i dołączyłem do grona moich stojących kolegów, oszołomiony tym wypadkiem. Długi czas nie mogłem opanować swego wzruszenia. Byłem zły, że tak się zachowałem nietaktownie.

Tekst wiersza był bowiem ściśle związany z moim życiem rodzinnym. Formalnie nie byłem okrągłym sierotą, ale nominalnie uczułem się pełnym sierotą. Nie miałem matki, a ojciec nie mógł mi dać tej radości życia, należytej małemu chłopcu. Książkę tę czytałem kilkakrotnie, za każdym razem przeżywałem troski i niepowodzenia chłopców, bohaterów książki.

Na dwa miesiące przestałem być uczniem, a stałem się siłą roboczą w gospodarce swojego ojca i rodziny.

## Klasa I, rok 1908/1909

Nareszcie prace polne dobiegają końca. Jutro już do szkoły do klasy I. Sala szkolna bardzo różni się od zeszłorocznej. Jest długa i dość szeroka, aby zmieścić dwa rzędy dwuosobowych ławek i stół nauczycielski. Posiada cztery okna i troje drzwi. Jednymi drzwiami wchodzimy i wychodzimy na przerwy prosto na rynek, drugie drzwi prowadzą do sąsiedniej sali klasy wstępnej, a trzecie na długi, dość ciemny korytarz. Przede mną siedzi Tymoteusz Pajdowski i Wiktor Mazurkiewicz, krzywonosek, który w klasie wstępnej siedział obok mnie. Obaj koledzy mieszkają w rynku. Prawie na każdej przerwie czubią

się, jak dwa niesforne koguty. Oto zaraz na trzeci dzień wylali atrament, który popłynął po pochyłości ławki w kształcie Wisły. Niedługo cieszyli się tą zabawką, gdyż pan Brzozowski przez potarganie uszu jednego i drugiego doprowadził ich do zgody i porządku. Teraz atramentu nie przynosiliśmy, bo woźny Tyc napełniał kałamarze atramentem szkolnym.

## **Nauczyciele i przedmioty**

1. Nowo przybyła Kazimiera Splizgart: religia, geografia ogólna-fizyczna (po polsku), kaligrafia.

2. Aleksandra Decyusz: język polski, język niemiecki, historia Polski.

3. Franciszek Brzozowski: język rosyjski, arytmetyka, przyroda martwa i biologia, gimnastyka, rysunki.

4. Marcin Kotliński – organista: śpiew (fisharmonia), udział uczniów i uczennic w chórze kościelnym i niesporach (po łacinie).

Nauczyciele na ogół nie wysilali się, aby podać nowy materiał w sposób interesujący. Najwięcej czasu poświęcali na odpytanie materiału naukowego opracowanego w domu. Prócz tego sprawdzali nasze wiadomości przez klasówki. Uczniowie, którzy otrzymali „5” i „4” wypisywali poprawione wyrazy po dwa razy na marginesie, uczeń z „3” przepisywał jeden raz całe wypracowanie, a dwójkowicz przepisywał całe wypracowanie dwa razy.

## **Wystrzał na lekcji**

Duży procent uczniów nudził się, szukał innego atrakcyjnego zajęcia. Do takich należał uczeń Żak z Leszczyny, syn posła do Dumy Państwowej. Na lekcji religii, zamiast słuchać odpowiedzi kolegi wezwanego do stołu, pod ławką (a siedział w ostatniej ławce) manipulował nabitym pistoletem swojej roboty. Naraz w klasie rozległ się huk wystrzału. Nauczycielka i uczniowie drgnęli z przerażenia. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę Żaka, który wybałuszonymi z przerażenia oczami bezradnie patrzył na nas. Natychmiast przybiegł pan Brzozowski, odebrał chłopcu pistolet, kazał mu natychmiast spakować książki i iść do domu po ojca. Przybył ojciec następnego dnia razem z synem. Pan Brzozowski objaśnił ojcu całe zajście. Ojciec przyrzekł, że w domu „porozmawia” z synem. Synek usiadł w ławce, a ojciec poszedł do domu.

## **Pałka do palanta w pokoju nauczyciela**

Na długiej przerwie obok szkoły i mieszkań nauczycielskich graliśmy w palanta. W tej grze brali udział uczniowie z różnych klas. Najchętniej

bawiliśmy się „lanką” – piłką kauczukową ulaną z jednej masy, bez wolnej przestrzeni w środku piłki. Piłka ta uderzona palantem leciała z dużą siłą i daleko. Trzeba było być odważnym, byстрыm i wytrwałym, aby ją w powietrzu złapać i „zasłużyć niebo” dla całej drużyny. Takie wypadki zdarzały się rzadko. Najbardziej baliśmy się, gdy ta piłka dostała się do rąk ucznia klasy II Julka Pyza, gracza mocnego i celnie trafiającego swego przeciwnika.

Nagle naszą napiętą uwagę przerwał głośny, charakterystyczny brzęk szkła zbitej szyby. Spojrzeliśmy w stronę okna nauczyciela i zamiast szyby w oknie zobaczyliśmy dużą czarną dziurę. Momentalnie rozbiegliśmy się we wszystkie strony, jak wróble przed jastrzębiem. Z różnych stron pojedynczo wracaliśmy do klasy i czekaliśmy na przebieg dalszych wypadków. Te dwie ostatnie godziny nauki odbyły się bez żadnych zakłóceń. Następnego dnia, w niedzielę, przechodząc koło okien zauważyłem, że w oknach są wszystkie szyby. W poniedziałek komentowaliśmy w gronie kolegów przebieg wydarzenia i zadawaliśmy sobie pytanie, kto i w jakich okolicznościach zbił tę nieszczęśliwą szybę. Okazało się, że sprawcą tego postępuku był uczeń klasy I Andrzej Mazik z Zakościelnego. Ten postrach nasz, Julek Pysz, doradził mi, aby po powrocie do domu przyznał się swemu ojcu o zbitiu szyby i poprosił o pieniądze na nową. Tak uczynił. W sobotę szklarz Jankiel po szabacie wstawił ją. Otóż Andrzejowi w czasie podbijania piłki wymknął się palant z dłoni i wpadł do pokoju nauczyciela. Nauczyciel ani słowem nie wspomniał o tym wydarzeniu. Widocznie i on miał podobny wypadek, będąc uczniem.

### **I mnie się zdarzyło...**

Lekcja języka niemieckiego. Pani Decyusz wygodnie usiadła na krześle. Rozłożyła na stole książkę i notes. Zastanowiła się chwilę i wezwała do stołu Mazurkiewicza do odpowiedzi. Przeczytał powoli z zająknieniem pierwsze zdanie i zaczął go tłumaczyć na język polski. Coś tam bąknął pod nosem i zatrzymał się. Przy czytaniu drugiego zdania powtórzyło się to samo. „Siadaj na miejsce” i w notesie wykaligrafowała „2”. Wezwała mnie. Przeczytałem, przetłumaczyłem, potem drugie, trzecie... „A teraz odpowiadaj po niemiecku”. W pierwszym zdaniu wystąpił rzeczownik „poziomka” przetłumaczyłem „Erdbeere”, w następnym „porzeczka” – „Hildenbeere”, dalej „agrest”. Wiedziałem, że kończy się na „...beere”, ale początek wyrazu zapomniałem. „Malina” – to samo „...beere” bez początku wyrazu. „Oj, źle” – pomyślałem. Pomyślałem jeszcze raz, ale z tego nic nie wyszło. „Siadaj, dwa. Cóż to się stało, że i ty lekcji nie przygotowałeś?”. „Ja się tej lekcji długo uczyłem”. „A dlaczego nie odpowiadasz?”. „Zapomniałem”. „Siadaj, siadaj. Innym razem lepiej odpowiesz”. Ukłoniłem się. Idę na swoje miejsce do ławki, ale nogi jakoś mi się rozśląją. Idę jak spętany. Siadłem na miejsce i uderzyłem książką w ławkę tak mocno, że górna okładka złamała się na pół. „Woško,

co to ma znaczyć? Rzeczywiście to niesłychane, abyś tak się zachowywał”. Odpowiedziałem jeszcze raz, że tej lekcji długo się uczyłem. Nauczycielka nic na to nie odrzekła. Nachyliłem głowę na ławce i do końca godziny płakałem. Po kilku dniach odpowiadałem, ale tym razem dostałem „4”. Nauczycielka tylko się uśmiechnęła.

### „Tańcy, tańcy martyszka”

Duża przerwa. Na rynku przed szkołą gromada ludzi. Pośrodku gromady stoi mężczyzna w średnim wieku i trzyma na dłuższym, cienkim łańcuszku małą małpkę, która na jego rozkaz wykonuje różne czynności. Do tej grupy przyłączyli się uczniowie naszej szkoły. Chcemy bliżej poznać egzotyczne zwierzę i te czynności, które ono tak dziwnie wykonuje.

Mężczyzna domyśla się, że uczniowie na sygnał dzwonka opuszczą gromadę i w ten sposób liczba gapiów się zmniejszy. Przerzywa seans i z gromadą dzieci udają się do naszej I klasy. Wykorzystał wolne miejsce w klasie; tu dla dzieci daje „przedstawienie”. Trzymając laskę poziomo na wysokości 1 metra, mówi: „Pokaż, co ty umiesz robić”. Podaje komendę: „Martyszka (małpko) teraz hop”. Małpka zręcznie przeskakuje laskę tam i z powrotem. „A wiecie dzieci, ona tak robi, bo chce zarobić sobie na cukierki. A może ma kto cukierki?”. Pytlakowska podaje mu cukierki. „A ukoń się i podziękuj”. Małpka łapczywie zjada słodczyce i niezgrabnie kłania się, oblizując sobie wargi. A my wszyscy buchnęliśmy głośnym śmiechem. Podaje małpce laskę, mówiąc: „Pokaż jak to baba wodę dźwiga”. Małpka spogląda na nas szelmowsko, kładzie laskę na oba ramiona i postępuje kilka kroków, stękając przy „niesieniu wody”. Znow salwa śmiechu. Ona wyciąga rękę i prosi o kilka kopiejek na cukierki. Któryś z kolegów daje jej 2 kopiejki. „A zapomniałaś podziękować”. Ta znow, stając na dwóch nogach jak człowiek, niezdarnie się kłania. „Obecnie pokaże, jak rano się czesze grzebieniem”. Podaje jej grzebień ze słowami: „Martyszka, czesi, czesi”. Zaczyna czesać to w prawo, to w lewo swój kudłaty łebek. Burza śmiechu.

Na ten hałas wchodzi kierownik szkoły i prosi impresario, aby opuścił salę szkolną, bo zaraz zaczną się normalne lekcje. Mężczyzna z lekka szarpnął za łańcuszek, mówiąc: „Ukoń się i na swoje miejsce hop”. Małpka ukloniła się ostatni raz i zręcznie wskoczyła mu na ramię, a stąd do kaptura przewieszzonego na plecach mężczyzny. W momencie włożenia do kaptura odwróciła się tyłem do dzieci, tak że na zewnątrz uwypukliła swoje nieowłosione pośladki i zwieszający ogon. Wykorzystał ten moment Bolek Jagiełło z wstępnej klasy i dał małpie klapsa po siedzeniu. Momentalnie małpa uwolniła się z kaptura, błyskawicznym ruchem skoczyła na piersi psotnika i obiema rękami podrapała mu twarz do krwi. Po krótkiej konsternacji koleżanki westchnęły: „Och”, a koledzy wybuchnęli gwałtownym śmiechem.

Przez kilka dni Bolek nosił na twarzy małpi odruch w postaci zadrapań. Przy każdym spotkaniu pytaliśmy się Bolka czy przyjemny był pocałunek panny małpy. Jagiełło później ukończył gimnazjum w Lublinie i został księdzem.

### **Babciu pomóż!**

W niedzielę po obiedzie prosiłem ojca o 5 kopiejek na nowy zeszyt. Ojciec zdziwił się i powiedział, że w ubiegłym tygodniu kupiłem zeszyt i już go zapisałem? Wyjaśniłem ojcu, że tamten zeszyt był potrzebny do nauki języka rosyjskiego, a teraz mi potrzebny do języka polskiego. „Pokaż wszystkie zeszyty” – przejrzał i stwierdził, że w zeszytce rachunkowym jest dużo kartek wolnych, więc mogę tam pisać. Ojciec kategorycznie odmówił mi dania tych 5 kopiejek.

W poniedziałek rano pozbierałem, spakowałem książki, stanąłem przy furcie na podcieniu, oparłem głowę o słupek od furki, zakryłem ręką twarz i zacząłem płakać. Niebawem wyszła na podcienie babcia i zauważyła „bekasa”. Pyta o przyczynę płaczu. Wyjaśniłem sprawę. „Nie płacz, nie płacz! Ja ci pomogę” i poszła. Wyszła na podcienie. Rozwiązała węzełek u chusteczki do nosa, wysupała 5 kopiejek i dała mi na zeszyt.

Po powrocie ze szkoły i spożyciu obiadu zapytała: „A może jesteś głodny?”. Nie czekając na moją odpowiedź, wyszła z sieni, rozwinęła chusteczkę, papier i dała mi kawałek białego sera. „Weź sobie kawałek chleba i zjedz, ale nikomu nie pokazuj i nic o tym nie mów”. Ścisłe zastosowałem się do polecenia. Takie dzielenie się ze mną serem powtarzało się parokrotnie.

Jak się później okazało, babcia zdobywała pieniądze, sprzedając od czasu do czasu „ćwiartkę” żyta bez wiedzy ojca szmuglarzowi Żydkowi. Woląла sama wziąć, nie prosić ojca, bo to jej się słusznie należało, gdyż ojciec uprawiał i sprzątał zbiory ze „staj” dziadka i babci. Zawsze była „przy groszu”. Czy z innymi z nas się dzieliła – tego nie wiem.

### **Wielki klasista, „taki umny”**

W połowie maja nasz kierownik szkoły w porozumieniu z Golińskim urządził wycieczkę do gospodarstwa rolnego. Aleksander Goliński ukończył gimnazjum rosyjskie, ale nie podjął pracy umysłowej w żadnym urzędzie ani instytucji państwowej (prawdopodobnie był „niebłagonadiożnym”). Po odbyciu służby wojskowej osiadł na niewielkim, ale dobrze urządzone gospodarstwie. Na przykładach zapoznał nas z pracami w sadzie, maliniaku, a nawet orką i płodozmianami. Zwrócił uwagę na walkę z chwastami, owadami i innymi szkodnikami w gospodarce rolnej. Zapoznał nas z hodowlą zwierząt domowych. W tej pracy zgodnie i z oddaniem sekundowała mu

żona, znacznie biedniejsza z domu Właźlacka, siostra przyszłego adwokata w Lublinie Edmunda Właźlackiego i matka syna Zdzisława, przyszłego biskupa częstochowskiego.

Aleksander Goliński był dłuższy czas w odrodzonej Polsce wójtem gminy Urzędów. Dzięki jego inicjatywie i pracy wspólnie z nami, posadziliśmy dużą ilość modrzewi na wałach – resztkę fortyfikacji w Urzędowie, przez co zabezpieczyliśmy tę pamiątkę przed stopniowym niszczeniem i obsuwaniem się ziemi.

Zaraz na drugi dzień z kolegami przystąpiliśmy do walki z chrabąszczami, które niszczyły liście na dwóch klonach rosnących na „stajach” naszej działki. Ta robota nie spodobała się garncarzowi Feliksowi Ambrożkiewiczowi. Zaczął nas strofować, że znęcamy się nad niewinnymi owadami. Odpowiedziałem, że to są szkodniki i trzeba je niszczyć, bo tak nas uczyli w szkole. A on na to: „A to mi wielki klasista, taki »umny«” (ros. mądry). Roześmialiśmy się na to powiedzenie. Nazwaliśmy go „umnym”.

## Zakończenie roku szkolnego

Druga połowa czerwca. Wczesnym rankiem udaliśmy się z ojcem radlić kartofle koło nowego gościńca (droga traktowa Urzędów–Józefów nad Wisłą). Ojciec wyprzągnął kobyłkę od wozu, założył do radła. Kary koń został przy wozie, zaopatrzony w kuczkę koniczyny, aby nie ruszał się z miejsca zajęty jedzeniem. Kobyłka lepiej nadawał się do radlenia, gdyż była zgrabniejsza od karego i nie wydeptywała rosnących kartofli, jak to czynił kary. Ponieważ na roślinach była jeszcze rześista rosa, musieliśmy zawinąć nogawki spodni powyżej kolan, aby nie moczyć spodni. Obaj byliśmy boso. Ojciec zapalił sobie papierosa i zabraliśmy się rześko do pracy. Ja trzymałem kobyłkę za uźdę, prowadziłem ją ostrożnie między rzędami kartofli, a ojciec kierował radłem. Po pewnym czasie rosa obeschła, więc opuściliśmy nogawki spodni do kostek, aby chwastami i łodygami kartofli nie kaleczyć sobie łydek u nóg. Ja przy każdym zbliżeniu się do gościńca bacznie spoglądałem w stronę figury na wzniesieniu koło drogi, chcąc się przekonać, czy Komsa z kolegami nie idzie drogą z Bobów do szkoły. Jeszcze nie idą, można radlić dalej. Ale to nie trwało długo. Poprzeczką (wąską drogą) od strony Mikołajówki (tam mieliśmy swój kawałek lasu) zza górki ukazały się głowy Solisa Stanisława i Solisa Henryka – Stefana, którzy z Kozarowa szli już do szkoły. Zdążyłem przy gościńcu zawrócić kobyłką w stronę naszego wozu. Nie chciałem się z nimi spotkać na polu. Pokazałem ojcu, że koledzy już idą do szkoły, a nam pozostała jeszcze do obradlenia jedna czwarta część ziemniaków. Ojciec spojrział w ich stronę i nie odpowiedział.

Znów zawracamy i radlimy dalej, ale nogi aż mi się trzęsą ze zdenerwowania. Kiedyż ja będę mógł iść do szkoły. Oznajmiłem ojcu, że dalej nie będę



miał czasu na oprowadzanie konia, bo już muszę iść do domu, przebrać się, umyć nogi i iść do szkoły.

Ojciec mi odpowiedział, że pójde wtedy, gdy już skończymy radlenie. Zakręciły mi się łyzy w oczach, ale prowadzę dalej, a na nawrocie znów wznawiam swą prośbę. Ojciec dalej każe oprowadzać. Tłumaczę, że dziś jest zakończenie roku szkolnego i ja koniecznie muszę już iść. I znów radlimy, ale ojciec spogląda na mnie i mówi, że jeszcze jeden raz przejdziemy z radłem. Policzył rzędy kartofli, pozostało jeszcze cztery rzędy. Znów radlimy. Przy następnym nawrocie ojciec powiedział, że te dwa rzędy dokończy sam.

Ustawiłem kobyłkę skąd miała już sama iść i biegiem, ile tylko miałem sił w nogach i powietrza w płucach, puściłem się do domu. Zmęczony biegiem, przebrałem się i półbiegiem popędziłem do mojej ukochanej szkoły. Uroczystość szkolna przed kilku minutami już się rozpoczęła.

Kierownik szkoły już rozdał cenzury klasie wstępnej i zaczął rozdawać mojej klasie I. Tu spotkała mnie przyjemność, bo prócz dobrego świadectwa otrzymałem książkową nagrodę z rąk pana Hempla pt. *Jak matka przyroda troszczy się o swoje dzieci*.

W tym roku pani Decyusz nie dała mi do deklamacji żadnego wiersza. Tak pożegnałem klasę pierwszą.

W tym czasie urodziła mi się przyrodnia siostra Felicja, która w 1908 roku po kilku tygodniach zmarła.

## Przerwa w nauce 1909/1910

Po zakończeniu roku szkolnego znów ta sama praca: żniwa, zwózka zboża do stodoły, kopanie kartofli, sadzenie sosnowych sadzonek i zakładanie nowego sosnowego lasu, zwózka drewna na opał na zimę, grabienie i zwózka liści z państwowego lasu, grabienie igliwia i mchu we własnym lesie.

Siostra Frozyna powiększyła ilość pracujących na roli. Chociaż była młodsza ode mnie o 3 lata, nastoletnia dziewczynka wykazała większe zdolności przy żniwach ode mnie. Bydła nie chciała paść, wołała pracować w polu na równi ze starszymi członkami rodziny.

Wypasanie bydła powierzył ojciec mnie. Po żniwach pasłem swoje bydło i na usilną prośbę Kamyka, najbliższego sąsiada, pod presją ojca musiałem paść i bydło Kamyka, co dla mnie nie było pracą zbyt uciążliwą. Prócz wynagrodzenia za pasienie bydła miałem wolny wstęp do sadu Kamyka, gdzie do mojej dyspozycji było dużo dorodnych jabłek.

W jednej izbie dla ośmiu osób było zbyt ciasno, więc w lecie i wczesną jesienią spałem w stodole lub na stryszku nad stajnią i oborą na świeżym pachnącym sianie. Spałem wyśmienicie. Jedyńm mankamentem było to, że spałem sam jeden i przed zaśnięciem w tej ciszy było mi jakoś głupio.

Za namową swoich rówieśników, sąsiadów, sypialiśmy grupowo po kilku chłopców u Józefa Żyszkiewicza, a potem przeniosłem się na spanie do mojego stryjecznego brata Andrzeja, syna Józefa. Pewnej nocy, po spożyciu większej ilości jabłek, poczułem w nocy potrzebę zejścia na dół celem załatwienia czynności fizjologicznej. Po przebudzeniu się straciłem orientację, gdzie jestem i którędy można zejść na dół. A tu ciemno, Andrzej mocno śpi, w najlepsze chrapie sobie donośnie, nie chciałem go budzić. Po omacku staram się poszukać zejścia po węglach na dół. Pomimo usilnych starań łązę na czworakach w różnych kierunkach. Naraz siano usunęło mi się spod nóg i, wywróciwszy kilka nieskoordynowanych „kozłów”, klapnąłem z wysokości 5 metrów na dół. Całym moim szczęściem było to, że spadłem na wolne, niczym nie zaprzątnięte miejsce. Trochę się potłukłem, ale bez szczególnego uszczerbku na zdrowiu. Po załatwieniu czynności fizjologicznych wdrapałem się z powrotem po węglach na swoje poprzednie miejsce i zasnąłem z powrotem twardym snem.

Rano obejrzałem miejsce zsuwania się po sianie i miejsce upadku. Teraz zapamiętałem sobie drogę wchodzenia i złażenia. Więcej taka przygoda już się nie powtórzyła. Nawet Andrzejowi nie przyznałem się o tym zajściu.

Z nadejściem zimy musiałem zrezygnować ze spania na sianie, bo zimno już mi mocno dokuczalo. Ale teraz w izbie gdzie mam spać? Ojciec siostrę Frozynę ulokował na sienniku rozłożonym na dwóch długich stołkach, a ja, Antoś i Stefek dostaliśmy łóżko w komorze nieopalanej, na pół ciemnej, gdyż okienko nad drzwiami niewiele przepuszczało światła. Drzwi od komory do dużej izby były na pół otwarte, że i do nas trochę przechodziło ciepło. Najbardziej nieprzyjemne dla nas było to, że pod naszym łóżkiem był stos drobnych, a niekiedy i nadpsutych kartofli przeznaczonych do spasanania przez świnię. Komora ta nie była przewietrzana, więc i powietrze było nie najlepsze. Nieraz budziłem się z lekkim bólem głowy.

W tym okresie urodziła się jeszcze jedna przyrodnia siostra, Bronka, w 1909 roku. W miarę wzrostu zauważyliśmy, że jednoroczne dziecko nie reaguje na żadne dźwięki. Okazało się później, że jest głucha. Co było przyczyną jej kalectwa, trudno było ustalić. Czy od urodzenia była głucha, a może i to, że pozostawiona sama sobie kilka razy wypadła z kołyski na biegunach na podłogę. W związku z głuchotą w miarę wzrostu nic nie umiała mówić.

Tak czy inaczej wyrosła na dużą dziewczynkę, ale już jako głuchoniema. Nawiasowo trzeba stwierdzić, że nasza macocha, bardzo pracowita i zapobiegliwa, okazała się złą wychowawczynią swoich rodzonych dzieci.

\*

Życie toczy się nadal według swoich praw. Dostarcza nam dużo zagadek i stawia dużo pytań, niezależnie od tego czy umiemy i chcemy na nie odpowiedzieć czy nie.

Prócz wyżej wymienionych cieni, były i chwile przyjemne i radosne.

W wolnych chwilach i w niedzielne popołudnia zimową porą zjeżdżaliśmy na sankach z góry przy pobliskiej kaplicy i pomniku. Cieszyliśmy się zarówno przy zjeżdżaniu z góry czy ciągnięciu sanek pod górę z myślą, że zaraz będziemy z brawurą zjeżdżać z góry. A że niekiedy sanki się wywróciły i nakryły niefortunnych amatorów jazdy, też dostarczyły nam dużo emocji. Tym bynajmniej nie zrażaliśmy się.

Albo jazda na jednej łyżwie, sporządzonej ze starego, złamanego sierpa umocowanego do drewnianej deseczki, czy to nie jest przyjemnością i to jaką jeszcze? Dopiero zmierzch spędzał nas z lodowiska na opuszczonej sadzawce koło młyna. Zadowoleni, zmęczeni, nieraz głodni, wracaliśmy rozbawieni do naszych domów z myślą, że na drugą niedzielę znów zaczniemy swoje harce na lodzie.

## Gry i zabawy

Krętawka była ulubioną zabawą dla starszych chłopców w suche, ciepłe jesienne lub wiosenne wieczory. Jasiek i Antek Brożkowie postarali się o równy, gładki pień kilkunastoletniej sosny. Adam i Stefan Surdaccy, synowie kowala, pod nieobecność ojca w kuźni ukuli cztery haki, któryś z chłopców zrobił krzyżak podobny do takiego, jaki używamy do osadzenia pionowego choinki świątecznej.

Na końcach krzyżaka umocowali po jednym haku. W środku krzyżaka był otwór okuty żelazem do umieszczania krzyżaka na szynie, zaopatrzony w żelazny sworzeń.

Z każdego końca krzyżaka z haka zwieszała się mocna linka, zakończona na dole pętlą, przez którą przekładało się nogę. Jednocześnie mogło się bawić czterech lub dwóch uczestników zabawy. Zawodnicy biegali dokoła wkopanego w ziemię słupa na odległość długości zwieszających się linek, starając się biegać jak najdalej od słupa. Linki się naprężyły, tak że uczestnik zabawy częściowo biegał po ziemi dokoła słupa, a częściowo zwieszał się na linie umocowanej między nogami.

\*

Rzucanie krążkiem drewnianym wymagało dużej siły rzutu i zręczności. Zawodnicy dzielili się na dwie równe liczebnie grupy A i B. Do tej gry była potrzebna równa, szeroka i długa droga.

Uczestnik grupy A rzucał krążkiem mocno, tak aby krążek (kółko) toczył się po ziemi. Uczestnicy grupy B starali się ten toczący się krążek zatrzymać. Z miejsca zatrzymania uczestnik w taki sam sposób rzucał do grupy A. Ta grupa wygrywała, która jak najdalej zepchnęła grupę przeciwną. Tej zabawy nie lubili starsi gospodarze, bo uczestnicy wyłamywali im płoty, aby zdobyć jak najlepsze deski z płotu do zatrzymywania toczącego się krążka po ziemi.

## **Jankiel w niewoli**

Zdarzały się i figle, i to nieraz złośliwe.

Pewnego ciepłego jesienno-wieczornego starysi chłopcy urządzili manekina. Ubrali go w długą jakąś starą kapotę, spodnie i kapelusz na głowę. Z tym manekinem wypchanym sianem podeszli do domu, gdzie mieszkał Żyd Jankiel – szklarz. Dojście do domu drewnianego, parterowego było bardzo łatwe, gdyż przed oknem nie było żadnego płotu i ogródka kwiatowego, jaki można spotkać przy każdym gospodarskim domu. A więc udała się cała gromada chłopaków z krzykiem i wymyślaniami pod ten dom, wołając: „Taki i owaki Żydzie, oddaj pieniądze, bo cię zakatrupimy”. Postawili manekin, oparłszy go o szyby okna i znów wołali: „Oddaj Żydzie pieniądze”, stukając „ręką” manekina w szybę okna. Rodzina żydowska pochowała się po kątach i nikt na te wołania nie reagował. Jeden z gromady głośno powiedział: „Nie oddasz teraz, to ja tu będę stał całą noc, aż wyniesiesz pieniądze”.

Postawili manekina pod oknem, cichaczem rozeszli się do domów. Całą noc rodzina żydowska nie spała, bo bała się pokazać stojącemu pod oknem człowiekowi. Jakież było ich zdziwienie, gdy rano pod oknem zobaczyli manekina, a nie żywego człowieka domagającego się pieniędzy.

### **Adamie, gdzie jest twój wóz?**

Adam Wyroślak miał kilka córek (najstarsza wyszła za mąż za mego najstarszego stryja Jana). Dziewczynki ładne, niebiedne, miały duże wzięcie u kawalerów. Stary Adam nie lubił, jak ktoś do niego przychodził, a szczególnie kawalerów. Zawiedzeni kawalerowie postanowili urządzić mu jakiś dowcipny „kawał”.

Na okazję nie trzeba było długo czekać. Adam miał dom mieszkalny od północy głównej ulicy, a stodołę po przeciwnej stronie ulicy od południa. Pewnego dnia późno wieczorem wrócił z targu z Annopola. Konie wyprzągnął od wozu i umieścił je w stajni, a wóz razem z uprzężą zostawił przy studni z myślą, że jutro rano wszystko posprząta i umieści na swoim miejscu.

Jakie go ogarnęło rano zdziwienie, kiedy po wozie z uprzężą nie ma ani śladu. „No, nic innego tylko albo go sprzątnąłem wieczór, albo, co nie daj Boże, złodziej ukradł”.

Chodzi dokoła stodoły, a wozu nie ma, zajrzał w konopie, które rosły za stodołą, ani śladu nie ma. Koło domu, za płotami, na ulicy nic nie ma. Pyta się córek i żony, czy wiedzą coś o wozie. Każda odpowiada, że wieczór zostawił przed stodołą. No i nie ma wozu, który niedawno mu kowal zrobił. I tak chodzi jak obłąkany i nie wie, co ma robić. Wypadnie zawiadomić policję o kradzieży.

Była niedziela. Idą ludzie na nabożeństwo do kościoła. Ten i ów z sąsiadów zagaduje go, chce z nim porozmawiać, a on do nikogo słowem się nie

odezwie. Widzi tylko, że ten i ów ironicznie uśmiecha się. Poszedł do domu, ale po kilkunastu minutach znów wychodzi. Widzi jak ludzie przystają przed jego stodołą i spoglądają na dach.

Zapytał go jeszcze najbliższy sąsiad: „Cóż to Adamie tacy jesteście mar-kotni?”. Zapytany odpowiedział, że mu wóz złodziej ukradł. „Co mi dacie znaleźnego to wam powiem gdzie jest wóz?”. „Cóż wam mogę dać? Najwyżej litr wódki. Zgoda?”. „Zgoda!”. „A spojrzycie wy na waszą stodołę, na kale-nicę”. Spojrzał. Stał jak wryty w ziemię. Widzi swój wóz na czubku dachu. Dwa koła, przednie i tylne, stoją na dachu po jednej stronie, a drugie dwa po drugiej stronie. Gromada ludzi, która zdążyła się już zebrać, gruchnęła śmiechem. Ale Adam mówi: „No, wszystko dobrze, ale jak ja ten wóz spro-wadzę z powrotem na ziemię?”. „Ano, sąsiedzie! Tera trza sąsiedzie wszycko zrobić na odwyrtkę. Łobuzy na ziemi rozebrały wóz na części i tam na dachu złożyły. Tera trza na dachu rozebrać na części i po trochu na lince spuścić, a na ziemi znowu złożyć tak jak było”. Rozebrali, spuścili, złożyli i wszystko w porządku. „O, widzicie, nawet bata nie wzieni. No, to przydzta sąsiedzie, to wypijewa tę litrę”.

## Krowy się pasą, a my?

Krowy pasą się zgodnie w gromadzie. Ale zanim doszło do tego, wiele z nich musiało stoczyć walkę z rywalką, zmierzyć swoją siłę i zręczność. Na ten temat mogłyby dużo powiedzieć (gdyby umiały mówić) rysi na bokach i pośladkach od rogów przeciwniczki. Dziś każda słabsza krowa ustępuje mocniejszej bez walki.

Mamy kilka godzin wolnego czasu, który wykorzystujemy na gry i zabawy towarzyskie. Większość z nas prócz kijów służących do kierowania krowami posiada piłki własnej roboty zrobione z sierści krów zebranej w czasie linienia wiosennego. Zrobienie takiej piłki pochłonęło dużo czasu, materiału w postaci włosów krowich i wytrwałej, umiejętnej pracy. Trzeba było namoczone włosy (sierść) ugniatać w rękach początkowo w małe kuleczki z korkiem od butelki w środku, a potem nakładać sierść warstwami i ugniatać, formować piłkę w kształcie kuli do odpowiedniej wielkości i twardości.

## Pasienie świni

Pasienie świni to najbardziej ulubiona gra, w której może wziąć udział dowolna ilość uczestników. Gracze ustawiają się pojedynczo w pewnych odstępach od siebie w koło, pośrodku którego wygrzebują kijem dołek na piłkę (świnie). Gracze takie same dołki robią każdy dla siebie, prócz jednego, który będzie pastuchem świni. Wszyscy są uzbrojeni w kije o długości 1 metra.

Pastuch, popędzając kijem, stara się wpędzić piłkę (świnie) do środkowego dołka (chlewa), ale to nie jest łatwe, gdyż gracze swoimi kijami starają się pędzoną piłkę wybić jak najdalej od koła. Pastuch znów zbliża się do środkowego dołka, ale musi patrzeć na popędzaną świnie i na graczy. Który gracz wyjmie swój kij ze swego dołka, aby uderzyć świnie i nie zdąży włożyć swego kija z powrotem, bo go już uprzedził pastuch, wkładając kij swój w jego dołek, staje się pastuchem itd.

### **Kumo, pożyczcie mi sitka**

Ta zabawa miała trochę inny charakter. Gracze ustawiali się ciasno w kole. Jedno dziecko chce pożyczyć od kumy sitko do siania. Interesant chodzi w środku koła, zatrzymuje się przed kolegą czy koleżanką i prosi: „Kumie (kumo) pożyczcie mi sitka”. To dziecko tłumaczy się, że nie ma sitka, idźcie dalej. W tym momencie dzieci w kole oczami czy głową porozumiewają się i zamieniają się miejscami. Z tego korzysta interesant i zajmuje wolne miejsce. Dziecko, które straciło swoje miejsce, staje się interesantem. Znowu podchodzi do jednego z graczy: „Kumo, kumo, pożyczcie mi sitka! Popirdum\* i zarow wum oddom”. Znowu zamiana miejsc. Jeżeli proszący o pożyczkę nie zdąży zająć wolnego miejsca, musi ponownie chodzić i prosić, aż do skutku, kiedy wcześniej zajmie miejsce itd.

### **Komórka do wynajęcia**

Komórka do wynajęcia jest podobna do gry poprzedniej z tą różnicą, że dziecko z koła staje przed graczem w kole i zwraca się: „Czy tu jest komórka do wynajęcia?”. Zapytane dziecko odpowiada, że nie ma i radzi: „Idźcie dalej”. W tym momencie dzieci z koła zamieniają swoje miejsca, z czego korzysta interesant, zajmując wolne miejsce w kole itd.

### **Chodzi lis koło drogi**

Ta zabawa znana jest i dziś jeszcze stosowana w niektórych szkołach.

Dzieci ustawiają się ciasno w kole. Jedno z „pytą” (zwinieły szalik lub jakaś sierka) chodzi po zewnętrznej stronie koła i mówi: „Chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi. Kto się nie spodzieje, tego pytą przyodzieję”. Może tak obejść nawet kilka razy i podrzucić pyte któremuś z dzieci, kto zauważył, chwytając za pyte, zadając uderzenia swemu koledze z prawej strony. Jeżeli

\* Wyrażenie gwarowe, obecnie niezrozumiałe – przyp. red.



uciekające dziecko nie zdąży obiegać całego koła i stanąć na poprzednim miejscu i zostanie uderzone, wtedy ono chodzi z pytką, mówiąc: „Chodzi lis koło drogi...” itd. Można nie podrzucać, a wręczać dziecku, które miało ręce umieszczone za plecami.

## **Bydło się pasie, a my gramy w karty...**

Koniczyna wykoszona, skuczkowana, słabo schnie z powodu przelotnych deszczów, ale nowa szybko odrasta. Wreszcie po kilku dniach doszła, wieczorem mamy ją sprzątnąć z pola. Ojciec pozwolił kuczki poznosić na brzeg pola, a na nowej koniczynie można było paść bydło.

Andrzej wypędził w pole swoje dwie krowy, a ja swoje trzy. Krowy łapczywie wyjadają odrośniętą koniczynę. Uważamy, aby nie zjadały koniczyny w kuczkach. Zresztą krowy wolą zjadać świeżą, zieloną, a do wysuszonej nawet się nie zbliżają. Gramy w karty: najpierw w „bezrolę”, a potem w „woza”. Czas szybko mija, przyjemnie dla bydła i dla nas.

Zachodnie niebo pokrywa się chmurami, potem słychać dalekie, głucho, przeciągłe grzmoty. Czas spędzać krowy do domu. A wtem... Andrzej powiada, że krowy pęcznieją. Więc biegiem pędzimy krowy do domu. W domu ani ojca, ani stryja nie ma. Przygodnie spotkane kobiety radzą dać krowom w pysk „krępulec” (kawalek grubego kija przytroczonego do rogów, aby krowy z pyska nie wypuściły krępulca). Nadbiegł stryjek i zajął się swoimi krowami, zjawił się mój ojciec i zrobił to samo z naszymi krowami. Okładamy krowy kijami, zmuszając je do długiego i szybkiego biegania. Po godzinie krowy, mocno wzdęte, ledwo chodzą, a my nadal zmuszamy je do biegania. U krów stryja widać lekką poprawę, boki zaczynają opadać, to samo dzieje się z naszymi starymi krowami. Nasza młoda czarna krowa już nie może biegać, ledwo się porusza. Nagle pada na ziemię z rozczapierzonymi nogami. Ostatnie stęknienie i śmierć. Kowal zaraz po upadku świderkiem przebił skórę, na żołądek nie trafił i gazy zadusiły krówkę.

Stanął ojciec bezradnie nad martwą krową razem ze mną, winowajcą tego nieszczęśliwego zdarzenia. Macocha sprowadziła Sadowskiego, który zdjął skórę, powiesił ją w stodole na płatwi. Pożyczyłem wagę i zaczęliśmy rąbać mięso i sprzedawać za pół ceny. Jedni sąsiedzi wzięli po kilka kilogramów i zapłacili, ale większość wzięła na kredyt z przyrzeczeniem zapłacenia, ale niestety mięso zużytkowali, a o kredycie „zapomnieli”. Kości, głowę, dolne części nóg z kopytami wywlekliśmy na pole na pożarcie przez zgłodniałe psy i wrony.

Kilka tygodni nie śmiałem ojcu spojrzeć w oczy. I, o dziwo, ojciec, skąpy na każdy grosz, przeszedł do porządku dziennego i nigdy mi nie wypomniał, że przeze mnie poniósł dużą stratę w gospodarce domowej.

## Moja szkoła 1909/1910

Razem z innymi kolegami wybieram się do szkoły do klasy II. Proszę ojca o pieniądze na zakup książek i innych pomocy naukowych. Ojciec popatrzył się na mnie badawczo i powiedział, że pieniędzy mi nie da, gdyż do szkoły „nie będzie mnie posyłał”, bo jestem potrzebny w domu do roboty. Tu nawet babcia mi nie mogła pomóc.

Zdenerwowany zmieniłem lepsze ubranie na robocze. Rozplakałem się, ale moje łzy ojca nie wzruszyły. Uważał bowiem, że już po kilku latach dużo się nauczyłem. Spotrafię szybko liczyć, aby nie dać się oszukać Żydowi przy zakupach, i będę już umiał list napisać, jak pójdę do wojska.

Nie było już żadnego innego wyjścia, musiałem zabrać się do pracy i pomagać ojcu w gospodarstwie: orać, młócić, zwozić produkty. Po upływie kilku tygodni dowiedziałem się, że mój kolega Hilary Grzebuła po skończeniu szkoły zorganizował na Bęczynie komplet dzieci i zaczął z nimi naukę. Postanowiłem pójść jego śladami. Zima zaczęła się na dobre, pracy na zewnątrz było mało. Powiedziałem o tym wszystkim ojcu, nie zapominając nadmienić, że za naukę dzieci rodzice będą mi płacić i w ten sposób będę mógł zarabiać. „Że będę w ten sposób zarabiał” – to ojcu się spodobało. Wyraził zgodę, a nawet pomógł mi zorganizować warunki do nauki. Urznięliśmy kilka klocków z grubego pnia sosny i przybiliśmy gwoździami sosnowe, nieheblowane deski do pni dla wzmocnienia. Na tych deskach przyszli „uczniowie” będą mogli rozłożyć książki i zeszyty do nauki. Podobnie urządziliśmy dla dzieci siedzenia. A gdzie tablica? Mógłby ją zrobić miejscowy stolarz, ale to pociągnęłoby wydatki. Znając ojca charakter i skąpstwo, znalazłem inne wyjście z tej kłopotliwej sytuacji. Przecież nie może być szkoły bez tablicy.

Znalazłem między drewnianymi rupieciami starą, bieloną wapnem okienicę od dawnego starego domu. Zabrałem się do oczyszczania jej z wapna nożem, piaskowcem, wodą. Z wielkim trudem udało mi się usunąć stare wapno. Ale pismo na takiej prowizorycznej tablicy nie będzie widoczne dla uczniów. Tablica musi być czarna. Czarnej farby nie mam i kupić jej nie można. Ale przecież w kominie jest dużo czarnej sadzy. Umoczyłem starą konopną ścierkę i nabrałem na nią sadzy. „Tablica” poczerniała, ale po wyschnięciu dużo tej „farby” zmyło się. Tę czynność powtórzyłem kilka razy. Za każdym wycieraniem część sadzy zostawała na ścierce, ale więcej już było na „tablicy”. Były takie jasne plamy, których w żaden sposób nie dało się zaczernić. Wtedy zapaliłem smolne łuczywo i zacząłem „przypiekać” te miejsca, które od dymu i żaru z łuczywa poczerniały i już się „farba” nie ścierała. Więc i tablica już jest. Z kredą był mniejszy kłopot. Zastąpiłem ją białym wapieniem, którego można było pod dostatkiem znaleźć w polu. Początkowo dużo sadzy się ścierało. Ale po kilku zabiegach można już było, choć niewyraźnie, pisać.

## **Moi uczniowie**

Na próbę zaprosiłem kilku kuzynów ze strony matki. Przyszedł Feluś (z nim we wczesnym dzieciństwie bawiliśmy się w szkołę) ze swoim młodszym bratem Jędrusiem, Marecki, mój brat Antoś. Po kilku dniach oni przyszli ze swymi kolegami i koleżankami, a w ślad za nimi przyszli inni i, co ciekawe, że ci uczniowie przychodzili spod lasu, mijając taką samą „szkołę” Hilarego Grzebuły. Po kilku tygodniach miałem komplet uczniów. Nawet przyszedł Zygmunt Chęciński, który miał brata w Szkole Lubelskiej (gimnazjum). Moja grupa uczniów stale się powiększała, a u Grzebuły malała. Rodzice większe mieli zaufanie do mnie.

Zaczęły napływać pieniądze po 1 rublu od łebka do mojej kiesy. Nie omieszkalem kupić ojcu dwie paczki machorki z bibułą, z czego ojciec się bardzo ucieszył. Po nauce jeszcze trochę pomagałem ojcu w młóceniu, ale tylko dorywczo.

Skład moich uczniów był różny, 7-12 lat. Jedne dzieci już znały litery i trochę czytały, a inne przyszły jako analfabeci, z którymi trzeba było zaczynać naukę od podstaw. Podzieliłem uczniów na dwie grupy. Uczniowie przynosili różne książki, elementarze, a nawet książki do nabożeństwa w kościele. Z czasem większa liczba uczniów zaopatrzyła się w książki, jakie były używane w szkole ludowej.

Prowadziłem naukę jednocześnie z dwiema grupami, tak jak to czynił nauczyciel Paulson. Zaawansowani uczniowie przepisywali tekst z książki lub wyliczali słupki, a młodszych w ciągu kilku tygodni uczyłem znajomości liter, składania i czytania. Na razie robiłem to bez użycia książek, metodą wyrazową, np. na tablicy napisałem dzieciom wyraz „mama”. Odczytałem wyraźnie, akcentując występujące w wyrazie litery: „ma-ma, m + a + m + a”. Spółgłoski wymawiałem krótko, a więc nie „em” a „m”. Później na drugiej lekcji podobnie przeprowadziłem z wyrazem „tata”.

Po dwóch lekcjach znali już litery: „m”, „a”, „t”. Na następnej lekcji wprowadziłem literę „o”. Więc już można było ułożyć: „to mama, a to tata”. Teraz już mogłem dać ciche zajęcia, w czasie którego dzieci ćwiczyły pisanie na swoich tabliczkach rysikowych, a ze starszymi przerabiał z książki nowe czytanki, pisownię wyrazów itp. Każda lekcja trwała pełną godzinę, którą wydzwaniał zegar w dużej izbie.

Z uczniami bardziej zaawansowanymi po kilku tygodniach prowadziłem lekcje języka rosyjskiego. W czasie przerwy bawiłem się z dziećmi w sadzie; w zimie lepiłiśmy bałwana ze śniegu lub bili się śnieżkami.

Dzieci były zdyscyplinowane, posłuszne, grzeczne. Nawet chłopcy rówieśnicy (a Władek Wyrostek, późniejszy szwagier, był ode mnie starszy o dwa lata) wypełniali dokładnie zadane czynności. Przeciętnie cała grupa liczyła około 15 osób.

W ciągu zimy były na Bęczynie czynne trzy szkoły: Państwowa Szkoła Ludowa w nowo wybudowanym budynku, prywatna Grzebuły i moja. Te dwie ostatnie to były „szkoły” nielegalne, „tajne”, ścigane przez prawo o nauczaniu. Miałem się na baczności. Uczniowie tych szkół byli wtajemniczeni. Zawsze na zmianę jeden z uczniów dyżurował na gościńcu. W razie pojawienia się w pobliżu policji miał obowiązek zasygnalizować. Chłopcy mieli uciekać tylnymi drzwiami na podwórze i tam się chować, a dziewczynki, które były w mniejszości, miały przejść do dużej izby i tam udawać zabawę z moją siostrą Frozyną.

W każdą niedzielę po nabożeństwie kupowałem w nowo otwartym sklepie u Joska zeszyty, pióra, ołówki, atrament, rysiki i później w czasie nauki odsprzedawałem swoim uczniom. Jasek sprzedawał mi materiały piśmienne z rabatem. Na lekcjach sprzedawałem te rzeczy po cenie nominalnej, dzięki czemu miałem pewien zysk, wynoszący kilkadziesiąt kopiejek. Uczniowie mieli ułatwioną sprawę w zaopatrywaniu się u mnie w pomoce naukowe.

Nie wiem czy policja wiedziała o istnieniu kompletów uczniowskich, czy nie chciała wiedzieć. Dość, że nauka przez całą zimę odbyła się bez żadnych przeszkód, bez interwencji policji, a może to „odwilż” polityczna miała tutaj jakieś znaczenie.

Wyniki w nauce były różne. Dzieci zaawansowane pogłębiły znajomość języka polskiego i trochę historii, a analfabeci wyszli po tym kursie nauki ze znajomością czytania, pisania i podstawowymi wiadomościami z arytmetyki. Czas nie był zmarnowany. W późniejszych latach z przyjemnością wspominali tę naukę ksiądz Gozdalski, ksiądz Gajewski, kleryk Bielecki i inni.

W kwietniu nauka się skończyła, gdyż młodzież ta była potrzebna w pracach gospodarskich swoich rodziców. Zapracowane ruble bardzo mi się przydały w moim dalszym życiu. Teraz chętnie pomagałem ojcu, aby ulżyć mu w pracy.

## **Śmierć babci, 1910 rok**

Śmierć babci nastąpiła całkiem nieoczekiwanie. Wprawdzie często skarżyła się na silne bóle rąk, na swędzenie pleców, ale jakoś nie zwracaliśmy na to szczególnej uwagi. Przysłowie mówi, że syty głodnemu nie uwierzy. W tym wypadku należałoby powiedzieć, że zdrowy choremu nie wierzy. Mało sypiała. Zaraz z wieczora po wieczerzy kładła się spać, ale w lecie (krótka noc) wstawała przed wschodem słońca. Najczęściej wychodziła za stodołę, siadała na narożnym kamieniu, patrzyła na słońce, które wschodziło i zaczynało przygrzewać, obserwowała budzące się z nastaniem dnia życie i z rozrzewnieniem słuchała pierwszego śpiewu skowronka. Następnie szła budzić domowników.

Więcej chodziła po obejściu gospodarskim niż leżała. Na parę dni przed śmiercią nie mogła już podnieść się z łóżka. Była przytomna. Często wzywała do siebie Stefana, którego razem ze stryjenką wychowała, aby jej podał w kubku wodę. Wzięła go oburącz za głowę, popatrzyła na niego uważnie i ucałowała w czoło, ale nic nie powiedziała. Później ogarnęła ją apatia. Niczym się już nie interesowała. Cichutko zesza ze świata ta nasza ukochana babcia w późnych godzinach nocy.

Śmierć mojej dobrodziejki i pogrzeb głęboko zapadły mi w pamięci. Miejsca w przestrzeni zajmowała mało, ale za to w życiu nas, czworga półsierot, bardzo dużo. W dużej mierze dzięki niej wychowaliśmy się na zdrowych dorosłych ludzi. Ojciec nasz bardzo się z nią liczył, kochał ją na swój sposób i nigdy nie sprawił jej większej przykrości. Nazywał ją „mamunią”.

## **Wracam do szkoły do klasy II, 1910/1911**

W czasie wakacji kupiłem sobie za wypracowane własne pieniądze materiał i powierzyłem uszycie czarnego garnituru miejscowemu krawcowi Gozdalskiemu, przyrodniemu bratu Romka Jagiełły. Był to pierwszy w moim życiu garnitur uszyty fachowo na miarę, na zamówienie, dopasowany do mojej figury. Byłem niezmiernie zadowolony z materiału, sposobu uszycia, a co najważniejsze, że za własne pieniądze. Uniezależniłem się od wydatków z ojcowskiej kasy. Nosilem się z zamiarem kupna półbutów, czego nie zrobiłem, gdyż macocha dała mi swoje w dobrym stanie „sztyblety” (kamasze), gdzie rolę sznurowadeł zastąpiły gumy przy wkładaniu na nogę. W pewnym momencie chciałem odmówić przyjęcia tego daru, że są już używane, a w dodatku, że to obuwie było „babskie”. Uważałem, że koledzy będą sobie drwić ze mnie. Obawy jednak były płonne. Po odpowiednim oczyszczeniu harmonizowały z nowym garniturem i pierwszy raz założonym na szyję masowym kołnierzykiem i czarnym krawatem. Teraz wyglądałem na prawdziwego ucznia gimnazjalnego. Czapnik przenicował mi czapkę, która teraz wyglądała jak nowa.

W takim to zewnętrznym stanie, 4 września zgłosiłem się do szkoły. Kierownik szkoły Brzozowski z zadowoleniem mnie przyjął, gdyż komplet uczniów klasy II był nieduży.

Po załatwieniu pierwszych formalności z góry zapłaciłem za naukę z własnej kieszeni za cały rok (6 rubli × 4 = 24 ruble). Wracając do domu, nie zapomniałem kupić ojcu dwóch paczek machorki z bibułką i zapalkami. Ojciec był rad z prezentu. Zapalki oddał macosze do użytku kuchennego, bo papierosy zapalał od ognia wykrzesanego stalowym krzesiwem przy użyciu twardego krzemienia.

Następnego dnia zaopatrzyłem się w książki, zeszyty i blok rysunkowy też za własne pieniądze. Jednym słowem ojciec na moje wyposażenie nie wydał żadnej kopiejki.

Zająłem miejsce w drugiej ławce od stołu nauczycielskiego obok nowego kolegi, Bolesława Mitala z Zakościelnego przedmieścia, wnuka znanego nam już z uroczystości poświęcenia pomnika na Bęczynie i patriotycznej manifestacji w 1905 roku pana Wojtuszkiewicza. Przede mną w pierwszej ławce siedziała Marcelina Pyzówna i Wiktoria Osmolanka z Osmolic. Za mną zaś w trzeciej ławce siedział Antoni Wójtowicz z Zakościelnego i Stanisław Cieślik z Bęczyna.

\*

Jesienią w czasie kopania kartofli pan Brzozowski zapytał się w czasie przerwy czy mogłoby kilku uczniów pójść razem z nim i kilkoma obywatelami, członkami Kółka Łowieckiego, na polowanie jako nagonka. Kilku uczniów wyraziło zgodę, między innymi byłem i ja. Udaliśmy się furmanką na teren wygonu przy Mikuszewskim przedmieściu. Pan Brzozowski ustawił nas w poprzek wygonu tyralierką. Myśliwi zajęli stanowiska. My, idąc powoli, hałasowaliśmy, aby wypłoszyć zające na linię myśliwych. Kilka zających na ten hałas poderwało się, ale uciekły na pola, a nie w stronę myśliwych. Przechesaliśmy cały wygon aż do pól ratoszyńskich. Nie padł ani jeden strzał. Żadnego zająca nie zabili. Pan R. Gruchalski żałował, że nie strzelał do zająca, który umykał w pole, mówiąc, że z jego szesnastki można było go upolować. Zmęczeni zatrzymaliśmy się przy furmance. Poczęstowali nas po kromce bułki ze szwajcarskim serem i wypłacili nam po 50 kopiejek. Polowanie nie udało się.

\*

W kilka dni po tym cała szkoła pod opieką pana Brzozowskiego i pani Decyusz udała się polnymi dróżkami na wycieczkę do lasu dzierzkowickiego. Tam spacerowaliśmy, bawili się w chowanego, śpiewali. Wróciliśmy wieczorem do szkoły, a potem do domów. Wycieczka udała się znakomicie.

## Grono nauczycielskie

Na miejsce pani K. Splizgart przybyła nowa nauczycielka z małoletnim synem, wdowa z Opola (nazwiska nie pamiętam), która po paru tygodniach opuściła szkołę i Urzędów.

Pozostali tylko Franciszek Brzozowski i Aleksandra Decyusz. Na nich spoczął cały ciężar pracy w trzech klasach. Do nowej sali szkolnej można było przechodzić wprost z rynku przez klasę wstępną lub przez korytarz znacznie dłuższą, okrężną drogą.

Nauczyciele teraz musieli zastosować w klasach niektóre godziny z nauką cichą. Klasy były od siebie oddzielone drzwiami, które były łącznikiem z klasami, gdzie odbywała się nauka głośna.



Uczyli:

Brzozowski – język rosyjski, arytmetyka, historia Rosji, geografia, rysunki, gimnastyka, przyroda;

Decyusz – religia, język polski, język francuski, język niemiecki, kaligrafia;  
M. Kotliński nadal uczył śpiewu.

## **Migawki z życia szkoły**

Ponieważ dwa razy (3 lata) miałem przerwę w nauce, więc teraz musiałem nadrabiać zaległości w opanowaniu materiału naukowego. Byłem w klasie jednym ze starszych wiekiem uczniów, a więc poważniejszym od reszty uczniów.

W powrotnej drodze ze szkoły wracaliśmy gromadką. Nie obeszło się bez tego, aby ten czy inny kolega nie spletał jakichś figlów. Ktoś poinformował o tym kierownika, który na ten temat przeprowadził odpowiednią pogadankę. Mnie porucił obowiązek, abym uważał na kolegów i interweniował. Nie bardzo to mi przypadło do gustu, ale kierownikowi nie mogłem odmówić. Kilka razy zwróciłem kolegom uwagę i na tym się skończyło. Zachowanie znacznie się poprawiło, bez żadnych skarg.

\*

Często na ciche zajęcia dostawaliśmy duże porcje pracy piśmiennej. Należało się spieszyć z pisaniem, wskutek czego na tym cierpiał charakter pisma. Pisałem duże, nierówne litery, ale prędko.

Na to zwróciła uwagę koleżanka z I klasy, Gładkowska – miła, sympatyczna, ładna i trochę romantyczna dziewczynka. Postanowiłem poprawić charakter pisma, co mi się częściowo udało.

Pani Decyusz prowadzi lekcję języka polskiego w klasie wstępnej. Jako zajęcia ciche dała nam do przepisania ćwiczenie ortograficzne na użycie „h” i „ch”. Drzwi do klasy wstępnej i drugiej otwarte szeroko, aby mogła co pewien czas spojrzeć na nas, jak pracujemy. W klasie cicho, jesteśmy zajęci pracą. Ćwiczenie skończyłem, zamknąłem kajet przed dzwonkiem na przerwę i machinalnie z radości mocno klasnąłem w dłonie. Na ten głos staje w progu nauczycielka i pyta, co tu się stało, kto tak hałasuje. Klasa milczy, ja również. Ciszę tę przerywa Wikcia Osmolanka, mówiąc, że ktoś z ulicy stuknął w okno. Nauczycielka cofa się i prowadzi lekcję dalej. I tak koleżanka wybawiła mnie z kłopotu, że nie musiałem się tłumaczyć ze swego zachowania.

\*

W maju do szkoły przyniosłem w pudełku po zapalkach dwa chrabąszcze. W chwili, kiedy pan Brzozowski był zajęty pisaniem liczb na tablicy, nieznacznie upuściłem na podłogę chrabąszcza prosto pod nogi Marcysi

Pyzówny i zająłem się rozwiązywaniem zadania. Po pewnym czasie w klasie rozległ się pisk Marcysi. Uczniowie przerwali pracę, nauczyciel zdumiony odwrócił się do klasy i widzi, jak Marcysia trzęsie się ze strachu i tupie mocno o podłogę nogami. Jeszcze chyba mocniej przestraszony chrabąszcz upadł na podłogę. Jak to się stało? Chrabąszcz uwolniony z pudełka powoli wdrapał się na nogę koleżanki. Dopóki szedł po pończosze było cicho, jak zaczął iść po gołym ciele powyżej kolana musiał się trzymać pazurkami, aby nie spaść na podłogę. To nieoczekiwane drapanie po gołej skórze spowodowało takie przerażenie i pisk. Całe szczęście, że przed lekcjami nikomu tego chrabąszcza nie pokazałem i nic nie mówiłem. Marcysia domyślała się, że któryś z chłopców przyniósł go do klasy i puścił na podłogę. Ale że to ja jej takiego figła zrobiłem, to nawet do głowy jej nie przyszło. Lekcja na tym ucierpiała, ale potem śmiechu był pełny worek.

\*

Zaraz za mną w trzeciej ławce siedział Antek Wójtowicz z Piotrem Pomykalskim, synem zakrystiana kościelnego w Urzędowie. Antek był uczniem i kolegą grzecznym, ale nieszczęśliwym. Pomimo że pracował, nie mógł zapamiętać treści i przy odpowiedziach zbierał same dwójki, z wyjątkiem śpiewu, którym przewyższał nas o całą głowę. Postanowiliśmy mu pomóc przed końcem roku, aby mógł otrzymać świadectwo ukończenia szkoły. Jednego dnia przyszedł pół godziny wcześniej Pomykalski i przerobił z nim dokładnie materiał zadany do domu z historii. Odpytał go przed samą lekcją. Antek odpowiedział dobrze. Pomykalski był pewny, że dziś lekcję umie i będzie mógł się poprawić. Nawet powiedział pani Decyusz, że Antek chce swój stopień poprawić, na co nauczycielka chętnie się zgodziła. Wszyscy byliśmy ciekawi, jak on będzie dobrze odpowiadał. Wezwany do odpowiedzi, podniósł głowę do góry, skierował wzrok na sufit i milczy. Nauczycielka chce go naprowadzić, niejako pomóc mu, a on słowa powiedzieć nie może. „Znów nie nauczyłeś się, co ja tu z tobą zrobię?”. Pomykalski objaśnia, że z nim opracował lekcję i na jego polecenie i pytania odpowiadał. „No to ty go pytaj”. Nic z tego w obecności nauczycielki nie odpowiedział. Całą twarz miał oblaną potem, tak że musiał użyć chusteczki do nosa do obtarcia potu. Nauczycielka z politowaniem popatrzyła na niego, kazała mu siadać, stopnia nie postawiła żadnego.

Po paru dniach w ten sam sposób przerobiłem z nim geografię. Wynik taki sam. Nie wiem czy mu dali świadectwo ukończenia szkoły, czy nie otrzymał go. Kontakty się urwały, każdy poszedł w swoją stronę. Wiem tylko to, że należał do chóru kościelnego, gdyż miał doskonały słuch i piękny głos.

\*

Ze wszystkich chłopców najbardziej przyjaźniłem się ze Stachem („swawolnikiem”) Cieślikiem. Każdego dnia wcześniej wychodził z domu i nerwowo

dążył do szkoły. Przechodząc koło naszego domu, zagwizdał głośno trzykrotnie, a ja mając książki przygotowane do szkoły wybiegałem prędko z ulicy i razem równym, wytrwałym krokiem zdążaliśmy do szkoły oddalonej o 2 wiorsty (2 kilometry). Wracaliśmy również razem. Ja musiałem po spożyciu obiadu odrobić lekcje i trochę pomóc ojcu, a on musiał dom zaopatrzyć w opał na dzień następny, a potem dopiero brać się za lekcje.

W niedzielę wieczorem przychodził do mnie. Rozmawialiśmy na różne tematy, nie wyłączając i tego, że moją sympatią była Mania Kotlińska, a jego Bronia Gozdalska.

## **Koniec nauki w Szkole Jagiellońskiej**

Przed końcem nauki ojciec wraz z pielgrzymką udał się pieszo do Częstochowy. Podróż ta trwała kilkanaście dni. Przez ten czas musiałem więcej czasu poświęcić sprawom gospodarczym. Przede wszystkim musiałem otoczyć opieką konie.

Nadszedł czas powrotu pielgrzymki. W oznaczonym dniu wraz z innymi pojechałem do Annopola. Pod wieczór stanęła pielgrzymka na przeciwnym brzegu Wisły. Miałem dużo czasu, aby zapoznać się z naszą królową rzek, opiewaną Wisłą. Wjechała na prom furmanka towarzysząca uczestnikom pielgrzymki, a za nią weszli ludzie z krzyżem na czele. Przeprawa ta odbyła się pomyślnie, składnie, bez żadnych zakłóceń. Z roztkliwieniem witaliśmy przybyłych z tak dalekiej na owe czasy podróży. Napoiiliśmy konie wiślaną wodą po skwaronym, upalnym dniu. Ruszyliśmy całą kawalkadą w podróż do domu.

Zaledwie ujechaliśmy parę wiorst, gdy rozpuściła się burza z błyskawicami i piorunami. Przemoczeni do ostatniej suchej nitki wróciliśmy do domu. Mała grupa uczestników pielgrzymki zanocowała w Księżomierzy. Rano ojciec z kilkoma sąsiadami wyszli na spotkanie pielgrzymki. Połączywszy się z nią, ze śpiewem weszli do naszego parafialnego kościoła na dziękczynne nabożeństwo. Ja zaś udałem się na uroczystość zakończenia roku szkolnego i pożegnania się ze szkołą, kolegami i nauczycielami.

W największej i najładniejszej sali, gdzie pobierała naukę klasa wstępna, rozpoczęła się uroczystość zakończenia nauki. Kierownik szkoły złożył krótkie sprawozdanie z przebiegu i wyników nauczania. Tymczasem nabożeństwo w kościele się skończyło. Ponieważ spodziewałem się spotkania ojca i macochy, zająłem miejsce stojące blisko drzwi. Wymknąłem się z sali i wprowadziłem z kilkoma innymi osobami ojca i macochę do środka. Stanęli onieśmieleni w kącie sali szkolnej, pierwszy i ostatni raz w progach szkoły. W przemówieniu prezes Spółki Szkolnej pan Hempel, dziedzic ze Skorczyc, życzył nam miłego odpoczynku po trudach szkolnych i wesołego spędzenia wakacji. Pomyślałem

w tym momencie, że teraz się znacznie nie żaden odpoczynek, a najtrudniejsza pora ciężkiej pracy przy nadciągających żniwach.

Nauczyciele rozdali klasom wstępnej i I cenzury. Hempel zaś osobiście wręczał uczniom klasy II świadectwo ukończenia szkoły. Na zakończenie wręczono najlepszym uczniom nagrody w postaci książek. Do tych wyróżnionych należałem i ja. Przy wręczaniu nagród podawał każdemu rękę. Ojciec z macochą pierwszy raz byli świadkami takiej uroczystości. Ja dostałem książkę pod tytułem *Ractawice*, którą do dnia dzisiejszego przechowuję w swojej bibliotece.

Po powrocie pokazałem w domu wszystkim świadectwo ukończenia szkoły z nagrodą, samą nowiutką książkę oraz *Wskazówki dla kandydatów pragnących wstąpić do Seminarium Nauczycielskiego w Ursynowie*. Ojciec z macochą obejrżeli świadectwo, nagrodę i *Wskazówki*; przeczytać nie mogli, ponieważ oboje byli analfabetami. Ojciec zapytał, o czym mówił „Pan Dziezic”, na co odpowiedziałem, że kazał mi przy podaniu nagrody i ręki dalej się uczyć, jeżeli chcę być naprawdę rzeczywistym nauczycielem. W porozumieniu z macochą w czasie obiadu powiedział: „Jeżeli to powiedział, to musisz dalej się uczyć”. Właśnie o to mi najwięcej chodziło. Dziwię się, że „macocha”, która w literaturze przedstawiana bywa z najgorszej strony, ta moja macocha – analfabeta, chętnie zgodziła się na moją dalszą naukę w Ursynowie – dzisiejszej Warszawie, stolicy kraju, czego jej nie zapomnę do samej śmierci.

## Kuję żelazo dokąd gorące

Po kilku dniach od zakończenia roku szkolnego udałem się ze stryjem Józefem do pana Hempla do Skorczyc. Zastaliśmy go w domu. Przedłożyliśmy mu *Wskazówki* i zasięgnęli rady, co czynić dalej. Hempel spojrzał tylko na broszurę i powiedział, że treść zna i wie o co chodzi. Stryjek zapytał czy nie można by udać się do „lepszej” szkoły, a miał na myśli gimnazjum. Hempel odpowiedział, że o tej sprawie rozmawiali już poprzednio z kierownikiem szkoły i postanowili, że to będzie dla mnie najlepsza szkoła. Prawdopodobnie pan Brzozowski wiedział o tym, że w czasie przerwy w nauce sam już uczyłem dzieci, więc wiedział, że mam powołanie do stanu nauczycielskiego.

Własnoręcznie Hempel napisał zaświadczenie o mojej moralności; doradził nam, aby to zaświadczenie podpisał także ksiądz proboszcz Hera. Rodzice musieli jeszcze złożyć oświadczenie w dyrekcji Seminarium, że będę regularnie opłacać naukę. Kiedy stryjek powiedział, że rodzice są niepiśmienni, pomyślał chwilę, machnął ręką i sam w imieniu rodziców napisał żądany dokument. Odniosłem wrażenie, że namyślał się nad tym, czy rzeczywiście ojciec gospodarzący na 6 morgach i mający na utrzymaniu ośmiu członków rodziny będzie mógł rocznie za naukę wpłacać 300 rubli. Dlatego to machnął ręką z myślą, że w razie niewypłacalności rodziców sam żadaną sumę

zapłaci. Wątpliwości te były nieuzasadnione, gdyż on nie zapłacił w czasie mojej nauki ani jednej kopiejki.

Wracając do domu, wstąpiliśmy do księdza proboszcza, który po zapoznaniu się z treścią przedstawionego zaświadczenia o mojej moralności i chęci kształcenia się na nauczyciela popatrzył na mnie z ironicznym uśmiechem, że taki niepozorny chłopak, syn analfabetki, ma w przyszłości zostać nauczycielem, ale po krótkim namyśle podpisał.

## **Przygotowania**

We *Wskazówkach* wyczytaliśmy, jaką bieliznę, buty, pościel i ubranie musi posiadać kandydat, i stosownie do tego zaczęliśmy robić przygotowania. Ja wysuplałem resztki z moich zapracowanych pieniędzy, resztę dołożył ojciec. Obliczyliśmy, ile trzeba kupić materiału na bieliznę osobistą, pościelową. Zakupiliśmy wszystko w sklepie i oddali krawcowej do uszycia. Szewc zrobił mi nowe, eleganckie, giemzowe półbuty. Po tygodniu miałem już wszystko gotowe, z wyjątkiem szczoteczki do zębów, której w Urzędowie nigdzie nie można było kupić.

Dowiedzieliśmy się od kierownika, o której godzinie będzie pociąg z Nałęczowa (dziś stacja Sadurki) do Warszawy. Z niecierpliwością czekaliśmy na chwilę wyjazdu. Wszystkie rzeczy spakowaliśmy w jeden pakunek i owinęli w białe prześcieradło. Żadnych waliz ani koszy nie mieliśmy.

## **Jedziemy do Warszawy**

W drugiej połowie sierpnia po południu ojciec mnie i stryja Józefa odwiózł do stacji kolejowej Kolei Nadwiślańskiej w Nałęczowie. Po wykupieniu dwóch biletów po 2 ruble 15 kopiejek punktualnie o godzinie 2 po północy wsiadamy z tobołem do wagonu III klasy. W wagonie łatwo znaleźliśmy miejsca siedzące. Pierwszy raz w życiu oglądałem stację, tory i urządzenie wagonu. Połowę pasażerów stanowią Żydzi jadący do Warszawy w celach handlowych. Za Dęblinem (rosyjska nazwa Iwangorod) zjawia się konduktor celem sprawdzenia biletów i skontrolowania czy ktoś nie jedzie „na gapę” (bez biletu).

W Warszawie wysiadamy na dworcu (ros. вокзаł) o godzinie 7 rano. Dorożką przez Nalewki, Marszałkowską dojechaliśmy do Dworca Grójeckiego wąskotorowej kolejki. Wysiedliśmy na stacji Służewiec, skąd pieszo półtorej wiorsty drogi bocznej z bagażem przebyliśmy w ciągu pół godziny do Ursynowa. Teraz wynikł problem, gdzie i u kogo można się będzie zatrzymać, złożyć bagaż i kilka nocy przenocować. W samym Ursynowie tego zrobić nie można.

Udaliśmy się do wsi Wolica, gdzie odpowiedniego miejsca nie znaleźliśmy. Gospodyni, z którą pertraktowaliśmy o noclegu, doradziła nam, że

taką sprawę najlepiej będzie można załatwić w Służewie; tam najczęściej się kandydaci zatrzymują. Posłuchaliśmy rady i razem z dwoma chłopcami (kandydatami) zatrzymaliśmy się na plebanii. Ksiądz proboszcz Mścichowski zaproponował nam, aby bagaż złożyć do spichrza, a z nocowaniem nie będzie kłopotu, gdyż corocznie kandydaci śpią w szopie na sianie. Zgodziliśmy się na tę propozycję. Niebawem zjawiono się jeszcze kilku ojców z synami, którzy (i ja również) będą jutro od samego rana zdawać egzamin do Seminarium. Zdziwiłem się, że żaden kandydat ani ojciec nie mieli bagaży. W rozmowie wyjaśnili nam, że przez trzy dni będzie egzamin, a potem ogłoszą, kto zdał i został przyjęty. Od egzaminu do rozpoczęcia nauki będzie jeszcze kilkanaście dni. Nie było sensu teraz brać ze sobą bagażu, a potem wracać z nim do domu w razie nieprzyjęcia chłopca do szkoły. Na szczęście w moim wypadku taka sytuacja nie zaistniała.

Egzamin właściwy poprzedziły badania lekarskie i kontrola słuchu muzycznego. W jednej sali przyjmował i badał lekarz, a obok w drugiej nauczyciel śpiewu i muzyki. Po południu był egzamin piśmienny z arytmetyki. Następnego dnia rano egzamin piśmienny z języka polskiego, a po południu ustny z arytmetyki. Trzeciego dnia prefekt Mścichowski egzaminował z religii. Czwartego dnia była sesja pedagogiczna, a po niej ogłoszenie wyników przez wywieszenie listy uczniów przyjętych.

Przed sesją przeprowadzono rozmowy z kandydatem i ojcem. Na to spotkanie byłem wezwany. Rozmowę przeprowadził dyrektor Borowski i wychowawca Kosiński. Prócz pytań o stosunki domowe, rodzinne zapytał mnie dyrektor, kto to jest pan Hempel, który tak dodatkowo się o mnie wyrażał w swoim zaświadczeniu.

Z wielką niecierpliwością czekałem na ogłoszenie listy przyjętych uczniów. Ulżyło mi na sercu, że na liście przyjętych jest D. Wośko. Podziękowaliśmy księdzu prefektowi za gościnę i prosili o zaopiekowanie się naszym bagażem.

Piątego dnia zdobyliśmy adres czapnika, który był upoważniony do tego zajęcia. Dopiero następnego dnia po odbiorze czapki wróciliśmy do Sadurek, gdzie ojciec przez kilkanaście godzin czekał na nas.

Wróciłem do domu uszczęśliwiony. Ze zdwojoną energią pracowałem w polu na równi z dorosłymi, aby odrobić czas stracony na egzamin.

Stryjek Józef na tym nie stracił. Ojciec dał mu na wszystkie wydatki pieniądze, z których się skrupulatnie wyliczył. Praca na polu też nie ucierpiała, bo za niego pracował przez te dni ojciec. Oto tak stryjek pomógł mi przy zdobywaniu nauki.



## Seminarium, 1911–1915

Czas od egzaminów do rozpoczęcia nauki w nowej szkole szybko upłynął przy kończeniu żniw. Przy żniwach pracowaliśmy w powiększonym gronie pracowników. Prócz rodziców pracowałem jeszcze ja (17 lat), Frozyna (14 lat), Antoś (11 lat) i Stefan (9 lat) we dwóch paśli bydło. Z uczuciem ulgi opuszczałem dom rodzinny. Wiedziałem bowiem, że pozostali członkowie rodzeństwa będą pomagać ojcu nie gorzej ode mnie.

Do Warszawy miałem już jechać sam. Przygotowałem sobie wcześniej bagaż: palto zimowe, ręczniki i przybory toaletowe. Ojciec odwiózł mnie do Sadurek w towarzystwie Antosia, aby mu było przyjemniej w podróży.

Na dworzec kolejowy przyjechałem na godzinę 7. Wsiadłem do dorożki i ruszyliśmy w stronę Dworca Grójeckiego wąskotorowej kolejki podmiejskiej. Po drodze obserwowałem ruch na ulicach we wczesnych godzinach porannych. Dorożkarz, który miał metalową tabliczkę na plecach „Nr 96” trochę poniżej kołnierza, siedział na wąskim koźle i monotonicznie popędzał swoją dorożkarską szkapę. W pewnym momencie odwrócił się do mnie i prosił o zapłacenie 50 kopiejek za kurs, motywując, że na dworcu nie może się zatrzymać, aby otrzymać należność za przejazd. Odliczyłem pieniądze i natychmiast mu zapłaciłem.

Odjechaliśmy kilkadziesiąt kroków – powiedział mi, że koniowi odpada podkowa od przedniej nogi. Skręcił na lewo i zatrzymał się w jakiejś małej bocznej ulicy przy pompie, z której okoliczni mieszkańcy czerpali wodę i powiedział, że teraz ja zsiądę z dorożki, bo on musi podjechać do kuźni do kowala celem umocowania podkowy. Ja na razie nic nie odpowiedziałem. On jeszcze raz to samo powtórzył, na co mu odpowiedziałem, że za kurs już mu zapłaciłem, nowej dorożki nie wezmę, a pieszo będzie mi trudno dostać się do dworca, a czasu mam mało. Odrzekł mi, że zwróci mi 10 kopiejek na nową dorożkę. To mnie zdenerwowało, bo jak zauważyłem podkowa nie klapała. Jeżeli nie pojedzie to poskarżę się dyrektorowi. Spojrzał na mnie wilczym wzrokiem i zapytał jakiemu dyrektorowi, na co mu odpowiedziałem – dyrektorowi szkoły, a numer dorożki mam zapisany. Jestem uczniem. Napoiwszy konia, ruszyliśmy dalej i spokojnie dostałem się na dworzec.

Wykupiwszy bilet, po półgodzinnej podróży wysiadłem na dworcu w Służewcu. Tam znaną mi już krótszą drogą, ścieżką dobrnąłem z pakunkiem do Ursynowa. Pakunek zostawiłem u gospodarza Seminarium pana Karola (nazwiska nie pamiętam). Natychmiast udałem się do Służewa, aby забраć pakunek pozostawiony kilkanaście dni temu w czasie egzaminów.

Po powrocie z dwoma bagażami dołączyłem do gromadki nowych kolegów, zdających ze swymi bagażami do wychowawcy, pana Kosińskiego. Po uzgodnieniu mego nazwiska z listą przyjętych uczniów dał mi na kartce numer 129, zaznaczając, że pod tym numerem zajmę miejsce przy stole w jadalni w czasie posiłków, będę spał w V sali na piętrze na łóżku z tym numerem. Pod tym numerem będę korzystał z połowy szafy na ubranie i bieliznę w sypialni, a także zajmę szafkę na książki i zeszyty w sali wykładowej w pałacu. Gdybym miał jakieś trudności, to mi pomoże kolega z IV kursu Ołdak.

## Na miejscu

Zniosłem bagaże do sypialni. Ułożyłem bieliznę, ubranie i buty w swojej szafie, zamknąłem na klucz. Wykupiłem koc tygrysowaty (5 rubli 70 kopiejek), siennik ze słomą (1 rubel 60 kopiejek), kubek, nóż, widelec, łyżkę, łyżeczkę za 1 rubla, skrzypcę (5 rubli).

Wypełniłem siennik słomą, zasłałem prześcieradłem, ułożyłem poduszkę i to wszystko nakryłem kocem. Zapoznałem się z umywalnią, salą klasową oraz otoczeniem. Pierwszy raz zjadłem kolację w jadalni przy piątym stole, numer miejsca 129.

## Ursynów

Ursynów to małe osiedle położone przy szosie, mało użytkowanej, prowadzącej ze Służewa (kościół parafialny) do wsi Wolica-Natolin. Po stronie południowej były pola uprawne, maliniak graniczący ze Służewcem, a po stronie północnej tej szosy był wspaniały park, odgradzony od szosy ogrodzeniem siatkowym, po zachodniej stronie był wysoki parkan sztachetowy, po wschodniej stronie był piękny drewniany dworek z zabudowaniami gospodarskimi i mieszkaniami dla służby folwarcznej, a dalej na wschód był kilkumorgowy sad owocowy, ogrody warzywne. Ta część Ursynowa była wdzierżawiona specjaliście-ogrodnikowi panu Cumbachowi. Na północy park kończył się skarżą dawną Prawistą, za którą rozciągały się mokradła i rozległe łąki, docierające do pól Wilanowa.

Do dyspozycji Seminarium był cały park, przez który od szosy do pałacu prowadziły dwie aleje z trawnikiem pośrodku, obsadzone starymi pięknymi lipami. Do parku wchodziło się przez bramę przy szosie, przy której był mały domek dla odźwiernego (Adam) i jego rodziny. Brama była stale zamknięta. Była otwierana tylko do wyjazdu powozu dyrektorskiego, bryczki dla profesorów, którzy przyjeżdżali z Warszawy na wykłady oraz platformy, którą piekarz codziennie rano przywoził pieczywo i nabiał. Uczniom wyjście poza bramę było najsurowiej wzbronione.



Plan Ursynowa z widocznym parkiem i zabudowaniami Seminarium Nauczycielskiego. Zasoby Archiwum Państwowego w Warszawie, <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/jednostka/-/jednostka/12486364>

W niedzielę, za zezwoleniem dyrektora, uczniów Seminarium mogli odwiedzać rodzice lub krewni. Tego dnia po nabożeństwie za przepustką mogli wyjeżdżać do Warszawy uczniowie w jakiejś ważnej sprawie, za naganne zachowanie się i dobrą naukę w czasie minionego tygodnia, ale i te wyjazdy były ograniczone.

Uczniowie mogli spacerować tylko alejami głównymi, aleją prowadzącą z pałacu do altanki (aleja akacjowa) lub alejami przeznaczonymi do ruchu kołowego od bramy do pałacu i z powrotem. W wyjątkowych wypadkach, np. w czasie ćwiczeń terenowych drużyny skautów w wieczornych sobotnich godzinach, dozwolony był ruch we wszystkich kierunkach parku.

Wzdłuż parkanu od strony Służewa są posadzone duże świerki, jodły i kilka modrzewi w odległości 3 metry jedno drzewo od drugiego. Pomiędzy drzewami rosną dzikie czarne bzy pomiędzy trawą. Obok tego szpaleru roślinności ciągnie się rzadko używana aleja ogrodowa. Do tej alei dociera ogród warzywny, w którym uczniowie pracują i pielęgnują warzywa na użytek kuchni Seminarium pod nadzorem specjalistycznym ogrodnika.



Aleje w parku w Ursynowie. Zasoby Archiwum Państwowego w Warszawie, <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/jednostka/-/jednostka/12486364>

Między ogrodem warzywnym a parkiem, pomiędzy drzewami, są rozstawione ule z pszczołami – pasieka Seminarium. Ule te są różnych kształtów i budowy. Jedne z nich są zrobione ze słomy w postaci kuczek koniczyny. Są intensywnie splecione z warkoczy słomianych zszytych pędami rogożyny\*. Inne są zrobione ze starych, grubych pni drzewnych i wreszcie nowoczesne ule zbudowane z heblowanych desek, pomalowane w różne kolory, zwieńczone podnoszonymi daszkami, kryte czarną smołowcowaną papą. Tu pracują uczniowie IV kursu, którzy interesują się hodowlą pszczoł. Czynią porównania, w których ulach najlepiej czują się pszczoły i dają większą ilość miodu.

Przy samym płocie przy szosie są stajnie na 3 konie, wozownia i komora do przechowywania uprzęży.

Od tych obiektów blisko szosy jest duże boisko do sportów wyczynowych, a obok niego jest drugie boisko małe do ćwiczeń gimnastycznych na lekcji wychowania fizycznego. Na tym małym boisku między dużymi świerkami są przerzucone mocne belki z hakami i drążkami do wspinania się w czasie gimnastyki. Między dwoma innymi świerkami jest belka do ćwiczeń równoważnych, żerdź ruchoma do ćwiczeń skoków, ruchome krzeselko do ćwiczeń

---

\* Rogożyna, czyli pałka wodna – przyp red.



rąk i kręgosłupa. Na zakończenie stoi kozioł z trampoliną do skoków okrakiem. Do zabezpieczenia przyrządów służą zamiast słupków rozłożyste świerki.

Na tym boisku były również ćwiczenia straży przeciwpożarowej, które prowadził z uczniami wychowawca i opiekun pan Juliusz Kosiński, człowiek już w podeszłym wieku, ale sprawny organizator z temperamentem młodzieńca.

Specjalnej sali gimnastycznej w Seminarium w owym czasie nie było. Wszystkie ćwiczenia były prowadzone bez względu na temperaturę na tych boiskach.

## Sale sypialniane

Sale sypialne były urządzone w piętrowym budynku obok boisk w domu zbudowanym w kształcie podkowy. Na parterze były cztery sale niezbyt duże, a na piętrze jedna mała i druga bardzo duża, która zajmowała dwie trzecie powierzchni piętra; była to sala numer 5. Do niej była przyległa umywalnia z małą szatnią. Woda była bieżąca, która po użyciu spływała rurami pod ziemią do zbiornika pod małym boiskiem, a stąd rowami na dalekie łąki. Do gruntownego umycia się i kąpieli była łaźnia z natryskami. Obok pryszniców były klozety. Wszystko skanalizowane. Uczniowie o każdej porze dnia mogli załatwiać czynności fizjologiczne, bez wychodzenia na zewnątrz gmachu.

Obok w samym kącie budynku był skład narzędzi ogrodniczych. W drugim końcu gmachu było mieszkanie dwupokojowe, które zajmował wychowawca.



Internat Seminarium. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

Na piętrze drugiego skrzydła był pokój i pracownia lekarska, a także sala dla chorych. Obok było mieszkanie dla technika, który obsługiwał oświetlenie gazowe i system kanalizacji i wodociągu. W sypialniach oświetlenie naftowe, a w pałacu oświetlenie gazowe.

## Jadalnia

Jadalnia mieściła się naprzeciwko sypialni w gmachu jednopiętrowym w kształcie podkowy usytuowanym odwrotnie niż sypialnie. W jednym skrzydle była wzorówka (szkoła ćwiczeń), do której uczęszczały dzieci z Wolicy (Służew miał szkołę ludową z językiem wykładowym rosyjskim), a nad nią mieszkał kierownik szkoły pan Antoni Królikowski. Tuż obok sali wykładowej była szatnia dla dzieci i nasza uczniowska. Na parterze całe powierzchnie środkowe były przeznaczone na jadalnie uczniowskie. W kącie był specjalny stół dla wychowawcy i sekretarza, pana Kaweckiego.

Drugie skrzydło było przeznaczone na kuchnię. W przejściu była opuszczana kłapa, do której na tacach donosił kuchcik, a kolega Godecki wzywał kolejno stoły. Dyżurny stołu zgłaszał się i pobierał już rozlaną do waz zupełną, którą przynosił do swego stołu. Przed obiadem odmawialiśmy modlitwę.

Na piętrze nad jadalnią i kuchnią mieszkał personel kuchenny, ogrodnik, i gospodarz Seminarium pan Karol. Jeden pokój zajmował emerytowany lokaj (kamerdyner), który w młodych latach obsługiwał stoły u hrabiego Krasińskiego.

Za kuchnią była pracownia wikliniarska i wyrobów ze słomy. Tam wyplataliśmy różnej wielkości i kształtu kosze na potrzeby gospodarcze Seminarium oraz słomianki i maty ogrodnicze na utrzymanie porządku przy wejściu i maty do zabezpieczenia od mrozu warzyw posianych w inspektach.

Przed jadalnią była stacja meteorologiczna, którą obsługiwali i zapisywali spostrzeżenia uczniowie IV kursu.

Do środka kuchni uczniom wstęp był wzbroniony. Na śniadanie po dzwonku dostawaliśmy żurek. Obiad składał się z dwóch dań (w piątek post), a na kolację była mleczna kawa z chlebem i serem, czasem z masłem, a najczęściej z powidłami śliwkowymi i powidłami z czarnego bzu.

Po obiedzie udawaliśmy się na krótki odpoczynek do sypialni. Na dzwonek znów zbieraliśmy się przed jadalnią. Tu od pana Kosińskiego otrzymywaliśmy zadania na dwugodzinną pracę fizyczną.

## Pałac

Pałac zbudowany nad skarpią starowiślaną, kryty blachą. Od strony północnej na rogach są po jednym pokoju półokrągłym, a nad każdym balkon





Gmach szkolny od strony wjazdu. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

otoczony balustradą, na parterze dobudowana weranda cała oszklona, gdzie w przeszłości rosły rośliny egzotyczne.

Za pałacem jest duży trawnik z gazonem pośrodku, na którym palma rozłożyła swe długie pierzaste liście. Pod tym trawnikiem są lochy, w których jest zainstalowana gazownia. Od tego trawnika symetrycznie prowadzą mурowane łamane schody do alei, która biegnie brzegiem stawów i łąk podmokłych, ulubionych przez ptactwo wodne; między innymi często się widzi dzikie kaczkę i łyski, a w trzcinach panuje wszechwładnie trzciniak. Z dala od pałacu, a blisko Wolicy można obserwować życie bażantów. Z tych stawów za pomocą konnej wodnej pompy jest czerpana i magazynowana w dużych zbiornikach woda do podlewania warzyw w czasie suchego lata.

Od frontu przed pałacem jest duży okrągły trawnik, pokryty kobiercem często strzyżonej zielonej trawy. Pośrodku bawi oko piękny duży klomb, na którym ogrodnik z uczniami sadi kilka razy w ciągu lata różnobarwne kwiaty. Nad tym klombem pośrodku króluje duża rozłożysta palma. Brzegi trawnika również są ukwiecone w kształcie esów-floresów. Z dala wygląda jak duży dywan perski.

Do pałacu wchodzi się po kamiennych schodkach przez masywne dębowe drzwi, nad którymi jest murowany herb – Ursus (niedźwiedź). Nad tym przedpokojem znajduje się duża weranda i podłużny balkon. Z przedpokoiu wchodzimy do dużego holu. W lewej stronie są ustawione wieszaki na palta i czapki uczniowskie. W szatni panuje idealny porządek. Na wprost po dębowym parkiecie wchodzi się do sali rekreacyjnej. Za całe umeblowanie służy

czarny fortepian, a pod drugą ścianą fisharmonia. Z tej sali można wyjść dwoma drzwiami na wspomnianą już werandę.

Na prawo z holu prowadzą okrągłe dębowe schody na I piętro. Obok schodów drzwi prowadzą do kancelarii dyrektora Władysława Borowskiego, która połączona jest drzwiami z trzypokojowym prywatnym mieszkaniem. Po przejściu tych pokoi i kuchni można wyjść kuchennym wyjściem pod wiekowym włoskim drzewem orzechowym do alei akacjowej, prowadzącej do odległej altany.

Z holu na lewo znajduje się kancelaria szkolna, a za nią jednopokojowe mieszkanie sekretarza Kaweckiego. Od krótkiego korytarza na prawo jest pokój muzyczny, gdzie uczniowie samodzielnie ćwiczą zadany do opracowania temat muzyczny.

Na wprost drzwi prowadzą do dwupokojowego mieszkania wicedyrektora Kazimierza Gnoińskiego, a potem do kuchni. Stąd można wyjść z pałacu kuchennym wyjściem do parku w stronę Służewa.

Na I piętrze znajdują się cztery sale szkolne, pokój nauczycielski z wejściem na werandę, biblioteka szkolna (1500 książek), czytelnia zaopatrzona w czasopisma tygodniowe i miesięczniki, pokój cichej pracy, gdzie uczniowie IV kursu przygotowują się do egzaminów państwowych.

W drugiej połowie piętra jest uczniowska kooperatywa, gdzie uczniowie zaopatrują się w materiały piśmienne, mieszkanie woźnego, gdzie od sufitu zwiesza się linka od sygnaturki umieszczonej w małej wieżyczce na dachu. Woźny za pomocą tego dzwonka oznajmia uczniom o początku lekcji, o końcu robót w parku, ogrodzie i pracowniach i zakańczaniu pracy przy przygotowaniach lekcji wieczorem.

W suterrenach jest pracownia slaidowa (prace ręczne w drzewie), gdzie uczniowie reperują sprzęty ogrodnicze, robią kule i młotki do krokietu\* i inne drobne rzeczy potrzebne w gospodarstwie szkolnym i osobistym.

## **Pierwszy dzień nauki**

7 września 1911 roku o godzinie 6 rano zbudził mnie ze snu dźwięk trąbki. To wychowawca pan Kosiński przechodził wzdłuż rzędu naszych łóżek, dawał sygnały pobudki. Natychmiast wyskoczyłem z łóżka i pośpiesznie ubrałem się, a potem wraz z kolegami udałem się do umywalni z ręcznikiem, mydłem, szczoteczka do zębów i proszkiem do mycia zębów. Przez odkręcenie kranu napełniłem do połowy muszlę wodą. Umyłem się pośpiesznie, umyłem zęby szczoteczka i spuściłem zużytą wodę, bo już za mną stał inny kolega w kolejce do mycia.

---

\* Krykieta - przyp. red.

O godzinie 6<sup>30</sup> dzwonek wezwał nas do jadalni na śniadanie. Po spożyciu posiłków dało się słyszeć o godzinie 7<sup>20</sup> dzwon sygnaturki na pałacu. Zebraliśmy się wszyscy uczniowie w sali rekreacyjnej na wspólną modlitwę, po której dyrektor pan Borowski sprawdził obecność uczniów. Na polecenie dyrektora każdy kurs udał się do swojej sali wykładowej. Pierwszokursistom towarzyszył wychowawca Seminarium pan Kosiński.

Skład socjalny uczniów był różny. Większość z nas to byli synowie drobnych rolników, na drugim miejscu synowie robotników z Zagłębia Węglowego Dąbrowskiego, synowie pracowników kolejowych, a nikły odsetek synowie zagrodowej szlachty, np. Pogorzelski. Ci ostatni ostentacyjnie podkreślali przynależność do stanu szlacheckiego, choć sposobem bycia, kulturą niewiele różnili się od synów chłopskich.

W korytarzu koło drzwi naszej sali wykładowej wychowawca ustawił nas w dwuszeregu według wzrostu i podzielił na trzy grupy. Każda grupa zajęła miejsce w ławkach. Na przedzie usiedli uczniowie niskiego wzrostu, a na końcu najwyżsi. Mnie wypadło usiąść razem ze Stanisławem Górką z siedleckiej guberni w czwartej ławce trzeciego rzędu od tablicy przy ścianie.

Zapoznał nas z regulaminem szkoły. W przemówieniu podkreślił mocno wagę współżycia klasowego i poszanowania sprzętów szkolnych i utrzymania w czystości klasy i jej otoczenia. Przypomniwał nam o zasługach założycieli jednego i jedynego w Królestwie Polskim polskiego Seminarium Nauczycielskiego w Ursynowie. Poleciał nam uważnie przeczytać wskazówki i zapamiętać nazwiska założycieli, na czele których stali: Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, hr. Adam Krasiński, baron Kronenberg, ordynat Maurycy hr. Zamoyski i inni (*Wskazówki* strona 4). Na czele Rady Nadzorczej Seminarium jest mecenas Antoni Osuchowski. Podkreślił również ważność zawodu nauczycielskiego dla społeczeństwa polskiego.

Na I kurs zostało przyjętych 46 uczniów. Jeden z nich nie przybył do Seminarium. W ławkach zajęło miejsce 45 chłopców. Selekcja ta nie jest ostateczna, gdyż w ciągu pierwszego półrocza, które jest okresem próbnym, mogą zajść jeszcze zmiany, gdyby któryś z uczniów po obserwacji nie nadawał się do przyszłej ofiarnej i zaszczytnej pracy nauczycielskiej.

Zapoznał nas również ze sposobem użycia dwóch tablic szkolnych, umocowanych w oprawie na stalowych linkach na bloczkach, tak że zapisana jedna tablica za pociągnięciem za uchwyt podjeżdża do góry, a niezapisana opada na dół przygotowana do dalszego pisania. Przydzielił nam po jednej małej szafce na książki, zeszyty i inne pomoce naukowe.

Na sygnał dzwonka wszyscy uczniowie zeszli na dół i ustawili się czwórkami. Do kościoła parafialnego w Służewie na przedzie maszerowali czwartoklasiści (niektórzy wąsaci i brodaci), a na końcu uczniowie kursu pierwszego. Na czele kroczył dostojnie wychowawca pan Kosiński z dużą siwą brodą. W czasie marszu minął nas w karecie zaprzężonej w dwa kare

rosłe konie dyrektor Borowski z matką. W kościele siedzące miejsca zajęli uczniowie kursu IV i III, a młodzi koledzy stali pośrodku kościoła.

Solenne nabożeństwo odprawił proboszcz, a jednocześnie prefekt szkoły ksiądz Mścichowski. Uczniowie chóralnie śpiewali pobożne pieśni, przygotowane i opracowane przez nauczyciela śpiewu i muzyki pana Sawickiego.

Po dobrym obiedzie odpoczywaliśmy półtorej godziny. Na sygnał sygnaturki zebraliśmy się w salach wykładowych, gdzie nam podano rozkład pracy na dzień następny i plan lekcji.

Pobudka latem o godzinie 6, w zimie 6<sup>30</sup>. Śniadanie godzina 7. Początek lekcji 7<sup>30</sup>. Koniec lekcji przed południem (po pięciu godzinach lekcyjnych) o godzinie 12. Obiad godzina 12<sup>10</sup>. Odpoczynek 12<sup>30</sup>-13<sup>15</sup>. Podwieczorek 15<sup>30</sup>. Lekcje (trzy) popołudniowe 16-18. Kolacja 18<sup>30</sup>. Odrabianie lekcji 18<sup>40</sup>-21<sup>30</sup>. Sen nocny 21<sup>40</sup>-6 rano (osiem godzin). Codziennie osiem godzin nauki szkolnej. We środy pięć godzin nauki, a reszta na kąpiel, reperacje odzieży itp.

## **Drugi dzień nauki**

Po sprawdzeniu obecności przez dyrektora i odmówieniu modlitwy udaliśmy się do sal wykładowych. Zajęliśmy swoje miejsca w wygodnych ławkach z wysuwanymi blatami i drewnianymi oparciami dla nóg (firmy Urania).

Każdy z nauczycieli przystąpił do wykładu:

pan Winkler Edward - język polski,

pan Bobruk - geografia,

pan Gackiewicz - język rosyjski,

pan Gnoiński i doktor Wł. Goriaczkowski - nauka przyrody,

pan Mościcki Henryk - historia Polski,

pan Dzierżyński Ignacy - geografia Polski,

pan Smosarski Władysław - arytmetyka i geometria,

pan Sawicki Władysław - śpiew i muzyka,

pan Kosiński Juliusz - gimnastyka i wychowanie,

pan Królikowski Antoni - kaligrafia i wzorówka,

pan Pillati - rysunki,

ksiądz Mścichowski - religia.

Zajęcia praktyczne - codziennie dwie godziny. Po jednej godzinie i 15 minutach odpoczynku poobiedniego na głos sygnaturki zebraliśmy się parami między jadalnią i sypialnią. Wychowawca zaczął przydzielać prace na dwie godziny czasu. Sprzątanie jadalni - czterech uczniów, sprzątanie sześciu sal i pokoju lekarskiego - 14 uczniów, zbieranie kasztanów - czterech, zbieranie żołądźi - pięciu, numeracja drzew farbą olejną - trzech, zrywanie czarnego bzu - czterech, grabienie liści na alejach i zwożenie do dołu kompostowego - 11. Po upływie pół godziny wychowawca skontrolował, czy wszyscy uczniowie są na swoich miejscach i pracują.

Po podwieczorku zebraliśmy się w sali muzycznej, gdzie otrzymaliśmy nowe, opakowane w papier skrzypce. Pan Sawicki kazał skrzypce rozpakować i sprawdził czy w czasie transportu nie uległy uszkodzeniu. Okazało się, że wszystkie instrumenty są w dobrym stanie. Następnie podzielił nas na pięć grup. Dużo czasu zużył na strojenie skrzypiec pierwszej grupy, z którą nazajutrz miał pierwszą lekcję. Ja dostałem się do piątej grupy.

Spełniło się moje marzenie posiadania skrzypiec i możliwości na nich grania. Oglądałem je kilkakrotnie i po prostu nie wiedziałem, jak mam je nieść do internatu, aby broń Boże nie uszkodzić. Umieściłem je w szafie na bieliźnie porządnie złożonej w kostkę. Po odrobieniu lekcji w sali wykładowej w pałacu zebrało się nas kilku pierwszokursistów i zaczęliśmy porównywać swoje skrzypce z innymi.

### **Coś ty Górka zrobił?**

Ja oglądałem skrzypce Górki, a on moje. Inni chłopcy stali obok. Jeden z nich zauważył w środku skrzypiec „duszę” i spytał, co to jest. Górka, nie namyślając się, stuknął go deską wierzchnią w głowę. Deska od uderzenia pękła do połowy skrzypiec. Górka chciał mi skrzypce zwrócić, na co się nie zgodziłem. Górka mi tłumaczy, że to nie jest nic poważnego.

Ja pękniętych skrzypiec nie przyjąłem. Górka koniecznie chce mi je wręczyć. Chłopcy na razie stali oniemiały. „Więc kiedyś zepsuł skrzypce to sobie je bierz, a ja będę miał twoje” – rzekłem ze łzami w oczach. Chłopcy przyznali mi rację. Więc Górka jak niepyszny poszedł do swojej sali z pękniętymi, a ja zatrzymałem jego dobre skrzypce. W czasie świąt Bożego Narodzenia jakiś stolarz mu skleił i posługiwał się nimi przez cały czas.

### **Czy to pożar?**

Późny wieczór. Siedzieliśmy w swoich ławkach i odrabiali zadane lekcje. Jedni uczniowie piszą, inni pochyleni nad książkami czytają cicho lub półgłosem tak, aby nie przeszkadzać kolegom w pracy. Na sali słychać cichy gwar – może lepiej – szmer. Sześć lamp gazowych rozmieszczonych w dwóch punktach jasno, równomiernie oświetla salę. Kilku kolegów uczy się, spacerując po korytarzu.

Jeden z kolegów wyszedł na ganek, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Naraz ten kolega woła: „Patrzcie, patrzcie czy to nie pożar w Wilanowie?”. Ciekawsi, a między nimi jestem i ja, przyłączyliśmy się do niego na balkonie. Daleko na horyzoncie widać jakieś rozległe światło, ale płomienia pożaru nie ma. Jeden z kolegów wszedł na balustradę murowaną, aby lepiej się przyjrzeć. Widać teraz na horyzoncie jeszcze większe światło. Przepychamy się nawza-

jem, aby wejść na balustradę. Wszedłem i widzę połowę tarczy wschodzącego księżyca. Na balkonie zrobiło się gwarно.

Naraz słyszę za sobą głos dyrektora: „A co ty tu robisz?”. Skamieniałem, omalże nie cofnąłem ręki od popiersia Jadwigi, umieszczonego we wnęce muru. Natychmiast zeskoczyłem. „A jak się nazywasz?” pyta dyrektor. Podałem mu swoje nazwisko. „A nie wiesz, że mógłbyś spaść z piętra i zabić się?”. Zanotował moje nazwisko w notesie. „Teraz wszyscy marsz na miejsca, a o tobie pogadamy na najbliższej sesji Rady Pedagogicznej”.

Oszołomiony tym zajściem usiadłem na miejscu i przez parę tygodni myślałem nad tym, czy mnie nie usuną z Seminarium, ale do tego nie doszło.

## **Nasi nauczyciele**

W ciągu jednego miesiąca poznaliśmy swoich nauczycieli i często wypowiadaliśmy między sobą uwagi. Najlepiej i najchętniej słuchaliśmy wykładów pana Goriackowskiego, który uczył nas przyrody martwej. Każdy wykład był ilustrowany doświadczeniem. Przed każdą lekcją ktoś z nas był w pobliżu pokoju nauczycielskiego, aby pomóc mu przy przenoszeniu do sali wykładowej wanienki, rurczek, kolb, probówek, korków, szklanek itp. Zawsze był uśmiechnięty, życzliwy, ale i wymagający, sprawiedliwy.

Lubiliśmy również poważnego, wysokiego i brodatego nauczyciela geografii, pana Bobruka, Rosjanina. Lekcja gimnastyki dostarczała nam dużo emocji. Pomimo podeszłego wieku pan Kosiński umiał nas zainteresować lekcją gimnastyki, a szczególnie na przyrządach.

Natomiast bardzo nie lubiliśmy nauczyciela arytmetyki i geometrii pana Smosarskiego (Smoka). Na lekcji arytmetyki nie stosował żadnych wykładów. Wezwany do odpowiedzi do tablicy wychodził uczeń jakby kto go wzywał na tortury. Podyktował zadanie. Uczeń zapisał sobie w rogu tablicy dane liczbowe i powtórzył treść zadania. Musiał sam rozwiązywać tłumaczyć. Wystarczyło, aby zatrzymać się, a już zaczęło się strofowanie: „No ruszaj się, nie stój jak kolek, pisz i mów, chyba jesteś żywy”. Żadnym słowem nie naprowadził ucznia, nie pomógł. Wreszcie kończył: „No siadaj, siadaj” i do notesu wstawia 2.

Wzywa drugą ofiarę. Jeżeli ten nie zabiera się do rozwiązania, znów posypały się znane epitety pod adresem ucznia. Przez cały czas siedzieliśmy cichutko. Nie uznawał tego za dobre, jeżeli któryś z kolegów podniósł rękę, wyrażając chęć wtrącić swoje trzy grosze, aby praca przy rozwiązywaniu posunęła się naprzód. Tak do końca.

Spojrawszy na zegarek, podał numer zadania z książki Bohuszewicza. Dzwonek, lekcja skończona. We drzwiach na pewno słyszał nasze westchnienia: „Ach, nareszcie”.

W czasie odrabiania lekcji na dzień następny często przerywaliśmy swoją pracę, aby omówić niektóre posunięcia personelu nauczycielskiego.





**Wychowawca Juliusz Kosiński.**  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

W drzwiach stawialiśmy jednego lub dwóch uczniów, aby nie wpuścili nikogo do sali lekcyjnej.

Dziwiłem się niezmiernie, jak uczniowie krytykowali pracę pana Smosarskiego. Pewnego razu nie wpuścili do sali sekretarza Seminarium pana Kaweckiego, mówiąc mu, że do klasy wejść nie może. Ten uśmiechnął się i cofnął, nie chcąc przerywać debaty. Ale o treści dyskusji i temacie debat dowiedział się okrężną drogą.

Uczniowie z zachodnich stron Kongresówki umieli takie dyskusje prowadzić. Udzielali głosu poszczególnym dyskutantom, a przerywał przewodniczący obradom tym uczniom, którzy zabierali głos w sprawie formalnej. Widocznie ci uczniowie nauczyli się prowadzenia zebrań od swoich ojców.

Najwięcej skarżyliśmy się na brutalne postępowanie wobec uczniów pana Smosarskiego. Uchwaliliśmy wysłać delegację do omówienia tej sprawy z dyrektorem. Ten uważnie wysłuchał skargi i na drugi dzień wszedł do sali w czasie lekcji arytmetyki. Pan Smosarski zdziwił się nieco. Lekcję prowadził bez wyzwisk pod adresem odpowiadającego ucznia. Przez kilka lekcji pan Smosarski wstrzymał się od wymyślań, ale po tym znowu wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Nie cieszył się sympatią nauczyciel języka rosyjskiego Rosjanin Gackiewicz. Ten w czasie wykładu stale poprawiał sobie binokle, uwiązane na sznureczku do klapy marynarki, bo mu często spadały z nosa. Poprawiał zapięcie guzików od marynarki, które były zapięte nie po kolei. Wtrącał jakieś zdania, które były przyjmowane przez uczniów ze śmiechem, sam zaś nie uśmiechnął się. Zawsze był ponury. Strofował nas za śmiech, który przecież był wywołany przez niego samego w czasie wykładu, słowami: „Nu, czto zdzieś smiesznowo”. Oczywiście w czasie nauki i przerwy nie padło żadne polskie słowo.

Nawiasowo dodam, że wszyscy profesorowie mieszkali w Warszawie z wyjątkiem dyrektora, wychowawcy, sekretarza szkoły i kierownika „wzorówki” – szkoły ćwiczeń. Dyrektor, poważny, stary kawaler, z rudą brodą, mieszkał w pałacu ze swoją matką, dostojną matroną. Wychowawca pan Kosiński, bardzo poważny, z dużą patriarchalną siwą brodą, wdowiec, mieszkał przy sypialni. Pan Królikowski, nauczyciel szkoły ćwiczeń – stary kawaler, sekretarz Kawecki – kawaler.

## Złodziej

Upłynęło kilka tygodni mego pobytu w Seminarium. Zbliżała się środa – dzień kąpeli, zmiany bielizny osobistej i pościelowej oraz trzepania koców. Kolega IV kursu Ołdak, mój najbliższy sąsiad w sypialni, wyciągnął swoją brudną bieliznę do prania i przeglądał czystą. Zauważyłem, że jego bielizna jest oznaczona haftowanymi czerwonymi początkowymi literami imienia i nazwiska, moja zaś bielizna podanych liter nie miała. Postanowiłem uzupełnić te niedociągnięcia. W domu mi tego nikt nie umiał zrobić.

Zaopatrzwszy się w igłę, kłębek czerwonych nici (kordonek) zabrałem się do roboty. Otworzyłem drzwi swojej szafy, zwróciłem się twarzą do jej wnętrza, zasłaniając swoją osobą otwartą szafę przed wzrokiem moich ciekawych kolegów. Zacząłem haftować litery „D.W.". Początkowo praca szła mi jakoś niemrawo. Później nabrałem wprawy i już zręcznie kontynuowałem swoją pracę. W ciągu kilku dni dorywczej pracy miałem już kilka sztuk „wyhaftowanej” bielizny, gotowej do oddania do prania. Na półce zostały mi jeszcze trzy komplety czystej bielizny, którą miałem zamiar wyhaftować w późniejszym wolnym czasie. Brudną, ale wyhaftowaną bieliznę związałem w jeden pakunek i położyłem na najniższej półce.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy rano po sygnale na pobudkę zauważyłem przed otwartą moją szafą na podłodze zmięte dwa prześcieradła. Podjąłem je, złożyłem w kostkę i umieściłem na swoim miejscu na półce. Zauważyłem, że na tej półce zostało dużo wolnego miejsca. Okazało się, że w nocy wszystką moją czystą bieliznę osobistą ukradł jakiś złodziej. Zaintrygowany tą sprawą kolega Ołdak zapytał się, co to się stało, że mam w oczach łzy. Opowiedziałem mu o całym tym zajściu. Sprawdził swoją szafę, gdzie nic nowego nie zauważył.

Pytaliśmy się innych kolegów, czy nie widzieli, nie słyszeli złodzieja. Nikt nic nie widział i niczego podejrzanego nie słyszał.

Wychowawca obejrzał moją szafę, rzucił okiem po sali i zauważył uchylone okno w pobliżu mego łóżka i szafy. Doszliśmy do wniosku, że złodziej wszedł i wyszedł oknem. Złodziej miał ułatwioną „pracę”, bo na zewnątrz murarze reperowali odpadłe tynki na sypialni i mieli do ściany przystawioną drabinę, po której złodziej swobodnie zszedł z I piętra na dół, ja mu jeszcze ułatwiłem, bo wprawdzie przed snem szafę zamknąłem, ale zapomniałem schować klucz, który tkwił przez całą noc w zamku szafy.

Nie było czasu na długą debatę. Dzwonek na śniadanie – dzwonek na lekcje. Więcej czasu nie miałem na dociekanie. Czy wychowawca poczynił jakieś kroki celem wykrycia złodzieja, tego nie wiem. Czysta bielizna przepadła. We środę oddawałem razem z innymi kolegami bieliznę brudną, opatrzywszy ją cyframi „129”. Musiałem przez 2 tygodnie nosić na sobie brudną bieliznę do czasu przywiezienia upranej.

Tak zostałem ukarany za swoją głupotę i niezaradność życiową. Później już szafę skrupulatnie zamykałem, a klucz od szafy chowałem pod poduszkę na noc, a w dzień chowałem do kieszeni. Jeszcze raz sprawdziło się przysłowie „Mądry Polak po szkodzie”.

## **W czytelnii i bibliotece**

Biblioteka szkolna mieściła się na pierwszym piętrze lewego skrzydła. Dokoła pod ścianami niedużego pomieszczenia na regałach działami rozmieszczone były książki polskie i rosyjskie (beletrystyka i książki z zakresu pedagogiki, psychologii i wychowania). Bibliotekarzem był kolega z IV kursu Janicki, a pomocnikiem Jędrzejewicz z kursu III. Biblioteka była czynna cztery razy w tygodniu. Jednego dnia wypożyczano książki uczniom I kursu, drugiego uczniom kursu II itd.

Do biblioteki przechodziło się przez czytelnię zaopatrzoną w tygodniki, miesięczniki, roczniki. Najpoczytniejszymi czasopismami były: „Tygodnik Ilustrowany” i „Ziemia” oraz „Zorza”. Tu spokojnie w ciszy można było poczytać, a nawet i uczyć się. W jednym numerze „Ziemi” były fotografie drewnianych domów z podcieniem w Urzędowie.

## **Koniec I półrocza**

Koniec I półrocza był już bliski. Sekretarz Seminarium podał nam datę zakończenia I półrocza i początek nauki w II półroczu. Ta wiadomość była dla nas bardzo ważna. Mogliśmy wcześniej napisać listy do domu z prośbą o wysłanie koni na stację.

Warszawa, 1 listopada 1913 r.

Kok IV. Nr. 44.



ZABYTKI POLSKIE.



fol. M. Wozniak.

URZĘDÓW, POM. JANDOWSKI. DOWY POSIEDOWE W BINKU

Pierwsza strona tygodnika „Ziemia” ze zdjęciami Urzędowa

W ostatnim dniu nauki została urządzona choinka dla dzieci uczęszczających do „wzorówki”. Każde dziecko otrzymało drobny podarunek. Po tej uroczystości otrzymaliśmy półroczne cenzury. Moja cenzura nie była najlepsza. Miałem zaledwie cztery „5” (między innymi z muzyki), reszta „4” i kilka „3”, a z języka rosyjskiego zaledwie wyciągnąłem „3-”. Z ustnych odpowiedzi miałem zawsze „3”, natomiast z prac piśmiennych więcej miałem „2” niż „3”. To mnie mocno zaniepokoiło, gdyż niewiele brakowało do „2”, a tym samym moja dalsza nauka była zagrożona, gdyż według regulaminu uczeń dwójkowy był z Seminarium usuwany. Musiałem skoncentrować pracę nad opanowaniem materiału naukowego. Zaopatrzyłem się w kilka egzemplarzy wypisów Martinowa, gdzie były wyrazy z zaznaczonym akcentem i zabrałem się do pracy w czasie świąt, a po świątach czas przeznaczony na ćwiczenia muzyczne obracałem na czytanie i studiowanie materiału z ortografii. Kosztem muzyki poprawiłem ocenę z języka rosyjskiego.

Na stacji kolejki wąskotorowej pożegnaliśmy się z kolegami, którzy rozejchali się na święta we wszystkich kierunkach Kongresówki. Najwięcej było kolegów z powiatów pogranicznych z Niemcami.

## Zagraj polkę

Jadąc na ferie, prócz rosyjskich podręczników zabrałem skrzypce i szkołę, aby w domu ćwiczyć. W domu przyjęli mnie z „otwartymi rękami”, ciekawi byli moi domownicy i sąsiedzi, jak teraz wyglądam po półrocznej niebytności w domu.

Przyszedł również mój stryjeczny brat Andrzej, syn wspomnianego już stryja Józefa. Widząc leżące na łóżku skrzypce, zwrócił się do mnie, abym mu coś zagrał. No, zacząłem „pitolić” gamy i ćwiczenia ze szkoły na skrzypce. Jędrus uśmiechnął się pod wąsem i mówi: „A teraz zagraj polkę lub oberka”. Naturalnie nie spełniłem jego życzenia, bo od gam i moich ćwiczeń ze szkoły do polki i oberka była bardzo daleka droga, moje wiadomości muzyczne nie sięgały tak daleko. Musiałem mu tłumaczyć, że najpierw trzeba przepracować całą szkołę, nabrać dużej wprawy w grze, aby takie melodie można było zagrać. Musiałem dużo opowiadać o nauce, o Ursynowie, Warszawie i podróży.

## Nasza choinka

Do świąt Bożego Narodzenia pozostały jeszcze dwa dni, a pracy przed nami bardzo dużo. W rozmowie po przybyciu do domu wspomniałem o choince w Ursynowie. Siostra Frozyna podchwyciła ten temat i zaproponowała, abyśmy i u nas urządzili podobną choinkę. Ojciec o tym nie wiedział. Całą jego troską było to, aby przygotować paszę dla bydła i koni na te dwa dni



świąt. Z samego rana ja, Frozyna i Antoś zabraliśmy się do rżnięcia sieczki na sieczkarni. Najpierw urżnęliśmy drobnej sieczki na mały tryb z żytniej słomy i kilku snopów owsa dla koni. Antoś napełniał skrzynkę, a my z Frozyną obracaliśmy koło sieczkarni za pomocą długiego drążka (była to wydłużona korba) bez zbytniego pośpiechu, spokojnie, rytmicznie. Tę drobną sieczkę przeznaczamy jako „obrok” dla koni do jednego rogu komórki.

Siostra zносиła snopy jęczmiennej i owsianej słomy z dodaniem konicznej na sieczkę dla bydła. W tym czasie ja przesunąłem kółko z trybami na większy obrót, aby uzyskać dłuższą sieczkę. Ponieważ bydła było pięć sztuk (i dwa konie), więc i sieczki należało przygotować dwa razy więcej niż dla koni. Ojciec przez ten czas wyrzucał nadmiar nawozu od bydła i koni na kupę przed stajnią i oborą. Dzień był suchy, mróz nieduży. Nad kupą nawozu unosił się kłęb skroplonej pary w postaci małego obłoku. Ojciec od czasu do czasu zajrzał jak nam idzie robota i dalej kontynuował swą pracę. Macocha z małymi dziećmi była zajęta przygotowywaniem do świąt.

Zaledwie skończyłem mieszanie sieczki słomianej z porzniętą koniczyną drewnianymi widłami, gdy przybiegli Bolek ze Stefanem, oznajmiając, że obiad już gotowy stoi na stole. Po takiej solidnej pracy nie trzeba było nas dwa razy prosić. Po smacznym, choć prymitywnym obiedzie porozumieliśmy się z siostrą i braćmi, korzystając z zadowolenia ojca z naszej pracy, postanowiliśmy prosić go, aby na czas wigilii przyniósł słomy na podłogę. Ojciec pozornie nie chciał się na to zgodzić, ale z wyrazu oczu można było wywnioskować, że ta sprawa jest na dobrej drodze. Po południu Antoś ze swymi kolegami ulotnił się z siekierą pod pachą palta do lasu po choinkę. Po kilku godzinach wrócił z małą sosenką do domu. Siostra przez ten czas penetrowała szafę w poszukiwaniu ozdób na drzewko. Znalazła kilka różnokolorowych wstążek, jakieś okrawki materiału, wycięła dużą gwiazdę z opakowania opłatków i główki anielskie, ja kupiłem parę świeczek i cukierków w kolorowym opakowaniu w najbliższym sklepie, dołączyłem do tego dwie cytryny, które kupiłem w bufecie na dworcu kolejowym Nadwiślańskim w Warszawie. Antoś wyszperał kilka małych czerwonych jabłek ze swego zapasu na zimę.

Z Antosiem znaleźliśmy pod schodami duży gliniany garnek bez uch, napełniliśmy go piaskiem i ustawili choinkę (sosnową). Garnek owinęliśmy papierem pakunkowym i ustawiliśmy na stole. Wspólnymi siłami wieczorem zrobiliśmy kilka lalek (baletniczek), osiem aniołków, łańcuch z kolorowych ogniw i to wszystko rozmieściliśmy na choince. Ładnie wyglądała. Przez ten czas ojciec z macochą obierali ze skórki czerwone buraki. Ułożyli je w niecce z olchowego drewna (podobnej do wanienki). Ojciec, zakasawszy rękawy, umył gruntownie ręce i zaczął te buraki siekać odpowiednim siekaczem, przesypując te buraki surową kaszą jaglaną. Na to siekanie i mieszanie zużył kilka godzin czasu, a macocha przez ten czas paliła szczapy w chlebowym piecu, przygotowywała ciasto z pytłowej żytniej mąki (pszenicy ojciec jeszcze nie siał). Po dokładnym wyrobieniu ciasta i wyrośnięciu robiła z tej masy duże



pierogi\*. Po usunięciu z rozgrzanego pieca resztek węgla i popiołu pierogi te rozmieściła w piecu. Po kilku godzinach na stole leżało już kilkanaście wypieczonych gorących pierogów. Pierogi te ojciec zabrał do spichrza w stodole i tam je zamknął. Po świętach każdego wieczoru przynosił do domu, obdziałając każdego domownika dużym kawałkiem pieroga. Tę czynność powtarzał przez kilka dni, aż do wyczerpania zapasów. Pierogi te, w tak prymitywny sposób przyrządzone, bardzo nam smakowały. Sposób ich przyrządzania odziedziczył po swoim ojcu Wojciechu.

Dla urozmaicenia macocha upiekła kilka placków z kupionej pszennej mąki oraz kilka pierogów z kwaszonej kapusty. To wszystko po stałym używaniu żytniego, razowego, a często czerstwego chleba było dla nas wielkim rarytasem.

## Wigilia

Wigilia była ścisłym i umiarkowanym postem. Kilka dni wcześniej macocha z sąsiadkami ustaliła porządek wspólnego spożycia posiłków. Więc najpierw mieliśmy spożywać postnik u nas, następnie u stryja Józefa, a na koniec u drugiego sąsiada, Kamyka. Zastawa i rodzaj posiłków były identyczne we wszystkich domach.

Każda gospodyni ustawiła na środku mieszkania stół nakryty białym prześcieradłem, pod którym cienką warstwą rozkładano siano, a na nim opłatek. Do stołu siadaliśmy rodzinami. Po podzieleniu się opłatkiem najpierw podano w kieliszkach wódkę i białe pszenne ciasto, a później: groch polny z kapustą, kluski z makiem, fasolę z kompotem z ugotowanych suszonych gruszek i jabłek, wódkę z rybą i czarnym razowym chlebem, na zakończenie barszcz czerwony z pierożkami z suszonych grzybów. Były również i inne potrawy, których nazw i zestawu dziś nie pamiętam. Zakończono kolędą „Bóg się rodzi”.

Gospodarz przynosił snop żyta, ustawiał go w rogu mieszkania, z niego brał kilkanaście źdźbeł i tak rzucał tym pęczkiem, aby jak najwięcej źdźbeł przytrzymało się bielonego sufitu, belek, obrazów. Duża ilość umieszczonych źdźbeł miała wskazywać, jaki będzie urodzaj zboża na polu w lecie.

Przechodząc koło sztachetowego płotu, panny liczyły sztachety do dwóch. Jeżeli ostatnie sztachety były parzyste, to panna z tego domu wyjdzie za mąż w nadchodzącym karnawale, jeżeli zaś został jeden nieparzysty, to będzie musiała na męża poczekać na później. Panny również wołały, zwracając twarz do wschodu słońca. Jeżeli na jej wołanie w tej stronie odezwie się echo, to będzie oznaczać, że z tej strony przyjdzie do niej kawaler i przyszłe

---

\* Pieróg - rodzaj ciasta nadziewanego serem lub kaszą, tradycyjny na Lubelszczyźnie - przyp. red.

swaty, prosząc pannę o jej rękę. To samo powtórzyła, zwracając się w stronę zachodu słońca.

W pierwszym domu uczestnicy przyjęcia z apetytem zjadali postawione potrawy, w drugim domu już pozostawiali część posiłku na talerzach, a w trzecim już tylko spróbowali posiłku, bo już mieli tego jedzenia dosyć.

Po powrocie do domów kończyli swoje „obrzędy” w ścisłym gronie rodzinnym. A więc na prośbę naszą ojciec wniósł kilka snopów słomy i naręcze słomy targanej do mieszkania. Rzuciliśmy się do rozwiązywania i zaścielania słomy na podłodze w całym mieszkaniu, z wyjątkiem miejsca przy kuchni w obawie przed ewentualnym wybuchem pożaru. Tego ojciec bezwzględnie przestrzegał.

Później ojciec z moją pomocą (wszak byłem najstarszą osobą w rodzeństwie) ukreślił kilka powrosów ze słomy i poszliśmy obwiązywać drzewa owocowe, aby dobrze rodziły w lecie owoce. Zlewki z talerzy gromadziliśmy w jednym naczyniu i dawali bydłu razem z kolorowymi opłatkami, aby krowy były zdrowe i dawały dużo mleka. Pozamykawszy stajnię, oborę i chlewy wróciliśmy do mieszkania, które trudno było poznać, tak się zmieniło. Stół, stołki, krzesła były powtykane w różne kąty, przy suficie, belkach i obrazach zwieszały się źdźbła z kłosami żyta, a dzieciaki baraszkowały na słomie na środku mieszkania. Nawet ojciec, głowa rodziny, człowiek poważny, też brał w tym udział. Zwinąwszy w pęczek słomę, stawał na głowie, podpierając się rękoma, aby utrzymać równowagę. To się nazywało, że stanął dęba. Jeżeli to mu się udało, wszyscy śmialiśmy się do rozpuku i cieszyli, że ojciec i cała rodzina w nadchodzącym roku 1912 będzie zdrowa. Za przykładem ojca każde z nas starało się stanąć dęba, nie wyłączając nawet siostry Frozyny. Wyładowawszy swoją energię, powoli stawało się coraz ciszej. Zmęczenie i wypchane jedzeniem żołądki dawały znać o sobie. Ten i ów uspokajał się, oczy mu się zamykały i tak na środku izby, w ubraniach, na tej słomie zasypialiśmy. Nawet nie czekaliśmy północy, aby udać się do obory i posłuchać krów, które o północy miały między sobą rozmawiać ludzkim językiem i krytykować gospodarzy za ich stosunek do siebie.

Młodzi, odpocząwszy i przespawszy się trochę, o ile nie było przeszkód ze strony czynników przyrody, szli do kościoła oddalonego o 2 wiorsty na pasterkę, by posłuchać kolęd w towarzystwie orkiestry. Wstawaliśmy trochę wcześniej, bo na podłodze bez przykrycia rano było już zimno.

## Kolędnicy

W drugim dniu świąt wieczorem do izby wchodzi koza w masce z rogami, w kozuchu wywróconym włosem na zewnątrz, Żyd w chałacie przepasanym słomianym powrosłem i dziad z trzema dużymi torbami na plecach i kijem w ręce, skrzypek Bystrzyński i chłopiec z bębniem oraz gromada dzieci.

Żyd: „Przyszliśmy tu po kolędzie, niech wesoło tu nam będzie. Graj nam grajku, a od ucha, niechaj każdy dobrze słucha. A ty, kozo, tańcz siarczyście, aby było uroczyście. A ty, dziadku, biedny, chudy, zbierz kolędy całe pudy. Nie bądź głodny i niezdarny, gospodyni da nam dary. Co ja jadłem? Powiem szczerze, co spożyłem na wieczerzę. Groch z mydłem, kluski z powidłem. (Salwa śmiechu). Gra na skrzypcach obertasa, koza zręcznie sobie hasa. Przytupuje se do taktu, kłapie mordą na ostatku. Gospodyni dajcie dary, niech nie będzie głodny stary”.

Dziadek zbiera ciasto, pierogi. Jeszcze taniec kozy i dziada.

Dziadek: „Za kolędę dziękujemy, zdrowia, szczęścia wam życzymy, na ten nowy rok”.

Izba opustoszała

\*

W okresie od św. Szczepana do Nowego 1912 Roku odwiedzali domy w większym składzie i bogatszym repertuarze. Kolędnicy starsi, poważniejsi chodzili przez całe dni i wieczory. Oglądać można było ich nie tylko na Bęczynie, ale i na innych przedmieściach. W przygotowanie odpowiednich strojów i opanowanie techniki i treści musieli włożyć dużo pracy i inicjatywy.

Przed spektaklem wchodził do mieszkania marszałek Heroda i pytał czy gospodarz(y)ni pozwoli wejść grupie kolędników i dać „przedstawienie”. W razie uzyskania zgody zarządził, aby gospodarz zrobił miejsce na środku izby, ustawił krzesło na środku i okrył go dywanem, co miało oznaczać tron dla króla. W skład grupy wchodził: król Herod, marszałek, kilku żołnierzy w strojach Księstwa Warszawskiego, Żyd, śmierć, diabeł z widłami drewnianymi i łańcuchem przy pasie i dziad. Po wejściu Herod zajmował miejsce na tronie.

Herod: „Ja jestem król Herod na tym tronie posadzony w purpurowej szacie i ze złotą koroną. Ja jestem władcą połowy świata, niechaj mi się kłaniają wszystkie imperata. Kłaniajcie mi się wszyscy co do jednego i szercie sławę państwa mojego. Na rozkaz mój i moje wołanie niech tu przede mną stary rabin stanie. Powiedz mi prawdę, czy to jest do wiary, że mi zagraża młody król, bom stary?”.

Rabin: „W tym piśmie stoi: w dalekim Betlejem urodził się następcą, ale drogi nie wiem. On będzie rządził wszema narodami, ale się boję, królu, bo co będzie z nami?”.

Herod: „Na rozkaz mój i moje wołanie niech tu przede mną mój marszałek stanie. Idźcie do Betlejem, chłopcom głowy ścinajcie i mojemu synowi pardonu nie dajcie”.

Marszałek (wraca): „Królu mój wielki, to smutna nowina, a oto głowa jest twój syna”. Na talerzu podaje dynię owiniętą papierem z narysowaną twarzą dziecka.

Herod: „Och biada, biada mnie Herodowi, utrapionemu wielce królowi”. Zasłania chusteczką twarz i płacze.

Śmierć: „Szukałam cię wszędzie pomiędzy górami, aż cię tu znalazłam za tymi borami. Koniec twego życia, ty podły tyranie, ale wiesz na pewno, co się zaraz stanie. Oddasz swoją głowę, nic cię nie ocali, a płakać o ciebie nikt nie będzie wcale”.

Herod: „Weź płaszcz purpurowy i koronę złotą, a ocal mi życie, bardzo proszę o to. Bądźże taka dobra, wstrzymaj się od złości i ty moim płaszczem okryj nagie kości”.

Śmierć: „Jam w płaszczu nie chodziła i chodzić nie będę, a głowy królom ścinałam, jeszcze ścinać będę”.

Diabeł: „Ja też ciebie tak długo szukałem, aż cię tu w tej chacie nagle przydybałem. Chodź teraz do piekła, tam jest miejsca dużo dla takich jak ty, co nam, diabłom, służą”. Bierze go na widły i razem ze śmiercią wynoszą z izby.

Wszyscy: „Cieszymy się z tego ludzkie ukochani, dajcie nam kolędę, bądźcie zdrowi z nami”.

Ogólny śpiew: „Dzisiaj w Betlejem...”.

Po tak wielu latach dużo zapomniałem, a to, co pamiętam, tutaj opisałem.

## **Ostatnie dni ferii Bożego Narodzenia**

W cieplejsze dni pomagałem ojcu w młóceniu zboża, szczególnie żyta. Pomoc moją ojciec przyjął z niekłamana radością. Praca we dwóch szła nam różnie, wydajnie i przyjemnie. Wiedziałem, że samemu ojcu młócenie było pracą nudną, a zarazem nużącą. Czasem i Antoś włączył się na trzeciego. Młócenie we trzech przypominało jakieś ćwiczenia muzyczne. We trzech trzepaliśmy zboże, aż słoma podskakiwała.

Kilka razy wybrałem się na łód na stawach za rzeką. Oczywiście starym zwyczajem jeździłem po lodzie na jednej drewniano-sierpowej łyżwie. Więcej było biegania niż jazdy, ale i to było dobre. Zazdrościłem Wiktorowi Mazurkiewiczowi, który na swojej sadzawce jeździł na dwóch stalowych, z prawdziwego zdarzenia łyżwach. Przyjemnie było popatrzeć, jak on holen-drował w esy i floresy linie na łyżwach. Marzyłem o tym, kiedy ja tak będę jeździł.

Po południu 6 stycznia odwiózł mnie ojciec do Sadurek, abym następnego dnia rozpoczął naukę w II półroczu w Ursynowie do następnych ferii na Święta Wielkanocne.

## **Zima w Ursynowie**

Życie potoczyło się utartym szkolnym trybem i pracą. W suche i mroźne dni uczniowie na lekcjach zajęć praktycznych poświęcili dużo pracy na sporządzenie sanek, aby można było zjeżdżać aleją z nieco spadzistej, ale długiej

górkę koło altany. W niedzielę po południu ustawili się w długim ogonku uczniowie wszystkich kursów do zjeżdżania z góry. Jedni zjeżdżali na małych, jednoosobowych sankach, inni na długich, kilkusobowych, jak nazywali – familijnych. Najtrudniejszą pracę mieli ci, co kierowali sankami. A uwaga była konieczna, gdyż przy końcu alei, na samym środku, rósł potężny dąb, który należało w czasie jazdy ominąć, aby nie wpaść z dużym impetem na niego i nie rozbić sobie głowy lub złamać którąś z kończyn.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy nasz dostojny, poważny dyrektor Borowski znalazł się między nami. Początkowo obserwował zjeżdżających, a potem siadł na sanki familijne, prowadzone przez czwartokursistę Sawickiego, i szczęśliwie dojechali do końca alei przy łące. Jeszcze parę razy zjechał na tych sankach, a odchodząc upominał nas, abyśmy dobrze uważali na tę zawalidrogę – dąb.

Do późnego wieczoru, do kolacji, uprawialiśmy hazardowo ten sport, szczęściem bez wypadku, nie licząc tego, że czasem sanki nieoczekiwanie podskakiwały, a pasażerowie poturlali się po śnieżnej alei.

Jednak nie obeszło się bez wypadku. Następnej niedzieli sekretarz Kawecki i kierownik „wzorówki” Antoni Królikowski zaprosili na taką przejażdżkę dwie panienki, córki dzierżawcy ogrodu i sadu, panny Cumbachówny. Początkowo te zjazdy w towarzystwie panien, miłych i sympatycznych, były wesołe. Ale nieszczęścia przychodzą wtedy, kiedy ich się najmniej spodziewamy. Tak było i teraz. W pewnym momencie prowadzący sanki, chcąc ominąć dąb, mocno skierował sanki na brzeg alei i uderzył w zbocze prawej góry (aleja biegła wąwozem między dwiema górami). Panny straciły równowagę, wypadły z sanek, pociągając za sobą towarzyszy zabawy. Mężczyźni prędko zerwali się na nogi, zaczęli pomagać pannom w powstaniu na nogi. Jedna ze śmiechem stanęła obok kawalerów, a druga nie mogła tego uczynić, gdyż złamała nogę poniżej kolana. Mocno uskarżała się na ból prawej nogi. Nie pozostało nic innego, jak odwieźć ją na sankach do domu. Zmusiła ją choroba do dwutygodniowego leżenia w łóżku.

Po tym wypadku dyrektor zabronił oficjalnie zjeżdżania z góry. Niektórzy uczniowie pomimo zakazu nadal uprawiali ten sport w tajemnicy przed dyrektorem. Masowego oficjalnego zjeżdżania tej zimy już nie było.

Większość uczniów zaczęła uprawiać sport na łyżwach na sadzawce i rowach oddzielających ursynowskie łąki od pól wilanowskich. („Podróż dookoła świata” – żartobliwa nazwa).

## Pomoc koleżeńska

Jak już wspomniałem, miałem poważne trudności w opanowaniu języka rosyjskiego. Samo czytanie książek rosyjskich, z uszczerbkiem dla muzyki,

nie dawało rezultatów. Porozumieliśmy się z kolegą Tomkiem Kalbarczykiem z Maciejowic, że wspólnie będziemy pracować. W zasadzie to najwięcej miałem kłopotu z opanowaniem ortografii. Kupiliśmy sobie podręcznik Sipaczowa, wykonany nie drukiem, ale prostym pismem. Ja przeczytałem jednego dnia dwa ćwiczenia, a Tomek to samo zrobił w drugim dniu. W wolnym czasie ja dyktowałem treść, a Tomek pisał. Później wspólnie sprawdziliśmy i poprawili popełnione błędy, na drugi dzień zamieniliśmy role. Wyrazy z poprawionymi błędami wpisywaliśmy do specjalnego zeszytu. Ta metoda okazała się skuteczniejsza. W czasie czytania przyjrzałem się wyrazom i zdaniom (pamięć wzrokowa), przy pisaniu przypominałem sobie i utrwaliłem na piśmie (pamięć graficzno-wzrokowa i pamięć słuchowa). Po kilku miesiącach poprawiliśmy i ugruntowali tę przekłętą ortografię.

\*

Drugim kłopotem była geometria. Pan Smosarski nie umiał nas zainteresować tym przedmiotem. Wprawdzie każdą lekcję nową wyłożył, popierając słowa kreśleniem figur i elementów, ale nie troszczył się o to, czy wszyscy uczniowie zrozumieli. Z czasem tak się obliczył, że ostatnie jego słowa kończyły się z uderzeniem dzwonka na pauzę. Często musieliśmy prosić o pomoc kolegę ze starszego kursu. Najprzystępniej nam objaśniał kolega z II kursu, Ziętek. Po jego objaśnieniu jeden z nas samodzielnie rysował, tłumaczył swoimi słowami dowodzenie twierdzenia geometrycznego. Dłuższy czas nie mogłem pojąć, po co te twierdzenia, dowodzenia, wnioski, na co się one mogą w przyszłości przydać w praktyce życiowej. W końcu roku miałem z nauki tego przedmiotu wynik dobry.

## **Dobrzy ludzie pomogli**

Sam, pomimo wielkiej chęci do nauki i pewnych zdolności, nie poradziłbym sobie w ułożeniu planu i jego realizacji, gdybym nie miał pomocy.

W pierwszym rzędzie należałoby się serdeczne podziękowanie stryjence Józefowej za wychowanie opuszczonego naszego najmłodszego braciszka Stefana po tragicznej śmierci naszej matki. Przez półtora roku bezinteresownie wychowywała, pielęgnowała, żywiła niemowlę, dzięki czemu dziecko zdrowo wychowało się i wyrosło na dojrzałego mężczyznę.

A jej mąż, stryjek Józef, wiele czasu, poświęcenia i energii włożył, aby mnie zapisać do Szkoły Jagiellońskiej, a potem poczynił starania, prosząc pana Hempla o radę i fachową pomoc. Dziękuję za pomoc stryjkowi, który udzielił mi bezinteresownie pomocy w podróży do Warszawy, zainstalowaniu się w Służewie na czas egzaminu, przewiezieniu bagaży do Ursynowa i ułatwił mi podróż do domu.



Nie wolno mi zapomnieć również faktu, że pan Hempel przychylnie ustosunkował się, razem z kierownikiem mojej ukochanej szkoły i księdzem Herą, wystawiając mi odpowiednie chlubne zaświadczenie o moralnym moim zachowaniu i życiu, co miało również duże znaczenie przy przyjęciu mnie w poczet uczniów Seminarium. W drugim półroczu wysłałem na ręce pana Hempla serdeczne podziękowanie za pomoc, a panu Brzozowskiemu przy najbliższym spotkaniu sam osobiście podziękowałem za zainteresowanie się moją skromną osobą, z czego kierownik szkoły był bardzo zadowolony.

Dzięki mej usilnej i wytrwałej pracy oraz zdyscyplinowaniu zasłużyłem na to, że Rada Pedagogiczna wystąpiła z wnioskiem przyznania mi stypendium, zmniejszając wydatki ojca za naukę do połowy, tj. 150 rubli rocznie (zamiast 300 rubli płaciłem tylko 150 rubli).

### **Pogrzeby (B. Prusa)**

Na początku maja zmarł jeden z założycieli Seminarium doktor Stanisław Hassewicz. W pogrzebie wzięło udział 16 delegatów, po czterech z każdego kursu. Przed śmiercią doktor Hassewicz ofiarował na potrzeby Seminarium 10 000 rubli, co na owe czasy było niezmiernie wysoką sumą.

Na początku czerwca 1912 roku zmarł drugi członek-założyciel Seminarium śp. Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), jeden z najpoczytniejszych pisarzy polskich. W pogrzebie wzięli udział wszyscy uczniowie. Kondukt pogrzebowy przeciągnął ulicami Warszawy na Cmentarz Powązkowski. Ze stopni Teatru Wielkiego pożegnał zmarłego w imieniu polskich pisarzy i obywateli Warszawy znakomity pisarz, autor *Trylogii* i *Quo Vadis* Henryk Sienkiewicz. Pogrzeb ten był między innymi wielką manifestacją narodową. W pogrzebie wzięły udział niezliczone tłumy ze stolicy i z Polski.

### **Wycieczka do Raszyna**

W ostatnich dniach czerwca, przed zakończeniem roku szkolnego, została zorganizowana wycieczka szkolna do historycznego miejsca bitwy wojska polskiego pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego z wojskami austriackimi. „Aż złamała ich ta siła, co jak chmura świat nakryła. Brakło naszych dwóch tysięcy, lecz wróg stracił trzykroć więcej” (ze śpiewu Niemcewicza). „Tam Godebski Cyprian zginął, który w Legiach włoskich słynął. Sławny pieśniarz, rycerz śmiały, poległ w boju pełen chwały”. Na tym miejscu jest wybudowany pomnik na pamiątkę bitwy i śmierci poety-żołnierza, gdzie złożyliśmy u stóp pomnika kwiaty i odmówiliśmy modlitwę za poległych.

## Koniec roku szkolnego 1911/1912, kurs I

Ostatni tydzień czerwca upłynął pod znakiem intensywnej pracy. Zaczęły się egzaminy. Wstałem wczesnym rankiem, przed śniadaniem uczyłem się w parku, spacerując aleją świerkową. Cisza dookoła, tylko ptactwo uwija się na drzewach, grzędach, klombach. Nauka idzie gładko po nocnym wypoczynku. Między jednym a drugim egzaminem cały dzień wolny. Wykładów już nie ma. Wyniki egzaminów zadowolające.

Przywieźli bieliznę od prania. Oddałem jeszcze do reperacji buty, które szewc ze Służewa przyniósł następnego dnia. W czasie posiedzenia Rady Pedagogicznej wzmozona praca w ogrodzie. Czwartokursiści opatrują w pasiece ule, trzeciokursiści podwiązują pomidory, a kurs I i II pielęgnują warzywa w ogrodzie. Wyrwane chwasty znosiliśmy na jedno miejsce, skąd kilku drugokursistów zwozi wózkiem zaprzężonym w łaćatego kucyka do dołu kompostowego.

W ostatnim dniu otrzymaliśmy roczne świadectwa. Wszyscy zdali egzamin. Spakowaliśmy swoje rzeczy i umieścili w magazynie. Po południu wyjazd na wakacje.

W pociągu było stosunkowo luźno, więc można było przechodzić z jednego wagonu do następnego. Tu spotkałem kilku kolegów jadących w stronę Lublina:

Stanisław Cenkil jechał do Dębina (ojciec kolejarz),

Stanisław Górka jechał do Siedlec (ojciec rolnik),

Tomasz Kalbarczyk jechał do Garwolina do Maciejowic (ojciec rolnik),

Ignacy Orłowski jechał do Chełma (ojciec dyrektor wapniarni),

Józef Sadzak jechał do Pilawy (ojciec rolnik).

## Pierwsze wakacje

Pierwsze wakacje nie były odpoczynkiem po mozolnej pracy w szkole. Zgodnie z przyjętym zwyczajem schowałem obuwie i uczniowski garnitur; bosy, w roboczym ubraniu razem z rodzeństwem pracowałem przy sianokosach, żniwie, zwózce zboża i innych pracach w gospodarstwie domowym.

Podczas deszczu i w niedziele czytałem pożyczone z biblioteki szkolnej książki: *Zapiski ochotnika Turgieniewa*, *Ostatnie dni Pompei* i inne, grałem dla wprawy na skrzypcach. Nie zaniechałem też ćwiczeń w opanowaniu rosyjskiej ortografii.

Często spotykałem się ze Stachem Cieślikiem, który uczęszczał do prywatnego rosyjskiego progimnazjum Jakubczyka w Lubartowie. Szeroko mi opowiadał, jak ich szkoła obchodziła setną rocznicę wojny francusko-rosyjskiej z 1812 roku i wygnania Napoleona na wyspę św. Heleny. Dzieliłem się moimi wrażeniami z Seminarium. Walek Żyszkiewicz opowiadał mi o przeżyciu roku szkolnego w polskim Gimnazjum im. Stanisława Staszica, które w tym

czasie znajdowało się przy ulicy Królewskiej naprzeciw katedry w Lublinie. Życie tych dwóch moich kolegów bardzo się różniło.

W niedzielę po nabożeństwie długo spacerowaliśmy po rynku wraz z innymi kolegami, którzy pracowali w rolnictwie i wspominaliśmy czasy pobytu w Szkole Jagiellońskiej. Waluś Żyszkiewicz zapraszał nas do siebie na jabłka, z czego chętnie korzystaliśmy.

A oto i koniec wakacji. Każdy z nas wybiera się do dalszej pracy.

W tym czasie zamieszkał u nas w izdebce tkacz Puacz, starszy człowiek z żoną i małym synkiem. Przybył im drugi synek. Zdrowo się chował. Po kilku latach pobytu pod naszym dachem przeniósł się na Zakościelne. O przebiegu dalszego życia rodziny nic nie wiedziałem. Dopiero po 36 latach Zdziś\* powiedział mi, że ten ostatni synek jest proboszczem w kościele garnizonowym w Lublinie.

## Kurs II, 1912/1913

7 września rozpoczęła się praca w zmienionym nieco składzie uczniów. Na miejsce usuniętych uczniów: Hieronima Potyrały, Jana Załuskiego, Tadeusza Grzybowskiego, Jana Salejdy, Witolda Miłanacza, przyjęto nowych po egzaminie: Franciszka Młynarczyka, Józefa Murasika i Grzegorza Szczepanika z kolonii Dąbrowa, gminy Trzydnik, powiatu janowskiego.

Lista uczniów:

1. Banaś Stanisław przezw. Szewc
2. Cenkiel Stanisław przezw. Żaba
3. Domagała Marian
4. Frankiewicz Konrad przezw. Wardałek
5. Gielner Antoni
6. Górka Stanisław
7. Hermanowski Julian
8. Kalbarczyk Tomasz przezw. Tum
9. Kazusek Władysław
10. Kocot Edward
11. Kowalczyk Ignacy
12. Kurpiewski Karol przezw. Kurp
13. Kurpiewski Władysław
14. Kwiatkowski Tadeusz przezw. Ozyrys
15. Kwieciński Józef
16. Lemieszek Stefan
17. Łocki Roman przezw. Zbój
18. Maćczak Zygmunt

---

\* Pierworodny syn autora – przyp. red.

19. Mazur Michał przezw. Serce
20. Mieszczankowski Zygmunt
21. Mielczarski Bolesław
22. Młynarczyk Franciszek
23. Murasik Józef
24. Nagaj Włodzimierz przezw. Węgier
25. Orlikowski Ignacy
26. Orłowski Ignacy
27. Opaliński Szymon przezw. Górnik
28. Ostrowski Jan przezw. Bajak
29. Pasternak Ignacy (Wincenty)
30. Polakowski Józef przezw. Panicz
31. Regulski Jan
32. Reklewski Witold przezw. Wymoczek
33. Sadzak Józef przezw. Urojony Chory
34. Sałaga Anatoliusz
35. Sikorski Feliks przezw. Szczęśliwy
36. Sobolewski Jan przezw. Soból
37. Stefaniak Adam
38. Szczepanik Grzegorz przezw. Biskup
39. Wośko Dominik przezw. Wosiek
40. Żurawski Stanisław przezw. Żuraw.

Lista wykładowców:

1. Borowski Władysław – dyrektor, pogadanki pedagogiczne
2. Jegorow Jewgienij – język rosyjski, historia powszechna i Rosji
3. Winkler Edward – język polski
4. Bobruk – geografia powszechna i Rosji
5. Gnoiński Kazimierz – fizyka, botanika
6. Mościcki Henryk – historia Polski
7. ksiądz prałat Mścichowski – religia
8. Smosarski Władysław – arytmetyka, geometria, algebra
9. Sawicki Władysław – muzyka, śpiew
10. Olszewski – gimnastyka, wychowanie fizyczne
11. Królikowski Antoni – kaligrafia, kierownik „wzorówki”
12. Pillati – rysunki, metodyka rysunku
13. Kawecki Stanisław – sekretarz.

\*

Ze wszystkich kolegów najbardziej cenilem Kwiecińskiego za pracę, stosunek do kolegów i nauczycieli i jego wybrałem za sąsiada w ławce (Warszawa, ul. Chłodna 34).

## Plan tygodniowy lekcji

Godziny	Dni						
	poniedziałek	wtorek	środa	czwartek	piątek	sobota	
7 <sup>40</sup> -8 <sup>25</sup>	arytmetyka	teoria muzyki	muzyka	historia powszechna	pogadanka pedagogiczna	muzyka	
8 <sup>30</sup> -9 <sup>15</sup>	botanika	język rosyjski	arytmetyka	język rosyjski	geometria	religia	
9 <sup>20</sup> -10 <sup>05</sup>	język rosyjski	historia powszechna	język rosyjski	ćwiczenia muzyczne	fizyka	język polski	
10 <sup>30</sup> -11 <sup>15</sup>	geografia	botanika	muzyka	religia	geografia	zajęcia w parku	
11 <sup>20</sup> -12 <sup>10</sup>	ćwiczenia muzyczne	roboty w parku	geometria	fizyka	arytmetyka	muzyka	
15 <sup>50</sup> -16 <sup>35</sup>	śpiew	historia Polski	kąpiele	kaligrafia	kaligrafia	historia Polski	
16 <sup>40</sup> -17 <sup>25</sup>	język polski	geografia Polski		język polski	geografia Polski	rysunki	
17 <sup>30</sup> -18 <sup>10</sup>	muzyka	gimnastyka		wolna	język polski	rysunki	

Codziennie od godziny 12<sup>10</sup> do 15<sup>50</sup>:

na obiad – 30 minut,

na odpoczynek – 60 minut,

na roboty w parku – 1 godzina 50 minut,

na podwieczorek – 20 minut,

razem: 3 godziny 40 minut.

Na prace poobiednie składało się: sprzątanie jadalni, sal sypialnianych, sali lekarskiej, praca w parku i ogrodzie, pasiece, intraligatorstwo, wyplatanie koszy, reperacja narzędzi ogrodniczych, robienie kul, młotków, trzonków do krokietu itp.

Na odrabianie lekcji w salach wykładowych było przeznaczony 2 godziny 30 minut.

Na sen uczniowie mieli 7 godzin 30 minut.

## **Pierwszy raz**

Pierwszy raz jechałem w Warszawie tramwajem elektrycznym w 1912 roku, blisko widziałem samochód osobowy, obserwowałem na Polu Mokotowskim wznoszenie się samolotu w powietrze i osiadanie na ziemię oraz odbyłem przejażdżkę dorożką do hotelu „Janina” w Lublinie. Wsiadałem i wysiadałem w Sadurkach (Nałęczowie) i Motyczu, gdyż to były najbliższe stacje kolejowe z Urzędowa do Warszawy (około 45 wiorst). Dłuższy czas obserwowałem ćwiczenia na samolocie nad Ursynowem.

## **Wizytacje**

27 września 1913 roku Adam, stróż przy bramie wjazdowej do parku, zatrzymał przed bramą dorożkę z trzema nieznanymi panami, którzy domagali się otworzenia i wpuszczenia na teren Seminarium. Przed wyjściem do bramy od progu powiedział żonie: „Dzwoń do dyrektora”. Sam, powoli zbliżając się do bramy, zwlekał z wykonaniem prośby; a to zapina na guziki marynarkę, a to szamocze się z bramą, która „nie chce” się otworzyć, a to pyta do kogo przyjechali. Jednym słowem gra na zwłokę. No, otworzył. Boczna aleją podjechali pod drzwi pałacu. W tym czasie dyrektor wpadł do sali II kursu z poleceniem: „Wszystkie historie Polski do suteryn”. Wiedzieliśmy, co to wszystko znaczy. Spakowane po kilkanaście książek historie poleciały na ziemię, a stamtąd woźny powrzucał je przez okno od tyłu do sutereny, gdzie mieściły się pracownie stolarskie. Zanim wysiedli, weszli do holu, przedstawili się dyrektorowi, zamienili kilka słów o celu przyjazdu – w salach wykładowych już było wszystko „w porządku”. Okno od balkonu zamknięte, w stolarni woźny „zrobił porządek”, zabezpieczywszy książki od wglądu nieproszonych gości.

Naczelnik Dyrekcji Szkolnictwa udał się z naszym dyrektorem do sali na wizytację, a pozostali dwaj inspektorzy kazali woźnemu pootwierać salę rekreacyjną, pokój muzyczny, werandę i inne pokoje, obserwując bacznie urządzenia, szafy, katedrę, a potem skontrolowali czytelnię i bibliotekę. Na naszym II kursie zajrzeli do sali, gdzie odbywała się lekcja geografii Rosji. Po kilku godzinach furman bryczką odwiózł ich do stacji kolejowej w Służewcu. Z zachowania się woźnego i naszego dyrektora wywnioskowaliśmy, że ten „nalot” skończył się dla nich fiaskiem. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, że wszystko jest „w porządku”.

Podobna jednoosobowa wizytacja z podobnymi wynikami odbyła się 1 kwietnia 1913 roku. Do naszego II kursu wszedł na lekcję matematyki.

Czy nauczyciele Rosjanie Bobruk i Jegorow wiedzieli, że w Seminarium odbywa się nauka historii i geografii Polski? Chyba tak. Chociaż te przedmioty były wykładane w godzinach popołudniowych (godzina 15–18) i ci



nauczyciele nie mieli kontaktu z nauczycielami uczącymi przed południem, ale przecież spotykali się na sesjach pedagogicznych. Przykład: pan Jegorow, przystojny, inteligentny człowiek, wykladał historię Rosji i język rosyjski. W czasie wykładu o Mikołaju I i jego wojnach na Kaukazie oraz powstaniu 1831 roku powiedział: „Ja o polskomu woprosu goworit' nie budu. Etu łuczsze wam rasskażet gospodin Mostickij” („Ja o polskiej sprawie nie będę mówił. To lepiej wam opowie pan Mościcki”). A pan Bobruk na lekcji geografii Rosji, mówiąc o guberni kijowskiej, powiedział: „Czudien Dniepr i starinnyj gorod Kijew nad etoj riekoi, gdzie nachodiatsia mnogije pamiatniki, a mieźdu nimi pamiatnik Tarasu Szewczenku poetu. Na etot pamiatnik i ja dał swoju doliu” („Cudowny jest Dniepr i starożytne miasto Kijów na tą rzeką, gdzie znajduje się wiele pomników, a między nimi pomnik Tarasa Szewczenki poety. Na ten pomnik i ja dałem swoją składkę”). Po jednej i drugiej wypowiedzi włosy nam na głowie stanęły. Porozumieliśmy się wszyscy, co to znaczy. Więc jeden i drugi wypowiedzieli swoje *credo* w stosunku do Polski i nas Polaków. A my, uczniowie naiwni, byliśmy mocno przekonani, że o nauce historii i geografii Polski oni nic nie wiedzą. Byli oni duszą z nami, a nie byli wtyczkami imperializmu władz rosyjskich, za co im cześć i chwała.

W czasie nauczania historii wieków średnich w języku rosyjskim napotykaliliśmy na duże trudności. Prosiłiśmy pana Jegorowa, aby tego przedmiotu uczył po polsku, gdyż wiedzieliśmy, że język polski zna doskonale. Często cytował urywki utworów Mickiewicza. Odpowiedział nam, że tego zrobić nie może z powodu małej znajomości języka polskiego i dlatego że jest on obowiązany na mocy odpowiednich przepisów uczyć tego przedmiotu w języku rosyjskim. Poradził nam, aby kupić podręcznik Wipperera w polskim tłumaczeniu. Kupiliśmy, opanowanie materiału w języku polskim było łatwiejsze, ale występowała nowa trudność, że przy odpowiedziach na stopnie trzeba było używać języka rosyjskiego. W czasie państwowych egzaminów dużo uczniów otrzymywało stopnie niedostateczne od polakożercy Cwietkowa. Nie chcąc narażać swoich uczniów na nieprzyjemności, postanowił od początku roku szkolnego opuścić Seminarium, gdyż (jak mówił) nie umie uczniów lepiej przygotować do egzaminu. Prosiłiśmy go wszyscy, aby nadal z nami pracował, na co otrzymaliśmy jego zgodę. Przed egzaminem przejściowym na III kurs bezinteresownie po lekcjach udzielił nam kilku dodatkowych lekcji rozbioru zdań złożonych.

## Koszykarstwo

Wicedyrektor Gnoiński polecił mi zorganizowanie i prowadzenie zespołu koszykarskiego z ośmiu uczniów. Pod moim nadzorem wyplataliśmy z wikliny różne kosze, wycieraczki i maty ze słomy.

## Zajęcia w niedzielę

W niedzielę po nabożeństwie mieliśmy trochę czasu wolnego do obiadu. Czas ten był wykorzystywany na zbiorową masową gimnastykę uczniów kursu I, II i III. Pracę tę prowadził nauczyciel gimnastyki Olszewski na dużym boisku. Przyjemnie było popatrzeć, jak zgrabnie i rytmicznie wykonywaliśmy złożone ćwiczenia. Każdą niedzielę poświęcaliśmy na opracowanie obrazów. Po kilku takich niedzielach nauczyciel podawał nam numer obrazu i na sygnał gwizdka i liczenie wykonywaliśmy opracowane ćwiczenia. Naszą pracę obserwował dyrektor, wicedyrektor, sekretarz, nauczyciel muzyki i śpiewu, kierownik „wzorówki” i inni. Później do ćwiczeń używaliśmy jednometrowych pałeczek.

W razie złej pogody prowadził naukę fechtunku rapierami. Do tych ćwiczeń należała mała gromadka uczniów amatorów. Zapalonym fechtmistrem był nasz kolega kursowy Ignacy Kowalewski. Pewnej niedzieli Kowalewski przystąpił do pojedynku z Olszewskim. Spisywał się dzielnie i nawet zadał kilka ciosów i pchnięć rapierem Olszewskiemu. Ten na razie przyjął to ze stoickim spokojem, ale przy następnej partii zrewanżował się i tak mu dowalił, że Ignasiowi łzy zakręciły się w oczach. Po tym zajściu grupka zmalała, gdyż bojaźliwsi koledzy zrezygnowali z pojedynku, a nawet i ćwiczeń, pomimo zachęty nauczyciela.

W tym czasie na całym półwyspie Bałkańskim trwała zacięta walka między Turcją a państwami bałkańskimi. Po jej zakończeniu rozpoczęła się wojna pomiędzy Bułgarią a Serbią, Grecją, Czarnogórą, Rumunią i Turcją, w wyniku czego Serbia otrzymała Macedonię i część Tracji, a Rumunia Dobrudżę. Z wyniku wojny były niezadowolone Austro-Węgry i Niemcy, a także Rosja (1913 rok). Wojny bałkańskie były wstępem do I wojny światowej. Na przedostatniej lekcji gimnastyki pan Olszewski powiedział nam: „Nasza praca będzie zakłócona, będziemy i my musieli wyruszyć na wojenkę”. Wprawdzie i my, uczniowie, trochę wiedzieliśmy, co się dzieje na Bałkanach, ale nigdy nikt nie podejrzewał, że mamy z tym coś wspólnego.

Po obiedzie w niedzielę w altanie popisywała się dęta orkiestra, zorganizowana jeszcze przez pana Kosińskiego, w sali aktowej i muzycznej ćwiczyli koledzy należący do kwartetu, odbywała się próba śpiewu chóralnego na wieczornicę, deklamacji, monologów itd.

## Wieczornica

1) Wieczornica 29 września była poświęcona Słowackiemu. Wybrane wiersze Słowackiego deklamowali Ziętko, Kołodziejczyk, Opaliński, skrzypce Walerian Węgliński i Ołdak, akompaniował na fortepianie Prejzner.

2) Ciekawe było teatralne przedstawienie *Strzelcy*. Z powodu braku pańienek role damskie grali Sroczyński i Jędrzejewski Jan przebrani w stroje kobiece.

3) Wyświetlanie przeźroczy o Francji, Włoszech, Holandii, Hiszpanii i Portugalii.

4) Odczyt kolegi Janickiego o Józefie Ignacym Kraszewskim i czytanie wybranych wycinków ze *Starej baśni*.

5) Odczyt o Szymonie Konarskim opracował Kościelak.

6) Przedstawienie teatralne *Lokator*, gdzie występowali: Żyd, Żydówka, prokurator i złodziej.

7) Prelekcja H. Mościckiego o powstaniu styczniowym 1863 roku.

8) Przedstawienie teatralne *Strzelcy*.

9) Przeźrocza „Wilno w historii Polski”, duet Węgliński i wirtuoz Janicki, Prajzner fortepian.

10) Odczyt Hilczera z przeźrociami „Konstytucja 3 maja”.

11) Przeźrocza „Druskienniki”. Wybuch w zbiorniku z denaturatem. Spirytus oblał ręce Mazura, na których zapalił się spirytus i poparzył M.

12) Przedstawienie teatralne *Ciotka Adelaida*.

13) Przedstawienie z życia szkolnego *Franek Łatek*.

14) Przedstawienie *Pan Goldhab*. J. Jędrzejewski – córka Goldhaba.

15) Bal maskaradowy – ostatki: Indianie, o. bernardyn, diabeł, policjant, Murzyni itp. Na kartki otrzymaliśmy po dwie pomarańcze, po trzy pączki, woda cytrynowa w dowolnej ilości. Orkiestra: Węgliński, Nowakowski, Ołdak. Akompaniament: Prajzner i dyrektor Borowski. Tańce: w pierwszej parze dyrektor z Janem Jędrzejewskim – pańienką, a my sami chłopcy. Zabawa przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych.

16) Monologi były wygłaszane dość często przez uczniów na wieczornicach. Przytaczam jeden z nich, Włodzimierza Nagaya. Ponieważ Nagay zmuszany przez nas powtarzał go kilkakrotnie, więc treść dobrze zapamiętałem:

„W tamte rewolucje jakeśwa stojali nad Baśkowicami w takij gęstwini, że krzok od krzoka był nikięj pół mili. A jakeśwa strzylali, oj, ha! Jeden do zapryska, drugi do papirzyska. Jo, co miałem fuzyje, któru dziadek wyorał na przykopisku, nie używałem do nij ni prochu, ni kapiszunu. Przybiłem stympliskiem, zapaliłem zapałczyskiem, jak wyśtafirowałem i huknąłem nikij z kluca.

Nami kumenderował jenerał Kozicki. Wyszeł na ganek i jak nie huknie: »Chłopaki do kuni!«. Ustawiliżwa się jak się patrzy. A un znowu: »Chłopaki na kuń«. Nu i wszystkie chłopaki siedzu na kuniach, a jo nie, tylko staje, patrze sie i uśmiecham.

Na to podjechał jenerał i peda: »A ty, cimmingo, co stois i nie siadas na kuń?«. A jo rychty tłumace, co kumenda była na kuń, a jo mum kobyłe. Jenerał na to: »Cy kuń, cy kobyła, kumenda jedna była«. I jak nie ciachnie mnie batożyskiem po łbie, to jo jednym pyndem zwalunem się na zimie z rozdziawionym pyskiem.

Z ty pryndkości chce siuńść od przodu, a tu nie, zaszedłem od tyłu kobyły, na któryj mój dziadek wojował w powstaniu, i gramole się po nodze, ale tyż nie mogę. A chłopaki siedzu na swoich kuniach i głośno rechoczu jak ziaby. Widze, że to nie pyć, krzyknulem z płacem: »O wszyscy świńci podsadzta mie«. Jak mie podsadziły, to jo jednym pyndem znalazłem się po drugiej stronie kobyły. Dzinkuje, że to takešta mi pomogły.

A ze byłem chłopakiem śwarnym i chybkim, to podprowadziłem kobyłę do płota i hyc na niu. Ta skoczyła do przodka. A jak ju ostrogami nie ścisne, a batogiem po usach nie świstne, to tak się psiawiara mocno wspina, ze pełen pysk piochu nabrałem.

A ze byłem chłopakiem wartkim i prześcipnym, to po kamieniu hyc na kobyłę i już jezdem na przodku, jak nigdy nic.

Mnie bardzo jenerał Kozicki lubiał. Jak zacun mnie ścisnąć i całować i klepać po gembie to z jedny, to z drugi strony, to mi gemba pocerwiniąła i spuchła, ze moja żuna, Magda, poznać mnie nie mogła. A wy co na to? Nic? To dobrze!”.

## **Podróże z przygodami**

Zwykle mój ojciec i ojciec Sęczawy na zmianę przywozili i odwozili do Nałęczowa mnie, Jędrka Sęczawę z Dzierzkowic oraz Olka Koniecznego z Wodnej ulicy. Wracając z ferii wielkanocnych po jarmarku w Urzędowie ojciec postanowił, że weźmie cztery kupione przez handlarzy wieprze i przewiezie do Nałęczowa. Droga była po deszczu i roztopach wiosennych błotnista, koła głęboko grzęzły w błocie. Do woza zaprzął konia Andrzeja, naszego karego i do pomocy młodą źrebicę. Po załadowaniu na wóz wieprzy wsiedliśmy z Andrzejem na wóz i ruszyli w drogę. Przed Bełzycami na lekko pochylonej drodze należało przejechać przez kałuże napełnione wodą. Stare konie śmiało wchodziły do wody, a źrebiczka, bojąc się wody, chciała kałużę przeskoczyć. Zabiegła z przodu drogę koniom, wóz gwałtownie skręcił w lewo i wyrzucił się z nami i wieprzami. Próbowaliśmy go podnieść, ale to przekraczało nasze siły. Zmuszeni byliśmy jakoś go wyprostować. Założyliśmy konie z boku woza, aby za pomocą koni postawić wóz na koła. Konie zapały się mocno kopytami w ziemię, pociągnęły, ale wóz przewrócił się na drugi bok. Stanęliśmy nad wozem i myśleliśmy, co robić dalej. Zdjęliśmy dwa wieprze i próbowaliśmy podnieść. Niestety nie mieliśmy tyle siły, aby wóz postawić na koła. Po kilku minutach nadjechała furmanka z czterema podróżującymi mężczyznami. Andrzej prosił ze łzami w oczach, aby nam pomogli w nieszczęściu. Początkowo zżymali się, ale popatrzyli na nas i na propozycję jednego z nich zgodzili się z zastrzeżeniem, aby im dać jakieś okrycie, gdyż nie chcą się zabrudzić. Andrzej dał jednemu swoje palto, a ja drugiemu. W pięciu postawiliśmy wóz na koła, a potem po jednym wieprzu

ułożyli na wozie. Odetchnęliśmy. Serdecznie podziękowaliśmy za pomoc. Na zakończenie Andrzej poczęstował ich papierosami. Oni pojechali na przedzie, a my za nimi.

Szczęśliwie dojechaliliśmy do Nałęczowa. Ja udałem się na stację, a Andrzej z pomocą robotników zdjęli te nieszczęśliwe wieprze. Po wykupieniu biletu pozostało mi jeszcze trochę czasu na umycie zabrudzonego palta.

\*

Tegoż samego roku rano przyjechaliliśmy z Warszawy do Nałęczowa na wakacje. Rozglądamy się i widzimy, że nikt po nas nie przyjechał. Poczekaliśmy parę godzin z myślą, że może przyjechać furmanka. Niestety nie przyjechała.

Próbowaliśmy poszukać kogoś, kto by zgodził się odwieźć nas do Urzędowa. Przed dworcem na placu nie było nikogo. Stacja była daleko od osiedli. Nie było innej rady nad tę, że trzeba będzie maszerować pieszo z walizkami 35 wiorst. Zebrało się nas takich nieszczęśliwców pięcioro: ja, Sęczawa, Konieczny, Kałużyńska ze swoją koleżanką (nazwiska nie pamiętam). Początkowo kroczyliśmy rażno, ale po kilkunastu wiorstach zwolniliśmy trochę zmęczeniu, bo i słońce dobrze przygrzewało. Odpoczęliśmy trochę w cieniu gruszy i znów poszliśmy dalej. Najtrudniejsze do przejścia były ostatnie 3 wiorsty. Z wielkim trudem dowlekliśmy się do Urzędowa.

Okazało się, że listonosz jeszcze do domu nie doręczył pisanych przez nas listów w sprawie wysłania koni na stację. List otrzymaliśmy dopiero następnego dnia.

## Humory

Na lekcji historii pan Mościcki każe Regulskiemu opowiedzieć, co wie o Kazimierzu Wielkim. Regulski: „Kazimierz Wielki był mądrym i dobrym królem, bo nie miał syna tylko córki”. W klasie rozległ się śmiech uczniów i Mościckiego, co mu się nigdy nie zdarzało.

\*

Mościcki pyta Murasika: „Czy Polacy łączyli się z Litwinami?”. Murasik: „Tak, tak, łączyli się na unii horodelskiej”. „A wcześniej nie?”. „Tak, wcześniej się łączyli jak było niebezpieczeństwo”. „A kiedy?”. „No, jak żenił się Kazimierz Wielki z Aldoną”.

\*

Na geometrii pyta Smosarski Frankiewicza: „Powiedz wzór na powierzchnię koła”. Frankiewicz: „ $2\pi r$ ”. „Źle. Popraw go Kazusek”. „ $2\pi r^2$ ”. Smosarski: „Jeden baran powiedział źle, a drugi baran powtórzył źle”.

„Wyczyny”

## „Wyczyny”

Ach ta wiosna. Początkowo na wagary uczniowie opuszczali lekcje po jednym, dwóch, trzech, a później zaczęło się wymigiwanie masowe. Doszło do tego, że z lekcji języka polskiego poszło na wagary dwunastu. Pan Winkler sprawdził listę obecnych i nieobecnych. Dziesięciu uczniów jakoś wytłumaczyli i usprawiedliwili nieobecność. Dwóch kolegów, Banaś i Zurawski, zostali ukarani pozbawieniem urlopu na 2 miesiące.

\*

Miłanecz za strzelanie z floweru został usunięty ze szkoły.

\*

Wprowadzona została kara za niszczenie sprzętów szkolnych: reperacja na własny koszt lub odkupienie zniszczonego przedmiotu. Ograniczony został wynos chleba i porzucanie go w parku. W razie nieujawnienia przestępcy za niszczenie sprzętów odpowiedzialność spadała na całą klasę. Za niedbałe sprzątanie sypialni – obniżenie stopnia na cenzurze szkolnej.

\*

Jakiś dowcipniś przyniósł kota do sali wykładowej przed lekcją kaligrafii. Przez całą godzinę nauczyciel nie zauważył tego. Kot został pod ławkami przez czas trwania lekcji języka polskiego. Po skończonej lekcji pan Winkler przy drzwiach zauważył przy swoich nogach kota, nachylił się i, nic nikomu nie mówiąc, zabrał go do pokoju nauczycielskiego.

\*

Na śniadanie często podawali żurek, kasze. Uczniowie zbojkotowali i nie jedli tego pożywienia, żądając na śniadanie herbaty. Na kolację dłuższy czas podawali chleb z powidłami z jagód czarnego bzu. Jeden z uczniów starszego kursu przykleił kilka kromek z powidłami na ścianie nad stołem, gdzie spożywał pożywienie wychowawca. Zarząd Seminarium ustosunkował się pozytywnie do żądań uczniów.

## Przymusowe święta

Pierwszy raz w ciągu 2 lat nie było lekcji: galówka z nabożeństwem na cześć rodziny carskiej Romanowów. Wywieszono flagi narodowe rosyjskie.

\*

Z polecenia władz rosyjskich szkoła musiała zawiesić czynność na czas Świąt Wielkanocnych według obrządku prawosławnego. Blisko mieszkający





**Uczniowie II kursu Seminarium w Ursynowie, rok szkolny 1912/1913.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków**

uczniowie zmuszeni byli wyjechać z Ursynowa do swoich domów. W tym czasie pozostali uczniowie przeprowadzili prace porządkowe.

Ja z kilkoma kolegami otrzymaliśmy zadanie obielenia białą farbą klejową jadalni. Koledzy pochlapali ściany niedbale, a ja musiałem po nich poprawiać, w zamian tego oni obowiązani byli za karę pozmywać pochlapane podłogi.

Święta prawosławne wykorzystał kolega Górka (on zrobił zdjęcie fotograficzne kursu II), nie zapłaciwszy I i II raty za naukę i wyżywienie, nie przyjechał wcale do szkoły.

## **Forty dokoła miasta Warszawy**

W promieniu 4–5 kilometrów Warszawa otoczona była fortami. Taki fort był również w Służewie. Na zewnątrz były wały ziemne, porośłe gęstą trawą, za wałem była fosa napełniona wodą, a za nią grube i wysokie mury, za nimi zaś znajdowały się koszary dla załogi. Pośrodku był duży, w kształcie koła, plac do ćwiczeń wojska. W jednym boku tego koła były murowane domy, w których znajdowały się biura wojskowe i mieszkania dla oficerów. Otóż 9 kwietnia 1913 roku komenda fortów zawiadomiła okoliczną ludność, w tym i Ursynów, o dacie i godzinie wysadzenia murów fortu w powietrze.

Dyrektor zarządził na ten czas pootwieranie drzwi i okien we wszystkich budynkach Seminarium. Uczniowie w tym czasie byli zajęci pracą w parku: grabienie i gracowanie alei, pielienie grząd, kopanie regulówki, podlewanie kwiatów na klombach i rabatkach, obrzynywanie suchych gałęzi w sadzie i parku.

W oznaczonej godzinie wstrząsnął powietrzem straszny huk, od którego musieliśmy aż przykucnąć, aby nie przewrócić się. Za chwilę powtórzyło się to samo. Wyleciało tylko kilka szyb. Na drugi dzień, 10 kwietnia, było jeszcze sześć wybuchów. W tym dniu więcej wyleciało szyb. W sumie potrzaskało się 68 szyb we wszystkich budynkach Seminarium. Podobne wybuchy były i w innych fortach. Szklarze mieli pełne ręce roboty, a musieli się spieszyć, gdyż mróz minus 3–5°C dawał się we znaki mieszkańcom, którzy stracili w oknach szyby. Uległa zniszczeniu stacja meteorologiczna przed jadalnią.

Całe szczęście, że w nowym budynku, gdzie miała się mieścić jeszcze jedna sypialnia i szkoła ćwiczeń (40 uczniów) z mieszkaniem dla kierownika, nie było jeszcze oszklone.

## Goście

W maju piękne białe brzoźki pokryte młodym zielonym listowiem i park Seminarium nęciły amatorów świeżego powietrza i niedzielnego miłego odpoczynku na łonie przyrody. Adam, odźwierny, miał wiele kłopotu z tym, kogo można wpuścić do środka, a komu odmówić. W ważniejszych sprawach musiał sam dyrektor sprawy załatwiać.

Do mnie przyszli dwaj koledzy z Urzędowa: Romek Jagiełło i Alek Prokopiak. Legitymowali się moim zaproszeniem do złożenia mnie wizyty. Takich zaproszeń do znajomych, rodziców i krewnych nasi koledzy wysyłali bardzo dużo. Po obiedzie oprowadzałem swych gości po parku, pałacu i innych miejscach godnych obejrzenia. Szczególnie podziwiali nasz kopiec wysoki, usypany przez nas na cześć mecenasa Osuchowskiego. Kopiec ten sypaliśmy kilka lat z ziemi i murawy, uzyskanych przy gracowaniu i porządkowaniu parku i ogrodu warzywnego. Biedny Andrzej Sęczawa nie mógł nam towarzyszyć, gdyż od 2 tygodni leży chory w izbie dla chorych obok gabinetu lekarskiego.

Dyrekcje szkół, których uczniowie pragnęli nas odwiedzić, musiały na parę tygodni przed tym skontaktować się z naszym dyrektorem, prosząc o zezwolenie urzędu wycieczki do Ursynowa. Z warszawskich szkół corocznie przyjmowaliśmy gimnazjum im. Górskiego i studentów wyższej szkoły technicznej im. Wawelberga i Rotwanda\*, a także uczniów dwuletniej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie oraz pensję Wałowskiej. Najprzyjemniejsze wspomnienia pozostawiały „chyliczanki” – uczennice Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Chylicach, niedaleko od Warszawy.

---

\* Szkoła Mechaniczno-Techniczna H. Wawelberga i S. Rotwanda – przyp. red.

Po zwiedzeniu parku, kopca, obiektów sportowych, pałacu i altany Juliana Ursyna Niemcewicza, dyrektor zaprosił dyrektorkę z całą szkołą do pięknej sali rekreacyjnej, gdzie kiedyś bawili się goście hrabiów Krasińskich i Niemcewicza. Dyrektor zabawiał dyrektorkę, a my, onieśmieleni, podsuwaliśmy się do uczennic. Dyrektor, którego uważaliśmy za wroga niewiast, zaproponował, aby urządzić potańcówkę. Zawezwał Węglińskiego, Ołdaka i Nowakowskiego – skrzypków, i Prejznera – pianistę. Orkiestra ucięła oberka\*, polkę, walca. Uczennice rozglądają się, czy któryś z nas poprosi do tańca. Dłuższa chwila oczekiwania i nikt z „kawalerów” nie prosi panienki do tańca. Sami na wieczornicach po dwóch tańczyliśmy, jak kto umiał. Wiedzieliśmy, że nas nikt nie będzie krytykował. Ale teraz w obecności dyrektora, dyrektorki i takich ślicznych panienek żaden z nas nie miał cywilnej odwagi wyjść na środek, objąć panienkę, którą pierwszy raz się widzi, i z nią na środku sali tańczyć. Przyszedł nam w sukurs sam dyrektor, mówiąc: „Co ja widzę, chłopcy – sami tańczycie na wieczornicach, a teraz, kiedy gra tak pięknie orkiestra, wy stoicie na uboczu, jakby nogi wam w ziemię wrosły. Patrzcie, panienki chcą z wami potańczyć”. Pierwszy wysunął się Nagay\*\*. Gracko się uklonił najbliższej stojącej panience, objął lewą ręką jej talię i wcale zręcznie tańczy walca\*\*\*. Za jego przykładem poszli inni, a nikt się z nich nie śmieje. Dyrektor siadł obok Prejznera i grają ze skrzypaczami oberka. Liczba par momentalnie się powiększyła. A ja stoję i patrzę. Wtem podchodzi wolna panienka do mnie i mówi: „Może byśmy i my spróbowali?”. Chwyciła mnie za rękę i wyprowadziła na środek sali. Nie było innej rady, trzeba tańczyć. Pierwsze takty nie szły nam najlepiej. Później wyzbyłem się mojej wrodzonej nieśmiałości; wymieszaliśmy się z innymi parami, tańczyłem, o ile mi się zdaje, nie najgorzej. Do polki\*\*\*\* już sam poprosiłem moją tancerkę. No, teraz mogę już tańczyć do samego wieczora. Na zakończenie dyrektor puścił się w tany z dyrektorką. Kto by się spodziewał, że nasz dyrektor tak ładnie tańczy. Chciałbym, aby jeszcze raz przyjechały „chyliczanki” razem ze swoją sympatyczną dyrektorką. Koniec potańcówki. Odprowadzamy sympatyczne i miłe koleżanki do bramy, ale w towarzystwie mieszanym, bo poprzednio „chyliczanki” szły grupowo same, a teraz, tak, tak teraz każdy chciał mieć przy sobie „dziewczátko”.

Jedni chcieliby być w Ursynowie, my zaś rwaliśmy się do Warszawy. Były niekiedy trudności z przepustką. Niektórym przez parkan udawało wyrwać się na wolny świat, ale to było bardzo ryzykowne.

Pewnego razu dwóch warszawiaków, Kubarski i Nowakowski, udało się do rodziców bez urlopu. W pewnej chwili oko w oko spotykają się na ulicy

\* Oberek Namysłowskiego – przyp. autora.

\*\* Nagay w czasie wakacji 1913/1914 zmarł na gruźlicę. Prawdopodobnie zaraził się tą chorobą, kupując na Kercelaku używany garnitur przez ojca ogrodnika – przyp. autora.

\*\*\* Walc *Do wuja starca* – przyp. autora.

\*\*\*\* Polka w szafliku Brzezińskiego – przyp. autora.

Marszałkowskiej z dyrektorem Borowskim. Ukłonili się gracko, a dyrektor zapytał: „A przepustki macie?“, na co Kubarski odpowiedział: „Chcielibyśmy je otrzymać, ale pan dyrektor był bardzo zajęty i teraz prosimy o urlop“. Dyrektor uśmiechnął się, poklepał Kubarskiego po ramieniu i powiedział: „Słuchajcie chłopcy, żeby to było ostatni raz“. No i było ostatni raz, bo oni kończą za kilkanaście dni naukę w Seminarium ze świadectwem zakończenia nauki w tym zakładzie naukowym.

## **Koniec roku szkolnego II kurs, 1912/1913**

Koniec roku szkolnego już bliski. Na ostatnią lekcję geometrii pan Smosarski przyniósł przyrządy pomiarowe do wytyczania linii prostej między dwoma oddalonymi punktami. Lekcja na wolnym powietrzu była bardzo interesująca. Egzamin promocyjny według utartych metod przebiegały sprawnie. Na ostatniej lekcji geografii Polski pan Dzierżyński polecił nam w czasie wakacji opisać swój powiat, a uczniom warszawskim opisać historię jednego spośród wielu kościołów.

Na egzamin z historii pan Mościcki zaprosił dyrektora szkoły i mecenasa Osuchowskiego (opiekun nad Seminarium). Uczniowie dawali poprawne, wyczerpujące odpowiedzi, z czego wizytujący byli bardzo zadowolone, a szczególnie pan Osuchowski. Przekonał się naocznie o solidnej pracy wykładowcy, znanego historyka Mościckiego, i uczniów. Widział, że uczniowie pomimo przeszkód stawianych przez rząd carski wychowują się w duchu polskości, że ofiarny trud i finansowa pomoc uświadomionego społeczeństwa nie idą na marne. Serdecznie podziękował Mościckiemu za ofiarną i ryzykowną pracę. Pożegnawszy dyrektora i Mościckiego przez podanie ręki, a nam życząc dalszej owocnej pracy w szkole i zasłużonego odpoczynku w czasie wakacji, uśmiechnięty opuścił salę.

22 czerwca 1913 roku po otrzymaniu świadectw promocyjnych na kurs III i sutym dobrym obiedzie rozjechaliśmy się do swoich domów.

## **Wakacje**

Wakacje te nie były najlepsze. Były chłodne, deszczowe, że mało użyłem kąpieli w swojej rzeczce - Urzędówce. Z powodu ciągłych deszczów żniwa bardzo się przeciągnęły. Zboże musieliśmy zwozić niedoschnięte, tak że po ustaleniu się pogody musieliśmy niektóre partie zboża wynosić ze stodoły i dosuszać na murawie za stodołą.

W deszczowe dni czytałem dużo książek przywiezionych z biblioteki Seminarium i zdobytych od kolegów i znajomych, odbywając kilkukilometrowe wypady. Zawzięcie dużo grałem na skrzypcach, aby odrobić moje

niedociągnięcia na lekcjach muzyki w szkole. Udzielałem korepetycji Basi Grzebulance, mojej kuzynce, która przygotowywała się do egzaminów w seminarium nauczycielskim, oraz Zygmuntovi Surdackiemu, bliskiemu sąsiadowi, który zamierzał składać egzamin do gimnazjum w Janowie Lubelskim. Za udzielanie lekcji zapłacili mi po 1 rublu miesięcznie. Pieniądze te bardzo mi się przydały na wydatki osobiste. Byłem uniezależniony w wydatkach od ojca.

Do opisu powiatu nie wiedziałem jak się zabrać. Żadna koncepcja nie przychodziła mi na myśl, a wakacje już zbliżały się do końca. Skończyło się na tym, że tego opisu nie wykonałem, co mi się pierwszy raz w życiu wydarzyło, że nie spełniłem polecenia mego nauczyciela, a to odbiło się później na mojej ocenie z geografii.

Przy końcu wakacji w niedzielę spotkałem się z dawnym kierownikiem Szkoły Jagiellońskiej panem Brzozowskim. W rozmowie pytał mnie o życie, pracę i wyniki w nauce. Przy tej rozmowie była obecna pani Decyusz, nauczycielka, dla której żywiłem wielką wdzięczność za pracę nade mną i jej życzliwy stosunek do mojej osoby. Prędko pożegnała nas i odeszła. Pan Brzozowski był zadowolony, że mógł się przyczynić do wychowania pierwszego nauczyciela z Urzędowa.

### **Kurs III, rok 1913/1914**

Przyjemne wakacje już się kończą. Zbieram manatki, uzupełniam komplet bielizny, inkasuję pieniądze na I ratę i pomoce naukowe i po obiedzie 28 sierpnia ruszamy w drogę do stacji kolejowej w Nałęczowie (około 40 kilometrów). Po długich i obfitych deszczach ziemia rozmokła, straszne błoto. Przez Mikuszewskie nie można przejechać. Ojciec wybrał drogę przez błonie ponad rzeką. Przy wjeździe do Urzędowa wypadło przejechać w bród przez rzekę o niskich, zamulonych brzegach. Tu nas spotkała nieprzewidziana przykra niespodzianka. Przy przeciwległym brzegu konie i wóz ugrzęzły w głębokim, mazistym błocie. Ojciec musiał odłączyć konie od wozu, za pomocą lejce przywiązanych do dyszla chciał ten wóz wyciągnąć z błota na drogę. Lejce pękły, należało je związać i wzmocnić linką. Z wielkim trudem konie wyciągnęły wóz. Ojciec musiał umyć ręce, buty i odzież w wodzie. W takim mokrym ubraniu wsiadł na wóz i ruszyliśmy w stronę Bełżyc, dokąd przyjechaliśmy już o zmroku. Spotkało nas nowe niepowodzenie. W ciemności ojciec przeoczył kierunek i pojechał błędną drogą. Zamiast do Nałęczowa przyjechał do toru kolejowego przecinającego naszą drogę.

W budce od dyżurnego kolejarza dowiedzieliśmy się, że do Nałęczowa najkrótszą drogą wzdłuż toru trzeba iść pieszo około 2 kilometry. Na szukanie drogi dojazdowej z powodu ciemności i nieznamości terenu ojciec nie mógł

się zdecydować. Więc wysiedliśmy z Koniecznym i udaliśmy się we wskazanym przez kolejarza kierunku Nałęczowa (dziś Sadurki). Po półgodzinnym marszu z pakunkami dobrnęliśmy do celu na 15 minut przed nadejściem pociągu. W wagonie znaleźliśmy siedzące miejsca i odpoczywaliśmy po takiej dotychczasowej niefortunnej podróży. Rano o godzinie 7 byliśmy już w Warszawie na Dworcu Kowelskim Kolei Nadwiślańskiej, a do Ursynowa trafiliśmy na sam obiad.

Następnego dnia, 30 sierpnia, z Kwiecińskim i Banasiem udaliśmy się do miasta po zakup podręczników i innych pomocy naukowych. Wolny czas wykorzystaliśmy na zwiedzanie miasta: Łazienek i Parku Ujazdowskiego. Dłuższy czas zatrzymaliśmy się przy pomniku Jana Sobieskiego, który trątuje na swoim koniu trzech Turków. Po krótkim odpoczynku przy sadzawce z łabędziami skierowaliśmy swe kroki do Parku Ujazdowskiego. Znaleźliśmy wolną ławkę i wygodnie odpoczywaliśmy. Po kilkunastu minutach obok nas siadła jakaś niemłoda pani z dziewczynką, trzymającą w objęciach swoją dużą lalkę w krakowskim stroju. Dziewczynka położyła lalkę na ławce, a sama zaczęła biegać po alei w różnych kierunkach. Pani przywołała Zosię i zaczęła przygotowywać się do odejścia.

Naraz zaczyna oglądać się na wszystkie strony, a nawet zajrzała pod ławkę, i mówi: „Dopiero co położyłam torebkę na ławce, a ten ją wziął”. „Proszę oddać torebkę” – zwróciła się do mnie. Ja i koledzy tłumaczymy jej, że żadnej torebki nie widzieliśmy i jej nie wzięli. Dziewczynka, słysząc tę rozmowę, pokazuje matce lalkę i torebkę. Kobiecie zrobiło się „głupio”. Zaczęła nas przeproszać za posądzenie o kradzież. Córka mówi, że wzięła torebkę, bo się bała, że matka o niej zapomni, jak to jej często się zdarza, i sama wzięła tę torebkę razem z lalką.

## **Zaczynamy pracę**

Zaczynamy pracę w nieco zmienionym składzie. Nie przyjechali na naukę: Górka, Reklewski, Regulski, Mieszczankowski i Ignacy Orłowski z Chełma. Kurs liczy tylko 37 uczniów.

Trochę zmienił się skład nauczycieli. Przybyli: ksiądz doktor Perkowski – prefekt i proboszcz parafii w Służewie, Dzwonkowski – historyk, doktor Jakubowski – lekarz szkolny, Lucjan Zarzycki – nauczyciel metodyki arytmetyki oraz Hubert Pyrc – nauczyciel gimnastyki i wychowawca.

Nauka zaczęła się jak zwykle nabożeństwem w Służewie. Przed południem pięć godzin, po południu trzy godziny z przerwą na obiad i zajęcia w parku, ogrodzie, koszykarni oraz introligatorni i stolarni. Przybyły nam nowe przedmioty: pedagogika, psychologia, metodyka arytmetyki, historia Kościoła, kosmografia, logika.



## Praca szkolna

Praca szkolna potoczyła się naturalnym utartym torem. Każda niedzielna wieczornica miała inny charakter:

Przedstawienie teatralne *Żydzi* (28 września).

Odczyt Cenkla „Horodelska unia” (5 października).

Teatr *Dziś szkoła* obrazek z życia uczniów (19 października).

Odczyt Zientka „Ks. J. Poniatowski” (27 października).

Wycieczka z Warszawy uczennic pensji Wolańskiej. Chóralny śpiew, a na zakończenie taniec z uczennicami. Zwiedzanie Ursynowa.

Teatr *Pojedynek* – komedia, a potem tańce.

Nasza wycieczka do Warszawy na wystawę „Ruch, światło, praca”. Obroty Ziemi, „wahadło”.

Nasza wycieczka do Warszawy do „Muzeum zoologicznego”.

Wycieczka kursu ekonomicznego z Warszawy.

Odczyt pana Gnoińskiego o trzęsieniach ziemi, kwartet.

Komedia *Po drodze*. Muzyka: Węgliński, Kocot, Nowakowski, Jarosiński. Akompaniament: Prejzner.

W czasie ferii Bożego Narodzenia teatr w Urzędowie w domu straży pożarnej, gdzie występowali nauczyciele: Brzozowski, Decyusz, córka i syn miejscowego aptekarza Michalewskiego, student Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie E. Gruchalski, student Politechniki we Lwowie Al. Gruchalski, działacz społeczny gospodarz Błażej Dzikowski i inni.

10 stycznia 1914 roku – ślub Kaweckiego, sekretarza Seminarium, z panną z Warszawy – aptekarką. W tej uroczystości (ślubu) wzięli udział uczniowie II, III i IV kursu. Na chórze grał solo na skrzypcach *Ave Maryja* Węgliński i śpiewał chór pod kierownictwem nauczyciela śpiewu i muzyki, pana Sawickiego. Po ślubie Kaweckiego z młodą, ładną żoną i jej rodzicami w dwóch samochodach udali się do Warszawy na dokończenie uroczystości.

Teatr *Polowanie* – komedia obyczajowa.

Komedia *Skrzywdzone pary* i *Dzień Muzy*.

22 lutego 1914 roku. Ostatki, bal karnawałowy po sutej kolacji z wędliną (co się rzadko zdarzało).

Bardzo ciekawa wycieczka Kaszubów z Warmii, Gdańska i Mazur. Uczestnicy po zwiedzaniu Ursynowa byli przyjmowani obiadem w naszej jadalni. Szeroko mówili o prześladowaniach Polaków przez Niemców w zaborze pruskim. Jeden z uczestników przy pożegnaniu powiedział: „Wytrzymamy. Niedługo znów będziemy razem w jednej ojczyźnie – Polsce”.

Komédie: *Kochajmy się* i *Marynia*.

22 marca nasza wycieczka do Warszawy do „Zachęty sztuk pięknych” (kurs III i IV).

3 maja pan Dzwonkowski miał odczyt o Konstytucji 3 maja. Na tym odczycie była też jego żona. Dyrektor Borowski uzupełnił odczyt „Dlaczego nie zostały wcielone w życie postanowienia Konstytucji”.

8 maja przybyła do nas pensja Walickiej, podwieczerek w altanie. Chór: „Nasze polskie pieśni”, a potem odczyt „Moniuszko w pieśni i muzyce”.

20 maja przybyła do nas wycieczka z Chylic z Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego (do tej szkoły uczęszczały uczennice z domów szlacheckich i córki pracowników większych zakładów przemysłowych). Po podwieczorku chór śpiewał przygotowane pieśni, a po tym śpiewaliśmy wszyscy razem znane powszechnie aktualne pieśni. Tym razem żadnych tańców w sali aktowej nie było. Pewne pociągnięcia dyrektora zniechęciły nas do bawienia gości (uważaliśmy, że skoro wycieczka przybyła tylko do dyrektora, więc niech on sam bawi gości). Uczennice, niezadowolone z bojkotu naszych kolegów, w nastroju minorowym odjechały do Chylic.

## Migawki

Ja z Kwiecińskim, moim najserdeczniejszym kolegą i przyjacielem, siedzieliśmy razem w jednej ławce na samym końcu rzędu ławek, w kącie sali wykładowej. Na pewnej lekcji historii Polski pan Dzwonkowski wezwał do odpowiedzi Gielnera, aby ten scharakteryzował stosunki polsko-litewskie. Kolega plątał się w odpowiedzi, gdyż dokładnie nie opanował tego działu z historii. Na zapytanie kiedy była unia horodelska uczeń stał bezradnie i milczał. Dzwonkowski podniósł się z krzesła i mówi: „To ty powiedz, ot ty z Kamczatki”. Poderwał się Kwieciński i momentalnie dał odpowiedź. Pyta znów Gielnera: „A kiedy była unia lubelska?”. Milczenie. Dzwonkowski: „To ty drugi z Kamczatki powiedz”. Powstałem i powiedziałem: „Za panowania Zygmunta Augusta w 1569 roku w Lublinie, na pamiątkę czego jest w Lublinie pomnik wybudowany”. Dzwonkowski uśmiechnął się. Nie spodziewał się, że w ostatniej ławce siedzą dobrzy uczniowie.

\*

22 lutego pierwszy raz pełniłem dyżur w szkole ćwiczeń, a po kilku tygodniach prowadziłem z Kazuskiem pierwszą lekcję z języka polskiego. Wtedy bolały mnie zęby, miałem szczękę podwiązaną chusteczką. Lekcja wypadła dobrze. Na konferencji pan Królikowski poradził mi, abym trochę ciszej mówił i oszczędzał struny głosowe.

\*

Po powrocie z pałacu po odrobieniu lekcji i po krótkiej gimnastyce ze śpiewem przed gmachem szkolnym według regulaminu należało kłaść się do łóżek i gasić światło na sali, czego dyżurny nie dopilnował. Wszedł pan Gnoiński, polecił natychmiast zgasić, co zaraz wykonał kolega Szczepanik. Po kilku minutach po odejściu wicedyrektora znów zapalił. Pan Gnoiński wrócił i zapytał dlaczego światło się pali. Szczepanik coś tam mruknął pod nosem i światło zgasił, ale nie na długo, bo po odejściu nauczyciela, odcze-

kawszy dłuższą chwilę, zapalił znów. Gnoiński już przy pałacu obejrzał się i zauważył światło w naszej I sali. Wrócił i z gniewem zapytał Szczepanika o cel palenia się lampy. Ten ociężale, z niechęcią zbliżył się do lampy, a wychowawca powiedział, że ta sprawa będzie poruszona na najbliższej sesji Rady Pedagogicznej. Po kilku tygodniach wezwał dyrektor Szczepanika do swego gabinetu i oznajmił, że za niesubordynację Rada Pedagogiczna zwolniła Szczepanika od uczęszczania na lekcje, gdyż został zwolniony i skreślony z listy uczniów. Na drugi dzień nasz kolega Szczepanik jak niepyszny zebrał swoje manatki i pojechał raz na zawsze do domu.

\*

Po kilku dniach wezwał mnie dyrektor do swego gabinetu. W drodze do kancelarii byłem przygotowany na wszystko, co może być najgorsze. Czy czasem i ja nie podzielę losu Szczepanika, ale przecież ja nie miałem nic wspólnego z tym faktem. Dyrektor oznajmił, że jutro po lekcjach przedpołudniowych mam się udać do Warszawy do mecenasa Osuchowskiego na ulicę Senatorską 8.

Zjawiłem się na miejscu z biciem serca. Pan Osuchowski odezwał się: „To ty jesteś Wośko?”. Przytaknąłem i czekam na dalsze pytania. Zapytał mnie o stan majątkowy rodziców, o liczbę członków rodziny. Kiedy mu powiedziałem, że ojciec jest rolnikiem, gospodarzy na 6 morgach ziemi, ma na utrzymaniu osiem osób, mecenas uśmiechnął się i powiedział, że dobrze był przez dyrektora poinformowany.

Począł w ciapach do fotela, usiadł i mnie kazał usiąść. „Widzę, że wam niełatwo życie upływa. Dotychczas mimo trudnych warunków materialnych regularnie płaciłeś raty. Z nauką i zachowaniem nie sprawiałeś nam żadnego kłopotu. Biorąc to wszystko pod uwagę, dajemy ci stypendium. Obecnie będziesz płacił półrocznie tylko po 100 rubli”. Powstałem z fotela. Kłaniając się, podziękowałem najgoręcej jak tylko umiałem. Znów kazał mi usiąść. Mówił, że rad by pomagać więcej pracowitym uczniom, ale tego nie może zrobić ze względu na brak na to środków finansowych. Chciałby jeszcze zaangażować prawnika, aby ten dał praktyczne wskazówki i naukę z zakresu prawa, gdyż te wiadomości mogą się przydać w pracy nauczyciela w środowisku wiejskim. Powstał, podał mi rękę i życzył, aby mi się w życiu lepiej powodziło.

Wyszedłem z gabinetu i już nie szedłem zwykłym krokiem, a zdawało mi się, że lecę na skrzydłach do Ursynowa. I tu sprawdziło się powiedzenie, że pokorne ciele dwie matki ssie. Kolegom nie mówiłem o treści rozmowy, ale z mojego zachowania się widzieli, że pobyt u mecenasa nie był dla mnie przykry.

\*

W ciągu roku mieliśmy po kilka lekcji ze statystyki, ekonomii politycznej i prawa.

\*

12 maja odbyło się wieczorowe klasowe zebranie w sali wykładowej, na którym gorąco dyskutowali uczniowie sprawę złego traktowania uczniów przez wychowawcę Pyrcia. Tła zatargu nie znałem. Nie wiem dlaczego nazywali go psem policyjnym. Podjęliśmy uchwałę, aby się go wystrzegać, unikać z nim rozmów, nie kłaniać się. Wybrano delegację do zakomunikowania mu o niezadowoleniu uczniów w stosunku do jego osoby. Kwieciński oznajmił mu, że: „Klasa zażądała ode mnie, abym panu powiedział, że pan nas traktuje nie tak, jak wychowawca, ale jak policjant”. Pyrcz zdziwił się, pomyślał dłużej i, nic nie mówiąc, wyszedł z mieszkania.

Jak się później dowiedziałem, pan Pyrcz przybył do nas z Galicji jako emisariusz, a my nazywaliśmy go „psem policyjnym”. Dlaczego tak się to dziwnie złożyło? Być może mógł on rozmawiać z kimś na temat polityczny, a przeczulony przechodzień podejrzewał go o szpiegostwo.

\*

Z lekcji gimnastyki z Pyrciem niewiele skorzystaliśmy. Widać było, że z tą dziedziną nauki mało miał wspólnego.

Młodzież odczuwająca chęć wyładowania swej energii chętnie zapisywała się do drużyny „skautów” (harcerstwo). Drużynowym był Maliszewski z IV kursu, a zastępowymi Ziętek i Kowalczewski. Ten był również „felczerem” w pracowni lekarskiej. On mi operował wrzód na prawym policzku. Ćwiczenia harcerskie odbywały się wieczorem do godziny 22 w parku. Na tych ćwiczeniach skautów nie obowiązywał zakaz biegania po parku i trawnikach. Ja, niestety, do skautów nie należałem, a te zajęcia przydałyby się w moim późniejszym życiu, kiedy w Trawnikach byłem opiekunem drużyny harcerskiej.

### **Ostatnia wizytacja, 3 czerwca 1914 roku**

W czasie lata na wąskotorowej kolejce kursowały pociągi składające się z odkrytych wagonów bez drewnianych ścian. Pasażerowie przyjemnie podróżowali na świeżym, ciepłym powietrzu. W razie deszczu zamiast drewnianych ścian rozpinano od strony wiatru płócienne zasłony od deszczu. W Służewcu mijały się pociągi: jeden z Warszawy do Grójca, drugi zaś z Grójca do Warszawy.

Nasz dyrektor zamierzał pojechać do stolicy. Najpierw przybył pociąg z Warszawy. Wysiedli pasażerowie, a między nimi jakiś jegomość po rosyjsku pyta przechodnia o drogę do Ursynowa. Dyrektor, który wsiadł już do pociągu warszawskiego, usłyszał tę rozmowę, wyskoczył w biegu z pociągu i pędem pobiegł do bryczki, która wracała do Ursynowa. Kazał woźnicy popędzać konia do szybszego biegu.

Nieznajomy Rosjanin poszedł pieszo połą ścieżką w kierunku Ursynowa. Zanim intruz pieszo stanął przed parkową bramą, dyrektor zdążył powiadomić pana Dzwonkowskiego, który na liście profesorów nie figurował, i pana Pyrcia, który przebywał w Ursynowie nielegalnie, bo nawet nie był zameldowany. Obaj panowie momentalnie ulotnili się do parku, a my z III kursu, II i IV pozbieraliśmy książki do historii, notatki historyczne i geograficzne i wyrzucili oknem. Woźny z kilkoma uczniami szybko wynieśli je pradoliną Wisły i schowali blisko parkanu od strony Służewa, a w czasie wizytacji wywieźli do Służewa do prefekta. Nasz III kurs został na konferencji polekcyjnej, której przewodniczył pan Królikowski, kierownik szkoły ćwiczeń.

Obszedł wizytator wszystkie ławki, dyskretnie spojrzął pod ławki, czy tam czegoś podejrzanego nie zobaczy. Od nas udał się do biblioteki, przejrzał tytuły wypisane na grzbietach książek, zajrzał do szuflad i z niczym wyszedł na korytarz, a potem do innych kursów. Wizytatora najbardziej zaintrygowała lekcja pn. Konferencja. Nic nie znalazłszy, w ponurym usposobieniu bryczką odjechał do stacji Służewiec.

## **Ostatni egzamin w Ursynowie**

Od 12 do 20 czerwca trwały egzaminy przejściowe na IV kurs. Składaliśmy egzamin pisemny z języka polskiego, języka rosyjskiego i matematyki, a potem zaczęły się egzaminy ustne. Po każdym przedmiocie mieliśmy wolny dzień na przygotowanie się do następnego. Egzaminu z historii Polski i geografii Polski nie było, bo nie mieliśmy ani książek, ani notatek (były w Służewie).

Wskutek choroby nie zdawali egzaminu Mazur i Orlikowski. Wyjechali do domów. Egzamin poprawkowy mieli zdawać: Banaś z metodyki arytmetyki, Gielner z muzyki, Kazusek z matematyki, Kowalczewski z geografii, Maćczak z geografii, Orłowski z geografii, Opaliński z geografii. Świadectwa promocyjne na IV kurs otrzymało 27 uczniów (na I kursie było uczniów 45). Egzaminy skończyły się 20 czerwca 1914 roku.

Następnego dnia odbyło się zakończenie roku szkolnego w sali aktowej. Najpierw dyrektor złożył sprawozdanie z przebiegu nauki w ciągu roku. Osuchowski pożegnał absolwentów. Pożegnalne zakończenie – Ziętko. Pyrcz pożegnał wszystkich uczniów (opuścił Seminarium). Pięknie przemówiła pani Arct-Golczewska, życząc pomyślnej, trudnej, ale szlachetnej pracy abiturientom. Sałaga podziękował gościom za przybycie i wzięcie udziału w uroczystości zakończenia roku szkolnego. Na samym końcu księgarz warszawski Michał Arct dorocznym zwyczajem obdarował każdego absolwenta biblioteczką składającą się z 10 pięknych, nowych książek.

W tym okresie były ceny: garnitur średniej jakości 8 rubli 25 kopiejek, kołnierzyk 15 kopiejek, gors 25 kopiejek, strzyżenie włosów 25 kopiejek, krawat

35 kopiejek, zwykła kartka pocztowa 12 kopiejek, znaczek do listu 9 kopiejek, podróż koleją Warszawa–Nałęczów 2 ruble, bilet kolejki 18 kopiejek, tramwaj 10 kopiejek, *Pan Tadeusz* 28 kopiejek, *Geografia Europy* 60 kopiejek, proszek do zębów 3 kopiejki, podzelowanie butów 1 rubel 15 kopiejek, kurs dorożki 20 kopiejek, zeszyt 5 kopiejek, struna do skrzypiec 3 kopiejki, *Historia Rosji* (490 stron) w płóciennej oprawie 2 ruble itd.

## **Żegnaj Ursynowie raz na zawsze**

23 czerwca 1914 roku ja, Konieczny i Kwieciński wyjechaliśmy z Warszawy do Puław (Nowoaleksandria po rosyjsku) pociągiem z Dworca Nadwiślańskiego. W Puławach przenocowaliśmy na statku na Wiśle. Byliśmy świadkami puszczania wianków ze świecami pośrodku (24 czerwca – św. Jana). Rano ruszyliśmy Wisłą w górę rzeki, po południu wysiedliśmy na docelowej przystani w Annopolu (Rachów). Daremnie szukaliśmy koni, które miał po nas wysłać Szczepanik. On to zaprosił do siebie Kwiecińskiego, najlepszego ucznia III kursu, który miał z Gienkiem przerobić materiał naukowy z kilku ostatnich miesięcy, w czasie których przebywał w domu po wydaleniu z Seminarium.

Udaliśmy się pieszo pod górę do pobliskiego Annopola z myślą, że ta furmanka zamiast przy Wiśle może czeka w miasteczku. Żadne poszukiwania nie dały rezultatu. Jak nie było, tak nie ma furmanki Gienia. A tu już noc, ciemno. Cóż teraz poczniemy?

Zdecydowaliśmy iść pieszo do Urzędowa 20 kilometrów z tobołkami i walizkami. Doszliśmy do przekonania, że taka podróż będzie bardzo uciążliwa lub wręcz niemożliwa. Przypomniałem sobie, że w Annopolu mieszka znajomy Żyd Martka, który na Bęczynie kupował wypalone garnki i sprzedawał je u siebie w Annopolu. Znaleźliśmy jego mieszkanie i zapoznaliśmy go z naszą sytuacją. Niechętnie zgodził się przyjąć nasze większe pakunki i jadąc po towar na Bęczyn przywieźć je do Witka, skąd sobie nasze bagaże zabierzemy. Ja, znając charakter Żyda i jego solidny handel, oddałem bez namysłu swój bagaż. Konieczny po krótkim namyśle zrobił to samo, natomiast Kwieciński oznajmił, że swoją walizkę z kilkoma książkami, bielizną osobistą i nowym garniturem weźmie ze sobą. Namawiałem go do pozostawienia rzeczy, rękując, że Martko na pewno przywiezie bagaż za dwa dni. Propozycję moją odrzucił i postanowił to dźwigać do Bęczyna. Z Koniecznym zabraliśmy ze sobą tylko skrzypce, resztę zostawiliśmy i ruszyliśmy pieszo w drogę.

Noc była ciepła, pogodna, księżyc nam przyświecał. Kwiecińskiemu nawzajem pomagaliśmy dźwigać jego ciężką walizkę. Przez Księżomierz, Dzierzkowice i las dzierzkowicki koło godziny 11 dobiliśmy do naszego domu. Moi domownicy jeszcze nie spali, czekając na moje przybycie. Macocha zgotowała nam mleka, które z czarnym, razowym chlebem spożyliśmy z wilczym



apetytem. Macocha przygotowała pościel, ułożyliśmy się we trzech na słomie w stodole i zasnęli snem sprawiedliwego.

Rankiem po śniadaniu udaliśmy się do Urzędowa z myślą, czy Starok z Bęczyna, który przywoził towary z Kraśnika lub z Lublina, nie będzie w tym dniu jechał do tych miast. Okazało się, że Starak przed kilku godzinami wrócił z podróży i pojedzie po towar za dwa dni. Znaleźliśmy na rynku chłopą, który ma wracać do Kraśnika. Kwieciński, uzgodniwszy warunki przewozu, po paru godzinach udał się do Kraśnika. Tu częściej jeździły furmanki do Lublina, więc łatwiej się było dostać do pociągu, którym Józio wrócił do domu.

Próbowałem przekonać Kwiecińskiego, żeby zatrzymał się u mnie, a potem będziemy mogli się łatwo dostać do Dąbrowy do Szczepanika. Józek kategorycznie odrzucił tę propozycję, oznajmiając, że za żadne skarby do Szczepanika nie pojedzie. Domyślałem się, że Gienek powziął decyzję bez uzgodnienia tej sprawy z ojcem, który nie chciał sobie robić kłopotu z „nieproszonymi” gośćmi w gorącym czasie prac żniwnych. Dlatego nie wysłał po nas furmanki. To niesolidne załatwienie sprawy naraziło Kwiecińskiego na zbędne wydatki ze skąpego budżetu i przekreśliło plany spędzenia wakacji na wsi.

26 czerwca udałem się do Szczepanika, ale go nie zastałem w domu, gdyż wyjechał na kilka dni ze swoim stryjecznym bratem, klerikiem seminarium duchownego, do Trzydnika. Po kilku dniach przybył do mnie, ale mnie nie zastał w domu.

6 lipca drugi raz poszedłem do niego. Zamiast wytłumaczenia się ze swego postępku wpadł na mnie z wymówkami, że to była moja wina, gdyż furmankę wysłał, tylko my „poszkaliśmy” i nie umieli znaleźć. Prosił mnie, abym ją pozostał, żeby zaległy materiał z końcowych miesięcy, w czasie których opuścił Seminarium, solidnie przerobić. Zgodziłem się na to z warunkiem, że z Bęczyna zabiorę książki i notatki i przyjdę do niego, co wykonałem.

Rozpoczęliśmy pracę, ale mało produktywną. W tym czasie wrócił z Ameryki jego brat z nowo poślubioną w USA żoną. Rodzina się powiększyła. Matka posyłała Gienka a to do sklepu, a to do rąbania drewna do kuchni, a ojciec wręcz powiedział, żeby na razie przerwał naukę i pomógł przy żniwach. Znalazłem się w głupim położeniu. Poszedłem i ja do zbierania garści owsa, wiązania snopów i zwożenia do stodoły. Nabrałem przekonania, że jestem tu zbędny. Postanowiłem wrócić do domu.

Aż tu naraz raniutko koło godziny 4 obudził mnie płacz kobiet, głośnie płkanie dzieci, jakaś bieranina po wsi i przeciągłe, gwałtowne szczekanie psów. Zerwaliśmy się z pościeli i wyszli na drogę. Przed sołtysem grupa mężczyzn, kobiet i dzieci kręci się, biega na wszystkie strony. Sołtys biega do niektórych domów, ponagla, aby podwoły jak najprędzej podjeżdżały. Dowiedzieliśmy się, że jest ogłoszona mobilizacja rezerwistów, bo 1 sierpnia wybuchła wojna.

## I wojna światowa 1914–1918

Przeciwności imperialistyczne (kolonie) między Anglią i Niemcami, Rosją i Niemcami, Francją i Niemcami oraz Rosją i Austrią doprowadziły do I wojny światowej.

Zapałną iskrą I wojny światowej było zamordowanie 28 czerwca 1914 roku w Sarajewie, stolicy Bośni, austro-węgierskiego następcy tronu Franciszka Ferdynanda przez członka serbskiej narodowej organizacji oficerskiej. Serbia nie zgodziła się wpuścić na swe terytorium austriackich urzędników dla przeprowadzenia śledztwa.

Czwórprzymierze (Ententa)	Czwóroporozumienie (Państwa Centralne)
1) Serbia 22 VII 1914 2) <u>Rosja</u> 1 VIII 1914 (cesarz Mikołaj II) 3) <u>Anglia</u> 4 VIII 1914 4) <u>Japonia</u> 8 VIII 1914 5) <u>Belgia</u> 3 VIII 1914 6) <u>Francja</u> 3 VIII 1914 7) <u>Włochy</u> IV 1915 8) <u>Rumunia</u> 28 VIII 1916 9) USA IV 1917 10) Grecja 1917	1) <u>Austro-Węgry</u> 22 VII 1914 (cesarz Franciszek Józef) 2) <u>Niemcy</u> 1 VIII 1914/skapitulowały 11 XI 1918 (cesarz Wilhelm II) 3) Turcja IX 1915/skapitulowała 30 X 1918 4) Bułgaria IX 1915/skapitulowała 29 IX 1918

Uwaga: Podkreślone państwa wypowiedziały wojnę.

Rosja podpisała traktat pokojowy separatystyczny 3 marca 1918 roku w Brześciu.

I wojna światowa skończyła się podpisaniem pokoju w Wersalu 11 listopada 1918 roku.

## Początek wojny\*

Taki to był czas moich wakacji. Pozbierałem swoje manatki i na drugi dzień ruszyłem w drogę do Urzędowa. Przed Olbincinem zostałem zatrzymany przez dwóch żołnierzy rosyjskich, z których jeden siedział na wierzchołku przydrożnej gruszy, a drugi pod drzewem – punkt obserwacyjny. Jeden żołnierz z gruszy przekazywał drugiemu pod gruszą, co widzi i co się dzieje daleko, a ten ważniejsze wyniki obserwacji meldował swemu dowódcy.

\* Podtytuł dodany przez redakcję.

Żołnierz spod gruszy pytał się, kto ja jestem, dokąd idę i po co. Zażądał dokumentów. Powiedziałem mu imię i nazwisko, idę do domu do Urzędowa. Podałem mu „matrykulę” szkolną. Żołnierz nie umiał przeczytać, bo dowód tożsamości był napisany po polsku. Musiałem mu, pokazując palcem każdy wyraz, tłumaczyć na język rosyjski. Przejrzał mój pakunek, w którym był ręcznik i kilka książek. Przetłumaczyłem mu nazwę podręcznika. Po krótkim namyśle skinął ręką i powiedział: „Idi i nie szagajsia biez dieła” („Idź i nie płacz się bez potrzeby”). No i przyszedłem do domu. Z Bęczyna zabrali rezerwistów z trzech roczników.

Wszystkimi drogami, gościńcami ciągną pułki wojska rosyjskiego z tabo-rami, armatami i jaszczami z armatnimi pociskami na zachód, na front rosyjsko-austriacki i rosyjsko-niemiecki. W sklepach daje się odczuć brak różnych towarów, środków żywności, a szczególnie soli i nafty, nie mówiąc o wódce. Wszystkie napoje alkoholowe zostały skonfiskowane i w dniu ogłoszenia wywiezione na pola i łąki. Butelki potłuczone. Piwo, spirytus, wino bądź wsiąkło w ziemię, bądź popłynęło rowami i rynsztokami. Wojsko z pogranicznych garnizonów nie mogło powstrzymać naporu wojsk austriackich i niemieckich i ostrzeliwując wroga cofało się na wschód.

24 sierpnia 1914 roku wieczorem z kilku kolegami udałem się do miasta, a potem na Zakościelne przedmieście na randki z panienkami. Około



Żydzi przy pracach na rynku w Urzędowie, październik 1914 roku. W głębi piętrowy budynek, w którym mieściła się Szkoła Jagiellońska. Fot. ze strony <https://www.facebook.com/staryurzedow>

godziny 10 wieczorem zatrzymaliśmy się: ja, Julek Gałkowski i Romek Jagiełło na rynku i plotkowaliśmy na temat spotkania z panienkami. Naraz od Wodnej ulicy słyszemy tętent kopyt końskich. Do naszej grupy podjechało kilku ułanów austriackich. Wywiązała się rozmowa na temat wojny. Ułani dowiedzieli się, że wojsko rosyjskie z okolic Urzędowa wycofało się, ranni rosyjscy żołnierze ze Szkoły Jagiellońskiej wczoraj ewakuowani zostali na podwodach na wschód. Duży procent ciężko rannych żołnierzy zmarł na punkcie opatrunkowym w szkole, trochę zmarło w czasie podróży na podwodach. W okolicy Borzechowa Rosjanie zorganizowali linię oporu z pułków przybyłych z Rosji. Na tym odcinku wojska austriackie poniosły duże straty, w wyniku czego Austriacy wycofali się na zachód, przechodząc przez Urzędów 12 września 1914 roku.

Ta pierwsza okupacja Urzędowa przez wojska austriacko-węgierskie trwała 26 dni. W ciągu tego krótkiego okresu ojciec mój był jeden raz wysłany celem przewiezienia rannych żołnierzy austriackich do Annapola. Droga z Urzędowa do Dzierzkowic była bardzo uciążliwa. Koła wozu głęboko zapadały się w sypki biały piasek. Drogi bitej nie było. Po takiej drodze Austriacy mieli wielkie kłopoty w czasie przewożenia ciężkich armat, jaszczy z nabojami artyleryjskimi i wozami z prowiantem. Pewnego dnia sołtys z polecenia władz wojskowych wyznaczył z każdego domu jednego mężczyznę z siekierką, a niekórego z piłą, na zbiórkę na rynku, gdzie my z Bęczyna zastaliśmy już dużą gromadę ludzi pod nadzorem żołnierzy węgierskich. Za chwilę przyjechało wierzchem na koniach dwóch żandarmów. Na przedzie jechał jeden żandarm, za nim całą wielką gromadą szliśmy pieszo przez Wodną ulicę, a za nami jechał drugi żandarm z nahajką w rękę i przewieszonym przez ramię karabinem. Szliśmy bardzo szybko, ponaglani przez żandarmów. Zatrzymano nas w młodym sosnowym lesie, tym lesie, gdzie kilkanaście lat temu sadziłem na „kopaninach” młode sosenki. Kazano nam te drzewka ścinać, obcinać gałęzie i znosić na tę piaszczystą drogę. Robota szła szybko. Jedni ścinali i okrzesywali gałązki, inni ciągnęli te drzewka do drogi, a jeszcze inni pod nadzorem żołnierzy układali w poprzek drogi drzewka w rodzaju podłogi. Żandarmi pilnowali nas, żeby ktoś z lasu nie „zwiął”. Przez osiem godzin cała piaszczysta część drogi była wymoszczona młodymi pięknymi drzewkami. Teraz koła po tych drzewkach tylko podskakiwały, ale w piachu nie grzęzły. (Dziś cała droga z Urzędowa do Dzierzkowic jest wyasfaltowana).

W pierwszym rzędzie wycofywały się obozy składające się z furmanek galicyjskich. Nad każdym wozem była rozpięta plandeka, rozpostarta na pałkach, zabezpieczająca od deszczu. Furman siedział w tej budzie, kurzył fajkę porcelanową na długim cybuchu i popędzał konie w krakowskiej uprzęży. Za obozem, a przed piechotą, wycofywała się austriacka kawaleria. Ułani byli ubrani w granatowe mundury i czerwone spodnie, bez pik (nie tak, jak kawaleria rosyjska). Przez pola szli pieszo, prowadząc zmęczone konie za trzęzle. Szable mieli przytroczone do siodeł na koniach. Wprowadzili konie

koło stodoły na ulicę. Chcieli wejść do środka zabudowań gospodarskich. Furtkę zamknąłem, a sam schowałem się na strychu obory w sianie. Pochodzili koło furtki, wyważyli wrota, ale furazę nie brali. Wrótnie ułożyli na płozie i dwóch słupkach, co miało imitować stół. Na tym „stole” poustawiali kubki, napełnili je winem. Zajadali kielbasę z chlebem i popijali winem. Konie były uwiązane na trzęzlach na hakach powbijanych w ścianę wozowni. Posilili się, pogwarzyli, siedli na konie i pojechali uliczką w stronę lasu, a potem udali się w stronę Dzierzkowic, w kierunku Wisły.

## Powrót Moskali

Teraz wojska rosyjskie przeszły do ofensywy. W dalszym ciągu dniami i nocami maszerują pułki rosyjskie na zachód. Jadą armaty, jaszczce, podwoły z amunicją, prowiantem i furazem dla koni oraz dymią kuchnie polowe, gotujące pożywienie dla żołnierzy. W powietrzu unosi się huk armat, a nocą widać liczne łuny pożarów. Jedne zabudowania zapalają się od wybuchu naboju armatnich, a inne są celowo palone, aby to nie dostało się przeciwnikowi. Każda ustępująca strona zostawia za sobą zgliszcza, a kto na tym cierpi? My, Polacy. Nasz dorobek, nasze mienie idzie z dymem w powietrze, a pozostają miejscowi ludzie bez środków do życia, bez dachu nad głową.

## Podwoły

Najprzykrzejszą sprawą dla właścicieli koni jest dostarczanie podwól dla przewożenia amunicji, furazę, produktów żywnościowych. Wyjazd taki jest bezużyteczną stratą czasu, niebezpieczną i niewdzięczną. Dlatego każdy z chłopów starał się od tego wymigać, wykręcić wszelkimi możliwymi sposobami.

14 maja 1915 roku. Deszcz leje jak z cebra. Na zachodzie, nad Wisłą, na całej linii huk armat, a niebo oświetlone łunami pożarów. W taką to majową noc sołtys wyznacza ojca na podwołę. Ojciec tłumaczy się, że niedawno wrócił, że wóz zepsuty. Ani sołtys, ani żołnierz nie wierzą. Z latarnią idą do wozowni i co widzą, a to, że wóz stoi na trzech kołach. Żołnierz pyta gdzie czwarte. Ojciec odpowiada, że w poprzednim czasie na podwodzie koło się złamało, że musiał wrócić na wozie o trzech kołach. (To ja zdjąłem koło i schowałem je w zapołu pod słomą). Idą dalej. Banaszek ma dać jednego konia, a stryj drugiego, i na podwołę pojedzie swoim wozem Banaszek, a ten nie w ciemę bity chłop w progu łapie żołnierza za rękę, prowadzi do mieszkania, daje butelkę wódki żołnierzowi i sprawa załatwiona, bo Banaszka zaraz „brzuch rozboleł”. Stryj ze swym synem ulotnili się. Żołnierz krzyczy na żonę stryja: „Iszczi chaziaina, a to ciebia zariezu” („Szukaj gospodarza, a to ciebie zarżnę”) i dobył z pochwy szablę. Stryjenka uderzyła w mocny, głośny

plącz. To wszystko słyszał jej syn Andrzej na strychu. Wszedł do izby, ubrał się ciepło (deszcz) i pojechał.

Sołtys, znając nasze warunki rodzinne (głuchota ojca), uprzedził nas, że prawdopodobnie w nocy żołnierze będą szukać podwód. Chcąc uniknąć tych nieprzyjemności ubrałem się ciepło i wyjechałem na całą noc, zabierając oba konie. Zatrzymałem się w dołach i uwiązałem konie w tarninach przy gruszy. Początkowo słuchałem, czy się kto do mnie nie zbliża, a potem ułożyłem się pod tą gruszą i przespąłem do rana. Rzeczywiście szukali podwód. Kiedy się wszystko uspokoiło, siostra przywiozła mi pożywienie. Do domu wróciłem rano następnego dnia.

## Rekwizycje

Drugą plagą dla gospodarstw rolnych były rekwizycje paszy dla koni. Ze względu na duże odległości i brak dróg bitych oraz kolei w Rosji i zaborze rosyjskim, z głębi Rosji nie można było zaopatrywać żołnierzy w prowiant, a koni w owies, siano i koniczynę. Cały ciężar spadł na ziemię polskie. Władze carskie wojskowe uciekały się do terroru, gwałtów i przemocy w stosunku do ludności polskiej celem zdobycia prowiantu. 9 października 1914 roku zarekwirowały ojcu dwie fury koniczyny za 8 rubli, a 18 października kozacy zabrali resztę koniczyny – 65 pudów za symboliczną zapłatę 18 rubli. Nie zostawili nam nic dla naszego inwentarza żywego na całą zimę. 28 października zarekwirowali nam 150 snopów owsa za 30 rubli. 4 października przeprowadzili na Bęczynie mobilizację koni. Ojcu wzięli za bezcen młodą, piękną źrebicę.

Chcąc zabezpieczyć swój inwentarz żywy w paszę, 20 października całą noc z ojcem młóciliśmy owies. Ziarno z plewami zsyпалиśmy do głębokiego dołu wymoszczonego słomą, przysypaliśmy ziemią i na tym ułożyliśmy słomę, którą kozacy po kilku dniach zabrali bezpłatnie. Zakopanego ziarna nie zauważyli, to nam zostało na zimę dla naszego jednego konia. Po całonocnej ciężkiej młócce ojciec rozchorował się i musiał przez kilka dni leżeć w łóżku.

## Sforsowanie Wisły

Po kilkunastodniowej walce wojska rosyjskie sforsowały Wisłę i zmusiły wojska austriacko-węgierskie i niemieckie do cofnięcia się. Na gwałt zaczęli Rosjanie budować przy pomocy ludności cywilnej, pod ogniem artyleryjskim, most na Wiśle. Oprócz żołnierzy od ognia armatniego niemieckiej artylerii zginęło dużo cywilnej polskiej ludności. W dalszym ciągu dniem i nocą spieszą nowe posiłki piechoty i kozaków z głębi Rosji.

W Urzędowie w dwóch szkołach rozlokował się szpital wojskowy. Zwożą rannych żołnierzy z frontu, robią opatrunki i wywożą rannych na podwodach



do stacji w Nałęczowie i w Lublinie. Na Bęczynie rozlokowali się sanitariusze i służba szpitalna. Armaty na kilkanaście dni ucichły. Niemcy i Austriacy część artylerii zdążyli wycofać, a część zostawili na placu boju. Rosjanie wstrzymali strzelaninę, nie chcąc razić ze swoich armat swoich żołnierzy.

Wczesnym wieczorem rozlokowała się na Bęczynie i w naszej ulicy i sadzie kozacka kawaleria. Całe obejście gospodarskie zatłoczone kozakami i ich końmi, że nie można było przejść z domu do stodoły, obory i stajni. Ojciec polecił mi jakoś precyzyjnie się, aby dać pożywienie na noc koniowi i bydłu. Wtem słyszę: „Wnimanije – szpion” („Uwaga – szpieg”). Tym szpiegiem ja miałem być. Zatrzymali mnie i pytają, kto ja jestem i dlaczego kręcę się między kozakami. Wyjaśniłem, że tu mieszkam i idę do stodoły obrządzić na noc inwentarz żywy. Zaintrygowało ich to, że na głowie miałem uczniowską czapkę ze znacznikiem naszej szkoły – polskimi literami „US” (Ursynowskie Seminarium). Uwierzyli mi, ale dali dwóch kozaków do towarzystwa, którzy sprawdzali, czy rzeczywiście będę dawał pożywienie. W ich asyście przyszedłem do domu. Niewiele brakowało, abym dostał kulą w łeb. O świcie wyjechali na front. Za nimi pociągnął obóz szpitalny do Józefowa. 29 października 1914 roku przez Bęczyn przechodziły dwie duże partie Austriaków i Niemców do rosyjskiej niewoli. Jeńcy prosili ludność o chleb i wodę. Konwojenci rosyjscy nie pozwalali zbliżać się do nich z chlebem i wodą. Wśród jeńców austriackich było dużo Polaków.

---

Wojska rosyjskie parły na zachód i południowy zachód. Zajęli twierdzę Dęblin, stoczyli zwycięską bitwę pod Łodzią, opanowali Modlin i część jezior mazurskich, Warszawę. Głównodowodzącym armią rosyjską był utalentowany Wielki Książę Mikołaj Mikołajewicz, a po stronie niemieckiej generał Moltke. Armie generała Brusilowa i generała Ruzskiego opanowały Galicję Wschodnią, zdobyły również twierdzę Przemyśl i doszły do podnóża Karpat. Ten sukces Rosjanie odnieśli dzięki temu, że Niemcy musieli całe korpusy wojsk skierować na front zachodni, gdzie alianci odnosili wielkie zwycięstwa, między innymi nad rzeką Marną (5 września 1914 roku), musieli także pomagać Austriakom.

Książę Mikołaj Mikołajewicz upoważnił generała Goszczyńskiego do formowania Legionu Polskiego w Puławach. Początkowo zgłosiło się wielu ochotników, gdyż książę Mikołaj obiecał Polakom po wojnie dać możliwość utworzenia szerokiego samorządu. Legioniści ci nosili na płaszczach fioletowe naramienniki z literami polskimi „L.P.”. Po kilku tygodniach kazano im zdjąć te naramienniki, gdyż jak twierdził głównodowodzący, te oznaki są przyczyną nieporozumień między Polakami a Rosjanami. Po tym zarządzeniu legioniści wycofali się ze swoich oddziałów i rozeszli do domów. Rekrutacja zakończyła się fiaskiem.

## Wyprawa do Józefowa

5 listopada 1914 roku ja, Walek Żyszkiewicz i Stach Cieślik po śniadaniu wybraliśmy się pieszo do Józefowa (21 wiorst) zobaczyć to miasto po opuszczeniu go przez Austriaków. Zobaczyliśmy całe miasteczko w gruzach. Tylko sterczące okopcone pojedyncze kominy świadczyły, że tu mieszkali ludzie. Na środku rynku był obóz składający się z furmanek podwodowych, przy których paliły się ogniska, a przy nich grzali się furmani. Konie zaprzężone do wozów stały i obojętnie chrupały obrok, aby nasycić się i nabrać siły przed dalszą, a nieznaną podróżą.

Ciekawiło nas jeszcze i to, jak wygląda Wisła i nowo zbudowany most na tej rzece. Więc most ten prowizoryczny zbudowany był przez saperów i okoliczną ludność na pontonach. Przeszliśmy na drugi brzeg, ale tam prócz pustego pola nic nie było do oglądania. Wróciliśmy zaraz i pospieszyli do domu, bo wieczór się już zbliżał. Do domu wróciliśmy o godzinie 7 wieczorem spoceni, zmęczeni i głodni bez obiadu. Ale zaspokoiliśmy swoją ciekawość.

## Budowa kolei

Front oddalił się daleko na zachód i południe. Życie zaczęło powoli wracać do normy. Rosjanie zrozumieli, że przy dawnych środkach lokomocji trudno będzie dalej skutecznie prowadzić wojnę, przywozić końmi furami prowianty, środki opatrunkowe, amunicję z odległych stacji kolejowych w Nałęczowie, Lublinie i innych. W drugiej połowie października zaczęto budować linię kolejową Lublin-Kraśnik-Rozwadow. Na gwałt zaczęto gromadzić materiały do budowy, sypać nasypy, równać teren, budować mosty przez rzeki.

Do prac ziemnych angażowano robotników częściowo płatnych, a częściowo w drodze „szarwarków” z przymusu, furmanki do wywożenia ziemi z wysokich terenów, a zasypywania niskich. Razem z innymi mieszkańcami w drodze szarwarku musiałem brać udział w tej budowie. Zborny punkt dla robotników, składy szyn kolejowych, podkładów i narzędzi był dla nas w Pułankowicach za Popkowicami. Tam też miał prowizoryczne mieszkanie i biuro drogomistrz, który kierował robotą na tym odcinku. Dużą przeszkodą w pracy było to, że już 20 listopada chwyciły mrozy i spadł obfity śnieg, ale po dwóch tygodniach ociepliło się do tego stopnia, że chłopcy orali pola, których zaorać nie mogli w jesieni z powodu działań wojennych na tym terenie.

## Mój pierwszy „oblany” egzamin

15 października 1914 roku otrzymałem od Kwiecińskiego list, z którego dowiedziałem się o wycięciu tego pięknego, pielęgnowanego przez nas, uczniów,

parku. Żołnierze rosyjscy wyrąbali stuletnie lipy w alejach, po których spacerowali Niemcewicz, Zygmunt Krasiński i syn jego Adam, ofiarodawca majątku, parku, dużego sadu i ogrodu warzywnego. Grozili zburzeniem pałacu, który z parkiem przeszkadzał działaniom artylerii przy obronie Warszawy.

Moje życie zaczyna się coraz gorzej komplikować. 22 listopada został przeprowadzony kontrolny spis do poboru rekrutów do wojska rosyjskiego. Straciłem wiarę, że będę mógł się dalej uczyć i skończyć Seminarium. Kwieciński radził mi, abym poczynił starania do przystąpienia do egzaminu państwowego w rosyjskim gimnazjum jako eksternista. W tym celu 9 grudnia udałem się do Lublina, gdzie mnie poinformowano, że takich egzaminów nie przewiduje się.

Wracałem do domu już po nowym torze, pociągiem roboczym, gdyż pociągi pasażerskie jeszcze nie kursowały. Skontaktowałem się z żołnierzem, który po otrzymaniu 20 kopiejek pozwolił mi jechać w wagonie wypełnionym deskami. Przechodzący oficer kazał mi wysiąść, co z wielkim niezadowoleniem musiałem zrobić. Po odejściu oficera w biegu wskoczyłem do tego samego wagonu i po kilku godzinach takiej niewygodnej jazdy dojechałem do Kraśnika.

Następnego dnia otrzymałem od dyrektora zaświadczenie o ukończeniu trzech kursów i promocji na kurs IV. Wysłałem to zaświadczenie i podanie z prośbą o odroczenie mi służby wojskowej do dnia 1 października 1915 roku. Niestety na to podanie nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Skontaktowałem się z Kwiecińskim, pytając go, co on dalej zamierza robić. Doniósł mi, że zamierza składać jako eksternista egzamin w Państwowym Seminarium w Białej Podlaskiej, by tam uzyskać świadectwo nauczycielskie, uprawniające do nauki dzieci w szkołach publicznych. Wniosłem podanie do dyrekcji tegoż seminarium z prośbą o dopuszczenie mnie do egzaminu, załączając pokwitowanie o wpłaceniu 3 rubli na egzamin.

16 stycznia 1915 roku z Koniecznym, po bardzo śliskiej drodze, udałem się do najbliższej stacji nowej kolei – Wilkołaza. Wsiedliśmy do roboczego wagonu, którym wywozili nawóz. Pociąg ten przystawał często w dowolnym miejscu, szedł po nowym torze bardzo wolno, o czym może świadczyć fakt, że podróż z Wilkołaza do Lublina trwała 12 godzin. W Lublinie czekałem na pociąg aż 18 godzin. Linia kolejowa i wagony były zarezerwowane dla wojska. Wreszcie za opłatą 1 rubla w pociągu towarowym dowlokłem się do Łukowa. Wkrótce przybył pociąg pospieszny, którym wygodnie dojechałem do Białej Podlaskiej.

W Białej spotkaliśmy się z Kwiecińskim. Nasze bagaże zostawiliśmy u stróża, a sami poszliśmy szukać na kilka dni mieszkania. Znaleźliśmy pokój całkiem pusty, bez żadnego umeblowania. Idąc z pakunkami, wstąpiliśmy jeszcze do jednego domu (ulica Krzywa). Tu gospodyni domu, Cybulska, po krótkim namyśle zgodziła się nam odstąpić ładny, wygodny, umeblowany pokój. Zakręciła się koło kuchni, a jej córka Rozalia (ładna panienka) nakryła stół i podała nam herbatę na śniadanie.

Na drugi dzień, 20 stycznia 1915 roku, rozpoczął się egzamin, na który zgłosiło się czterech uczniów. Nauczyciel Piotr Michajłowicz podyktował nam dyktando (trudne), w którym, jak później rozmyślałem, zrobiłem trzy błędy. Ale po poprawieniu pracy było ich prawdopodobnie więcej. Następnie nauczyciel przeczytał czytanekę „Arabskaja łoszađ” („Koń arabski”) i kazał nam ją streścić. Po krótkiej przerwie pisaliśmy pracę z matematyki. Ten egzamin wypadł mi lepiej. Prędko i dobrze go rozwiązałem.

Na drugi dzień rano zostałem wezwany do kancelarii, gdzie dyrektor mi oznajmił, że dalej zdawać egzaminu już nie będę. Zwrócił mi metrykę w pełnym wypisie z notatką „Egzamienu nie wydzierżał” („Egzaminu nie zdał”). Z językiem rosyjskim od samego początku w Seminarium miałem trudności. Moja nieznamość zawilej ortografii zdecydowała o moim dalszym życiu.

Kwieciński z dwoma kolegami nadal zdawali. Kwieciński pozostał sam. Jak mi później po czterech latach mówił, też go dobrze magłowali, ale świadectwo z wynikiem pozytywnym otrzymał.

Pierwszy i ostatni raz w życiu „oblałem” egzamin. Nie sążone mi było otrzymanie rosyjskiego świadectwa. Ten negatywny egzamin bardzo mnie zdenerwował. Oстрыm krokiem wyszedłem na ulicę. Z zaciśniętymi pięściami kroczyłem ulicą aż do samego jej końca, a po tym dalej i dalej pędziłem przez pole aż do zmęczenia. Wyładowałem swą złość i już spokojniej wróciłem na stację. Zmęczony tym forsownym marszem, a jednocześnie trochę uspokojony, pożegnałem się z Kwiecińskim, Cybulską i jej dorodną córką. O godzinie 11 w nocy wyruszyłem w kierunku stacji kolejowej. Nie czekając na pociąg pasażerski, wsiałem do pociągu, którym jechało wojsko. Wsiadając do wagonu, zaczepiłem o żelazny pal przy torze i rozerwałem palto na całej długości od piersi do kolan. Żołnierz pożyczył mi igłę z nicią. Prowizorycznie zszyłem palto, dojechałem do Siedlec. Tu kupiłem za 1 rubla 24 kopiejki bilet i już bez przeszkód dojechałem do Warszawy.

## Kurs IV, rok 1915

Spotkałem kilku kolegów z naszego kursu, którzy poinformowali mnie, że obecnie Seminarium mieści się w wynajętym domu przy ulicy Szopena numer 16. Seminarium w Ursynowie zostało splądrowane. Łóżka zostały wywiezione na urządzenie szpitala, nasze rzeczy zostawione przed wakacjami rozgrabione. W korytarzu spotkałem sekretarza Kaweckiego, który powitał mnie z rozwartymi ramionami, ucieszył się z mego przyjazdu i oznajmił mi, że żadnego egzaminu składał nie będę, a w nawale pracy nie miał czasu o tym mnie poinformować.

Natychmiast pojechałem do Ursynowa z myślą odszukania moich rzeczy. Towarzyszył mi Maćczak. W pokoju, gdzie składaliśmy rzeczy, drzwi były



Zdewastowany pałac w Ursynowie, na pierwszym planie wycięte drzewa w parku, 1917 rok. Zasoby Archiwum Państwowego w Warszawie, <https://www.szukajwarchiwach.gov.pl/jednostka/-/jednostka/12486364>

wyłamane, a na podłodze leżały resztki rzeczy porozrzucane w nieładzie i podeptane. Udało mi się odnaleźć koc, jakąś poduszkę i prześcieradło mocno poplamione oraz jedną parę bielizny. Reszta rzeczy gdzieś przepadła. Najbardziej żałowałem moich łyżew, przed wakacjami okazjnie kupionych od kolegi, któremu zabrakło pieniędzy na przedwakacyjną podróż do domu. łyżew tych nie wykorzystałem ani razu. Po powrocie mój skąpy „majątek” zdeponowałem u woźnego Seminarium.

Wieczór się zbliżał, a ja nie mam kąta, gdzie mógłbym spokojnie przespać się po takiej nieudanej podróży. Na moją usilną prośbę woźny zgodził się na to, że prześpię się w kancelarii, oczywiście na podłodze. Raniutko woźny Ogrodnik zbudził mnie, przynaglając, abym zabrał swoje manatki i przed przybyciem profesorów na wykłady opuścił kancelarię, bo on nie chce mieć nieprzyjemności za udzielenie mi pomocy. Na drugą noc pan Gnoiński skierował mnie na ulicę Chmielną 43/11 do mieszkania pani Welke, która odnajęła dwa pokoje do dyspozycji dyrektora, a ten przyjmuje uczniów na stancję. My, 12 uczniów, wnosiliśmy opłatę za stancję dyrektorowi, a ten rozliczał się z panią Welke.

W rozmowie z kolegami dowiedziałem się, że nauka w Seminarium rozpoczęła się 20 stycznia 1915 roku. Grono profesorów rozpoczęło pracę

w tym samym składzie, z wyjątkiem księdza i nauczyciela gimnastyki. Naukę religii objął ksiądz Kurzyna, a na gimnastykę, którą prowadził nauczyciel Sadkowski, chodziliśmy do zakładu Fesznera. Liczba uczniów na IV kursie zmalała do 15. Po kilku dniach od mego przybycia do Seminarium zgłosił się jeszcze Kwieciński, który, prócz z wielkim trudem zdobytego świadectwa w Białej, chciał koniecznie mieć świadectwo ursynowskiego Seminarium. Lekcje w nowym lokum na razie odbywały się bez zakłóceń.

2 lutego 1915 roku otrzymałem list z domu z wiadomością, że przyspieszony pobór rekrutów już się zaczął. Dzień później na lekcję matematyki wszedł dyrektor z dwoma żandarmami, którzy kazali sobie podać dziennik lekcyjny i wynotowali z niego nazwiska i miejsce zamieszkania rodziców poborowych urodzonych w 1894 roku. Zwracając się do dyrektora, podkreślili, że ci uczniowie nie mogą już się uczyć, gdyż pod rygorem dużej kary muszą opuścić szkołę i udać się do swoich powiatów na komisję wojskową. Te słowa przyjęliśmy bez sprzeciwu, ale z wielkim niezadowoleniem. Po dzwonku po lekcji zebrała się nas gromadka składająca się z sześciu uczniów. Dyskutowaliśmy nad tym, jaką obrać taktykę w dalszym naszym życiu. Pożegnałem kolegów. Trochę książek sprzedałem, a resztę wyłudzili młodszy koledzy, mówiąc, że nam książki i inne pomoce naukowe nie będą już potrzebne. Spakowałem pościel i prosiłem Sęczawę, aby te rzeczy przesłał do Urzędowa. Jeszcze się łudziłem, że otrzymam odroczenie.



## W rosyjskim mundurze\*

### Przyspieszony pobór rekrutów urodzonych w 1894 roku

Po kontroli żandarmów i zlikwidowaniu swoich osobistych spraw 4 lutego 1915 roku z Tomkiem Kalbarczykiem wyruszyliśmy w podróż do domu. Wykupiłem bilet za 1 rubla 70 kopiejek do Dębłina (Iwangorodu) i dojechałem na „gapę” do Nałęczowa, a nie znalazłszy nikogo ze znajomych, po przenocowaniu na stacji za 30 kopiejek znów na breku dotarłem wreszcie do Lublina. Na ulicy Świętego Ducha w zajęzdzie spotkałem kilku znajomych z Urzędowa, między innymi Staroka z Bęczyna, który przyjechał po towary do miejscowych sklepów. Przyrzekł mi, że po załadowaniu na wóz mąki podjedzie do zajazdu i zabierze mnie do Urzędowa. Minęło parę godzin, a on nie podjechał, więc postanowiłem pieszo udać się w drogę. Po drodze mijal mnie wóz, którym jechał chłop do Strzeszkowic. Skorzystałem z okazji i za 50 kopiejek (½ rubla) dojechałem do tej wsi. O nocleg było bardzo trudno, gdyż było dużo ludzi, przybyłych do budowy kolei. Wreszcie trafiłem do domu byłego ławnika, który znał urzędowiaków. Przyjął mnie na nocleg. W godzinach popołudniowych dotarłem wreszcie do domu. Sołtys poradził mi, abym o odroczeniu pomówił z Fiutem, sekretarzem gminnym. Ten mi powiedział, że z odroczeniem będzie kłopot. Żołnierzy potrzebują na front.

Stając przed komisją. Na wstępie wspomniałem o przesłanym poprzednio podaniu o odroczenie mi służby. Przewodniczący komisji uśmiechnął się ironicznie i nic nie odpowiedział. Zmierzyli mój wzrost, wagę. Lekarz pobieżnie mnie zbadał i, odwróciwszy głowę do sekretarza, rzekł monotonicznie jeden wyraz: „Godien” („Zdolny”). Usłyszawszy ten wyraz, zapytałem: „A co z moim odroczeniem?”. Ten ręce bezradnie rozłożył. Badają drugiego delikwenta. 19 lutego mam się stawić do Lublina. Na furze z beczkami dostałem się do Szastarki, a stąd pieszo do domu. Po kilkunastu dniach z Piotrem Gozdalskim znów jadę do Lublina pociągiem z Pułankowic. Jedziemy bez biletów. Konduktor chciał nas wyprosić z wagonu, ale tego nie uczynił, gdy dowiedział się od nas, że jedziemy do wojska.

9 marca zakwaterowano nas w spalonym klasztorze księży Salezjanów na Kalinowszczyźnie. Przenocowaliśmy jedną noc na słomie, a drugiego dnia wieczorem uciekliśmy przez mur (w bramie stał wartownik) przez łąki, pola do Kraśnika, a stąd do Urzędowa. Dowiedzieliśmy się w domu, że żandarmi

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.

nas poszukują. Na drugi dzień udajemy się z Piotrusiem pieszo do Kraśnika, a stąd koleją do Lublina. Zgłosiliśmy swoje przybycie.

Po kilku godzinach starszy podoficer (plutonowy) zaprowadził nas parami do katedry na przysięgę. Po obiedzie 12 marca załadowali nas do wagonów „cielęcych” na bocznym torze. To wsiadanie do wagonów trwało powyżej godziny. Plutonowy przydzielał partie do każdego wagonu, lecz rekruci przesiadali się, aby jechać ze znajomymi.

## **Jadę do wojska**

Pociąg z rekrutami z Lublina ruszył w drogę około południa. Jechaliśmy towarowymi wagonami – „cielęcymi”. Wagon miał dwoje rozsuwanych drzwi i cztery małe okna bez szyb, niektóre okna były zakratowane. W razie mrozu wagon był opalany węglem w żelaznym piecyku („tępluszka”). Przy piecu stało wiadro z węglem, a drugie z wodą do picia. Na jednej z dłuższych ścian wisiała mała lampka naftowa, która trochę oświetlała wagon. Pociąg ten składał się z kilkunastu wagonów. Od parowozu do ostatniego wagonu z hamulcem i hamulcowym przeciągnięta była wzdłuż wszystkich wagonów cienka linka służąca do porozumiewania się maszynisty z hamulcowym na breku. Maszynista przez pociągnięcie za linkę dawał hamulcowemu sygnały, kiedy trzeba było pociąg zatrzymać i kiedy hamulec zwolnić.

Ruszyliśmy w minorowym nastroju, później już zaczęły się rozmowy, obserwacja krajobrazów, ale śpiew nam nie wychodził – brak było ześpiewania, repertuaru. Gawędy, żarty, dowcipy towarzyszyły nam przez całą podróż. Stary parowóz, pamiętający jeszcze czasy Aleksandra III, prychając, ciężko dysząc i skrzypiąc, ledwo dawał sobie radę z wagonami. Pociąg przystawał na każdej stacji, niekiedy stał dłuższy czas, aby przepuścić pociągi osobowe lub transport wojskowy z żołnierzami udającymi się na front. Czasem nasz pociąg zatrzymywał się obok pociągu wojskowego. My obserwowaliśmy żołnierzy, a oni nas. Wymienialiśmy zdania, często niecenzurowane. Żołnierze rosyjscy delegowali swojego siłacza, który wyzywał przeciwnika z naszego pociągu do walki – zapasy. Wyniki tych zmagania były różne. Najczęściej nasz przedstawiciel przyciskał kolanem do ziemi powalonego przeciwnika, co bardzo nas cieszyło.

Między nami była garstka rekrutów Żydów. Nie najlepiej czuli się oni we wspólnej niedoli. Po drodze zaczęli stopniowo dezertować. Jeden Żydek został w Świdniku, dwóch w Trawninkach, czego nasz komendant nie zauważył. W miarę oddalania się od Lublina liczba dezertów zaczęła się powiększać. W Chełmie już na stacji, mieszając się z pasażerami czekającymi na pociąg do Lublina, zostało pięciu. Nie wiem, czy sam plutonowy to zauważył, czy może ktoś mu podszeptał, dość że w Kowlu przewodnik przy pomocy dwóch żołnierzy zebrał ze wszystkich wagonów Żydków i zakwate-

rował ich w wagonie za kratami, zamykając jedno i drugie drzwi na kłódkę. Dezercja się skończyła. Biedni aresztanci mogli tylko wyglądać oknem, a i to było niebezpieczne. Kiedy zza krat wychyliło się kilka głów, jeden z naszych żartownisiów pociągnął za linkę zwieszającą się pod ich głowami tak mocno, że dwie czapki spadły koło toru na ziemię.

Pierwszą noc, ułożywszy się pokotem głowami do ściany, przespaliśmy na brudnej podłodze bez żadnego przykrycia, w ubraniu. Pośrodku stał piecyk żelazny, w którym całą noc tlił się węgiel z koksem, ale ciepła z tego palenia było bardzo mało. Na ścianie paliła się i oświetlała wnętrze wagonu naftowa mała latarnia z mocno okopconym szkłem. Rano trzeba było pomyśleć o śniadaniu. W czasie podróży między Lublinem a Kowlem przewodnik nasz wypłacił nam na całą drogę po 45 kopiejek na życie. Z gorącą wodą na herbatę nie było kłopotu, gdyż na większych stacjach całą dobę był „kipiatok” (gorąca gotowana woda) w dużym kotle. Gorzej było z cukrem i chlebem do tej „herbaty”. Trochę mieliśmy własnego pożywienia, zakupionego w Lublinie, ale to nie wystarczało. Musieliśmy dokupywać na stacjach, tylko nie zawsze można było coś dostać. Przejechaliśmy Kijów, Kursk, Woroneż, Tambow i przez Wołgę Saratow, a dalej Uralsk, no i w końcu Orenburg.

---

### **A na frontach?**

Na początku wojny:

- 1) na zachodzie armie niemieckie walczyły z wojskami francuskimi, angielskimi i belgijskimi,
- 2) na wschodzie Niemcy i Austro-Węgry walczyły z Rosją,
- 3) na Bałkanach Austriacy walczyli z Serbami.

Plan Schlieffena z 1905 roku przewidywał wojnę Niemiec z Rosją i Francją. Zamierzał najpierw rozbić Francję, korzystając z tego, że przewiezienie i skoncentrowanie armii, ze względu na duże przestrzenie Rosji i powolność mobilizacji, potrwa dużo czasu, a później rozgromić armie rosyjskie. Brał również pod uwagę i to, że Rosja po wojnie rosyjsko-japońskiej dla Niemiec nie będzie groźna. Armia niemiecka miała przejść przez Belgię i wdrzeć się od północy przez nieufortyfikowaną granicę francusko-belgijską oraz okrążyć Paryż, odrzucić francuską armię ku granicy francusko-niemieckiej i tu ją zniszczyć. Rząd francuski przeniósł się do Bordeaux.

Tymczasem Rosjanie wtargnęli do Prus Wschodnich. Moltke przerzucił z frontu zachodniego 2½ korpusu na front wschodni. Dowództwo francuskie postanowiło przejść do ofensywy. 5 września 1914 roku rozpoczęła się bitwa nad rzeką Marną. Nad Marną załamał się niemiecki plan błyskawicznego rozgromienia sojuszników. Nad rzeką Aisne ustabilizował się front w okopach. Niemcy przerzucili część sił do Prus Wschodnich, gdzie głównodowodzącym został generał Hindenburg, z szefem sztabu generałem Ludendorffem. W końcu sierpnia wojska niemieckie rozbiły II armię generała Samsonowa. Armia rosyjska poniosła ciężkie ofiary. W tym czasie armie

Brusiłowa i Ruzskiego opanowały Galicję Wschodnią i Bukowinę, obległy fortecę Przemyśl i doszły do podgórze Karpat. Niemcy przyszy z pomocą Austrii. W październiku 1914 roku stoczono zaciętą bitwę o Galicję i Polskę. Niemcy w listopadzie ponieśli klęskę pod Warszawą i Łodzią. Rosjanie utrzymali Galicję Wschodnią, Polskę i Bukowinę. Zagrażali Węgrom i Śląskowi.

Niemcy musieli przerzucić wojska z frontu zachodniego na wschodni, udzielając pomocy Austrii, która musiała wycofać część wojsk z Serbii, przez co osłabiła tamtejszą armię. Serbowie zadali Austrii duże klęski. Niemcy byli zablokowani przez flotę angielską. Francja i Anglia cierpiały wielki niedostatek w uzbrojeniu. Rosja wyczerpała swe szczupłe zapasy bojowego wyposażenia. Już w 1914 roku zmobilizowani żołnierze szli na front bez broni, oczekując na karabiny po poległych. Od wiosny 1915 roku front rosyjski stał się teatrem działań wojennych. Po zdobyciu Przemyśla w ręce Rosji dostało się 120 000 jeńców, 900 armat. Niemieckie dowództwo postanowiło poświęcić kampanię 1915 roku na rozgromienie Rosji. Skoncentrowali wielkie siły (16 dywizji piechoty, 2 dywizje kawalerii i 1410 armat, w tym 600 ciężkich haubic).

---

## W Orenburgu

Po przebyciu 2100 kilometrów w prostej linii w 10 dni przez pola, lasy, łąki, rzeki i jeziora w nocy z 22 na 23 marca 1915 roku wysiedliśmy głodni, zmęczeni podróżą, czarni od dymu z węglowego żelaznego piecyka, nie myci przez 10 dni, na docelowej stacji w mieście gubernialnym nad rzeką Ural - w Orenburgu.

Konwojent ustawił nas w dwuszeregu i ruszyliśmy z tobołkami, walizkami, kuferkami w drogę na nocleg do koszar Aleksandrowskich. Maszerowaliśmy środkiem ulicy zawalonej grubą warstwą niesprzątanego śniegu, zapadając się w głębokich dołach od kopyt końskich po wczorajszej lekkiej odwilży. W koszarach tych nie przyjęto nas z powodu braku miejsca. Przewodnikowi podano adres innych koszar w zarekwirowanych domach. Tu powtórzyła się ta sama historia. Wróciliśmy ponownie do poprzednich Aleksandrowskich koszar. Konwojent pokłócił się z sierżantem („feldfebel”) i kategorycznie powiedział, że w poszukiwaniu lokum po nocy krokiem się nie ruszy.

Poukładaliśmy swoje bagaże pod ścianą i usiedliśmy na nich. Sen nas zmorzył. Jedni drzemali na tobołkach, inni zaś pokładli się w przejściach i tak na podłodze zasnęli.

## Pierwsze dni służby

Głodnych, zmęczonych, niewyspanych i brudnych rekrutów konwojent ustawił nas parami przed koszarami Aleksandrowskimi, gdzie stacjonował

przed wojną 191. Pułk Łargokagulski, stąd wyruszyliśmy ulicami pod sztab 104. rezerwowego batalionu. Tu podzielono nas na 16 grup, bo batalion ten liczył 16 kompanii. Ja zostałem przydzielony do 1. plutonu 1. drużyny 7. kompanii.

Dowódcą batalionu był pułkownik Iwanow, dowódcą 7. kompanii był porucznik Leonow. Leonow był starym kawalerem po czterdziestce. Mieszkał z dwiema swoimi siostrami w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią przy 7. kompanii. W krótkim czasie zachorował na chorobę weneryczną. Choroba ta trwała przez półtora roku. Kompanią dowodzili różni „praporszczycy” (chorąży), a między nimi był Polak Jan Barański. Dowódcą plutonu („wzwód”) był plutonowy („starszij unteroficer”) Nosaczow, a drużyny drużynowy („mładszij unteroficer”) Zatonskij. Szefem kompanii był sierżant („feldfelbel”) Kartaszow, doboszem („barabanszczik”) Tatar Achmedow, a sygnalistą („gornist”) Bakajew, pisarzem kompanii Żydek starszy nauczyciel Głuchow. Koszary mieściły się w zarekwirowanym domu, gdzie przed wojną było prawosławne seminarium duchowne. Koszary były wolne, gdyż przed kilkoma dniami żołnierze wyjechali na zachodni front.

Po śniadaniu (herbata z kawalkiem czarnego żytniego razowca) przystąpiono w koszarach do wstępnych ćwiczeń i nauki rekrutów w naszych cywilnych ubraniach i obuwiu. Plutonowy zapoznał nas, że na komendę: „Szagom marsz” („Krokiem marsz”) maszerowanie należy zaczynać od lewej nogi, machać rękami „ot pojasa do otpaza” („od pasa do tylnego oporu”). Pierwsze kroki i postawa moich kolegów były godne politowania. Kazali maszerować po izbie pojedynczo, korygując kroki i postawę żołnierza. Przyszła kolej na mnie. Zgodnie z instrukcją przemaszerowałem przez izbę. Zaraz na wstępie uznali, że to ćwiczenie wykonałem bez zarzutu. Przecież w szkole na gimnastyce to wszystko przerabiałem z tą różnicą, że na polską komendę. Plutonowy, zacierając ręce, powiedział: „Bojewoj” („Zuch”), ale bynajmniej nie zwolnił mnie od dalszych ćwiczeń. Do moich współtowarzyszy powiedział, że właśnie tak trzeba maszerować i w takiej postawie.

Po krótkim odpoczynku zaczął się „wykład”, który polegał na tym, aby poznać nas ze swoimi zwierzchnikami. Na pytanie: kto jest twoim drużynowym, plutonowym, szefem kompanii i jej dowódcą? W odpowiedziach plątałyśmy się i nie rozróżniali unteroficera od oficera. Plutonowy: starszy unteroficer Nosaczow, dowódca: „jewo błagorodie” („jego szlachetność”) praporszczyk Leonow. Często mniej uważny rekrut nazywał jego szlachetnością podoficera, co wywoływało ogólny śmiech i wesołość starszych żołnierzy. I znów maszerowanie, i znów kto jest twoim dowódcą (od kaprała do dowódcy kompanii) aż do znudzenia. Czy to takie ważne, czy nie szkoda straconego czasu? Wreszcie obiad.

Z kuchni, która mieściła się na parterze z wejściem od podwórza, jeden z rekrutów od kuchcika Markowa (brodatego, ryżego, z kozią bródką żołnierza) otrzymał w miedzianym naczyniu („bak”) porcję jakiejś zupy dla sześciu rekrutów. Z tego baku jedliśmy pożywienie drewnianymi, okrągłymi łyżkami

na krótkim uchwycie. Na drugie danie była kasza okraszona słoniną, którą spożywaliśmy tymi samymi łyżkami. Po dwugodzinnym odpoczynku były te same ćwiczenia marszu i nazywania „Kto twój komandir” aż do znużenia do samego wieczora. Po kolacji, składającej się z czaju z kawałkiem suchego razowca, rozglądaliśmy się gdzie będziemy spali po tej podróży i takich „ciekawych” ćwiczeniach.

Po komendzie: „Na molitwu” („Na modlitwę”) stanęliśmy w szeregu. Sprawdzili listę obecnych, podzielili na grupy wyznaniowe. W jednym rogu sali zgrupowali się mahometanie, w drugim żydzi, a pośrodku chrześcijanie. Katolicy i prawosławni stanowili jedną grupę. W odmawianiu „Otcze nasz” nie mogliśmy wziąć czynnego udziału, gdyż nie znaleźliśmy ani melodii, ani słów. Modlili się sami prawosławni, a my byliśmy tylko widzami i słuchaczami. Toż samo było przy śpiewie hymnu narodowego. Nasi zwierzchnicy pytali się nas, dlaczego nie śpiewaliśmy „Otcze nasz” i „Boże cara chranj”, na co im odpowiedziałem, że nie znamy słów i melodii, co niezmiernie dziwiło ich, jak można żyć bez znajomości tak ważnych śpiewów. Koniec dziennych zajęć, a teraz: „Położis’ spat’” („Kładźcie się spać”). Ale gdzie? Wzdłuż całej długiej sali były dwa pomosty (parter i piętro) z sosnowych nieheblowanych desek. Ułożyliśmy się na tych gołych deskach-marach na „parterze” pokotem, zwróceni do siebie głowami, a nogami do przejść po jednej i po drugiej stronie. Położyliśmy się spać w ubraniach, w których chodziliśmy za dnia, bez żadnego nakrycia i poduszki pod głowę. Tak to „Matuszka Rossija” dbała o swoich przyszłych obrońców. Biedna „Rossija” nie mogła zdobyć się nawet na słomę do spania dla żołnierzy.

Następnego dnia przybyła nowa, znacznie większa, grupa „nowobrańców” (rekrutów), przeważnie Tatarów, Baszkirów i Kirgizów. Wyplacono nam po 50 kopiejek miesięcznego żołdu i po 2 ruble 88 kopiejek za bieliznę. Starszy unteroficer – mundurowy brał po dwóch rekrutów do siebie do magazynu mundurowego i wydawał spodnie, mundury, pasy i czapki. Przy tym był obecny starszy unteroficer – starszy nauczyciel Głuchow i plutonowy Nosaczow. Oni pomagali mundurowemu dobrać odpowiednie części umundurowania. Plutonowy szczególnie zainteresował się dobieraniem munduru dla mnie. Znalazł dobry mundur czarny, nieco dłuższy, z tyłu rozcięty, z granatowymi naramiennikami, z wymalowanymi białymi literami i cyframi „191”. Dostałem biały pas i czarną czapkę okrągłą z białym otokiem, bez daszka i z trójkolorowym znaczkiem biało-czerwono-niebieskim. Włożyłem to wszystko na siebie. Swoje ubranie, palto, buty zwinąłem w jeden pakunek, załączyłem kartkę z moim nazwiskiem i imieniem i zostawiłem w magazynie na przechowanie. Teraz już jestem żołdatem rosyjskiej armii.

Następnego dnia o godzinie 4 rano obudził mnie kuchcik Markow i razem z kilkoma innymi towarzyszami zaprowadził nas do kuchni obierać kartofle na obiad. O godzinie 5 pobudka, mycie podłóg, umywalni, czyszczenie guzików, śniadanie i ćwiczenia itd.



## **W szkole podoficerskiej**

Po tygodniowym pobycie w 7. kompanii wytypowali mnie do szkoły podoficerskiej („uczebna komanda”). Sam Głuchow obejrzał mnie ze wszystkich stron, poprawił na mnie mundur, pas, czapkę i doprowadził na miejsce egzaminu. Kazał mi praporszczyk egzaminator przeczytać kawałek tekstu z regulaminu („ustaw”), podyktował trzy zdania, dał do wykonania proste obliczenia, na przykład odejmowanie na liczbach całkowitych ze sprawdzeniem. Taki egzamin mógł złożyć każdy po ukończeniu czterech oddziałów szkoły ludowej. Tylko jednego kandydata oblali.

Zabrałem swoje rzeczy ze składu mundurowego i udałem się do szkoły, która mieściła się w tym samym domu na parterze. Przydzielono mnie do 3. plutonu, którego dowódcą był plutonowy rezerwy Cybaniow, a drużynowym młodszy podoficer Mlikow. Szefem szkoły był sierżant Potapow z rezerwy. Komendantem szkoły był kapitan Bielajew, a nauczycielem praporszczyk Gramatowski. Nasz 3. pluton rozlokował się w domu zarekwirowanym po szkole handlowej przy ulicy Wodianoj. Tu tylko nocowaliśmy, ale już na łóżkach, sienniku pokrytym prześcieradłem i poduszką z siana. Nauczyciel, praporszczyk Gramatowski, mieszkał u swoich rodziców. Ojciec jego był pułkownikiem przy sztabie batalionu (później przemianowanego na 104. pułk rezerwowy) do spraw gospodarczych. Plutonowy Cybaniow mieszkał obok naszej sypialni w oddzielnym pokoiku.

Warunki socjalno-bytowe znacznie się poprawiły, ale sama służba stała się bardziej uciążliwa, rygor był stosowany do granic możliwości uczniów. Po pobudce i umyciu się musieliśmy pastą czyścić guziki u mundurów, buty, a potem biegiem udać się do budynku oddalonego około 400 metrów na śniadanie do wspólnej kuchni. Ćwiczenia marszowe, władanie bronią były prowadzone intensywnie, a rozkazy wykonywane skrupulatnie i szybko. Za najmniejsze uchybienia karali, stawiając w wolnym poobiednim czasie „pod karabinem”. Oficerowie i podoficerowie prześcigali się w gorliwym wykonywaniu swoich obowiązków w obawie przed wysłaniem na front, a to wszystko odbijało się na naszej skórze. Nawet lekarz stawiał wniosek o przykładowe ukaranie, jeżeli nie stwierdził ciężkiej choroby ucznia, na sześć godzin „pod gwintówką”.

18 kwietnia 1915 roku wyruszyli żołnierze z mojej grupy Polaków, z którymi przyjechałem do Orenburga, po 25 dniach nauki na front, a z nimi mój sąsiad z Bęczyna Piotr Gozdalski. Za krnąbrność, arogancję i niedokładne ćwiczenia wydalili ze szkoły Krasieńskiego z Gór i natychmiast wcielili do kompanii udającej się na front. Do batalionu przybyli nowi rekruci z dwóch roczników pospolitego ruszenia, ludzie starsi i mający swoje rodziny, aby po paru tygodniach ćwiczeń podzielić los swych poprzedników.

W Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę nie mieliśmy ćwiczeń z karabinami. Po dwie godziny uczyliśmy się w szkole instrukcji służby garnizonowej i porząd-

kowej. Reszta czasu była poświęcona na generalne porządki w koszarach przed Wielkanocą. W nocy z soboty na niedzielę cała szkoła pod dowództwem oficerów czwórkami udała się na nabożeństwo do cerkwi, gdzie zastaliśmy dużo ludzi. Cywilni mieszkańcy miasta kupowali w kruchcie cerkwi łojowe długie świece, a zapalone cienkie świeczki ustawiali na metalowej podstawie przed obrazem św. Mikołaja cudotwórcy. W cerkwi panował zaduch i smród spalanych świeczek i niedomytych ludzi. Przy ołtarzu archirej w asyście dwóch popów odprawiali modły, którym towarzyszył kilkugłosowy chór (organów na chórze w cerkwi nie ma). Pierwszy raz byłem w cerkwi, z zainteresowaniem obserwowałem cerkiew, popów, ludzi. Treść modlitwy trudno było zrozumieć, gdyż modły duchownych i zebranych były śpiewane w języku starocerkiewnym. Zresztą i oni mało rozumieli. W pewnej chwili rozwarły się „wrota” i wszedł archirej, popi i diakoni, oznajmiając wiernym śpiewem: „Christos woskres” („Chrystus zmartwychwstał”). Zebrani w cerkwi chóralnie odpowiedzieli: „Wo istinu woskres” („Rzeczywiście zmartwychwstał”). Tu w cerkwi zrobiło się małe poruszenie: zaczęli się wszyscy ludzie całować. Umówieni kawalerowie i panny wykorzystali ten moment, aby publicznie się pocałować. Następnie odbyła się procesja dookoła cerkwi, niosąc krzyż o dwóch ramionach i chorągwie z malowanymi na sztywnych tekturach obliczami prawosławnych świętych.

Po nabożeństwie wróciliśmy czwórkami do głównych koszar. Tu dowódca kompanii pocałował się z szefem, a ten z plutonowymi, a ci z drużynowymi. Po tym każdy z nas otrzymał po kawałku „paschy” (placek z białej pszennej mąki przekładanej warstwą twarogu z koprem). Owszem, „pascha” nam smakowała. Była mocno słodka – mało kwaśna.

W Wielką Niedzielę zajęć nie było. Otrzymałem pierwszy list z Urzędowa od mego najlepszego przyjaciela Stanisława Cieślaka. List ten mocno mnie rozczulił. W drugim dniu świąt cały dzień „studiowaliśmy” różne instrukcje, zebrane w jednej dużej grubej książce „Ustaw wojennej służby” („Instrukcja służby wojskowej”). W następne dni znów to samo, „dryl wojskowy”.

## Przysięga

W niedzielę 25 kwietnia 1915 roku od samego rana krzątania w szkole: gruntowne mycie, czyszczenie butów, wkładanie nowych połowych mundurów, zapinanie nowych pasów, zakładanie nowych czapek. Ruszyliśmy czwórkami w takt werbla do sztabu pułku. Po dłuższym oczekiwaniu wyniesiono sztandar pułkowy. Na komendę: „Pod znamię służaj na karauł” zaprezentowaliśmy broń i udaliśmy się na duży plac przed cerkwią. Na czele pochodu maszerował adiutant pułku z obnażoną szablą, za nim sierżant ze sztandarem, a obok niego plutonowy z karabinem, za nimi szedł dowódca szkoły, a my zamykaliśmy ten pochód.

Na placu zastaliśmy dużo wojska, które też miało złożyć przysięgę. W środku prostokąta był sztandar, a obok niego asysta i duchowny prawosławny ubrany w szaty liturgiczne. Wyznania katolickie, mahometanie i luteranie ustawili się w dwuszeregu. Mahometanie zostali odprowadzeni na bok. Do katolików i luteranów odezwał się adiutant: „Waszi swiaszczenniki otsutstwujuť, po etomu mnie dana włast’. Sogłasny li wy priniat’ prysiagu ot ruk prawosławno swiaszczennika?” („Wasi duchowni są tu nieobecni, dlatego dana jest mi władza. Czy zgadzacie się złożyć przysięgę na ręce prawosławnego duchownego?”). Nie czekając na naszą odpowiedź, włączył luteran i katolików do szeregu prawosławnych do wspólnej przysięgi. Po odpowiednim patriotycznym przemówieniu podchodziliśmy parami do ucałowania krzyża, Biblii i sztandaru, za pierwszą parą przechodziła druga itd. Padły komendy: „Na karau” („Prezentuj broń”), „K nogie” („Do nogi broń”), „Na pleczo” („Na ramię broń”), „Szagom marsz” („Krokiem marsz”) i pomaszzerowaliśmy do koszar na dobry obiad na godzinę 3<sup>30</sup>. Po obiedzie zajęć nie było. Tak więc zostałem już pełnym żołnierzem i miałem pełnić służbę „na chwałę cara i ojczyzny”. W tym dniu otrzymałem 9 rubli 73 kopiejki za bieliznę.

## **Stosunek do mnie i do Polaków**

W czasie naszych zajęć w szkole, na placu ćwiczebnym i na stepie, do pilnowania koszar na czas naszej nieobecności był wyznaczony żołnierz – Tatar. Jego obowiązkiem było wykończenie sprzątnięcia sypialni i pilnowanie dobytku w koszarach. Miał dużo wolnego czasu, który umiał dla siebie dobrze wykorzystać. Codziennie chodził na „bazar” (targ) i sprzedawał różne rzeczy. Ja zostawiłem w przedpokoju między szkolnymi ławkami palto i ubranie związane w jeden tobołek z myślą wysłania tych rzeczy do domu. Nigdy nie miałem czasu pójść na pocztę, a w dodatku nie miałem pieniędzy na koszt przesyłki. Te moje rzeczy leżały kilka tygodni, aż pewnego wieczoru po moich rzeczach nie zostało śladu. Żołnierz ten tak pilnował przed złodziejami, że sam ukradł i sprzedał na bazarze. Powiadomiłem swego nauczyciela praporszczyka. Ten nawet nie zapytał Tatara o zaginięcie, a skoczył na mnie: „A na co ci cywilne ubranie? Pewnie chciałeś się przebrać i uciec z wojska”.

\*

W czasie ćwiczeń na stepie pomyliłem się w kierunku marszu (byłem ostatnim w dwuszeregu). Plutonowy Cybaniow doskoczył do mnie, pociągnął za nos i powiada: „Wot w etom naprawlenii nada marszirowat’ ” („Oto w tym kierunku należy maszerować”). W pierwszej chwili miałem go trzasnąć kolbą karabinu, ale się zreflektowałem, że to byłby czyn, za który musiałbym grubo zapłacić. Znienawidziłem wszystkich „gorliwców” – służbistów.

\*

W nocy zawsze musiał dyżurować żołnierz przy drzwiach wiodących na ulicę. Noc majowa, ciepła, jasno świecił księżyc. Początkowo obserwowałem wieczorowe życie na ulicy. Na tej bocznej ulicy mało było przechodniów, spacerujących par. Od stania przez dłuższy czas rozboleły mnie nogi. Siadłem na schodkach, organizm upomniął się o swoje prawo – odpoczynek. Po półgodzinnym siedzeniu oparłem się łokciem o stopień schodów i... zdrzemnąłem się. Przez sen słyszę na ulicy mocne, równe kroki i brzęk ostróg. Zerwałem się i stanąłem oko w oko z dyżurnym oficerem. Ten pyta: „Paczemu ty w drzwiach nie stałaś? Jak twaja familia?” („Dlaczego ty nie stałaś w drzwiach? Jak się nazywasz?”). Przy świetle kieszonkowej lampki elektrycznej zapisał i poszedł dalej. Na drugi dzień mój praporszczyk powiedział mi o mojej niedbałej służbie i wyznaczył służbę w drzwiach na drugą noc. Więc dwie doby nie spałem.

\*

Zaczęliśmy pełnić wartę przy różnych obiektach wojskowych. Dowódcą warty był nasz nauczyciel praporszczyk. Wartę pełniłem przy magazynie mundurowym. Jedno okno, a właściwie okiennica była uchylona, o czym powiadomiłem rozprawdzającego. Zjawił się dyżurny oficer i zwrócił się do mnie: „Ty źle trzymasz karabin, pokażę ci, daj gwintówkę”. Odpowiedziałem mu, że karabinu z rąk nie wypuszczę, choćby mi nawet sam generał kazał. Oficer odszedł, powiedziawszy, że dobrze zrobiłem.

\*

15 maja na lekcji nauczyciel mówił o szpiegostwie, twierdząc, że niepowodzeniom na froncie w dużej mierze są winni Żydzi i Polacy, gdyż o wszystkich posunięciach taktycznych powiadają Austriaków i Niemców. Miał jeszcze o tym mówić szerzej, ale swój wykład przerwał, pytając, czy w szkole są Polacy. Odpowiedziałem, że są. Pytał mnie dalej, czy Polacy naprawdę są tchórzami i z jakiej okolicy pochodzą. Na pierwsze pytanie odpowiedziałem: „Nie wiem”, a na drugie, że jestem z lubelskiej guberni. Tego samego zdania są ranni żołnierze, posadzają Żydów i Polaków o szpiegostwo na rzecz Niemców.

## Marny strzelec

W ciągu całej tej nauki największy nacisk kładli na maszerowanie, zmianę kierunków, przegrupowanie w czasie marszu, śpiewy w marszu, naukę instrukcji, a wcale nie prowadzili nauki w strzelaniu i kontroli celności przy użyciu różnych pomocy naukowych. Żołnierze w kompaniach więcej umieli celować, więcej ćwiczyli się w tej sztuce, posługując się przyrządami. To niedociągnięcie dało znać o sobie w czasie ostrego strzelania. Na strzelanie

bojowymi patronami\* wychodziliśmy 5 kilometrów w stepy za miasto. Tam były okopy do strzelania z pozycji leżącej, klęcznej i stojącej w prawdziwych okopach do celu nieruchomego i do ruchomego. W odległości 300 metrów od linii strzelców był głęboki rów, w którym siedziało kilku żołnierzy do pokazywania wyników trafień odpowiednimi wskazówkami. Na podany przez sygnalistę (trębacza) sygnał żołnierze na linii rozładowywali broń, a na drugi wychodzili żołnierze z rowu i wskazywali, kto gdzie trafił. Podziurawione cele zaklejali szarym papierem i znów schodzili do rowu, czekając na strzały drugiej grupy strzelców. Jednorazowo strzelało pięciu strzelców, każdy do swego celu. Poligonu strzegli inni żołnierze, aby ktoś obcy nie podlaźł na linię ostrzału.

Najtrudniej było strzelać do celów ruchomych, które były osadzone na okrągłej belce. Za pomocą linki cele to się kładły i niknęły w dole, to się znów podnosiły i były widoczne dla strzelców.

Ćwiczenia w strzelaniu trwały dwa dni. Ja na 34 patrony trafiłem do celu tylko cztery razy, w tarczę 11 razy, a 19 kul posłałem Panu Bogu w okno. Najgorzej mi poszło strzelanie do celu ruchomego, gdyż trafiłem z 10 patronów tylko dwie kule i to w tarczę. Nasz nauczyciel po tym strzelaniu zapytał: „Kto strzelał z trzeciego stanowiska?”. Plutonowy odpowiedział: „Woško”. Nauczyciel praporszczyk rzekł: „Na dwa czasy pod wintowku” („Na dwie godziny pod karabin”). Po skończonych ćwiczeniach praporszczyk wezwał mnie do siebie i zakomenderował: „Smirno! Na pleczo” („Bacność! Na ramię broń”).

I tak stoi nieudolny strzelec pod karabinem na spiekocie słonecznej, pot mu spływa po twarzy, po nosie, a tu nawet palcem, nie tylko ręką, obetrzeć się nie może. Na moje pocieszenie widzę, że w innych miejscach stoją jeszcze trzy takie jak ja ofiary. Żołnierze sprzątają skrzynki po nabojach, wycierają pot z twarzy, chowają do pobliskiej szopy łopaty, wskazówki. A ty stój! Właściwie to należałoby nauczyciela postawić pod karabinem, że nie umiał nas nauczyć dobrego celowania. Najgorszy moment przeżywałem wtedy, gdy żołnierze ustawiają się w dwuszeregu i zabierają się do marszu do miasta, do koszar. Pluton mój już ruszył z miejsca, a ja stoję i myślę sobie, kto mnie zwolni od kary po upływie 2 godzin. Plutonowy poprowadził pluton, a wtedy podchodzi oficer i daje komendę: „K nogie” („Do nogi broń”) i „Biegom na swoje miejsce” („Biegiem marsz na swoje miejsce”). I pobiegłem do plutonu.

## **Ofiara bezdusznego drylu**

W szkole podoficerskiej 104 batalionu głównym celem był bezduszny trening w marszu, śpiewie, uczenie, a właściwie kucie, instrukcji („ustaw”). Żadnych książek i gazet do wojska nie wolno było przynosić i czytać. Żołnierz nie orientował się, co dzieje się w Rosji i na szerokim świecie. Był oderwany,

\* Nabojami – przyp. red.

odizolowany od społeczeństwa. Były wypadki sadystycznego znęcania się nad żołnierzem. Za najmniejsze uchybienie karano żołnierza: pozbawienie urlopu lub przepustki, stawianie pod karabinem (za większe przekroczenia z czterema cegłami w tornistrze), pozbawienie poobiedniego odpoczynku – ślęczenie nad książką, dodatkowe ćwiczenia w zwrotach lub fechtunku, wielokrotnym wołaniem do słupa: „Ja durak” („Ja dureń”) itp.

13 czerwca szeregowiec Michał Muranow, doprowadzony do ostateczności złym stosunkiem kaprała 4. drużyny, popełnił samobójstwo, strzelając sobie z karabinu w głowę. W niedzielę czyścił broń przy oknie. Po skończonej pracy włożył naboję do karabinu. Był boso. Oparł koniec lufy pod brodą, palcem u nogi pociągnął za cyngiel. Padł śmiertelny strzał. Muranow w tej chwili padł na podłogę trupem.

Po 2 miesiącach i 20 dniach nauki z wynikiem „4,7” na świadectwie powróciłem do swojej 7. kompanii.

## **Ciężka praca w 7. kompanii**

Po przybyciu pięciu absolwentów kadra „nauczycieli” znacznie się powiększyła. Niepomyślne wyniki na froncie zmobilizowały dowództwo pułku i kompanii do intensywnej pracy nad szkoleniem rekrutów. Każdego miesiąca odbywały się pobory rekrutów po dwa roczniki na raz. Mobilizowano młodych w przyspieszonym tempie i starszych mężczyzn żonatych, obarczonych rodzinami. Odrywano ich od pracy i wcielano do armii, aby po krótkim, jednomiesięcznym ćwiczeniu, po pobieżnym zapoznaniu ze sztuką wojenną formować marszowe kompanie i to mięso armatnie wysyłać na front. Po takim niedouczonym, pesymistycznie nastrojonym żołnierzu nie można się było spodziewać dobrego sukcesu na froncie. Wszystkie marszowe kompanie ze 104., 105. i 238. pułku umundurowane, ale bez broni karabinowej, nie mówiąc już o karabinach maszynowych, jechały z pustymi rękami bić Niemców i Austriaków. Na froncie musieli czekać na broń po poległych w bojach żołnierzach. Brakowało naboji do karabinów i pocisków do armat. Brakowało również produktów spożywczych. Głodni żołnierze własnym pomysłem zdobywali pożywienie, nie zawsze legalnie, od miejscowej ludności. Wynikały stąd liczne nieporozumienia, co ujemnie wpływało na psychiczną atmosferę żołnierzy i cywilnej ludności.

---

### **Sytuacja na froncie**

Na froncie zachodnim wojska francuskie, angielskie i niemieckie prowadziły walkę z okopów. Jedna i druga strona umacniały swe pozycje, budując głębokie i mocne fortyfikacje ziemne. Zaczęła się wojna psychologiczna.



Niemieckie dowództwo zdecydowało się poświęcić kampanię 1915 roku na rozgromienie Rosji. W tym celu skoncentrowano na krótkim odcinku wielkie siły (16 dywizji piechoty, 2 dywizje kawalerii i 1410 armat, w tym 600 ciężkich). 2 maja Niemcy przełamali front rosyjski między Gorlicami a Tarnowem na odcinku 35 kilometrów. Niemcy dysponowali dwukrotnie liczniejszą piechotą i sześciokrotnie liczniejszą artylerią. W wyniku pięciomiesięcznych walk wojska rosyjskie wycofały się z Bukowiny, Galicji, Polski, Litwy i Kurlandii. Chcąc ratować sytuację, car Mikołaj II sam stanął na czele armii (szef sztabu Aleksiejew), odwołując Mikołaja Mikołajewicza, powierzając mu front kaukaski. Obawiał się o władzę i usunięcie cara marnego charakteru.

Na wiosnę 1915 roku Niemcy po raz pierwszy zastosowali nad kanałem Ypres we Flandrii gazy duszące. W tym czasie wojska austriacko-niemieckie zmiażdżyły armię serbską. Rząd serbski i tylko 12 000 wyczerpanych żołnierzy na okrętach angielskich i francuskich przedostało się na grecką wyspę Korfu.

W tym to czasie Niemcy zajęli 4 maja Urzędów i Warszawę. Na teren Polski Rosjanie już nie wrócili więcej w czasie I wojny światowej.

---

## **Służba wewnętrzna**

Dowódca kompanii, obecnie już sztabskapitan, Leonow nie był zachwycony naszym przygotowaniem w szkole podoficerskiej. Krytykował, że tam niczego nie nauczyliśmy się, że jego żołnierze więcej umieją niż my po szkole. W pewnym sensie to i miał trochę racji. W szkole bowiem nie uczono nas praktycznie w zakresie celowania do celu, o czym się przekonałem na własnej skórze. Szkoła nie rozporządzała żadnymi przyborami kontrolnymi celności.

Moje dyżury w kompanii nie należały do udanych (21 czerwca, 8 lipca, 19 września). W czasie nocnej kontroli zarzucił mi, że nie dbam o czystość powietrza w koszarach, nie otwieram okien w czasie snu żołnierzy. Zapisał moje nazwisko. Tylko patrzyłem, czy nie wyśle mnie na front z najbliższą 52. kompanią razem ze Stanisławem Gałkowskim z Urzędowa, który sam na ochotnika zgłosił się do wyjazdu. Zostałem. W czasie przeglądu i kontroli kompanii na front pułkownik uznał, że kompania nie jest należycie przygotowana. Za złe przygotowanie ukarał dowódcę kompanii surowym upomnieniem. Dał jeden tydzień na wyrównanie niedociągnięć. Dowódca odegrał się na nas. Musieliśmy ćwiczyć przez dwie niedziele, skrócił poobiedni odpoczynek z 2 godzin na 1 godzinę, przeprowadził cztery ćwiczenia nocne polowe na stepie. Drugi przegląd wypadł już dobrze. Kompania odjechała na front, a ja zostałem nadal do ćwiczenia następnej partii starych poborowych, przeważnie Tatarów, Kirgizów, Baszkirów, Czuwaszów. Ciężka to

była praca. Oni nie rozumieli języka rosyjskiego, a my ich mowy. Często przychodził nam z pomocą drużynowy Tatar i rekrut Małych – Rosjanin, który znał język baszkirski, a przed przyjściem do wojska służył u bogatego Baszkira koczownika.

## **Na stepie**

2 sierpnia 1915 roku wyruszyliśmy z koszar do obozu („łagier”) rozłożonego na stepie w odległości 4 kilometrów od miasta. Objuczeni do granic możliwości, maszerowaliśmy przez drewniany most zbudowany w maju, gdy rzeka Ural pozbyła się zimowego lodu grubości około 50 centymetrów. Most ten jest tymczasowy, gdyż z nastaniem zimy zostanie rozebrany, aby go wiosenne kry nie połamały i nie zniosły. Ludzie i pojazdy w lecie przebywają rzekę po moście, a w czasie zimy po lodzie. Przez rzekę przerzucony jest most żelazny kolejowy, ale przejście przez niego jest zabronione.

Przygotowania do rozłożenia takiego obozu trwały kilka tygodni. Pracę tę wykonywała kompania gospodarcza pułku pod nadzorem specjalisty architekta na podstawie wcześniej opracowanego planu. Aby zbudować taki namiot dla 36 żołnierzy, trzeba było najpierw przekopać na całą długość namiotu rów o metrowej szerokości i pół metra głębokości dla przejścia oraz cztery małe rowki dokoła namiotu dla odwodnienia w razie deszczu. Cieśla miał dużo roboty przy budowaniu konstrukcji z pali drewnianych, na której rozpinał dach z brezentowego płótna. Ziemia nakryta była deskami bądź płótnami, na których mieli spać żołnierze nogami do rowu środkowego, a głowami do ścian namiotu. W jednym namiocie spało 36 żołnierzy, a cała kompania liczyła ich 270, w pułku było 17 kompanii – 4600 żołnierzy. Cały pułk zajmował 174 namioty. Cały łagier z daleka wyglądał jak jakieś miasteczko. Musiała być studnia i latryny polowe zbite w kształcie koziołków. Żołnierz siadał na niskiej łacie, a opierał się plecami o drugą.

Step jest jedną wielką, z lekka pofałdowaną równiną. Jak okiem sięgnąć, nie widać żadnego drzewa, żadnej wsi, a nawet pojedynczej chaty. Na wiosnę pokryty zieloną trawą, sięgającą niekiedy do kolan. Co kilka dni zmienia kolor. Jednego dnia pomiędzy trawami kwitną żółte kwiaty, po tygodniu usychają, a na ich miejsce kwitną niebieskie, za kilka dni cały step okrył się czerwienią. Ta zmiana kolorów trwa od połowy kwietnia do czerwca. W lipcu trawy zaczynają żółknąć, w drugiej połowie sierpnia znika zielen, od wielkiego upału i suszy wszystkie rośliny wyschły; cały step przybrał szaroziemisty kolor. Jesienne wiatry roznoszą pokruszoną trawę na wszystkie strony. Step zamiera na zimę, aby odnowić się i zacząć nowe życie z nastaniem nowej wiosny. Ziemia urodzajna, wypoczęta. Brak wilgoci, gdyż dłuższych i częstszych deszczów mało, a ta i po obfitych zimowych opadach wilgotność pod wpływem intensywnego ogrzewania słońca i suchego powietrza szybko

wysycha. Głębsze warstwy ziemi są suche, co przeszkadza wzrostowi drzew i krzaków o głębokim zakorzenieniu.

Z nastaniem wiosny i kwitnieniem kwiatów ludność miasta wyrusza tłumnie w step na cały dzień z rodzinami, zaopatrując się w pożywienie i napoje. Późnym wieczorem po urozmaiconym niedzielnym wypoczynku wraca do miasta, aby w następane święto powtórzyć to samo, zanim step nie wyschnie.

Duże drzewa – sykomory, olchy, lipy, brzozy i krzaki leszczyny oraz „czyli” bujnie i gęsto rosną nad brzegami Uralu i jego dopływami. Tu na skraju stepu i lasów ciągną się osiedla ludzkie. W pobliżu miasta w cieniu drzew bogatsi mieszkańcy pobudowali sobie wille („dacz”), w których spędzają gorące lato, czas odpoczynku. Do takich miejscowości należała Bielówka z restauracjami, kawiarniami i przystanią dla łodzi. W czasie zimy odbywały się po lodzie na Uralu wyścigi konne (rysaki) zaprzężone po jednym koniu do pięknych sanek. Tu jest miejsce do spotkań towarzyskich i zawierania znajomości młodych ludzi.

Właśnie w takim to stepie odbywały się intensywne ćwiczenia z rekrutami od godziny 5 do 12, z dwugodzinną przerwą, odpoczynkiem, snem, aby od godziny 15 do 20 znów kontynuować pracę w rozległym stepie. Idealne miejsce do marszu, zmiany kierunków, przekształceń układu w szeregach, do biegów na czystym powietrzu. Było dużo miejsca do ćwiczeń polowych, tyralier i natarć bojowych. W tych ćwiczeniach zalegaliśmy w tyralierze, w trawie i odpoczywaliśmy między przebieganiem w kierunku domniemanego wroga. Blokada i szturm „Mienownego Dwora” było wzorem, jak zdobywać osiedla zajęte przez nieprzyjaciela.

„Mienownej Dwor” (wymienny dziedziniec) znajdował się w odległości około 4 kilometrów od naszego obozu. Tu odbywał się handel wymienny: owce na wielbłądy, zboże, warzywa, odzież, obuwie, meble itp. Duży plac (200 × 200 metrów), kwadratowy, otoczony dokoła ścianami i dwiema bramami, do których od strony wewnętrznej były dobudowane izby do rozkładania towarów i duże zagrody na pomieszczenie zwierząt do zamiany. W określonych dniach zjeżdżali kupcy ze swoimi towarami, spędzali zwierzęta i tu w zamian za swój towar otrzymywali inny, potrzebny w ich gospodarstwie (towar za towar), a resztę-różnicę dopłacali pieniędzmi. W czasie wojny ten dwór zamieniony został na koszary dla jeńców wojennych. Najwięcej było jeńców z armii austriackiej. Szeregowi jeńcy mieszkali w dużych pomieszczeniach, a oficerowie mieli małe izby i mieszkali po kilku lub kilkunastu. W czasie zimy dużo jeńców przemarzło, dużo wymarło od różnych chorób. Nieraz po mroźnej nocy wywozili dziesiątki trupów i chowali nieboszczyków we wspólnej mogile na stepie. Oficerów traktowali lepiej. Pozwolono im zakładać ogródki kwiatowe, warzywne, aby czas im się nie dłużył. Oficerowie mogli wychodzić po kilku do miasta pod konwojem żołnierza bez broni (tylko z bagnetem przy pasie). Często mniejszymi partiami odprowadzano ich do

okolicznych wsi na roboty. Tym żołnierzom warunki życiowe zmieniały się na lepsze. Wartę pełnili żołnierze rosyjscy z pospolitego ruszenia z karabinami pamiętającymi czasy Aleksandra II (1812 rok). Jakież było zdziwienie jeńców, gdy wpadliśmy z okrzykiem: „Ura” na dziedziniec z karabinami i bagnetami gotowymi do walki. Może myśleli, że ich wymordujemy?

7 września 1915 roku przed odprawieniem marszowej kompanii na front odbyło się nabożeństwo na stepie. Żołnierzy ustawiliśmy czwórkami w „caro”, tych co mieli jechać na front w pełnym ekwipunku i tych, którzy dopiero zaczęli się uczyć służby wojskowej. Pośrodku był zbudowany na podwyższeniu ołtarz, przy którym pop w asyście diakona odprawiał „molebień” (nabożeństwo). Obok ustawił się chór żołnierski. Pop zaintonował, a wszyscy podchwycili pieśń: „Zbaw, Panie, ludzi twoich i pobłogosław dary nasze. Zwycięstwo naszemu cesarzowi imperatorowi Mikołajowi Aleksandrowiczowi racz dać Panie”. Niestety, Pan Bóg nie wysłuchał tej prośby i nie dał „pobiedy” carowi. Po nabożeństwie i obiedzie dowódca kompanii Leonow wręczył nagrody pieniężne kadrowym podoficerom. Feldfebel i starszy nauczyciel dostali po 7 rubli, plutonowi po 5 rubli, a drużynowi i ja po 3 ruble za dobre przygotowanie żołnierzy udających się na front.

Mordercza praca z rekrutami trwa nadal. Sytuacja na froncie katastrofalna. Wojska rosyjskie ponoszą wielkie straty w ludziach i sprzęcie wojennym, całe pułki idą do niewoli. Dowództwo frontu upomina się o posiłki. Ćwiczenia stają się jeszcze bardziej forsowne. Ćwiczymy rekrutów w dzień ze skróconym odpoczynkiem poobiednim i w nocy. Ciągłe wypadki, wywiady, ruchy tyraliery. Nocne starcia ze strzelaniem ślepych nabojami, walka wręcz na bagnety. W czasie natarcia ze strzelaniem z bliskiej odległości żołnierz z przeciwnej grupy strzelił prosto w twarz koledze Stańczykowi z Puław, w wyniku czego Stańczyk stracił lewe oko. Dwie godziny snu i znów ćwiczenia dzienne. Tutaj dużo pracy wkładaliśmy w budowę okopów pod ogniem nieprzyjaciela. Rekruci nie mogą sobie poradzić z samookopywaniem. Dowódca kompanii wścieka się. Biega od jednego do drugiego strzelca, wymyśla, a często i nogą kopnie.

W końcu sierpnia nad Orenburgiem przeciągnął straszny huragan z oślepiającymi błyskawicami i piorunami, ale bez deszczu. Wracaliśmy właśnie z dalekich ćwiczeń, kiedy pierwszy podmuch huraganu uderzył nas w twarz. Burza była tak silna, że kilku żołnierzy z 1 drużyny zostało zwałonych z nóg. Oficerowie dali rozkaz „padnij”. Błyskawicznie upadliśmy na goły step. Okręciliśmy głowy chusteczkami, a niektórzy własnymi mundurami i tak przeleżeliśmy pół godziny. Gdy ta nawałnica prędko minęła, powstaaliśmy na nogi. W szeregach wybuchnął głośny śmiech. Wszyscy byliśmy brudni i czarni, podobni do diabłów. Tylko zęby i oczy błyszcząły. Huragan niósł tumany pokruszonej, startej na pył stepowej trawy i to było przyczyną takiego naszego wyglądu. Ten brud przeniknął do całego ciała. Natychmiast skierowano nas do Uralu, gdzie porządnie umyliśmy się od stóp do głów i poszliśmy na kolację.

Po drugiej stronie rzeki kilkanaście młodych kobiet płukało wielkie stopy świeżo ostrzyżonej owczej wełny, pod nadzorem młodego „prykaszczyka” (administratora). Na widok całkiem gołych żołnierzy zagrała w nich krew, zaczęły podnosić spódnice i klepać się po przyrodzeniu, gotowe oddać się żołnierzom w biały dzień, nie bacząc na prykaszczyka i swoje współpracownice. Żołnierze wybuchnęli śmiechem, posypały się sprośne żarty, podobne ruchy. Ale cóż z tego, dzieliła nas rzeka z wartko płynącą, bystrą wodą. Żarty te towarzyszyły nam przez całą drogę do obozu.

Na początku września wróciliśmy na zimowe leże do koszar. W tym dniu rozkazem dowódcy pułku zostałem mianowany „jefrejterem” (starszym strzelcem).

## Modły

8 września 1915 roku rozpoczęło się trzydniowe święto muzułmańskie Ajran-Bajran. Na przeciąg trzech dni wszyscy mahometanie zostali zwolnieni od ćwiczeń wojskowych. Obowiązywał ścisły post. Wolno im było dwa razy dziennie zjeść kromkę suchego chleba i wypić szklankę wody. W pozycji klęcznej siedzieli na piętach na swoich legowiskach, zwróciwszy twarzą na wschód, z rękami złożonymi na piersiach i mruzcili swoje modlitwy. Na głośne wezwanie muezina (duchowny mahometański), zwrócone w cztery strony świata z minaretu (wieży), szli grupami do meczetu (świątyni) na modlitwę – uroczyste nabożeństwo. W kruchcie zdejmowali wierzchnie obuwie (bogatsi nosili miękkie, bez obcasów safianowe buty – podobne do pończochy, a na to nakładali twarde obuwie skórzane), wchodzili do środka świątyni, klękali na ryżowych matach i modlili się w czapkach, siedząc na piętach. Mułła (wyższy duchowny) wszedł na podwyższenie i zaczął do zebranych przemawiać, a potem zaintonował pieśń zaczynając się od słów: „Allah akbar”, co podchwycili zebrani i zaczęli chóralnie śpiewać, powtarzając często „Allah akbar”. Ta modlitwa trwała około godziny. Przy wyjściu z meczetu powoli, poważnie każdy wkładał swoje buty i wracał do koszar. Tu znów zapadali w kontemplację, znów modlili się. Trzeciego dnia po nabożeństwie przed meczetem pozdrawiali się nawzajem. Jeden mężczyzna oburącz z góry na dół pogładził twarz, mówiąc: „Magalikum salam”, a drugi tak samo pogładził twarz, odpowiadając: „Salam magalikum” (treści słów nie dowiedziałem się). W godzinach wieczornych każdy muzułmanin, zaopatrzony w siebie obficie w produkty spożywcze, przeważnie pieczoną baraninę, dobierał sobie towarzyszy i zasiadali do wspólnej uczyty, zjadali żywność milcząc, nie pijąc żadnych napoi alkoholowych.

Ściany meczetu były czyste białe, bez żadnych obrazów i malowideł. Były tylko wypisane dużymi złożonymi literami wersety z Koranu. Ponieważ więk-

szość rekrutów było wyznania mahometańskiego przez to zajęć normalnych w te trzy dni nie można było przeprowadzić: święto to święto.

Na ten sam czas Najwyższy Synod Prawosławny w Petersburgu wyznaczył trzydniowy post i modły dla prawosławnych z prośbą do Boga o szybkie i pomyślne dla oręża rosyjskiego zakończenie wojny. Przewodnią myślą było podniesienie na duchu i zagrzanie do walki na froncie narodu prawosławnego.

Korzystając z wolnego czasu, udaliśmy się z Kołodziejczykiem z Piask, aby lepiej poznać miasto. Przechodząc ulicą (nazwy nie pamiętam) zaobserwowaliśmy kościół katolicki. Drzwi do kościoła były zamknięte, ale do kruchty otwarte, gdzie na ścianie wisiała tablica informująca po polsku, kiedy się odprawia nabożeństwo. To nas bardzo ucieszyło. Od tej pory w miarę możliwości zacząłem chodzić na nabożeństwa. Kazania w języku polskim były w pierwszą i ostatnią niedzielę każdego miesiąca. Druga niedziela była zarezerwowana dla Litwinów, a trzecia niedziela dla grekokatolików.

Dla wojska były nabożeństwa w cerkwiach. Wojsko brało udział również w procesji w monasterze, oddalonym o 7 kilometrów od miasta. Było użyte do utrzymania porządku, gdyż tam zbierały się niezliczone tłumy. W niedalekiej odległości była też i kircha protestancka. Ale najwięcej było cerkwi i meczetów w tym gubernialnym mieście. Spośród kilkunastu cerkwi prawosławnych były dwie cerkwie dla starowierców.

## Pożar

Na początku października wybuchł pożar na Forsztadzie – przedmieściu Orenburga. Paliły się domy parterowe, drewniane, zbudowane z heblowanych okrągłaków pomalowanych przeważnie farbą olejną koloru jasnoorzechowego. Przed każdym domem był ganek, którego dach wspierał się na czterech rzeźbionych słupach. Wszystkie domy były kryte blachą pomalowaną na kolor zielony. Domki te zamieszkiwały przeważnie rosyjskie rodziny, tylko sklepy spożywcze były w tatarskich rękach. Łuna pożaru widoczna była na kilka wiorst dokoła. Ze względu na łatwopalny materiał budowlany płomień błyskawicznie przerzucały się na sąsiednie domy, a czasem i na dalsze. Dymy rozpościerały się nad ziemią, zasłaniały ulice, co znacznie przeszkadzało w dojściu do palącego się obiektu. Krzyki, płacze, wołanie o pomoc kobiet i dzieci towarzyszyły trzaskom przepalonych ścian i hukowi walących się kominów. Ratunek był utrudniony z powodu braku wody na miejscu. Wprawdzie Ural przepływał niedaleko, ale dojście do wody utrudniały strome brzegi rzeki. Straż pożarna, składająca się ze starych mężczyzn i prymitywnego taboru nie spełniała należycie swoich obowiązków. Na pomoc przybyła kolumna beczkowsów zaprzężonych w konie, a kierowana przez strażników i aresztantów. Brak było organizacji. Aresztanci obojętnie, bez najmniejszego



zapału podjeżdżali na tych śmierdzących beczkowozach pod rzekę i napełniali je wodą. Miejscowa ludność całą energię skierowała na ratunek swojego dobytku. Przybyliśmy i my, żołnierze, ale nasza pomoc ograniczała się do składania w bezpieczne miejsce mienia i pilnowania przed grabieżą. Dzięki żołnierzom udało się uratować od spalenia trzy chore kobiety z palącego się domu. Pożar szalał cały dzień i strawił połowę domów na przedmieściu. Gaszenie reszty pożaru przypadło strażakom, gdyż aresztanci musieli wracać do swojej bazy, aby w nocy wywozić fekalia z domów w śródmieściu tego gubernialnego miasta. Wczesnym rankiem można było zobaczyć karawanę beczkowozów, kierowanych przez aresztantów w asyście dwóch strażników uzbrojonych w rewolwery. Taka karawana mogła się składać z od 20 do 30 beczkowozów. Przez kilka dni trudno było przejść ulicą zalaną śmierdzącymi ludzkimi odchodami.

## Rok 1916 w Orenburgu

Boże Narodzenie – święto, lecz nie dla wszystkich. W pierwszym dniu udałem się do kościoła na nabożeństwo. Śpiew kolęd na chórze przypominał mi moje chłopięce lata w Urzędowie. Rozczuliłem się. Rozmyślałem o tym, co się dzieje w domu, w Polsce i mojej rodzinie. Jak moi domownicy czują się, jak żyją pod okupacją austriacką. Może i źle, ale wszyscy razem, a ja sam jeden, obcy pograżony w żywiole rosyjskim i tatarskim. Jak przykro żyć, nie słysząc całymi miesiącami słowa polskiego ani wyrazu współczucia. Przy każdej okazji słyszałem tylko przycinki, kpiny z nas Polaków, że Polskę sprzedaliśmy za kubek zsiadłego mleka, a „Polaczok” jest wrogiem Rosji i szpiegiem austriackim lub niemieckim. Po zakończonym nabożeństwie zebrało się nas kilku Polaków na cmentarzu kościelnym z dala od bramki wejściowej. Popatrzyliśmy jeden na drugiego z politowaniem. Jeden z żołnierzy wyciągnął kawałeczek opłatka z zawiniętej gazety, przysłanego przez rodziców. Łamaliśmy go na drobniutkie kawałeczki i dzieliliśmy się opłatkiem, życząc sobie nawzajem prędkiego zakończenia wojny i najszybszego powrotu do swoich rodzin. Pogawędziliśmy kilkanaście minut, ucałowali i wrócili do swoich jednostek wojskowych, gdyż po południu czekały nas codzienne ćwiczenia.

W Nowy Rok również zebraли się i to w większej liczbie niż poprzednio. Dzieliłi się wiadomościami z frontu. Jeden z żołnierzy pokazał nam list z domu, który przywędrował za pośrednictwem PCK przez Sztokholm w Szwecji. Przeanalizowaliśmy treść, skomentowali, pogawędzili i znów rozeszli się do zajęć popołudniowych w swoich rotach (jednostkach). Takie spotkania zbawiennie wpływały na naszą psychikę. Poczuliśmy, że nie jesteśmy osamotnieni, skazani na zagładę. Szkoda tylko, że te zebrania odbywały się coraz rzadziej, gdyż wprowadzono obowiązkowe ćwiczenia przez całą niedzielę.

## Zima

Spadły obfite śniegi. Ziemia pokryła się puszystym kobiercem śniegu na pół metra głębokości, który wypełnił wszystkie nierówności. Teraz słońce jaskrawo świeci, promienie odbijają się od śniegu i rażą w oczy, że trudno patrzeć, oczy załzawione, co chwila trzeba zamykać i ocierać łzy. Na dworze temperatura waha się w granicach minus 37–39°C. Dowództwo nasze przewidziało takie mrozy, dlatego wydało nam watowane kurtki (fufajki) i także watowane spodnie koloru zielonego, zimowe czapki barankowe z nausznikami i ciepłe rękawice z wielbłądziej wełny. Na wierzch płaszcz (szynel) wełniany koloru szaroburego. Ubrani jesteśmy ciepło, ale i to mało pomaga. Mróz nawet przez taką odzież dobiera się nam do skóry. Na takim mrozie trudno oddychać, nos i uszy marzną. W takich warunkach nie możemy stać. Odbywają się forsowne marsze, biegi, czołganie, ani chwili odpoczynku. Nad drużyną czy plutonem unosi się obłok pary wskutek skroplenia się wilgoci wydychanej przez płuca. Po dwóch godzinach ćwiczeń pada rozkaz: „Otdochnij” („Spocznij”). Pośpiesznie składamy broń w kozły i rozchodzimy się gromadkami po placu ćwiczeń. Och, jakby się chciało wstąpić do jakiegoś mieszkania, choćby do tego domu, z którego okna ciekawym okiem wygląda młoda, nawet dość ładna Tatarka. Nawet do pobliskiej gorzelni, browaru, fabryki napojów spirytusowych też nie można wejść zagrazać się, bo wszystkie te fabryki są zamknięte na klucz na czas wojny.

Ale uwaga! Zbliżyła się kobieta ubrana w biały fartuch, popychając przed sobą wózek nakryty białym kocem. Woła: „Pirożki świeżyje, pirożki gorączyje” („Pierozki świeże, pierozki gorące”). Momentalnie otaczają ją żołnierze, wysupłują kopiejski, płacą, otrzymują zamówione gorące pierożki, odchodzą na bok, zjadają te pierożki z kartofli i sera, tylko gorący tłuszcz spływa im z warg i palców. Spróbowałem tego rarytasu. Rzeczywiście gorące, tłuste i dość smaczne ogrzały moje zmarznięte wnętrza. Po kilku minutach kociołek pusty. Kobieta odjeżdża. Żołnierze zapraszają ją na jutro. Ta odpowiada: „Charaszo, zawtra niepremiennie prijedu” („Dobrze, jutro na pewno przyjadę”). I rzeczywiście, przyjechała. W lecie ta sama kobieta na tym samym wózku przywoziła „morożenoje” (lody).

W czasie krótkiej piętnastominutowej przerwy w ćwiczeniach dla rozgrzewki podoficerowie zmagali się, przewracali i tarzali po śniegu. Z jednej strony starsi podoficerowie („wzwodni”), plutonowi walczyli z młodszymi podoficerami drużynowymi („otdielonnymi”). Pierwszych w kompanii było tylko pięciu, a drugich 16, więc mieli liczebną przewagę, ale byli słabsi fizycznie. Wyniki tej walki były różne.

Czasami w ćwiczeniach przeszkadzały nam karawany. To Tatarzy zwozili do magazynów worki z pszenicą na swoich niskich saniach zaprzężonych do wielbłądów. Taka karawana składała się z 5–8 sań. Na pierwszych saniach jechał na workach furman, do tych sań z tyłu był przywiązany wielbłąd z drugimi

saniami, a potem trzeci wielbłąd z saniami, a następnie czwarty itd. Krótko mówiąc, jeden furman powoził naraz kilkoma saniami. Takie kierowanie możliwe było tylko na bezdrożnym stepie lub szerokiej ulicy albo placu. Tę pszenicę melli na mąkę w młynach Müllera (Niemca) w dolnym biegu Uralu. W piekarniach Tatarzy wypiekali wspaniałe, pulchne, duże bułki. Jeden funt bułki kosztował 8 kopiejek. Ponieważ czarne, razowe, okrągłe i wysokie żołnierskie bochenki chleba były często z wierzchu przypalone, a w środku ciasto było surowe, więc chleb ten hurtowo sprzedawaliśmy na paszę dla zwierząt domowych, a za uzyskane pieniądze kupowaliśmy u Tatara białe bułki. Z taką bułką to i herbata na śniadanie czy na kolację lepiej smakowała. Herbatę do zaparzania otrzymywaliśmy w postaci tabliczek formatu i kształtu naszej tabliczki czekolady. Cukier był w kostkach i używało się go „na prikusku”. To znaczy, że odgryziony kawałek cukru trzymało się w ustach i popijało niesłodzoną herbatą dopóki się w nich nie rozpuścił. Z jedną kostką cukru można było wypić nawet dwie szklanki herbaty. Herbatę Rosjanie pili z drewnianego spodka, aby nie parzyła w usta. Szczególnie dużo takiej herbaty wypijaliśmy w czasie największych upałów (2 litry). Po takich ćwiczeniach na mrozie wracaliśmy głodni, zziębnięci do ciepłych koszar, gdzie całą dobę paliły się grube, krótkie szczapy w dwóch okrągłych, walcowatych, obitych kolorową blachą piecach.

## Przeгляд wojsk

W styczniu, kiedy temperatura powietrza wynosiła  $-38^{\circ}\text{C}$ , na Fonsztatskim placu ćwiczeń dowódca Kazańskiego Okręgu Wojskowego generał Sandecki w towarzystwie generała brygady Pogoreckiego dokonał przeglądu wojsk miejscowego garnizonu, w skład którego wchodziły 104., 105., 238. pułki piechoty, pułk kozackiej kawalerii, szkoła praporszczyków, trzy szkoły podoficerskie i oddział żandarmerii wojskowej. Na godzinę przed ustalonym terminem nasz 104. rezerwowy pułk piechoty zajął wyznaczone miejsce. Przed wyruszeniem w drogę dowódca kompanii sztabkapitan Leonow gruntownie przejrzał stan naszego umundurowania, czystości karabinów, kazał feldfeblowi wydać każdemu żołnierzowi metalową buteleczkę z wazeliną do natarcia rąk, twarzy, a szczególnie nosa i uszu celem zabezpieczenia od odmrożenia. Rozlokowanie i ustawienie tak dużej ilości wojska zajęło około pół godziny. Czekamy na przyjazd dowódcy okręgu. Pomimo ciepłej odzieży i zabezpieczenia ciała od przemrożenia, mróz wziął nas w swoje posiadanie. Dzwonimy zębami i tupiemy nogami po ubitym śniegu. Coraz to inny żołnierz jeszcze smaruje się wazeliną. Oficerowie dla lepszej prezentacji są ubrani mniej ciepło. Biegają wzdłuż szeregów niby dla wyrównania szeregów, a w rzeczywistości dlatego, aby biegiem rozgrzać skostniałe nogi i zagrzać ręce. Zniecierpliwienie żołnierzy wzrasta, a tu nawet na cal z miejsca nie wolno się ruszyć. Co raz

słysząc w szeregach szepty: „Wania, kakoje biełyje u tiebia uszy” („Wania, jakie ty masz białe uszy”). Wania nachyla się po garść śniegu i naciera sobie przemarznęte uszy. No, dało się uratować uszy, już zaczerwieniły się. Ja ledwo stoję na nogach. Mróz ściska wnętrzności, trudno oddychać, przy nosie wisi okrągły mały sopel lodu. Stoję jak skazaniec, ruszyć sztywnymi nogami nie mogę. A tu sąsiad szepce do mnie, że mam białe uszy. Momentalnie nachyliłem się po garść śniegu i początkowo wolno, a później coraz prędzej nacieram uszy. „Lekarstwo” poskutkowało. Uszy stają się mięsiste, czerwienieją, smaruję wazeliną i dalej razem z innymi czekam na przegląd. Tę manipulację musiałem powtórzyć jeszcze dwa razy.

No, w końcu zajeżdża bryka z dowódcą. Ten żwawo wyskoczył z powozu. Dowódca brygady generał major Pogorecki złożył raport o gotowości pułków do przeglądu. Najpierw zwrócił się do żołnierzy i oficerów z pozdrowieniem: „Zdrowstwujię rebiata, gospoda oficeri” („Dzień dobry dzieci, panowie oficerowie”). Huknęliśmy, ile sił w płucach: „Zdorowia żelajem wasze wysoko prewoschoditielstwo” („Zdrowia życzymy waszej wysokiej świetności”). Przeszedł wzdłuż szeregów, uważnie patrząc nam w oczy. My również z zaciśniętymi szczękami ostro patrzymy na jego twarz i oczy. W ten sposób przeszedł przed frontem 105., 238. pułku i kozakami.

Teraz stanął na podwyższeniu pośrodku placu. Dowódca brygady zarządził marsz defiladowy całymi drużynami, ten dał polecenie pułkownikowi Iwanowowi. Pułkownik dał rozkaz: „Otdielenia strojsia w lewo” („Drużyny formuj w lewo”). Już wszystkie 11 kompanii złamały poprzedni szyk i stoją w kolumnie drużynowej. Drużyny podciągnęły do pierwszej drużyny. Utworzyła się zwarta kolumna żołnierzy, około 2000 osób. Padła komenda: „Do defilady pułk naprzód marsz”. W tym momencie orkiestra zagrała marsza. Ruszyliśmy dziarskim krokiem koło dowódcy okręgu, patrząc w jego stronę. Zatrzymano nas na boku czworokątnego placu. W ten sposób przemaszerowały inne pułki i ustawiły się obok nas. Przeniesiono podwyższenie do zgrupowanego wojska. Dowódca przemówił do żołnierzy, zachęcając ich do walki z wrogiem. Defilada skończona.

Marsz do koszar na dobry obiad. Tak, tak, dobry obiad, ale tylko wtedy, gdy wyższa władza wojskowa tutaj. Jutro będzie znów ta sama „pochlebka” (polewka) jak każdego innego dnia. Żołnierze zadowoleni z dobrego obiadu mówili, żeby tak częściej były takie przeglądy, ale nie wszyscy zadowoleni. Czy było zadowolonych tych kilku żołnierzy, których dowódca postawił na dwie godziny pod karabinem za to, że pomylili w marszu nogi?

## **Zainteresowanie Polakami**

Na drugi dzień rozkazem pułku awansowałem na młodszego unteroficera. Zbyteczne wyróżnienie. 2 lutego 1916 roku w czasie zajęć z rekrutami

wszedł do izby pisarz kompanijny i zapytał, kto to jest Woško. Zgłosiłem się. Przeszliśmy do kancelarii. Tu w obecności feldfebla pytał się ile mam lat, kiedy przybyłem do pułku, jakiej jestem narodowości, jakiego wyznania. Wszystko sobie zapisał i kazał mi odejść. No, myślę sobie: to chyba trzeba się szykować do wyjazdu z marszową kompanią na front. Po dwóch tygodniach znów przyszedł ten pisarz. Dał mi listę Polaków i polecił mi zebranie innych Polaków i dopisanie ich nazwisk na tej liście. Znałem jeszcze dwóch Polaków: Kołodziejczyka i Mikołajkę, ale ich nie zastałem, bo poszli do kościoła. Na drugi dzień i ja poszedłem do kościoła do wielkanocnej spowiedzi. Po powrocie zwróciłem listę bez nazwisk wymienionych żołnierzy. Krążyła pogłoska, że z Polaków zamierzali utworzyć polski oddział i wysłać na front. Na razie do tego nie doszło, bo Polacy już dawno wyjechali z marszowymi kompaniami na front.

Przed kościołem zauważyłem elewa (ucznia) szkoły praporszczyków, który był udekorowany dwoma krzyżami św. Jerzego. On spojrzął na mnie, ja na niego. Odniosłem wrażenie, że ja go gdzieś widziałem i dobrze go znam. Podszedłem i pytam czy nie nazywa się Wł. Sobolewski. Ten przytaknął i pyta, skąd ja go znam. Powiedziałem, że z ursynowskiego Seminarium. Wtedy i on sobie mnie przypomniał. Opowiedział mi, że przeszedł wszystkie fronty, objechał całą Rosję, kilka razy był ranny, a obecnie uczy się w szkole w Orenburgu. Dodał jeszcze, że w Rosji ożenił się, a jego żona Rozalia mieszka w Taganrogu. Dał mi dokładny adres żony i prosił, abym korespondował z nią. Po skończeniu szkoły za trzy tygodnie znów jedzie na front, ale już jako oficer. Kilka listów do jego żony napisałem, ale od niego nie otrzymałem żadnego i nie wiem, jak się jego losy potoczyły na froncie.

## **Kurs saperów**

W kilka tygodni po przeglądzie wojsk zaszła zmiana na stanowisku dowódcy pułku. Pułkownik Iwanow awansował na generała majora i przeszedł na emeryturę, a na jego miejsce przybył frontowy pułkownik Kirsanow. Zabrał się ostro do roboty. 14 marca 1916 roku urządził przegląd kadry podoficerskiej. Brał po jednym podoficerze, kazał podawać rozkazy, chwyty bronią do strzelania, do walki na bagnety. Zauważyłem, że podoficerowie dużo wyjaśniali, wygłaszali różne teorie, a to mu się nie podobało. Przyszła kolej i na mnie. Pytał, jak ja uczę rekrutów fechtunku karabinem i jak zaznajamiam rekrutów z bojem na bagnety. Wysłuchałem, spojrzałem na manekina stojącego na kółkach pośrodku placu. Po kilku słowach odpowiedzi chwyciłem za karabin i ile sił w nogach pobiegłem do tego manekina. Z całym rozmachem uderzyłem bagnetem w stojący manekin, aż kilka razy wywrócił goziółka. Wróciłem na miejsce, a pułkownik mówi: „Maładiec (zuch), tak trzeba bić Niemców”. Przegląd ten miał na celu wyłowienie kilku słabszych podoficerów

do marszowej kompanii. W ogóle dawał się odczuć brak oficerów i podoficerów w marszowych kompaniach.

17 marca wydelegowano mnie do szkoły saperów. Każda kompania delegowała po czterech podoficerów ze 104., 105., 238., 170. i 244. pułku. Tam przerabialiśmy teoretycznie i praktycznie na piaskownicy i w terenie wybór miejsca na okopy, kierunek rowów, głębokość, rodzaje okopów i ich przeznaczenie. Duży nacisk kładł wykładowca na budowę blindaży, rowów dobiegowych, miejsc dla rannych, palenisk do gotowania herbaty itp. Kurs ten trwał dwa tygodnie. Nabyte wiadomości musiałem po powrocie zastosować w warunkach polowych na stepie w swojej kompanii.

Przez zimę rekruci zdobyli lepsze teoretyczne przygotowanie, a teraz w obozie za Uralem wykańczaliśmy marsze, tyraliery, zajmowanie i opuszczanie okopów podczas zmiany. Pewnego dnia w czasie poobiedniego odpoczynku oddaliłem się kilkaset kroków w stronę Mienownego Dworu. Przyjrzałem się, jak rozpalone powietrze drga. Poziome fale, dość długie, unoszą się jedna za drugą do góry. Na tle Dworu widziałem zamglone sylwetki wielbłądów do góry nogami pomiędzy odwróconymi krzewami.

## **Podróż Orenburg–Orsk (250 kilometrów)**

15 maja 1916 roku wraz z kilkoma żołnierzami i praporszczykiem Nielepą zostałem delegowany do Orska na czas poboru nowych rekrutów. Podróż odbyliśmy na zarekwirowanych podwodach. Początkowo jechaliśmy przez bezdrzewny, płaski i równy step do powiatowego miasta Jaktiubińska. Na przedmieściu nad rzeczką rozłożyła się tatarska wieś, gdzie spotykaliśmy nędzne i brudne zagrody, przed którymi leżały stopy nawozu. Przy jednej z zagród widzieliśmy Tatara na koniu, który tratował rozwaloną kupę nawozu, jeżdżąc na koniu wkoło po mokrym nawozie. Obok dwie kobiety układały to „ciasto” do form, jakich się u nas używa do formowania cegieł. Cegły po obeschnięciu układały w przewiewne piramidy na słońcu, aby je spalić pod kuchnią lub piecem dla uzyskania ciepła w czasie mroźnej zimy (z braku drewna na budowę i opał).

Rozlokowaliśmy się w pustych koszarach. Nigdzie nie można kupić chleba. Musiałem kontentować się szklanką czystej herbaty na kolację i na śniadanie. Rano ruszyliśmy na 12 podwodach w dalszą drogę. Moją podwodą kierował Tatar ubrany w marny, cienki, po kolana płaszcz z czarną skopkowaną czapką na głowie. Oryginalna była ta podwoda. Na dłuższej heblowanej desce opartej na przedniej i tylnej osi wozu na przedzie siedział furman, a za nim ja i trzech żołnierzy okrakiem jak na koniu. Od tej długiej podróży w niewygodnej postawie strasznie rozbolał mnie krzyż, aż trudno było się poruszyć. Droga w pewnym punkcie prowadziła przez małą i płytką rzeczkę. Koń się znarowił pośrodku, nie chciał ruszyć dalej. Grzebał kopytami



po dnie rzeczki i chciał się położyć w wodzie. Żadne wołanie i popędzanie batem tego pięknego czarnego konia nie odnosiły skutku. Musiał więc furman zejść z podwoły i za uzdę przeprowadzić konia i podwołę z nami na przeciwległy brzeg. To samo powtórzyło się przy przejeżdżaniu suchego rowu. Z takimi przygodami dotarliśmy do wsi Pietropawłowska. Tu kobieta formuje cegły „kiziaku” na opał, obok druga z tego kiziaka stawia ściany do jakiejś budowli. Po skończeniu ścian zrobiła płaski dach z tegoż samego materiału budowlanego. Całe szczęście, że ten kiziak w tych ścianach i dachu prędko zasycha na skałę. Inaczej cała budowla zawaliłaby się. Tutaj dostaliśmy kilka szklanek surowego mleka i po większej kromce białego chleba.

Po wymianie podwód ruszyliśmy dalej. 17 maja zarysowały się góry Uralskie. Z wielkim zainteresowaniem obserwuję krajobraz. W miarę posuwania się naprzód podróż staje się uciążliwsza. Wreszcie dochodzi do tego, że musimy schodzić z wozu, bo konie ledwo dają radę pustej furmance. Ta podróż przełęczą trwa kilka godzin. Zbocza gór porośnięte rzadko małą trawą i mchem, a w innych miejscach całkiem gołe skały piętrzą się po obu stronach wąwozu.

Wieczorem docieramy do wsi Kusostepu. Chciałem coś kupić do zjedzenia, ale do mieszkania bez zezwolenia dziesiątnika wejść nie wolno. Przy urzędzie gminy kupiłem za 5 kopiejek kubek herbaty. Ruszamy dalej. Krajobraz się zmienia. Układ gór jest inny. W dolinach i mokrych miejscach prócz wyższej trawy rosną krzaki poplątane, trawy wyższe wodne i szeleszcząca za podmuchem wiatru trzcina. W dali na pochyłym zboczu pasą się owce. Na nasz widok pasterz uciekł w głąb krzaków i tam się schował. Docieramy do pasterskiej osady Ibythorska. Nad nami królują gołe ściany górskie. Nad przepaścią stoi samotna koza i rozgląda się dokoła. Praporszczyk Nielepa wziął karabin od żołnierza i pyta Kirgiza czy wolno do niej strzelać, na co Kirgiz z ociąganiem się wyraził zgodę, ale oficer uśmiechnąwszy się oddał karabin – nie strzelał do tej kozy.

Poprzedzani przez gospodarza zajrzeliśmy do środka „jurty” (namiotu), która dzieli się na dwie połowy. Obie połowy przedzielone są trzciniową matą. W pierwszej połowie pośrodku jest ognisko, czynne tylko w czasie deszczu i nocą. Podłoga (zwykła ziemia) zasłana jest trzciniowymi matami. Pod ścianą stoją kufry obite blachą, pomalowane na różne kolory (z esami-floresami). W nich mieszkańcy przechowują odzież i inne cenniejsze przedmioty. W innym miejscu leżą wygarbowane, pozszywane skóry owiec, które służą do podścielania pod siebie w czasie snu i nakrywania przed chłodem. Skóry w czasie dnia są pozwijane w duże kłęby, powiązane, gotowe w każdej chwili do przewiezienia w inne miejsce (koczowniczy tryb życia). Do drugiej części jurty (część kobieca) obcym wchodzić pod żadnym pozorem nie wolno, więc nie widziałem, jak ta część jurty wygląda. Ściany-dach jurty są szczelnie okryte dużym, grubym wełnianym wołokiem opartym na 12 specjalnych, dopasowanych drewnianych drążkach, których jedno końce są oparte o ziemię,

a drugie zbiegają się razem z pionowym u góry. Z dala jurta ta podobna jest do naszej kopy (stogu) siana.

Przed jurtą paliło się ognisko, podsycane kiziakiem, suchą trawą, a czasem to i chrustem. Na obwodzie ogniska są wbite w ziemię dwa rosochate paliki (czasem metalowe), na nich w rozwidleniu żelazny pręt, na którym zawieszają się nad płomieniem miedziany kociołek z gotującą się w nim strawą. W danym wypadku gotował się gęsty krupnik z kawałkami baraniny. Dokoła ogniska kręciło się troje dzieciaków w wieku 4-9 lat, spoglądających na gotujące się na kolację pożywienie.

Objaśnień udzielał nam stary, brodaty Kirgiz, dokładając do ognia nowe porcje opału. Czasem wyjrzała jego żona z twarzą zakrytą „czarczafem”, spoglądając przez szparę na kociołek, czy krupnik gotowy do jedzenia. Kiedy jedzenie było ugotowane, stary Kirgiz zdjął kociołek owiniętą w skórę ręką i wszyscy razem drewnianymi łyżkami jedli z tego kociołka. Na zakończenie „uczty” każdy członek rodziny dostaje do ręki kawałek baraniny z kością. Po ogryzieniu mięsa kości zjada ładny, duży, czarny pies. Jedzą ten krupnik i mięso bez chleba. Nakarmieni wycierają załuszczone usta rękawem i rozchodzą się. Pasterz spędził duże (może 100-150 sztuk) stado owiec w dolinę między dwiema górami na nocleg, aby jutro wypędzić je na pastwisko w innej stronie.

Na pożegnanie przyniósł w owczej skórze kumys, którym nas poczęstował. Sposób przechowywania i wygląd tego skórzanego naczynia nie pobudzały naszego apetytu, ale odmówić nie wolno, gdyż gospodarz srodze by się obraził, że goście odmawiają wypicia kumysu, narodowego napoju ludzi koczowników mongolskiej rasy. Kumys ma smak kwaśno-słodki. Zawiera pewien procent spirytusu. W skałach gnieździły się gołębie, wybraliśmy 15 jajek.

## W Orsku

18 maja 1916 roku wysiedliśmy z podwód. Nasz kierownik zameldował nasze przybycie wojskowemu naczelnikowi powiatu. Przyjętych do wojska rekrutów odprowadzamy na stację kolejową. 3 czerwca byłem w miejscowym teatrze, położonym w środku młodego sokorowego parku. Tu poznałem trzy Polki, z których jedna przyjechała szukać męża, którego do wojska nie przyjęli – kulawy. Zgubił pieniądze i do domu nie ma za co wrócić. Dorywczej pracy znaleźć nie może. Żona jego udała się do naczelnika powiatu pułkownika Bocińskiego (Polaka) z prośbą o pomoc. Mężowi daje zajęcie przy podlewaniu drzew w parku, a jego żonie 5 rubli na drogę, ułatwiając jej podróż w wagonie z rekrutami.

W czasie pełnienia swych obowiązków dwóch żołnierzy z mojej grupy upiło się, a później poszli do mieszkania jednego z rekrutów celem dokończenia biesiady. Ubrali rekruta w mundur, dali mu do ręki karabin z nabojami i kazali strzelać. Dyżurny oficer zabrał całą trójkę do aresztu.

17 czerwca z małą grupką żołnierzy i praporszczykiem Nielepą wybraliśmy się do kina, którego właścicielem był Niemiec. Widzowie zbierali się w drewnianej szopie, przystosowanej do tego rodzaju imprezy. Dla lepszej widoczności podłoga była nachylona. Siedliśmy na drewnianych ławkach. W ostatnim rzędzie od ekranu pod ścianą już siedział pułkownik Bociański z żoną i córką. Z zaciekawieniem obserwowałem otoczenie i treść niemego filmu. Zaintrygował mnie tytuł filmu *Potop* według powieści H. Sienkiewicza. Obrazy były małe, niezbyt wyraźne, rosyjskie napisy objaśniające treść – dość czytelne, oprawa filmu niewyszukana, prosta. Pierwszy raz w życiu oglądałem obrazy filmowe na ekranie. Wrażenia niezatarte, budujące. Po prostu nie chce się wierzyć, że na pograniczu z Syberią, w kirgiskim kraju, komendantem powiatu był Polak, właścicielem tego kulturalnego przedsięwzięcia Niemiec, film polskiego autora, wśród widzów spora garstka zabłąkanych Polaków, na ścianie w filmie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Codziennie wieczorem wybierałem się na spacer do tego młodego parku, którego aleje oświetlały elektryczne żarówki. Powietrze czyste, w parku spokojnie – przyjemnie odpoczywać po znojmym, upalnym dniu.

Pobór rekrutów już się ma ku końcowi. Ostatnią partię odprowadziliśmy na stację. Pozostali tylko wybrani rekruci wysokiego wzrostu rozlokowani na prywatnych kwaterach. Na rozkaz pułkownika pozbialiśmy ich i umieścili w „wyższej początkowej szkole” na nasze miejsce. Mnie zabrał Rosjanin starszy do swojego domu na kwaterę. Żona jego przyjęła mnie niechętnie, a może nawet wrogo. W izbie czysto, schludnie. Przy drzwiach wejściowych miednica do mycia, kubek na cienkim łańcuszku, w rogu pod sufitem ikona, przed którą pali się światło. Postawiłem karabin w kącie, podszedłem do wiadra celem napicia się wody, a starszy pyta się czy mam swój kubek lub szklanekę do picia. Zaprzeczyłem. Więc on powiada, że obcemu człowiekowi, nawet sąsiadowi nie pozwoli pić wody w swoim kubku. Wytrzeszczyłem oczy ze zdumienia, aby ktoś żałował wody i na chwilę nie mógł pożyczyć kubka. Wyjaśnił dalej, że religia na to nie pozwala. Zdumienie moje osiągnęło szczyt, gdy gospodyni poleciła mi karabin z nabojami wynieść na podwórze. Przemknęła mi przez głowę myśl, czy kobieta ta nie jest czasem wariatką. Starzec wyjaśnił, że oboje z dziećmi są starowiercami. Religia zabrania używania przez obcego naczyń i nakryć, używania alkoholu pod żadną postacią, a nawet herbaty, czy palenia papieru. Są wrogami wszelkich bójek, wojny, kradzieży, kłamstwa itd. Starowierca za nic nie weźmie do ręki strzelby lub karabinu, bo te przedmioty służą do zabijania, co się sprzeciwia boskiemu przykazaniu „Nie zabijaj”. W Rosji są jeszcze inne sekty, których członkowie w wojsku nie wezmą do ręki broni. Wściekłość mnie ogarnęła. Chwyciłem karabin i wybiegłem z tak „gościnnego” domu. Z powodu późnej nocy zrezygnowałem z poszukiwania innej lepszej kwatery. Przechodząc przez podwórze natknąłem się na szopę pełną słomy. Nie namyślając się długo, rozgarnąłem trochę słomy, wsunąłem się w to legowisko. Wtem słyszę kroki zbliżające się

w moją stronę. To stary przyszedł do mnie, przeprosił, dał kawałek suchego, czerstwego chleba i wody w wyszczerbionej szklance: podkreślił, abym po wypiciu wody szklankę odrzucił jak najdalej.

Między rekrutami mieliśmy niekiedy staroobrzędowców, którzy nie chcieli wziąć do ręki karabinów i ćwiczyć razem z innymi. Myśleliśmy, że w ten sposób starają się wymigać od służby i wyjechania na front. Żadne tłuczenie, represje nie dawały rezultatów. Zdarzyło się raz, że dowódca kompanii posadził dwóch rekrutów do aresztu. Po powrocie nic się nie zmieniło. Jeden z podoficerów oparł karabin o rekruta, ten spokojnie odstąpił parę kroków, a karabin upadł na ziemię. Kazał mu go podnieść i postawić na stanowisko. Nie podniósł i spokojnie oświadczył, że jemu nie wolno dotykać się do narzędzia służącego do zabijania ludzi. Sprawę tę rozpatrzył dowódca pułku. Po długich debatach doszedł do wniosku, że tu nic nie da się zrobić. Poleciał im dawać najtrudniejszą i najbrudniejszą robotę, nie wyłączając oczyszczania z fekaliów ustępów.

Obserwując życie „bieżeńców”, właściwie wygnańców, Polaków zamieszkających w ciasnych, dusznych barakach, nabrałem przekonania, jak ciężko jest im żyć bez pracy, której znaleźć nie mogli, gdyż w Orenburgu i okolicy nie było żadnych dużych zakładów przemysłowych, a dorywcza praca nie zaspakajała potrzeb tych nieszczęśliwych ludzi. Gorzej było z pracą dla kobiet, dlatego niektóre młodsze kobiety przyjmowały „pracę” nocną przeważnie z rosyjskimi żołnierzami. To rzucało cień na nasze polskie kobiety.

## **Do Petersburga (Piotrogradu)**

25 czerwca 1916 roku pociąg z rekrutami do Lejbgwardyjskiego Siemionowskiego Pułku ruszył w drogę. Zamiast pożywienia codziennie otrzymywaliśmy po 32 kopiejki strawnego na życie w czasie podróży. Po 38-dniowym pobycie pożegnaliśmy Orsk z jego przyjemnościami. Z każdą godziną krajobraz się zmieniał. Stepy ustępowały rzadkim małym krzewom, a te polom uprawnym. Od Buzułuku zaczynają się lasy, wsie rosyjskie i miasteczka z domami krytymi zieloną blachą. Pomiędzy Samarą a Syzranem powoli pociąg wjechał na most, wysoko przerzucony nad Wołgą, o długości 650 sążni\*. Przy moście na torze kolejowym pracowali robotnicy, przeważnie kobiety i chłopcy. W tych okolicach mieszkają Mordwini. Kobiety noszą krótkie i wąskie spódnice z białego, własnoręcznie tkanego płótna ozdobionego różnymi czerwonymi tasiemkami. Nogi owinięte takim samym płótnem, w łapciach przytroczonych do nóg czerwonymi wstążkami. Głowy nakrywają kolorowymi chustkami, spod których na czole wystają różne świciełka.

Tutaj krajobraz bardzo urozmaicony. Pociąg przeciął górzysty prawy brzeg Wołgi i wjechał na falistą wyżynę. Raz pociąg pędzi po wysokim nasypie,

\* 1 sążeń rosyjski = 2,133 metra - przyp. red.

aby później przejechać przez głębokie wykopy. Mijaliśmy duże pola, mieszane lasy (brzoza, dąb, klon, topola). Między rekrutami było czterech Polaków: Kaczyński, Kowalski, Goliński i Zadernowski.

28 czerwca zjedliśmy obiad na stacji kolejowej w Rozarówce, a dwa dni później w Riazaniu. 1 lipca okólną drogą minęliśmy Moskwę, a dwa dni później wysiedliśmy w Piotrogradzie (4 lipca). W ciągu podróży żywiliśmy się skąpo, bo te 32 kopiejki nie wystarczały na codzienne utrzymanie przy wysokich cenach produktów. Np. funt\* chleba kosztował 12 kopiejek, funt cukru 60 kopiejek, funt wędzonej kielbasy 1 rubel 20 kopiejek. „Kipiatok” (gorącą wodę) na herbatę czerpaliśmy z kotłów na stacji za darmo.

Petersburg położony jest przy ujściu Newy do Zatoki Fińskiej. Miasto przecinają liczne kanały, przez które przerzucone są artystycznie zbudowane mosty. Grunt jest podmokły, dlatego wiele pięknych domów zbudowano na solidnych dębowych palach. Kanałami krążą kajaki, gustownie urządzone łodzie dla amatorów wodnych wycieczek. Nad brzegami zatoki, jezior i rzek zbudowano liczne bulwary (prospekty) dla spacerujących.

Rekrutów umieściliśmy w koszarach Lejbgwardyjskiego Siemionowskiego Pułku. Na razie z tymi rekrutami nie urządzało się ćwiczeń, gdyż kadra oficerska i podoficerska była zajęta dokańczaniem ćwiczeń żołnierzy mających udać się na front. Wszyscy żołnierze są bardzo wysokiego wzrostu, gdyż ten pułk był otoczony specjalną troską, jako pułk reprezentacyjny, do którego kierowano specjalnie dobraną młodzież z całej Rosji. Marsze odbywają wolno, krocząc dużymi krokami. Umundurowani dostatnio, jednolicie, żołnierze w całej swej masie wyglądają wyśmienicie. (Na froncie łatwo będzie wrogowi trafić do tak dużej postaci).

Przy rekrutach zostawiliśmy kilku naszych żołnierzy dla utrzymania porządku i doprowadzenia ich do punktu żywnościowego na obiad i kolację. Sami gromadnie (około 12 osób) ruszyliśmy oglądać stolicę.

Najpierw ruszyliśmy bulwarem nad rzekę Nową – krótką, wypływającą z jeziora Ładoga. Później obejrzelśmy Senat, Synod, Pałac Zimowy, gdzie mieszka rodzina cara (car jest w Głównej Kwaterze przy niemieckim froncie). Kilka godzin byliśmy w ZOO. Tu na małej powierzchni znajduje się dużo zwierząt egzotycznych (słonie, żyrafy, hipopotamy, kolczatki australijskie, małpy, węże – boa dusiciel, okularnik itp., oraz fauna krajowa: niedźwiedzie, wilki, rysie, żbiki, orły itp.). Zwierzęta te są ścieśnione w klatkach, bez wybiegu i środowiska naturalnego. Dłuższy czas poświęciłem oglądaniu słoni. Oto dwa dorodne słonie w klatce żelaznej. Obok handlarka z warzywami i gromada turystów, którzy kupują warzywa, dają słoniom i obserwują jak sobie słoń pomaga swoją trąbą. Podchodzi panienka do słonia i kładzie przed nim banknot 20-kopiejkowy. Słoń trąbą zabiera banknot i przez otwór między kratkami podaje go przekupce, która w zamian daje słoniowi pęczek marchwi. Ludzie buchnęli śmiechem, podziwiając zalety handlowe słonia.

\* 1 funt = 0,41 kilograma – przyp. red.



Za tym przykładem idą inni, ledwo słon nadąża przeprowadzić transakcję i zjeść kupiony towar, a już ma przed sobą nowy banknot itd. Podobna historia dzieje się przy klatce z małpami.

Następnego dnia idziemy dalej zwiedzać miasto. Tu musieliśmy się podzielić na mniejsze grupki 2-4 żołnierzy, gdyż przejeżdżając bezpłatnie tramwajem natrafialiśmy na trudności przy wsiadaniu dużą grupą jednocześnie, a zostawić nikogo nie mogliśmy w obawie zbłąkania żołnierza w dużym a nieznanym mieście.

Mnie bardziej interesowały instytucje kulturalno-oświatowe. Zwiedziłem ze swoją grupką muzeum Piotra Wielkiego, muzeum Aleksandra II, gdzie oglądaliśmy francuskie sztandary z wojny napoleońskiej, Ermitaż z galerią obrazów szkoły flamandzkiej, francuskiej, włoskiej i niderlandzkiej. Były tam obrazy pochodzące z Azji, Ameryki i Australii. Są tam zgromadzone rzeźby sławnych artystów świata. Następnego dnia obejrzelśmy z zewnątrz twierdzę Pietropawłowską, w której był przez pewien czas T. Kościuszko z Niemcewiczem. Na okręcie płynącym Newą obejrzelśmy twierdzę Kronsztadt, położoną na wyspie między jeziorem Ładoga a zatoką Fińską. Do środka nie chcieli nas wpuścić. Mieliśmy zamiar zwiedzić Ludowy Dom, gdzie również są obrazy i rzeźby. Na czas wojny ten Dom jest zamknięty. Skorzystaliśmy z okazji i obejrzelśmy sztuczną górę, na której szczyt można za 20 kopiejek wejść zębata kolejką.

W ostatnim dniu sam się wybrałem na zwiedzanie osobliwości miasta. Zajrzałem do kilku cerkwi w stylu bizantyjskim i do soboru św. Izaaka, który zbudowany jest w stylu zachodnioeuropejskim, np. jest tam jedna główna i długa nawa przecięta dwiema nawami w postaci katolickiego krzyża. Wieże też są takie, jak w kościołach katolickich. Obszedłem dokoła Pałac Admiralicji zbudowany według planu architekta włoskiego, a dokończony przez architekta rosyjskiego. Natknąłem się również na kościół rzymskokatolicki św. Katarzyny, gdzie czasowo był pochowany ostatni nasz król Stanisław August Poniatowski. Tutaj dłużej się zatrzymałem i gorąco pomodliłem, aby nikt więcej z Polaków nie tułał się po obcej ziemi.

Wracając do koszar, zwróciłem uwagę na szyld przed sklepem i okna wystawowe. Ku wielkiemu memu zdziwieniu przeczytałem napis po rosyjsku: „Polskij kniżnyj magazin = Księgarnia polska” (dosłownie). Wszedłem do środka, kiedy księgarz rozmawiał po polsku z subiektem. Zwróciłem się po polsku, czy mogę kupić „Kurier Nowy”. Księgarz przytaknął i podał mi polską gazetę. Następnie pytam czy można kupić kilka numerów wcześniej wydanych. Kupiłem sześć egzemplarzy z całego tygodnia. Księgarz podając mi gazety uśmiechnął się i mówi: „Pewnie pan dawno nie czytał polskiej gazety?”. Odpowiedziałem mu, że pełnię służbę wojskową w Orenburgu, a polskiej gazety od przeszło dwóch lat nie miałem w ręku. Następnie zapytałem, czy mogę jeszcze kupić *Pana Tadeusza*. Księgarz odwrócił się do półek i podał mi nowy egzemplarz żądanej książki. Zapytałem o cenę. Książka



kosztuje 95 kopiejek. Otworzyłem portmonetkę i znalazłem w niej 73 kopiejki. Księgarz wręczył mi książkę i powiedział, że to mi daje bezpłatnie na pamiątkę pobytu w Piotrogradzie. Książkę przyjąłem z podziękowaniem, na jakie mnie było stać. Uszczęśliwiony wróciłem do koszar z pękiem polskich gazet i arcydziełem Mickiewicza. Odjeżdżając po kilku miesiącach, podarowałem go memu koledze Polakowi.

Wychodząc z Ermitażu, na schodach spotkałem grupkę Polaków obojga płci rozmawiających po polsku. Nie chcąc im przeszkadzać i przeciskać się między nimi, na chwilę zatrzymałem się przed schodami, aby ich przepuścić do sali Ermitażu. Na podeście stał odźwierny Rosjanin, który zwrócił się do mnie: „Ich wszędzie pełno, oni nic tylko cokajut da cokajut”. Drażniła go polska mowa, ich obecność i używanie wyrazu „co”.

## Do Moskwy

9 lipca wieczorem opuściliśmy koszary Lejbgwardyjskiego Siemionowskiego Pułku w Piotrogradzie i przybyli na dworzec kolejowy Mikołajewski. Tu zastaliśmy bardzo dużo ludzi cywilnych i żołnierzy. Spóźniliśmy się na pociąg zdążający do Moskwy. Praporszczyk Nielepa stracił orientację, stanął bezradnie, co ma dalej robić? W końcu wsiedliśmy do pociągu żołnierskiego. Stojąc w przejściach, ruszyliśmy w dalszą podróż. Atmosfera żołnierska, żarty, dowcipy niefrasobliwych żołnierzy towarzyszyły nam w czasie jazdy. Po upływie dwóch godzin musieliśmy w Twerze przesiąść się do innego pociągu trzeciej klasy, zdążającego przez Riazań do Moskwy, do której dotarliśmy 10 lipca rano.

Ponieważ nasz pociąg miał ruszyć dalej wieczorem, więc cały dzień obróciliśmy na zwiedzanie dawnej stolicy carów – Moskwy. Pierwsze kroki skierowaliśmy w stronę Kremla, który jest otoczony wysokimi murami. Na dziedzińcu obejrzelśmy dużą Car Puskę („car armata”) z czasów wojny szwedzko-rosyjskiej. Tuż obok leżało kilkanaście okrągłych ołowianych kul do tej starej armaty, a następnie Car Kołokoł („car dzwon”) wysoki na około 6 metrów, ze szczerbą, którą można swobodnie wejść do środka dzwonu, pamiętający czasy Iwana Groźnego. Do środka, do komnat wejście było wzbronione. Następnie zwiedzaliśmy zabytkową cerkiew Błogosławionego Wasyla. Zachowało się jeszcze trochę starych niskich drewnianych domów ochronianych przez konserwatorów. Z powodu krótkiego czasu nie szukaliśmy innych historycznych zabytków. Moskwa w owym czasie była sennym, spokojnym miastem rozłożonym nad rzeką Moskwą. W porównaniu z Piotrogradem nie cieszyła się ani popularnością, ani czystością ulic.

Z Riazańskiego dworca kolejowego, pasażerskim pociągiem w III klasie, wieczorem 10 lipca ruszyliśmy w drogę. Pociąg jechał rażno, na stacjach zatrzymywał się krótko, aby z uderzeniem trzeciego dzwonka na budynku

stacyjnym ruszyć dalej. Następnego dnia dotarliśmy do Wołgi. Na kilkanaście metrów przed mostem pociąg zatrzymał bieg do tego stopnia, aby żołnierze pełniący służbę po obu stronach rzeki mogli po dwóch wejść do każdego wagonu pociągu. Jeden od drzwi przednich, drugi od tylnych, zbliżali się do środka wagonów i wygłaszali do pasażerów słowa: „Po ukazu Jego Impieratorskowo Wieliczystwa dwieri i okna zakryt’ ” („Według nakazu Jego Imperatorskiej Majestatyczności drzwi i okna zamknąć”). Jeden żołnierz zatrzymał się w jednej połowie wagonu, a drugi w drugiej połowie wagonu, bacząc, czy ktoś na moście nie wyrzuci jakiejś paczki. Pociąg wolniutko, majestatycznie przejechał na drugi brzeg i żołnierze wysiedli, aby towarzyszyć innemu pociągowi i innym pasażerom. Niezależnie od tej ochrony dniem i nocą przed i pod, i za mostem krążyły łodzie z żołnierzami. Ochrona tego mostu w czasie wojny była konieczna. Uszkodzenie mostu spowodowałoby zerwanie łączności Azji z Europą. Dalsza podróż odbyła się normalnie bez żadnych niespodzianek i zakłóceń. Tak więc podróż z Piotrogradu do Orenburga trwała pięć dni.

## Znów w Orenburgu

Po 60 dniach „wojażu” 29 lipca 1916 roku znalazłem się znów w Orenburgu. W pierwszych dniach po powrocie czułem się jakoś dziwnie, nieswojo. W czasie mojej delegacji komendę nad moją drużyną objął młodszy podoficer Szyrokow. Na ćwiczenia kompania wyruszyła w nowym składzie. Ja zostałem bez przydziału, samotnie powlokłem się na tyle kompanii. Zaszła również zmiana na stanowisku dowódcy kompanii. Poprzedni dowódca sztabskapitan Leonow został oddelegowany do dowództwa batalionu, a dowództwo 7. kompanii objął praporszczyk Demczenko, Ukrainiec (Chachoł). Dowództwo plutonu objął po Nosaczowie podchorąży przybyły z frontu. Czułem się jakbym był tu już niepotrzebny – pachniało frontem.

Po przeglądzie żołnierzy ze starszych roczników pułkownik Kirsanow był bardzo niezadowolony, zarządził mordercze ćwiczenia w dzień i w nocy. Po tygodniowej gonitwie dowódca brygady przysłał swojego pomocnika pułkownika Sterleckiego; przeprowadził on kontrolę, która wykazała, że 131. kompania jest już dobrze przygotowana do wyjazdu na front. Z Orenburga wyjechało na front dziewięć marszowych kompanii, ja jeszcze zostałem.

## Sprawy gospodarcze

W sierpniowe niedziele część kompanii (pluton) była kierowana na roboty: rwanie tataraku na maty, robienie mat. Po skończonej robocie i odprowadzeniu żołnierzy do namiotów spotykałem się ze Stańczykiem z Puław, czytaliśmy wspólnie *Pana Tadeusza*, którego przeczytaliśmy w dwie niedziele.

23 sierpnia dwa plutony wybrały się z nożami celem nacięcia różeg „czyliگی” (gałązki uralskich krzewów). Zaledwie przeszliśmy około 2 wiorsty, gdy zaczął śiąpić deszczyk, a potem zaczął się rześisty duży deszcz. Zmuszeni byliśmy wrócić po odbyciu około 8 kilometrów drogi. Po dwóch dniach pogoda się poprawiła. Od samego rana słońce zaczęło mocno przygrzewać. Dowódca kompanii zarządził wymarsz całej kompanii po czyliگی. Forsownym marszem dotarliśmy do lasu. Tyralierą posuwaliśmy się w głąb leśnej gęstwiny. Jedni żołnierze trafili na poszukiwane krzaki i zaczęli zrżynać różgi, a inni posuwali się dalej w poszukiwaniu różeg. Znalazłem z kilkoma żołnierzami dobre stanowisko. Zabraliśmy się rażno do roboty, która niestety nie trwała długo, gdyż niebo się zachmurzyło i zaczął padać rześisty deszcz. Zebraliśmy wyciętą czyliگی i na sygnał trąbki sygnalisty zebraliśmy się w leśniczówce. W pośpiechu złożyliśmy różgi na jeden stos i pobiegliśmy do chaty leśniczego, zbudowanej z chrustu oblepionego gliną, a nakrytej dachem z siana. Niedługo cieszyliśmy się tym schronieniem, bo siano przemokło i woda zaczęła początkowo pojedynczymi kroplami kapać po kątach, a potem łać się strumieniami na całą powierzchnię lepianki. Na dworze zaś padał teraz mały deszczyk, więc wyszliśmy na wolne powietrze.

Kilku żołnierzy obrało kartofle, wyplukali, zasypali jaglaną kaszą i zalali wodą. W tym czasie inni żołnierze z wielkim trudem rozpalili ognisko pod gęstą leszczyną. Przez dwa rosochate paliki przerzucili drażek, na którym zawiesili dwa wiadra nad ogniskiem. Z powodu wilgoci ogień dawał mały płomień, przez co gotowanie się przeciągnęło. Żołnierze głodni, przemoczeni, niecierpliwie czekają na ten obiad, łażą po podwórzu ogrodzonym chrustem, zaglądną do komórek z chrustu i gliny. To denerwuje leśniczego. Chciałby się nas prędko pozbyć. Zupa się zagotowała, ale kartofle i kasza jeszcze są niedogotowane. Po kilkunastu minutach rozlaliśmy do kociołków, wyciągnęli drewniane okrągłe łyżki zza cholewy buta i przystąpili do biesiady, zakąszając razowym przypalonym chlebem.

Ruszyliśmy w stronę naszego obozu. Po drodze spotkaliśmy stanicę (chutory) kozackie. Po kilku żołnierzy wstępowało do tych stanic, ale chleba nie zdobyli. Trafiliśmy na jeden chutor, który wyglądał dobrze. Zbudowany z okrągłaków, w oknach były czyste szyby, wejście przez ganek, którego dach blaszany, pomalowany na kolor zielony, oparty był na dwóch ładnych heblowanych słupkach. Tu mieszkał przed wojną cecul kozacki. Razem z naszym oficerem wybraliśmy się do tego domu. Na ganku zetknęliśmy się ze starym (około 70 lat) Kozakiem. Zapytałem się czy pozwoli wejść do środka. Z ociąganiem się wyraził zgodę. W mieszkaniu czysto, podłoga malowana olejną farbą (ciemny orzech), w rogu ikona, przed którą pali się światło. Pośrodku pokoju stół nakryty obrusem. Praporszczyk wyłuszczył cel naszej wizyty. Kozak w szerokich, czarnych, z niebieskimi lampasami spodniach, w starym mundurze, wojskowej czapce, spod której wymykały się pasma siwych włosów, zgodził się dać nam bochenek chleba z pszennej mąki. Na zapytanie o cenę

powiedział, że to daje darmo, bo on jako stary żołnierz zna życie wojskowe. Sam brał udział w wojnie japońsko-rosyjskiej, a teraz ma na wojnie dwóch synów, od których już kilka miesięcy nie otrzymuje listów. Może i oni potrzebują od kogoś pomocy. Być może, że i jego jeszcze powołają na służbę. Konia ma dobrego, wypróbowanego, mundur wisi w szafie, szabla (wskazał na ścianę) też gotowa.

Przed wieczorem pogoda się ustaliła. Następnego dnia jesteśmy znów w lesie. Teraz teren już dobrze znamy. Zabraliśmy się do roboty ochoczo. Po kilku godzinach wycięliśmy całe stopy czyligi. Zaczęliśmy ją znosić do leśniczówki. Niosąc duży pęk różeg, w pewnej chwili pomiędzy krzakami coś gwałtownie wyskoczyło spod wykrotu. Popatrzyłem w tę stronę, lecz niczego podejrzanego nie zauważyłem. Zaledwie zdążyłem zrobić kilkadziesiąt kroków, nagle od przodu na moje spotkanie wyskoczył wilk, przebiegł w odległości 10-15 kroków, klapiąc zębami. Obleciał mnie strach. Ciągnę wiązkę po ziemi i rozglądam się na wszystkie strony. Teraz z drugiego boku przebiegł wilk, ale już w mniejszej odległości. Zacząłem wołać na żołnierzy, aby nawiązać z nimi kontakt. Dały się słyszeć głosy żołnierzy idących z tyłu za mną. Przystanąłem, zrównałem się z nimi i pytam czy czegoś nie słyszeli i nie widzieli. Oni oznajmili, że słyszeli jakieś skoki. Podzieliłem się z nimi swoimi spostrzeżeniami. Do leśniczówki doszliśmy spokojnie. Leśniczy nam opowiedział o swoich spotkaniach z wilkami. Przed wybuchem wojny często polowali na wilki, obecnie nie ma mężczyzn, więc wilki się rozmnożyły i stały się rozzuchwalone. Radził nam, aby pojedynczo nie zapuszczać się daleko w las, bo o przygodę bardzo łatwo.

Zaraz po południu zaczęliśmy się zbierać do odejścia. Zapytaliśmy czy nie ma czasem krótszej drogi do miasta. On nam odpowiedział, że jest, ale trzeba się przeprawić na drugą stronę Uralu. Ułatwił nam drogę, zorganizował przeprawę przez rzekę na łodziach. Przewoźnik musiał kilka razy przepływać Ural w poprzek rzeki, zabierając każdorazowo po kilkunastu żołnierzy. Przed wieczorem byliśmy już w obozie. Po wieczornym apelu dowódca kompanii wyznaczył mnie i czterech żołnierzy do zwiezienia czyligi na wołach do składu w mieście. Wczesnym rankiem wyruszyliśmy dwoma wozami po materiał do leśniczówki. W godzinach południowych dowleliśmy się do leśniczówki, załadowaliśmy wozy i wzdłuż rzeki ruszyliśmy do miasta.

Po drodze co kilkadziesiąt kroków spotykaliśmy wiatraki, ale o znacznie mniejszych skrzydłach i prędkich obrotach. Te wiatraki pompują wodę z rzeki, albo ze studni i wylewają do koryt zbitych z desek. Od głównego koryta rozgałęziają się mniejsze i jeszcze mniejsze. Woda, płynąc tymi nieszczelnymi korytami, korytkami i rowkami, nawadnia ziemię, a ta wypoczęta i użyźniona starymi przegniłymi trawami rodzi bogate plony w ogródkach warzywnych. Pięknie wyrastają dynie, arbuzy, melony, ogórki i inne. Te warzywa na miejscu można kupować w dużych ilościach za bezcen, natomiast chleba, cukru,

mąki, nafty, soli bardzo trudno zdobyć. Mężczyźni na wojnie, w domu zostały kobiety, dzieci i niedołążni starzy ludzie. Nie ma kto uprawiać pól i zbierać zboża na chleb, mąkę itd.

## **Powrót do koszar**

Ćwiczenia terenowe i obozowe już się skończyły. Zaczynają się chłodne noce pod płótnami namiotów. 31 sierpnia z wielką pompą i paradą przy dźwiękach orkiestry wojskowej pułki wracają do miasta, do swoich koszar. Zastępca dowódcy brygady pułkownik Sterlecki zarządził przegląd pułków: 104., 105. i 238. na Zielonym Bazarze. Żołnierze wykazali się dobrą znajomością służby wojskowej. Następnego dnia wyjeżdżają nowe kompanie marszowe bez broni na front. Dowództwo armii na froncie natarczywie upomina się o posiłki, gdyż przebieg wojny jest groźny dla Rosji.

Z poprzedniego poboru zostało w kompanii kilkunastu żołnierzy, którzy z różnych powodów nie pojechali na front. W koszarach słychać ponaglenia, rozkazy, bieganinę, bo ci żołnierze muszą w ciągu kilku godzin posprzątać koszary, pomyć podłogi, drzwi i okna, zaopatrzyć umywalnie w wodę itp.

Następnego dnia zjawiają się nowi rekruci, ludzie młodzi o wyglądzie chłopięcym, urodzeni w 1900, 1901, 1902 i 1903 roku, a więc po skończonych 14, 15, 16, 17 latach życia. Przykro pomyśleć o tym, jak te dzieciaki będą się męczyć w zdobywaniu sprawności fizycznej, przerobieniu ćwiczeń i opanowaniu techniki wojennej.

Zaledwie zdążyli się rozpatrzyć, rozlokować, a już zaczynają się pierwsze ćwiczenia organizacyjne i informacyjne. Z uwagi na wiek rekrutów dowództwo zmodyfikowało treść ćwiczeń i powiększyło czas na odpoczynek między zajęciami. O godzinie 5 zaczęła drużyna mycie podłóg i pomoc w kuchni. Pobudka ogólna o godzinie 6. Przed obiadem ćwiczenia pięć godzin. Przerwa obiadowa i sen poobiedni trzy godziny. Ćwiczenia popołudniowe dwie i pół godziny. Odpoczynek i kolacja trzy godziny. Zajęcia teoretyczne wieczorem jedna godzina i sen siedem godzin. Stosunkowo dużo czasu poświęcono ćwiczeniom na przyrządach gimnastycznych: drabina, koziół, trampolina, drążki równoległe, płotki, skoki wzwyż, skoki w dal. Gorzej było z karabinami: tych w kompanii było zaledwie 16 sztuk wzorca 1894 rosyjskich, kilkanaście berdanek z 1812 roku, kilkanaście karabinów francuskich Viter-Li i kilkanaście włoskich Vitalia oraz kilkadziesiąt drewnianych „karabinów” sporządzonych przez stolarzy pułku.

Nowi rekruci pochodzą z orenburskiej guberni i są w trzech czwartych wyznania mahometańskiego. Zaczęło się ich wielkie jesienne święto Kurhan-Bajran, które trwa normalnie trzy dni, połączone z postem i umartwieniem. Zajęć nie było. Dowództwo wykorzystało ten dzień na egzamin kadry. Z rozkazu

Dowództwa Kazańskiego Okręgu Wojskowego wydano w formie katechizmu broszurę z pytaniami i odpowiedziami do wyuczenia się kadrowiczom. A wiadomości zaiste bardzo ważne, budujące, zaskakujące. Na przykład: Co to jest sztandar? Do czego służy bagnet? Ile waży karabin z bagnetem, a ile bez bagnetu? Powiedz na pamięć „Otcze nasz”. Powiedz dokładnie, kto jest naszym carem itd. itd. Całymi godzinami kuliśmy odpowiedzi, bo to miało być powiedziane dokładnie, w przeciwnym razie przegramy wojnę z Niemcami. Mnie wypadło powiedzieć na pamięć „Otcze nasz”. O ironio, co za traf, co za niespodzianka! Mnie, katolikowi, wypadło powiedzieć: „Otcze nasz iże jesi na niebiesach...” w języku starocerkiewnym. Ponieważ codziennie wieczorem po apelu śpiewali prawosławni tę modlitwę, więc osłuchałem się i coś niecoś zapamiętałem, ale żeby dosłownie, z użyciem odpowiedniego akcentu, bez niczyjego wsparcia dokładnie powiedzieć, to było ponad moje siły. Ale jękając się, powtarzając już powiedziane wyrazy, wydukałem tę modlitwę. Oficer popatrzył na mnie, ironicznie uśmiechnął się i powiedział: „Wy na pewno nie jesteście prawosławnym”. Przytaknąłem i powiedziałem, że jestem wyznania rzymskokatolickiego. „Da, da, eto było widno w waszim otwietie” („Tak, tak, to było widać w waszej odpowiedzi”).

Nieszczęścia chodzą parami. W czasie odjazdu na front kompanii marszowej przy wsiadaniu do pociągu dwóch żołnierzy zdezerterowało ze stacji. Zostali ujęci przez żandarmerię wojskową na ulicy. Dowódca pułku kazał ich zamknąć do aresztu na 30 dni do chwili rozprawy sądowej. Feldfelbel zobowiązał mnie do dostarczania im obiadów codziennie o godzinie 12. Ja zupełnie zapomniałem o tym obowiązku. Po upływie trzech dni do kancelarii kompanii wpłynęło pismo od dowódcy warty z zapytaniem, dlaczego aresztanci nie otrzymują pożywienia. Feldfelbel wezwał mnie do wytłumaczenia się. Odpowiedziałem mu, że zupełnie zapomniałem o tym, na co otrzymałem wymówkę w groźnym tonie, że to mi gładko nie przejdzie.

Tymczasem w nocy z kilku żołnierzami musieliśmy wyczyścić podłogi w korytarzach. Teraz już nabrałem przekonania, że z najbliższą kompanią wyślą mnie na front. Wcześniej zacząłem likwidować swoje prywatne sprawy. Między innymi sprzedałem swoje dobre buty, w których jechałem do Orenburga, za bezcen.

W gazecie „Russkoje Słowo” z 6 listopada wyczytałem wiadomość o śmierci H. Sienkiewicza w Vevey w Szwajcarii. Tym się bardzo przejąłem, gdyż ten człowiek był mi bardzo bliski z racji zakładania Seminarium w Ursynowie i jako znakomity pisarz powieści, *Trylogii*. W naiwności swej myślałem o tym, że on właśnie powinien zorganizować siły zbrojne, w tym wojennym chaosie utworzyć państwo polskie, i zostać ich wodzem. Uwolni nas z politycznej niewoli i poprowadzi na wyżyny chwały.

W wigilię o godzinie 11<sup>30</sup> w nocy wyruszyłem sam z koszar (kolega Stańczyk nie wstąpił po mnie) do kościoła na pasterkę. Noc pogodna, cicha, mróz  $-30^{\circ}\text{C}$  poprzez zimową odzież dobiera się do skóry, buty na zmarznię-



tym śniegu skrzypią. Kilkanaście minut spóźniłem się. Ksiądz przy ołtarzu celebrował nabożeństwo, organy wtórują kolędom śpiewanym przez mieszany chór. Ciepło, miło, przyjemnie w tej polskiej atmosferze, tak jak to w Urzędowie było. Przed odejściem od ołtarza po nabożeństwie ksiądz zaintonował „Anioł pasterzom mówił”. Organista pan Barwa (po wojnie był organistą w Urzędowie) włączył organy, zebrani w kościele podchwycili i zaczęli zgodnie śpiewać. W pewnym momencie do tej melodii wkradł się jakiś dysonans. Ktoś śpiewa inne wyrazy i całkiem inną melodię. W kościele nastąpiła konsternacja, część ludzi w kościele przerwała śpiewanie kolędy. Wtedy dało się słyszeć „Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...”. Jakiś czas część ludzi śpiewa kolędy, a część polską pieśń patriotyczną, zaintonowaną przez oficerów Polaków, jeńców z wojska austriackiego. Jakiś pan w cywilu tłumaczył oficerom, że tu nie miejsce na takie wystąpienie. Organista wykorzystał ten moment i zagrał na organach kolędą *fortissimo* i zagłuszył oponentów. Na cmentarzu kościelnym za dużym ołtarzem wojskowi Polacy ze 104., 105., 238. pułku dzieliliśmy się oplatkiem z życzeniami prędkiego zakończenia wojny i jak najszybszego powrotu do domu.



### A co na frontach?

W roku 1915 Rosja poniosła klęskę, lecz się nie załamała. W tym czasie Anglia i Francja zmobilizowały milionowe armie, zorganizowały przemysł wojenny. Niemcy w obawie wyczerpania sił na niezmierzonym obszarze Rosji postanowiły w 1916 roku skierować się na front zachodni. Boje pod Verdun trwały z małymi przerwami 10 miesięcy. Tu Niemcy ponieśli klęskę. W „rzezi pod Verdun” obie strony straciły około 700 000 żołnierzy. W maju wojska austro-węgierskie zadały wielką klęskę armii włoskiej. 4 czerwca generał Brusilow przeszedł do ataku na froncie 400 kilometrów. Niemcy przerzucili z frontu zachodniego na wschodni duże posiłki. Brusilow zdobył 500 armat, 2000 karabinów maszynowych. Wziął do niewoli ponad 400 000 jeńców.

Zimą i wiosną 1916 roku Rosjanie rozgromili armie tureckie w Armenii, zdobywając Erzerum i Trapezunt.

Anglicy i Francuzi prowadzili wielką ofensywę nad Sommą, krwawszą od Verdun. Obie strony straciły około 1 200 000 ludzi. W tej bitwie technika angielska i francuska po raz pierwszy dorównała technice niemieckiej. Alianci zużytkowali w tej bitwie więcej pocisków i środków bojowych niż armia rosyjska w ciągu 1914 i 1915 roku.

28 sierpnia 1916 roku Rumunia wypowiedziała wojnę Austrii i Niemcom. Po kilku dniach wojska rumuńskie zostały rozbite. Większa część Rumunii z Bukaresztem dostała się w ręce Niemców.

Niemcy chcieli przerwać blokadę angielską. Flota niemiecka została rozbita u brzegów Jutlandii. Wszędzie Niemcy ponoszą straty. W krajach wojujących dał się odczuć brak surowców i żywności, zwłaszcza w Niemczech i Austro-Węgrzech. Burżuazja żądała szybkiego zakończenia wojny. W Anglii

nastąpiła zmiana rządu. Rząd Asquitha ustąpił rządowi Lloyd Georga. W Niemczech władza przeszła z rąk kanclerza w ręce naczelnego dowództwa: Hindenburga i Ludendorffa.

Wszystkie zapasy surowca poddano surowej kontroli państwa. Dla zapewnienia siły roboczej przedsiębiorstwa wojskowe wszystkich państw wprowadziły powszechny obowiązek pracy. Brak żywności i przedmiotów powszechnego użytku spowodował wprowadzenie kartek żywnościowych i zrodził spekulację towarami pierwszej potrzeby.

W początku grudnia 1916 roku Niemcy w imieniu Czwórprzymierza wystąpiły do państw Czwórporozumienia z propozycją rozpoczęcia rokowań pokojowych. Niemcy i Austro-Węgry spodziewały się przy tym wywołać rozłam między Rosją a Anglią i zawrzeć oddzielny pokój z Rosją, a potem rozgromić Anglię, Francję i Włochy. Państwa Ententy odpowiedziały, że nie może być mowy o rokowaniach pokojowych dopóki Niemcy nie opuszczą wszystkich zajętych terytoriów, i nie nastąpi przywrócenie niepodległości Belgii i Serbii, oddanie Francuzom Alzacji i Lotaryngii, rozczłonkowanie Austro-Węgier, podział Turcji itp.

Wojna nadal trwa ze zmiennym szczęściem i zbiera swoje żniwo.

---

## Nowy 1917 Rok

Nowy 1917 Rok rozpocząłem nabożeństwem w kościele katolickim. Po obiedzie ze Stańczykiem udaliśmy się dorożką za 1,5 rubla do baraków położonych daleko za miastem. Pierwsze kroki skierowaliśmy do szpitala, gdzie leżało około 10 młodych ludzi z różnych pułków, legionistów i jeden staruszek. Barak ze strony zewnętrznej i wewnątrz sprawiał przyjemne wrażenie. W powietrzu unosił się orzeźwiający zapach żywicy. Chorzy leżą w czystej pościeli na pojedynczych łóżkach. Barak oświetlony elektrycznym światłem, podłoga czysto wymyta. Niektóre łóżka są nakryte kocami z literami P.O.W. (Pomoc Ofiarom Wojny). Tu przyjęto nas gościnnie herbatą z białym chlebem. Rozmawialiśmy o tym, co się obecnie dzieje za kordonem, w Polsce. Dowiedziałem się, że Niemcy tworzą „Polskę”. Legiony Piłsudskiego wkroczyły 15 grudnia do Warszawy, na „króla” przewidziany jest arcyksiążę austriacki Karol. Ta „Polska” ograniczała się tylko do zaboru rosyjskiego. Niemcom chodziło o to, aby formalnie pobrać rekrutów i wzmocnić stan liczebny wojsk austro-niemieckich.

Posiliwszy się i podziękowawszy za gościnę, skierowaliśmy nasze kroki do baraków, gdzie „mieszkają” wygnańcy. Po stromych schodach schodziliśmy na dół (baraki z desek w połowie, do wysokości okien, są w ziemi). Zaraz od progu uderzyło ciepłe, zepsute powietrze, okna duże, z brudnymi szybami nie przepuszczają światła, ciemno. W takim jednym baraku „gnieździło się”

około 100 osób. Po obu stronach podłużnego przejścia z desek są zrobione piętrowe „legowiska”. Każda rodzina oddzieliła się od pozostałych dyktową lub płócienną przegrodą. Samotni mężczyźni śpią obok siebie pokotem, tak samo wygląda sprawa z samotnymi kobietami. Wzdłuż korytarza hałaśliwie biegają dzieci. Ruch, szum, wrzawa jak w ulu. W jednym końcu śpiewają, tam płaczą, gdzie indziej rozmawiają lub grają na harmonii oraz w karty.

W litewskim baraku w najlepsze śpiewają po litewsku. W takt muzyki na skrzypcach i harmonii młodzież tańczy. To samo działo się w szpitalu. W tańcach tych nie brałem udziału, gdyż uważałem, że nie czas na zabawę, a po wtóre, co może najważniejsze, tańczyć nie umiałem.

Umówiłem się z podoficerem Wolińskim z 238. pułku i postanowiliśmy wracać do koszar. Początkowo brnęliśmy po kolana w śniegu przez pola, a potem udeptaną ścieżką forsownym krokiem pomiędzy wagonami dotarliśmy do jakiejś bocznej uliczki, omijając stację kolejową, aby nie wpaść w ręce polowej wojskowej żandarmerii (nie mieliśmy przepustek). Tak doszedłem do swoich koszar.

Po kilku dniach wyznaczono mnie na komendanta plutonu marszowej 145. kompanii frontowej. Przeprowadziliśmy się do innych koszar i rozlokowali w „Nowotroickiej gostinicy” przy ulicy Nieplujewa. Tu była kuchnia dla oficerów, z której skwapliwie skorzystałem.

7 stycznia wybrałem się do kina „Lux” na film *Śpijcie orty bojowe*. Film był niemy – nie nadzwyczajny.

18 stycznia pierwszy raz żołnierze nie posłuchali mego rozkazu, nie chcieli wyjść na ćwiczenia na mrozie  $-30^{\circ}\text{C}$ . Sprawa oparła się na dowódcy kompanii. Żołnierze początkowo odmówili wyjścia z koszar. Dopiero kiedy dowódca powiedział, że to nie żadne ćwiczenia, tylko zwykły spacer czwórkami po ulicach, wtedy żołnierze z pewnym ociąganiem się wyszli. To trwało kilka dni. Dyscyplina wojskowa bierze w łeb. Po głębszej obserwacji dało się zauważyć, że coś nurtuje żołnierzy, jakiś nieuchwytny, głęboki niepokój opanowuje wojsko i społeczeństwo rosyjskie. Ten niepokój udzielił się i mnie.

W każdą niedzielę idę do kościoła na południowe nabożeństwo, a często i na nieszpory, w towarzystwie Litwina i Polaków, aby na cmentarzu kościelnym spotkać się z rodakami, porozmawiać, czegoś się dowiedzieć. A chodziłem bez żadnej przepustki, samowolnie, czego przedtem nie czyniłem.

31 stycznia odprowadziłem 145. marszową kompanię na stację kolejową o godzinie 3 w nocy. Zjawiliśmy się przy torze o godzinie 5. Pociągu jeszcze nie było. Żołnierze biegali, tupali, nacierali nosy i uszy wazeliną na  $-29^{\circ}\text{C}$  mrozie przez całe dwie godziny. Po załadowaniu żołnierzy pociąg stał jeszcze całą godzinę (gdzie punktualność?).

Dowódca 1. plutonu otrzymał 20 dni urlopu, jego miejsce powierzono mnie, z czego byłem mocno niezadowolony (trudno się było teraz urywać). 17 lutego kompania była skierowana na bazar, gdzie wybuchł w sklepie pożar. Prędko zlikwidowaliśmy ogień i wrócili do koszar.

## **Rewolucja lutowa (pałacowa)**

Wojna trwała już trzy lata, pochłonęła miliony ofiar, rujnując kraj. Brakowało na froncie amunicji, umundurowania, żywności. Armia uległa rozkładowi, dezercja sięgała półtora miliona żołnierzy. Car zamierzał zawrzeć separatystyczny pokój z Niemcami, co ułatwiały mu względy rodzinne. Iskłą wybuchową rewolucji był strajk w Zakładach Pułiłowskich, zwolnienie całej załogi, co groziło wysłaniem jej na front. 12 marca (27 lutego starego systemu\*) do kilkuset tysięcy manifestantów dołączyło wojsko. Lud zdobył arsenał, zwolnił więźniów politycznych. Rząd carski został aresztowany, a Mikołaj II abdykował.

Na ulicach Orenburga przewalają się w różnych kierunkach tłumy ludzi, dyskutujących na temat zejść w Piotrogradzie, wojsko całymi kompaniami patroluje. W różnych kierunkach przejeżdżają cwałem szwadrony kozackie.

16 marca (3 marca st. st.) o godzinie 11<sup>30</sup> w kompanii zarządzono pobudkę, na której dowódca kompanii odczytał rozkaz o powstaniu nowej władzy, a upadku carskiej. Mikołaj II zrzekł się tronu na rzecz swego brata Michała, a ten zrzekł się na rzecz małoletniego syna Mikołaja II – Aleksego. Władza cesarska znalazła się na ulicy, nikt z rodziny carskiej nie chciał jej przyjąć. Nowy premier rządu M. Radzienko rozpoczął trudną pracę.

---

## **7. kompania w akcji**

O 3 godzinie w nocy z 4 na 5 marca przez sen słyszę jakiś krzyk na korytarzu. Wsłuchuję się i najwyraźniej słyszę głos pułkownika Kirsanowa: „Dyżurny do mnie”. „Feldfebel, feldfebel, gdzie feldfebel!”. Krzyk ustał. Za chwilę wpada do sali feldfebel (sierżant – szef kompanii) z rozkazem natychmiastowego wstawania i ustawienia się w dwuszeregu na placu zbiórki przed koszarami. Żołnierze momentalnie wstali, chwycili za karabiny i zaczęli się ustawiać. Kilku żołnierzy wraz z amunicyjnym dźwigają skrzynki z nabojami i rozdają po kilka magazynków każdemu żołnierzowi. Tu wynikło zamieszanie. Żołnierze w pośpiechu chwyтали za karabiny bez żadnego wyboru. Naboje rozdawali różne, nie pytając żołnierza, jaki karabin trzyma w rękę. Karabiny były nowego wyrobu rosyjskie, berdanki z 1812 roku z grubymi kulami, stare francuskie Viter-Li z dużym przekrojem lufy i włoskie Vitalia. Kiedy przyszło do załadowania naboju do karabinu, okazało się, że żołnierz z nowym karabinem dostał naboje do berdanki, berdankowe naboje dostał żołnierz do karabinu Viter-Li itp. Żadnego karabinu nie można było urucho-

\* W Rosji carskiej obowiązywał kalendarz juliański, tymczasem w Królestwie Polskim, tak jak w Europie Zachodniej, stosowano kalendarz gregoriański – przyp. red.



Okres służby wojskowej w armii carskiej, 1917 rok. Stoi Dominik Wośko, siedzi Jan Gedymin (Litwin). Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

mić. Żołnierze biegają i między sobą wymieniają naboje stosownie do swego karabinu. W czasie tego bałaganu przybiegł dowódca kompanii Demczenko. Pyta: „Co tu się dzieje? Co robią żołnierze w nocy na ulicy? Dlaczego są uzbrojeni?”. Powiedziałem o pobycie Kirsanowa. Feldfelbel wtajemniczył go w przyczynę podważenia ze snu żołnierzy i uzbrojenia ich.

W tym czasie pomiędzy żołnierzami chyłkiem przemyka się dwóch oficerów oraz kilku cywilów. Zadają pytania: „Co, to wy idziecie bronić tego

krwio pijcy Kirsanowa albo sk...syna Pogoreckiego?". Wtedy otworzyliśmy szeroko oczy i zreflektowaliśmy się, że do naszego Orenburga napłynęła fala rewolucji, że kompania została, jako kompania dyżurna, wezwana nie do gaszenia pożaru, jak to było w rozkazie odczytanym wieczorem na apelu, a do stłumienia rewolucji.

Na ten moment przybiegł do naszego 1. plutonu dowódca kompanii i powiedział: „Panowie, proszę odejść od żołnierzy, ja za nich odpowiadam”. Przybyli odeszli, a po drodze przed szeregami powiedzieli: „Bracia, tylko nie strzelajcie do naszych braci. Oni chcą i waszego dobra”.

Nasz pluton został dołączony do reszty kompanii (trzech plutonów). Maszerujemy główną ulicą Mikołajewską w stronę sztabu pułku. Ulica pusta, cicho... Po kilku minutach marszu od strony szkoły praporszczyków słychać równe, miarowe, żołnierskie kroki, chrzęst żołnierskiego oporządzenia i monotonne podskakiwanie po bruku kulomiotu maszynowego. To maszerują dwie kompanie elewów szkoły oficerskiej. Mijamy się. Nasz dowódca praporszczyk oddaje honory kapitanowi szkoły. Niebawem nadciągnęła nowa kolumna podchorążych, która zatrzymała się przed nami, otaczając sztab 104. pułku ze wszystkich stron. Tak to znalazła się 7. kompania w pułapce. Po lewej i prawej stronie kamienice tworzą jedną ścianę, za nami dwie kompanie podchorążych, przed nami również podchorążacy, a sztab już jest otoczony przez elewów.

Do środka sztabu wszedł pluton w asyście dwóch wyższych oficerów. Światło pali się we wszystkich pomieszczeniach, widać przez okna co się dzieje wewnątrz sztabu. Po pokojach przemyka w różnych kierunkach kilka postaci. Po upływie pół godziny wychodzi pluton z aresztowanym naszym pułkownikiem pośrodku. Pluton z aresztowanym Kirsanowem włączono do środka kolumny, która udała się w stronę szkoły.

Zamiast bronić pułkownika, my patrzyliśmy się na to widowisko, co niezmiernie nas bawiło. Ostatni wracaliśmy pustą ulicą do koszar. Bez żadnego sprzeciwu, bez żadnego strzału oddaliśmy swego pułkownika.

Kompanie, które odcięły nam drogę, udały się do sztabu brygady aresztować generała Pogoreckiego.

## **Ogólna manifestacja. Pochód**

13/26 marca 1917 roku przez ulicę Mikołajewską przemaszerował ogromny pochód ludności cywilnej i wojska. Wojsko ustawiło się w dwuszeregu wzdłuż głównych ulic po obu stronach w porządku: szkoła podchorążych, uczniowie I Nieplujewskiego Korpusu Kadetów, II Orenburskiego Korpusu Kadetów z orkiestrą, puliemiatna\* kompania, żołnierze 104., 105., 238. pułku

\* Kompania karabinów maszynowych (z ros.) – przyp. red.



w kolejności kompanii 1.-16., pułkowe szkoły podoficerów, junkierska szkoła kozaków, artylerzyści itd.

Od strony Forsztadtu nadciągnęło czoło pochodu z czarną flagą żałobną, na której była namalowana trupia głowa ze skrzyżowanymi dwoma piszczałkami, a na odwrocie napis: „Sława pogibnym gierojom za swobodu” („Chwała poległym bohaterom za wolność”). Za nimi niesiono niezliczoną ilość czerwonych flag. W pochodzie brali udział zgrupowani Tatarzy, Baszkirowie, Polacy, Żydzi, Rosjanie. Najpierw śpiewano marsz żałobny: „Wy żertwoju pali w borbie rokowej” („Wy ofiarami padliście w walce decydującej”), a później pieśni rewolucyjne, poczynając od pieśni „Śmiało towarzyszczi w nogu” („Śmiało towarzysze w nogę”) i wiele innych. Następnie maszerowali delegaci żołnierzy, oficerów z dowódcą nowego garnizonu Malcowym i wszystkie pułki i pomniejsze oddziały wojska oraz szkoły wojskowe. Pochód zamykali uczniowie i uczennice szkół orenburskich: Szkoła Handlowa, Szkoła Realna, gimnazjum męskie, gimnazjum żeńskie, seminarium nauczycielskie, seminarium duchowne, szkoła kirgiska i inne.

Polscy manifestanci niesli flagi czerwone i biało-czerwone z napisem rosyjskim: „Polacy zawsze walczyli o wolność”, a na stronie odwrotnej: „Za naszą wolność i waszą”. Pochód trwał przez trzy godziny bez żadnego zakłócenia.

## **Wiece (mityngi)**

Pierwszy ogólny wiec odbył się w cyrku. Celem tego wieceu było uświadomienie najszerzych mas o przyczynie i sposobie przeprowadzenia przewrotu. Na licznych przykładach dowodzili mówcy o politycznym znaczeniu tej rewolucji. Podkreślano z naciskiem o ciemnieniu pracujących, o ograniczaniu wolności przez rząd carski. Rozpoczęcie wojny miało na celu wzmocnienie władzy carskiej, zdobycie nowych terytoriów i grabienie ujarzmionej na nich ludności. Wyniki wojny były niezadowolające z powodu niedostatecznego przygotowania się do wojny i niskiego poziomu kultury. Chcąc wyprowadzić kraj z zacofania Piotr Wielki przebił okno na zachód, Aleksander to samo zrobił na wschód i wtedy powstał przeciąg („skwozniak”), co zaszkodziło choremu Mikołajowi (salwa śmiechu). Na zakończenie zaśpiewano z trudem *Międzynarodówkę*, gdyż większość zebranych nie znała ani treści, ani melodii.

## **Polskie wiece i zebrania**

19 marca w kinie „Eurora” odbył się czysto polski wiec, gdzie szeroko omówiono wynikłą sytuację polityczną. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że nastąpiła nowa era w stosunkach polsko-rosyjskich. Z radością przyjęto rezo-

lucję Piotrogrodzkiej Rady Żołnierskiej, że Polacy mają prawo urządzić swoje państwo zgodnie z wolą narodu. Powzięto rezolucję, którą musieli skorygować przez dodanie słów: „My Polacy, obywatele przyszłego państwa polskiego, solidaryzujemy się z obywatelami rosyjskimi i wyrażamy gotowość współpracy dla dobra narodu polskiego i rosyjskiego”. Wybraliśmy po dwóch delegatów do orenburskiego komitetu i do komitetu robotniczego.

29 marca w cyrku odbył się wiec wojskowych Polaków orenburskiego garnizonu. W dyskusji zabrał głos jakiś oficer, stwierdzając, że podoficerowie są winni rozdziwieniu między oficerami a żołnierzami. Żołnierze zreflektowali się, że takim stwierdzeniem oficerowie chcą się wybielić w oczach żołnierzy.

Ktoś inny wysunął wniosek, aby wszystkich kadrowych wysłać na front, czemu sprzeciwił się jakiś cywil, wyjaśniając, że tak nie wolno zrobić, bo kto będzie ćwiczył rekrutów. Trzeba wysłać częściowo, tak, aby na tym nie ucierpiało szkolenie rekrutów.

Na zebraniu wojskowych Polaków zredagowaliśmy treść telegramu do Ministerstwa Wojny w Moskwie, do Kijowa i Piotrogradu. Wybraliśmy zarząd wojskowych Polaków w składzie: prezes praporszczyk Kozłowski, wiceprezes – ja i szeregowy Bączek, sekretarz praporszczyk Węgliński, skarbnik praporszczyk Kalkszajn. Na bieżące wydatki zebraliśmy 60 rubli. Ja podpisałem telegram do Ministerstwa Wojny w Moskwie i zaraz nadałem na pocztę.

Na następnym zebraniu w gimnazjum żeńskim ułożyliśmy program działania na następnych zebraniach Polaków w Orenburgu. Tu wynikł incydent z Litwinami, Czechami, Ukraińcami i Niemcami, którym odmówiliśmy brania udziału w pracy, gdyż nasza organizacja miała objąć pracę tylko Polaków wojskowych. Uzupełniliśmy jeszcze zarząd przez powołanie komisji rewizyjnej. W mieszkaniu inżyniera Broniewskiego, przy udziale Galery – inżyniera w kopalni węgla, przygotowaliśmy listę kandydatów do nowego zarządu i kartki do głosowania na ogólnym zebraniu. Tu podkreśliłem, że duszą i organizatorem był Galera, cywil w Wojskowej Organizacji Polaków. Na zebraniu podjęliśmy rezolucję, aby w drodze wyjątku Galera mógł pracować na równi z wojskowymi.

Celem nawiązania współpracy wysłaliśmy swoich dwóch delegatów do grupy społecznej działającej na terenie miasta. Ja udałem się do komendanta garnizonu w Orenburgu z prośbą o zezwolenie i ułatwienie wyjazdu naszej delegacji w osobach doktora Beronia i szeregowego Milewskiego do Moskwy w sprawie organizacji polskich kompanii. Dyskusje na temat wydzielenia żołnierzy polskich z armii rosyjskiej i tworzenia jednostek wojskowych polskich przeciągały się w nieskończoność. Niby mieliśmy prawo tworzyć kompanie polskie i nimi zasilać jednostki wojskowe na froncie, ale napotykalismy na trudności, że dotąd nie ma wyższego rozporządzenia wykonawczego. Na zebraniu kadrowych wyznaczono mnie na front razem z wojskami rosyjskimi 2 maja 1917 roku.

## Wolność

Po rewolucji „pałacowej” początkowo ster władzy objął Rodzianko, a po tym ukonstytuował się rząd tymczasowy, na czele którego stanął Kiereński. Masy żołnierskie w swoisty sposób rozumiały „wolność”. Dla nich wolność oznaczała nic nie robić, więc wałęsali się żołnierze po ulicy, nie uznawali wojskowej dyscypliny, na każdego oficera patrzyli jak na wroga. Tatarzy wylegli na ulicę. Siadali po obu stronach ulicy na krawężnikach i beztrząsco gryźli „siemia” (nasiona słonecznika), wypluwając łuski na ulicę, które po kilku godzinach wyglądały na duże śmietniki. O oddawaniu honorów oficerom nie było mowy.

W pierwszym rządzie został zniesiony zakaz wejścia żołnierzy do parku. Z tego korzystali chętnie. Łazili po parku gromadnie, łamali gałązki z drzew i bili się nimi, zrywali kwiaty, obrzucając nimi przechodzące kobiety i głośno proponowali im pójście z nimi „w krzaki”. Obsiadali parapety otwartych okien, śpiewali pieśni rewolucyjne i o treści pornograficznej.

Z wielkim trudem udawało się skompletowanie warty przy magazynach i więzieniu. Starszy nauczyciel Głuchow stracił panowanie nad żołnierzami. Wycofał się z dawnych obowiązków z powodu groźby pobicia przez żołnierzy. Czynność koordynatora na życzenie żołnierzy objął plutonowy – liberał Łuniew.

Żołnierze nie mogli nacieszyć się widokiem zamkniętego pułkownika Kirsanowa i dowódcy garnizonu generała Pogoreckiego, których umieszczono przy głównej ulicy Mikołajewskiej za kratami przy otwartych drzwiach.

Nawet młodszy oficerowie okazywali swoje rozgoryczenie. Jeden z oficerów (z zawodu księgarz) wyraził się, że jego koledzy i on sam osobiście, popierając rewolucję, inaczej sobie wyobrażali wyniki tej zmiany.

Kobiety też były przeciwne służbie wojskowej. W czasie ćwiczenia żołnierzy jedna taka malkontentka, idąc przez plac ćwiczeń z dwoma wiadrami czarnej, mokrej ziemi zaczerpniętej z miejsca, gdzie na początku mobilizacji wylewano spirytus z beczek i butelek, a teraz przez podgrzewanie i skraplanie uchodzącej pary otrzymywała z powrotem spirytus i tym handlowała, wpadła na mnie z krzykiem, dlaczego nie daję spokoju żołnierzom i każę im maszerować i biegać. Chcąc uniknąć takiej „krytyki”, zmuszony byłem oddalić się z żołnierzami od jej pyskowania w przeciwnym kierunku.

Wybrani delegaci żołnierze z kompanii utrzymywali łączność z dowództwem pułku i informowali nas o dalszych posunięciach politycznych i dydaktycznych nowego organu zarządzania pułkiem i kompaniami.

Ja korzystałem z wolności w całkiem innym kierunku. Chodziłem na zebrania do kina „Pałas”, gdzie wyświetlano film z czasów poprzedzających rewolucję. Stosunki, jakie panowały na dworze carskim. Poznałem życie Mikołaja II, rolę popa Rasputina i jego wpływ na rodzinę cara i jego żonę Marię (Niemkę) oraz wpływ tego „szarlatana” na politykę rządu carskiego.

## Normalizacja pracy

W tym czasie, gdy w Rosji trwały w dalszym ciągu walki rewolucyjne, w Orenburgu płomień rewolucji zaczynał wygasać. Rozpoczęło się ostrożne wprowadzanie życia wojskowego na normalne tory. Do tego stanu w dużej mierze przyczyniła się przysięga wojskowa garnizonu orenburskiego. Na polecenie komendanta garnizonu wszystkie pułki, szkoły wojskowe i mniejsze samodzielne oddziały zebrały się na Forsztadtskim placu, ustawiły się w formie kwadratu. Wzniesiono na środku placu podwyższenie, gdzie ustawiły się poczty sztandarowe, bez popów. Po krótkim, treściwym przemówieniu dowódcy garnizonu i przedstawiciela Komitetu Rad Żołnierskich żołnierze chóralnie złożyli przysięgę na wierność nowemu rządowi. Potem pojedynczo podchodzili do sztandarów pułkowych, całując sztandar. W tym momencie dowódcy pułków, kompanii i szkół otrzymali czerwone proporczyki, które żołnierze przymocowywali do bagnetów na karabinach. Po dwóch godzinach przysięga się skończyła. Wojska z tymi chorągiewkami na karabinach uformowały się do pochodu, który z orkiestrami i śpiewami pieśni rewolucyjnych przedefilował ulicami miasta. Ludzie owacyjnie witali zaprzysiężonych żołnierzy. W koszarach już czekał na nich wyjątkowo dobry i smakowity obiad. Ćwiczeń żadnych w tym dniu nie było.

Ta piękna defilada, dobry, poprawny stosunek oficerów do żołnierzy dodatnio wpłynęły na morale szarej masy żołnierskiej. Każdy z żołnierzy zatrzymał sobie na własność chorągiewkę na pamiątkę tego historycznego dnia.

Chcąc podnieść na duchu żołnierzy i wzmocnić patriotyzm, zorganizowano wystawę trofeów w specjalnie do tego przygotowanym pociągu. Była tam zdobyta broń austriacka, mundury, lornety, a nade wszystko zdobyte sztandary austro-węgierskie. Między innymi widziałem „sztandar bojowy” biało-czerwony z frędzlami i biało-czerwonymi wstęgami. Na jednej stronie napis polski: „Sokół Jarosławski”, a na drugiej stronie: „W jedności siła 1897”. Zastanawiałem się, czy to naprawdę sztandar bojowy czy zwyczajnie zrabowany sztandar organizacyjny stowarzyszenia gimnastycznego „Sokół”.

Innym razem na placu Forsztadtskim były popisy artylerzystów, polegające na tym, aby tak przejechać armatą z jaszczykiem, żeby nie przewrócić powbijanych w ziemię pali i sprawnie ustawić armatę do strzału po oddzieleniu się jaszcza. Huk ślepego wystrzału podziwiała mieszczyca. Inny obrazek. Kozak łapie na arkan żołnierza austriackiego i, przeciągnąwszy kilkanaście kroków po ziemi, układa go na koniu, który został zmuszony do położenia się na ziemi. Koń, obciążony kozakiem i jeńcem, gwałtownie podrywa się i biegnie z takim ciężarem do skrzyżowania ulic i ginie na zakręcie. Były różne akrobacje („dżigatiorka”) na koniu.

## **Egzamin**

Często pytali się mnie dlaczego nie idę do szkoły praporszczyków, gdyż jestem „choroszo gramotny”. Na to pytanie nie dawałem żadnej odpowiedzi. Nie wstępowałem do szkoły dlatego, że nie miałem świadectwa ukończenia państwowej szkoły średniej, a również i dlatego, że do służby wojskowej nie miałem powołania, wprost czułem wstręt do wysługiwania się zaborcy. Widziałem również i to, że młodzi ludzie ze złotymi naramiennikami po ukończeniu szkoły szli prosto na front i tam ginęli lub wracali do Orenburga ranni, a często okaleczeni.

Ja chciałem żyć, odwlekać wyjazd jak najdłużej i pozostawać w kadrze choćby do skończenia wojny. Teraz już odwlekać nie mogłem, gdyż na zebraniu kadrowców wysunięto mnie w pierwszej kolejności na front. Z dwojga złego chciałem teraz zdobyć świadectwo, pójść do szkoły, dzięki temu znów odwlec termin wyjazdu.

Przypadkowo 8 maja, przechodząc koło Szkoły Realnej, wyczytałem w ogłoszeniu, że w dniach 12-15 maja odbędą się egzaminy na uzyskanie świadectwa II kategorii. Poinformowano mnie, że przed egzaminem trzeba złożyć podanie, metrykę urodzenia w pełnym wypisie, dwie fotografie i zaświadczenie od dowódcy kompanii.

12 maja odbył się egzamin z języka rosyjskiego: dyktando dość trudne, a potem wypracowanie na temat „Jaką korzyść daje nam kolej żelazna?”. Następny egzamin był z matematyki: rozłożyć liczbę na czynniki proste i znaleźć największy wspólny dzielnik i najmniejszą wspólną wielokrotną, zadanie na obliczanie procentu i rozdzielić liczbę odwrotnie proporcjonalnie do 4, 5, 6, rozwiązać zadanie na twierdzenie Pitagorasa. Z geografii odpowiadałem o guberni siedleckiej, o Saharze i imperium niemieckim. Z historii o wojnach punickich, Jarosławie Mądrym i Wasylu III. Z religii egzaminu nie składałem.

23 maja otrzymałem świadectwo z wynikiem „3+”. Następnego dnia złożyłem podanie ze świadectwem do dowódcy kompanii z prośbą o skierowanie mnie do szkoły praporszczyków. Podanie zwrócono mi, ponieważ brakowało zaświadczenia, że sądownie nie byłem karany. Takiego zaświadczenia nie byłem w stanie złożyć, więc zabrałem świadectwo.

Za kilkanaście dni szkołę już zlikwidowano i nowych uczniów nie przyjmowano. Na tym moja „kariera” wojskowa się skończyła.

## **Ostatnie dni pobytu w Orenburgu**

W niedzielę po powrocie z warty na „Mienownym Dworze” udałem się do Bielówki nad rzeką Ural. Tam zastałem dużo ludzi na „daczach” (letnie mieszkania), w restauracji nad rzeką: siedzieli pod parasolami i popijali orzeź-

wiające napoje, rozmawiając i śmiejąc się beztrudnie. Wycieczkowicze w kolejce kupują bilety na loterię. Szczęściarze po wygranej wracają uśmiechnięci, rozbawieni na miejsca pod parasolami, inni zaś, którym szczęście nie dopisało, stają jeszcze raz w kolejce po kupno biletu z myślą, że teraz na pewno uśmiechnie się do nich szczęście. Spotkałem praporszczyka Chojnackiego, który oznajmił mi o odwołaniu delegatów polskich na ogólny zjazd. Był przygnębiony tym wydarzeniem – sprawy polskie zepchnięto na ostatni plan. Polaków, zamiast kierować do polskich jednostek wojskowych, wysyłają na front razem z kompanią marszową. Dał mi jeden bilet i wspólnie udaliśmy się do „Domu Ludowego” na występy artystyczne. Wieczór ten był udany. Wychodząc po spektaklu, zwróciliśmy uwagę na dość dużą gromadę ludzi koło restauracji. Włączywszy się do gromady, dowiedzieliśmy się, że siostra miłosierdzia Mokszacowa otruła się na znak protestu, że władze wojskowe odmówiły jej wyjazdu na front razem z kochankiem praporszczykiem.

Czuję się fatalnie. Jestem rozgoryczony, zawiedziony ostatnimi wydarzeniami. Męczy mnie nostalgia za swoim krajem – ojczyzną, za domem rodzinnym. Wymiguję się od pracy i swoich obowiązków. Łążę po lesie nad Uralem, oglądam piękne daczki bogatych mieszczuchów, w których na czas przejściowy umieszczono polskich wygnańców. Tu zastaje mnie wieczór. Słońce już zaszło za horyzont, tylko wierzchołki osik, topoli jeszcze się kąpią w ostatnich promieniach słońca. W krzakach słowiki śpiewają hymn wieczorny. To mnie trochę uspokoiło. Zmęczony fizycznie i przygnębiony psychicznie późnym wieczorem wracam do namiotu. Już dawno po kolacji. Mnie nie chce się jeść. Głodny układam się do snu, aby odpocząć i wrócić do ранней pracy.

29 maja 1917 roku. Obecnie zajęcia wojskowe uległy zupełnej modyfikacji. Zamiast ciągłego maszerowania, biegania i tresowania dużo czasu poświęca się na zajęcia taktyczne w terenie, aby żołnierzy przygotować do służby wojennej na pozycjach. Tak było i teraz. Dostałem rozkaz przeprowadzenia z 16 żołnierzami wywiadu o „nieprzyjacielu”, tj. 12. kompanii, z którą mieliśmy się zetrzeć w boju na bagnety („sztyki”).

Zalegliśmy w trawie przed garbarnią i wsią Karaczi. Po chwili te obiekty gdzieś zniknęły. Na horyzoncie widzę poruszającą się na długich, cieniutkich nogach jakąś ruchomą masę. Okazało się, że to było stado kirgiskich koni – małych, lecz bardzo wytrzymałych. Obraz się zmienia. Wokoło piękne niebieskie morze, a na wyspach – Wenecja zamiast brudnych i niedbale rozrzuconych domków ulepionych z gliny i pokrytych płaskimi dachami widać wysokie i strojne ze stromymi ścianami. Żar, spiekota, pot zalewa oczy, powietrze na odległość kilku kroków tak się kołysze, faluje, jak fale na morzu. Na odległość 50 kroków każdy przedmiot się zmienia. Cudowny był widok w momencie przechodzenia stada wielbłądów o długich, cieniutkich nogach i jeszcze dłuższej kudłatej szyi i osadzonej na niej malutkiej głowy. Garby podobne do niezmiernie wysokich wieżyczek na jakimś reprezentacyjnym gmachu. Kolor żółty przechodzi w błękitny, a wszystko to jest w ciągłym ruchu: to



rozpada się, to znów łączy i wszystko faluje. Zamiast wody widać znów rozległe, nieobjęte okiem równiny stepu. Chciałoby się tu zostać na całe godziny i obserwować te zjawiska przyrody.

Ale oto długi łańcuch postaci na długich nogach stopniowo się zbliża. To nasz „wróg” – 12. kompania. Wysyłam meldunek do dowódcy kompanii, podając miejsce marszu, kierunek natarcia i przybliżoną liczbę żołnierzy. Nasza kompania ruszyła do ataku na bagnety, strzelając do „nieprzyjaciela” w marszu. Strzały ucichły, groźny okrzyk: „Ura! Ura!” kończy nasze ćwiczenia. Zmęczeni niesamowitym upałem, wracamy do namiotu. Każdy z żołnierzy dopomina się u kucharza o wielką ilość gorącej wody. Ja po tym ćwiczeniu za jednym przysiadem wypilem co najmniej około 2 litrów gorącej wody bez cukru.

31 maja i 1 czerwca zarządzono dwudniowe manewry. O godzinie 6 otrzymaliśmy po dwie puszki konserw, ruszyliśmy w stronę „majaku” (punkt obserwacyjny). Rozbiliśmy namioty, zjedliśmy ten suchy obiad, wystawili czaty. Niebawem nadciągnęła 6. kompania („wróg”). Po zbadaniu kierunku marszu, liczebności „nieprzyjaciela” dałem rozkaz 1. plutonowi rozsypać się w tyralierę. Nastąpiło starcie. 6. kompania była zaskoczona naszą gotowością i skutecznością obrony. Po omówieniu taktyki, podkreśleniu dobrych i złych momentów walki udaliśmy się do rzeki Ural, aby się wykapać.

Woda po całodziennym operowaniu promieni słonecznych była ciepła, prąd bystry, górski. Rzeka dosyć szeroka, około 40 metrów. Początkowo trzymaliśmy się brzegu. Znaleźli się tacy, którzy chcieli przepłynąć na drugi brzeg. Niektórym to się udało, ale wyszli na brzeg daleko od grupy wojskowej, bo prąd ich zniósł w dół rzeki.

Nie chcąc być gorszym, postanowiłem przepłynąć Ural. Wprawdzie umiałem trochę pływać, bo w Urzędowie z łatwością przepłynąłem kilka razy na drugi brzeg, ale to była rzeczka 5 metrów szerokości, a nie 40 metrów tak jak Ural, którego prąd jest bardzo szybki. O tym nie pomyślałem. Spokojnie płynąłem i udało mi się dostać na brzeg przeciwny i dołączyć do swojej małej grupki. Kiedy ułożyłem się na gorącym piasku i popatrzyłem na przepłyniętą odległość, zawahałem się czy potrafię wrócić na opuszczony brzeg. Trudno... muszę, bo ani łodzi, ani mostu nie ma.

Po dłuższym odpoczynku brzegiem rzeki udałem się w górę prądu około 200 metrów, tak aby wyjść na brzeg i dołączyć się do swoich żołnierzy. Skok do wody, ręce i nogi w ruch, płynę. Pozostała mi jeszcze jedna trzecia odległości. Naraz poczułem, że mnie coś w wodzie złapało za brzuch i nie daje mi nadal płynąć. Prąd wody obrócił mnie kilka razy dokoła. Teraz zauważyłem koło swojej głowy wystającą z wody gałąź. Zrozumiałem, że pode mną jest wyrwane z korzeniami drzewo, którego gałęzie uniemożliwiają mi dalej płynąć. Chwyciłem ręką za gałąź, wciągnąłem się na zanurzone drzewo, odbiłem się od niego nogami i teraz bez przeszkód dopłynąłem do zbawczego brzegu. Żołnierze pytali się co tak długo kręciłem się w miejscu.

Musiałem im opowiedzieć i pokazać brzuch podrapany przez ten drzewny wrak. O, teraz za żadne skarby nie dałbym się namówić do przepływania nieznannej rzeki.

Przenocowaliśmy w namiotach. Sen był niespokojny, gdyż chmury komarów nie pozwoliły spokojnie spać. Doszło do tego, że zmuszeni byliśmy rozniecić ognisko i pod jego dymem szukać ratunku przed tymi nieznośnymi owadami. Dopiero następnego dnia na godzinę 3 wróciliśmy do swoich kwater.

### **Kulturo, kulturo przyjdź!**

31 maja, korzystając z „wolności”, żołnierz 105. pułku upił się do tego stopnia, że utopił się w kałuży trzymetrowej wielkości, do której zlewano wodę po umyciu się i myciu naczyń kuchennych.

3 czerwca rozjuszona banda żołnierzy dokonała samosądu nad żołnierzem, który ukradł szynel (płaszcz). A jak do tego doszło? Przyszedł żołnierz 104. pułku 8. kompanii do szpitala. Dyżurny kompanii nie znalazł go osobiście, do namiotu nie wpuścił z powodu braku miejsca. Żołnierz ten był przez dwa lata na froncie. Udał się do miasta do znajomych, którzy znów przyjęli go wódką. Ten żołnierz miał nocować koło namiotu. Nie miał się czym nakryć. Dyżurny pożyczył mu szynel któregoś kadrowicza, który noc spędzał w mieście. Rano kadrowicz zauważył, że ten żołnierz przespawszy całą noc na „świeżym” powietrzu trzyma w rękę jego płaszcz. Narobił krzyku, że złodziej ten ukradł mu płaszcz, zaczął go okładać pięściami po twarzy. Na ten głos wyskoczyli z namiotów żołnierze i zaczęli go bestialsko bić tym, co kto miał w rękę. Bili dotąd, aż zalał się krwią, posiniał i na oczach oprawców zmarł.

Tegoż samego dnia w godzinach wieczornych na Bielowce niezliczony tłum żołnierzy i cywilów z krzykiem, wyciem prowadzi dwóch żołnierzy. Głowa, ręce, twarz i ubranie okrwawione i poszarpane. Tłum ten z delikwentami skierowali się do wojskowego więzienia. Dowódca warty nie chce ich wpuścić do wnętrza więzienia. Jedni domagają się zamknięcia w więzieniu podoficera i szeregowca 238. pułku, inni chcą dokonać samosądu za kradzież płaszczy i chęć sprzedania ich na bazarze. Oficer warty z trudem uwolnił złodziei z rąk oprawców i na pewien czas zatrzymał ich w więzieniu. Powoli tłum rozszedł się, a na drugi dzień pod eskortą odprowadzono winnych do swojej jednostki.

8 czerwca na apelu wieczornym feldfelbel odczytał rozkaz dowódcy pułku, z którego wynikało, że z dniem dzisiejszym awansowałem na starszego unteroficera (plutonowy). Tą nominacją tak się „przejąłem”, że od chwili nominacji do demobilizacji z armii nie naszyłem sobie trzeciego paska na naramiennikach.

Tegoż dnia wszyscy żołnierze udający się na front, a więc i ja, otrzymaliśmy nowe umundurowanie, buty, czapkę, bieliznę, namioty, łopatki (niektórzy

kilofy i siekierki), pasy, kabury na naboje, fartuszki flanelowe, nawet kołki do rozpinania namiotów oraz paczuszki sanitarne do opatrzenia sobie rany.

Późnym wieczorem poszedłem spać ostatnią noc w namiocie, ostatnią noc w Orenburgu.

## Wyjazd na front

11 czerwca 1917 roku została zorganizowana nasza marszowa kompania. Dowódcą kompanii został praporszczyk Nielepa (Ukrainiec), feldfeblem (szef kompanii) Siniagin (dawny dowódca 4. plutonu), dowódcą 4. plutonu starszy unteroficer (plutonowy) Woško. Dowództwo nad tym 4. plutonem objąłem z wyraźną niechęcią, gdyż z tymi żołnierzami nic mnie nie łączyło w czasie ćwiczeń. Żołnierze mnie nie znali, a ja ich. Siniagina znałem bardzo mało. W czasie ćwiczeń on dowodził 4. plutonem, a ja ćwiczyłem żołnierzy 1. plutonu.

Następnego dnia odbyło się na placu ćwiczeń na stepie prawosławne nabożeństwo z udziałem chóru i orkiestry wojskowej. Po obiedzie prosiłem nowego feldfebela o zwolnienie mnie na kilka godzin do miasta celem pożegnania się ze znajomymi, na co mój szef chętnie się zgodził. Spakowałem wszystkie swoje manatki w jeden duży pakunek, napisałem na nim chemicznym ołówkiem swoje nazwisko i dałem pod opiekę dowódcy 1 drużyny 4 plutonu z zaznaczeniem, aby w razie mego spóźnienia ten pakunek umieścić na furgonie towarzyszącym naszej kompanii i mnie reprezentował w czasie marszu do stacji kolejowej.

W domu Żaka, gdzie był ośrodek polonijny, spotkałem kilku znajomych Polaków. Porozdawałem im swoje osobiste drobiazgi, między nimi pamiątkowy egzemplarz *Pana Tadeusza* – dar księgarza w Piotrogradzie. Nie czekając na marszową kompanię, spacerkiem udaliśmy się w stronę stacji kolejowej. Niebawem usłyszeliśmy grę wojskowej orkiestry. To kompanie z czerwonymi flagami maszerowały na punkt zborny, gdzie mieliśmy wsiadać do wagonów. Żołnierzom towarzyszyły tłumy odprowadzających żołnierzy na front. Odnalazłem swój pakunek i stanąłem przy swoim 4. plutonie. Szef kompanii Siniagin zwrócił się do mnie z propozycją, że on zaopiekuje się w czasie podróży 4. plutonem, a ja mogę jechać z kim tylko chcę. Wykorzystałem tę propozycję i zająłem miejsce w wagonie ze znajomymi mi żołnierzami 1. plutonu. Pożegnałem się ze znajomymi kadrowymi, z którymi przepracowałem 2 lata 2 miesiące 21 dni (810 dni): dowódcą kompanii Demczenką, starszym nauczycielem Głuchowym.

Pociąg ruszył na zachód, orkiestra zagrała na pożegnanie marsza, pozostali na stacji krzyknęli: „Ura, ура”, a my wychyleni przez okna i drzwi pomachaliśmy na pożegnanie rękami. Pociąg pomknął pełną parą. Wkrótce przejechaliśmy stację pasażerską, potem z łomotem minęliśmy most na Uralu,

niebawem zniknęły nam z pola widzenia miejskie domy. „Proszczaj raz na wiegda Orenburg” („Żegnaj raz na zawsze Orenburgu”). Pociąg pędzi całą parą, zatrzymuje się tylko na tych stacjach, gdzie uzupełnia paliwo, wodę, lub tam, gdzie wysiadaliśmy na obiad. Po południu, po przejeździe przez stępy zatrzymaliśmy się na obiad w Buzułuku.

13 czerwca obiadu w Syzranii nie dostaliśmy, gdyż telegram był spóźniony i kucharze nie zdążyli ugotować. W zamian za to otrzymaliśmy pieniądze, za które kupiliśmy suche prowianty. W nocy pociągiem przejechałem czwarty i ostatni raz Wołgę. Na stacji kolejowej w Penzie żołnierze domagali się zwolnienia na parę dni, aby odwiedzić rodziny. Otrzymali odmowną odpowiedź. Około 20 żołnierzy samowolnie opuściło pociąg, ale po kilku godzinach dopędzili nas i dołączyli do kolegów.

15 czerwca zatrzymaliśmy się na obiad na stacji Rianzań. Nocą pociąg przejechał przez Tułę i zatrzymał się po 10 godzinach na obiad w Kałudze.

Na jednej z mniejszych stacji pociąg zatrzymał się na całą noc. Rano na stacji było dużo kobiet, które pociągiem wojskowym chciały przejechać do bliskich stacji. Żołnierze w wagonach wręcz odmówili im wsiadania. W jednym wagonie żołnierze zgodzili się je zabrać ze sobą. Uszczęśliwione kobiety prędko rozmieściły się w wagonie. Gdy pociąg nabrał rozpędu, żołnierze pozamykali drzwi i okna i bezceremonialnie zaczęli napastować niewiasty, które wykorzystawszy odpowiedni moment zdołały w biegu wyskoczyć z pociągu. Pozostała jedna matka z dwiema córkami. Teraz całą energię żołdacy skierowali na córki. Przewracali je, zrywali sukienki, dusili za gardło. Nic nie pomagał płacz, prośba. Jedni drugim siłą wydzielali sobie z rąk ofiary. Z trudem udało mi się otworzyć drzwi, krzycząc ile miałem sił. Skonsternowani niektórzy żołnierze wycofali się z „przygody”, kłębowisko trochę się rozluźniło. Zrozpaczona matka wypchnęła z wagonu jedną, a po chwili drugą córkę, a potem sama wyskoczyła w pełnym biegu. Zagroziłem, że jeżeli się to kiedyś powtórzy, to zatrzymam pociąg i oddam ich w ręce żandarmerii polowej. Popatrzyli na mnie złowrogo, jakby chcieli zapamiętać mój wygląd i wyciągnąć tragiczną dla mnie konsekwencję na froncie. O tym i ja pomyślałem i postanowiłem pokrzyżować ich plany przy najbliższej okazji. Jaki los spotkał te kobiety, nie dowiedzieliśmy się nigdy.

19 czerwca na dłuższy postój zatrzymał się pociąg w Równem. Wysiadłem z wagonu i skierowałem swe kroki w stronę stacji, a za sobą usłyszałem słowa: „Pewnie idzie zameldować żandarmerii lub naczelnikowi stacji”. Wkrótce dowódca kompanii oznajmił żołnierzom, że tutaj mamy stać pół godziny na obiad. Można wyjść na stację. Wykorzystałem ten czas na pobieżne zwiedzenie miasta. Stacja była spalona, teraz częściowo odbudowana. Ludność miasta stanowili Żydzi, Polacy i Rosjanie. Na pierwszym planie był duży, ale ubogi, choć czysty kościół na wzgórzu. Ciekawa była ambona z daszkiem, zakończona na górze trzema wysmukłymi gotyckimi wieżyczkami, strzelającymi śmiało do sklepionego sufitu. Sklepy częściowo zamknięte.

Wieczorem 20 czerwca przyjechaliśmy do Łucka, ostatniej stacji szerokotorowej kolei żelaznej. Stacja kolejowa zupełnie spalona, koszary rozbite, większość domów spalona, zburzona; ludzi cywilnych na mieście mało, Żydów znacznie mniej niż w Równem. Kompania zatrzymała się w jakiejś drewnianej szopie. Nad miastem królował zamek księcia Lubarta z dwiema wieżami. Zamek wewnątrz wypalony, ściany zburzone, pełno dokoła gruzów. Wewnątrz na dziedzińcu pobudowana szopa dla żołnierzy. Przy jednej ze ścian zachował się stary dom, zajęty przez wojsko i komisję poborową, a przy nim pomnik z rosyjskim napisem: „Lubartowi”.

Przy ulicy Nieborskiej stoi wspianały kościół w stylu romańskim, utrzymany na zewnątrz i wewnątrz w należytych porządku i czystości. Na jednej ścianie był napis: *Ss. Paulo Apostolo vericor, porsis christiinos nadomine praedi eartor\**. Na drugiej ścianie był inny, nieco krótszy napis, którego nie zdążyłem zapisać. W odległości 300–400 metrów dalej był inny kościół katolicki, którego nie zwiedziłem, ponieważ był zamknięty. Na ścianie od wejścia napis: A P Q. Kościół ten zakończony był jedną strzelistą wieżą, podobną do gotyckiej.

O zmierzchu pomaszzerowaliśmy w stronę stacji przy wąskotorowej linii kolejowej. Po trzech godzinach jazdy wysiedliśmy na ostatniej stacji Czarny Bór, położonej pośród dużego lasu. Noc ciemna, teren nieznany, brak zabudowań, brak przewodnika. Z lewej strony słychać jakieś głosy, a pomiędzy drzewami i krzakami migają jakieś światełka, przypominające ogniki świętojańskie. To żołnierze wyładowują pociski armatnie z wagonów i układają je w krzakach pomiędzy dwoma dębami. Informują mnie, że tu w pobliżu nie ma żadnej wsi, sami nocują w namiotach przy torze. Dowódca Nielepa stanął wśród nas bezradnie, nie wie jaką podjąć decyzję. W ciemną noc nie możemy godzinami szukać byłych osiedli. Rozłożona mapka sztabowa zdezaktualizowana. Osiedla są tylko na papierze, bo rzeczywiste wsie w większości zostały spalone podczas działań wojennych. Wyciągnęliśmy kompanię czwórkami i ułożyliśmy się do snu w owsie mokrym od nocnej rosy. Poranny chłód obudził nas ze snu, a promienie słoneczne ogrzały nas i osuszyły.

21 czerwca o godzinie 7 rano otrzymaliśmy śniadanie-obiad, który spożyliśmy z wilczym apetytem. Dowódcy kompanii ustawili nas w dwuszeregu. Najpierw zgłosiła się delegacja ze szturmowego batalionu przy 8. Turkiestańskiej Strzeleckiej Dywizji i zaczęła agitować, zachęcając żołnierzy do ochotniczego wstępowania do batalionu. Żołnierze nie kwapili się, namyślali się przed podjęciem decyzji. Kiedy nam objaśniono, na czym będzie polegała nasza służba, zaczęli niektórzy występować na krok naprzód, zgłaszając tym sposobem chęć wstąpienia w szeregi zachwalanego batalionu. W ostatniej chwili zgłosiłem się i ja. Później mocno zastanawiałem się nad tym, czy dobrze postąpiłem, ale już za późno było się wycofać. Sformowali nas i odprowadzili na bok. Resztę żołnierzy podzielili na grupy stosownie do ilości delegacji pułkowych

\* Tekst łaciński został przepisany przez Dominika Woškę błędnie, tak że obecnie nie ma możliwości odtworzenia prawidłowego brzmienia tego napisu – przyp. red.



i rozeszliśmy się do nowych formacji. Decydującym faktem mojego wyboru była chęć odczepienia się od tych żołnierzy, którym przeszkodziłem w wagnie w czasie podróży dokonania gwałtu nad bezbronnymi kobietami. Może w ten sposób rozstałem się ze swoimi wrogami.

Na miejscu pobytu batalionu rozdzielili nas do poszczególnych kompanii 1. plutonu. Ja dostałem się do 1. kompanii, stacjonującej we wsi Budki. Tutaj porządnie wypoczęliśmy po trudach podróży, uprzyjemniając sobie życie konsumowaniem prosto z drzewa czereśni, wiśni oraz wypijaniem większych ilości świeżego mleka, którego od kilku miesięcy nie miałem w ustach. Dowódca batalionu kapitan Cziczua (Gruzin) zapoznał nas z działaniem i obsługą kulomiotu maszynowego firmy „Maxim”. Żołnierze odmówili ćwiczeń marszowych, motywując tym, że już te ćwiczenia obrzydły im na tyłach frontu.

26 czerwca wyruszyliśmy o zmroku w stronę frontu. Maszerowaliśmy milcząc, bez marszowego rytmu, niosąc karabiny na ramionach, prosto w rękę lub przewieszzone na rzemiennym pasku przez ramię. Po drodze szeptem dzieliliśmy się uwagami o mijanych pustych okopach. Naraz na kilkadziesiąt kroków rozległy się wystrzały armatnie w stronę pozycji austriackich. Dowódca kompanii półgłosem podał rozkaz zaprzestania palenia papierosów. W szeregu podawano to zarządzenie drogą łańcuchową. Żołnierze wiedzieli, że zbliżamy się do frontu, że nie wiadomo, co się dalej z każdym może zdarzyć. W wąwozie zatrzymali nas i podzielili: 2., 3., 4. pluton obejmie zmianę na pozycji, a 1. pluton razem ze mną zostaje tutaj w rezerwie. Wywiad austriacki zauważył tę zmianę żołnierzy na przedniej linii okopów. Posypały się pociski armatnie z dział austriackich, zagrały karabiny maszynowe i chaotyczne strzały karabinów ręcznych. Na całej długości okopów austriackich wyleciały w powietrze setki rakiet, oświetlając przedpola obu frontów celem rozeznania, czy z rosyjskich okopów nie rusza tyralierka do walki na bagnety. To trwało około jednej godziny, a potem wszystko ucichło.

Rano rozeszła się pogłoska, że jeden Polak i dwóch Rosjan uciekło do niewoli austriackiej. Rosjanie wrócili do swoich jednostek, a Polak pozostał w niewoli i wieść o nim przepadła.

27 czerwca w nocy przyniesiono jednego żołnierza zabitego, który nieostrożnie wychylił się z okopów, chcąc zobaczyć co się dzieje na przedpolu. Kula trafiła go w piersi, powodując śmierć na miejscu. Dwóch żołnierzy zostało rannych. To były pierwsze ofiary naszej kompanii. Wiadomości te i śmierć sprawiły przygnębiające wrażenie na pozostałych żołnierzach. Na miejsce 4. kompanii zajęliśmy okopy. Pozycje austriackie ciągnęły się nieprzerwaną linią na suchym wzgórzu w odległości 300 kroków od rosyjskich, położonych pod górką, przerywanych błotami i moczarami. Wieczorem po rześystym i dłuższym deszczu te okopy zostały zalane wodą i błotem po kolana.

2 lipca nasza półkompania była na noc wysunięta na strażniczą placówkę oddaloną w stronę przeciwnika od naszych okopów na około 140 metrów. Austriacy całą noc oświetlali teren rakietami, przy świetle których widać było



dobrze kolczaste druty na słupkach (zasieki) zagradzające dojście do okopów. Zajęliśmy miejsca w płytkich pojedynczych okopach, obserwując, co się dzieje w tym czasie u wroga. Korzystając z chwilowych przerw w oświetlaniu rakietami, zrywaliśmy dużą trawę i podścielaliśmy pod siebie w tych okopach. To niewiele pomagało. Deszcz w dalszym ciągu padał. Nie ma żadnego sposobu zabezpieczyć się od wody. Przemoknięty do ostatniej suchej nitki muszę leżeć w okopie w błocie, na deszczu. Nawet głowy z okopu wysunąć nie można, bo strzelcy tylko na to czekają, aby ją kulą przeszyć, a ja chcę jeszcze żyć. Ręce i nogi z zimna zeszywniały, dreszcze po ciele przechodzą, a strzelanina nie ustaje. Końca nocy nie mogę się doczekać. Na wschodzie niebo troszkę się przejaśnia – nadchodzi poranek. W naszych okopach na strażniczej placówce słychać ciche kumkanie żaby. To jest umówiony sygnał do odwrotu. „Kum, kum” powtórzyło się parę razy. Na czworakach wyłazimy z naszych dołków i cofamy się ku naszym okopom. Gdy rakietą leci do góry, my w bezruchu przywieramy do ziemi, błogosławiąc trawę, która nas chroni przed okiem strzelca. Przelazimy pod drutami własnych okopów w umówionych i znanych nam miejscach. Jestem w głębokim okopie, mogę przybrać ludzką postawę, wyprostować zdrętwiałe kończyny.

Skierowałem kroki do ziemianki z myślą, że w suchym miejscu można będzie usiąść, niestety i tu błoto rozdeptane po kolana, buty grzęzną, że z tej mazi trudno je wyciągnąć. Po ścianach okopu spływa woda z błotem. Okopy głębokie, wąskie, trudno się z drugim żołnierzem minąć, aby nie obetrzeć się o ścianę i nie nabrać na siebie nowej porcji błota. Cały mój rynsztunek żołnierski przemoczony, nie mam nawet suchej czystej bielizny. O rozpaleniu ogniska, ogrzaniu się i wysuszeniu na sobie umundurowania mowy być nie może, gdyż Austriacy mieliby widoczny cel i w stronę dymu skierowaliby ogień armatni.

Całe szczęście, że kucharz przywiózł z rezerwy wczorajszy obiad, dzisiejsze śniadanie i na zapas dzisiejszy obiad w nocy, gdyż w dzień wróg drogę przez wzgórza w czasie przejazdu kuchni gęsto ostrzeliwał z armat. Opowiadał jak go wykryto światłem reflektorów i ostrzeliwano. On pędził, ile tylko konie miały siły, kuchnia kilka razy wywróciła się do góry kołami, a on pędzi dalej, znów stanęła na koła, pędzi dalej. Udało mu się żywym dojechać do głodnych, zagubionych w polu żołnierzy. Ale jaki to był wikt? Zupa kartoflana zaprawiona jęczmienną kaszą, na drugie danie dostaliśmy po dwie rybki suszone z chlebem („obły”). To było całe pożywienie na dwa dni. Całe szczęście, że zupa była gorąca, gdyż w czasie tej jazdy paliło się drewno na ognisku pod kotłem. Kucharz z furmanem musieli się spieszyć, aby przed wschodem słońca przeprowadzić się przez tę niebezpieczną górę do swojej bazy. Po spożyciu pożywienia rozgrzałem się trochę od wewnątrz. W poszerzonej części okopów, służącej do mijania się żołnierzy, przenoszenia rannych, wykopałem sobie małą łopatką wnękę, gdzie była ziemia mniej przemoknięta, usiadłem i zasnąłem w pozycji siedzącej.

Część żołnierzy bacznie przez peryskopy obserwuje przedpole, aby nie dać się zniemacka zaskoczyć przez wroga, część przytuliwszy się do ściany okopu gra w karty w „oczko”. Słychać pokrzykiwania: „Dawaj” albo „Dował mu”. Coraz to któryś inkasuje „bank”, a inny splukawszy się do kopiejki, odchodzi markotny, że mu szczęście nie dopisało, a na jego miejsce siada drugi. Jeżeli pocisk armatni rozerwie się w pobliżu, słychać głosy: „Gospodi pomiluj”, przeżegnawszy się, znów kontynuują grę. I znów huk, i znów westchnienie: „O, preczistaja Boża Matieri pomogi”, a potem przekleństwo: „Job twoju ma’ Czut’, czut’, a to by ubił”. Co raz po każdym wybuchu inni wołają: „Ałłach, Ałłach” – to są Tatarzy, Baszkirzy i inni mahometanie, tylko polskiego słowa nigdzie nie słychać.

## Wypad

Na drugą noc dowódca, kapitan Cziczua, zorganizował wypad. Ruszyliśmy tyralierą w stronę przeciwnika. Noc ciemna, deszcz dalej śiąpi. Kierunek marszu wskazują nam wypuszczane rakiety austriackie. W chwili podnoszenia się rakiety do góry każdy z nas przycupnął do ziemi i w czasie zawiśnięcia rakiety na spadochroniku i oświetlenia terenu pozostajemy w bezruchu w gęstej trawie. Rakietę spaliła się, my znowu przyspieszonym marszem zbliżamy się do strażnicy austriackiej. Przy świetle rakiety widać okopy wroga. Środek tyraliery zwolnił kroki, a flanki przyspieszyły. Na gwizdek dowódcy otoczyliśmy strażnicę i, o dziwo, tam nikogo nie było. Wycofujemy się. Tyraliera przekształciła się w bezładną plątaninę żołnierzy. Trzeba uważać, aby nie wpaść w jakąś zasadzkę, albo nie strzelać do swoich po ciemku. Przed poruszaniem się jakiejś postaci lekko uderzamy ręką po karabinie dwukrotnie. Jeżeli to jest żołnierz rosyjski, to powinien po swoim karabinie ręką uderzyć trzy razy. Jeżeli tego nie uczynił, to znaczy, że nie zna umownego sygnału i jest przeciwnikiem. Wtedy bierzemy go do niewoli, a w razie ucieczki wolno do niego strzelać. Po kilku godzinach stanęliśmy nad moczarami, które oddzielały przeciwników. Musiałem brzegiem dłuższy czas szukać przejścia przez wodę, wyłożonego matami uplecionymi z chrustu.

Zebrałiśmy się w swoich okopach, policzyli czy kto nie zaginął. W tym czasie dowódca pokazał nam dwóch Austriaków, którzy byli wysłani w podobnym celu na zwiady. Od nich dowiedzieliśmy się, że Austriacy otrzymali niemieckie posiłki, gromadzą zapasy broni. Z samego rana posypały się bomby i pociski armatnie na nasze okopy; rosyjska artyleria odpowiedziała swymi salwami. Padło kilku zabitych i kilkunastu rannych. Rosyjska artyleria skierowała duży ogień na balon austriacki na uwięzi do obserwacji. Balon zmuszono do ściągnięcia go na dół.

## W Jadwinówce

8 lipca batalion został wycofany z przedniej linii do Jadwinówki, 3–4 wiorsty od głównej linii okopów. Nasze miejsce zajął 32. pułk 8. Turkiestańskiej Dywizji. Dyscyplina wojskowa znacznie rozluźniła się do tego stopnia, że odmówiliśmy wyjścia na ćwiczenia, żądając dłuższego odpoczynku po służbie na pierwszej linii. Komendant pod naciskiem rady żołnierskiej musiał się zgodzić. Kiedy udałem się do kancelarii kompanii po zaległy dwumiesięczny żołd, dowiedziałem się o walkach kontrrewolucji z rządem tymczasowym Kiereńskiego. Zdania żołnierzy są rozbieżne.

Żołnierze rozleźli się po wsi, która do połowy jest spalona. Myszkują, aby zdobyć coś do pożywienia. Grupka stara się rozpalić ognisko celem zagotowania wody na herbatę. Opał mokry, chrust nie chce się zapalić. Na próżno mały żołnierz dmucha, podtyka patyki, nikły dymek unosi się w powietrzu, a płomienia jak nie było, tak nie ma. Podchodzi zgrabny, rosły i ładny Jewdokimow, odsuwa kolegę i chce mu pomóc rozniecić duży ogień. W rękę trzyma odkręcony granat. Mały nadal dmucha, a większy zaczyna wysypywać zawartość granatu. Naraz huk, a po nim krzyk bólu. Jewdokimow trzęsie prawą ręką, której cała dłoń wisi u przedramienia na skórcie. Zachwiał się i krzyczy: „Towarzysze dobijcie”. Przybiegli sanitariusze, wzięli go pod rękę i odprowadzili do punktu sanitarnego. Na przedniej pozycji żadna kula go nie drasnęła, żaden pocisk armatni nie zabił, nawet nie ranił, a tu w odległości od linii około 4 wiorst traci rękę i wraca do domu kaleką do swojej rodziny, a może nawet do żony.

Tegoż samego dnia kilku oficerów udało się do opuszczonej szopy, aby w nocy zagrać w karty. Z powodu „nieczystej” gry jednego z oficerów dochodzi do kłótni; padł strzał rewolwerowy i na miejscu został jeden trup. Dowódca batalionu aresztował zabójcę, którego pod strażą odesłali do sztabu dywizji.

14 lipca w nocy rozpętała się niezwykła burza. Całe niebo zakryte było kłębiastymi, ciężkimi chmurami, przecinanymi zygzakami błyskawic. Ogłuszające grzmoty rozlegały się często dokoła. Z chmur lał deszcz jak z cebra. Wszystkie okopy napełniły się brudną, gliniastą wodą. Spałem w ziemiance. Sen przerwały początkowo duże krople, a potem strugi wody, które lały się do środka ziemianki. Mimo deszczu wołałem moknąć w czystej wodzie niż w tej brudnej. Okręciłem się namiotem, karabin wziąłem pod pachę i ułożyłem się na wzgórzu na murawie. Trudno w to uwierzyć, że w takich warunkach i takiej pozycji zasnąłem do samego czystego pogodnego poranka.

Następnej nocy na odcinku 5. i 8. pułku w okolicy wsi Biskupicze silny bój artyleryjski zerwał nas ze snu, gdyż spodziewaliśmy się, że nasza rezerwa będzie wysłana w krytycznej chwili na pomoc pułkowi.

## **Kiereński na froncie**

Rewolucja lutowa walenie przyczyniła się do rozluźnienia dyscypliny w rosyjskiej armii. Te nastroje, mające podkład w upadku gospodarki, braku żywności, zaopatrzenia armii, psychicznemu zmęczeniu, promieniowały na zachód do armii niemieckiej, austriackiej, a nawet francuskiej i angielskiej. Zaczęły się strajki, demonstracje przeciw wojnie. Rosyjski Rząd Tymczasowy zdawał sobie sprawę z sytuacji na froncie. Kiereński postanowił wzmocnić dyscyplinę, wyteńczyć wszystkie siły, aby skutecznie uderzyć na wroga i skończyć z dobrym wynikiem wojnę. W tym celu wzmocniono w odpowiednim kierunku propagandę. Sam osobiście wygłaszał przed żołnierzami frontowymi gorące przemówienia, zachęte do decydującej walki z wrogiem. Większość żołnierzy na razie solidaryzowała się z jego wywodami. Uzgodnił kierunek i miejsce natarcia z dowódcą Frontu Południowo-Zachodniego gen. Brusilowem, który dał rozkazy podwładnym.

21 lipca nasz batalion zmienił 32. pułk, zajmując odpowiedni odcinek frontu. W nocy zaczęła się akcja bojowa. Przez kilka godzin artyleria rosyjska skoncentrowała usilny ogień na pozycje austriackie. Nieprzerwany strumień pocisków, przeraźliwy huk, burzycielska robota oszołomiły wroga. W górę leciały umocnienia i fortyfikacje ziemne w okopach nieprzyjacielskich. Ręczny ogień karabinowy zamilkł. Austriacy zalegli transzeje, okopy i rowy łącznościowe. Artyleria niemiecka, nie chcąc być dłużna, odkryła ogień po naszych okopach i po rezerwach.

W tym czasie przerzuciliśmy przez moczary maty z chrustu, aby ułatwić żołnierzom przeprawę przez tę naturalną przeszkodę. Saperzy wzmocnili most. Piechota zajęła pozycję przy przeprawach i moście, reperowała zniszczone przejścia. Tornistry zostawiliśmy w okopach.

O świcie na sygnał czerwonej rakiety wygramoliłem się ze swoim plutonem z okopów; za naszym przykładem poszły sąsiadujące 30 i 31 pułk piechoty. Ruszyliśmy do ataku. Teraz włączyła się do walki austriacka i niemiecka piechota, rażąc nasze szeregi kulami z ręcznej broni. Rosyjscy żołnierze co chwila zapadają w leje po wybuchach pocisków austriackich, w trawę, i prażą po nieprzyjacielskich okopach. Nasz batalion zmienił kierunek natarcia na mostek, gdzie był najbardziej przydatny do przejścia. Zalegamy, odkrywamy morderczy ogień. Znow się podrywamy, ale nie wszyscy, bo dużo padło zabitych i rannych. Głosy: „Ura, ура” razem z jękami rannych zlewają się w jeden wielki szum. Już jest mostek, ale uszkodzony. Poprzeczne bale połamane na kawałki wyleciały w powietrze. Pozostały dwa podłużne, ochlapane łącznym czarnym błotem, pokrzywione, jeszcze leżą na błocie. Linia tyraliery skokami posuwa się do austriackich okopów. Teraz poszły w ruch granaty. Przy mostku skupiła się większa ilość żołnierzy. Przebiegają po balach, po chruście. Coraz to pada w błoto żołnierz przeszyty kulą lub ranny. Zaledwie zdążyłem przebiec po balu kilkanaście kroków, wtem poczułem silne szarpnięcie i ból

w lewej nodze. Krew strumieniem spływa po spodniach i bucie, w oczach mi pociemniało, zatoczyłem się i obsunąłem w błoto. Chcę się podnieść i biec dalej po błocie. Niestety przy poruszeniu nogą czuję straszny ból i nie mogę ruszyć się z miejsca. Przede mną i obok mnie biegną żołnierze z różnym skutkiem. Jedni pobiegli dalej, inni zabici lub ranni padają w zasięgu mego pola widzenia.

Teraz austriacka artyleria urządziła zaporę ogniową, aby nie dopuścić żołnierzy z drugiej linii, rezerwowej. To samo zrobili Rosjanie. Po okopach z artylerii nie biją, aby nie razić i swoich żołnierzy. W dali słychać na całej linii rosyjskie: „Ura, ура”. To Moskale wdarli się do okopów nieprzyjacielskich i bagnętami oczyszczają okopy. Tymczasem ja na pół leżę, na pół klęczę w tym przeklętym błocie i czekam na to, co będzie dalej. Pot mi oblewa czoło, raz zimny, raz gorący. Ściskam karabin w dłoni, podpieram się, aby nie grzęznąć głębiej. Głosy walki oddaliły się. Po kilku godzinach zjawili się sanitariusze; zbierają i wynoszą rannych i mnie też na tyły.

## W szpitalu

W ziemiance na punkcie opatrunkowym w Jadwinówce felczer z siostrą miłosierdzia zdjęli mi buty, rozpruli spodnie i kalesony na rannej nodze, obmyli nogę i ranę, nałożyli opatrunek i ułożyli na słomie na podłodze w chałupie. Po upływie kilku godzin zebrało się już kilkunastu rannych towarzyszy; w ich towarzystwie spędziłem tę nieszczęśliwą noc. Na kolację wypilem dwa kubki gorącej herbaty bez chleba, aby ugasić pragnienie.

Wczesnym rankiem podjechały podwozy, które nas zawiozły do dywizyjnego szpitala wojskowego do Łucka. Układanie na wozie, zdejmowanie połączone było z dużym bólem. Na jednej podwozcie leżało nas czterech żołnierzy. Na stole operacyjnym lekarz zdjął z nogi prowizoryczny opatrunek, gruntownie obmył ranę, pincetą sprawdził, czy w ranie nie ma brudu. Dał mi zastrzyk przeciwtężcowy. Przenieśli mnie na drugi stół, na którym siostra starannie zabandażowała mi nogę. Otrzymałem bieliznę szpitalną. Przeniesiono mnie na ogólną salę chorych. Z powodu braku łóżek ułożyli mnie na połowym łóżku w korytarzu. Nie mam apetytu – tylko herbatę piję. Po dwóch dniach lekarz zmienił opatrunek, a czynność tę wykonywał energicznie, nie zważając na to, że ja pomimo zaciśniętych zębów kilka razy jęknąłem. Na drugi dzień siostra miłosierdzia zmierzyła mi temperaturę, po odczytaniu wysokości temperatury zmarszczyła brwi i badawczo spojrzała na mnie. W odpowiedzi na moje pytanie oznajmiła, że temperaturę mam podwyższoną do 39°C.

Teraz na zwolnione łóżko przeniesiono mnie na stałe. Lekarz zaaplikował mi lek, po którym w następnych dniach temperatura zaczęła spadać. Leżę nieruchomo na wznak, kości bolą, przekręcić się nie mogę. Doktor Nikołajew,

naczelnym lekarzem, przeprowadził ogólny przegląd chorych na tej sali, po którym odpowiedział mi, że noga jest przestrzelona powyżej kolana. Kula przeszła ją nie naruszając kości i poleciała dalej. Dodać należy, że siostry miłosierdzia są usłużne, grzeczne dla rannych.

Po dwóch tygodniach czuję się o tyle lepiej, że już mogę leżeć na prawym boku. Czuję się wyczerpany, dużo śpię w nocy i w czasie dnia. Apetyt mi się poprawił; wyżywienie jednostajne, niesmaczne. Ale to nic. Zdrowi ranni dyskutują na temat działań na froncie. Wiadomości przygnębiające. Austriacy wyrzucili Rosjan ze swoich okopów. Ofensywa załamała się, gdyż wiele pułków odmówiło udziału w walce i nie poparło Kiereńskiego. Pozycja ustabilizowała się. Żadna strona nie zaczyna działań zaczepnych. Ciężko rannych, których leczenie musi być długotrwałe, wywożą do szpitali w głąb Rosji, nowych rannych przybywa bardzo mało. Życie monotonne wlecze się powoli. Droga pantoflową docierają wieści, że Rząd Tymczasowy jest zagrożony. Odbywają się strajki, wiece, walka ideologiczna między bolszewikami a mieńszewikami, a nawet zbrojne starcia w Kijowie, Moskwie, Piotrogradzie i innych miastach. Lenin, Stalin i inni bolszewicy chcą rewolucję pałacową zamienić na rewolucję socjalistyczną, społeczną. Ja w tej dyskusji głosu nie zabierałem, gdyż w tych sprawach bardzo mało byłem kompetentny. Coraz więcej słyszy się, że chcemy zawrzeć pokój bez aneksji i kontrybucji.

Doktor Jakowlew, salowy, stwierdza, że moja rana ładnie się goi. Pozwolił mi siadać na łóżku z wyprostowanymi nogami. Po trzech dniach podali mi kule i lekarz polecił mi powoli posuwać się po sali, a widząc, że daję sobie z tym radę, zaproponował mi próbę chodzenia o lasce.

Po upływie 31 dni wypisali mnie ze szpitala, udzielając dwa tygodnie urlopu. Z jednej strony ucieszyłem się, że wychodzę ze szpitala z nogą zupełnie wyleczoną, a z drugiej strony trapiła mnie myśl, dokąd mam się udać na ten urlop. Zwierzyłem się naczelnemu doktorowi, który dał mi skierowanie do mojej jednostki, z tym że nie mogę podjąć pracy z żołnierzami na froncie. Zaopatrzony w takie zaświadczenie-polecenie, udałem się do swojej kompanii, która stacjonowała we wsi Jadwinówka. Pojechałem podwodą 23 sierpnia 1917 roku.

## W kancelarii kompanii

Zgłosiłem się do dowódcy kompanii praporszczyka Samojlenki. Złożyłem mu sprawozdanie o pobycie w szpitalu, leczeniu, urlopie, że nie mam gdzie jechać. Podałem zaświadczenie, które uważnie przeczytał, uśmiechnął się i powiedział, że dobrze się składa, bo właśnie nie ma dobrego pisarza. Dotychczasowy pisarz nie mógł sobie poradzić z kancelarią, gdyż skończył tylko cztery oddziały szkoły ludowej. Skierował mnie na kwaterę do Ukraińca, który po spaleniu się jego domu zamieszkał w domu po Czechu, który na czas



działań wojennych został ewakuowany w głąb Rosji. Kancelaria była urządzona w warunkach polowych, prymitywnie. Sam dowódca mieszkał w namiocie rozpiętym między drzewami owocowymi. Tam również był telefon, którym komunikował się z dowódcą batalionu kapitanem Cziczua. Poinformował mnie, na czym będzie polegała moja praca. Początkowo dawał mi bruliony pism, które starałem się przepisać ładnym, kaligraficznym pismem i podać do jego podpisu. Roboty miałem mało. Skrupulatnie odnotowywałem zmiany w spisie żołnierzy. Wieczorem odnosiłem notatkę do kucharza o liczbowym stanie żołnierzy, aby wiedział, dla ilu ludzi ma gotować pożywienie.

Z mojej kwatery do dowódcy miałem do przebycia około 50 kroków, a do kuchni nieco dalej. Idąc po obiad dla siebie, przynosiłem w menażkach pożywienie dla Samojenki. Dużo siedziałem, leżałem w cieniu drzew, nogi nie forsowałem. Zajadałem w dowolnej ilości owoce. Trzy razy w tygodniu chodziłem do kancelarii batalionu po dyspozycje i odbiór poczty dla żołnierzy. Gazet nie czytałem, bo ich nie było. Chodziły pogłoski wśród żołnierzy, że dowódca korpusu generał Koszelewski prowadzi z Niemcami pertraktacje o ułatwieniu Niemcom zajęcia Łucka i Beresteczka. Mówiono, że generał Kornilow ze 125 000 żołnierzy zamierza zająć Piotrogród, aresztować Rząd Tymczasowy i ogłosić się dyktatorem. Gdy żołnierze dowiedzieli się, dokąd idą i po co, porzucili go.

14 września zmieniliśmy miejsce postoju, udając się do wsi Kołodziej. Kancelaria zainstalowała się w domu Czecha Gwiazdy, który był dla nas bardzo przychylny, a szczególnie żona. Żołnierze rozmieścili się po chatach. W każdej chacie połowa mieszkania zajęta jest przez wojsko, a z drugiej połowy korzysta gospodarz. Jeżeli wojsko opuści chatę, to przychodzi drugie i zajmuje „wojskowe miejsce”. Żołnierze zaczęli budować solidne ziemianki, które będą przez zimę zajęte przez wojsko.

## W kancelarii batalionu

24 września 1917 roku po przyjsciu do kancelarii do pracy dowódca oznajmił mi, że dziś jeszcze mam się zgłosić do kancelarii batalionu. Tu starszy sierżant Sługin (były policjant) kazał mi zabrać swoje rzeczy, gdyż z rozkazu dowódcy batalionu mam pracować w batalionie. Dowódca kompanii niechętnie rozstawał się ze mną po jednomiesięcznej z nim współpracy. Zainstalowałem się u Boguckiego, Polaka, we wsi Kołodziej. Izba nieduża, ale czysto utrzymana zgodnie z polskim powiedzeniem „Ubogo, ale chędogo”. Bogucka sama chodzi do pobliskiej studni po wodę, gotuje herbatę dla wszystkich, nawet i mnie zaprasza do stołu, za co ja się dzielę obiadem przyniesionym w menażkach z naszej kuchni.

Głównym moim zajęciem było pisanie chemicznym atramentem i odbijanie kopii za pomocą szapirografu rozkazów dziennych i przeprowadzanie pism

w dzienniku. Sytuacja polityczna i militarna z dnia na dzień się zmienia, komplikuje. Adiutant często zaprasza do siebie na „rozmówki” w cztery oczy podoficerów, a nawet szeregowych, chcąc się zorientować o morale wojska, sporządza raporty do wyższych dowódców. W dzienniku korespondencyjnym rezerwuje numery porządkowe, pozostawiając wolne miejsca przeznaczone na treść wysyłanego pisma. Oto 10 października dowódca batalionu otrzymał rozkaz zorganizowania nowych szturmowych batalionów, co z niewiadomych nam przyczyn do skutku nie doszło. W cztery dni potem zjawili się delegaci, aby „wyłować” Polaków do „polskich” oddziałów, a w jakim celu – tajemnica wojskowa. „Znaleźli” tylko trzech Polaków.

Rozluźnienie dyscypliny wojskowej doszło do tego stopnia, że na rozkaz poszły tylko dwie kompanie na front, a dwie pozostałe porzuciły służbę w batalionie i powróciły do swoich pułków. Na przednią pozycję poszła 1. kompania, 3. kompania odmówiła iść w okopy i pozostała w rezerwie. Za karę ta kompania nie otrzymywała kilka dni pożywienia. Co się dalej z nią stało, tego nie dowiedzieliśmy się. Sztab batalionu rozkwaterował się w Błudowie, majątku hrabiego Rotermanna (Belga). Po obiedzie kompanie ruszyły na front, ale po kilku godzinach 1. kompania wróciła pod pretekstem, że taką małą ilością żołnierzy nie mogli obsadzić okopów, które poprzednio zajmował cały 7. pułk.

---

W wielkich miastach nadal trwają walki między mieńszewikami (Kiereński, Tereszczenko, Wierchowski) a bolszewikami (Lenin, Trocki, Stalin). 25 października (7 listopada nowego stylu) Rząd Tymczasowy został po zaciętych bojach aresztowany. Kiereńskiemu udało się uciec samochodem ambasady Stanów Zjednoczonych. W grudniu rozpoczęły się pertraktacje o zawarciu rozejmu w Brześciu, które trwały dość długo, gdyż Niemcy stawiali warunki trudne do przyjęcia przez Rosjan (Niemcy mają okupować duże połacie terytorium byłego imperium carskiego, Polskę, Ukrainę i kraje naddunajskie przekształcone w państwa zależne od Niemiec). Nie było innego wyjścia z tej trudnej sytuacji (armia carska samowolnie opuszczała front, kontrewolucja zaczęła się organizować) – rozejm został podpisany, separatystyczny. Rosja musiała płacić kontrybucję. Wojsko carskie gremialnie opuszcza pozycje, rzuca broń i sprzęt wojenny. Konie, padające z głodu i wycieńczenia, łążą po polach, sadach i skubią małe, nikłe listki roślin (grudzień był wyjątkowo ciepły). Żołnierze rozbijają magazyny i biorą co kto chce, ładują plecaki i ciągną całymi bezładnymi tłumami w stronę stacji kolejowych, aby jak najprędzej dostać się do domów.

---

7 grudnia otrzymaliśmy rozkaz rozformowania batalionu. Wyżsi oficerowie gremialnie idą na urlopy, nie ma kto dowodzić. Na każdym kroku chaos, bezład, dezorganizacja. Najpierw zwolniliśmy do pułków szeregowych.

Ukraińcy wysiedlają Rosjan. Tworzą ukraińskie jednostki wojskowe i wprowadzają jednostki administracyjne.

27 grudnia rozpoczęła się formalna demobilizacja. Zwalnialiśmy najpierw starsze roczniki, poczynając od 1902 roku. Pracy mieliśmy w kancelarii bardzo dużo przy sporządzaniu dokumentów zwolnienia. Co drugi dzień zwalnialiśmy po dwa, trzy roczniki. Musieliśmy siedzieć po nocach, aby nie dopuścić do zaległości. Żołnierze denerwują się, uważają, że celowo ociągamy się z pracą, aby im utrudniać wyjazd do domów.

Tymczasem 6. pułk piechoty ustawia działa i kulomioty, aby spotkać ogniem Ukraińców, którzy maszerują na nas od strony Równego. Taka atmosfera mocno nam przeszkadza w pracy. W końcu uporaliśmy się z przeprowadzeniem demobilizacji naszego batalionu.

1 stycznia 1918 roku spakowane do dużych skrzyń dokumenty i pieczęcie przekazaliśmy do sztabu 8. Turkiestańskiej Dywizji. Jestem wolny. A co począć dalej? Szyrokow – mój kolega, starszy unteroficer – radził mi, abym się zgłosił do 8. pułku, który wkrótce ma wracać do Łucka. Do Horodyszcz szedłem sam jeden w nocy z nabitym karabinem na przełaj jakąś słabo udeptaną ścieżką na śniegu, ale widoczną tylko w dzień. W nocy cała równina była pokryta śniegiem. Ścieżkę było widać tylko przy świetle księżyca. Tymczasem nadciągnęły chmury, zrobiło się ciemno i ślad ścieżki zagaął. Szedłem wolno, po omacku. Zatrzymywałem się często i stukałem kolbą karabinu, aby wyczuć twardą ścieżkę. Nieraz wracałem do punktu wyjścia i znów stukałem coraz częściej, aby nie zgubić ścieżki i nie zabłądzić. Nareszcie zamajaczyły w ciemności chaty. Zastukałem w okno najbliższego domu, chcąc się upewnić, czy to Horodyszcz. Rozespany chłop przez okno potwierdził. Z opowiadania Szyrokowa wiedziałem, że dom Ochmańskiego stoi po lewej stronie drogi, nieco na uboczu, a przed nim krzyż dębowy. Cały dom był pogrążony w ciemności i zupełnej ciszy. Szyrokow spodziewał się mego przybycia, więc na zastukanie do okna wstał i otworzył mi drzwi. W izbie pełno żołnierzy, powietrze duszne. Wcisnąłem się obok Szyrokowa między żołnierzy i tak zasnąłem snem sprawiedliwego w ubraniu, trzymając pod pachą karabin. Rano dowiedziałem się, że odmarsz pułku został odłożony na czas nieokreślony. Rano Szyrokow pobrał śniadanie dla siebie i dla mnie.

Tak zamieszkałem u Omańskiego, Polaka. Izba duża, ściany obwieszane licznymi obrazami, tak jak u nas w Polsce. Byłem na kwaterze w różnych domach: rosyjskich, polskich, czeskich, ukraińskich. Czesi w rozmowach między domownikami rozmawiali, nie krępując się, po czesku. Pierwszy raz w życiu spotkałem się z językiem czeskim. W pierwszej chwili mało rozumiałem ten język, lecz po pewnym czasie już się z nim oswoiłem i wiedziałem, o czym mówią. Pomagaliśmy im zbierać do worków „bramble” (kartofle), z czego byli bardzo zadowoleni. Natomiast Polacy używali swego języka tylko w ścisłym gronie rodzinnym. Odnosiłem wrażenie, że wstydzą się języka polskiego. Obecność polskości i wiary rzymskokatolickiej zdradzały

licznie wiszące na ścianach obrazy. W pewnym domu gospodyni okazała dużo nieprzychylności w stosunku do żołnierzy. Dawała niedwuznacznie do zrozumienia, że wojsko było dla niej ciężarem. Wieczorem, kiedy żołnierze ułożyli się do snu, a w mieszkaniu zaległa cisza, matka siedząc na rozebranym do snu łóżku, po cichu mówiła z klęczącą 5–6-letnią córką pacierz po polsku. Trafiały się czasem rodziny żydowskie. Żydówki chętnie nawiązywały kontakt z rosyjskimi oficerami. Kontakty te często kończyły się długą chorobą oficerów. Najbardziej utkwił mi w pamięci pobyt u Ochmańskiego, bardzo pracowitego i kulturalnego Polaka. Tu też pomagaliśmy przy sprzątaniu kartofli i gromadzeniu opału na zimę. Pięcioletnia Joasia była przedmiotem zainteresowania żołnierzy. Była bardzo mądrą, rezolutną dziewczynką. Wchodziła na posłania do żołnierzy, rozczesywała im włosy, obejmowała za szyję, ciągle szczebiocząc żargonem polsko-rosyjskim, a kiedy żołnierz śmiejąc się poprawiał jej wyrażenia, rozplakała się i uciekła do sieni. Żołnierz pobiegł za nią, przeprosił i sprowadził ją do mieszkania. Na zapytanie o powód płaczu odpowiedziała, że śmiał się z jej rozmowy. Na pożegnanie podałem jej rękę ze słowami polskimi: „Do widzenia” – ciężko westchnęła i pocałowała mnie w rękę. Nie mniej sympatyczna i ładna była jej starsza siostra Józia, 18-letnia uczennica jakiejś szkoły średniej w Łucku. Ta trzymała się na duży dystans od żołnierzy. Przyjemnie było słuchać jej rozmowy z drugą jej starszą siostrą, Anielą, na temat Mieszka I i chrztu Polski. Szyrkow laził za mną i ciągle z zainteresowaniem pytał o czym one mówią.

4 stycznia 1918 roku o godzinie 2 w nocy ruszyliśmy pociągiem do Łucka. Pociąg był przeładowany żołnierzami do granic możliwości. Cały czas stałem nieruchomo na jednej nodze, gdyż na drugą nie było miejsca. Żołnierze jechali na stopniach, na dachu i buforach – aby prędzej do domu. Po dłuższym marszu zajęliśmy koszary, a potem przenieśliśmy się do lokum Warszawsko-Brzeskiego Szpitala. W jednej sali musiała się zmieścić cała kompania. Spaliśmy na podłodze ułożeni tak ciasno, że nie można się było przewrócić w czasie snu na drugi bok. Przed snem, korzystając z wolności, wszyscy żołnierze palili papierosy. Cała sala wypełniła się dymem, że nie można było oddychać. Wstałem z takiego „snu” z silnym bólem głowy, ze skłonnością do wymiotowania. Rano 8. pułk, słynący na froncie z walecznych żołnierzy, zabrał się dziarsko do „roboty”, rozbijając i grabiąc magazyny szpitalne z bielizną osobistą i pościelową. Słychać było szum, przekleństwa, łamanie drzwi wejściowych i szaf. Tłoczą się, przewracają, depczą, wydzierają sobie nawzajem „zdobyty” łup. Bielizna lata w powietrzu, jak białe motyle. Taka sama scena na stacji, gdzie żołnierze wylamali drzwi do wagonu z obuwiem. Ziajani, podnieceni, wrywają sobie z rąk buty. Kłócą się, bo jeden żołnierz złapał but z prawej nogi, a drugi z lewej. Żaden nie chce się pozbyć swego buta na korzyść drugiego, aby skompletować parę nowych butów.

W chwili grabienia bielizny w składzie nr 9 usłyszeli serie kul karabinowych z kulomiotu. Rzucili się teraz do wyjścia, zatarasowali drzwi, przez

co opóźniali wydostanie się z pułapki. Ktoś krzyknął, że będzie rewizja, zrabowane rzeczy odbiorą, a „właściciela” pociągną do surowej odpowiedzialności za rabunek państwowego mienia. Teraz każdy chce się pozbyć łupu. Chowają po rozmaitych kątach, wkładają po kilka koszul na siebie. Inni chcą oddać bieliznę tym, którzy nie brali udziału w rabunku. Jeden z żołnierzy, który miał wyjątkowe szczęście i zdobył najwięcej bielizny, oddaje mi paczkę bielizny składającą się z pięciu kompletów. Ja wzdragam się, nie chcę tej kradzionej bielizny, ale żołnierz rzucił mi pod nogi paczkę, a sam z resztą łupu wybiegł z izby. Podniosłem ten „dar”, owinąłem płaszczem i siadłem na tym tłumoku, czekając, co będzie dalej. A dalej nic nie było, rewizja nie doszła do skutku. W ten sposób, nie biorąc udziału w rabunku, stałem się bogatszy o pięć kompletów bielizny.

Późnym wieczorem ruszyliśmy przeładowanym pociągiem do Równego. Rano dano rozkaz zbiórki pułku przy magazynach wojskowych. Wchodziliśmy do środka pojedynczo. Magazynierzy, nie pytając ani o nazwisko, ani o numer kompanii czy plutonu, wydawali po parze nowych butów, płaszcz, umundurowanie, bieliznę, namioty, łopatki, czapki, pasy, a niektórym dawali kożuszek, a nawet zapaski, drążki i kołki do rozpinania brezentowych namiotów, nie żądając zwrotu starego umundurowania. Tak nam zapłacili za nasze trudy wojenne. Teraz zastanawialiśmy się nad tym, co z nami zrobią, gdzie nas skierują, przeciw komu?

23 stycznia 1918 roku komisja wojskowa zwolniła mnie od służby, udzielając mi jednomiesięcznego urlopu. Po kilkugodzinnym spacerze wróciłem do koszar i, o dziwo, koszary puste. Udałem się do sztabu pułku. Drzwi do kancelarii otwarte, przewracane stoły i krzesła, a na półce znalazłem jedną jedyną rzecz: liczydło. Pułk w nocy odjechał do Rosji, a z nim Szyrokow, który zapraszał mnie na urlop do swojego domu. A ja jestem wolny, jak ptaszek zimą polny. Bez domu, bez dachu nad głową, bez pożywienia, bez rodziny, kolegów. Sam jeden, sam jeden na cały ten świat.

## **Bezdomny (wolny)**

Po rozdaniu pełnego wojskowego ekwipunku stan mojego posiadania zwiększył się do tego stopnia, że swoich rzeczy nie mogłem zmieścić do dwóch plecaków. Zacząłem sprzedawać zbędne wyposażenie. Paliki namiotowe spaliłem, saperkę porzuciłem w kącie, płaszcz nowy i namiot sprzedałem za bezcen. Buty nowe, bieliznę i inne drobiazgi spakowałem do dwóch plecaków, związałem je mocno rzemiennymi pasami. Zapoznałem się z kilkoma Polakami bezdomnymi i dalej mieszkaliśmy w koszarach. Ustanowiliśmy dyżury. Po kolei w każdy dzień ten dyżurny zostawał w koszarach, a wolni zaczęliśmy rozglądać się za jakąś pracą, lecz ani na stacji, ani w tartaku pracy dla nas nie było. Na bazarze spotkałem się z Głuchowym, który w Orenburgu był



prawą ręką dowódcy kompanii, oraz sztabkapitanem Leonowem, dowódcą 7. kompanii w Orenburgu, który wynajął sobie pokój i zajmował się handlem zegarkami. Zaprosił mnie do swojego mieszkania i w czasie picia herbaty wyraził swą zazdrość w stosunku do mnie, że wkrótce wrócę do domu, a on nie może wrócić do Rosji, gdyż tam czekają go prześladowania, jako wyższego oficera wojsk carskich. Radził się, co ma dalej robić. Wieczorem wybuchł pożar w składzie smoły, lepiku i nafty. Pomimo bliskiej odległości od rzeki pożaru nie można było ugasić, wszystko spłonęło.

23 lutego 1918 roku nowo zorganizowane oddziały Armii Czerwonej odparły niemiecki atak pod Pskowem i Narwą. Walka z Niemcami trwa mimo zawieszenia broni. Teraz cały wysiłek skierowałem na osiągnięcie wiadomości o sposobie i czasie wyjazdu do Polski. Wiadomości mętne, nieraz przeczące jedna drugiej.

W kościele ksiądz po pięknym kazaniu oznajmił, że do kraju jeszcze wracać nie można. Niemcy zwolnionych Polaków puszczają, ale będą ich traktować jak niewolników wojennych. Przed kościołem po nabożeństwie zebrali się byli żołnierze i dyskutują na ten temat. Po obiedzie na zebraniu wojskowych Polaków w dyskusji padły zdania, że teraz nie ma potrzeby tworzyć polskich jednostek, bo nie znamy potrzeby i celu takiej roboty.

Podporucznik Żórawski przyniósł wiadomość, że I korpus pod dowództwem generała Dowbor-Muśnickiego walczy z bolszewikami, którzy utrudniali mu przebiec się do Polski z bronią w rękę. Podobnie ma się sprawa z I korpusem czeskim.

W głębi Rosji organizuje i prowadzi walkę kontrrewolucja. Na Uralu trwają gwałtowne walki. Kozacy dońscy pod dowództwem Kaledyna atakują wojska bolszewickie, to samo czyni generał Krasnow, a na wschodzie Kornilow.

26 stycznia znalazłem sobie pracę w Inspektoracie Artylerii, za którą będę otrzymywał 2 i pół rubla dziennie, mieszkanie i żołnierskie wyżywienie. Pracowało nas w magazynie nieczynnej cukrowni koło stacji, pod rozkazami pułkownika Antonowa, kilkunastu Polaków, w tym jeden z Moniak w gminie Urzędów – Sala z armii na tureckim froncie. Zbieraliśmy porzucone przez żołnierzy karabiny, czyścili i układali naoliwione w duże stosy w tym magazynie. W ciągu kilku dni zgromadziliśmy dużą ilość porzuconych karabinów i przystąpiliśmy do czyszczenia, oliwienia i składania w magazynie broni. Pracę naszą zakłóciły posunięcia polityczne i militarne Niemców, którzy po zerwaniu zawieszenia broni razem z jednostkami wojskowymi utworzonymi z jeńców armii rosyjskiej, Ukraińców, pod dowództwem Petlury ruszyli na wschód celem oczyszczenia Ukrainy od maruderów wojskowych z armii carskiej. W pierwszej kolejności Niemcy zajęli 5 lutego Łuck, a dwa dni później stację węzłową i punkt administracyjny Równie. O godzinie 3 na przedzie przejechał opancerzony samochód z białą flagą, za nim oddział kawalerii, a następnie w takt muzyki na piszczalkach i przy rytmicznym biciu werbli



butnie, zwycięskim krokiem maszerowała piechota. Pochód zamykały jednostki ukraińskie „wolnych kozaków” w historycznych mundurach.

Po zainstalowaniu się Niemców w koszarach i opanowaniu ważniejszych obiektów przystąpiono do akcji. Przede wszystkim zarekwirowano broń, amunicję i resztki magazynów wojskowych, a ponieważ nie było w nich środków żywnościowych, wysłano liczne ekspedycje do pobliskich wsi celem rekwirowania zboża na chleb oraz bydła i świń na mięso dla wojska. Ludność nie była w stanie zaspokoić zapotrzebowania, więc dochodziło do scysji i formalnej brutalnej walki z ludnością. Ruszyły pociągi na zachód z zagrabionym mieniem. Brutalnym postępowaniem Niemcy zniechęcili Ukraińców do formowania nowych oddziałów i współpracy.

21 lutego przybył polski komendant i objaśnił nam, że Ukraińcy muszą meldować się w Ukraińskiej Radzie, a Polacy u etapowego polskiego komendanta. Tam zostaniemy uzbrojeni i z bronią w rękę grupami wrócimy do Polski do dyspozycji władz wojskowych w Królestwie Polskim. Razem z innymi zameldowałem się i czekałem na wyjazd. Na rozkaz niemiecki zebraliśmy się w koszarach, gdzie niemiecki generał oświadczył nam, że brak pociągów, punktów etapowego wyżywienia uniemożliwia wysłanie nas do Polski. Prosił o pozostanie na miejscu do chwili uregulowania sprawy transportu. Interwencje polskiego komendanta i hrabiego Ostrowskiego nie odnosiły skutku. Sprawa naszego wyjazdu zawisła w powietrzu. Zaniechano przenosin do I korpusu, który (jak głosiła fama) chce się przebić siłą do Polski. Ja i wielu innych byłych żołnierzy Polaków odebraliśmy swoje bilety od komendanta, za co odebrano nam prawo otrzymywania pożywienia w koszarach i przeniesiono nas na pierwsze piętro. W odezwie polecono spokojne zachowanie się, a byłym żołnierzom polecano nałożyć wojskowe naramienniki i oddawać honory niemieckim oficerom oraz ochotniczo wstępować do wojska ukraińskiego za 90 rubli miesięcznego żołdu. Dużo ludzi bierze przepustki do Kowla, a tam dalej nie wiadomo, co się z nimi stanie. Chodzą pogłoski, że będą zatrzymani jako jeńcy wojenni i odesłani na front francuski, albo Niemcy zatrzymają ich w barakach na trzy miesiące, a po zbadaniu zdrowia w czasie tej kwarantanny pozwolą wrócić do domów.

---

3 marca 1918 roku po długich pertraktacjach w Brześciu został podpisany separatystyczny pokój między Związkiem Radzieckim a Niemcami. Republika Radziecka zmuszona była do płacenia wysokiej kontrybucji. Straciła Białoruś, Litwę, Estonię, Łotwę, Polskę jako państwo zależne od Niemiec, Ukrainę – wasalne państwo zależne od Niemiec. Odpadło Zakaukazie na rzecz Gruzji i Turcji.

---

14 marca zgodnie z zarządzeniem udałem się do komendanta z prośbą o wydanie mi odpowiednich dokumentów i zwolnienie mnie od służby wojskowej. Po otrzymaniu zwolnienia Niemcy wyrzucili nas z koszar. Samowolnie wylamaliśmy zamek od drzwi żydowskiego domu i za dwukrotny nocleg 12 osób zapłaciliśmy karę w wysokości 10 rubli. Zajęliśmy także sam dom żydowski i tu spędziliśmy mroźną i smutną Wielkanoc. Z okna tego domu obserwowaliśmy maruderów zajętych zdejmowaniem aluminiowych kapsli z pocisków artyleryjskich, wycinaniu zelówek gumowych z kół samochodowych, łapaniu beapańskich chudych, głodnych koni wprowadzonych na sprzedaż.

W nocy do naszego lokum wtargnęła milicja celem sprawdzenia dokumentów i dokonania rewizji w poszukiwaniu broni. Dokumentów nie mogliśmy jej okazać, gdyż były złożone w czasie przyjmowania do pracy w Inspektoracie Artylerii, dokąd skierowaliśmy milicję. Rano w drodze do pracy przy stacji kolejowej zatrzymał nas patrol niemiecki, pytając dokąd idziemy grupą. Wytłumaczyliśmy się i wskazali nieczynną cukrownię, dziś miejsce naszej pracy.

Na stacji kolejowej wzmożł się ruch. Ogłoszono mobilizację polskich kolejarzy do pracy przy obsłudze pociągów. 7 kwietnia wyruszył pociąg z Polakami, udającymi się do Prus na roboty (z myślą urwania się do domu w czasie podróży). Wałęsających się jeszcze żołnierzy rosyjskich wyłapują Niemcy, przekazując ich Ukraińcom do roboty.

Na węzłowej dużej stacji w Równem wszystkie boczne tory są zajęte pociągami z repatriantami, którzy całymi tygodniami czekają na wyjazd do Polski. Ciasno, gwar, nawoływania, upominania dzieci po polsku słychać w wagonach i na peronach. Prócz pojedynczych osób całe rodziny niecierpliwie czekają na powrót do kraju. W parku jest zorganizowany punkt wyżywienia, kotły z gorącą wodą. Za obiady skąpokaloryczne pobierana jest symboliczna opłata 10 kopiejek.

Warunki pracy i wyżywienia bardzo się pogorszyły. W naszej grupie pracowało około 17 osób, a krupy na kaszę otrzymaliśmy tylko dla 8 pracowników. Od kilku dni nie otrzymywaliśmy umówionego wynagrodzenia z powodu braku pieniędzy, a drożyzna z godziny na godzinę wzrasta. Ostatnio otrzymaliśmy po  $\frac{3}{4}$  funta sucharów i po dwa śledzie na 5 robotników. Mięsa nie otrzymaliśmy wcale. Głód doskwiera. Ból żołądka zwałił mnie z nóg. Bez żadnej pomocy lekarskiej przeleżałem na podłodze dwa dni, przykryty szynelem, a pod głową zamiast poduszki miałem dwa plecaki. Leżałem w boleściach sam jeden, gdyż koledzy poszli do pracy.

Kilka dni później rozchorował się na dobre jeden z naszych towarzyszy niedoli i po kilku dniach zmarł. Musieliśmy się składać na kupno trumny. Został przez nas pogrzebany bez udziału księdza. Ogarnęła mnie apatia, rozdrażnienie i niechęć do życia. Doprowadzona do ostateczności delegacja udała się do inspektora z prośbą o pomoc. Inspektor grubo tłumaczył się

brakiem pieniędzy i środków żywności, pomimo przeprowadzonej u Żydów rekwiizycji. Na trzeci dzień poszliśmy do pracy, ale nie podjęli jej dotąd, dokąd nie poprawią się warunki. Zjawił się inspektor i z własnego portfela (tak mówił) dał 20 rubli na zakup chleba. Po kilku dniach wróciło wszystko do starej normy (głód). Dozorujący pułkownik zajął przeciwko nam zdecydowanie wrogie stanowisko. Na każdym kroku szykanował nas, drwił z naszego trudnego położenia. Grupa robocza rozłazi się. Jedni czekają na wyjazd, inni szukają nowej pracy.

13 maja zaczęto wydawać numerki. Po badaniach lekarskich, szczepieniu ospy, tyfusu i odbyciu kwarantanny 3–22 dni oraz wpłaceniu 3 marek na koszt przeprowadzenia formalności można będzie wracać do kraju. Cała podróż ma kosztować 50 marek.

19 maja w dzień Zielonych Świątek po południu przypadkowo spotkałem na ulicy ursynowiaków Bieleckiego i Kabałę, którzy opowiedzieli mi o losach wojennych innych kolegów. Godecki ożenił się, pracował w „Sojuszu”, urzędnik, podchorąży. Gelner był kontuzjowany, chorąży. Kazusek ożenił się. Pasternak przy cofaniu się utonął w rzece. Nagay umarł na suchoty. Mazur umarł na gruźlicę w Samarze. Kwieciński, najlepszy mój kolega – ranny, chorąży. Węgliński młodszy – chorąży. Lemieszek – chorąży. Sobolewski Wł. – ranny, podchorąży. Lepianka utonął w Wiśle. Ziętek utonął w Wiśle. Kowalczewski – pułkownik.

Wieczorem przez płot (aby nie płacić 60 kopiejek) poszliśmy do parku kolejowego. Pożyczyłem *Miraże* Marion, *Mylne poszlaki* Green, *Desant japoński i chiński*, *Huragan*, *Cuda przyrody* i inne w języku rosyjskim. Przechodząc ulicą z pewnego domu poczułem zapach świeżego chleba, którego w domu miałem pod dostatkiem, a teraz łaknę – głoduję.

5 lipca udałem się do zamku książąt Lubomirskich, położonego na skraju miasta nad rozległymi łąkami. Gmach olbrzymi, dwupiętrowy, gdzie urządza Komitet Repatriacyjny. Na bramie wisiała kartka z nazwiskami osób, które najbliższym pociągiem pojedą do kraju. Mój numer 5582. Niezwłocznie udałem się do biura Inspektoratu, aby otrzymać zapłatę za pracę. Tu utworzyła się kolejka. Po upływie półtorej godziny otrzymałem 199 rubli i zwrot moich dokumentów. 13 lipca udałem się na stację kolejową. Dyżurny ruchu oznajmił mi, że ten pociąg przed kilkoma godzinami już odjechał. A to pech! Nie mogłem sobie darować, że taką okazję przegapiłem. Na zapytanie kiedy będzie następny otrzymałem odpowiedź, że nic nie wiadomo, bo kolejarze zastrajkowali. Na stacji nadal tak dużo pociągów i nowe pociągi nadchodzą, że nie ma ich gdzie ustawić. Krają pogłoski, że granica znów jest zamknięta. Znalazłem się „na lodzie”. Szukałem innej pracy na stacji, w tartaku, lecz nigdzie nie znalazłem. Wróciłem z powrotem do porzuconej pracy w Inspektoracie. Pułkownik mocno się zdziwił, ale zgodził się na moje zatrudnienie. Teraz przyjmowałem leki z rozładowanych wagonów. Inspektor miał kłopot, bo nikt nie mógł odczytać nazw leków pisanych literami łacińskimi.

29 lipca przyszedł do mnie Grzebuła z BęcZYna, artylerzysta z rezerwy, namawiając mnie do wyjazdu. Do pracy już nie poszedłem. Biegiem pobiegłem do zamku. Tu przedstawiłem całą sprawę ze spóźnienia mego na pierwszy transport. Urzędniczka, porozumiawszy się z kierownikiem, dała mi numer, z którym pobiegłem po moje plecaki. Na stacji odnalazłem Grzebułę i Ignacego Gajewskiego z BęcZYna. Pomogli mi zająć miejsce w wagonie. Swoje dokumenty pozostawiłem w Inspektoracie na „pamiętkę”.

## **Wracam na ojczyzny łono**

Strajk kolejarzy skończony. Kolejarze częściowo wracają do pracy. Żywimy nadzieję, że pociągi będą uruchomione i będziemy mogli jechać. Ułożyłem swoje plecaki przy ścianie obok plecaków Grzebuły i Gajewskiego, a sam oparłszy się o ścianę obserwowałem ruch na peronie. W drugim wagonie wychyliły się dwie panienki i zwróciły się do przechodzącego oficera austriackiego, Polaka, ze słowami: „Panie Rudolffie, kiedyż my stąd ruszymy?”. Oficer, zbliżywszy się nieco, z uśmiechem powiedział: „Już, już niedługo, może za dwie albo trzy godziny” i poszedł wzdłuż pociągu w stronę parowozu. Tę rozmowę do dzisiejszego dnia pamiętam i chyba nigdy nie zapomnę. Poprosiłem Grzebułę, żeby uważał na moje rzeczy, bo ja jeszcze na pół godziny muszę pójść do niedalekiej piekarni, kupić zapas chleba na drogę. Tym razem szczęście mi sprzyjało. Trafiłem na moment, kiedy piekarz wyciągał z pieca chlebowego małe bochenki razowego chleba. Odczekawszy chwilę, poprosiłem o dwa bochenki, które po zapłaceniu 3 rubli przyciągnąłem do piersi jak najdroższy skarb. Pędem puściłem się do stacji, znalazłem towarzyszy podróży, zająłem miejsce na swoich plecakach. Odłamałem kawałek chleba i z wilczym apetytem zjadłem go jako obiad i kolację. Niebawem wzdłuż pociągu odezwały się głosy: „No, może już niedługo ruszymy”.

Wagon lekko drgnął i ruszył do przodu. Grzebuła zwrócił uwagę, że pociąg będzie jeszcze wekslował. Tymczasem pociąg nabierał rozpędu i coraz szybciej się poruszał. Minął ostatnie zwrotnice, budkę dróżnika i mknął przez pola. Z ulgą odetchnęliśmy. Miasto zniknęło z pola widzenia. Bez zatrzymywania się na małych stacyjkach pociąg mknął dalej. Zaczęła się noc. Przejechaliśmy Klewań, Bożyszczce i przed południem w Hołubach kazali nam wysiąść z wagonów i parami poprowadzono nas na duży plac ogrodzony żerdziami. Szliśmy w ponurym milczeniu w przewidywaniu, że tu będzie ta kwarantanna, o której tak dużo mówiono w Równem. Na placu kazali nam się przy prowizorycznych długich stołach, na długich sosnowych ławach. Po krótkim odpoczynku przyszli przewodnicy. Podzielili nas na czwórki. Od każdej czwórki jeden (jedna) z dużą misą poszli do kuchni po obiad, który zjedliśmy (jedno danie) szybko. Kazali zabrać z wagonu swoje rzeczy i ustawić się w dwuszeregu na peronie, przy którym stały dwa pociągi: jeden

nasz, rosyjski, a drugi austriacki na wąskich torach. Podprowadzili nas do nowych wagonów i kazali zająć siedzące miejsca. Swoje rzeczy trzymaliśmy na kolanach. Weszli rewizorzy, kazali rozwiązać plecaki. Każdy plecak obmacali, podźwignęli do góry i ruszyli dalej rewidować. Po przeprowadzonej rewizji powiązaliśmy swoje plecaki, rozmieścili na półkach i zajęli wygodne siedzące miejsca. O godzinie 8 wieczorem pociąg ruszył w dalszą drogę. W nocy przejechaliśmy bez zakłóceń Kowel. W Chełmie staliśmy kilka godzin. To nas zaniepokoiło. Znow wróciła myśl, czy czasem nie tutaj będzie kwarantanna. O godzinie 5 rano przybyliśmy do Lublina. Tu nocowaliśmy w wagonach.

Rano przewodnik kazał nam wysiąść. Myśleliśmy, że to jest ostatnia stacja. Bardziej niecierpliwi próbowali już odejść do miasta. Zawrócono ich z powrotem do szeregów. Znow wrócił niepokój, co dalej będzie. Przewodnik oznajmił nam, że obok stoi inny pociąg. Na drzwiach odczytamy napisaną kredą nazwę powiatu. Rozeszliśmy się w zamiarze odnalezienia swego wagonu. Znalazłem prędko napis: „Janów Lubelski – Szastarka”. Rozlokowaliśmy się wygodnie. Tu spotkaliśmy znajomych. Manewrowy parowóz rozprowadził wagony i ustawił na różnych torach. Te wagony dołączali do różnych pociągów.

O godzinie 5 rano przyjechaliśmy do Kraśnika. Swoje rzeczy zostawiliśmy w przechowalni bagażowej, a sami wróciliśmy do wagonu, aby nim dojechać do końcowej stacji Szastarka. Zaraz pieszo ruszyliśmy w stronę Janowa. Nastąpiła noc. Wyszukaliśmy sobie nocleg u jakiegoś gospodarza, który niechętnie zgodził się nas przenocować w stodole na sianie, pod warunkiem, że nie będziemy palić papierosów.

Rano doprowadziliśmy do porządku swój zewnętrzny wygląd. Gospodyni poczęstowała nas gorącym mlekiem i ruszyliśmy do Janowa do starosty celem zameldowania. Po załatwieniu formalności urzędnik austriacki polecił nam zameldować się na posterunku policji w Urzędowie. Nocowaliśmy w Szastarce, a rano ruszyliśmy pociągiem do Kraśnika. Z przechowalni zabraliśmy swoje plecaki i 4 kilometry drogi odbyliśmy pieszo do miasta, Kraśnika. W tym dniu był targ, na który przyjechało dużo furmanek z Urzędowa. Natknęliśmy się na Jana Gozdalskiego, który chętnie zabrał nas razem z naszymi plecakami do Bęczyna. Po drodze Gozdalski wyraził swoje zadowolenie z tego, że to on właśnie mnie i swego brata Piotrka odwoził do wojska, a teraz przywozi nas na stare miejsce. W Urzędowie spełniliśmy rozporządzenie starosty i zameldowaliśmy się. Komendant posterunku polecił nam każdego tygodnia zgłaszać się na posterunku. Plecaki zabrał Gozdalski do siebie.

Ruszyłem na Bęczyn. Koło szkoły spotkałem ojca, zdążającego do miasta. Mijając się, spojrzeliśmy na siebie. Ojciec nie poznał swego syna w mundurze rosyjskim. Cofnąłem się i przywitaliśmy się serdecznie. Z wielką przyjemnością stwierdziłem, że wszystkie zabudowania ocalały od pożaru w czasie działań wojennych. Wszyscy członkowie rodziny zdrowi. W ciągu mojej nieobecności (3 lata i 4 miesiące) bracia i siostry podrośli. Zaraz zaczęli przychodzić sąsiedzi, sąsiadki, chcąc zobaczyć jak wyglądam w mundurze rosyjskim.

Zjawił się i Stach Cieślik, mój serdeczny przyjaciel. Chcąc odizolować się od ciekawskich i szczerze porozmawiać z kolegą, udałem się razem z nim za stodołę i na miedzy gwarzyliśmy do zmierzchu. Siostra Frozyna przez ten czas przydźwigała mój „dobytek” od Gozdalskiego. Rozpakowali plecaki, aby zobaczyć mój trzyletni „dorobek”. Ojciec z miejsca zarekwirował cztery rzemienne paski, którymi były przewiązane tobołki, na lejce do koni.

W owym czasie młodzież organizowała zabawy taneczne, na których tańczyła do granic możliwości, chcąc odrobić czas stracony w czasie działań wojennych na tym terenie. Kilka razy proszono i mnie do udziału w tych zabawach, lecz zawsze im odmawiałem z powodu braku środków finansowych na ten cel, a głównie z braku ubrania cywilnego.



## Początki pracy nauczycielskiej\*

### Wyobcowany

Staralem się nawiązać bliższy kontakt z młodzieżą, ale to mi jakoś nie udawało się. Każdy z kolegów miał jakąś sympatię i z nią spędzał wolny wieczór. Ja z tych „wypadków” wieczorem wracałem zniechęcony. Macocha kolację zostawiała mi w duchówce. Panienki godne mojej uwagi były „zajęte”: Julek Gałkowski – Z. Więckowska, P. Pomykański – Gozdalska, Wacek Gałkowski – Więckowska K., Cieślik – Br. Gozdalska, Cz. Gajewski – Sabłówna itd.

Romek Jagiełło z zazdrości zastrzelił swego rywala. Za zabójstwo i nielegalne posiadanie broni był prześladowany przez żandarmerię austriacką. Musiał się kryć w rozmaitych niedostępnych miejscach. W nocy zjawiał się w domu na krótki czas, aby się posilić i zaopatrzyć w pożywienie na parę następnych dni. Po kilku miesiącach takiego życia popadł w depresję psychiczną i w brzezinach Gozdalskiego popełnił samobójstwo przy użyciu tegoż samego rewolweru.

W domu czułem się przez kilkanaście dni dobrze. Miałem zapewniony już dach nad głową i skromne pożywienie na równi z innymi członkami rodziny. Ojciec z racji swego kalectwa (głuchoty) i swojej mentalności patrzył na mnie krytycznie. W czasie obiadu 5 września wypomniał mi, że nic nie robię (a przecież pomagałem w gospodarstwie), a za te pieniądze, które wydał na moje kształcenie mógłby kupić 3 morgi ziemi. Łzy mi się zakręciły w oczach. Miałem zamiar rzucić łyżkę na stół i wyjść z izby, ale zreflektowałem się i postanowiłem za wszelką cenę opuścić dom i szukać pracy. Następnego dnia ojciec wrócił do tematu, mówiąc: „Twoi koledzy są nauczycielami, choć mają mniejszą naukę, a ty siedzisz i patrzysz obojętnie na wszystko. Idź i wypędź nauczycielkę z naszej szkoły i zacznij już uczyć na Bęczynie”. Tu się kielich goryczy przepelił. Poczulem się w domu niepotrzebny, byłem w całym tego słowa znaczeniu wyobcowany. A ja tak marzyłem wrócić do domu z tej wojennej tułaczki.

Niedziela. Ludzie z Bęczyna idą do kościoła. Wyszedł z domu Andrzej Wośko, który namawiał mnie abym poszedł, na co odpowiedziałem, że wstydzę się iść w mundurze, a krawiec mi jeszcze garnitur nie uszył. Zaproponował mi, że może mi pożyczyć swój garnitur. Po krótkim namyśle zgodziłem się na jego propozycję. Poszedłem do swego kościoła po trzyletniej nieobecności

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.

w nim. Żarliwie modliłem się, dziękując Bogu za szczęśliwy powrót z tej tułaczki i trudów wojennych.

O, Dobry Boże! Dzięki Twej opiece  
Z takiej zawieruchy ja wychodzę żywy.  
Gdyś Ty Wszchemocny nade mną miał pieczę,  
Abym uprawiał obszerne Twe niwy.  
Tyś mi dodawał otuchy i mocy  
Łamać przeszkody na każdym mym kroku,  
Strzegąc od śmierci jak we dni, tak w nocy,  
Każdą mą czynność Ty miałeś na oku.  
Więc, Dobry Boże, składam Ci podziękę  
I proszę nadal o Twe zmiłowanie,  
Poświęcam dla Cię przenoszone męki.  
Pozwól do domu powrócić, o Panie!  
Dopomóż teraz wziąć się do roboty  
Do wybranego przeze mnie urzędu  
Oświecać dziatwę, przenosząc kłopoty,  
Strzeż mnie, o Panie, od próżniactw i błędów.

Równe, 22 lipca 1918 roku

Wreszcie pozbyłem się znieawidzonego munduru, Macocha go przefarbowwała, a krawiec Mazgał przeszył na marynarkę. Po długim oczekiwaniu krawiec uszył mi nowy garnitur cywilny.

15 września wyruszyłem pieszo do Janowa Lubelskiego (35 kilometrów) w sprawie uzyskania posady nauczycielskiej. Po przenocowaniu w prywatnym domu udałem się do kancelarii Inspektoratu, gdzie mnie poinformowano, że inspektor pojechał na polowanie. Cały dzień przesiedziałem na ławce. Wieczorem przedłożyłem podanie i cenzurę z III kursu Seminarium. Inspektor ustosunkował się życzliwie, żądając jeszcze świadectwa moralności. Na zakończenie rozmowy zwrócił mi uwagę, że dużo muszę czytać, aby pozbyć się rosyjskich naleciałości językowych. Okazyjnie chłop zabrał mnie furmanką do Łychowa, a potem przysiadłem się do gospodarza jadącego do Olbięcina, gdzie zanocowałem, a stąd pieszo wróciłem do domu. Na drugi dzień otrzymałem świadectwo moralności od urzędowskiego proboszcza księdza Fijołka.

23 września wybrałem się w podróż do Lublina. Tu zaskoczyła mnie noc. Rano udałem się do dyrekcji trzyletniego seminarium, gdzie mnie poinformowano, że egzaminu dla eksternistów nie będzie, a dostać się na naukę można tylko po ścisłym egzaminie. To mi nie odpowiadało, gdyż przez trzy lata dużo zapomniałem. To samo mi powiedział dyrektor czteroletniego seminarium Chmielewski. Zdążyłem kupić sobie brzytwę.

13 października otrzymałem wezwanie do Inspektoratu w Janowie. Uzupełniłem dokumenty: życiorys i świadectwo moralności. Inspektor zapew-

nił mnie, że za cztery dni będzie sprawa pozytywnie załatwiona. Stosownie do polecenia inspektora 17 października postanowiłem udać się do Janowa. Prosiłem ojca o pożyczanie drugiego konia do odwiezienia mnie do powiatu. Andrzej odmówił pożyczki, a ojciec doradził mi: „Wolniutko, wolniutko, pójsz pieszo”. Tak, to było najprostsze rozwiązanie sprawy. Ironicznie podziękowałem za radę i pomoc. Wyszedłem około godziny 10 w drogę. Po drodze spotkałem gospodarza z Sosnowej Woli, który jechał do Janowa. Gorąco poprosiłem go, aby mnie ze sobą zabrał. Równy z zachodem słońca stanęliśmy w Janowie. Znow szukaj człowieka noclegu. Już mi się uprzykszyła sprawa ciągłych noclegów u różnych ludzi. Zanocewałem u Pazdy, bednarza, przy ulicy Długiej. Inspektor natychmiast wręczył mi przygotowany już dekret nominacyjny do szkoły nr 2 w Grabówce. W drogę powrotną, tak jak to najczęściej bywało, udałem się pieszo. Wkrótce dogonił mnie furman wracający z Janowa do Olbięcina i zabrał mnie ze sobą. U niego przenocewałem, a rano puściłem się jak na skrzydłach z dekretem do „swojego” domu.

Biorąc pod uwagę kalectwo ojca, niski poziom kulturalny, zacofanie, brak rozeznania w rzeczywistości, wszystkie niedociągnięcia już mu dawno przebaczyłem i zapomniałem. Wyciągnąłem naukę na całe życie, że najlepiej liczyć można tylko na siebie, aby nie doznawać rozczarowań. Życie nauczyło mnie do przystosowania się do różnych życiowych warunków. Utwierdziło mnie w przekonaniu, że „i na naszej ulicy słońce może zaświecić”. Ta maksyma sprawdziła się w moim długoletnim życiu.

## **Pierwsza posada**

20 października 1918 roku już parokonną furmanką z dekretem z dnia 15 października w kieszeni, opiewającym, że jako tymczasowy nauczyciel będę pobierał 900 koron austriackich miesięcznie wynagrodzenia i 300 koron dodatku miesięcznego, stryjeczny brat Andrzej odwiózł mnie bez żadnego gospodarczego wyposażenia na miejsce pracy do Grabówki, gmina Annapol. Na miejscu dowiedziałem się od woźnej, że pani nauczycielki Maryli Nowosielskiej w domu nie ma, gdyż wyjechała na zebranie nauczycielskie do Annapola. Po chwilowym namyśle powzięliśmy z Andrzejem decyzję, że i ja, jako świeżo upieczony nauczyciel, na tym zebraniu muszę być. Konie po krótkim odpoczynku popędzane batem ruszyły w stronę Annapola nad Wisłą.

W trakcie zebrania wszedłem do sali szkolnej, przedstawiłem się kim jestem i w jakiej sprawie przyjechałem. Przewodniczący zebrania prezes Dozoru Szkolnego Antoni Hempel wskazał mi miejsce do siedzenia. Podeszła do mnie kierowniczka szkoły nr 2 w Grabówce. Kiedy konie odpoczęły, Andrzej wrócił do domu, a ja po zebraniu na jednym wozie z nauczycielką przyjechałem do swojej szkoły, która mieściła się w wynajętym domu u gospodarza Kasperka.

Żona Kasperka wniosła do mojego pokoiku przy szkole siennik świeżo napełniony słomą. Pierwszy raz spałem we własnym mieszkaniu.

Na drugi dzień podzieliłiśmy się pracą. Nauczycielka z klasą I i II prowadzić będzie naukę w głównym budynku szkolnym, a ja u Kasperka będę uczył dzieci III i IV klasy. Nauki na razie nie mogłem zacząć z powodu braku umeblowania klasy. Przez kilka dni pomagałem w nauce koleżance. Po kilku dniach odwiedziła mnie siostra Eufrozyna z bratem Antosiem. Przywieźli mi trochę naczyń kuchennych i zapas prowiantu na kilka dni. Na Wszystkich Świętych (dwa dni) udałem się do domu. Wolny czas spędziłem ze Stachem Cieślikiem i jego siostrą Joasią.

14 listopada pierwszy raz brałem udział w konferencji i lekcji pokazowej o wprowadzeniu najprostszych pojęć o zwykłych ułamkach. W tej konferencji w Kraśniku brali udział wszyscy nauczyciele z gmin: Annopol, Urzędów, Trzydnik, Dzierzkowice i Kraśnik. Pilnie przysłuchiwałem się dyskusji i krytyce lekcji. W powrotnej drodze spotkał nas zimny, mały, jesienny deszcz. Parasol niewiele nam pomógł przed siąpieniem deszczu. W tych okolicznościach Maryla podała mi rękę do rozgrzania. Po przyjeździe na miejsce poprosiła mnie do siebie i zatrzymała na kolację. W trakcie spożywania posiłków wszczęła rozmowę na temat mego życia. Ja, znany mruk, nie chciałem się wywnętrzać i rozwodzić się szeroko o mojej przeszłości, bo ostatecznie co to kogoś może obchodzić.

W niedzielę wybraliśmy się do parafialnego kościoła do Boisk (około 5 kilometrów). Na przedzie szła Maryla z ochroniarką Z. Platko, która prowadziła ochronkę (przedszkole) w pokoju szkolnym, wydzielonym z mieszkania prywatnego kierowniczkii szkoły. Przechodząc ścieżką między krzakami, zaczęłem paltem o mało widoczny drut kolczasty i rozerwałem sobie rękaw od palta. W takiej sytuacji nie mogłem towarzyszyć paniom i wróciłem do domu. Pierwsza eskapada nie udała się.

Na konferencji i zebraniu Dozoru Szkolnego otrzymałem przydział na dziewięć ławek, które razem z tablicą miałem pobrać u naszego miejscowego stolarza Zajączkowskiego. Teraz już mogłem samodzielnie zacząć systematyczną naukę w swojej klasie. Zgromadziłem pomoce naukowe: obrazy, mapy, a o kredę postarali się chłopcy, przynosząc kawałki zwykłego wapienia znalezione w polu. Dużym zainteresowaniem dzieci cieszyła się nauka śpiewu przy mojej grze na skrzypcach.

---

Revolucje lutowa i październikowa wywarły wielki wpływ na wyniki wojny. W ślad za Rosją armie austriackie i niemieckie, a nawet francuskie uległy rozprężeniu i nie były zdolne walczyć. Pod naciskiem opinii publicznej całe pułki i dywizje odmawiały posłuszeństwa. Klasa robotnicza współdziałała z wojskiem.

USA w kwietniu 1917 roku wypowiedziały wojnę Niemcom. Po zorganizowaniu i wyćwiczeniu milionowej armii zaczęły napływać w 1918 roku

wojska amerykańskie do Francji. Ten fakt zmobilizował armię francusko-angielską. Naczelny dowódca sił alianckich Foch rozbił armie niemieckie nad Sommą. W październiku Czesi, Chorwaci, Serbowie, Słoweńcy i Węgrzy ogłosili niepodległość. Monarchia habsburska rozpadła się. 3 listopada Austro-Węgry legły u stóp aliantów.

Pod naciskiem Hindenburga i Ludendorffa Niemcy prosili prezydenta Wilsona o rozejm. Otrzymali odpowiedź odmowną. W Berlinie proklamowano republikę. Wilhelm II zbiegł do Holandii. 11 listopada 1918 roku w lesie Compiègne pod Paryżem podpisano rozejm. Niemcy musieli oddać samoloty bojowe, 5 tysięcy armat, 25 tysięcy karabinów maszynowych, 5 tysięcy lokomotyw, 15 tysięcy wagonów. W dwa dni po podpisaniu rozejmu rząd radziecki unieważnił traktat brzeski. Zginęła siła militarna Niemiec, żołnierze porzucili armię.

7 października 1918 roku Rada Regencyjna ogłosiła niepodległość Polski. 11 listopada z więzienia niemieckiego w Magdeburdu powrócił Józef Piłsudski i objął naczelne dowództwo nad wojskiem polskim.

Polacy wykorzystali ten moment i zaczęli rozbrajać Niemców i Austriaków znajdujących się na terenie Polski. W tej robocie dużą rolę odegrali nauczyciele. Ze swego okna widziałem furę z nauczycielami, którzy jechali rozbrajać w Anopolu posterunek policji austriackiej. Niemcy i Austriacy bez większego sprzeciwu oddawali broń bez jej użycia.

W roku 1919 uroczyste został podpisany traktat pokojowy w Wersalu. Traktat wersalski szczegółowo określił granice państw w Europie, a więc i Polski. Ze strony polskiej dokument ten podpisał premier Ignacy Jan Paderewski.

W takich warunkach i okolicznościach zaczęła się długa i mozolna praca nad budową polskiej państwowości.

---

22 grudnia na ferie świąteczne pojechałem do Urzędowa. Zarówno w domu, jak i poza domem czułem się jakoś dziwnie osamotniony. Bez żalu wracałem na miejsce pracy. W przeddzień Nowego Roku Stefan przyjechał do mnie jako „pomoc domowa”.

1 stycznia 1919 roku w Grabówce Maryla dawała przedstawienie amatorskie *Korale Marysi i Kasi* uzupełnione deklamacjami: „Do szkoły” i „Idziem do Ciebie ziemio nasza”. Frekwencja nadzwyczajna. Przyszli na tę imprezę mieszkańcy miejscowi oraz z okolicznych wsi. Na żądanie publiczności program został powtórzony kilka razy. Dochód obrócono na zakup nowych książek do biblioteki szkolnej, których w szkole było bardzo mało. Maryla zbierała laury, całkiem zasłużone, za jej tygodniowe prace z amatorskim zespołem teatralnym. Prestiż szkoły podniósł się wysoko.

Życie towarzyskie koncentrowało się w szkole. W zimowe długie wieczory zbieraliśmy się u Maryli, która była duszą i organizatorem życia towarzyskiego. Często bawiliśmy gości – nauczycieli z sąsiednich szkół. Gośćmi najbardziej mile widzianymi była Stasia Dybicka z Anielina i Redas.

Składaliśmy rewizyty koleżankom i kolegom. Do udanych rewizyt należała nasza obecność w Księżomierzy na przedstawieniu *Dymitr i Maria* oraz *Zrękowiny u Druzgały*. Tu bliżej poznałem rodzinę Nosków i Klimkównę, działaczy społecznych młodzieżowych we wsi Księżomierz.

Z naszego grona ubył Ignacy Saja, uczeń III kursu Seminarium Nauczycielskiego w Lublinie, zamieszkały w kolonii Grabówka II, syn wdowy, udający się do Wojska Polskiego.

Po kilku tygodniach systematycznej pracy w szkole zdobyłem sobie zaufanie chłopów, czemu dali wyraz w powzięciu decyzji zbiórki zboża dla mnie, z czego nie była zadowolona kierowniczką, gdyż ją pominęli. Nie chcąc robić rozdźwięku, zbiórki tej zaniechano. W związku z rozpisaniem wyborów do Sejmu (Konstytuanta) odbyło się w szkole zebranie przedwyborcze i szeroka, namiętna dyskusja. Ponieważ prenumerowałem pravicowy „Głos Lubelski” zostałem zaproszony do dworu na poufne zebranie celem zorganizowania propagandy. Z braku rozeznania i małej świadomości w sprawach politycznych w propagandzie udziału nie brałem. Wybory odbyły się w szkole w Grabówce. Ogółem oddano 676 głosów na listę nr 8, na listę nr 4 oddano 21 głosów, na listę żydowską 9, a na listę socjalistyczną nie oddano żadnego głosu. W głosowaniu ogólnym brało udział 801 osób.

24 lutego na zebraniu nauczycielskim powiatu janowskiego powzięliśmy deklarację o przyłączeniu Poznańskiego i Śląska do Królestwa Polskiego i zorganizowaniu Samopomocy Nauczycielskiej.

Wieczory spędzałem u Maryli w towarzystwie ochroniarki i Sai. Posiłki przygotowywaliśmy razem ze Stefanem. Udzielałem mu korepetycji, przygotowując do egzaminu do pierwszej klasy Szkoły Jagiellońskiej w Urzędowie. Nie wiem jaka była przyczyna, że egzaminu nie zdał i nie został przyjęty do szkoły. Czy wiadomości gruntownej mu nie dałem, czy duży był odsiew z powodu dużej ilości kandydatów, czy może nerwy mu nie dopisały. Mleko przynosił z dworu Przegalińskiej w glinianym dzbanuszk. Z przygotowaniem posiłku mieliśmy duży kłopot, gdyż w Grabówce nie było sklepu spożywczego, brak odpowiednich surowców w postaci warzyw i przypraw, a nawet pomocy naukowych dla dzieci. Okazyjnie dostarczał nam Zajączkowski, który prócz stolarki zajmował się rzeźnictwem. Tu można było coś kupić z wędlin i mięsa wieprzowego. Czasem brałem go ze sobą na wieczór do Maryli, która scharakteryzowała go, że ma oczy diablikowate.

Inspektor w ciągu całego roku nie zjawiał się na wizytację. Raz jeden delegował Antoniego Hempla, prezesa Dozoru Szkolnego, na lekcję historii polskiej. Lekcję prowadziłem, bez żadnej tremy, o Mieczysławie II. Po lekcji zatrzymałem w klasie ucznia Biernata za nieprzygotowanie lekcji. Uczeń rozplakał się. Musiałem go uspokajać żeby przeczytał kilka razy materiał, ja go odpytam i zaraz pójdzie do domu. Hempel też był tego samego zdania, aby nie tolerować lenistwa uczniów.



Częste pobyty, gry towarzyskie, wspólnie odbywane podróże spowodowały zbliżenie się do Maryli, która bezceremonialnie zaczęła mnie kokietować. Często naprowadzała rozmowę na temat mego prywatnego życia, pytała o moje zamiary ułożenia tego życia. Mnie to bawiło i nie wywnętrzałem się, bo wiedziałem do czego zmierza. Umizgi jej stawały się coraz to gwałtowniejsze. Na imieniny narysowałem jej i dałem portret Kossaka, a ona w zamian oferowała mi album Krakowa, przy tym zapytała: „Stachu (tak mnie nazywała), a jak będzie nadal z nami?”. Powiedziałem wymijająco, że będziemy uczyć. Niedwuznacznie żąda ode mnie wyznania miłości i oświadczenia się, czego wcale nie otrzymała. Gdyby nie to, że jestem nauczycielem tymczasowym i w przyszłości jako taki mógłbym być zwolniony z pracy nauczycielskiej, może oświadczyłbym się. Ja myślałem realnie, zamierzałem zwolnić się z pracy i podjąć dalszą naukę, skończyć Seminarium, ustabilizować się, stać się nauczycielem stałym, do czego się od kilku lat przygotowywałem w Seminarium. Gdyby mi się to dało skutecznić, otrzymałbym wyższe uposażenie, a wtedy mógłbym myśleć o żeniaczce i założeniu rodziny.

28 maja miejscowy proboszcz zwrócił się do mnie listownie, abym zorganizował banderę towarzyszącą w przejeździe biskupa lubelskiego, co niechętnie zrobiłem, gdyż z kawalerią nic nie miałem do czynienia. Po wizytacji biskupa wszystko wróciło do normalnego trybu życia.

20 czerwca na zakończenie roku szkolnego dyrygowałem chórem dziecięcym w Anielinie, Suchej Wólce i Grabówce. Koniec roku tuż, tuż, a nasz stosunek w myśl Maryli nieuregulowany. W końcu powiedziała wręcz, że mnie kocha, że ja jestem jej chłopcem, a ona moją dziewczyną. Znalazłem się w głupim położeniu i nie wiedziałem jak z tej kabały wybrnąć. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi, wszedł do mieszkania Saja w mundurze żołnierskim. Otrzymał tygodniowy urlop, aby pomóc matce przy żniwach. Przywitali się serdecznie. Zakrzętała się koło sporządzenia herbaty, Saja poszedł razem z nią do kuchni. Sam zostałem w pokoju. Herbata widocznie była jakaś „twarda”, bo za długo trwało to gotowanie. Przez uchylone drzwi widziałem parę nad czajnikiem i idylliczny obrazek, jak ściskają się przy kuchni. Przezornie cofnąłem się do pokoju. W czasie herbaty pytałem Saję o wojsko i urlop. Nie dałem Maryli poznać, co widziałem. Ten fakt poszedł mi na rękę – miałem w ręku atut o podwójnej grze koleżanki. Przed odjazdem Sai napomknąłem o wypadku przy sporządzaniu herbaty, na co otrzymałem odpowiedź, że Maryla go lubi, nawet więcej, bo go kocha, ale miłością braterską, a nie jako mężczyzny z kobietą. Popatrzyłem na nią, uśmiechając się ironicznie.

17 i 18 sierpnia udałem się do Warszawy. Sekretarz Seminarium St. Kawecki poradził mi złożyć podanie do dyrekcji Seminarium z prośbą o przyjęcie mnie na IV kurs. W prasie wyczytałem, że na ulicy Koszykowej przyjmują kandydatów na kurs nauczycielski. Chcąc zabezpieczyć się, na wszelki wypadek złożyłem dokumenty do dyrekcji kursów.

23 sierpnia pieszo udałem się do Janowa do Inspektoratu z prośbą o udzielenie mi stypendium na dalszą naukę. Po przenocowaniu się w Modliborzycach wróciłem do domu ze spuchniętymi nogami. W Dzierzkowicach odwiedziłem Sęczawę.

Teraz codziennie chodziłem na pocztę, aby dowiedzieć się o przyjęcie w Ursynowie lub na kursy nauczycielskie. Za każdym razem wracam z kwitkiem. Jestem roztrzęsiony, wszystko mnie denerwuje. Znajduję się na rozstajnych drogach. Szukam okazji do rozmowy z kolegami, koleżankami w Urzędowie, ale to wszystko jakieś sztywne, obce. List od Maryli przynosi ukojenie, wskrzesza chwile pobytu w Grabówce. Zdaje mi się, że jestem jednak zakochany, przed czym tak się broniłem.

31 sierpnia zaszedłem do Stacha Cieślika, z którym można było szczerze i rzeczowo pomówić, ale nie zastałem go w domu. Matka jego ze łzami w oczach żaliła się na syna, na jego niewdzięczność i upór. Prosiła mnie, abym z nim porozmawiał, wytłumaczył, że jego miłość do Bronki Gozdalskiej jest niedorzecznością. Ona w przeciwieństwie do Stacha jest bogata, ale chorowita. W razie małżeństwa przy nadarzającej się sposobności w złym humorze będzie mu wymawiać, co pociągnie za sobą nienawiść i pożycie małżeńskie zostanie przekreślone dla obojga. Joanna też włączyła się do prośby. Przyrzekłem, ale rozmowa nie przyniosła pozytywnych rezultatów. Cała ich historia skończyła się tym, że Bronka po kilkunastu miesiącach zmarła. Stach został nauczycielem na Bęczynie, potem w Trzcińcu. Wstąpił do seminarium duchownego, został księdzem, a w 1943 roku zginął w obozie, zamordowany przez esesmanów w Dachau. Miłość różnymi chodzi drogami.

2 września pojechałem furmanką po swoje rzeczy. Tych rzeczy trochę mi przybyło: nakrycie stołowe na dwie osoby, dwa garnki (saganki), dwa talerze, dwa noże i dwa widelce, książki, skrzypce, bielizna, poduszka, to prawie wszystko. Zajączkowski zrobił mi składane krzesło i składane łóżko polowe.

Matki już zapisują dzieci do szkoły. Nie chcą wierzyć, że wyjeżdżam z Grabówki. Proszą, aby zostać jeszcze na miejscu. Czule pożegnaliśmy się z Marylą. Przypomniała mi jeszcze, że jest moja. Ruszyłem do Urzędowa, a po paru dniach do Warszawy. W Lublinie wymieniłem 300 rubli na austriackie korony w kantorze wymiany. Od ojca nie dostałem ani grosza.

## **Wracam do Seminarium**

Nie czekając dłużej na zawiadomienia ze szkół, powziąłem desperacką decyzję. Jadę...

Brat Antoni odwiózł mnie do stacji kolejowej, ale już do Kraśnika (10 kilometrów), a nie do Naęczowa (35 kilometrów). Wójt Rolla pomógł mi wsiąść do pociągu z rzeczami. W spóźnionym i przeładowanym pociągu dotarłem do Lublina. Tu przesiadłem się do pociągu warszawskiego, od Dębina

miałem miejsce siedzące. W Warszawie o godzinie 9 chciałem do szkoły na ulicy Szopena 16 wziąć dorożkę, czego nie zrobiłem, gdyż dorożkarz zażądał 30 marek, co było dla mnie dużym wydatkiem. Postanowiłem dotrzeć na miejsce pieszo. Objuczony dwoma dużymi pakunkami, z trudem wlokłem się, odpoczywając co kilkanaście kroków, oblany potem, pomimo że na dworze o rannej porze było chłodno. Nogi mnie strasznie rozboleły, co później odbiło się na moim zdrowiu, a szczególnie na nodze po odniesionej na wojnie ranie. Dalej już iść nie mogłem. Z Krakowskiego Przedmieścia pojechałem za przystępną kwotę do Seminarium.

Przed szkołą spotkałem większą liczbę uczniów. Swoje pakunki złożyłem na przechowanie do stróża, a sam z niepokojem o przyjęcie udałem się do dyrekcji szkoły. W korytarzu natknąłem się na Kaweckiego, który powiedział, że dobrze zrobiłem przyjeżdżając do szkoły. Sekretarz zapytał mnie, czy otrzymałem od dyrekcji pismo o przyjęciu mnie do szkoły. Więc jestem przyjęty, z czego się bardzo ucieszyłem. Uciecha trwała kila chwil, bo oznajmił mi, że obecnie w nowych trudnych warunkach mieszkaniowych dyrekcja nie prowadzi internatu, więc trzeba samemu poszukać sobie kwatery. Widząc moje zakłopotanie, dał mi adres do znajomych z Mokotowa, gdzie dowiedziałem się, że stancja jest już zajęta. Szukam mieszkania przy różnych ulicach, ale bezskutecznie. Kupiłem gazetę z myślą wyczytania w ogłoszeniach o lokalach. Nic nie znalazłem. Koledzy też nie mogą mi pomóc.

A tymczasem noc nieubłaganie objęła miasto w swoje objęcia. Gdzie teraz skierować kroki, do kogo? Poszedłem na dworzec kolejowy Wiedeński. Ludzi było dużo, ruch, nawoływania. Zmieszałem się z tłumem. Po dłuższym poszukiwaniu znalazłem trochę miejsca, aby usiąść, odpocząć, przemyśleć moją sytuację. W pozycji siedzącej zdrzemnąłem się. W poczekalni zrobił się jakiś ruch, słychać prośby, tłumaczenia, a nawet przekleństwo. Służba kolejowa od każdego żąda okazania biletu na przejazd pociągiem. Ludzi bez biletów usuwa z poczekalni, bo sala będzie gruntownie sprzątnąta. Noc chłodna, pogodna. Kilka razy przeszedłem wzdłuż gmachu stacyjnego. Oczy się kleją, nogi bołą, cały jestem obolały. Przysiadłem na stopniach i tu zasnąłem do godziny 4. Poczekalnia sprzątnięta – można już wejść do środka. Na ławie przedrzemałem do godziny 8. Poszedłem bez śniadania i mycia do szkoły, gdyż 10 września lekcje już się zaczęły. Zaopatrzywszy się w przybory do pisania, udałem się do sali IV kursu. Na pierwszą lekcję (matematyka) wszedł znajomy z ursynowskiego Seminarium pan Wł. Smosarski. Przechodząc między ławkami, podszedł do mnie, podał na przywitanie rękę ze słowami: „No to znowu spotkaliśmy się”. Koledzy z zainteresowaniem przyglądali się tej scenie. Po lekcjach idę dalej szukać, ale daremnie.

Druga noc na stacji, ludzi trochę mniej. Do 2 godziny spałem na ławie, na przerwę na sprzątnięcie sali wyszedłem przed dworzec. Tu jeszcze jedna bieda. Noc ciemna, deszcz siąpi, na trotuarze i na schodach mokro. Przystanąłem pod akacją, której korona była przycięta, tworzyła coś w rodzaju parasola.

Oparłem się o pień i tak, stojąc nieruchomo, drzemałem. Od godziny 4 do 8 przespałem na jakiejś pace pod oknem. Przemywszy oczy, wypilem na stacji szklankę herbaty z małą, suchą bułką, co musiało wystarczyć na cały dzień. Ogarnia mnie przygnębienie.

Po lekcjach zwierzyłem się księdzu Wiśniewskiemu z moich kłopotów, prosząc go o jakąś radę. Ten odpowiedział mi, że jutro da mi odpowiedź. Z tego też nic nie wyszło. Dyrekcja Domu Dziecka postawiła warunek, abym opiekował się dziećmi przez cały dzień, co kolidowało z moją pracą w szkole. Dozorca żąda, abym zabrał swoje rzeczy, bo mu przeszkadzają. Po lekcjach zabrałem swoje dwa pakunki, stanąłem w korytarzu i zastanawiałem się, gdzie te swoje graty złożyć. Kolega z Wilanowa doradził mi zostawić u woźnego Seminarium. Woźnego znałem jeszcze z Ursynowa. Niechętnie przyjął moje rzeczy. Wieczorem poszedłem do niego, a mieszkał w małym pokoju przy salach wykładowych, pod pretekstem, że chce wziąć jakąś książkę. Prosiłem go, aby mnie przyjął na nocleg. Odpowiedział, że w Seminarium nikt nie może nocować. Ze względu na mój kłopot i starą znajomość zgodził się spełnić moją prośbę. Tak więc po kilku dniach tułaczki spędziłem noc w ciepłym mieszkaniu, w łóżku, jak człowiek, śpiąc snem sprawiedliwego. Nie obeszło się i tu bez przeszkód. Około godziny 10 wszedł do niego sekretarz Kawecki z żoną zabrać podzelowane buty. Woźny załatwił sprawę w proggu. Ja na ten czas przykryłem się z głową, aby sekretarz mnie nie zauważył. U woźnego przenocowałem jeszcze parę nocy, nie przestając poszukiwać stacji.

Uciążliwa podróż, niedospane noce, ciągle chodzenie, odmowne odpowiedzi, niedożywienie, moja bezradność niekorzystnie wpłynęły na mój stan fizyczny i psychiczny. Ja, dwudziestoczteroletni mężczyzna, w gronie kolegów 17-19-letnich czułem się obcy, smutny i ponury. Zauważył to jeden z kolegów, Zabłocki, i zapytał dlaczego taki jestem. Szczerze mu się zwierzyłem.

Zaprosił mnie do siebie na ulicę Nowogrodzką 33/21. Na stacji mieszkało w jednym przejściowym pokoju czterech uczniów Seminarium. Zaszedł do gospodyni Orłowskiej, chwilę w kuchni z nią porozmawiał. Ona weszła do pokoju, popatrzyła na mnie uważnie i powiedziała, że zgadza się przyjąć i mnie na piątego, o ile pozostali koledzy wyrażą zgodę. Tak więc i na mojej ulicy zabłysło słońce. Mam już lokum.

15 września zainstalowałem się w nowym, stałym, „własnym” mieszkaniu pod dachem. Dwóch braci Gonerków śpi w jednym łóżku, Zabłocki na swoim, Dudziński też na swoim pod oknem. Koledzy poczęstowali mnie herbatą, chlebem z serem. Ułożyłem się na podłodze na kocu, przykryłem się prześcieradłem i spałem jak susał.

Teraz już lepiej się czuję. Lekcje odrabiamy przy jednym małym stole przy świetle świecy, a później kupiliśmy sobie lampę naftową. W niedzielę chodzę do kościoła św. Krzyża lub św. Aleksandra. Słucham z przyjemnością śpiewu męskiego chóru. Łażę po mieście, poznaję go. Pani Orłowska pożyczyła mi materac, a po kilku dniach wymościłem słomą swój siennik, który przed snem

układałem na zestawionych krzesłach. Swoje skrzypce zostawiłem w domu, do nauki pożyczyłem skrzypce z Seminarium, tylko musiałem dokupić struny i smyczek. Muszę nadrabiać zaległości, dlatego muzyce poświęcam bardzo mało czasu. Najgorzej wygląda sprawa z wyżywieniem. Pani Orłowska dawała nam gorącą wodę na herbatę. Gonerkowie otrzymywali co tydzień duży chleb pytlowy wypieczony w brytfannie i puszkę smalcu. Dudzińskiemu przywozili chleb i kiełbasę z domu. Zabłocki czasem coś z domu otrzymał, a resztę kupował w jadalni. Najgorzej ta sprawa wyglądała u mnie. Kilka razy macocha przysłała mi chleb z olejem. Na pocztę musiała chodzić aż do Kraśnika (10 kilometrów). Z powodu braku czasu i dużej odległości przestała przysyłać. Za chlebem musiałem o godzinie 5 rano stawać w kolejce. Często chleba zabrakło lub musiałem spieścić się do szkoły. Na obiad szklanka gorącej wody zaprawionej kostką bulionową. Więc często gęsto byłem głodny. W niedziele tylko chodziłem do stołówki, aby zjeść talerz chudej zupy, co było dla mnie niewystarczające.

W wolnych chwilach o zmroku urządzaliśmy „koncerty” w mieszkaniu. P. Gonerko, starszy, grał na kontrabasie, Zabłocki na wiolonczeli, Gonerko młodszy na altówce, a ja z Dudzińskim pierwsze skrzypce. Więc było głodno, ale wesoło.

Na lekcje fizyki i chemii chodziliśmy na Stare Miasto na ulicę Jezuicką do Muzeum Przyrodniczego. Lekcje prowadził specjalista L. Paczowski. Do szkoły ćwiczeń chodziliśmy na ulicę Żurawią. Kierownikiem szkoły był działacz społeczny i poseł do sejmu Z. Nowicki. Na lekcje gimnastyki chodziliśmy do własnego zakładu W. Pieńkowskiego. To było dla mnie bardzo uciążliwe. Musiałem się śpieszyć, aby na czas wrócić na inne lekcje. Te duże odległości odbywałem pieszo, gdyż na tramwaj nie miałem pieniędzy.

Profesorowie:

H. Mościcki – dyrektor, historia Polski,  
St. Kawecki – sekretarz, wicedyrektor,  
ks. Wiśniewski – religia, dogmatyka,  
dr C. Bańkowska – psychologia, logika,  
Smosarska – matematyka, geografia,  
Smosarski – algebra, geometria,  
Krokowski – historia literatury,  
Z. Nowicki – dydaktyka,  
W. Pieńkowski – wychowanie fizyczne,  
Kamiński – muzyka, śpiew,  
L. Paczowski – fizyka, chemia,  
Pilatti – rysunki,  
dr Raabe – biologia, zoologia,  
dr Stefański – higiena,  
L. Zarzecki – metodologia arytmetyki.

Uczniowie:

R. Popławski, K. Biernacki, J. Korpusik, St. Sołowijaniuk, J. Zabłocki, W. Gulina, T. Chruścicki, J. Barszczewski, D. Wośko, J. Gniewoszewski, W. Furmanik, Z. Wasilewski, M. Gronkowski, Z. Niedzielski, L. Lepianka, P. Gonerko, H. Sierosławski, J. Gołębiowski, R. Gruberski, Kazanecki. Wszyscy ukończyli Seminarium.

Prócz mnie także byli uczniowie, którym wojna przeszkodziła w swoim czasie ukończyć Seminarium. Najstarszy był Gniewoszewski – żonaty, K. Biernacki z rosyjskiej kawalerii, Z. Wasilewski – piechociniec. Lokal szkolny ciasny.

## **Choroba. Szpital**

Nauka w szkole odbywa się intensywnie. Czasem proszę kolegów, z którymi zaczynam się zżywać, o pomoc w geometrii przy sporządzaniu wykresów, z którymi w Ursynowie nie miałem nic do czynienia. Czasem odpisywałem zadania domowe, ale po tym analizowałem sposób rozwiązywania.

Naraz w pierwszych dniach października zacząłem odczuwać ból w lewej nodze, przestrzelonej na wojnie, powyżej kolana. Początkowo bagatelizowałem tę sprawę. Brałem czynny udział w gimnastyce z wynikiem bardzo dobrym, chodziłem po mieście. To nie trwało długo, bo już 8 października poszedłem do szkoły z pomocą laski. Następnego dnia udałem się do lecznicy przy Szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie lekarz Stróżewski zbadał mnie, opatrzył nogę, zalecił spokój i ciepłe kompresy. Zaproponował mi operację, co mnie bardzo zaniepokoiło. Na operację nie zgodziłem się. Zaraz położyłem się do „łóżka” w myśl zalecenia lekarza, ale o ciepłych kompresach nie mogło być mowy. Gorącą wodę na herbatę otrzymywaliśmy tylko raz dziennie we wczesnych godzinach.

Leżę więc sam jeden bez żadnej opieki i ciepłej strawy. Próbowalem czytać książkę, ale nie mogłem skupić uwagi i zaniechałem tej czynności. Całe noce spędzam bezsennie. Ból z każdą godziną wzmagą się. Kolega Zabłocki ustąpił mi swego łóżka, sam w nocy spał na moim miejscu na sienniku rozłożonym na dwóch krzesłach. Otrzymałem wiadomość z domu o ciężkiej chorobie ojca. Na pociechę żadnego listu doczekać się nie mogę.

Napisałem list do dyrekcji z prośbą o przysłanie mi szkolnego lekarza doktora Stefańskiego. Lekarz nie przyszedł, a na moje pismo nie otrzymałem nawet odpowiedzi. Więc leżałem już drugi tydzień bez pomocy lekarza. Noga poczerwieniała, spuchła, nie mogę się nawet odwrócić na drugi bok. Teraz złożony ciężką chorobą sam zdecydowałem udać się do szpitala. Poprosiłem Zabłockiego, aby mi pomógł, na co chętnie się zgodził i odwiózł mnie dorożką za opłatą 10 marek. Zostałem umieszczony na sali kliniki chirurgicznej Szpitala Dzieciątka Jezus.



29 października o godzinie 10<sup>30</sup> przewieziono mnie do sali wykładowej. Profesor Kryński zademonstrował moją chorobę studentom, którzy otoczyli mnie wkoło. Objaśnił przebieg choroby, jej nazwę i symptomy. Wywieźli mnie na wózku na korytarz, a wwieźli kobietę, która cierpiała na tę samą chorobę. Na sali operacyjnej na stole felczer ogolił mi chorą nogę, obłożono ją ręcznikiem, przywiązano mi ręce i nogi do stołu.

Doktor Wojciechowski nałożył mi na usta i nos maskę przepojoną chloroformem i kazał głęboko oddychać. Zakrztusiłem się. Na chwilę zdjął maskę, ale za chwilę znów nałożył. Odetchnąłem kilka razy, głowa bezwładnie zwisała. Och jak przyjemnie, błogo, nic nie boli... Zasnąłem, powierzając życie w ręce lekarzy. Co się teraz działo ze mną, nie wiedziałem. Czuję teraz jak mnie ktoś szarpnął za nogę i mówi: „Dość tego spania. Obudź się”. Kiedy wróciła mi przytomność, zobaczyłem, że leżę na swoim łóżku. W głowie szum, w uszach niesmak, to gorycz, zbiera mi się na wymioty. W takim stanie przeleżałem dwa dni.

Trzeciego dnia lekarz przystąpił do zmiany opatrunku. Czulem piekielny ból, gdy zrywał opatrunek, który mocno przywarł do rany, jeszcze większy ból odczuwałem przy wyciąganiu gazy i drenów z rany. Z otworu buchnęła krew z ropą. Lekarz naciskał rękami, aby wylało się jak najwięcej tego płynu. Nie mniejszy ból odczuwałem przy wciskaniu świeżej, wyjałowionej gazy i drenów w ranę. Po nałożeniu grubej warstwy ligniny lekarz ściśle obandażował nogę. No, najgorsze minęło. Teraz spokojnie leżałem, ból zmalał do minimum. Zasnąłem na kilka godzin. Po obudzeniu się podano mi jakiś płyn na obiad i znów zasnąłem. Po 24 dniach zaczął mi wracać apetyt, nabierałem sił, przy pomocy pielęgniarki mogłem się położyć na bok.

Po tym czasie lekarz pozwolił mi siadać na łóżku, pytał czy próbowałem stawać na nogi. Ulegając zachęcie lekarza, próbowałem stanąć na nogi, trzymając się krawędzi łóżka. Po kilku krokach wróciłem do łóżka, które przez ten czas przesłała mi pielęgniarka. Na drugi dzień wyruszyłem dalej, ale zrobiło mi się ciemno w oczach, zimno, zbliżyłem się do kaloryfera, straciłem przytomność i upadłem. Z pomocą pielęgniarki wróciłem do łóżka. Lekarz robił mi opatrunki raz na dwa dni. Ropy z krwią wypływało mało, zakładanie nowego opatrunku nie sprawiało mi większego bólu. Samopoczucie z każdym dniem poprawiało się.

Często odwiedzał mnie Zabłocki, informując co się dzieje w szkole, co przerobili w nauce. Prosiłem go, aby notował wykłady pana Paczóskego z fizyki i chemii, bo podręczników do tych przedmiotów jeszcze nie było.

W drugiej połowie listopada w niedzielę późnym wieczorem weszła pielęgniarka z jakąś kobietą i od progu mówi, że leży na piątym łóżku po prawej stronie. Skierowałem wzrok ku drzwiom i spostrzegłem dopiero wtedy, że tą niewiastą jest moja rodzona siostra Eufrozyna. Przywitaliśmy się ze łzami w oczach. Opowiedziała mi, co się dzieje w domu na Bęczynie i o tym, jak

odbyła tak daleką podróż sama jedna, nie znając dokładnego adresu do mnie. Podziwiałem jej odwagę, zaradność i przywiązanie do mnie. Przywiozła mi pożywienie, którego brak dawał się odczuć. Pogawędziliśmy z pół godziny. Pożegnawszy się czule, udała się do dworca Kolei Nadwiślańskiej.

Po upływie tygodnia doktor Wojciechowski oznajmił mi, że stan mojego zdrowia jest zadowalający i będę mógł wracać do domu. Z jednej strony cieszyłem się, że wracam do zdrowia, będę mógł kontynuować naukę, a z drugiej strony martwiłem się, że przecież rana jeszcze całkowicie nie zagoiła się. Będę w domu, ale życie w tym „domu” będzie dla mnie znowu ciężkie, a tu w szpitalu miałem warunki bytowe zapewnione. Domyślałem się, że chcą się mnie pozbyć, bo miejsce będzie potrzebne dla innego chorego, a nade wszystko, że ja nie płacę gotówką za kosztą leczenia, bo lecę się na kredyt. Należność ureguluję, gdy na posadzie nauczycielskiej będę zarabiał, ale kiedy to nastąpi, nie wiedziałem.

9 grudnia 1919 roku w godzinach przedpołudniowych zostałem wypisany i dorożką wróciłem na ulicę Nowogrodzką 33/21. Za 40 dni leczenia byłem winny szpitalowi 430 marek, które sumiennie po dwóch latach wpłaciłem do kasy szpitalnej.

## **Rekonwalescent**

Koledzy powitali mnie serdecznie, zaprosili do stołu na kolację. Musiałem szczegółowo im opowiedzieć, jak mi lekarze operowali i leczyli nogę. Przez dwa dni siedziałem w domu, odpoczywając po przebytej kuracji. Podobnie w klasie zostałem przyjęty z otwartymi rękami. Lekcje odbywały się pod kątem sprawdzenia wiadomości uczniów. Po upływie tygodnia otrzymali półroczne cenzury, ja z powodu długiej nieobecności na lekcjach nie byłem klasyfikowany za I półrocze. 20 grudnia wyruszyłem do domu na ferie Bożego Narodzenia bez półrocznego świadectwa. Pół roku zmarnowane.

Na dworcu kolejowym tłok. W kasie biletowej nie mogłem kupić biletu ulgowego z powodu braku przedłużenia w swoim dowodzie uczniowskim. Musiałem kupić cały bilet, co nadwyrężyło mój stan gotówki w portfelu. Do wagonu wszedłem dzięki pomocy milicji kolejowej. Dużo ludzi pozostało na peronie, nie mogąc wsiąść do wagonu. Z wielkim trudem udało mi się precisnąć między pasażerami z walizką na chorej nodze. Pod ścianą wagonu usiadłem na walizie, zasłaniając ręką chorą nogę od stuknięcia i urażenia rany. W Dęblinie trochę się rozluźniło, więc mogłem przesiąść się na ławkę do przedziału.

21 grudnia dotarłem do Lublina, gdzie na dworcu przenocowałem, a rano ruszyłem do Kraśnika. Tu w pociągu było jeszcze gorzej. Całą drogę stałem na platformie. Śnieg pędzony silnym wiatrem ciął mocno po twarzy, a iskry parowozu oślepiały oczy. Zmarznięty, mokry i zbolący wysiadłem w Kraśniku.

Przed stacją naszej furmanki, którą miałem jechać, nie było. Spotkałem tu znajomych kleryków Jagiełłę i Gozdalskiego, oficera Wojska Polskiego Karola Żyszkiewicza i innych. Przysiadłem się do fury Gałkowskiego, a w drodze spotkałem brata Antoniego, który wyjechał po mnie, przesiadłem się na swoją furmankę i wygodnie dojechałem do domu.

Cała rodzina witała mnie serdecznie i otoczyła należyłą opieką. Siostra przygotowała gorącą kąpiel, z której skwapliwie skorzystałem. Całe święta odpoczywałem. W drugi dzień świąt odwiedził mnie Cieślik, ale na krótko, bo spieszył się do swojej sympatii Bronki. W Nowy Rok i następną niedzielę Antoś odwiózł mnie do kościoła.

12 stycznia 1920 roku z Julkiem Gałkowskim wyruszyliśmy do Lublina, gdzie przenocowaliśmy u kolegi ze szkolnej urzędowskiej ławki W. Żyszkiewicza, ucznia VII klasy Gimnazjum im. St. Staszica. Miasto przygotowywało się do powitania Piłsudskiego, który miał wracać z frontu wschodniego. Całą drogę do Warszawy odbyłem w pozycji stojącej, ale wewnątrz ciepłego wagonu, pod dachem, a nie na śniegu i wietrze.

Przybyłem na stację pierwszy. Następnego dnia lekcji nie było, więc ten czas wykorzystałem na naukę przerobionego w 40 dni materiału. Notatki z fizyki i chemii pożyczył mi Zabłocki, a z psychologii i pedagogiki Grabowski. Dużo tego materiału przepracowałem w domu, a tu uzupełniałem. Pomimo tych niewygodnych i wyczerpujących podróży samopoczucie fizyczne dopisywało mi. Gotów jestem podjąć pracę, wyrównać niedociągnięcia spowodowane długą i ciężką chorobą, wyteżyć wszystkie siły, aby dopiąć celu – w końcu ukończyć Seminarium i otrzymać z ukończenia świadectwo dojrzałości.

## **Wyteżona praca**

Z polecenia doktor Bańkowskiej opracowałem referat „Uniwersytety w wiekach średnich”, który wygłosiłem w klasie. Koledzy z wielką uwagą słuchali treści, a nauczycielka była zachwycona. Na podziękowanie podała mi rękę. Tegoż dnia byłem w Banku Handlowym po odbiór 300 marek stypendium. Przy wyteżonej pracy czas szybko leci. Ministerstwo Oświaty przysłało już zapotrzebowanie na tematy egzaminu końcowego. Boję się.

Celem odprężenia i przygotowania nas, przyszłych nauczycieli, do pracy społeczno-oświatowej są organizowane różne imprezy kulturalno-oświatowe. 31 marca odbyła się wieczornica zorganizowana przez koło miłośników „Pożytecznej zabawy”, na którą byli zaproszeni goście. Występowała nasza orkiestra pod batutą nauczyciela muzyki i śpiewu pana Kamińskiego. W przerwach występował chór szkolny, do którego miałem zaszczyt należeć, oraz były deklamacje i recytacje. 17 kwietnia razem z kilkoma kolegami brałem udział w zebraniu organizowanym przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki

Społecznej na temat hodowli roślin lekarskich. Zebraniu przewodniczył doktor Dobrowolski. 8 maja Szkoła Gospodarstwa Domowego w Sewerynowce zaprosiła nasze Seminarium i warszawskie seminarium na wieczornicę, gdzie były deklamacje, śpiew i tańce, w których ze względu na chorą nogę nie mogłem ku memu zmartwieniu brać udziału. Do tańca na pianinie przygrywały siostry miłosierdzia. Rewanżując się, nasze Seminarium zaprosiło ich do siebie na wieczornicę, która odbyła się w Muzeum Przyrodniczym przy ulicy Jezuickiej na Starym Mieście. Tym razem pan Kamiński wyświetlał film, a na zakończenie była zabawa taneczna i chór szkolny. Zaprosiłem też swego przedwojennego kolegę Kwiecińskiego, rannego w nogę oficera Wojska Polskiego, razem z jego młodszą siostrą Marią, słuchaczką Wolnej Wszechnicy. Ta miła, sympatyczna koleżanka ukończyła Seminarium Walickiej oraz zdobyła maturę po ukończeniu ośmiu klas gimnazjalnych. Miło spędziłem ten niezapomniany czas w jej towarzystwie. Wielka szkoda, że nie mogłem z nią tańczyć ze znanego powodu.

23 maja urządziliśmy wycieczkę do naszego Ursynowa, gdzie o tej porze roku przed wojną w cieniu starych lip na ławeczkach przygotowywaliśmy się do egzaminów przejściowych. Wstawaliśmy o 3 godzinie, spacerując wkuwaliśmy na świeżym powietrzu, a po obeschnięciu rosy zaszywałem się między krzakami w wysokiej trawce i tu, leżąc, solidnie uczyłem się. Dziś tego parku nie ma, pozostały tylko nieprzedarte krzewy. Budynek ocalały. Teraz muszę siedzieć w domu w Śródmieściu i kończyć zaczęłą pracę.

Na zakończenie tych imprez i zebrań w „Związku Katolickich Kobiet” odbył się w Sewerynowie odczyt z przeźrocami zakończony tańcami. Pożegnaliśmy się chyba raz na zawsze.

Przed zakończeniem nauki zostałem wezwany do mecenasa Osuchowskiego po odbiór przyznanego mi przez państwo stypendium w kwocie 1000 marek. Mecenas, wręczając pieniądze po serdecznej rozmowie, życzył mi powodzenia.

## Matura

Nadszedł pamiętny dzień. 4 czerwca 1920 roku rozpoczął się egzamin maturalny. Tematy prac pisemnych opracowali nasi wykładowcy i wysłali do ministerstwa, a ono dołączyło do tego swoje tematy. Temat z matematyki opracowałem dobrze, otrzymałem ocenę „4”, co sprawiło, że od odpowiedzi ustnej zostałem zwolniony. Ponieważ z nauk pedagogicznych (psychologia, pedagogika, historia pedagogiki, logika, dydaktyka) miałem roczny wynik „5”, więc z tych przedmiotów egzaminu nie zdawałem. Z języka polskiego wybrałem do opracowania temat „Dlaczego arcydzieło poetyckie *Pan Tadeusz* uważamy za epopeję”. Pracę napisałem na „4”.

10 czerwca zdawałem egzamin w terminie przyspieszonym o dwa dni, wskutek czego zdążyłem tylko przypomnieć sobie materiał z fizyki, chemii,



**Dominik Wośko w 1920 roku.**  
Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

historii i języka polskiego, a na pozostałe przedmioty czasu zabrakło. Komisja zasiadła przy dwóch stołach nakrytych zielonym suknem. Przewodniczył delegat z ministerstwa Michalski. Zaczęło się od matematyki. Przy tablicy pan Smosarski każe obliczyć objętość graniastoslupa prostego i pochyłego. W tym momencie podszedł wicedyrektor Kawecki i szeptem powiedział, że z matematyki jestem zwolniony. Ucieszyłem się. Pan Smosarski, przeprosiwszy mnie, odszedł do stołu. Pan Paczowski, doktor chemii i fizyki, pytał o widmie słonecznym i rozszczepieniu światła. Pani Smosarska podsunęła temat o dawnych brzegach Wisły i dawnej Warszawie. Tu zapomniałem powiedzieć o dawnym grodzie książąt mazowieckich. W zastępstwie dyrektora H. Mościckiego, który wyjechał do Wilna objąć katedrę na Uniwersytecie Stefana Batorego, pytał późniejszy znakomity pisarz Jarosław Iwaszkiewicz o powstawaniu i upadku miast polskich. Pan Krakowski, wykładowca języka polskiego, poprosił, abym usiadł obok niego i przytoczył cytat „Umarł Gustaw, narodził się Konrad”. Dyskutowaliśmy i analizowaliśmy, jak rozwijał się duch Mickiewicza w postaci Gustawa, Konrada i księdza Piotra. Ksiądz Wiśniewski podsunął temat do dyskusji: „Co spowodowało wybuch rewolucji francuskiej i jakie ma znamiona Kościół katolicki?”. Ponieważ ja byłem ostatnim zdającym egzamin, pan Kawecki odczytał stopnie wszystkich abiturientów, z czego wynikało, że dwóch eksternistów (uczniów z ubiegłego roku) odpadło.

Duży miałem kłopot z oceną z gimnastyki. Pan Waldemar Pieńkowski oznajmił mi, że nie może mi wystawić oceny na świadectwie, gdyż przez

ZNIKNA OD  
ZAWIDMEM SĘ  
LECZ NIE ZA  
I NIE PRZEPA





PRĄDÓW CHWIŁOWYCH ZAWISŁY  
DŁUGI GONIAJĄ SZTUKMISTRZE,  
WYTRWAJĄCIE SIĘ SZLACHTNYCH MYŚLI  
DŁUGA NATCHNIĘCIA NAJCZYSTSZE

1910-1915



W. B. MIESZKOWSKI

1915

całe drugie półrocze ani razu nie byłem na jego lekcji. Musiałem dokładnie opowiedzieć o swojej chorobie, o mojej sztywnej nodze, zademonstrować nogę, zapewnić go, że ten przedmiot jest mi znany z poprzednich lat nauki i długich ćwiczeń w wojsku. Koledzy gorąco poparli mnie. Pieńkowski pokręcił głową i w końcu zdecydował się na wystawienie stopnia „3”.

Na tydzień przed zakończeniem pan Z. Nowicki oznajmił mi, że nie mam stopnia z prowadzenia praktycznego lekcji, którą właściwie w swoim czasie przeprowadziłem, ale on tego sobie w swoim notesie nie odnotował. Postawił na swoim. Musiałem przeprowadzić lekcję z geografii w klasie V. Lekcja udała się dobrze, co podkreślił z naciskiem nauczyciel. Koledzy mu powiedzieli, że już przez rok byłem nauczycielem, więc mam już rzeczywistą praktykę nauczycielską. On spytał, dlaczego mu o tym wcześniej nie powiedziałem, mógłby mi ułatwić otrzymanie posady w jego szkole, w której był kierownikiem.

14 czerwca otrzymałem wymarzone i z wielkim trudem zdobyte świadectwo dojrzałości numer 212. Mogę już pracować w szkole jako wykwalifikowany nauczyciel.

15 czerwca pożegnawszy się z kolegami i podziękowawszy panu Kaweckiemu za ułatwienie mi nauki i za pomoc w mojej chorobie, opuściłem progi ursynowskiego Seminarium w Warszawie. Przed odjazdem podziękowałem kolegom stancyjnym za współpracę i pomoc, a szczególnie Zabłockiemu, zaś pani Orłowskiej za stancję. Pozostawiliśmy jej na pamiątkę imbryk, czajnik i lampę.

## **Ostatnie moje wakacje**

Krażyły pogłoski o strajku kolejarzy, więc postanowiłem jak najprędzej opuścić Warszawę, w której przeżywałem ciężkie chwile. Chciałem być jak najprędzej w domu, pod własnym dachem, mieć wytchnienie i chleb w dowolnej ilości.

Dorożki do stacji kolejowej nie mogłem znaleźć. Udałem się pieszo w towarzystwie „posłańca” z pakunkami. Na dworcu nadałem swoje rzeczy do Kraśnika. W kasie nie mogłem otrzymać biletu ulgowego, gdyż w zaświadczeniu nie było daty ważności. Zmuszony byłem kupić normalny bilet z uszczerbkiem

---

Na stronach 280–281: Tableau absolwentów Seminarium Nauczycielskiego w Ursynowie z roku 1920. Kolejno w rzędach od lewej – Zygmunt Krasiński (poeta), Adam Krasiński (ofiarodawca majątku), Antoni Osuchowski (mecenasa, kurator), Drzewiecki (prezydent m. st. Warszawy), nauczyciele: Henryk Mościcki, Ignacy Dzierżyński, Władysław Smosarski, Kazimiera Smosarska, Walenty Pieńkowski, ks. M. Wiśniewski, ks. A. Wyrębowski, A. Czartkowski, W. Kamiński, dr Stefański, Józef Krakowski, Stanisław Kawecki, Cecylia Bańkowska, Raabe, Krzyżmiński, Słupski, Słupska, Lucjan Paczowski, Zygmunt Nowicki. Dominik Wośko – trzeci od lewej w trzecim wierszu.

dla mojej skąpej kasy. Noc spędziłem na stacji w Lublinie, a rano znów pieszo udałem się do Urzędowa (konie zamówiłem na 20 czerwca). W domu przyjęli mnie z otwartymi rękami i sercem. Andrzej, mój stryjeczny brat, spojrzawszy na moją uśmiechniętą twarz, powiedział: „Widzę, że ci wszystko dobrze poszło. Zuch z ciebie. Wszystkie trudności i przeszkody pokonałeś i zdobyłeś końcowe świadectwo, na które tak długo pracowałeś”.

Na drugi dzień miejscowa nauczycielka Witykowa prosiła mnie o przeprowadzenie poglądowej lekcji w jej szkole na Bęczynie. Lekcją była zachwycona. Nauczycielką została z przypadku, bez przygotowania pedagogicznego, co jej bardzo przeszkadzało w pracy.

26 czerwca w Lublinie zrobiłem odpis świadectwa, którego wiarygodność poświadczył rejent za opłatą 20 marek, a potem udałem się do lekarza na badanie. Za zbadanie mego stanu zdrowia i napisanie zaświadczenia lekarskiego zapłaciłem 50 marek. W Inspektoracie złożyłem podanie, życiorys i kopię świadectwa, a w zamian otrzymałem zaświadczenie, że jestem kandydatem do stanu nauczycielskiego, co mi posłużyć miało do odroczenia służby wojskowej.

Wracając do domu, wysiadłem z pociągu w Kraśniku i pieszo skierowałem swe kroki do Księżomierzy. Szedłem spacerkiem przez las, zbierałem jagody, maliny, rozkoszowałem się wolnością, ciszą leśną i świeżym powietrzem. Przenocowałem u Majorowskiego, a rano ruszyłem do Grabówki. Sai w domu nie zastałem. Przed szkołą dzieci biegają, hałasują, a Maryła robi ciasto. Po pewnej chwili poszła do szkoły. Ochroniarka też mozoli się nad ciastem, po czym poszła na próbę z dziećmi, które będą grały role krasnoludków na zakończenie roku szkolnego. Maryła zaprosiła mnie do klasy na repetycję z historii. Zanocowałem u Sai w kolonii Grabówka. W niedzielę we czworo udaliśmy się do kościoła, a później złożyliśmy wizytę państwu Przegalińskim. Po krótkiej rozmowie poszliśmy do parku, gdzie pani Stefania Przegalińska objaśniała osobliwości flory i fauny. Pożegnaliśmy się z Przegalińskimi, wstąpiliśmy do szkoły. Tu panowała jakaś ciężka atmosfera. Żadna z dawnych zabaw nie udawała się. Maryła jest w głupim położeniu. Ma przed sobą dwóch kawalerów, konkurentów. Nie jest zdolna wybrać: „owies czy siano”. Nie wiem czy przypadkowo, czy z rozmysłem powiedziała, że ludzie wojskowi bardzo ją interesują. A więc dobrze, zwalniasz mnie, ciesz się wojskowymi. Tym razem pożegnałem się z Marylą na długo, a może na zawsze.

Miałem teraz dużo czasu, który obracam na czytanie i grę na skrzypcach.

## **Wojna polsko-radziecka**

1 sierpnia 1920 roku wójt zaangażował mnie do sporządzenia list poborowych. Działania na froncie przybrały niepomyślny dla naszego wojska i państwa obrót. Armia Czerwona prze naprzód – nasze wojska w nieładzie

cofają się. Budionny ze swoją kawalerią przedarł się przez front i buszuje na tyłach naszej armii. Sieje popłoch wśród ludności cywilnej, dezorganizuje dostawę amunicji i żywności dla wojska, uniemożliwia mobilizację. Całe społeczeństwo szykuje się do powstrzymania naporu. Urządzane są liczne wiece, między innymi w Urzędowie. W niedzielę na wiecu przed urzędem gminnym zebrali się mieszkańcy osady i okolicznych wsi, gdzie kilku mówców przedstawiło naszą krytyczną sytuację. Obywatel Aleksander Goliński, wójt gminy Urzędów, apelował o ofiarność obywateli na cele wojskowe. Ludność niechętnie słuchała jego wywodów, żądając wystąpienia z przemową Błażeja Dzikowskiego – posła ludowego do Sejmu Ustawodawczego. Ten potrafił przemówić do serc i umysłów zebranych, na co rozległy się gromkie okrzyki aprobaty i angażowania się do niesienia pomocy państwu i wojsku w walce z nieprzyjacielem. Na propozycję werbowania ochotników do wojska ustosunkowano się pozytywnie. Zabrał głos kierownik szkoły w Ratoszynie Mikołaj Siemion. Scharakteryzował Armię Czerwoną, jej grabieże w zajętych terenach oraz program działania partii bolszewickiej. Nawet zabrało głos dwóch kleryków seminarium duchownego. Na zapytanie Dzikowskiego czy oni też pójdą do wojska na ochotnika odpowiedzieli, że idą. Dzikowski uśmiechnął się ironicznie, bo wiedział, że tego nie uczynią.

Panika wzrasta coraz bardziej. Krążą pogłoski o zajęciu Brześcia, Zamościa i Chełma. 16 sierpnia udaję się do Inspektoratu. W biurze gorączkowa praca przy zapisywaniu ochotników. Po dłuższym oczekiwaniu otrzymałem z rąk inspektora zaświadczenie o mojej kandydaturze do zawodu nauczycielskiego. Inspektor miał mi za złe, że nie przyjąłem posady w Majdanie Sobieszczańskim. Zaproponował mi posadę w Trzcincu, którą chętnie przyjąłem (po Cieśluku).

W Lublinie panika, ruch wojenny. Na ulicy Zamojskiej ewakuują jakieś biura. Ruch, krzątanie, nawoływania. Na trotuarze i jezdni leżą różne „zbędne” książki, wiatr roznosi papiery na wszystkie strony. Tłumy Żydów zgromadziły się przy zwłokach Żyda przejechanego przez samochód. Żołnierze łapią Żydów do ładowania akt i sprzętów na podjeżdżające podwozy.

Poborowi i ochotnicy przywdziewają mundury wojskowe, nakładają czapki noszone przez wojska generała Józefa Hallera. Między nimi uwija się kilka kobiet umundurowanych, zwracając na siebie uwagę przechodniów. Trotwarem maszerują urzędnicy magistracy idący na plac ćwiczeń. W katedrze odbywa się nabożeństwo za poległych w walce legionistów.

W towarzystwie Szocińskiego II klasą wracam do domu. Krążą pogłoski o wstrzymaniu podróży kolejami. Cały tabor kolejowy będzie zarezerwowany dla przewozu wojska, rannych, amunicji, furazu dla koni i środków żywności dla wojska.

Całe dni pracuję w gminie na miejscu i wyjeżdżam z pracownikiem Zarzeckim do Popkowic, do Moniak, Bobów i innych osiedli. Nadal robimy spisy poborowych i ochotników, skąd kierujemy ich do Urzędowa, a po załatwieniu formalności w gminie na stację kolejową w Kraśniku.

Komitet Pomocy Wojskowej zbiera bieliznę i środki opatrunkowe dla wojska. Gospodarze mają dużo pracy przy organizowaniu i dostarczaniu podwód dla celów wojskowych.

## Mobilizacja

28 sierpnia 1920 roku została zarządzona mobilizacja dwóch starszych roczników. Od strony podlesia przez Bęczyn ciągnie gromada poborowych, którym przewodniczy Wł. Wyrostek. Zatrzymuje się przed domem poborowego i wywołuje go po imieniu. Wezwany wychodzi z domu z paczką pod pachą, dołącza do gromady i ruszają dalej do następnego poborowego. Żony żegnają mężów, panny narzeczonych, siostry braci, rodzice synów. Kobiety półgłosem płaczą, inne pochlipują, a mężczyźni dyskretnie ocierają łzy z oczu rękawem marynarki. Poborowi nadrabiają miną, próbują nawet się uśmiechnąć. Jeden Wyrostek śmieje się szczerze, żartuje, kpi sobie z tych czułych scen i ponagla do dalszej drogi. Odprowadzający stopniowo odłączają się od gromady, pozostają w domu i zabierają się do swoich czynności.

Przed urzędem gminnym czekały już na nas podwoły. Korowód furmanek ruszył w stronę Kraśnika. Jedni poborowi siedzą osowiali, milczą, inni zaczynają śmiać się, żartować, a nawet podśpiewywać (szczególnie ci, co byli po kielichu). W odległości pół kilometra od Kraśnika słychać kilka wystrzałów karabinowych. Od strony miasta pędzi kilka podwód w naszą stronę. Mijają nas, nie przestając okładać koni batem, zmuszając je do szybkiego galopu. To nas zaintrygowało. Spotykane po drodze kobiety z przerażeniem oznajmniają, że wróg jest za górą, tylko patrzeć, jak tu się znajdzie. Radzą nam złazić z wozów i uciekać.

Podwoły nasze zatrzymały się, zeszliliśmy z wozów ze swymi pakunkami, koszami wiklinowymi, kuferkami i paczkami, ale nie myśleliśmy wcale uciekać, gdyż rozhisteryzowanym kobietom nie wierzyliśmy. Usiedliśmy na murawie na skraju rowu i zastanawialiśmy się, co dalej robić. Ponieważ między nami byli i tacy, co w wojsku już służyli, wiedzieli o tym, że tego (ucieczki) czynić nie wolno. Ruszyliśmy całą gromadą środkiem drogi do Kraśnika. Furmani wykorzystali tę okoliczność, zawrócili konie i wrócili do Urzędowa.

Dotarliśmy do koszar. Wójt zostawił z nami swego pomocnika, a sam pojechał do Popkowic po poborowych. Stanęliśmy przed komisją. Kazali nam się rozebrać do naga. Jeden członek komisji zważył mnie (68 kilogramów), zmierzył wysokość (165 centymetrów) i obwód klatki piersiowej w czasie wdechu i wydechu, podał dane liczbowe do karty poborowego. Wręczyłem przewodniczącemu komisji zaświadczenie z Inspektoratu Szkolnego stwierdzające, że jestem kandydatem do zawodu nauczycielskiego. Lekarz obejrzał moją nogę po dwukrotnej operacji, obmacał, kazał mi nogę zgiąć, przejść przez pokój. Kazał się ubrać i odejść. Decyzję mieli ogłosić później.

Zbliżała się noc. Udałem się do koszar na nocleg. W kącie izby znaleźliśmy stary tapczan. Odwróciliśmy go z Gozdalskim do góry nogami, wymościли w środku słomą i ułożyliśmy się bez kolacji do snu. W koszarach zimno, ciemno. Ktoś przyniósł snop słomy, inny połamał na drzazgi swój „sandak” (kuferek). Rozniecili ogień. Izba wypełniła się dymem, kurzem, ale ciepła z tego mdłego ognia było mało. Gwar powoli cichnie, słychać tylko rozmowy, ktoś zanucił półgłosem po rosyjsku: „Za czym ja szoł k tiebie Rossija”, to znowu pieśń o więźniu, ale i to wkrótce ucichło. Sen nas zmorzył...

Po śniadaniu wszedł sekretarz komisji i odczytał, kto zwolniony, kto otrzymał odroczenie. Z zapartym oddechem słuchaliśmy treści orzeczenia komisji. Usłyszałem swoje nazwisko, że otrzymałem bezterminowe odroczenie. Poszedłem do miasta, załatwiłem sprawę kupna jakiegoś drobiazgu. Ruszyłem pieszo w stronę Urzędowa. Po drodze spotkałem swoją macochę, która niosła mi prowianty i inne drobiazgi codziennego użytku, nie zapominając o szpulce czarnych nici i dwóch igłach. Siedliśmy na ziemi na brzegu szosy i rowu, spożyłem prowiant, odpoczęliśmy i powoli ruszyliśmy do domu. W domu przywitali mnie członkowie rodziny z niekłamaną radością.

Teraz siedziałem w domu i czekałem na nominację z Inspektoratu Szkolnego w Lublinie.



## Na posadzie w Trzcińcu\*

### Wyprawa po nominację

Pierwsze dni września 1920 roku – w szkołach zaczęła się już nauka. Cała nasza paczka rozsypała się. Waluś Żyszkiewicz po promocji do klasy VIII Gimnazjum im. Staszica porzucił szkołę, wstępując do seminarium duchownego. To samo zrobił Stach Cieślik po opuszczeniu posady nauczycielskiej w Trzcińcu. Przy pożegnaniu oznajmił mi, że rozmawiał z inspektorem, który przyrzekł mu, że dla mnie posada w Trzcińcu jest zapewniona, za co mu jestem wdzięczny. Miejscowa nauczycielka, będąca w ostatnich tygodniach ciąży, prosiła mnie, abym ją przez jeden dzień zastąpił w szkole, na co się chętnie zgodziłem. Wszystkie godziny przewidziane planem lekcji odbyły się w pogodnej atmosferze. Dzieci cieszyły się, że pewnie będę je stale uczył.

29 września spakowałem swoje rzeczy i udałem się do Trzcińca. Gospodarz domu Józef Wilk i jego żona oznajmili mi, że nauki nie będę mógł zacząć, gdyż wójt i prezes Dozoru Szkolnego jeszcze lokalu nie wynajęli. Kufer z książkami, bielizną i swoimi rzeczami osobistymi ustawiłem w kącie. Poczęstowali mnie barszczem z kartoflami na kolację. Ułożyłem się do snu w ubraniu na drewnianej kanapie, podłożywszy pod głowę złożone palto. Zasnąłem snem sprawiedliwego. Po przespaniu nocy w takich warunkach odczuwałem ból w kościach. Rano wybrałem się do Urzędu Gminnego w Chodlu, gdzie sekretarz i wójt w jednej osobie Wiktor Krzeszowski oznajmił mi, że żadnej nominacji na posadę moją nie otrzymał. Następnego dnia to samo usłyszałem z ust prezesa Dozoru Szkolnego pana Ludwika Nowakowskiego, obywatela ziemskiego w Ratoszynie. Wiadomości te podziały na mnie przygnębiająco. Radzili mi, abym cierpliwie poczekał, może w najbliższych dniach oczekiwana nominacja nadejdzie. W pokoiku pod oknem stała „katedra” z biblioteczką szkolną i aktami. Przez kilka dni przeczytałem kilkanaście małych książek, przeważnie nowel Sienkiewicza i Prusa, a nominacji jak nie było, tak i dotąd nie ma. Wstąpiłem do sołtysa Kurasia, przez ręce którego przechodziła poczta z Bełżyc (9 kilometrów), ale i on niczego podobnego dla mnie nie otrzymał z Lublina.

Jeszcze raz upewniłem się w gminie i w Dozorze Szkolnym. Nie było innego wyjścia, musiałem osobiście udać się do Inspektoratu w Lublinie. Inspektor rozłożył ręce i powiedział, że nominacji nie wysyłał. W tym momencie zgłosił się jeszcze jeden kandydat. Inspektor wziął ode mnie i od niego świadectwa,

---

\* Tytuł dodany przez redakcję.

porównał je i powiedział, że ja z przedmiotów pedagogicznych mam bardzo dobre oceny, a on tylko dobre i dostateczne. Kazał sekretarzowi przygotować nominację. Jakie było moje zdziwienie, kiedy na uboczu przeczytałem, że mam pracować w Majdanie Sobieszczańskim, gmina Niedrzwica. Udałem się na miejsce i stwierdziłem, że lokal szkolny jest izbą gospodarską, przejściowy. Domownicy w każdej chwili mogą przez niego przechodzić, nawet podczas lekcji. Zdawałem sobie sprawę, że to może wywołać jakieś nieporozumienia, kłótnie między mną, dziećmi i członkami rodziny gospodarza.

Na drugi dzień znow zgłosiłem się do inspektora i oznajmiłem, że lokal ten mi nie odpowiada i tej posady przyjąć nie mogę. Inspektor był zaskoczony moją decyzją. Niechętnie kazał sekretarzowi przygotować nominację do Trzcinka. 19 października sekretarz wręczył mi nominację wraz z poleceniem do banku wypłacenia mi poborów za miesiąc wrzesień. Przeprosiłem inspektora za swoją decyzję i podziękowałem za nominację do Trzcinka.

Kupiłem sobie nowe cajągowe (najtańsze) spodnie, zaopatrzyłem się w dużą bułkę. Posiliwszy się, ruszyłem pieszo w powrotną drogę z nominacją w kieszeni. W drodze dopędził mnie gospodarz wracający z miasta. Poprosiłem go, aby podwiózł mnie kawałek drogi. Zgodził się dowieźć mnie do Bełżyc. Noc ciemna. Na rynku pustka, cisza. Co tu dalej począć? Chłop odjechał do swojej pobliskiej wsi.

W ciemności natknąłem się na jakiegoś mężczyznę. Poprosiłem go, aby mi wskazał adres jakiegoś nauczyciela, abym mógł u niego przenocować. Pan zastanowił się chwilę i powiedział, że najwygodniej mógłbym przenocować u kierownika szkoły na wzgórzu odległym o pół kilometra. Udałem się we wskazanym kierunku. W dwóch oknach świeciło się światło. Wszedłem do korytarza. Na spotkanie wyszedł kierownik szkoły Wiszniewski, któremu przedstawiłem się i poprosiłem o nocleg. Niezbyt chętnie zgodził się, wskazał mi drzwi do sali szkolnej, w której jeszcze nie dokończono remontu. Po krótkiej chwili weszła służąca ze snopem słomy, prześcieradłem i poduszką. Rozłożyłem wszystko na podłodze. Podala mi kubek gorącego mleka i dwie kromki chleba z masłem. Z wielkim apetytem spożyłem kolację i zasnąłem kamiennym snem. Rano otrzymałem szklankę herbaty z bułką. Podziękowawszy, rażnym krokiem ruszyłem gościńcem do Trzcinka. Tu dowiedziałem się od Wilkowej, że wójt z prezesem byli wczoraj i załatwili sprawę lokalu szkolnego i mego mieszkania. W poniedziałek (za dwa dni) będzie w Opolu, kupi wapno i zacznie bielić. Za cztery dni wszystko będzie gotowe.

Następnego dnia (21 października) zgłosiłem się u wójta i prezesa, przedkładając swoją nominację. Prezes Dozoru Szkolnego z przyjemnością przyjął to do wiadomości. Serdecznie ustosunkował się do mojej skromnej osoby, wręczył mi dziennik i życzył pomyślnej pracy. Udzielił mi informacji o inwentarzu szkoły, poinformował mnie, że u Wilka jest szkolne żelazne łóżko, cokolwiek za krótkie na mój wzrost. Na tym łóżku sypiała pierwsza nauczycielka w Trzcinku Kamila Mincówna, a potem Stach Cieślik.

Rozłożyłem łóżko, dałem Wilkowi swój siennik, który został wypchany słomą. Rozpakowałem swój bagaż. Na drewnianej pace na gazetach rozłożyłem swoje książki, cały swój nikły dobytek. Jestem już zadowolony.

## Niefortunny „kłusownik”

Korzystając z czterodniowego „urlopu”, udałem się do domu, gdzie nikogo nie zastałem, bo wszyscy byli w polu przy kopaniu kartofli. Rano 28 października ojciec zaproponował mi, abym wziął strzelbę Antosia, który teraz jest w wojsku, i poszedł za stary gościniec postraszyć gawrony i kawki, które wydziobują świeżo posianą pszenicę. Chętnie zgodziłem się na tę propozycję. Obejrzałem uważnie strzelbę, sprawdziłem czy jest nabita, czy mocno siedzi kapiszon na panewce. Pojechaliliśmy ze Stefanem w pole. On miał zabrać nasienną koniczynę z pola. Na miejscu zszedłem z fury. On układał koniczynę, a ja poszedłem na pole obsiane pszenicą. Żadnych ptaków na pszenicy nie było. Postanowiłem spróbować szczęścia, czy nie udałoby się upolować zająca w „piorunowym dole” w lesie. Przeszedłem dół wzdłuż i w poprzek, ale na zająca nie trafiłem. Wróciłem do Stefana i postanowiliśmy, że on sam pojedzie Żyszkiewiczową drogą, a ja pójdę prosto do domu miedzą. Zbliżałem się ze strzelbą na ramieniu do nowego gościńca (józefowskiego). Od strony Urzędowa zauważyłem dwóch mężczyzn zdążających gościńcem w stronę Bobów. Na chwilę przystanąłem i myślałem o tym, czy przeczekać aż oni mnie miną, czy przyspieszonym krokiem przejść przez gościniec w poprzek przed ich nadejściem. Zaryzykowałem to ostatnie. Już odszedłem od gościńca ze 200–300 metrów, gdy usłyszałem wołanie: „Panie, poczekaj”. Zwróciłem głowę w prawą stronę i zobaczyłem, jak ci mężczyźni na przełaj przez pole przyspieszonym krokiem zbliżają się do mnie. Zacząłem biec szybko, ile tylko miałem sił w nogach, a oni biegną za mną i krzyczą: „Stój!”. W tym momencie zaczepiłem nogą o miedzę i runąłem jak długi na ziemię. Poderwałem się i znów biegnę. Powtórzył się jeszcze raz mój upadek. Kiedy powstałem, oni już byli przy mnie. Wyciągają legitymacje, każą mi przeczytać, z czego zrezygnowałem. Oni mi mówią, że są „kopcami”\* i wyrwali mi z ręki strzelbę. Jeden z nich skierował lufę broni na bok i wystrzelił. Zawołali Grzebułę (mego kuzyna) i pytają się go, czy on mnie zna. Ten w odpowiedzi przytaknął. Wzięli mnie w środek i poszliśmy w stronę gościńca, a potem tą drogą skierowali kroki w stronę Bobów. Ja się temu sprzeciwiłem. Wzięli mnie pod ręce i powiedzieli, że w Bobach na posterunku będę się tłumaczył. Na posterunku policji jeden został przy mnie w poczekalni, a drugi wszedł do biura. Ja powiedziałem, że muszą być na posterunku w czasie rozmowy. Na to się nie zgodzili. Po kilkunastu minutach ruszyliśmy we trójkę w stronę Urzędowa.

\* Prawdopodobnie autor miał na myśli żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP powstał jednakże dopiero w 1924 roku) – przyp. red.

Pierwszy raz w życiu wszedłem w kolizję z prawem. Znalazłem się w głupim położeniu. Oto idę pod eskortą dwóch policjantów boso, w uniformie żołnierza rosyjskiego, bez pasa, w czapce wojskowej. Nieznajomi przy spotkaniu ciekawie przyglądają się, znajomi zaś ironicznie się uśmiechają. Jestem w najwyższym stopniu zażenowany, nie wiem, gdzie mam zwrócić oczy ze wstydu. Jeden z policjantów zauważył to, dał mi do niesienia tę nie-szczęsną strzelbę, aby zmniejszyć zainteresowanie przechodniów moją osobą. Na środku rynku Marianowski rzekł do policjantów: „A to się wam udało złapać tego ptaszka”. Dobrnęliśmy do posterunku, gdzie spisano dokładny protokół z mego zeznania i wyjaśnienie policjantów o przebiegu całego zajścia. Protokół podpisałem wraz z policjantami. Wracalem do domu, starając się nie spotkać znajomych.

Po kilku dniach sołtys Łukasiewicz przyniósł mi wezwanie do stawienia się w tej sprawie do Janowa Lubelskiego (do powiatu). Podróż w towarzystwie Z. Surdackiego, ucznia gimnazjum w Janowie (późniejszego księdza, generalnego sekretarza Kurii Biskupiej w Lublinie, w czasie II wojny światowej zamordowanego przez Niemców w obozie koncentracyjnym) odbyłem szczęśliwie, ale byłem strasznie zmęczony 35-kilometrową podróżą. Zanocowałem razem z Zygmuntem na jego stacji u Królów. Rano 4 listopada zgłosiłem się do referenta powiatowego. Po załatwieniu licznych interesantów zajął się moją sprawą.

Przeczytał mi artykuł 6 punkt 3 dekretu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, opiewający, że za nielegalne posiadanie broni grozi mi kara 3 miesięcy aresztu lub 3000 marek grzywny. Wy tłumaczyłem mu, że ta broń jest własnością brata Antoniego, który obecnie odbywa służbę wojskową, brał czynny udział w obronie Polski. Dalej dodałem, że jestem początkującym nauczycielem i muszę pracować w szkole, więc siedzenie w areszcie kolidowałoby z moimi obowiązkami, a na zapłatę tak wysokiej grzywny nie mam pieniędzy, bo jeszcze nie otrzymałem poborów. Pokręcił głową, spojrział litościwym wzrokiem i rzekł: „Cóż ja tu z panem zrobię?”. Zaproponował mi wpłacenie całej mojej pensji, co przyjąłem z milczeniem. Machnął ręką i wystawił mi pokwitowanie z odbioru 500 marek. W tym pokwitowaniu napisał zamiast Trzciniec – Trzydnik, miejscowość w powiecie janowskim. Zapłaciłem wymienioną kwotę, podziękowałem za wyrozumiałość i ludzkie podejście do sprawy. Schowawszy pokwitowanie, z ulgą w sercu opuściłem urząd.

Spotkałem się z Szocińskim z Bęczyna, który odwiózł do szkoły do Janowa swego syna – późniejszego sędziego i mego powinowatego (ożenił się z Basią Grzebulanką, moją kuzynką, nauczycielką w Borzechowie w powiecie lubelskim). W domu czekali na mnie niecierpliwie. Musiałem wszystko dokładnie opowiedzieć. Natomiast ojcu o zapłaceniu grzywny nic nie powiedziałem, aby go nie denerwować. Pozbyłem się kłopotu, mogłem bez przeszkód zająć się szkołą, uczeniem dziatwy, do czego przez całe moje dotychczasowe życie z uporem dążyłem. Oczywiście „pozbyłem się” bardzo ładnej pożyczonej

strzelby. Myślałem długo, jak się będę bratu tłumaczył po jego powrocie ze służby wojskowej do domu. Mojego tłumaczenia spokojnie wysłuchał. Skwitował powiedzeniem: „Ano trudno, nic na to nie poradzimy”. Po kilku latach, kiedy finansowo trochę okrzeplę, kupiłem mu w zamian detektorowy radioodbiornik.

## **A teraz do roboty**

Po rocznej pracy nauczycielskiej w Grabówce (gmina Annopol, powiat Janów Lubelski) w roku szkolnym 1918/1919 i zdobyciu skromnych oszczędności oraz wykazaniu ojcu, że mogę już pracować w wymarzonym zawodzie, zarabiając na swoje utrzymanie, odciążając budżet rodzinny, udałem się z powrotem do Seminarium w Ursynowie celem zdobycia pełnych kwalifikacji nauczycielskich (1919/1920), aby po uciążliwym pokonaniu licznych przeszkód i zdobyciu świadectwa ukończenia nauki zacząć już ciąglą pracę w szkole.

## **Moja druga posada**

Po otrzymaniu nominacji 19 października 1920 roku rozpocząłem swoją nową pracę w szkole w Trzcińcu jako nauczyciel tymczasowy, ale o pełnych kwalifikacjach. Szkoła mieściła się w domu Wilka. W części domu murowanej z wapniaka była „sala” szkolna dość duża, o czterech oknach, a po drugiej stronie sieni mały pokoik o jednym oknie – moje skromnie umeblowane mieszkanie. Do tej szkoły uczęszczały dzieci z Trzcińca (Kały) i Huty Borowskiej – małej drugiej wsi położonej prostopadle do Trzcińca.

Po skrupulatnym spisie dzieci w wieku szkolnym i sprawdzeniu w urzędzie parafialnym w Chodlu dat urodzenia dzieci okazało się, że szkoła będzie liczyła 56 uczniów. Uczyłem na dwie zmiany. Rano zaczynałem pracę z oddziałem III i IV łącznie, a po południu z I i II. Dzieci były zdyscyplinowane, w czasie głośnej nauki w jednym oddziale drugi oddział wykonywał bez przeszkadzania swoje ciche zajęcia. Na kolejnej lekcji po krótkim wyjaśnieniu cicho pracował pierwszy oddział, a drugi miał naukę głośną. Do lekcji musiałem się dobrze przygotować, aby nie było zakłóceń w czasie nauki.

Lekcje śpiewu, gimnastyki i robót ręcznych odbywały się w połączeniu dwóch oddziałów. Taka praca była wyczerpująca fizycznie dla nauczyciela. Pracy pisemnej do domu dawałem dzieciom mało, bo te prace wykonywały na zajęciach cichych. Czas trwania pełnej godziny (60 minut) regulowałem za pomocą pożyczonego od Wilka budzika (swego zegarka jeszcze nie miałem). W pierwszych tygodniach nauki odprowadzałem dzieci grupami do domów (jedną grupę udającą się w jednym kierunku, drugiego dnia w drugim, trzeciego dzieci mieszkające w Hucie Borowskiej). Celem odprowadzania była

obserwacja zachowania się dzieci w drodze powrotnej do domów, a drugim chęć poznania miejsca zamieszkania każdego poszczególnego ucznia. Dzieci cieszyły się, że nauczyciel – kierownik szkoły – idzie razem z nimi i wie, gdzie kto mieszka. To mi dawało pewne zadowolenie i ułatwiało pracę naukową w szkole oraz materiał do należytego wychowania uczniów. Rodzice byli bardzo zadowoleni, że tak interesują się dziećmi. To była więź między dziećmi, rodzicami i szkołą.

## **Mój byt w Trzcincu**

Po skończonych zajęciach w szkole i krótkim odpoczynku rąbałem na podwórzu Wilków drewno do palenia u siebie do gotowania strawy, a zimową porą do palenia w pokoiku i w szkole, którą sam opalałem. Wieczorem poprawiałem zeszyty uczniowskie, czytałem pożyczone książki i prenumerowane przeze mnie „Wiadomości Literackie”<sup>\*</sup> oraz grałem na skrzypcach dla przyjemności i przygotowania treści i melodii na następną lekcję. Skrzypce oddawały mi nieocenioną pomoc przy nauce śpiewu, którego dzieci przy moim graniu chętnie się uczyły. Wczesnym rankiem gotowałem sobie krupnik lub przywieziony z domu groch. Strawa ta wystarczała mi na śniadanie, obiad i kolację, a czasem i w czasie przerwy kilka łyżek chętnie zjadłem.

Przy szkole było 12 mógg ziemi i pół morgi lasu, z którego nigdy nie korzystałem, bo nawet dokładnie nie wiedziałem, gdzie się znajduje. Ziemię początkowo wydzierżawiali chłopci: W. Ptasieński, Stanisław Wójcik z Huty Borowskiej, Wojciech Jurak, u którego była poprzednio szkoła, a w której ktoś zaproszył ogień i cały dom spłonął z ławkami. Ocalało trochę książek z biblioteki szkolnej i portret Piłsudskiego z opalonymi ramami. Wyżej wymienieni chłopci płacili mi symboliczny czynsz, a Wilk zobowiązał się dawać mi codziennie pół litra mleka. Mleka tego nie otrzymywałem, w zamian czego Wilkowa dawała mi barszcz z kartoflami na kolację lub jakiś inny posiłek ugotowany na mleku, co dla mnie było wygodniejsze.

W ciepłe, słoneczne dni wychodziłem samotnie na spacer do jeżowskiego lasu (200 metrów), w którym z młodzieżą kopaliśmy młode czereśnie i sadzili je przy drogach. Ulubionym miejscem do spaceru były źródelka strumyka w polu przy końcu szkolnej działki. Godzinami łąziłem nad źródłami i strumykiem, obserwując działanie źródeł i bieg strumyka. Pewnego dnia, idąc z wizytą do państwa Szymańskich do Borowa, zauważyłem węża zaskrońca uganiającego się za kijankami i rybkami. Zza krzaka pilnie obserwowałem ruchy węża w płytkiej, czystej, zimnej wodzie. W czasie mojego poruszenia wznosił głowę do góry i sprężystymi ruchami szybko oddalił się ode mnie, chowając się w przybrzeżnej wysokiej trawie. Innym razem uczniowie przy-

---

<sup>\*</sup> „Wiadomości Literackie” zaczęły się ukazywać dopiero w styczniu 1924 roku – przyp. red.



nieśli z łączki nad strumieniem żółwia błotnego, który dostarczył dzieciom możliwość poznania jego oryginalnej budowy i sposobu poruszania się.

W tym czasie były duże kłopoty z prowiantami. Na miejscu nie było można się w nic zaopatrzyć z powodu braku i wysokiej ceny. Miesięczna nauczycielska pensja 1500 marek polskich wystarczała zaledwie na pół miesiąca, a na koniec miesiąca otrzymywaliśmy dość wysoki dodatek. O oszczędności na kupno garnituru nie mogło być mowy. W Lublinie otrzymywaliśmy przez kilka miesięcy żywnościowe deputaty, po które trzeba było jechać furmanką do stacji kolejowej w Niedrzwicy (16 kilometrów), a potem pociągiem do miasta. To było połączone z kłopotami w otrzymaniu podwoły, stratą czasu i nakładem denerwującej pracy. Drożyzna rosła z dnia na dzień. Ciężkie to były czasy. Po odbiór garści jęczmiennej kaszy, 2 kilogramów mąki nauczyciele ciągnęli do mnie z całej gminy, jak mahometanie do Mekki. Niektórzy z nas często prosili prezesa Dozoru Szkolnego pana Nowakowskiego z Ratoszyna o pożyczkę, której nigdy nikomu nie odmówił. W najtrudniejszej sytuacji byli koledzy rodzinni, których stosunkowo mało było w gminie (np. Dulkowski, kierownik szkoły w Chodlu, i Siemion, kierownik szkoły w Ratoszynie).

Wręczając nominację, inspektor szkolny zapewniał każdego kandydata, że otrzyma do własnego użytku 2 morgi ziemi, bezpłatne mieszkanie i opał. To wszystko były tylko obiecanki, słowa bez pokrycia. Ja korzystałem z 12 mórg ziemi, Dyś w Grądach z 3 mórg, Siemion w Ratoszynie korzystał z kilku mórg bezpłatnie oddanych nauczycielowi przez prezesa Dozoru Szkolnego. Pozostali nie mieli ziemi przy szkołach. Przez kilka miesięcy otrzymywali w zamian ekwiwalent z gminy. Później gmina odmówiła wypłaty na podstawie rozporządzenia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Taki sam los spotkał znacznie później mieszkania i opał.

Nauczyciele samotni, a tych było około 80 procent, często zmieniali posady, szukając lepszych warunków. Szkoły w Chodlu i w Ratoszynie mieściły się we własnych budynkach, a pozostałe szkoły, w liczbie dziewięciu, w wynajętych izbach wiejskich, często bez podłogi i żadnych pomocy naukowych. Była tylko tablica, jakiś stół, a kredę (wapień) przynosili chłopcy. Często dochodziło do nieporozumień w sprawie podwód dla nauczycieli na konferencje gminne, do stacji kolejowej w czasie wyjazdu na święta czy wakacje. Wprawdzie wójt polecił sołtysowi dostarczanie podwód, ten spełnił polecenie, ale chłopcy często odmawiali i podwód nie dostarczali. Nauczyciel, zmuszony do wyjazdu do Lublina w sprawie kupna jakiejś ważnej rzeczy, musiał przed odjazdem uzyskać jednodniowy urlop od prezesa Dozoru Szkolnego. Były wypadki, że nauczyciel nie zastał prezesa w domu, albo wręcz garderobianka Klementyna oznajmiała, że go nie ma. Wraciał upokorzony do domu z niczym.

W ciągu trzech lat stosunki z Wilkami układały się pomyślnie. Za mieszkanie nie płaciłem, gdyż Dozór Szkolny pokrywał opłaty za wynajęcie izby szkolnej i mego pokoju. Wilkowa była zobowiązana uprzątać salę szkolną,

opalać w czasie zimy, o czym dowiedziałem się znacznie później. Dyżurni zamiatali, ja opalałem, więc część obowiązków Wilkowej odpadała. W zamian tego korzystałem z owoców w sadzie Wilka. Konsumowałem w dowolnej ilości czereśnie, a jesienią za pilnowanie sadu w czasie kopania kartofli zjadałem się smacznymi, dorodnymi śliwkami.

## **Nauczyciele gminy Chodel**

Stan osobowy w gronie nauczycielskim gminy Chodel był bardzo zróżnicowany. Na terenie byłego Królestwa Kongresowego były seminaria nauczycielskie państwowe z językiem wykładowym rosyjskim w Solcu, Siennicy, Białej Podlaskiej, Wejwerach. Miejscowości te były z dala od dużych miast i ośrodków kultury, izolowane, szkoły mieściły się przeważnie w gmachach poklasztornych. Absolwenci byli wychowywani w duchu rusyfikatorskim. Wielu z nich nie znało historii Polski, geografii, literatury oraz miało słabe wiadomości z ortografii. Z legalnym wykładowym językiem polskim od roku 1906 było tylko Seminarium Nauczycielskie w Ursynowie koło Warszawy, w którym miałem zaszczyt pobierać naukę literatury polskiej, historii i geografii, oraz jednoroczny Kurs Pedagogiczny w Warszawie im. Szymona Konarskiego.

Byli i tacy nauczyciele, którzy mieli ukończone parę klas gimnazjalnych – nauczyciele tymczasowi, zobowiązani do uzupełnienia wykształcenia. Część z nich uzupełniła braki i została włączona do grupy nauczycieli kwalifikowanych i stałych, a mniejsza część zlekceważyła przepisy, nie dokształcała się i w konsekwencji została po upływie terminu ustalonego przez MWRiOP zwolniona z posady. Na ich miejsce przyszli nowi z pełnymi kwalifikacjami uzyskanymi po ukończeniu seminarium w odrodzonej Polsce. W tym okresie utworzone zostały między innymi: Seminarium Męskie, Koedukacyjne i Żeńskie w Lublinie, które dostarczały nowych, należycie przygotowanych, pełnowartościowych pracowników oświatowych. Z terenu gminy Chodel zmuszeni byli z powodu braku kwalifikacji opuścić szeregi nauczycielskie Jan Kołodziej z Łopiennika i Joanna Lipowcówna z Chodla.

W byłej Galicji był nadmiar nauczycieli, którzy gremialnie przenosili się po wolne posady do byłej Kongresówki. W gronie tych ludzi były jednostki o dużych walorach pedagogicznych, choć trafiały się i jednostki o miernych zdolnościach. Miejscowa ludność początkowo niechętnym okiem patrzyła i przyjmowała przybyszów, czego powodem było samochwalstwo, że: „U nas w Galicji to była wyższa kultura niż u was” i inne.

W tym początkowym okresie w szkolnictwie gminy Chodel pracowało 40% mężczyzn i 60% kobiet, w tym trzy mężatki. W Chodlu grono nauczycielskie miało następujący skład: kierownik Dudkowski, Staszycówna, Klepcarzówna, Monewska, Lipowcówna, Różycki, Albrecht Stadnicki (student KUL); w Rato-

szynie: kierownik Mikołaj Siemion, Siemionowa, Maria Łazarukowa, Łazaruk i Eleonora Bocheńska; w Radlinie: kierownik Teodorowski, Bossy, Bossówna; w Borowie: Wojtanowicz, Wojtanowiczowa, Krauze, Hawryszówna; w Łopienniku: Jan Kołodziej; w Grądach: Dyś; w Trzcińcu: Dominik Wośko; w Zosinie: Kowalska. Inspektorzy: Sowiński, Podgórski, Wiszniak, Ćwierdzińska.

## Wizyty

Pierwszą wizytę złożyłem 6 listopada koleżeństwu Wojtanowiczom w Borowie. Szkoła i mieszkanie nauczycieli mieściły się w domu administracyjnym zlikwidowanego browaru. Dwie sale szkolne nieduże, utrzymane w czystości, ściany szkolne ozdobione różnymi bardzo ładnymi wycinankami z kolorowego papieru. Kierownik szkoły, Wojtanowicz, popisywał się piękną grą na skrzypcach. Dowiedziawszy się o moim zainteresowaniu muzyką, zaopatrzył mnie w nuty z propozycją urządzenia duetu. W domu próbowałem grać, lecz okazało się, że utwory są dla mnie za trudne, więc do występu duetu nie doszło.

Następnego dnia złożyłem wizytę księdzu P. Ozimińskiemu, który przyjął mnie ozięble, niechętnie. Wynotowałem sobie z księgi metrykalnej dzieci urodzone w Trzcińcu i Hucie Borowskiej, będące w wieku szkolnym. Pożegnawszy księdza proboszcza, postanowiłem więcej do niego nie przychodzić.

W najbliższą niedzielę wybrałem się do kierownika szkoły w Chodlu kolegi Dudkowskiego. Zatrzymał mnie na obiad, w czasie którego wykazałem małe wyrobienie towarzyskie przy stole. Ponieważ on po upływie całego miesiąca nie złożył mi rewizyty, więc wyciągnąłem z tego wniosek, że lepiej będzie zerwać kontakt towarzyski.

Postanowiłem więcej i gorliwiej zająć się własną szkołą. Przygotowałem szablony do wycinania kwadracików, prostokątów, aby dzieci na robotach ręcznych wycinały podobne. Z tego ułożyliśmy szlak pod sufitem na ścianach izby szkolnej. Tą robotą dzieci były pochłonięte, a uciechy było bardzo dużo, gdy te szlaki zawisły na ścianach sali szkolnej. Dzieci prosiły mnie, abym jeszcze coś innego, podobnego, obmyślił do dekoracji szkoły. Spełniając życzenie dzieci, zrobiliśmy piękny różnokolorowy „pająk” i umocowali u sufitu. Dzieci wszystko opowiedziały w domu. Na zebraniu rodzicielskim nie brakowało żadnego z rodziców dzieci. W ten sposób zadzierzgnąłem łączność i przyjacielski kontakt z rodzicami, co mi ułatwiło lepsze oddziaływanie na dzieci i ich środowisko. Rodzice, chcąc się odwdziżyć za troskliwą naukę dzieci i wychowanie, nie omieszkali wręczyć co pewien czas serek lub paczuszkę masła. Szmyr z Huty Borowskiej, biedny wyrobnik, nie mogąc mi tego dać, bo sam nie miał z powodu braku krowy, przyniósł mi własnej roboty aluminiową łyżkę i łyżeczkę. Zapłaty za nie nie chciał przyjąć. Na lekcjach jego syn Józio był wzorem pilności w nauce i zachowaniu.

Serdeczny i długotrwały kontakt oraz przyjaźń zawarłem z kolegą Michalakiem z Osin, gmina Godów, powiat Puławy. Jego szkołę oddzielała tylko bita droga Chodel-Belżyce – odległość pół kilometra. U Michalaków można było spędzać długie zimowe wieczory na rozmowie, śpiewie, czytaniu. Promotorem tych zajęć była młoda małżonka Michalaka – Maria. Pracowaliśmy w swoich szkołach, które miały identyczne warunki lokalowe i gospodarcze. Mieliliśmy niewyczerpane tematy do rozmowy i dyskusji. Michalak był z domu filizowanym\* legionistą Piłsudskiego.

## **Pierwsza szkolna choinka**

Praca moja w szkole odbywała się systematycznie bez żadnych zakłóceń przy reszcie opału. Z wyznaczonych czterech furmanek przyjechały tylko dwie, a następnego dnia drugie dwie. Opał zwalili furmani bezładnie na podwórzu u Wilka. Musiałem własnoręcznie szczapy ułożyć pod ścianą. Gorzej było w innych szkołach. Na przykład w Chodlu inspektor Podgórski zastał szkołę zamkniętą z powodu braku opału. W Borowie zastał dzieci i nauczycieli w szkole skostniałych z zimna w nieopalonej sali. Czekałem i ja na wizytację, której na razie nie było.

Z powodu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia zacząłem razem z dziećmi IV oddziału przygotowywać się do szkolnej świątecznej choinki. Zaprojektowałem zrobienie papierowych zabawek i świecidełek. Dzieci chętnie przystąpiły do pracy w szkole na lekcji robót, a także kilkoro dzieci zrobiło sporo zabawek w domu przy pomocy rodzeństwa.

Na lekcjach śpiewu przygotowaliśmy kilka kolęd. W ostatnim dniu nauki po lekcjach zebrały się wszystkie dzieci. Rzedzicka przyniosła choinkę (sosnową). Prędko ustawiliśmy ją, ubrali, zaświecili świeczki. Zacząłem swoją deklamacją: „Noc grudniowa, śnieżycy, wiatr z północnej dmie strony”. Dzieci z wielkim zainteresowaniem słuchały tej deklamacji. Chciałem dać wzór deklamowania. Później dzieci wygłaszały swoje okolicznościowe deklamacje. Na zakończenie prześpiewaliśmy kilka przygotowanych kolęd. Na tej uroczystości był zaproszony sołtys Karaś i opiekun szkolny Bednarczyk. Upominków, niestety, nie było. Życzeniem wesołych świąt Bożego Narodzenia – Nowego 1921 Roku zakończyliśmy imprezę. Dzieciom najbardziej podobały się śpiewy przy mojej grze na skrzypcach, czego moi poprzednicy nauczyciele nie robili. Jestem niezmiernie wdzięczny memu ojcu, który tym razem nie żałował pieniędzy na kupno nowych skrzypiec, a nauczycielom muzyki i śpiewu Sawickiemu i Kamińskiemu z Seminarium za naukę tych przedmiotów i wpojenie zamiłowania do gry i śpiewu, co mi bardzo ułatwiało pracę w szkole przy nauce śpiewu.

---

\* Wychowanym w duchu legionowym – przyp. red.

## Praca społeczna w Trzcińcu

Pewnego wieczoru przyszedli do mnie Chojnacki i Rzedzicki, prosząc mnie o pomoc w urzędzeniu przedstawienia teatralnego dla mieszkańców Trzcińca i okolicy, na co chętnie się zgodziłem. Ustaliliśmy termin zebrania młodzieży w szkole. Cała sala wypełniła się młodzieżą w wieku 18–28 lat. Najwięcej było panien, które były ciekawe, co powie nowy nauczyciel na tym zebraniu.

Na wstępie Rzedzicki przedstawił cel tego zebrania. Chojnacki podkreślił, że takie przedstawienia już były robione w Godowie i innych miejscowościach. Młodzież ma możliwość zająć się pracą kulturalną, zamiast obijać się po kątach, nudzić się w długie wieczory i oddawać się pijaństwu i chuligaństwu. Obaj przedmówcy zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc w pracy przygotowawczej. Takie wystąpienie miało duże znaczenie. Młodzież nabrała przekonania do poruszonych spraw. Mnie zależało na tym, aby młodzieży w Trzcińcu nikt nic złego nie mógł zarzucić, a także dlatego, żeby ktoś nie pomyślał, że to jest mój pomysł, aby na tym uzyskać jakieś materialne korzyści.

Wybrano trzy osoby, które zajmą się wyszukaniem odpowiedniej sztuki teatralnej. Oczywiście, większość tych spraw spadła na mnie. Po kilkunastu dniach zdobyłem dwie sztuczki: „Pan Grajcarek idzie w kumy” – komedyjka w trzech aktach, i druga patriotyczno-obyczajowa „O ziemię”. Wybraliśmy na zebraniu pierwszą. Rozpisałem role, zapoznałem „artystów” ze sposobem posługiwania się przy uczeniu się ról. Pierwsza próba czytana szła opornie. „Artyści” nie mogli prędko zorientować się, kto po kim ma czytać – a potem mówić. Inne próby wypadły już lepiej. Próby robiliśmy dwa razy na tydzień: w środy i soboty. Przygotowanie zajęło nam kilka tygodni.

Teraz wyłonił się nowy, ale bardzo ważny problem: gdzie będzie wystawione to przedstawienie. Ani w Trzcińcu, ani w Hucie Borowskiej nie było dużej izby, nawet w szkole. Czas upływał, młodzież pytała o datę przedstawienia, a sali jak nie było, tak i teraz nie ma. Długo dyskutowałem z Chojnackim i Rzedzickim. W końcu postanowiliśmy, że to przedstawienie odbędzie się w stodole. Ale gdzie? Kto nam wydzierżawi stodołę? Tym zagadnieniem mieli się zająć Chojnacki i Rzedzicki. Chojnacki dobrze znał rozkład stodół w swojej wsi. Ale gospodarze odmawiali, bojąc się zaproszenia ognia i pożaru, bo przedstawienie miało się odbyć wieczorem przy nikłym świetle naftowej lampy. Wybraliśmy się do Michalskiego, który miał dużą stodołę składającą się z klepiska i dwóch zapół. Michalski też niechętnie, ale zgodził się na oddanie stodoły na dwa wieczory do naszej dyspozycji. Zacząłem go i ja prosić. Zgodził się, ale zastrzegł, że w razie jakiegoś wypadku my za to odpowiadamy.

Grupa młodzieży zabrała się do pracy. Z jednego zapola słomę związaną w snopy łatwo było wynieść, gorzej natomiast było z koniczyną, której nie było dużo. Wyniesiono ją i złożono obok słomy pod dachem szopy przylegającej do stodoły. Oba zapola chłopcy wygrabali, a dziewczyny zniosły te śmieci do obory i stajni. Po tej robocie chmura kurzu unosiła się przez kilka godzin.



W mniejszym zapolu urządziliśmy scenę, nie zapominając o budce suflera. Na klepisku blisko sceny ustawiliśmy rząd krzesel, a resztę miejsca „umeblowaliśmy” ławami, które młodzież zniosła ze swoich domów. W drugim, większym, zapolu sporządzili chłopcy prowizoryczne ławy ze zwykłych nieheblowanych desek, a w końcu były miejsca stojące. Ceny biletów ustaliliśmy w wysokości od 5 do 20 marek w zależności od odległości od sceny i „wygodnego” siedzenia lub stania. W tak „umeblowanym” teatrze zrobiliśmy parę prób.

W oznaczonym terminie ustawiliśmy małe wiejskie lampy naftowe numer 3, które z wielkim trudem oświetliły scenę i widownię. Obok lamp stojących i pod wiszącymi umieściliśmy w dużych garnkach i wiadrach piasek na wypadek ewentualnego pożaru. Na podwórzu przy studni gospodarz wypełnił koryto po brzegi wodą i ustawił kilka pełnych wiader.

Teraz ja miałem najwięcej roboty: byłem reżyserem, suflerem, charakteryzatorem. Dziewczyny do upiększenia twarzy używały wilgotnej czerwonej bibułki, chłopcy na wąsy naskubali sobie włosów z kozucha, a przyklejali je do twarzy surowym białkiem kurzego jajka. Koloru czarnego dostarczyły zwykle węgle drzewne lub sadze z okopconego garnka.

Bilety przygotowała krawcowa Ptasieńska ze zwykłego zeszytu szkolnego. Za pomocą maszyny do szycia przedziurkowała, aby łatwiej oderwał się bilet od grzbietu. Sprzedażą biletów przy wejściu zajął się Wełna. Jako kurtyny użyliśmy prześcieradła. Gości zebrało się bardzo dużo, tak że wypełnili wszystkie miejsca na widowni.

Po trzecim dzwonku rozsunęła się kurtyna, zaczęło się przedstawienie. W czasie antraktu, który czasem się przedłużał, Czuryjszkiewicz – soltys wsi Huta Borowska, przygrywał na skrzypcach przy akompaniamencie bębna.

Przedstawienie odbyło się bez żadnych zakłóceń. Pieniądze przeznaczaliśmy na prenumeratę kilku czasopism i kupno książek do biblioteki szkolnej. Największą poczytnością cieszyła się *Trędowata* Mniszkówny, czytana przeważnie przez panny. Po upływie roku powieść ta tak była zaczytana, że z książki zostały żalodne szczątki.

W nagrodę dla „artystów” i ich pomocników została urządzona zabawa taneczna w szkole. Postronne osoby mogły wziąć udział w zabawie po wykupieniu biletu na wejście do izby szkolnej. Zabawa przeciągnęła się do północy.

Jeszcze przez cały czas zabawy musiałem uważać na sposób bawienia się młodzieży i jednocześnie „mieć oko” na to, czy jakiś uszczerbek nie stanie się w inwentarzu szkolnym i całej sali szkolnej. Jadachówna poprosiła mnie do walca. Wykręcałem się od tego jak mogłem, ale pod naciskiem innych aktorów uległem. Z tym tańcem szło mi początkowo opornie, gdyż w ogóle na żadnej zabawie czy weselu nie tańczyłem z zasady, a teraz tym bardziej, kiedy utykałem na nogę po wojennej przeprawie z półsztywną nogą.

Później znów urządziliśmy przedstawienie w nowym, niewykończonym domu Rosińskiego. Ostatni spektakl w stodole Brzyskiego zakończył cykl



przedstawię. Tu graliśmy komedię *Żyd w becze*. Wszędzie były te same kłopoty, ta sama nerwowa, wyczerpująca praca dla mnie.

W tym czasie jakiś nieznany osobnik wyraził się do Welny: „Ładnie się bawicie, jest na co popatrzeć, ciekawie to wygląda, ale ciekawsze byłoby, gdyby się stodoła zapaliła”. Wzmogliśmy czujność i skończyli szczęśliwie zabawą w szkole.

Na rynku w Chodlu wójt i sekretarz w jednej osobie, Krzeszowski, radził mi więcej przy takim oświetleniu przedstawienia nie urządzać, bo to niebezpieczne, nie trzeba ryzykować, bo można zarobić na kilkanaście lat więzienia. Nie warto. Z przedstawieniami koniec.

## **Kursy wieczorowe**

Po 123 latach zaborów odzyskaliśmy wymarzoną niepodległość. Kraj był zrujnowany przez wojnę. Praca nad odbudowaniem ojczyzny była bardzo trudna. Skarb pusty; przemysł, rolnictwo, służba zdrowia, komunikacja, nauka itp. z trudem zaczęły się organizować i pracować w niezwykle trudnych warunkach. Po wprowadzeniu obowiązku szkolnego młodzież zdobywała naukę (przeważnie na prowincji) w zakresie czterech oddziałów (klas) szkoły ludowej. Honorem wsi było posiadanie szkoły. Tu dzieci uczyły się i wychowywały na świadomych obywateli. Duże braki miała pod tym względem młodzież dorosła, która w większości do szkoły nie uczęszczała wcale lub uczyła się w szkołach zaborców bez nauki historii i geografii Polski. Te braki należało uzupełnić. W większości szkół powstawały wieczorowe kursy dokształcające, na których nauczyciele pracowali bezpłatnie, honorowo. Frekwencja młodzieży na tej nauce była różna. Zależała w dużej mierze od umiejętnego, ciekawego zainteresowania w podawaniu wiadomości przez nauczyciela.

W moim kursie brało udział przeciętnie około 28 osób. W ogólnych zarysach podawałem z historii wiadomości o Polsce przedrozbiorowej i na tym fundamencie szerzej w sposób popularny omawiałem przyczyny upadku i rozbioru Polski. Później skoncentrowałem uwagę słuchaczy na walce z zaborcami o odzyskanie niepodległości. Wiadomości o powstaniu listopadowym i styczniowym młodzież przyjmowała z wielką uwagą, zainteresowaniem oraz emocją.

Wydarzenia historyczne odbywały się w określonym czasie i miejscu. Stąd wynikała potrzeba użycia mapy – korelacja historii z geografią. Młodzież poznała sąsiednie państwa, krainy geograficzne Polski, bogactwa naturalne, główne góry, morze, rzeki oraz miasta. W podróżach po mapie zapoznali się słuchacze z kierunkami, a obliczanie odległości zmuszało zająć się arytmetyką. Młodzież miała trudność z miarami metrycznymi, które zostały wprowadzone w użycie w owym czasie. Obliczenia pozycyjne ułatwiały szybsze i dokładniejsze rachunki.

Wydarzenia w Polsce współczesnej też znalazły swoje miejsce w naszej pracy. Tematem do pracy były wybory do Sejmu Ustawodawczego (Konstyтуanty), uchwalenie Konstytucji marcowej. Młodzież bardzo interesowała się ustrojem Polski, wyborem prezydenta, tworzeniem rządu (Rady Ministrów) i władz wojewódzkich, powiatowych i gminnych.

## **Koło Młodzieży Wiejskiej**

Zebrania młodzieży na kursach były otwarte. Nie prowadziłem żadnej kontroli obecności na lekcji. Myślałem o tym, aby tę pracę ująć w formę organizacyjną. W końcu lutego zjawił się u mnie instruktor oświaty pozaszkolnej z Lublina Prokopiak i zaproponował utworzenie Koła Młodzieży Wiejskiej. Zapoznał mnie z kierunkiem pracy, zostawił mi odpowiednie instrukcje. Przyrzekłem mu spełnienie jego propozycji.

1 marca 1921 roku podzieliłem się tą wiadomością z kursantami, którzy chętnie zgodzili się na moją propozycję. Wybraliśmy zarząd, do którego weszli w wyniku głosowania: prezes Antoni Rzedzicki, sekretarz Stanisław Chojnacki, sekretarz i skarbnik J. Wełna. Rozpoczęła się praca, do której wciągnąłem bardziej rozwiniętych i chętnych członków, dając im łatwiejsze zadania organizacyjne i dydaktyczne. Przygotowywaliśmy wspólnie odczyty, przemówienia itd. Praca potoczyła się ku zadowoleniu członków.

Kilka razy opracowałem artykuły sprawozdawcze do czasopisma „Wici”. Młodzież była dumna, że o naszej pracy piszą w gazecie. Po paru miesiącach za należytą pracę w Kole otrzymaliśmy w podarunku apteczkę: termometr lekarski i kilkanaście popularnych leków z instrukcją, który lek w jakiej chorobie należy stosować. Gruntownie zapoznałem się z treścią i zaczęliśmy dyskutować o miejscu przechowywania apteczki i kto ma się zająć „leczeniem” w nagłych wypadkach. Po krótkiej dyskusji jednogłośnie uczestnicy spotkania gorąco prosili mnie o przyjęcie tej funkcji. Nie widząc lepszego rozwiązania sprawy, przyjąłem apteczkę i obowiązek udzielania pomocy w nagłych wypadkach. Po kilku dniach zjawił się chłopiec ze skaleczonym palcem. Ranę obmyłem wodą, posmarowałem jodyną i obandażowałem palec. Później przychodzili z bólami żołądka, głowy itd.

Wczesną wiosną Wilk pojechał do młyna do Fryszerki. Na dworze śiaął deszczyk ze śniegiem. Powróciwszy z mąką, Wilk zostawił furę i konia na podwórzu, wbiegł do izby szcękając zębami, polecił synowi Wackowi zająć się koniem i mąką, a sam wlał pod pierzynę. Przybiegła Wilkowa z prośbą o pomoc. Natychmiast udałem się do jego mieszkania. Zarządziłem, aby zaparzyć gorącej herbaty, postarać się o wódkę. Zmierzyłem temperaturę (38,5°C). Wilkowa obmyła mężowi nogi ciepłą wodą. Wilk wypił bez zakąski dwa kieliszki wódki i szklanke mocnej gorącej herbaty, dałem mu pastylkę przeciw przeziębieniu. Okryliśmy Wilka ciepłą pierzyną, a na wierzch położyła

Wilkowa jeszcze kożuch. Wkrótce Wilk zasnął. Rano spotkałem go w sieni. Bardzo mi dziękował za leczenie. Dziwił się niezmiernie, że takie „szkiełko” (termometr) tak mu prędko pomogło. Naturalnie Wilkowa nie omieszkała pochwalić się sąsiadkom prędkim wyleczeniem. We wsi już wszyscy wiedzieli, że nauczyciel umie nie tylko uczyć dzieci, ale jest „trochę” lekarzem. Stałem się mimowolnym lekarzem na wsi. Leki prędko „wyszły”; trzeba było kupować nowe w aptece Dąbskiego w Chodlu i dalej udzielać pomocy.

## Ognisko ZNP

Pierwszy raz zetknąłem się z gronem nauczycielskim gminy Chodel przed kościołem w Ratoszynie (proboszcz ksiądz Bernacki). Po odbiorze pensji we dworze L. Nowakowskiego zebraliśmy się w szkole – starej, brudnej ruderze (po dawnej dworskiej karczmie). Kierownik Bocheński „wyłazi ze skóry”, aby te dwie izby doprowadzić do stanu używalności jako szkoły dla tamtejszych dzieci. Na tym tle moja niżej zorganizowana szkoła wygląda dużo lepiej.

13 marca 1921 roku zorganizowaliśmy Ognisko ZNP, zadaniem którego było samokształcenie nauczycieli, wymiana poglądów i myśli, troska i walka o sprawy bytowe. Na prezesa powołaliśmy Bocheńskiego, na sekretarza wybrano mnie. Nie umiałem sobie wytłumaczyć, dlaczego wybrano mnie również na delegata, którego obowiązkiem było pobieranie w Lublinie deputatów i rozprawianie przywiezionych prowiantów między poszczególnych nauczycieli. Czy to był dowód zaufania do mnie, czy też znaleźli sobie ofiarę, która będzie ułatwiała życie nauczycielom kosztem swojej pracy, z uszczerbkiem nauki w szkole. Początkowo załatwianie sprawy deputatów szło mi jakoś niemrawo. Nie znałem dobrze Lublina i rozmieszczenia szkół, z których nauczyciele mieli mi ułatwić pracę. Chodziłem pieszo z Kośminka do szkoły nr 1 na Czwartku lub odwrotnie. Miałem dużo kłopotu z przewiezieniem deputatów dorożką do stacji kolejowej, a potem z podróżą z Niedrzwicy do Chodla furmanką, która nie zawsze na czas przyjechała do stacji. W domu miałem „urwanie głowy” z rozważaniem przywiezionych produktów dla poszczególnych nauczycieli gminy w miejscowym sklepiku spożywczym w Trzcincu. Rodzinnym nauczycielom wydawałem większe deputaty w zależności od ilości członków rodziny danego nauczyciela. Te kłopoty trwały przez cały rok. Po zebraniu zboża z pół przez chłopów już na miejscu można było kupować produkty. Wkrótce został zmieniony system zaopatrzenia nauczycieli z powiatu. Moja rola poboru żywności w Lublinie została zlikwidowana – odetchnąłem. Byłem wolny.

Teraz rozpoczęła się intensywna praca w Ognisku. Organizowaliśmy każdego miesiąca w coraz to innej szkole lekcje praktyczne, pokazowe, połączone z referatem i dyskusją na temat przeprowadzonej lekcji. Pierwsza taka lekcja odbyła się w Chodlu. Lekcję historii o Kazimierzu Wielkim przeprowadziła

początkująca nauczycielka Janina Staszycówna, a ja opracowałem referat na wysunięty przez Inspektorat temat „Nauka rysunku w obecnej szkole”. Zarówno lekcja, jak i referat zostały przychylnie ocenione przez inspektora Podgórskiego i nauczycieli. A więc początek dobry. Na inną lekcję przygotowałem referat „Znaczenie śpiewu w szkole”. Ten referat przyjęty był przez nauczycieli oklaskami, co mi sprawiło dużą satysfakcję. Niektórzy nauczyciele prosili mnie o wypożyczenie referatu do przeczytania go w domu.

Innym razem lekcję przeprowadził kolega Bossy z Radlina z języka polskiego. Mnie wypadła kolej sekretarzowania. W czasie dyskusji kilku nauczycieli zwróciło uwagę na użycie w lekcji kilku zwrotów i zdań w języku literackim, mało dostępnym dla poziomu wiejskich dzieci. Uwagi te zamieściłem w protokole. Po kilku dniach inspektor zwrócił się do przewodniczącego konferencji, kolegi Pyzika, z prośbą o wyjaśnienie, na czym polegało to użycie zwrotów, jakiej treści były te zwroty. Znacznie później dowiedziałem się, że kolega Bossy był Ukraińcem, dlatego inspektor zareagował w ten sposób, gdyż podejrzewał nauczyciela, że może uprawia jakąś nieprzychylną propagandę na lekcjach.

Na następnej konferencji wspomniał o tym przewodniczący Ogniska Pyzik. Po dyskusji zebrani postanowili, aby każdy sekretarz po skończonej lekcji brudnopis protokołu dał do przeczytania prezesowi, a potem dopiero może wpisać do księgi protokołów, odpis zaś można było przesłać do Inspektoratu. Ten system przyjął się i stale był praktykowany w naszej pracy.

### *Dziesiąty Pawilon*

Prezes Dozoru Szkolnego gminy Chodel, obywatel ziemski w Ratoszynie, pan Ludwik Nowakowski, bardzo interesował się życiem i pracą w szkole nauczycieli gminy. Przywoził z Lublina pobory dla wszystkich nauczycieli w gminie, starał się o ich zaopatrzenie w opał i mieszkanie, przywoził i przydzielał pomoce naukowe dla szkół, brał udział w wizytacji inspektora szkolnego, często udzielał pożyczki dla potrzebujących nauczycieli. Chętnie brał udział w zebraniach towarzyskich nauczycieli, często kończących się zabawą taneczną (a tancerzem był znakomitym). On to zaproponował nauczycielom urządzenie przedstawienia teatralnego, w którym wszystkie role miały być obsadzone przez nauczycieli i nauczycielki. Chętnie zgodziliśmy się na tę propozycję i wybrali do opracowania sztuki: *Dziesiąty Pawilon* Staszczyka i komediijkę *Po kweście*. Po zapoznaniu się z treścią przystąpiliśmy do przydzielania ról. Rolę Henryka przyjął kolega Kołodziej z Łopiennika, rolę Ludwiki koleżanka Staszycówna z Chodla, a ja podjąłem się zagrać rolę oficera żandarmerii. Po tygodniu role zostały rozpisane, zaczęła się pierwsza próba czytana. Próby odbywały się w poszczególnych szkołach, rozrzuconych po całym terenie gminy. Niestety był to zapał słomiany. Coraz częściej do prób nie dochodziło z powodu braku pełnego składu „aktorów”. W Grądach

miała się odbyć ostatnia próba przed przedstawieniem, generalna, na której grono nauczycielskie z Chodla wcale się nie zjawilo. Przy każdej sposobności prezes Dozoru pytał się o przebieg przygotowania, zachęcał, nalegał, aby pracę kontynuować i doprowadzić do końca. Przygotowania nauczycieli do zakończenia roku szkolnego ujemnie wpłynęły na przebieg pracy dobrego przygotowania przedstawienia. Powzięliśmy decyzję wystawienia sztuki na dzień św. św. Piotra i Pawła 29 czerwca 1921 roku (środa) w szkole w Chodlu. Zbudowaliśmy scenę, przygotowali dekoracje, zgromadzili rekwizyty.

W niedzielę po nabożeństwie prezes Dozoru wraz z gronem nauczycielskim udali się do szkoły celem wręczenia nagród książkowych najlepszym uczniom. Szkoła zamknięta na klucz, na pukanie nikt nie odpowiada. Najbliższy sąsiad, organista Morawski, poinformował nas, że kierownika szkoły Dutkowskiego ani jego żony nie ma w domu. Wezwany opiekun szkoły po półgodzinnym poszukiwaniu sprowadził ślusarza, który miał otworzyć drzwi wytrychem. W tym momencie drzwi otworzyło dwoje dzieci Dutkowskiego. Weszliśmy do środka i ujrzeliśmy niesamowity obraz: korytarz szkolny zaśmiecony podartymi kartkami z zeszytów szkolnych, scena zburzona, deski, meble i rekwizyty porzucane po podłodze, mapa zmięta w kłębach leży porzucona koło pieca w kącie. To był „wyczyn” żony kierownika szkoły, Dutkowskiej. Dokonała zemsty za wyproszenie jej z próby generalnej przez prezesa Ogniska, kolegę Bocheńskiego z Ratoszyna. Po uporządkowaniu szkoły i „sali teatralnej” kolega Nagórski udał się na posterunek policji z prośbą o delegowanie posterunkowego dla utrzymania porządku w czasie przedstawienia. Komendant posterunku, Grabowski, zrobił wielkie oczy, zdziwiony, że o żadnym przedstawieniu nic nie wie. Zapytał o pozwolenie ze starostwa powiatowego na urządzenie spektaklu i prawa pobierania opłat za bilety. O tym nikt nie pomyślał i nic nie załatwił. Wobec powyższego komendant oznajmił, że nie pozwoli na wystawienie sztuki. Więc Nagórski oznajmił, że to będzie bezpłatna impreza specjalnie tylko dla dzieci, a porządek sami utrzymamy.

Widownia była szczelnie zapełniona dziećmi. Zainteresowanie dzieci tą poważną sztuką było małe. Młodzież bardziej lubi komedyjki wesołe. „Artyści” amatorzy, którzy na scenie nigdy nie występowali, nie przyswoili sobie treści, nie wczuli się w rolę i intencje autora, oddawali treść sztuki mechanicznie, więc nie wzbudzili zainteresowania widowni. Dekoracje i rekwizyty na scenie wcale nie przypominały celi więziennej X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej, co również w dużej mierze wpłynęło na niepowodzenie „aktorów”. Sam osobiście czułem się na scenie fatalnie. Ruchy, akcent, bycie całe na scenie były sztywne, niemrawe. Przekonałem się, że do takiej pracy na scenie wcale się nie nadaję. Następnego dnia kilkanaścioro dzieci przyniosło po 60 marek na pokrycie kosztów dekoracji. Po tej „imprezie” urządziliśmy składkowy wieczór taneczny i bawili się wesoło do godziny 3 rano.

Prezes Dozoru telefonicznie uzyskał zgodę starostwa na powtórzenie przedstawienia dla dorosłych na dzień 29 czerwca. Do wystawienia sztuki

jednak nie doszło z powodu wyjazdu prezesa Ogniska Nauczycielskiego, kolegi Bocheńskiego, na wakacje do narzeczonej. Inni „artyści” też porzúdzili się po różnych kątach. Nie można było skompletować zespołu.

Tak więc pierwsze i ostatnie wystawienie sztuki teatralnej przez zespół nauczycielski skończyło się fiaskiem. Nie mieliśmy dobrego organizatora do kierowania pracą społeczną kulturalno-oświatową.

## **Zakończenie roku szkolnego 1920/1921**

Rok szkolny dobiega końca. W tym okresie miałem najwięcej roboty: wpisać oceny i promocje do arkuszy, napisać dla wszystkich uczniów świadectwa przejściowe i z ukończenia szkoły, przejrzeć i wybrać odpowiednie prace uczniów na wystawę, udekorować salę szkolną, rozwiesić rysunki uczniów na ścianie. Na ostatnich lekcjach należało powtórzyć przerobiony materiał naukowy, ugruntować ważniejsze partie materiału i daty historyczne. Na zakończenie roku szkolnego Inspektorat Szkolny wyznaczył termin 20–27 czerwca. Każda szkoła kończyła pracę oddzielnie w ustalonym przez prezesa Dozoru terminie. 21 czerwca w godzinach rannych odbyło się zakończenie w Borowie, a o godzinie 12 zaczęło się u mnie w Trzcińcu „Kałach”.

Najtrudniejsza sprawa to przyjęcie gości. Nie miałem żadnych zastaw stołowych ani nakryć; miałem tylko chleb razowy żytni i masło. Tak się złożyło, że sklep spółkowy u Ptasieńskiego tego dnia był zamknięty. Nie miałem w domu zapasu herbaty czy kawy.

Wilkowa na wsi u sąsiadek zdobyła trochę kawy, kilkanaście szklanek, kubków i łyżeczek. Nagotowała duży sagan mlecznej kawy, osłodziła. Pokroiła chleb i podała go na dwóch dużych talerzach. Nie miał kto tego podać do klasy, gdzie czekali goście w ławkach, nakrytych białymi obrusami. Przed tym w sali szkolnej, wypełnionej moimi uczniami czterech oddziałów, nauczycielami z Chodla, Grądów, Borowa, Łopiennika, Majdanu Łopiennickiego, Radlina (przyjechał prezes Dozoru pan Nowakowski), rozpoczął się „egzamin”. Zaczęłam od oddziału IV. Rzuciłam kilka pytań z historii, geografii, wskazałam palcem na ucznia (uczennicę), który śmiało wyrecytował odpowiedź. Później przeszedłem do oddziału II i III, gdzie sprawdzałem czytanie kursoryczne\* i stataryczne\*\*, znajomość tabliczki mnożenia, a skończyłem na oddziale I, gdzie główny nacisk położyłem na czytanie wyrywkowe i ładne pisanie na tablicy. Egzamin wypadł wyśmienie. Niektórzy nauczyciele – zazdrośnicy – półgębkiem cicho dzielili się uwagami, że to nie tylko moja zasługa, ale i moich poprzedników. Oczywiście mieli tutaj dużo racji, gdyż uczyłem tu

---

\* Czytanie kursoryczne – wyrabiające technikę czytania przez wielokrotne powtarzanie – przyp. red.

\*\* Czytanie stataryczne – czytanie wolne z zatrzymywaniem się w celu robienia objaśnień, pogłębiające rozumienie treści czytanego utworu – przyp. red.



pierwszy rok, więc w klasach starszych ja nadbudowywałem, ale w I oddziale to była moja i tylko moja zasługa. Na zakończenie prezes Dozoru pochwalił dzieci za dobrą naukę. Śpiewem: „Ukończone już zajęcia, ukończona praca/ każdy szybko i wesoło do domu powraca (bis)” zakończyłem po rozdaniu świadectw pierwszy rok szkolny po ukończonym seminarium. Teraz mogłem już więcej zająć się gośćmi. Koleżanki z Chodla, Klepcarzówna i Staszycówna, pomogły mi porozlewać kawę, którą z chlebem z masłem zebrani z apetytem spożyli. Na deser przyniosłem na kilku talerzach świeże, dorodne i smaczne czereśnie, do spożycia których nie trzeba było nikogo namawiać.

W podobny sposób odbyło się zakończenie roku w Chodlu. Tutaj więcej było na ścianach rysunków wykonanych przez uczniów V i VI oddziału oraz robót ręcznych: hafty, szycie, wyroby różnych zabawek z gliny (modelowanie). Koleżanka Staszycówna oprowadziła nas po wystawie, udzielała objaśnień, z których dowiedziałem się, że koleżanka sama dobrze rysuje i ona pierwsza na terenie gminy zastosowała z dobrymi wynikami modelowanie, posługując się zwykłą gliną garncarską. Prezes Dozoru obdarował kilkoro dzieci nagrodami książkowymi za bardzo dobrą pilność i postępy w nauce. Trzeba tutaj dodać, że szkoła mieściła się we własnym parterowym murowanym budynku i była największą szkołą w gminie, wyżej zorganizowaną, a pracowało w niej siedem osób grona nauczycielskiego. Do tej szkoły uczęszczało około 36 dzieci z rodzin żydowskich. W klasie V i VI, a później VII pobierało naukę kilkanaścioro dzieci z okolicznych wsi (Godów, Książ, Siewalka, Osiny, Trzciniec).

Po zakończonym popisie wszyscy nauczyciele gminy zostali zaproszeni przez Staszycównę na przyjęcie, które przygotowała jej matka. Jako *novum* podano bardzo smaczne pączki do herbaty. Staszycówna nastawiła później gramofon, przy muzyce którego ochoczo tańczyliśmy dość długo. Na zmianę z Wojtarowiczem graliśmy na skrzypcach. Tu prezes Dozoru Szkolnego pan Nowakowski z werwą tańczył po kolei ze wszystkimi nauczycielkami (sam ożenił się z nauczycielką, która niechętnie była widziana w gronie obywateli ziemskich). Częste spotykanie się na próbach, konferencjach, „pączkowych” przyjęciach organizowanych przez matkę Staszycówny przyczyniło się do lepszego i dokładniejszego poznania się nauczycieli w gminie Chodel. W okresie prób Staszycówna była Ludwiką, Kołodziej – Konradem, Dyś – żandarmem, Woško – oficerem (żandarmerii). W innym okresie zamiast nazwisk używaliśmy nazw miejscowości, w których pracowaliśmy. Wiadomo było, że na targ przyjechał Łopiennik (Kołodziej), do szkoły zbliża się Trzciniec (Woško), do sklepu wszedł Borów (Wojtarowicz), na wozie odjechały Grądy (Dyś) itd.

Podobnie odbywały się popisy na zakończenie roku w innych szkołach.

W deszczowy dzień 23 czerwca udałem się na zakończenie roku do sąsiedniej wsi Grądy. W klasie zastałem kolegę Dysia, pana Nowakowskiego i inspektora szkolnego Sowińskiego, który osobiście egzaminował uczniów. Popis ten wypadł blado, dzieci nie opanowały w dostatecznym stopniu podstawowych wiadomości. Inspektor okazał niezadowolony z pracy Dysia.

Po opuszczeniu klasy przez dzieci inspektor w cierpkich słowach zwrócił uwagę nauczycielowi, dał kilka wskazówek co do pracy w przyszłym roku i zobowiązał Dysia do uzupełnienia braków zaraz w pierwszych dniach nauki po wakacjach.

Inspektor furmanką udał się na popis do Radlina, a pana Nowakowskiego poprosił, aby go zastąpił na popisie w Zosinku. Inspektor Sowiński na uboczu zamienił kilka słów z Nowakowskim, mnie prosił, abym towarzyszył prezesowi. Szkołę zastaliśmy otwartą, ale dzieci już w niej nie było. Koleżanka Baranowska osłupiała. Na polecenie prezesa posłała dwie dziewczynki i chłopca, aby te dzieci zawiadomiły uczniów o wizytacji i sprowadziły ich do szkoły. Po upływie pół godziny szkoła zapełniła się uczniami. Na pierwszy rzut oka widać było brak organizacji. Pytania rzucane przez nauczycielkę były chaotyczne, a odpowiedzi uczniów jeszcze gorsze. Prezes polecił mi zapytanie kilku uczniów z poszczególnych oddziałów. Okazało się, że uczniowie cośkolwiek słyszeli o poruszonym temacie na lekcjach, ale skonkretyzować nie mogli. Prezes ogłędnie wyraził się, że spodziewał się lepszych odpowiedzi od uczniów. Więc i tu okazało się, że praca w szkole była niesystematyczna i uczniowie w całości nie opanowali wiadomości przepisanych przez program.

gorzej jeszcze było w Majdanie Łopiennickim; nauczycielka Kędzierska przed paru godzinami już wyjechała do stacji kolejowej w Niedrzwicy. Pan Nowakowski jechał do Borowa do byłego browaru załatwiać jakieś sprawy finansowe, więc skorzystałem z okazji i zabrałem się z nim do Trzcianca. Na konto pensji lipcowej dał mi 4000 marek polskich.

## **I Zjazd Ursynowiaków**

Wszystkie sprawy szkolne załatwione z wynikiem dobrym spowodowały dobry nastrój psychiczny. Pożegnawszy się ze Stefanem, moim bratem, który właśnie kończył orkę ziemi pod zasiew jesienny żyta, pieszko, z laską w rękę, z portfelem wypchanym banknotami, za które niewiele można było kupić, ruszyłem w godzinach popołudniowych do stacji kolejowej w Niedrzwicy (około 16 kilometrów drogi). O zmroku wszedłem do poczekalni, gdzie było tylko kilka osób, usiadłem zmęczony na ławie i z przyjemnością odpoczywałem parę godzin. Wykupiwszy bilet III klasy, zająłem wolne miejsce w wagonie, ruszyłem o godzinie 13<sup>30</sup> w podróż do Warszawy. O godzinie 8 rano byłem już na Dworcu Wschodnim. Przy wyjściu na miasto zauważyłem kolegę Fuksa z młodszego rocznika. Przyjechał on ze Zwierzyńca zamojskiego na zjazd. Z powodu dużego tłoku przy wyjściu, do osobistego spotkania nie doszło.

Miałem zamiar na miejsce zjazdu dojechać z Pragi „18”. Nie mogąc się doczekać na tramwaj, postanowiłem udać się pieszko. Po drodze wstąpiłem do kościoła Zbawiciela na ulicy Marszałkowskiej. Wychodząc, z daleka ze

schodów kościoła zauważyłem kolegę Sołowijaniuka („Niedźwiedzia litewskiego”) z Białegostoku. Chciałem się z nim spotkać, lecz w tłumie gdzieś mi zginął, ale za to spotkałem kolegę z mojego przedwojennego okresu K. Frankiewicza. Po drodze Konrad żalił się na dawnych kolegów za to, że przezywali go „Wardakiem”.

I tak gwarząc, spacerkiem zbliżaliśmy się do domu numer 123 przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie w wynajętym lokalu mieścił się Związek Nauczycielstwa Polskiego Szkół Powszechnych. Przy wejściu podpisaliśmy listę obecności. Zajęliśmy miejsca siedzące. Rozejrzałem się po sali. Spostrzegłem kilku kolegów, z którymi zacząłem naukę w Ursynowie, kilku towarzyszy, z którymi razem kończyłem naukę w Warszawie przy ulicy Chopina 16, oraz kolegów ze starszych roczników, dziś poważnych nauczycieli na stanowiskach kierowniczych.

Wkrótce wszedł na salę w gronie profesorów mecenas A. Osuchowski. Zebrani przyjęli spontanicznymi oklaskami całe grono, a w szczególności naszego dobroczyńcę, opiekuna o wyglądzie patriarchy – Osuchowskiego. Posiedzenie otworzył kolega Ciepłak, witając prezesa, grono nauczycielskie i kolegów.

Na przewodniczącego zebrania został przez aklamację powołany Ziętko, a na sekretarzy – K. Maj (z Babina koło Bełżyc) i P. Podurgiel (pracownik w resorcie oświaty pozaszkolnej). Do stołu prezydialnego poprosiliśmy Osuchowskiego, profesora Dzwonkowskiego (historyka), profesora Kosińskiego (p.o. dyrektora Seminarium) oraz profesora L. Zarzyckiego (metodyka matematyki).

Mecenas Osuchowski plastycznie przedstawił sposób powołania Seminarium, warunki w jakich znajdowała się Polska w czasie zaborów, rolę absolwentów Seminarium w pracy pośród ludu polskiego, walkę o polskość szkoły, a także o warunki materialne Seminarium. Podkreślił, że pokonał wszystkie przeszkody, jakie mu rzucał pod nogi rząd carski i teraz tę łódź z powodu braku finansów przekazuje rządowi polskiemu.

Profesor L. Zarzycki w swoim referacie dogłębnie i przekonująco omówił sprawę pokochania zawodu nauczycielskiego, a także dzieci – przyszłości narodu polskiego. Podkreślił również sprawę dalszego samokształcenia się nauczycieli, szukania nowych dróg i metod w nauczaniu i wychowywaniu młodego pokolenia.

Kolega Węglewski przeprowadził porównanie pracy ucznia Seminarium przed wojną w Ursynowie z dzisiejszą w wielkomiejskich warunkach w Warszawie. Kolega K. Maj wygłosił referat o oświacie pozaszkolnej. Gorąco zachęcał nas do pracy w naszych środowiskach.

W dyskusji nad wygłoszonymi referatami zabrali głos koledzy: Wilde, Węglewski, Radwański, Rytel.

Punktualnie o godzinie 8 wieczorem wykupiłem bilet za 200 marek do Polskiego Teatru na sztukę *Oczy księżniczki Fathmy* Kędzierskiego. Autor krytykuje stan małżeński w inteligenckiej, wielkomiejskiej rodzinie.

W drugim dniu obrad toczyła się dyskusja nad sprawą założenia Koła Ursynowiaków i wydania drukiem pracy o historii Ursynowa i ursynowiaków. Większością głosów postanowiono zrealizować te dwie sprawy. Upoważniono kolegów Rytla, Maja i Godeckiego do opracowania historii, na konto czego wpłaciliśmy po 200 marek polskich, ale praca dotąd jeszcze nie wyszła drukiem. Może wyjdzie w XXI wieku...

Józef Zabłocki, mój dobry kolega i opiekun w czasie mojej choroby (Nowogrodzka 33/21) zaprosił mnie i P. Gonerko, z którym mieszkaliśmy na stacji, na obiad do studenckiej stołówki. Nawiasowo dodam, że Zabłocki jest też słuchaczem na Kursie Kulturalno-Oświatowym im. St. Staszica.

## Ursynów

Całe popołudnie spędziliśmy w Ursynowie, dokąd udaliśmy się kolejką wąskotorową grójecką do stacji Służewiec. Tę trasę dobrze poznaliśmy, przejeżdżając kilkanaście razy w roku przez okres trzech lat. Co się stało z naszym kochanym Ursynowem? Przy bramie wjazdowej nie ma nawet śladu domku Adama, który otwierał nam bramę i zamykał za nami w czasie wyjazdu na ferie czy do miasta z przepustką w kieszeni, wydaną przez dyrektora Władysława Borowskiego. Dwie równoległe aleje lipowe wybrukowane, ale pozbawione swego uroku, tych rozłożystych starych lip. Ten sam los spotkał aleję akacjową, biegnącą równoległe do skarpy od pałacu aż do altany i dalej do ogrodzenia. Po pasiece nie ma żadnego śladu. Inne drzewa, które otaczaliśmy opieką, a nawet numerowaliśmy je, zostały wycięte. Usunięto i zniszczono krzaki i krzewy ozdobne, które były zamieszkałe przez słowiki. Teraz martwa cisza. Dom Cumbacha i zabudowania folwarczne zniszczone – usunięte. Kilka ławek drewnianych przy pustych alejach przypominało dawne, lepsze czasy.

Po krótkim odpoczynku na wniosek kolegi Kościelaka zaśpiewaliśmy kilka pieśni na trzy głosy. Pieśni te opracował z nami przed wojną nauczyciel śpiewu Władysław Sawicki, który obecnie jest kapelmistrzem pułkowym. Później grupkami rozeszliśmy się po terenie dawnego parku. Co chwila ktoś przystawał i przywoływał w pamięci minione czasy. Co raz słyhać było: „Tu gracowaliśmy aleje, tu grabili liście i wywozili do dołu kompostowego, a ziemię na kopiec na wzgórze. Tu zbieraliśmy żołędzie i kasztany, grona czarnego dzikiego bzu na powidła. Tu zaszyci w trawie przygotowywaliśmy się do egzaminu przejściowego. Po tamtych alejach przy płocie obsadzonym świerkami od godziny 5 rano, spacerując, wkuwaliśmy wzory geometryczne i formaty z fizyki” itd. itp. Maliszewski, były drużynowy harcerstwa, zatrzymuje się i snuje opowieści z ćwiczeń nocnych w podchodzeniu, a inni dorzucają do tego swoje uwagi. Rozlegają się niefrasobliwe śmiechy, gwar napęlnia teren dawnego parku. Młodość..., życie...

Weszliśmy do sal wykładowych, dziś pustych, bez żadnego umeblowania. Na balkonie kolega fotograf-amator zrobił zdjęcie; na tle pałacu zdjęcie grupowe zrobił fotograf zawodowy. Pobrał po 150 marek za trzy odbitki. Niestety odbitek tych pocztą nie otrzymałem. Kolega Kowalewski (późniejszy pułkownik) zarządził zbiórkę. Czworkami, ze śpiewem ruszyliśmy do Służewa, do kościoła, w którym mieliśmy się zebrać w myśl postanowień z 1913 roku na wypadek, gdyby wybuchła wojna. Po upływie pół godziny w tym samym szyku skierowaliśmy swe kroki do Wierzbna, śpiewając „Marsz Sokołów” i popularną piosenkę do marszu: „Wędrujemy borem, lasem, przymierając z głodu czasem. To bieda, to bieda, o to, to, to, to bieda, to bieda, niedola”. Zaintrygowani przechodnie często przystawali, słuchali i bacznie śledzili nasze „sztubackie wyczyny”. W Wierzbnie wsiedliśmy do pustego tramwaju i nim dojechalśmy do Nowego Świata 67 na pożegnalną kolację (320 marek od osoby).

Przyjęcie to odbyło się w kasynie urzędników bankowych. W tym przyjęciu wzięło udział bardzo dużo ursynowiaków, bo aż 12 roczników – od powstania Seminarium do 1920 roku. Do końca kolacji nie byłem, gdyż razem z 20 kolegami opuściliśmy towarzystwo, aby wybrać się na wycieczkę krajoznawczą do Zagłębia Dąbrowskiego.

## **W kopalni węgla kamiennego**

Kolega Ciepeliak zebrał od nas 20 legitymacji i udał się do kasy kolejowej na Dworc Wiedeńskim (róg ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich), aby wykupić bilety. Pozostali koledzy ustawili się przy drzwiach wejściowych, aby spóźnionych kolegów kierować na punkt zborny. O godzinie 10 wieczorem ruszyliśmy w podróż. Pociąg był przepełniony – staliśmy w przejściach, przestępując z nogi na nogę. Podróż skracaliśmy sobie rozmowami z czterema kolegami z mego ostatniego kursu. Później trochę się rozluźniło, więc mogliśmy zająć wolne miejsca siedzące. O godzinie 9 rano wysiedliśmy na docelowej stacji w Strzemieszycach, skąd gromadnie pieszo udaliśmy się do miejscowości Niemce, położonej w nieckowatej dolinie. Przez równinne dno niecki przepływają liczne strumyki, w których płynie bystro czarna woda, przypominająca rzadką smołę. W kilku miejscach widać kominy fabryczne, z których unoszą się kłęby czarnego dymu. Do tych fabryk, szybów kopalnianych przytuliły się jednopiętrowe domy, zbudowane z czerwonej cegły. Ulice wybrukowane płytami są mokre od czarnej wody. Przemykają liczne samochody i wolno suną platformy wypełnione węglem, a w przeciwnym kierunku – wypełnione piaskiem. Przed domami tu i ówdzie widać małe ogródki z kwiatami i warzywami. W tym osiedlu jest dużo sklepów spożywczych, kilka restauracji, klub robotniczy, gdzie odbywają się zebrania, odczyty, zabawy w sali widowiskowej.



Zatrzymaliśmy się w szkole powszechnej, której kierownikiem jest kolega Żak – ursynowiak ze starszego rocznika, bardzo miły, sympatyczny, uczynny. Doprowadziwszy do możliwego porządku wygląd osobisty i ubrania, udaliśmy się do klubu na śniadanie. Klub ten robił ładne wrażenie. Był bardzo czysto utrzymany,umeblowany w stylu zakopiańskim, obsługa bardzo grzeczna i sprawna.

Przy szybie „Jakub” inżynier zaprosił nas do swego biura, rozłożył na stole dużą mapę kopalni i zapoznał nas z rozkładem chodników, rozmieszczeniem węgla itp. Najgrubsza warstwa „Reder” ma 7 metrów grubości, a otrzymała nazwę od ministra przemysłu Redera.

Przed wejściem do szybu musieliśmy się przebrać w robocze ubrania: bluzy przepojone tłuszczem i smarem, kamizelki, spodnie, buciorutyłane czarnym błotem. Ja dostałem „dostatnie” szarawary, w których trzech mężczyzn podobnych do mnie swobodnie by się zmieściło. Przepasałem te portki rzemiennym pasem, mocno zaciągnąłem, aby mi na kolana nie opadły i umożliwiły mi ruchy w „pochodzie”. Każdy z nas dostał zapaloną lampkę górniczą, aby sobie oświetlać drogę.

Do szybu szliśmy gęsiego po równi pochyłej pieszo po schodach. Środkiem tych schodów były przeprowadzone szyny, po których za pomocą liny stalowej maszyna wyciągała urobiony węgiel na małych wagonikach. Boki ścian szybu były zabezpieczone gęsto ustawionymi stemplami od zawalenia się ścian i sufitu. Przy stropie były rury powietrzne, wodociągowe, linka synchronizacyjna i przewody telefoniczne. Zatrzymaliśmy się w obszernym i bardzo długim korytarzu falowym, a potem natknęliśmy się na czarną ścianę, w której kryształ węgiel ładnie odbijały światło naszych lampek. Dokoła panuje ciemność, cisza, słychać tylko pluskanie kropel wody ze stropu. W takich warunkach poruszają się postacie ludzkie. Ciężko pracują górnicy w tym podziemnym świecie.

Właśnie przed chwilą kilku górników skończyło pracę nad wierceniem czterech otworów o głębokości 2 metrów w ścianie, aby tam założyć kilka ładunków z materiałem wybuchowym w tutce o średnicy 2 centymetrów i długości 20 centymetrów. Dwóch górników przez ten czas kilofami, łomami obstukiwało ścianę, sufit i stemple, aby się upewnić czy się w czasie odstrzału nie zawałą. Przeciągnęli długie lonty od ładunków wybuchowych.

Inżynier odprowadził naszą grupkę kilkanaście metrów do tyłu za zakręt korytarza. Górnik zapalił lont, który wolno, iskrząc, tlił się. Po chwili nastąpiło kilka wybuchów. Chcieliśmy zaraz tam iść, aby zobaczyć wynik wybuchów. Inżynier zatrzymał ciekawskich, mówiąc: „Teraz na mnie kolej”. Poszedł w stronę wybuchów. Słychać było jak kaszle i coś tam pod nosem sobie mruczy. Po krótkiej chwili poszedł z nami na miejsce odstrzału. Cały korytarz był wypełniony dymem, pyłem węglowym, smrodem, a na ziemi leżały bezładnie rozrzucone duże i małe kawały węgla. Powietrze duszne, pył węglowy powodował kasłanie, łzy z oczu. Kilka stempli wyłamało się siłą



wybuchu, strop nie uległ uszkodzeniu. Odwaliła się ściana podminowana na wysokość 5 metrów.

Górnicy przystąpili do ładowania węgla na wózki, a my przeszliśmy z tego wysokiego (5 metrów) korytarza do niskiego (0,7 metra), gdzie trzeba się było posuwać na czworakach, a nawet w pewnym miejscu przeczołgać się po czarnym błotnistym podłożu. Można sobie wyobrazić jak wyglądaliśmy. Byliśmy umazani błotem od uszu do stóp. Obserwując się przy świetle elektrycznym w dużym korytarzu, zaśmiewaliśmy się z wyglądu towarzyszy. W wysokim korytarzu, przy grubej warstwie węgla górnik w pozycji stojącej ma wolne ruchy do łamania i ładowania węgla, gorzej natomiast jest wtedy, gdy warstwa węgla jest cienka. Tu musi pracować w pozycji klęcznej lub wprost w pozycji leżącej. Bardzo jest nieprzyjemnie, gdy zimne krople wody ze stropu spadają na głowy, twarze, szyje ludzi. Woda obficie spływa po ścianach. Górnicy odprowadzają wodę do niżej położonych zbiorników, skąd wypompowują ją na zewnątrz kopalni. Robotnicy muszą pracować uważnie, często nasłuchując, czy gdzieś nie „stąpa”. W wypadku tego „stąpienia” przerywają pracę na przodku. Za pomocą lewarów i desek podpierają strop, ustawiają gęsto pionowe stemple i bale pod stropem, aby nie dopuścić do zawalenia się ścian i stropu. W tym okresie głównymi narzędziami pracy były kilofy i żelazne drągi do łamania węgla. W lepiej zagospodarowanych kopalniach używano już sposobu podcinania ściany na przodku za pomocą sprężonego powietrza i odstrzału przy użyciu materiału wybuchowego. Przypomnieć należy, że kopalniami rządili prywatni właściciele (często Niemcy, Belgowie, Francuzi, a na końcu Polacy). Właściciele myśleli o tym, jak osiągnąć największy zysk z kopalni, a wydać najmniej pieniędzy.

Po kilku godzinach pożegnaliśmy ciężko, bardzo ciężko, pracujących górników. Pospiesznie opuściliśmy państwo ciemności i różnym krokiem wyszliśmy na powierzchnię ziemi. Och, jak przyjemnie było oddychać odświeżonym przez burzę powietrzem i wygrzewać się na słońcu.

W klubie nie było jeszcze ugotowanego obiadu, więc chcąc wykorzystać czas, udaliśmy się do pobliskiego drugiego szybu „Kazimierz”. Tu nas stróż zatrzymał do chwili przybycia trzech inżynierów, którzy mieli się nami zaopiekować i ułatwić zwiedzanie. W biurze inżynier rozłożył dużą mapę górniczą i zaznajomił nas z planem kopalni, rozmieszczeniem węgla, poziomami kopalni i kierunkami korytarzy. Tutaj już zjechaliśmy windą na głębokość 460 metrów do głównego korytarza. Opuszczając się windą, odczuwam jakieś dziwne zakłócenie w oddychaniu, otacza nas nieprzenikniona ciemność i cisza, aż w uszach coś dzwoni. Winda miękko zatrzymuje się. Wychodzimy. Po ścianach z szumem spływa woda, czarna jak roztopiona smoła.

Przy szybie wzmożony ruch. Tu bowiem podjeżdżają małe pociągi, podziemne wagoniki po brzegi wypełnione „urobionym” węglem. Do opróżnionej przez nas windy robotnicy na pierwszy poziom klatki wtaczają trzy wagoniki, na drugi poziom również. Dyspozytor uderza dwa razy młotkiem

w zwieszającą się szynę kolejową. Na odgłos tych uderzeń winda z węglem unosi się do góry, a na to miejsce podstawiają inne wagoniki. Po chwili winda zatrzymuje się przy podłodze. Z klatki wytaczają puste wagoniki, odstawiają na bok. Wtaczają nową porcję węgla. Dwa uderzenia – winda do góry, i tak „w kółko Macieju”.

W tym głównym korytarzu ściany wymurowane z cegły i półokrągły strop są wybielone wapnem. Podłoga ułożona z grubych bali drewnianych, do których są przymocowane przewody energii elektrycznej, rura powietrzna, rury kanalizacyjne (wodociągowe).

Naraz gdzieś w dali słychać szum, widać dwa małe punkciki światła. Inżynier kazał zejść ze środka korytarza, stanąć pod ścianami. Z ciemnego korytarza z chrzęstem wyłania się elektryczna lokomotywa ciągnąca przeszło 30 wagoników z węglem do odstawienia do głównego szybu. Ten pociąg przypomni mi bajkę o smoku, który mieszkał w ciemnej grocie.

Po wyjściu z windy udaliśmy się do „depa”, gdzie reperują i robią wagoniki, oczyszczają lokomotywy. Następnie zwiedziliśmy stację pomp, segregator węgla, gdzie wywieziony z kopalni węgiel wysypują na rafy o różnych okach. Rafy te są poruszane przez maszynę. Na pierwszej rafie na górze zatrzymuje się gruby węgiel, na drugiej kostki większe, niżej na trzeciej grysik, a na końcu na czwartej rafie pył węglowy. Końce tych raf są skierowane w różne strony, gdzie są podstawione na dole wagony kolejowe, do których zsypuje się już posortowany węgiel gotowy do transportu do miejsca przeznaczenia.

Z pomostu na wieży wyciągowej rozpościera się rozległy widok na okolicę, na horyzoncie której spotykamy liczne kominy fabryczne, nad którymi wznoszą się pióropusze czarnego lub szarobrazowego dymu. Na szczycie wieży są umieszczone dwa duże koła kręcące się w przeciwnym kierunku. Na obwodach tych kół przerzucone są stalowe liny, za pomocą których wyciąga się z kopalni windą na powierzchnię „urobiony” węgiel. Tu panuje idealna czystość. Co kilka godzin posadzki są zmywane czystą wodą. Obok szybu znajduje się góra piasku, przywożonego samochodami z niedalekiej kopalni piasku, który służy za podsadzkę po urobionym i wywiezionym węglu. Piasek ten zsypuje się do otworu, zalewa wodą. Tą mieszaniną zapełnia się już nieczynne korytarze po węglu. Wodę usuwa się za pomocą pomp, a piasek zostaje. W ten sposób te komory się zapełniają i unika się zapadania ziemi. Takie zapełnianie pustych komór jest kosztowne, ale dla bezpieczeństwa konieczne. Podstemplowanie jest nietrwale, gdyż drewno w wilgoci szybko gnije. Wydatki na podsadzki piaskowe prędko się zamortyzują, bo można wybrać węgiel w 75%, a nie w 25%, gdyby zostawić grubą warstwę węgla i ziemi, aby się nie zawaliła komora. Taka podsadzka jest wieczna.

Po zwiedzeniu kopalni wróciliśmy do klubu. Dłuższy czas musieliśmy stracić na gruntowne umycie się w ciepłej wodzie z mydłem, aby pozbyć się kopalnianego brudu. O zmierzchu spożyliśmy smaczny i obfity obiad, który

był już i kolacją. Jedni mężczyźni siedli do stołu i grali w karty, inni w sali bilardowej grali w bilard. Ja, Gonerko, Zabłocki i Barszczewski wcześniej wstaliśmy od stołu, pożegnali się i wyszli do stacji Strzemieszyce.

## Do Częstochowy

W nocy na stacji mało było pasażerów. Łatwo znaleźliśmy miejsce siedzące w wagonie III klasy. Po kilku godzinach 5 lipca 1921 roku o godzinie 2 po północy wysiedliśmy z pociągu w Częstochowie. Ulokowawszy się wygodnie na długich ławach w poczekalni, drzemaliśmy oparci plecami o ścianę, a barkami o kolegów. Wczesnym rankiem zaczęli przybywać nowi pasażerowie, wzmógł się ruch. Posiliwszy się w stacyjnym bufecie herbatą z bułką, wyszliśmy na miasto, gdzie nas powitał mały, ale ciągły deszczyk. Z powodu wczesnej godziny na ulicy mały ruch, sklepy jeszcze zamknięte. Pytamy przechodzącą kobietę o kierunek drogi do słynnego w całej Polsce klasztoru oo. Paulinów. Na wzniesieniu na równinie widzimy klasztor i zabudowania. Plac jest otoczony dokoła wysokim murem, za którym widać wysokie i strome zbocze Jasnej Góry. Przychodzi mi na myśl obraz z *Potopu* – walka obronna twierdzy, gdzie rycerstwo polskie pod wodzą Stefana Czarnieckiego, zakonnicy z przeorem Kordeckim na czele i tłum mieszczan dzielnie z powodzeniem walczą ze Szwedami.

Deszcz wzmagą się na sile, więc pospiesznie weszliśmy do klasztoru. Niebawem rozpoczęło się nabożeństwo, po którym zwiedziliśmy wnętrze klasztoru z obrazem Matki Bożej Częstochowskiej. Po wykupieniu biletu za 5 marek polskich ruszyliśmy po stromych schodach na wysoką wieżę klasztorną. Po drodze mijaliśmy na górnych kondygnacjach liczne małe, średnie i duże dzwony, rozlokowane grupami w zależności od wysokości i harmonii tonów. Po drodze musiałem kilka razy po parę minut odpoczywać na spocznikach schodów. Zmęczyłem się bardzo tą wspinaczką na szczyt wieży. Ale nie żałowałem tego. Z wieży roztaczał się wspaniały widok na całe miasto. Szkoda tylko, że mżawka deszczowa skracala pole widzenia.

Na propozycję Gonerki, ja z Zabłockim we trzech udaliśmy się na wizytę do byłego nauczyciela Gonerki, obecnie księgarza w mieście. Przyjął nas bardzo gościnnie, częstując herbatą z ciastkami. Do stołu podawała siostra księgarza, Hania, sympatyczna brunetka. Po ukończeniu VII klasy gimnazjum była przez dwa lata niekwalifikowaną nauczycielką. Obecnie uczy się na wakacyjny kurs, po skończeniu którego obejmie posadę nauczycielki. Gospodarz oprowadził nas po swojej księgarni, zapoznając nas z nowymi wydaniem książek. Ze swojej pracy jest bardzo zadowolony. Pożegnawszy się z rodziną, udaliśmy się we trzech na zwiedzanie miasta, które wywarło na nas dodatnie wrażenie: czyste, ładnie urządzone wystawy sklepów, kilka kościołów i szkół średnich. Miasto ma charakter przemysłowy. Bardzo przypomina nasz Lublin.

Po przybyciu do Warszawy i skromnej kolacji w barze udaliśmy się we trzech na nocleg do Zabłockiego. Tu przespaliśmy we trzech na jednym łóżku. Po śniadaniu poszedłem na miasto, gdzie kupiłem sobie nową czapkę, kilka książek oraz nuty.

## **Za gapiostwo drogo się płaci**

Po skromnym obiedzie i wypiciu we trzech butelki pospolitego, taniego wina Zabłocki z Gonerką odprowadzili mnie na dworzec Kolei Wiedeńskiej. Wykupiwszy bilet, skierowałem swe kroki do pociągów stojących na torach. Przy każdym pociągu była tablica informująca o kierunku odjazdu każdego z poszczególnych pociągów. Mój pociąg był trzeci z brzegu. Obejrzałem się jeszcze w stronę moich kolegów, pomachałem im na pożegnanie ręką i ruszyłem przejściem między trzecim i czwartym pociągiem w stronę lokomotywy. W pociągach było mało pasażerów. Naraz pociąg zaczął ruszać. Nie namyślając się długo, wskoczyłem na stopnie wagonu, zadowolony, że nie musiałem długo czekać na odjazd.

Pociąg stopniowo przyspieszał biegu. Wszedłem do przedziału wagonu, zaintrygowany tym, że zamiast zwykłych ław były siedzenia obite zielonym pluszem. Przed otwartymi drzwiami przedziału, w korytarzu spotkała się Żydówka z konduktorem, pytając go, czy dobrze jedzie „do Puławy”. Konduktor pobłażliwie uśmiechnął się i powiedział, że ten pociąg jest pospieszny i jedzie w kierunku przeciwnym, na zachód. Usłyszawszy tę rozmowę, zbaraniałem. Włosy mi stanęły na głowie na myśl, że ja jestem taki sam „mądry” jak ta stara Żydówka i jadę w kierunku przeciwnym do zamierzonego. A pociąg jest w pełnym biegu. Co raz to mignie przed oknem jakaś mniejsza stacja, a nawet większa – w Grodzisku. Już nie siadam na tych wygodnych siedzeniach. Przemierzam nerwowymi krokami korytarz tam i z powrotem. Nie mogę sobie darować swego gapiostwa. Ściskam w lewej ręce pakunki, a prawą wymachuję do góry i na dół. Uderzyłem ręką w otwarte okno tak mocno, że masywny mankiet pękł mi na prawej ręce.

Zapytałem przechodzącego konduktora na której stacji pociąg przystanie. Otrzymałem odpowiedź: „W Skierniewicach za 15 minut”. Uspokoilem się. Teraz zastanawiałem się nad tym, co powie konduktor przy sprawdzaniu biletu, jak przejdę z peronu na stację z lubelskim biletem, jak wrócę do Warszawy, czy zdążę na pociąg zwyczajny do Lublina. Zazgrzytały hamulce, pociąg staje – Skierniewice. Na stacji wzmożony ruch, jedni pasażerowie wysiadają, inni wsiadają. Jedni wychodzą na peron, inni z peronu na stację z biletami w rękę.

Powoli wyszedłem z wagonu, przystanąłem na peronie, nie kwapiąc się do wyjścia na stację. Pociąg zaraz ruszył w dalszą drogę. Popatrzyłem dokoła, upatrując jakiegoś bocznego wyjścia na stację lub do miasta. Zauważyłem jakiegoś mężczyznę, który wysiadł z wagonu, ale do stacji nie spieszy, tylko

oddalił się od niej. W pewnej odległości, powoli, niedbałym, spokojnym krokiem podążam za nim, starając się nie spuścić go z oczu. Minąłem jakiegoś usmarowanego oliwą kolejarza, który obojętnie spojrział na mnie i poszedł w stronę dworca. Na zakręcie mój przewodnik gdzieś mi zginął, ale zauważyłem zaraz duży plac, a na nim ludzi zdążających w różnych kierunkach. Idzie jakaś kobieta z kilkuletnim chłopcem, a w drugiej ręce niesie walizkę. Okazało się, że ona właśnie idzie do domu ze stacji. Zmieszałem się z ludźmi i razem z nimi wszedłem do poczekalni. Kupiłem za 82 marki polskie bilet do Warszawy. Usiadłem na ławce i teraz swobodnie odetchnąłem. Wkrótce pospieszyłem do nadjeżdżającego pociągu. Mimo tłoku udało mi się znaleźć miejsce siedzące. Po upływie godziny byłem na dworcu Kolei Wiedeńskiej.

Mój pociąg do Lublina już odszedł, więc pieszo udałem się na Pragę na Dworzec Wschodni z myślą, że może prędzej stąd będzie można ruszyć dalej. Noc pogodna, przechodniów na chodnikach mało, czasem tylko przejedzie dorożka lub nocny tramwaj. Niestety ani na jedno, ani na drugie nie mogę sobie pozwolić, bo nieprzewidziane wydatki mocno uderzyły po mojej chudej kieszeni. Punktualnie o godzinie 12 minąłem plac Zamkowy, potem most i widzę Pragę, a dalej dworzec, gdzie panuje cisza, pustka. Pociągi poodjeżdżały, ludzi na stacji bardzo mało.

Z rozkładu jazdy dowiedziałem się, że będę miał pociąg dopiero o 9 rano. Zmęczony, spocony usiadłem w kącie na ławie, wyciągnąwszy nogi przed siebie. Jak dobrze jest odpoczywać po dużym wysiłku. Oczy zaczynają mi się kleić, kiwam się na ławie, drzemię. Nie wiadomo kiedy i jak wyciągnąłem się na ławie i oddałem całkowicie we władzę Morfeusza.

Rano obudził mnie ruch, głośnie rozmowy. Wykupiłem bilet za 246 marek polskich do Lublina. Znalazłem miejsce siedzące obok dwóch studentów, studentki i trzech żołnierzy. Młodzi współtowarzysze podróży wesoło sobie gawędzili, żartowali i w ten sposób skracali sobie czas podróży.

O godzinie 4 po południu wysiadłem z pociągu w moim Lublinie. Dowiedziałem się, że jest do odebrania deputat: kasza, mąka, cukier, ale nie mam w co zabrać oraz nie miałem środka lokomocji. Na targu przy ulicy Świętoduskiej natknąłem się na Rzedzickiego z Osin koło Trzcina. Z pewną obawą siadłem na jego wozie, gdyż gospodarz był pijany. Zapłaciłem 200 marek. Szczęśliwie po północy dostałem się do domu.

## Refleksje

Te forsowne marsze niekorzystnie odbiły się na moim zdrowiu. 10 lipca 1921 roku rano odczułem lekki ból w nodze, jakieś nieokreślone szmery. Noga się zaczerwieniła – otworzyła się rana po warszawskim szpitalnym leczeniu. Stało się to, czego najbardziej się obawiałem. W Urzędowie lekarz Papież zalecił spokój, leżenie, kompresy. Zastosowałem się. Rana się powiększała i materia



obficie się wydzielala. Odwiedził mnie kolega szkolny, dziś kleryk, Waluś Żyszkiewicz i Julek Gałkowski – były uczeń, potem w Dublinach w Galicji w szkole rolniczej, obecnie rezerwista po służbie wojskowej. Te odwiedziny z jednej strony sprawiły mi przyjemność, a z drugiej strony odczułem jakieś upokorzenie z powodu mojej choroby.

Zaczęły się już żniwa. Razem z Frozyną, Stefanem i Bolkiem udaliśmy się do Trzcinka. Na ziemi piaszczysto-gliniastej, jałowej i licho uprawionej żyto urosło małe, rzadkie – prędko dojrzało. Po dwóch dniach zostało zżęte, związane snopki ułożone w mendle wysychały na polu. Stefan z Frozyną wrócili do domu na swoje żniwa, a ja z Bolkiem zostaliśmy u mnie. Razem gotowaliśmy sobie pożywienie. Bolek sprowadzał produkty spożywcze z Chodla (4 kilometry) i resztę kupował w miejscowej spółdzielni. Udzielałem Bolkowi korepetycji z matematyki i języka polskiego. Przygotowywałem też Nikodema Chodyrę do egzaminu do I klasy Szkoły Handlowej im. Vetterów, Bzowskiego do I klasy szkoły im. St. Staszica i Rzedzickiego z Książa, kuzyna Wilkowej, do I klasy szkoły powszechnej w Chodlu.

Pogoda dopisała, żyto prędko wyschło. Teraz wyłoniła się sprawa, gdzie to żyto złożyć. Z Wilkiem doszedłem do porozumienia. Zgodził się, ale niechętnie, przyjmując żyto do zapola w swojej stodole z warunkiem, że będzie prędko wymłócone, gdyż miejsce w zapolu będzie mu potrzebne do ułożenia owsa. Syn Wilka, Wacek, z kuzynem swoim Ptasińskim, korzystając ze złej pogody wymłócili żyto w dwa dni. W pierwszym dniu młocki zajrzałem do stodoły w godzinach południowych i zobaczyłem malutką kupkę żyta. Chłopcy pospieszyli z wyjaśnieniem, że żyto jest nedorodne, ziarna chude, mało ich w kłosach. Bez tych wyjaśnień wiedziałem, że tak jest, ale nie pozbyłem się podejrzenia, że moi młodzi robotnicy już sobie sami częściowo zapłacili za pracę żytem, bez mojej wiedzy.

Wymłóconego żyta nie mogłem zaraz z boiska zabrać z powodu braku worków. Wilkowa doradziła mi wynieść zboże na strych nad moim pokoikiem i rozłożyć cienką warstwą do wyschnięcia. Tak zrobiłem. Wymierzyliśmy żyto ćwiercią i ulokowaliśmy na strychu. Cały zbiór żyta stanowił 12 ćwierci, co się w przybliżeniu równało ilości wysianego ziarna. Na wiosnę Adamczyk odwiózł ten zbiór do stacji kolejowej w Niedrzwicy. Do worków zsypywaliśmy żyto, mierząc tą samą ćwiercią. Naliczyliśmy tego zboża okrągłe 10 ćwierci. Wilkowa pospieszyła z wyjaśnieniem, że zboże na strychu wyschło, dlatego jego objętość zmniejszyła się o 2 ćwierci. Nie chciałem nad tym dyskutować w obawie zaostżenia z Wilkami stosunków dobrosąsiedzkich. Słomę i plewy zabrał Wilk, mówiąc, że te rzeczy nie są mi potrzebne, a jemu w gospodarstwie się przydadzą. I to prawda... ale za okazywaną mi pomoc materialną w pierwszych tygodniach to sami sobie dobrze zapłacili.

Prezes Dozoru pożyczył mi ćwiartkę pięknego jęczmienia na zasiew. Po wymłóceniu nasienie się tylko zwróciło. Jęczmień ten był tego rodzaju, że ekonom we dworze w Ratoszynie kazał furmanowi wysypać „ten poślad”



na oddzielną kupkę, aby nie zanieczyścić dworskiego pięknego łączmienia. Po sprzedaży żyta, oddaniu łączmienia okazało się, że wydatki były większe od dochodu. Doszedłem do wniosku, że prowadzenie gospodarstwa rolnego w takich warunkach nie ma najmniejszego sensu.

W jesieni wydzierżawiłem całe pole czterem gospodarzom: Jurakowi, Wilkowi, Franciszkowi Ptasieńskiemu i Stanisławowi Wójcikowi za opłatę ziarnem na 3 lata. Obiecałem sobie, że przyszłe wakacje będę miał spokojne.

Z powodu chorej nogi dużo czasu przebywam w domu. Łudzę się jeszcze, że noga mi się wyleczy. Poprawy nie ma, to wpływa na mnie przygnębiająco. Za kilka dni rozpocznie się nauka w szkole. Po nabożeństwie w kościele zaczyna się nowa harówka w szkole w roku 1921/1922. Duży mam kłopot z zaopatrzeniem dzieci w podręczniki. W porozumieniu z kolegami w Chodlu i w Osinach udało mi się zdobyć żadaną liczbę używanych podręczników. W miejscowym sklepiku złożyłem zapotrzebowanie na pomoce naukowe.

Mogę teraz więcej czasu poświęcić sprawom szkolnym, gdyż Bolek został u mnie i prowadzimy wspólnie „gospodarstwo”. W dalszym ciągu prowadzę pracę w Kole Młodzieży Wiejskiej; od czasu do czasu urządzamy zebrania, odczyty, wspólne czytanie książek. Młodzież bierze czynny udział w przygotowaniach do obchodu rocznic powstania itd. Na konferencjach spotykam się z gronem nauczycielskim gminy, a najchętniej z koleżanką Staszycówną. Są takie okresy, że nie mogę się doczekać niedzieli, spotkania z Janusią. Jestem zazdrosny. Nie mogę patrzeć, jak Kołodziej nachalnie stara się pozyskać jej względy. Pewnego dnia stanął we drzwiach korytarza i zagroził jej drogę do wyjścia na ganek. Ona zwróciła się do mnie: „Kolego Trzciniac pomóżcie mi uwolnić się od prześladowań kolegi Łopiennika”. To mi pochlebiali, że u mnie szuka oparcia, ale przecież nie mogłem go siłą za kołnierza usunąć z przejścia. Udałem, że chcę wyjść do korytarza. Dał mi drogę, a ona wykorzystała ten moment i wymknęła się z pułapki. Na ganku znów żartowali sobie. To było dla mnie zagadką. Wcale nie dziwiłem się, że Jaśka unika Kołodzieja, tego cherlaka, chudziaka, z twarzą oszpeconą przez ospę. Był on nauczycielem bez kwalifikacji. Prowadząc życie motyla, zignorował doksztalcanie na kursach wakacyjnych. Termin składania egzaminów minął i nastąpiła przykra chwila pożegnania się z zawodem nauczyciela – zwolnienie. Próbował zjednać sobie matkę Jasi przez anonimowy podarunek pięknej kropielniczki z masy perłowej. I to nie pomogło. Moja pozycja wzmocniona.

Z każdym dniem moje uczucia przyjaźni, sympatii, a może i miłości potęgują się. Obserwując życie młodych małżeństw oraz analizując ich wzajemne stosunki, wywnioskowałem, że do obopólnego ich szczęścia należy brać pod uwagę, prócz miłości, jeszcze znajomość przeszłości z każdej strony oraz warunki materialne. Luźne kontakty i pobieżne obserwacje dostarczyły trochę materiału do poznania naszych charakterów.

Pewnej kwietniowej niedzieli złożyłem Jance wizytę. Zastałem ją samą w mieszkaniu w domu Roli. Po powrocie z kościoła z rannego nabożeństwa

siedziała na krześle i w miednicy z ciepłą wodą moczyła nogi, które ją bolały po ściśle dopasowanych nowych pantoflach. Na mój widok trochę speszyła się, przerwała moczenie i wyjaśniła przyczynę tej czynności, poprawiając jednocześnie dużą czarną kokardę przy włosach nad prawym uchem. Teraz dokładniej zauważyłem pod żuchwą na szyi długą bliznę. Bez namysłu żartobliwie powiedziałem, że koleżanka widocznie była ranna na wojnie. Na moje odezwanie się łzy pojawiły się w jej oczach. Powiedziała, że będąc małą dziewczynką przechodziła operację i leczenie w lecznicy doktora Majewskiego na Krakowskim Przedmieściu. Dowiedziałem się również, że jej brat Leon, aptekarz, po przeziębieniu się w kąpeli zachorował na gruźlicę. Leczył się w Świdniku, ale po kilkunastu miesiącach umarł. Nieco później umarł na gruźlicę drugi brat, Feliks. W roku 1916 w czasie wojennej epidemii na tyfus plamisty umarł ojciec, Andrzej. W dzieciństwie straciła kilkuletnią siostrzyczkę. Te zgony odbiły się ujemnie na jej zdrowiu i wywarły pewien wpływ na charakter.

W końcu kwietnia udałem się prywatnie do lekarza z moją nieszczęśliwą nogą. Lekarz pocieszył mnie, że to jest zwykła przetoka, noga się wyleczy, ale terminu bliżej nie mógł podać. Przy okazji wspomniałem, że bardzo mi zależy na czasie, gdyż mam zamiar się ożenić. Zapytałem również, co mogło być przyczyną choroby mojej sympatii. Lekarz uważnie wysłuchał i powiedział, że przyczyną choroby szyi była również gruźlica. Całe szczęście, że choroba uzewnętrzniła się na szyi, a nie na płucach. Po przeprowadzeniu operacji bakterie z ropą zostały usunięte i obecnie płucom nic nie grozi.

Praca zawodowa, konferencje i coniedzielne wizyty przyczyniły się do bliższego poznania naszych cech charakteru oraz przeżyć w dzieciństwie i szkole. Jasia w ciekawy sposób opisała wyjazd z Lublina na pierwszą posadę nauczycielską do Chodła.

W ostatnim dniu sierpnia prezes Dozoru posłał z Ratoszyna drabiniasty wóz celem zabrania osobistych rzeczy trzech Jasiów: Staszycówny, Klepcarzówny i Lipowcówny. Najwięcej rzeczy miała Staszycówna (komplet umeblowania i naczyń kuchennych oraz książki). W pośpiechu zapomniała zabrać pełnego worka książek. W Chodlu przypomniała sobie, że worek ten zostawiła na podwórzu pod płotem przy ulicy Bonifraterskiej 16 (dzisiaj ulica Biernackiego). W następnym dniu, korzystając z okazji wyjazdu furmanki z Chodła do Lublina po towar do sklepu, pojechała do miasta. Pierwsze kroki skierowała do mieszkania swego brata Karola, który pracował w fabryce wag Hessego (Czechy). W małym, jednopokojowym mieszkaniu (przed wyjazdem mieszkało pięć osób) stał w kącie zostawiony, a potem sprzątnięty przez Leokadię, worek. Wracając w nocy do Chodła na meblach, paczkach z towarem do sklepu, Jaśka strasznie zmarzła.

Zaintrygowany tym opowiadaniem, wyraziłem zdziwienie, że w tak małym pokoju, który był również kuchnią, mogli mieszkać: Karol, Leokadia (jego żona, oboje głuchoniemi), ich syn Tadzio oraz Jasia z matką. Koleżanka



**Nauczycielki szkoły w Chodlu: Janina Staszycówna (z lewej) i Joanna Lipowcówna.**  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

zaraz pospieszyła z wyjaśnieniem, że tak mieszkała krótko. Ojciec jej opuścił dom rodzinny na Tatarach\* (wieś) i wyjechał do Warszawy, gdzie otrzymał pracę w małym zakładzie ślusarskim. Po zawarciu małżeństwa z Marianną z Muszyńskich powrócił do Lublina z synem Karolem, żoną i rodzicami żony. Zamieszkali na Tatarach u ojca Staszycy, gdzie później urodziła się Jasia. Ojciec Janiny Staszyc sprzedał swoją ziemię spadkową swemu bratu Ludwikowi, a za uzyskane pieniądze kupił na Zadębciu 5 mórg ziemi. Pobudował mały dom i osiedlił się z rodziną na tej kolonii. Na prośbę swego teścia, kowala, Muszyńskiego wybudował również kuźnię. Większość prac polowych wykonywała matka, gdyż ojciec Andrzej, bracia Leon, Feliks i Karol pracowali w fabryce wag na ulicy Lubartowskiej (w późniejszym czasie pracował też brat Marian).

Nastaly niespokojne czasy: wojna rosyjsko-japońska, rewolucja 1905 roku, strajki, napady. Ojciec Andrzej sprzedał gospodarstwo na Zadębciu i sprowadził się do Lublina. Zamieszkał z rodziną u Barszczewskiego na Czwartku. Po śmierci dwóch synów przeprowadzili się do nowo wybudowanego spółkowego domu (oficyna) na rogu ulic Lubartowskiej i Unickiej. Trzypiętrowy dom wspólnie wybudowali: Staszyc, Ruszniak, Bęczyński i Hakiel przy finansowym poparciu właściciela fabryki Hessa. Po śmierci ojca Andrzeja, ślubie

\* Później dzielnica Lublina – przyp. red.

Karola, po wyjeździe Mariana po odbyciu służby wojskowej do Warszawy mieszkanie to zlikwidowali, a wynajęli drugie przy ulicy Bonifraterskiej, o którym była mowa powyżej.

## **Zimny prysznic**

Długo analizowałem swój stosunek do Jasi, biorąc pod uwagę uczucia, podobną przeszłość, która nam nie oszczędziła przykrych przeżyć, podobne przygotowanie do zawodu, a obecnie taka sama praca, podobne, choć nie identyczne, pochodzenie społeczne, podobne poglądy polityczne, zbliżone środki materialne. Dużą przeszkodą do harmonijnego małżeństwa była moja chora noga. Pocieszałem się zapewnieniem doktora Modrzewskiego o zagojeniu się rany; postanowiłem szczerze zabrać się do intensywnego leczenia. Wspomnę, że prezes Dozoru był przychylnie ustosunkowany do naszego przyszłego małżeństwa. Wśród grona nauczycielskiego i społeczeństwa, a także dzieci, cieszyliśmy się oboje uznaniem i sympatią. Jedną tylko pani Dąbska – żona miejscowego aptekarza, nie radziła Jasi małżeństwa ze mną. Rodzina w Urzędowie akceptowała moje zamierzenie.

Mało miałem okazji do poufałego zbliżenia się i rozmowy na temat małżeństwa. W domu była zawsze z matką, w szkole, na spacerze – z koleżankami. Ale chyba, mówiąc otwarcie, decydował brak mego wyrobienia towarzyskiego i cywilnej odwagi.

16 maja 1922 roku, we wtorek, wysłałem list z wyznaniem miłości i propozycją zawarcia małżeństwa. Po kilku dniach otrzymałem odpowiedź odmowną. To negatywne ustosunkowanie się wprowadziło mnie w osłupienie. Takiego obrotu sprawy nie oczekiwałem, że tak szybko i zdecydowanie otrzymam „kosza”. To godziło w mój honor... Po kilku dniach nastąpiła refleksja. Małżeństwo to związek dwojga wolnych ludzi na okres całego życia. Każdej ze stron przysługuje prawo zgodzić się na propozycję albo ją odrzucić bez podawania wyjaśnień przyczyny odmowy. Odczułem żal, ale ani na chwilę nie myślałem o jakiegokolwiek zemście. Zerwałem stosunki z Jaśką, unikamy się nawzajem, ale na ulicy się kłaniam. Wkrótce wszyscy już wiedzieli o fiasku naszego małżeństwa. Kierownik szkoły w Ratoszynie, Pyzik, zapytał się mnie, czy nie będzie mi przeszkadzało, że zaczniesz się starać o rękę Jasi. Tu chodziło o to, aby ode mnie autorytatywnie dowiedzieć się o naszym zerwaniu.

27 czerwca 1922 roku odbyło się zakończenie roku szkolnego w Trzcińcu. Z powodu ulewnego deszczu nikt z koleżeństwa na tę uroczystość nie przybył. Nawet prezes Dozoru nie przyjechał. Przybyły tylko matki dzieci, nie zapominając o upominku dla mnie. Następnego dnia było zakończenie roku szkolnego w Chodlu. Ksiądz Machoń proponuje urządzić wspólną herbatkę. Z braku orkiestry urządziliśmy „kocią muzykę” z gwałtownym biciem w kocioł, który pozostał po dawnym przedstawieniu. Z „popijachy”

u Morawskiego, organisty, przybyli prezes Dozoru, Morawski, Pyzik, potem dołączyli się Wojtarowiczowie (kierownik szkoły w Chodlu), koleżanki, wójt i sekretarz Krzeszowski z żoną i jeszcze kilkoro młodzieży z miejscowej inteligencji. Zabawa trwała do godziny 5 rano. Po doprowadzeniu się do porządku gremialnie udaliśmy się do księdza proboszcza Ozimińskiego celem złożenia mu życzeń imieninowych. Na tym nie koniec. Otrzymaliśmy zaproszenie na przyjęcie do Brzozowskich na Stawkach koło Chodla, a drugie do Bogusławskich w Chodlu. Na tych przyjęciach zeszła nam cała niedziela.

## **Wyprawa do Baranowicz, 4 lipca 1922 roku**

Kierownik szkoły w Chodlu Maksymilian Wojtarowicz, spełniając prośbę swojej żony Anny – siostry inspektora w Baranowiczach, Gulbina, agitował nauczycieli chodelskich do przeniesienia się na Kresy Wschodnie celem uzupełnienia etatów nauczycielskich. Koleżanki z miejsca oświadczyły, że nie mają zamiaru zmieniać posady. Ja z Różyckim połowicznie zgodziłem się na wyjazd z Wojtarowiczami pod warunkiem, że sami zdecydujemy się na wybór miejsca i warunków szkolnych.

Ułożyliśmy plan podróży. Po noclegu u mnie udaliśmy się z Różyckim do Borowa, skąd furmanką ruszyliśmy do Niedrzwicy. W Lublinie w kasie nie chcieli czy nie mogli nam sprzedać biletów wprost do Baranowicz; kasjer proponował kupno biletów do Brześcia Litewskiego, na co my nie mogliśmy się zgodzić. Wzięliśmy bilety tylko do Świdnika, gdzie mieliśmy się spotkać z Wojtarowiczami, którzy przebywali tam kilka dni u siostry miłosierdzia – rodzonej siostry Wojtarowiczowej. Kierownik z żoną wsiedli do tego samego przedziału. Różycki pobiegł na stację kupić dla mnie i dla siebie bilety. Niestety nie mógł tego uczynić z powodu krótkiego czasu postoju pociągu. Powtórzył ten zabieg na następnej stacji, ale znowu bez skutku. Dopiero na stacji w Jaszczowie wykupił dla mnie i dla siebie bilety do Baranowicz. Konduktor zażądał zapłaty czterokrotnie wyższej od normalnej za przejechany odcinek drogi. Po dłuższym targu i dyskusji odstąpił od egzekwowania pieniędzy. Niechętnie odszedł z pustymi rękoma.

W Chełmie zmuszeni byliśmy czekać kilka godzin na przesiadkę do innego wagonu. Czas ten zużytkowaliśmy na poznanie powiatowego miasta, które jest zbudowane na pokładach kredowych. Zwiedzanie trwało około dwóch godzin. Miasto Chełm w owym czasie przypominało swym wyglądem starą, brudną, żydowską miścinę. Na stacji spotkaliśmy lubelskich inspektorów: Sowińskiego i Podgórskiego.

W Brześciu mieliśmy czekać na następny pociąg całą noc. Kasjer doradził nam, że za dopłatą moglibyśmy pociągiem pospiesznym pojechać za cztery godziny do Baranowicz. Różycki, wzięwszy moją legitymację i bilet, dołączył do tego swoje, udał się do kasy i tam załatwił sprawę dalszej podróży. Na jednej



z większych stacji poszliśmy do bufetu napić się herbaty. Różycki kupował jeszcze kanapkę z szynką, a ja stanąłem przy drzwiach wyjściowych na peron i obserwowałem czy pociąg nie rusza. Naraz rozległ się gwizd lokomotywy i pociąg natychmiast ruszył. Zdążyłem tylko krzyknąć: „Odchodzi” i w biegu wskoczyłem na schodki wagonu. Gdy Różycki wyskoczył na peron, ostatni wagon mignął mu przed oczami. Pobiegł w stronę oddalającego się wagonu, ale to było ponad jego siły. Z pakunczkiem w ręku, bez czapki, ale z moją legitymacją i biletami w kieszeni bezradnie pozostał na stacji.

Poinformowaliśmy konduktora, a ten kierownika pociągu. Oberkonduktor, wysłuchawszy naszych wyjaśnień, zażądał okazania jakiegoś dowodu, że pasażer z biletami został na stacji. Jednym i jedynym dowodem była pozostawiona przez Różyckiego czapka. To wyjaśnienie nie przekonało go. Z bólem serca musieliśmy wybulić 900 marek polskich na kupno biletu do Baranowicz.

Z wielkim trudem dowlokłem się z Wojtarowiczami do Gulbina, który przyjął nas z otwartymi ramionami. Zaraz poszliśmy do siedmioklasowej szkoły, gdzie był przeprowadzany remont. Inspektor bardzo mnie zachęcał do objęcia kierownictwa tej szkoły. Następnego dnia rano, 5 lipca, po przyjeździe Różyckiego bryczką zaprzęgniętą w dwa konie, we trzech wyruszyliśmy na teren powiatu, obejrzeć inne szkoły. Jednego z nas koniecznie chciał osadzić w parafialnej wsi Wolna. Szkoła mieści się w trzech budynkach: dwa znajdują się blisko jeden drugiego, a trzeci jest na końcu wsi. W pierwszych dwóch mieści się szkoła pocerkiwna. Furman wyprzągnął konie, a inspektor posłał chłopą po sołtysa i przyniesienie mleka na obiad. Większa sala szkolna była przepierzona kurtyną. W czasie wakacji felczer, kuzyn popa, przyjmuje chorych. Weszliśmy do drugiej, wolnej, części izby zawalonej ławkami wyniesionymi z pierwszej części.

Wkrótce nadszedł pop. Zaczęła się interesująca rozmowa. Inspektor wyraził swoje niezadowolenie z powodu przyjmowania chorych bez wiedzy władz szkolnych. Rozmówcy prowadzili dyskusję w dwóch językach. Pop mówił tylko po rosyjsku (być może znał polski), a inspektor po polsku w języku urzędowym (prawdopodobnie rosyjskiego nie znał, bo pochodził z Małopolski). Pop obstawał przy swoim, że to jest szkoła pocerkiwna, zbudowana za środki finansowe złożone przez miejscowe społeczeństwo, a zatem miał prawo dysponowania salą, a Gulbin dowodził, że wszystkie szkoły są podległe MWRIOP - władzom oświatowym, w tym wypadku Inspektoratowi, który jest upoważniony do dysponowania majątkiem szkolnym. Pop, chcąc przerwać nieprzyjemną dyskusję, powiedział, że narodzi się z sołtysiem. Inspektor obraził się i kazał popu opuścić salę, a kobiety stojącej obok z dzbankiem zapytał, czy przyniosła mleko. Wtedy pop z uniżoną grzecznością zaczął nas zapraszać do siebie na mleko i herbatę. Inspektor po dłuższym wahaniu udał się z nami do prywatnego mieszkania popa. Ten zapoznał nas ze swoją rodziną. Nadmienił, że jego najstarsza córka pojechała do Krakowa na sześciotygodniowy kurs dla nauczycieli niekwalifikowanych. W pokoju jadalnym ze



stołu jeszcze nie sprzątnięto zastawy stołowej i resztek jedzenia i picia. Pop postawił na pospiesznie uprzątniętym stole butelkę wódki, kieliszki, rybę pieczoną w piecu chlebowym i nakrycia. Inspektor odmówił picia wódki, ale my we dwóch wychyliliśmy sobie po dwie miarki. Na zakończenie popiliśmy przegotowanym mlekiem i ruszyliśmy w powrotną drogę do Baranowicz.

Po drodze widzieliśmy za cerkwią kilku kosiarzy i kobiety pracujące na łące popa. Na posadę w Wolnej żaden z nas nie wyraził zgody. Można by sobie wyobrazić, jakbyśmy się czuli w tym obcym żywiole, z dala od domu. Ja prędzej bym sobie radził, bo dobrze władałem w mowie i piśmie językiem rosyjskim, lepiej znałem psychikę człowieka rosyjskiego, ale Różycki nie wiem jak by się czuł, nie znając języka miejscowej ludności i dzieci.

Na posadę w Baranowiczach zgodziliśmy się obaj. Inspektor prosił tylko telegraficznie powiadomić go dokładnie o dacie przyjazdu, aby mógł zorganizować podwozy do przewiezienia naszych rzeczy. Nie doczekał się. Gdy w domu powiedziałem o tym, wszyscy z oburzeniem mówili: „Znowu do Rosji? Dawno wrócił?”. W parę tygodni listem poleconym zawiadomiłem, że posady nie przyjmuję.

### **Ślub siostry, 15 lipca 1922 roku**

Eufrozyna, młodsza ode mnie o dwa lata, była blondynką, energiczną, roztropną panną. Po ukończeniu trzech oddziałów w szkole ludowej na Bęczynie zmusiła ojca i macochę do zgody na uczęszczanie na naukę do miejscowej krawcowej – Gajewskiej. Krawcowa ta prócz pracy krawieckiej uczyła swoje uczennice jeszcze haftu kolorowego. Po dwuzimowej nauce zaprzestała pobierać naukę. Miała kilku starających się kawalerów, którzy składali jej wizytę w dłuższych odstępach czasu. Trafiali bowiem na energiczny protest Władysława Wyróstka z podlesia bęczyńskiego. A walka była oryginalna. W chwili rozmowy siostry z kawalerem wieczorową porą Wyróstek z umówionymi chłopcami „uzbrojonymi” w popękane garnki (odpady garncarskie) zbliżał się pod podcienie z krzykiem i rzucaniem garnkami o płot. Prerażony konkurent rzucał się przez płoty, ogrody i łąkę do ucieczki w obawie przed uderzeniem garnkiem. Chłopcy rzucali nadal garnkami tak, aby uciekającego nie uderzyć w głowę, a tylko go nastraszyć. W ten sposób Wyróstek pozbywał się konkurentów. Siostra negatywnie ustosunkowała się do tej metody walki. Na małżeństwo zgodziła się nie z miłości, a z pobudek materialnych. Władek miał brata Antoniego w Ameryce, który był ubezpieczony na wypadek choroby, kalectwa czy utraty życia. Tak się złożyło, że ten brat umarł. Instytucja, w której był ubezpieczony, przez polski konsulat zawiadomiła członków rodziny, że mogą pobrać, po odpowiednim udokumentowaniu, ubezpieczenie. Po załatwieniu formalności Władek i jego siostra otrzymali pokaźne sumy dolarów.

Władek był bardzo zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Wiedział z praktycznego życia w USA, gdzie przebywał parę lat, jak trudno mu było coś zaoszczędzić i przywieźć do domu. Pieniądze te wytrąciły go z normalnego poprzedniego toru życia – zaczął pić w żydowskich szynkach do utraty przytomności. Powiedział matce, a ta dalej, że przestanie pić po ślubie z Frozyną. Zaczęła się wzmożona agitacja, której uległa moja siostra i 15 lipca 1922 roku odbył się ślub mimo moich protestów. Siostra teraz prosiła mnie, abym pomógł jej w czasie wesela. Byłem drużbą, asystowałem podczas ślubu w kościele, a w domu pomagałem w organizowaniu przyjęcia i przyjmowaniu gości. Na tym weselu była jeszcze ostatnia siostra mojego dziadka, Cieślicka, którą musiałem specjalnie się zająć. Pierwszy raz w życiu upiłem się, co mi nie przeszkadzało tańczyć z dziewczuchami pomimo mojej chorej nogi.

Siostra zajęła się energicznie mężem i jego kapitałem, za który kupili sobie z parcelacji 18 mórg ziemi w Terpentynie, gmina Dzierzkowice.

## Niespokojne wakacje

Nie mogę usiedzieć na miejscu. Różne wydarzenia zmuszają mnie do ciągłego kręcenia się.

Po ślubie siostry w niedzielę na rynku w Urzędowie odbył się wiec z okazji 500 rocznicy zwycięstwa nad Krzyżakami pod Grunwaldem i przyłączenia Górnego Śląska do Polski. Do licznie zgromadzonej publiczności przemawiał nauczyciel gimnazjalny Olechniewicz i wójt, działacz społeczny w Urzędowie, Aleksander Goliński (ojciec późniejszego biskupa w Częstochowie Zdzisława Golińskiego). Na zakończenie głośno, zgodnie zaśpiewaliśmy *Rotę Konopnickiej*: „Nie rzucim ziemi...”, po czym ruszył pochód dokoła rynku.

Po dwóch dniach jestem w Chodlu celem odebrania listów od Staszycówny. W domu zastałem tylko matkę, która wyraziła żal, że tak się potoczyła sprawa z moimi oświadczeniami. Zdziwiła się, że w czasie poprzedniej bytności nic nie mówiłem o swoim zamiarze ani jej, ani córce. W tym momencie nadeszła Janina; po dłuższym poszukiwaniu zebrała wszystkie listy i wręczyła mi całą paczkę. Jeszcze raz przeprosiła za zawód, zapewniając o swojej życzliwości względem mnie. Zrobiłem odpis jej odpowiedzi. Listy wrzuciłem do pieca, a odpowiedź spaliłem na środku pokoju ze śpiewem: „Nie będziesz ty, to będzie inna, bardziej uczynna niżeli ty”. Słowa i melodia ledwo mi przez gardło przeszły ze wzruszenia.

## Pogrzeby

6 sierpnia 1922 roku wieczorem Bolek przyniósł z Urzędowa wiadomość o śmierci i dacie pogrzebu mego szkolnego kolegi ze Szkoły Jagiellońskiej,

Walka Żyszkiewicza. Przyczyna? Był zaproszony na wesele swojej bliskiej kuzynki. Dzień był parny, gorący. Po uczcie weselnej chętnie napił się zimnego piwa. Pod jabłonią w sadzie rozłożyli mu w cieniu koc, na którym wygodnie się ułożył i zasnął snem sprawiedliwego, tak jak to się u nich praktykowało w seminarium duchownym. Przed wieczorem obudził go duży ból głowy. Na drugi dzień rozchorował się na dobre. Po kilku dniach lekarz stwierdził tyfus brzuszny. Choroba robiła wielkie postępy i w dużych cierpieniach zakończył życie. Był już subdiakonem w Seminarium Duchownym w Lublinie.

8 sierpnia wyruszyłem furmanką ze Stefanem i Bolkiem do Urzędowa. Furman podwiózł nas do przedmieścia Mikuszewskiego. Kawałeczek drogi odbyliśmy pieszo. Stefan z Bolkiem udali się na Bęczyn, a ja zająłem miejsce w ławkach w kościele. Po pewnym czasie zaczęły się egzekwie, które odprawiał ksiądz z Lublina i 14 kleryków. Ta ceremonia wywarła na mnie duże wrażenie. Ten Waluś pełen życia i niespożytej energii leży spokojnie w trumnie na katafalku, na nic nie reaguje, nic go nie obchodzi płacz siostry Anastazji i brata Ignacego.

Porównałem jego życie z moim. On nie zaznał biedy, a ja kilkakrotnie byłem na skraju życia i śmierci, a jednak jeszcze żyję. Liczny kondukt ruszył przez rynek, ulicę Wodną na cmentarz parafialny. W pogrzebie wzięło udział bardzo dużo ludzi. Egzortę wygłosił ksiądz z Lublina i kleryk, kolega seminaryjny. Słuchając, zakręciły mi się łzy.

\*

Dziwny zbieg okoliczności. Następnego dnia rozniosła się wieść o śmierci drugiego kleryka z Bęczyna, K. Turkowskiego. Z polecenia regensa seminarium musiał udać się do Warszawy celem przeprowadzenia kuracji nosa i organów mowy (jąkał się). Brat K. z kolegą udali się do Warszawy celem dostarczenia choremu pieniędzy. W szpitalu w separacie zastali drzwi zamknięte na klucz od wewnętrznej strony. Na pukanie do drzwi nikt się nie odezwał. W porozumieniu z siostrą miłosierdzia ślusarz otworzył drzwi. Zastali kleryka w łóżku martwego z okrwawioną twarzą. Cała separotka była wypełniona gazem świetlnym. Po obejrzeniu rur zauważyli, że przed snem chory nie zamknął gazu. Na miejsce wypadku przyjechał ojciec (głuchy) w towarzystwie sąsiada. Zgłosili chęć zabrania ciała i pochowania go na cmentarzu parafialnym w Urzędowie. Złożyli w Dyrekcji Kolei zadatek 4000 marek na opłatę wagonu. Dyrekcja zastrzegła, że zlecenie wykona po uzyskaniu zgody Ministerstwa Kolei. Tu otrzymali odpowiedź, że trupów kolei przewozić nie wolno. Skierowano ojca do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które zgodziło się przewieźć ciało za opłatą 700 marek polskich od 1 kilometra drogi. Samochód zaraz podjechał, ale musiał czekać pół godziny na załatwienie formalności lekarskich, za co musieli zapłacić 80 000 marek. Za samo przywiezienie ciała do Wilkołaza (najbliższa stacja kolejowa od Urzędowa) Turkowski zapłacił 330 000 marek, a za metalową trumnę 90 000 marek.

Pogrzeb odbył się 14 sierpnia w Urzędowie. Na miejsce wiecznego odpoczynku kleryka odprowadziły tłumy mieszkańców, w tym bardzo dużo młodzieży. Między innymi udział wzięli Stanisław Cieślik, kleryk seminarium, mój najbliższy i najdroższy kolega, były nauczyciel w Trzcińcu, ze swoją siostrą Joasią i jej koleżanką Sylwina Kuśmiderską, nauczycielką w Dzierzkowicach. Całą tę trójkę odprowadziłem aż do Dzierzkowic – 6 kilometrów drogi. Przez całą drogę rozmawialiśmy na temat tych dwóch niezwykłych pogrzebów. Późnym wieczorem strasznie zmęczony wróciłem do rodzinnego domu.

## Początek trzeciego roku nauki 1922/1923

4 września udałem się do Lublina na zjazd kierowników szkół. Kolega Stadnicki z Chodla postarał się o furmankę przy użyciu fortelu. Chłopu powiedział, że ma odwieźć do stacji inspektora szkolnego i starostę. Tym inspektorem był Pyzik (kierownik z Ratoszyna), ja miałem być jego sekretarzem, a Bossy (kierownik szkoły z Radlina) – starostą. Przy wsiadaniu na wóz Stadnicki z unizonym ukłonem zwraca się do Pyzika: „Panie inspektorze proszę siadać o tu, tu będzie wygodniej”. Do Bossego: „Pan starosta będzie łaskaw usiąść obok pana inspektora”. Pyzik do mnie: „Panie sekretarzu, czy pan wszystkie dokumenty włożył do teczki? Proszę siadać, bo się spóźnimy na pociąg”. Usadowiwszy „dygnitarzy”, sam siadł obok mnie ze słowami: „Gotowe, możemy ruszać”. Konie dziarsko ruszyły naprzód. W czasie podróży jakiś czas tytułowaliśmy się, ale po odbyciu kilku kilometrów drogi zaczął Bossy śpiewać batiarskie piosenki, Pyzik opowiadał różne śmieszne kawały i anegdoty. Wszyscy zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Godzina 5. Przejeżdżamy przez wieś. Jakaś babuleńka stanęła koło płotu i obserwuje jakichś „wariatów”. Pyzik odzywa się: „Dzień dobry panienko! Niech panienka siada na wóz, będzie nam weselej”. Psy szczekają, baby wyglądają oknem i dziwią się, dokąd diabli niosą tych „chuliganów”. Przy końcu wsi urządziliśmy kocią muzykę.

W Lublinie w szkole na Czwartku inspektor zapoznał nas z nowymi programami, instrukcjami. Jednym słowem „podbudował nas” i życzył dobrych wyników w pracy.

## Szkoła bez izby szkolnej

Zbliżał się dzień rozpoczęcia nauki. 5 września Wilkowa oznajmiła mi, że izba szkolna jest jeszcze na parę dni zajęta przez jej rodzinę. Stoją tam jeszcze łóżka, na których spały dzieci, „Wilczęta”, w czasie wakacji. Izba będzie wolna i dostanę od niej klucz wtedy, gdy wójt z prezesem zapłacą za lokal z góry (zabezpieczenie od dewaluacji pieniądza). Dzieci zebrały się przed szkołą, skąd udaliśmy się do kościoła na nabożeństwo przed roz-

poczęciem nauki. Po nabożeństwie dzieci same wróciły do swoich domów, a ja zgłosiłem się do wójta, zawiadamiając go o zajęciu klasy przez Wilka. Wójt polecił mi nie zwracać uwagi na protesty i zacząć normalną naukę. Po powrocie z gminy powtórzyłem Wilkowi decyzję wójta, na co usłyszałem odpowiedź: „Wójt niech pilnuje swego domu, a do mego niech się nie wtrąca. Zapłacą tyle, ile trzeba, to klucz oddam panu. Inaczej nie puszcze. Ja tu rządze swoim domem”.

Następnego dnia znów rozmawiam z wójtem i powtarzam słowa Wilka. Wójt przyrzekł mi, że porozumie się z prezesem Dozoru i sprawę lokalu w ciągu kilku dni załatwi na miejscu. Przez okno w swoim pokoiku zobaczyłem przed szkołą furmankę, z której wysiadł prezes Dozoru, wójt i komendant posterunku policji w Chodlu. Wójt Krzeszowski wezwał Wilka i Wilkową do izby szkolnej i pyta o przyczynę zamknięcia sali. Usłyszawszy odpowiedź o niezapłaceniu komornego, powiedział, że tę sprawę załatwi trochę później, bo dziś nie ma pieniędzy w kasie gminy. Wilk mocno stał przy swoim słowie: „Zapłacicie zaraz – puszcze i dam klucz, nie zapłacicie – zabierzcie ławki szkolne i szukajcie innej izby”.

Zaczęli się przekonywać w coraz to mocniejszym tonie. W końcu zdenerwowany wójt zagroził Wilkowi, że go posadzi do aresztu, a klucz zabierze siłą. Zwrócił się do komendanta: „Tak zrobimy, komendancie?”. Komendant przytaknął głową. Zirytowany Wilk jeszcze chciał coś powiedzieć, ale wójt nie dał mu dojść do słowa. Wójt wyciągnął rękę po klucz, a po jego otrzymaniu wręczył prezesowi Dozoru Nowakowskiemu. Ten oddał klucz mnie z poleceniem natychmiastowego oporządzenia sali i rozpoczęcia nauki.

Następnego dnia Wilkowa z dwiema córkami obielży wapnem izbę, umyły podłogę i ustawiły ławki. Ja natychmiast posłałem chłopców do Trzcianca i do Huty Borowskiej z zawiadomieniem dzieci o jutrzejszej nauce szkolnej. Wilk przez kilka dni unikał spotkania ze mną. Stosunki nasze uległy poważnemu pogorszeniu.

## Lekcja praktyczna. Śpiew III i IV oddziału

Zapowiedziana wcześniej lekcja śpiewu z dziećmi III i IV oddziału odbyła się 30 września. Na tej lekcji prócz kompletu grona nauczycielskiego gminy Chodel był inspektor szkolny Wiśniak i prezes Dozoru Nowakowski. Lekcję śpiewu przeprowadziłem metodycznie, posługując się skrzypcami. Opracowałem z dziećmi piosenkę „O młodzieży, młodzieży! Cześć się starszym należy...”. Po opanowaniu treści i melodii piosenki zwróciłem uwagę dzieci na dłuższe i krótsze śpiewanie zgłosek, niżej i wyżej śpiewane tony i na rytm – takt 4/4. Lekcja wzbudziła duże zainteresowanie i przyjęta była przez słuchaczy z uznaniem. Po lekcji przyjąłem zebranych herbatą, na co wydałem 25 000 marek polskich. Na noc zostali u mnie Różycki, Stadnicki i Kołodziej.

## Wybory do Sejmu

W całym kraju odbywają się dyskusje, wiece, agitacja polityczna przed wyborami do Sejmu RP.

5 października otrzymałem nominację i legitymację, jako przewodniczący Komisji Obwodowej. Do tej komisji weszli Sylwester Nowakowski, dziedzic z Jeżowa, i Wojciech Ptasieński, chłop małorolny z Trzcianca. Przybyło dużo pracy: zebrania informacyjne, dyżury przy wyłożonych spisach. Zebrania te były w Borowie, Trzciancu i Jeżowie. Dużo czasu poświęciliśmy na zorganizowanie wyborów w Borowie, obliczanie głosów, sporządzanie zestawień po obliczeniu głosów. Praca skończyła się dopiero po północy. Wybory odbyły się bez żadnych przeszkód. Za pracę otrzymałem podziękowania.

---

Pierwszy Naczelnik Państwa Józef Piłsudski na podstawie art. 2 Konstytucji RP z dnia 17 marca 1921 roku rozwiązał Sejm i zarządził nowe wybory na 12 listopada 1922 roku. Złożył na ręce marszałka godność Naczelnika Państwa, nie kandydując na prezydenta.

Na urząd prezydenta został powołany przez Zgromadzenie Narodowe (Sejm + Senat) Gabriel Narutowicz, wybitny uczonek wszechświatowej sławy, inżynier, 9 grudnia 1922 roku, a po tygodniu został zdradziecko zamordowany strzałem z rewolweru w czasie otwarcia wystawy sztuk pięknych w Warszawie 16 grudnia przez Eligiusza Niewiadomskiego, działacza prawnicowego. Czynnem tym prawica okryła się hańbą.

Po śmierci Narutowicza, 30 grudnia 1922 roku, na stanowisko prezydenta został przez Zgromadzenie Narodowe powołany Stanisław Wojciechowski, współpracownik Piłsudskiego, działacz w zakresie kooperacji. W wolnej Polsce był ministrem spraw wewnętrznych. Marszałkiem I kadencji Sejmu był poseł Maciej Rataj (z zawodu nauczyciel), marszałkiem Senatu – Wojciech Trąmpczyński (adwokat), premierem – Władysław Sikorski. Sejm składał się z 444 posłów stronnictw lewicowych, centrowych, prawnicowych i mniejszości narodowych, a Senat ze 111 senatorów.

---

## Refleksje

Po skończonym powszechnym spisie ludności i mienia państwowego oraz sporządzeniu zestawień, za co otrzymałem medal „Za pracę społeczną”, dużo czasu spędzałem w domu. Opanowała mnie apatia. Porównanie życia nieboszczyków Walusia i Kostka z moim jeszcze bardziej wzmogło przygnębienie. Nic nie planuję. Podałem się prądowi życia, zdałem się na łaskę fali, która mnie poniesie w nieznaną. Biernie poddałem się, do walki nie mam



ani chęci, ani zdrowia. Ta przekłeta noga zrobiła ze mnie pełzającego gada... Z trudem zdobyłem zaledwie średnie wykształcenie pedagogiczne, osiągnąłem jeden bliski cel. W najgorszym razie zostanę starym kawalerem, będę uczył dzieci, z oszczędności zbuduję sobie malutki domek i będę spokojnie czekał na koniec życia.

Czasem wieczorową porą odwiedzałem Michalaków w Osinach. Tam wyzbywałem się trochę nalotu zniechęcenia. Gwarzyliśmy, trochę śpiewali i uspokojony wracałem do domu. Duży wpływ miała na mnie Michalakowa, młoda, bezdzietna mężatka. Głównie to ona mnie u siebie widziała; często zapraszała do swego domu i przyczyniła się do zadzierzgnięcia sympatii do siebie. Na kilka tygodni wyjechała do swojej rodziny do Zagłoby koło Opola.

Koleżanka Sylva w Urzędowie, dowiedziawszy się o mojej depresji, zasypuje mnie listami z żądaniem szczegółowego wyjaśnienia mego stanu duszy. Korespondencja trwała przez dwa lata. W czasie ferii zimowych złożyłem jej wizytę w towarzystwie mego sąsiada Banaszka (byłego kleryka, obecnie nauczyciela na Kresach Wschodnich). W mieszkaniu zastaliśmy Syłę, jej młodszą siostrę Izabelę, Marianowską i Puacza z Rankowskiego przedmieścia. W oddzielnym pokoju siedliśmy na długim stołku parami: ja + Sylva, Puacz + Izabela, Banaszek + Marianowska. Czuliśmy się nieskrępowani. Każda para gruchała sobie na swój wygodny sposób. Syłkę przygarnąłem raz i drugi, ucałowałem rękę. Jakiś dziwny chłód powiewał od Syli, który bynajmniej nie sprzyjał bliższym kontaktom. Wczesnym wieczorem z Banaszkiem wróciliśmy do domu. Banaszek też nie był zachwycony swoją partnerką, starszą od niego o 5 lat.

W czasie wakacji Sylva zaproponowała spacer do Dzierzkowic, do jej szkoły odległej o 6 kilometrów. Spacerkiem szliśmy ulicą Wodną, odpoczęli na ławce przy kaplicy św. Otylii, i dalej przez las szeroką szosą do Dzierzkowic. Po drodze rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Domyślałem się intencji takiego długiego spaceru i w takich sprzyjających okolicznościach. Zawiodła się na mnie. Na temat małżeństwa, a nawet miłości nie padło żadne słowo. Nie chcę się wiązać z żadną kobietą w moim stanie zdrowia. Nie chciałem nikogo unieszczęśliwić do chwili mego powrotu do całkowitego zdrowia. Moje dotychczasowe leczenie jest bezskuteczne.

Właściwie mówiąc, to Sylva mi się podobała. Bardzo taktowna, miła, inteligentna rówieśniczka, nauczycielka po Seminarium Ochroniarskim im. Papieskiej w Lublinie. Młodsza siostra Izabela wyszła za Puacza, ale po krótkim czasie umarła, pozostawiając malutką córeczkę. Najmłodszy brat został nauczycielem w Urzędowie. Przez pewien dłuższy czas nosiłem się ze szczerym zamiarem poczynienia kroków w celu doprowadzenia sprawy małżeńskiej. Do negatywnego stosunku przyczynił się w dużej mierze drobny na pozór fakt. Oto w czasie Świąt Wielkanocnych zgodnie z odwiecznym urzędowskim zwyczajem udałem się po południu do kaplicy św. Otylii,

położonej na skarpie przyłękowej, spod której tryskają liczne źródelka. Tu byłem bardzo krótko. W pobliskim lesie tłumy ludzi, przeważnie młodzieży, zaludniły polany i ścieżki. Spotkałem spacerującą Sylę z Sabiną Pomykalską. Dołączyłem do nich i razem kontynuowaliśmy spacer. Po znalezieniu dogodnego miejsca usiedliśmy na ziemi, nie przerywając rozmowy.

Po kilkunastu minutach panny powstały i ruszyły, a ja za nimi. W krótkim czasie usiedliśmy w innym miejscu. Naraz „babki” zerwały się pospiesznie na nogi z okrzykiem: „Trup, trup”. Nie wiem, co spowodowało te okrzyki. Ja tu zrozumiałem aluzję do mojej milczącej osoby. Wstałem, poszedłem kilkadziesiąt kroków i pożegnałem się na dziesiątki lat, a może i na zawsze. Objaśnień nie żądałem. Sabina Pomykalska wyszła za mąż za szewca, a Sylwina Kuśmiderska została starą panną i zamieszkała w Urzędowie na wałach u swoich rodziców. Ani jednej, ani drugiej do dnia dzisiejszego (3 marca 1978 roku) nie widziałem.

\*

20 stycznia 1923 roku po konferencji w Ratoszynie prezes Dozoru podnosił moje i Staszycówny zasługi dla szkolnictwa na terenie gminy Chodel. Janina, opanowawszy wzruszenie, podziękowała za słowa uznania, ja zaś przyjąłem je do wiadomości w milczeniu. Następnie prezes szeroko rozwodził się nad planem rozmieszczenia i budowy szkół. Mnie przewiduje na kierownika nieistniejącej jeszcze szkoły we Fryszercie. Do projektowanej szkoły miały chodzić dzieci z Borowa, Jeżowa, Trzcianca i Huty Borowskiej.

11 lutego po lekcji praktycznej z geometrii, przeprowadzonej przez koleżankę Lewandowską w Chodlu, w pięknie udekorowanej sali szkolnej odbyła się zabawa karnawałowa. Do tańca przygrywała dobrze zgrana orkiestra. Po dwóch miarkach zapomniałem o chorej nodze. Pełen animuszu tańczyłem ze Szczęśniewiczówną (kuzynką proboszcza), Lonką Łazarukówną, Bossówną i Goczałikówną z Godowa. W przerwie między tańcami śpiewaliśmy, docipkowali i wesoło się bawili.

Naprzeciwko siedziała sama Staszycówna, mało tańczyła, a obok niej Kołodziej ponury, milczący. Dlaczego mój konkurent nie jest w dobrej formie, dlaczego jej nie bawi? Serdeczna koleżanka Janiny, Klepcarżówna, podeszła do mnie z propozycją tańczenia ze Staszycówną. Odmówiłem. O mnie zabiegają trzy kobiety, a ona sama siedzi, czekając na królewicza z bajki czy dziedzica, a może Zarzyckiego z Chodla? Żadna karetka przed dom nie zajeżdża.

Wróciłem do swojej pustelni. Stefana wysłałem do Lublina do krawca Irackiego przy ulicy Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza). Tam będzie terminował trzy lata. Finansowe sprawy z krawcem załatwiłem bez udziału ojca. Chciałem go posłać do szkoły średniej w Urzędowie. Zdawał egzamin kilka razy bezskutecznie. Bolek uczył się do I klasy. Przy końcu roku szkolnego promocji do II klasy nie otrzymał. Nauczycielka Decyusz skarżyła się, że ma z nim trudności wychowawcze. To mnie zdenerwowało. W rozmowie z nim



**Rodzina Marcina Wośko. Siedzą: Julianna Wośko z domu Rachoń i Marcin Wośko. Stoją od lewej: Bronisława, Dominik, Bolesław, Antoni, Eufrozyna, Stefan (lata trzydzieste XX wieku). Fot. ze zbiorów rodziny Wośków**

podniesionym głosem powiedziałem: „Kiedy nie chcesz się uczyć w szkole, to idź na naukę do szewca”. Tak powiedziałem w przyпіlywie gniewu, choć miałem inny zamiar. On wziął sobie moje powiedzenie do serca i poszliśmy szukać jakiegoś porządnego majstra. Znaleźliśmy takiego w pobliżu Stefana. Z własnej kieszeni uregulowałem należność. Zaczął robotę w pracowni szewskiej. Frozyna wyszła za mąż. Cała liczna rodzina rozluźniła się. Antoś nauczył się w czasie okupacji austriackiej tkactwa w Dzierzkowicach. Obecnie już zarabia na siebie. Ojcu tylko pomaga.

Dziewczyna z Huty sprząta i gotuje. Kąpiele nogi w naparze trochę mi pomagają. Zmieniłem się. Palę dużo papierosów. W Chodlu u Paprockiego z kolegami z Chodla i Godowa popijamy po zapiekanej kaszance lub dobrej wędlinie. W takiej atmosferze zapominam o wszelkich dolegliwościach i osamotnieniu. Zastosowałem się do słów Sienkiewicza, że „mężczyzna zawiedziony w miłości albo palnie sobie w łeb, albo pójdzie na wino i będzie zdrów”. Ja wybrałem to ostatnie i dobrze na tym wyszedłem.

## Lonka

Małutka koleżanka z Ratoszyna zaczyna mnie coraz bardziej interesować. Szukam jej towarzystwa, w czym napotykam na przeszkodę w postaci jej starszej siostry, Marysi, zazdrońcy. Spotykamy się poza domem, by oszczędzić

dzie przykrości starszej siostrze, która (o dziwo) wybiera się do klasztoru, w co nikt nie wierzy. Na dwa dni wyjechała do Warszawy, skąd wróciła w minorowym nastroju.

Moje spotkania z Lonką były tematem numer jeden plotek koleżanek. Zazdrościce już nazywają ją Woškową. Na spacerze zapytałem się, czy to ją gniewa, a co by powiedziała, gdybym ja jej zaproponował zamianę swojego nazwiska na moje, czy gniewałaby się? Odpowiedziała: „Nie”. W Borku (lasek) wyznałem jej miłość, ona w stosunku do mnie też. Obopólne wyznanie przypieczętowaliśmy długim, serdecznym pocałunkiem. Nazbierawszy pęki kwiatów leśnych, paproci i borówek, wieczorem wróciliśmy rozpromienieni do domu.

Tegoż samego wieczoru, wracając do Trzcianca, powziąłem decyzję o zmianie trybu życia. Postanowiłem kategorycznie leczyć się w myśl słów Szekspira: „To be, or not to be” („Być, albo nie być”).

## Skok do Czortkowa

1 lipca 1923 roku zaproponowałem wspólny wyjazd do Czortkowa do rodziców Lonki. Maryśka była tym zaniepokojona. Zaczyna sprawę wikłać. Ustaliliśmy, że Marysia z młodszą siostrą Józią pojedą do Warszawy, a ja z Lonką i Hanią wprost do Czortkowa. Maryśka tak pokierowała, że utraciła ułożony plan. Dzień wcześniej wszystkie razem pojechały do domu, nie uprzedziwszy mnie o tej decyzji. Zostałem sam.

Dopiero 10 lipca wynająłem Ciekuta, który za opłatą 40 000 marek za furmankę zawiózł mnie do stacji w Niedzwicy. Na pociąg spóźniliśmy się, a następny będzie jutro rano. Do wieczora wałęsałem się po stacji i okolicy. Po namyśle i dłuższym szukaniu znalazłem Jana Krzeszowskiego (młodszego brata wójta z Chodla); przenocowałem się w domu urzędu gminnego w Niedzwicy, gdzie pełnił funkcję sekretarza gminnego. W Lublinie odwiedziłem brata swego Stefana, który praktykował u krawca Irackiego przy ulicy Namiestnikowskiej.

We Lwowie miałem przesiadkę. Wolny czas spędziłem na zwiedzaniu miasta w towarzystwie przygodnie poznanego abiturienta gimnazjum, który specjalnie przyjechał do Lwowa kupić bilety do teatru. Pokazał mi pomnik Sobieskiego, Mickiewicza, kościół katedralny rzymskokatolicki i cerkiew greckokatolicką. Ze stacji kolejowej przez podcienie kolejowe przeszedłem do wagonu, znalazłem wygodne miejsce siedzące przy oknie, z którego obserwowałem krajobraz, mijane wsie, miasteczka, tory, tunel. Szczególnie pilnie i bacznie obserwowałem Buczac historyczny, rozłożony na licznych wzgórzach. Przysłuchiwałem się rozmowie grupy huculów rozmawiających po rusku. Rozumienie treści nastęczało mi wiele trudności.

W sobotę 14 lipca 1923 roku około godziny 10 przez okno zobaczyłem na budynku stacyjnym napis „Czortków”, kres mojej podróży. Idąc ulicą, rozmyślałem nad planem postępowania w domu Łazaruków. Wstąpiłem do fryzjera, który zaraz doprowadził do porządku moją głowę i brodę. Odchodząc, zapytałem o jakiś tani hotel, gdzie mógłbym się zatrzymać na parę dni. Uczynny fryzjer wskazał mi ulicę i kierunek dojazdu do niej. Jakie było moje zdziwienie, że to jest zwykły zajazd cuchnący końskim amoniakiem, a właściciel okazał się najpospolitszym Żydem. Wskazał mi stancję – brudną, ciemną i zadymioną izbę, gdzie nocowali furmani. Nie skorzystałem z tego *locum*. Od przechodnia dowiedziałem się o hotelu z prawdziwego zdarzenia „Bristol”. Otrzymałem klucz od pokoju, z góry uiściłem należność za całą dobę w kwocie 16 000 marek. Po umyciu położyłem się na łóżku z czystą pościelą i zasnąłem na parę godzin.

Odpuściwszy po długiej podróży, udałem się w stronę starego Czortkowa. Ulice wybrukowane kocimi łbami; przy chodnikach wyłożonych piaskowcowymi płytami trafiały się anemiczne drzewka. W kilkumetrowym oddaleniu od chodników „drzemały” małe, parterowe, czasem piętrowe, murowane domki, otoczone kwiatowymi (a były też pokrzywy) ogródkami. Trudno było zauważyć tabliczki z numerem domu i nazwiskiem właściciela. Zatrzymałem się na moście nad Seretem. Tu stało kilkoro ludzi opartych o barierę mostu. Zapytałem najbliższej stojącego młodego człowieka o nazwę ulicy i o numer domu Łazaruka. Żydek popatrzył na mnie nieufnym wzrokiem – poznał widocznie, że jestem człowiekiem nietutejszym, jednak wskazał mi palcem blisko dom murowany, parterowy, własny Łazaruka. Ten domek, składający się z dwóch dużych pokoi, dużej kuchni, przedpokoju i spiżarni, zajmowała cała ośmioosobowa rodzina: teściowa – starucha, trochę przygłucha, prawosławna, Ukrainka; Łazaruk – kolejarz, wyznania rzymskokatolickiego, Polak; żona jego – prawosławna, Ukrainka, i pięć córek wyznania rzymskokatolickiego, Polek. Trzy starsze córki pokończyły państwowe żeńskie seminarium w Czortkowie, a dwie córki były jeszcze małoletnie. Rodzina ta posługiwała się w domowych stosunkach żargonem polsko-ukraińskim.

W sieni zastałem Lonkę przy myciu podłogi w codziennej, roboczej sukience, boso. Na mój widok wydała jakiś nieartykułowany głos, co mogło oznaczać zadowolenie albo (co pewniejsze) niezadowolenie z takiej nie w porę składanej wizyty. Zapoznała mnie z matką, ojcem, babką, która coś tam pod nosem bąknęła. Młodsze siostry zaszyły się gdzieś po kątach, w reprezentacji udziału nie brały. Marysię, najstarszą, „rozboleła nagle ząb”, więc udała się do drugiego pokoju i więcej się tego dnia nie pokazywała.

Wykorzystałem tę chwilę, aby wyjaśnić cel mojego przyjazdu. Łazaruk podkreślił, że Lonce żadnego posagu dać nie może, na co odpowiedziałem, że posag jest dla mnie sprawą nieistotną, a do ślubu za trzy tygodnie jestem przygotowany. Tu znów warunek nowy. Żona Łazaruka jest chora, uda się do



szpitala do Lwowa na leczenie, co potrwać może parę miesięcy, więc wesela dla Lonki nie będzie można urządzić. To mi dawało dużo do myślenia. Niby na nasz ślub się zgadza, nie będzie nam robić żadnych trudności, a tymczasem sprawę odwleka na rok, a może *ad calendas graecas*\*.

Następnego dnia, w niedzielę, obudziłem się później, w minorowym nastroju. Po śniadaniu w restauracji spotkałem się z Lonką przed kościołem, potem udaliśmy się do jej domu na obiad, a następnie na spacer nad rzekę Seret. Tu zastaliśmy tłum ludzi w różnym wieku, a szczególnie dużo młodzieży kąpiącej się w czystej, bystro płynącej wodzie Seretu. Lonka zapoznała mnie ze swoimi czortkowskimi koleżankami, które przyszły zażyć zimnej kąpieli w takim wielkim upale. Wszystkie zachęcały i mnie do kąpieli, czego nie mogłem skutecznie z powodu braku kostiumu kąpielowego (ładnie bym wyglądał z moją chorą, obandażowaną nogą). Obserwowałem kąpiące się panny, a szczególnie Lonkę. Następnie poszliśmy na spacer z Lonką i przyzwoitką – sześciolletnią Elą, do lasu rozłożonego na wzgórzach wzdłuż Seretu. Dziewczynka łąziła między krzakami, zbierając kwiaty, a my rozmawialiśmy o minionym dniu i naszych sprawach.

Wieczorem przy starym potureckim zamku odbywał się festyn, na który po wykupieniu trzech biletów udałem się z Lonką i jej małą siostrą. Z zamku rzucali fajerwerki, sztuczne ognie, kłowni łązili po murach, zabawiali zgromadzonych gości dialogami i różnymi sztuczkami. Na placu dzieciarnia i młodzież oblegała stragany i bufet. Gwar, śmiechy, radość okresami przygłuszała wojskowa orkiestra dęta. Mury i pobliskie domy były rześście oświetlone. Trzeciego dnia kupiłem dla Lonki książkę *Gromada* Weyssenhoffa, za co miałem otrzymać fotografię.

Po sutym śniadaniu Lonka i Ela odprowadziły mnie kawałek drogi do stacji. Po kupnie biletu znalazłem sobie wygodne siedzące miejsce przy oknie. Pociąg drgnął raz i drugi, ruszył w powrotną drogę do Lublina. Znowu obserwuję krajobrazy, staram się je zapamiętać, bo może jestem tam ostatni raz. Wracając, przeżywałem mieszane uczucia. Byłem zadowolony, bo uzyskałem zgodę rodziców na ślub, ale zadowolenie to minęło i zostało przyćmione, że to może stać się dopiero za rok, a przez ten czas mogą być różne nieprzewidziane przeszkody. Jedno pewne: kobiety przyczynią się do mego intensywnego leczenia, a to bardzo ważne.

W Lublinie spotkałem się z Kołodziejem, który mi opowiedział, że w tym czasie nad Lublinem przeciągnęła straszna burza z wyładowaniami atmosferycznymi. Piorun uderzył w gmach Poczty Głównej, która w dużej części splonęła od pożaru.

---

\* „Na greckie kalendy” (łac.), czyli nigdy – przyp. red.



## Intensywne leczenie. Szpital

Teraz muszę zdobyć się na stanowczy krok, dalej tak być nie może. Skończyłem 29 lat życia. Ostatnia szansa: wyleczę się – założę życie rodzinne i będę żył w nowych warunkach, nie uda się – będę miał czas na pozostanie w stanie kawalerskim. Co powiedziałyby moja przyszła żona, gdyby zobaczyła moją chorą nogę, z której sączy się materia. Stan mojej choroby starannie ukrywałem przed obcymi osobami.

19 lipca 1923 roku zgłosiłem się do lekarza Staniszewskiego z prośbą o zbadanie nogi i danie mi porady, co mam czynić dalej. Doktor Staniszewski po dokładnym zbadaniu orzekł, że najlepiej zrobię, udając się do szpitala. Zgodziłem się z determinacją. Wystawił mi skierowanie do szpitala ss. Szarytek przy ulicy Szpitalnej (dziś Staszica).

Po załatwieniu formalności udałem się do brata Stefana. Uprosiłem majstra Irackiego o dwudniowy urlop dla brata celem udania się do Urzędowa do Antosia, który zlikwidowałby moje gospodarcze sprawy w Trzcińcu.

20 lipca zgłosiłem się do szpitala. Z powodu braku miejsca w sali numer 1 tymczasowo umieszczono mnie na sali numer 3. Po kąpieli i przebraniu się w szpitalną odzież położyłem się do łóżka. Po kilku godzinach wstałem i zacząłem wałęsać się po korytarzach. Po dwóch dniach doktor Modrzewski przeniósł mnie do sali numer 1, skąd w nocy zabrali mnie do małej salki, gdyż na moje miejsce położono chorego, któremu w Dęblinie pociąg obciął nogę w pachwinie, a drugą nogę pogruchotał. Przez ten czas czytałem książkę *Bielmo* Włodzimierza Trąpczyńskiego i spacerowałem po korytarzu, za co mnie felczer Wincenty Czaplicki zganił i zabronił chodzenia, ponieważ dla mnie to było szkodliwe. Więc leżę i modłę się gorąco... Mam pretensję – żal, że los tak mnie prześladowuje i mój stan kawalerski czyni nieznośnym. Jestem zdenerwowany. Chcąc odwrócić uwagę od mojej dolegliwości, skończyłem czytać książkę.

Felczer po obejrzeniu rany wyraził zdanie, że on nie widzi potrzeby operacji, za kilka dni wrócę do domu. To mnie trochę uspokoiło. Stefan złożył mi sprawozdanie o zlikwidowaniu moich spraw gospodarskich. Przywiózł mi 100 000 marek polskich. Jedni chorzy, widząc mój stan psychiczny, nie radzą mi iść na operację, inni zaś są przeciwnego zdania. Byłem w rozterce. Ale zgodziłem się na operację.

27 lipca zacząłem odczuwać przejmujący ból w nodze. Termometr wskazywał 37,5°C gorączki. W nocy nie mogłem spać. Myślałem o Lonce i dziwiłem się, że inni ludzie z grona rodzinnego, a nawet obcy interesują się mną. Przysłała mi listy nawet Syl, a Lonka milczy jak zaklęta. Może teraz żałuje, że zgodziła się na słowa zgody na narzeczeństwo z chorowitym, kulawym człowiekiem. Może planuje odwrót i zerwanie narzeczeństwa na korzyść kogoś innego, bardziej atrakcyjnego. Dziej się wola Boża! Odbyłem spowiedź, zająłem

się cichą, żarliwą modlitwą. To mnie uspokoiło. Następnego dnia pomimo deszczu byłem w kościele szpitalnym, czekam niecierpliwie na operację, drżąc z chłodu, a jeszcze więcej ze strachu przed operacją.

28 lipca rano Czaplicki zapytał mnie, czy piję alkohol. Po otrzymaniu przeczącej odpowiedzi dał mi zastrzyk z morfiny, ogolił nogę. Dłuższy czas nieruchomo siedziałem na łóżku, denerwowałem się, czekałem już tylko na operację. Poczulem jakąś senność, w uszach szum i pociemniało mi w oczach. W tym momencie felczer wychylił głowę z sali operacyjnej i wezwał mnie do ułożenia się na stole operacyjnym, co natychmiast z biciem serca uczyniłem. Zajodynował mi nogę dokoła rany i kazał wrócić do łóżka.

Po kilku godzinach znów wezwał mnie na salę operacyjną. Tym razem na sali zastałem doktora Modrzewskiego i doktora Jaworskiego oraz dwie pielęgniarki. Doktor Modrzewski (ordynator szpitala, chirurg, generał-major w wojsku rosyjskim, senator) zapytał mnie, czy mam sztuczne zęby. Kazał otworzyć usta, zbadał puls, tempo oddechu. Powiedział tylko: „Tak”.

## Operacja

Mocno przywiązali mnie do stołu operacyjnego. Nie mogłem poruszać ani ręką, ani nogą. Momentalnie felczer Czaplicki nałożył mi na usta maskę nasyconą eterem i kazał liczyć po kolei. Od ostrego, duszącego zapachu eteru odwróciłem głowę, ale i tu trafiłem na maskę. Dławiłem się, dusiłem, ale to wszystko nic nie pomogło. Teraz zmusiłem się do głębokiego wdechu, na co chirurg czekał. Zaszumiało mi w uszach, na żółtym tle widziałem jakieś fantazyjne zygzaki. Wolno, rytmicznie liczyłem po kolei od 1 do 80, potem poplątały mi się liczby. Cicho powiedziałem liczbę dzie-więć-dzie-siąt-czte... Jeszcze słyszałem: „Podać spirytus”, bieganinę koło stołu. Nastąpiła grobowa, błogosławiona cisza – koniec świadomości.

...otworzyłem oczy, spojrzałem na białe ściany i zapytałem siedzącego obok mego łóżka chorego czy już jest po operacji, na co otrzymałem odpowiedź, że tu na łóżku śpię przeszło godzinę. Na uspienie mnie, jak mi później powiedział felczer, użyto 200 gramów eteru.

Oszołomiony narkotykiem, leżę przykuty do łóżka, nie czując bólu. Z wielką niecierpliwością czekam na pierwszy bolesny opatrunek, który został dokonany przez felczera Czaplickiego po dwóch dniach. Rozbandażował nogę, szczypcami wyciągnął jodobromowaną, nasiąkniętą krwią z ropą, watę. Lekko nacisnął brzegi dwóch ran. Obficie popłynęła krew zmieszana z ropą. Obmył okolice ran wodą utlenioną, a brzegi ran jodyną. Do głębokich ran sięgających kości założył dwa dreny, którymi miała wypływać zepsuta krew i ropa, utkał otwory tamponami z wyjałowionej gazy, położył na to płatki gazy, a potem ligninę i mocno obandażował nieruchomą nogę. Pomimo zręcznej i fachowej

pracy felczera nie obeszło się, abym nie syknął, nie ochnął. Przy okazji felczer powiedział mi, że doktor Modrzewski w czasie operacji wyciągnął z rany kulki zbitego zepsutego ciała, a brzegi starej rany dokładnie obciął skalpelem.

## **Rekonwalescencja**

Po upływie dwóch dni odwiedził mnie Stefan, przywożąc mi pieniądze. Dałem mu do dyspozycji 30 000 marek polskich. Apetyt mi się poprawił. Dokupił mi trochę atrakcyjnej żywności. Następnego dnia zawitał kleryk Stach Cieślik, mój szkolny kolega z Jagiellonki. Gawędziliśmy około dwóch godzin. Po tej wizytacji felczer i posługaczki przychylniej odnosili się do mnie.

Pierwszy opatrunek był bardzo bolesny, podczas którego cicho postękiwałem i ocierałem zimny pot z twarzy. Wieczorem karetka pogotowia przywiozła robotnika kolejowego, który wpadł między dwa wagony. Koła obcięły mu jedną nogę, a drugą mocno pogruchotały. Po spowiedzi w kilka godzin zmarł, pozostawiając sierotami sześcioro dzieci. Służba szpitalna jeszcze ciepłego zawinęła w prześcieradło, na którym spał, żartując wrzuciła go do skrzyni i wyniosła do trupiarni.

Od Sylki otrzymałem dwie pocztówki, tylko Lonka milczy. Odnoszę wrażenie, że tam coś niedobrego knuje wobec mnie. Czeką pewnie na lepszą partię, a mnie będzie trzymać w rezerwie. Stefanowi dałem 500 000 marek polskich na kupno dla mnie futerka na kożuszek do codziennego użytku, a jemu pożyczyłem 100 000 marek na kupno spodni dla siebie. Po kilku opatrunkach felczer powiedział mi, że wyniki leczenia są na dobrej drodze, z czego niezmiernie się ucieszyłem. Przeniesiono mnie do małej salki obok sali opatrunkowej, gdzie warunki bytowo-sanitarne są najlepsze.

9 sierpnia odwiedzili mnie Antoś ze Stefanem. Pierwszy złożył mi sprawozdanie ze sprzętu zboża, z którego nie byłem zadowolony. Więcej wydałem pieniędzy na uprawę działki, żniwiarzy niż otrzymam za sprzedane zboże. Stefan kupił skórki na kożuszek za 650 000 marek. Kołodziej przyniósł mi 58% pensji lipcowej w kwocie 578 000 marek. Czyli cała pensja wynosiła wtedy 996 650 marek polskich, ale co z tego, kiedy za kapelusz filcowy zapłaciłem 350 000 marek, za krawat lichego gatunku 160 000 marek, a za pudełeczko zapalek płaciliśmy 400 marek.

Sprawa leczenia komplikuje się. Początkowo odczuwałem swędzenie, a potem ból. Zaniepokoiłem się. Czaplicki stwierdził, że w sierpniu kuracja się nie skończy. Więc proszę inspektora szkolnego o urlop na dalsze leczenie. Czaplicki leczy mnie kompresami. Tymczasem temperatura podnosi się do 38°C. Do tego dołączył się ból zębów. Czaplicki znieczulił ból, a siostra dała mi opium na uspokojenie. Wyłonił się nowy kłopot. Posługacz jednonogi (na drugiej nodze szczudło) zachorował i nie miał mnie kto zanieść na salę

opatrunkową. Felczer polecił mi udać się do sali o kuli. Z wielkim trudem dowlokłem się do stołu. Drżałem na całym ciele. Krople potu ściekały mi po nosie i brodzie. W powrotnej drodze do łóżka Czaplicki podtrzymywał mnie za rękę, chroniąc mnie w ten sposób od upadku.

Do sal szpitalnych docierają różne wieści ze świata zewnętrznego. 15 sierpnia po całym mieście rozlega się głos orkiestry wojskowej z okazji rocznicy „Cudu nad Wisłą” – rozbicia wojsk bolszewickich prących w kierunku bliskiej już Warszawy. 26 sierpnia znów rozlega się po mieście i trafia przez otwarte okna do szpitala muzyka. W Lublinie odbywa się ogólnopolski konkurs orkiestr wojskowych. Ta muzyka zamiast mnie rozweselać, działa na mnie przygnębiająco. Radość ludzi zdrowych drażni chorych.

2 września odwiedzili mnie Stefan z Bolkiem (przyrodni brat), którzy przyjechali do Lublina na uroczyste przyjęcie prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Przywieźli mi listy, między innymi od Lonki, z życzeniami imiennymi. List utrzymany w tonie urzędowym, chłodnym, pozbawionym uczuć. Stefan wręczył mi gazetę „Ziemia”, w której wyczytałem o tragicznych skutkach trzęsienia ziemi w Jokohamie i Tokio. Cała Japonia okryła się żałobą. Z pomocą materialną pospieszyły inne państwa świata, między innymi Polska. (Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że Japonia podziękowała za chęć pomocy, ale darów w naturze nie przyjęła, motywując to tym, że sama sobie poradzi w swojej biedzie, a Polsce, nowo powstałemu państwu, te dary się przydadzą dla swoich obywateli).

W szpitalu normalne życie toczy się wkoło. Oto w nocy chorzy zostali zbudzeni jakąś krzątaniną, rozmową, skrzypieniem drzwi. Podnieśliśmy głowy i widzimy, jak wnoszą chorego, a za nim kroczy drugi z obandażowaną głową. Z relacji posługi dowiedziałem się, że teść czterema strzałami zranił zięcia (jeden strzał w policzek), a zięć teściowi przestrzelił ucho, a drugim strzałem zranił w szyję. Koniec tej „zabawy” znalazł epilog w szpitalu. O przyczynach tej kanonady milczeli obaj poszkodowani. Ciężko ranny został umieszczony w sali pierwszej, a lżej ranny na sali trzeciej.

Do szpitala dostają się ludzie chorzy, cierpiący, zgorzkniali, smutni, a nawet nieraz płaczący. Z biegiem czasu, kiedy chory przeżyje kryzys choroby, usposobienie człowieka zaczyna się zmieniać. Wystarczy popatrzeć i posłuchać, co się dzieje na sali. Świeżo przybyli postępują, niekiedy jęczą, płaczą. Inni po kryzysie, rekonwalescenci, leżą spokojnie lub siedzą w łóżku i rozmawiają, opowiadają sobie różne historyjki z własnego lub cudzego życia, nawet beztrąsko się śmieją, ciesząc się z pokonania choroby, i myślą o wypisaniu się ze szpitala oraz powrocie do domu, do swego poprzedniego zajęcia i swojej rodziny.

Oto przybył nowy chory. Popatrzył po sali, obejrzał swoje łóżko, pościel – położył się. Zaczyna się konwersacja z sąsiadami. Każdy opowiada o swojej chorobie. Nowo przybyły ma się poddać operacji kaszaka na kolanie. Powtarza się stara historia. Jedni radzą mu zaniechać zamiaru, inni namawiają go do

operacji. Po kolacji „starzy” chorzy zaczynają opowiadać o chorych, którzy umarli w szpitalu na łóżkach, na których obecnie sami leżą. Chłop słucha, wypytuje się o szczegóły choroby i śmierci. Rozmowy ucichły, chorzy zasnęli w sali mocno przyciemnionej.

Koło północy wstał chory, któremu lekarz amputował obie nogi poniżej kolana, celem załatwienia potrzeby fizjologicznej, na kolanach. Z ciekawości zatrzymał się przy łóżku nowicjusza. W tym czasie nowo przybyły otworzył oczy i zobaczył małego (niskiego) człowieka przy sobie. Ze strachu zerwał się z łóżka, przeżegnał się kilka razy, wołając o pomoc. Pobudziliśmy się. Kaleka na kolanach posunął się do ubikacji, a przestraszony chłop zaczyna opowiadać o upiorze, który chciał go udusić, bo się długo przyglądał, jak zacząć swoją robotę. Pyta się, czy go wszyscy chorzy widzieli przechodzącego między łóżkami. Chorzy, którzy mogli chodzić otoczyli gęstym wieńcem opowiadającego, śmiejąc się do upadłego. Kaleka na kolanach minął w milczeniu całą tę grupę i bez słowa ułożył się w swoim łóżku, słuchając jak mimowolnie nastraszył nowo przybyłego do szpitala. Rano też chorzy rozmawiali, nie zdradzając, kto i w jakich okolicznościach nastraszył.

Ten żart ubawił chorych, więc postanowiono znów coś podobnego urządzić. Beznogi chory leżał przy samej ścianie na końcu sali. Tam do niego rzadko ktoś podchodził. Od samego rana coś tam, siedząc na łóżku, majstrował. Upatrzył moment, kiedy tchórzliwy chłop wyszedł do ubikacji. Od swego łóżka wzdłuż ściany pod łóżkami przeprowadził grubą lnianą nitkę, na końcu której było przywiązane pudełko po zapalnicach. To pudełko zawiesił u spodu łóżka pod głową chłopca. Przy pomocy innych chorych tę czynność wykonał bardzo szybko. Chłop wrócił z ubikacji i spokojnie położył się do swego łóżka. Wtajemniczeni chorzy nie mogli się doczekać wieczoru. Po kolacji i krótkich rozmowach wszyscy zasnęli. Przepraszam, nie wszyscy. Niektórzy tylko udawali śpiących. W późnych godzinach swawolny beznogi na końcu swojej nitki zrobił pętelkę, przez którą przesunął krótki, okrągły kijek grubości ołówka. Po naciągnięciu nitki zaczął tym patykiem kręcić. Nitka zaczęła drgać, to drganie udzieliło się pudełku zawieszonemu pod łóżkiem. Po sali rozległ się szmer, zgrzyt i pisk, który obudził chłopca. Ten usiadł i słucha, co się dzieje pod jego łóżkiem. Zdenerwowany wyskoczył z łóżka, zaczął się żegnać, krzyknąć na cały regulator. Chorzy popodnosili głowy, rozległy się kaskady śmiechu, a jeden z sąsiadów powiedział: „O, Wojciechu, Wojciechu. Widać, żeście za młodu coś tam na wsi przeskrobali, kiedy teraz was tak dusza chorego zmarłego na tym łóżku prześladuje”. Na ten szum weszła dyżurna salowa zobaczyć, co się tu dzieje. Naraz kilku chorych zaczyna opowiadać o strachu. Salowa nic nie mogła z tego zrozumieć. Kazała natychmiast się uspokoić, bo siostrę obudzi. Rano jakiś usłużny chory poinformował siostrę, która się rozgniewała i kategorycznie zabroniła urządzania podobnych scen. Delikwent rano zobaczył to urządzenie i zaczął się śmiać z samego siebie.

Po 45 dniach leżenia 13 września na stanowcze polecenie Czaplickiego wstałem z łóżka i powolutku przy pomocy kul zacząłem chodzić. Z jednej strony cieszę się, ale męczy mnie myśl, że może się pogorszyć, gdyż rany nie są jeszcze całkiem zagojone. Po kilku dniach z jednej rany wypadł opatrunek. Przeraziłem się bardzo, gdy felczer nowego opatrunku nie włożył.

24 września Czaplicki polecił mi kąpiel, z czego chętnie skorzystałem. Następnego dnia kąpiel powtórzyłem; zbyt długo się kąpałem, dostałem zawrotu głowy, omal nie zemdlałem. Sprawdziło się powiedzenie, że co za dużo to niezdrowo.

Doktor i felczer nalegają, abym dużo chodził. Wyczułem, że chcą się mnie pozbyć, bo zbyt długo się leczę. Siostra obarczyła mnie robotą na kilka dni. Przepisuję recepty, przepisy leczenia ziołami, notatki gospodarcze. Wykorzystałem tę okoliczność i wiele praktycznych rad zapisałem w swoim pamiętniku. Ponadto pokazała mi aptekę szpitalną i omówiła sposób użycia popularnych lekarstw.

25 września powziąłem decyzję o wypisaniu się ze szpitala. Następnego dnia już nie kładłem się do łóżka. Doktor dokładnie zbadał nogę i przystąpił do sporządzenia wypisu. Gotowy dokument zostawiłem w kancelarii szpitala, a potem poszedłem jeszcze na salę, gdzie na moim miejscu już leżał nowy chory. Długo musiałem czekać na cywilne ubranie, które poprzednio dałem do odświeżenia.

Pożegnawszy się z doktorem, felczerem i chorymi, przekraczałem progi szpitalne. We drzwiach posługaczowi, który czasem mnie dźwigał na salę opatrunkową, Józkowi Marczewskiemu, dałem 20 000 marek. Ze Stefanem pieszo, wolno ruszyłem do miasta. Kupiłem dwa bilety na *Balladynę*. Z galerii słabo widziałem. Zmęczyłem się na schodach. Byliśmy również na sztuce *Carewicz Zapolskiej*.

28 września 1923 roku dorożką ruszyliśmy do stacji kolejowej. W Kraśniku nie zastaliśmy naszej furmanki, która miała na nas czekać. Zaczekaliśmy na stacji. Po półgodzinnym czekaniu przed stacją zajechał Antoś z Frozyną. Po uprzątnięciu alkierza i przygotowaniu łóżka, położyłem się w pościeli do dalszego leczenia. Po trzech dniach stary strup został zastąpiony nowym, świeżym. Odetchnąłem na myśl, że choroba ma się ku końcowi.

W szpitalu dużo czytałem:

1. *Bielmo* Włodzimierza Trąpczyńskiego,
2. *Moja druga młodość* Szymona Konopackiego,
3. *Emancypantki* Bolesława Prusa (4 tomy),
4. *Warszawa* Mariana Gawalewicza,
5. *Wyrabianie charakteru podstawą moralności* Julesa Payota,
6. *Krzyżacy* Henryka Sienkiewicza,
7. *Dzieje małżeństwa* Jerzego Orzetha,
8. *Wyzwolenie* Stanisława Wyspiańskiego,
9. *Domek mojego dziadka, Boruny, Powrót dziedzica* Ignacego Chodźki.



Leżę w domu sam jeden. Domownicy porozchodzili się każdy do swojej pracy. Nudzę się. Co raz odkrywałem się, przyglądałem się mojej głupiej nodze. Rozmyślałem. Stawiałem sobie pytanie: za co ja tak cierpię, przeżywam upokorzenie – młody człowiek, kawaler a chory, połamany, kaleka... Czy rzeczywiście nie ma dla mnie ratunku?

## Powrót choroby

Po kilku dniach pobytu w domu 6 października 1923 roku otworzyła się rana kolanowa, która najwcześniej zablizniła się, a później inne.

Ogarnęła mnie rozpacz, czarna gorycz napełniła moje serce. Wszystkie bowiem nadzieje, marzenia, które przy sprzyjających warunkach mogły być urzeczywistnione, obróciły się w nicość. Wszystko przepadło. Fatum zawisło nade mną. Natura mnie prześladowała od chwili samego poczęcia. Szczęście błysnie na krótką chwilę, a potem znika, przepada, pozostawiając po sobie gorycz, rozczarowanie i żal nieskończony... Zastanawiałem się nad wynikłą sytuacją. Doszedłem do wniosku, że biadolenie nic mi nie pomoże. Trzeba zacząć działać. Wszak i na wojnie nie było lekko, a jednak bez niczyjej pomocy trudne chwile przeżyłem i szczęśliwie wróciłem do domu. Może i na mojej ulicy słońce zabłyśnie... Napisałem listy i przesłałem przez Bolka do Kołodzieja, Nowakowskiego i Lonki. Głównie mi chodziło o pobranie pensji za październik.

Po naradzie z Antosiem postanowiliśmy, że do szpitala zaraz muszę wrócić do dalszego leczenia. Antoś w nocy wywiezie mnie do Kraśnika do stacji, a w domu powie ojcu i rodzeństwu, że zostałem nagle wezwany na posadę do Trzcianca. Wczesnym rankiem stanęliśmy na stacji zmarznięci do szpiku kości. W Lublinie spotkałem pana Nowakowskiego z żoną. Na zapytania o zdrowie powiedziałem, że z moim zdrowiem nie jest dobrze. Zaproponował mi jazdę z nim dorożką, na co się nie zgodziłem, motywując bliskością celu mej podróży. Wziąwszy dorożkę, udałem się wprost do szpitala do Czaplickiego celem zasięgnięcia porady co do dalszego leczenia. Otrzymałem odpowiedź, że należy często się kąpać, ranę smarować wazeliną i jodyną na przemian. Na moją prośbę przyrzekł mi wstawić się do doktora Modrzewskiego. Następnie udałem się do Stefana, a potem do Inspektoratu celem zasięgnięcia informacji o urlopie. Inspektor Płużański poinformował mnie, że mam przedłużenie urlopu na 2 miesiące. Następnie udałem się do Basi Grzebulanki i zostawiłem jej 2 000 000 marek podane przez jej rodziców.

Z kartą porady zgłosiłem się do doktora Staniszewskiego, który po obejrzeniu nogi skierował mnie do szpitala. Z powodu braku miejsca dopiero 14 października przekroczyłem progi szpitala i znanej mi już sali. Przeżyłem przykre uczucie. Upłynęły zaledwie dwa tygodnie od opuszczenia sali, a już teraz upokorzony znów wracam, a przez otwarte okno sły-

szalem dźwięki orkiestry 8. pułku piechoty Legionów z Ogrodu Saskiego, co mnie irytowało.

13 października czytałem o strasznej katastrofie w Warszawie – cała Cytadela wyleciała w powietrze. Dużo ludzi zostało zabitych i rannych. W mieście przygnębiająca atmosfera. Jestem zdenerwowany do najwyższego stopnia, gdyż odczuwam duże bóle w nodze. Najbardziej obawiam się nowych cięć. Na samo wspomnienie włosy mi stają na głowie, a serce bije gwałtownie. Jednak wszystko przecierpię z chłopską wytrwałością. 16 października podczas opatrunku nowy doktor Anasiewicz opatrzył rany i polecił felczerowi rany zalapisować. Oznajmił mi, że rany się oczyściły, ale co mi z tego, kiedy ropa nadal obficie płynie. Z lewej strony jest miejsce nabrzmiałe. Spodziewam się, że w tym miejscu powstanie nowa rana. Felczer nałożył mi kompres, po którym może nastąpić poprawa.

23 października umarł Borejko z Czortkowa, który miał operowaną lewą nogę powyżej kolana, tak jak ja. Z powodu próchnicy kości ropa całą nogę popruła. W ciągu trzech i pół miesiąca odżywał się tylko piwem i winem. Na amputację nogi nie chciał się zgodzić, więc o godzinie 11<sup>30</sup> nastąpiła śmierć powolna. Na kilka dni przed śmiercią zaniemówił. Swoje życzenia wyrażał tylko gestami. Na prośbę siostry chory Ziemecki opiekował się nim: poprawiał poduszkę, układał, poił. Przed śmiercią serdecznym uściskiem dłoni dziękował. Mocno trzymał Ziemeckiego za ręce, strasznie bał się śmierci. Taki to kres życia ludzkiego. Ziemeckiemu dał swój dowód osobisty i złoty zegarek, który zabrała siostra. Mimo woli myślałem o tym, czy i mnie spotka taka sama śmierć w niedalekiej przyszłości.

Kolanowa rana zaprzestała ropieć 27 października, a boczna 28. Tym niewiele się cieszyłem, bo mocno byłem przekonany, że po pewnym czasie rany się otworzą i zaczną ropieć. Prosiłem Czaplickiego, aby dokładnie nogę obejrzał i poradził mi czy mam starać się o przedłużenie urlopu, czy uważa, że noga wyleczona.

Oznajmił mi, że 31 października odbędzie się konsylium, które zadecyduje co mam dalej robić. Doktor Modrzewski powiedział mi, że ta choroba może trwać nawet lata całe, ale zagoić się musi; w pierwsze uwierzyłem, ale o drugiej części zdania dopowiedziałem sobie w myśli, że śmierć mi rany zagoi.

Teraz przynajmniej wiem, kto ja jestem i jaki mnie czeka koniec. Powziąłem postanowienie, że nie ożenię się, aby nie unieszczęśliwić kobiety i sobie przedwcześnie nie zatruwać życia. Doktor Modrzewski radził mi wypisać się ze szpitala i w domu sam sobie mogę robić opatrunki. Musiałem się zgodzić.

1 listopada 1923 roku po 104 dniach intensywnego leczenia w Lublinie ze łzami w oczach wypisałem się ze szpitala z otwartymi ranami. Następnego dnia felczer dał mi radę, zaopatrzywszy mnie w gazę, bandażę, lapis, pin-cetkę i środki do domowego leczenia. Następnego dnia, pożegnawszy się z felczerem, siostrą i chorymi kolegami niedoli, opuściłem progi szpitalne.

W ciągu ostatniego (drugiego) pobytu w szpitalu przeczytałem jeszcze *Nowele, sylwetki, szkice* Bolesława Zygmunta Lubicza, *Byli i będą* Rodziewiczówny i „Tygodnik Ilustrowany” z 1907 roku.

## Powrót do Trzcianca

2 listopada 1923 roku wyruszyłem do Kraśnika, gdzie uzupełniłem w aptece środki opatrunkowe. Po dwudniowym pobycie w Urzędowie udałem się na posadę do Trzcianca. Po drodze wstąpiłem w Ratoszynie do Lonki, którą zastałem w sieni w porannym stroju. Powitała mnie po parotygodniowym niewidzeniu się chłodno, obojętnie. Zapoznała mnie z „babcią” Lipską, kuzynką Nowakowskiego, która nie radziła Lonce wyjścia za mnie za męża. Wyraźnie Lonka unika mnie, czego ukryć nie może. U prezesa załatwiłem sprawę opału, pan Nowakowski w rozmowie ze mną na temat zamierzanego małżeństwa wyraził zdziwienie.

W godzinach wieczornych stanąłem na miejscu w Trzciancu. Jakie było moje zdziwienie, kiedy Wilk nie wpuścił dzieci do klasy, motywując to tym, że wójt nie uregulował czynszu dzierżawnego za salę szkolną. Zawiadomiłem o tym prezesa i wójta, którzy następnego dnia sprawę lokalu załatwili pozytywnie. Dzieci zaczęły naukę z dwumiesięcznym opóźnieniem. Jak później się dowiedziałem, radny gminy Chojnacki wystąpił z pretensją do wójta, że dzieci nie pobierają nauki z powodu mojej choroby, a władze szkolne na ten czas nie dały zastępstwa. Pomimo opóźnionego czasu materiał naukowy z dziećmi przerobiłem, uczniowie na tym nie stracili.

Siedzę w domu, mało chodzę, dużo śpię, wypoczywam. Regularnie robię sobie opatrunki, codziennie umyвам nogę w ciepłej wodzie. W tym roku nie urządziłem choinki dla dzieci. 23 grudnia wyjechałem na ferie do Urzędowa. Droga była fatalna. W przeddzień błoto zamarzło, utworzyły się grudy, na których wóz posuwał się powoli, podskakując za każdym obrotem koła. Nudziłem się. Nigdzie nie wychodziłem i nikt mnie nie odwiedzał. W drugi dzień świąt i w Nowy Rok Antoś odwiózł mnie do kościoła. Na trzy dni przed odjazdem w alkierzu w obecności Antosia robiłem sobie opatrunek. Ze zdziwieniem zauważyłem, że przy odbandażowaniu na bandażu była gaza zamiast być w ranie. Naraz przy zakładaniu gazy do rany gaza mi nie chce wejść w otwory. Zaczęłem wtykać ją pincetką, nic nie pomaga. Gaza nie wchodzi, a od zranienia pincetką popłynęły kropelki czystej czerwoniutkiej krwi. Gazę położyłem na ranę i zabandażowałem. Następnego dnia gaza leżała na ligninie czysta, a rany równiutko zasklepione. Następnego dnia powtórzyło się to samo. Więc rany się zagoiły i do dnia dzisiejszego po upływie 57 lat nie otworzyły się. Pan Bóg wysłuchał mojej prośby, lekarze pomogli i nogę wyleczyli. Początkowo bardzo ostrożnie chodziłem, noga w kolanie mało

się zginała. Z biegiem czasu mogłem już nawet uklęknąć. Doszło do tego, że kilkanaście lat prowadziłem gimnastykę w klasie VI i VII. Maszerowałem i biegałem na równi z moimi uczniami.

## **Powrót z ferii**

4 stycznia 1924 roku z Antosiem wyruszyliśmy na saniach do Trzcianca. Początkowo przez przedmieścia Mikuszewskie i Rankowskie jechaliśmy rażno bez przeszkód. Na Lubelskiej Górze był już tylko jeden ślad po saniach, który wkrótce się skończył. Teraz jechaliśmy na wycucie. Konie co raz zapadały się w śnieg po brzuchy. Doszło do tego, że konie się przewracały, nie mogąc się posuwać naprzód, a tu dopiero początek podróży, do Radlina i Ratoszyna bardzo daleko. Nie widząc możliwości kontynuowania podróży, zawróciliśmy z powrotem do domu. Co tu robić? Przecież 5 stycznia muszę być w szkole i zacząć lekcje. W sukurs przyszedł szwagier Wł. Wyrostek. Zapewnił nas, że on mnie dowiezie. Teraz ruszyliśmy prosto w pole, na przełaj, nie pilnując się żadnej drogi. Wyrostek, zaopatrzywszy się w długi dwumetrowy kij, ruszył przodem, badając kijem głębokość śniegu. Okazało się, że na równym polu śnieg nie leży grubą warstwą. W ślad za nim Antoś kierował końmi. Przejechaliśmy Wierzbicę, Okręglicę, Godów i dostaliśmy się do Chodla, skąd do Trzcianca droga była już przejezdna, przetarta. W Trzciancu mężczyźni zanocowali i rano drugiego dnia szczęśliwie wrócili do domu, a ja mogłem normalnie zacząć swoją pracę w szkole.

20 stycznia zgłosiłem się do Sawickiego, kierownika szkoły w Chodlu, po dodatek do pensji i tu zastałem Staszycównę. Normalnie przywitałem się ze wszystkimi. Oczywiście i z Janką. Sawiccy tak pokierowali rozmową, że i mnie wciągnęli do rozmowy pierwszy raz po zerwaniu ze Staszycówną. Ona chętnie ze mną rozmawiała, żartowała, czuła się swobodnie. Z tej dłuższej rozmowy wywnioskowałem, że jest rada z tego spotkania i chętnie mnie widzi. Skończyło się na tym, że ją odprowadziłem pod drzwi jej mieszkania. Zarówno Sawiccy, Różycki, Stadnicki, a nawet i Nowakowski radzili mi zerwać z Lonką, a swe afekty skierować do Staszycówny.

W kilka dni po tym udałem się do Chodla po sprawunki, jakie musiałem poczynić w związku z konferencją i lekcją praktyczną, którą miałem za kilka dni przeprowadzić w swojej szkole w Trzciancu. W trakcie zakupów weszła do sklepu Staszycówna celem zaopatrzenia się w produkty żywnościowe dla siebie. Oczywiście przywitałem się z nią, razem wyszliśmy ze sklepu. Po dłuższej rozmowie zaprosiła mnie do siebie na kolację, na co chętnie się zgodziłem. Zastanawiałem się później, co dalej będzie. Moja choroba ostudziła zapał do „żeniaczki”. Brałem pod uwagę Jankę, jej matkę, Karola. Co wpłynęło na zmianę orientacji Jaśki w stosunku do mnie? Po pierwsze:

dowiedziała się, że mój stosunek do Lonki, która w swoim czasie zgodziła się na nasze małżeństwo, zaczyna się pogarszać. Tu w grę wchodziła zazdrość. Po drugie: wszyscy ją namawiają do małżeństwa ze mną. Po trzecie: na naradzie rodzinnej z udziałem jej brata Mariana z Warszawy zapadła uchwała, że źle zrobiła, odrzucając moją propozycję małżeństwa i że trzeba naprawić błąd i poczynić kroki celem zbliżenia się między nami i doprowadzenia do skutku małżeństwa. Po czwarte: od chwili wysłania negatywnej odpowiedzi na moje wyznanie miłości upłynęły równo 2 lata, a tymczasem żaden król z bajki, żaden dziedzic lub ktoś inny z inteligencji, a nawet Zarzycki, o którym często pochlebnie się wyrażała, do niej nie zajął w celu nawiązania bliższego kontaktu, wyznania miłości i chęci zawarcia małżeństwa, nikt nie zjawił się, choć przecież była wolna. A czas uciekał, skończyła bowiem 26 lat i groziło jej staropanieństwo. Przyszła pora do zastanowienia się nad przyszłością, nad zorganizowaniem sobie życia małżeńskiego i rodzinnego. Moja i jej pozycja społeczna, wspólne zainteresowania, wspólna jednokierunkowa praca przemawiały za tym, że ewentualne nasze małżeństwo najbardziej byłoby wskazane. Zdaję sobie sprawę, że moja choroba nogi nie mogła nie mieć wpływu na tę decyzję. Janka namyślała się długo, czy poślubić „kulasa”, jak niektóre jej koleżanki wyrażały się o mnie. Żona aptekarza, pani Dąbska, nie radziła Jance małżeństwa ze mną.

## Na zakręcie

26 stycznia odbyła się u mnie w Trzcińcu konferencja, na której przeprowadziłem lekcję praktyczną dla grona nauczycielskiego gminy Chodel. Lonka na lekcję spóźniła się z powodu braku furmanki. Weszła razem z gronem nauczycielskim szkoły w Ratoszynie. Po konferencji zaprosiłem całe grono gminy Chodel na herbatę. W czasie dyskusji nad lekcją i przyjęcia Lonka bacznie mnie obserwowała. Nawet z Janką nad czymś z zapalem dyskutowała. Po przyjęciu goście zaczęli się rozchodzić, odprowadziłem ich do Huty Borowskiej. Różycki został u mnie na nocleg. W niedzielę z Różyckim pierwszy raz po zagojeniu się ran pieszo udałem się do Chodla. Po nabożeństwie Janka zaprosiła mnie na obiad, po którym razem z Michalakiem wróciłem pieszo do domu. Znalazłem się w głupim położeniu. Z jednej strony oficjalnie byłem narzeczonym Lonki, a z drugiej strony grawitowałem w stronę Janki. Trzeba było rozwiązać ten gordyjski węzeł. Miałem liczne dowody niestałości uczuć względem mnie. Lonka coraz bardziej ulegała wpływom Kołodzieja. Sam oczywiście zastałem ją w objęciach alfonsa, z czym się wcale nie kryła. Stadnicki i inni informowali mnie, że Lonka nocowała u Kołodzieja. Jak przebiegała ta noc łatwo się domyślić, tym bardziej że i Pyzik z Hawryszówną w tym czasie postępował podobnie, o czym pochwalił się swoim kolegom.

Lonka odnosiła się mnie obojętnie, ale w objęciach Kołodzieja czuła się doskonale; nawet w mojej obecności na spacerze pod rękę z moim przeciwnikiem, który grubiańsko nią pomiatał, nie czyniła sprzeciwu.

## **Spoliczkowanie**

1 lutego w Ratoszynie drugi raz zastałem Lonkę i Kołodzieja sam na sam. Wieczorem Maksymowicz z Radlina zorganizował spotkanie w Ratoszynie, w którym udział wzięło kilka osób. W mieszkaniu Pyzika Stadnicki spoliczkował Kołodzieja za obraźliwą krytykę narzeczonej Stadnickiego M. Podhoreckiej, kuzynki Nowakowskiego, panny bez prawej ręki. W tymże dniu późnym wieczorem w oddzielnym pokoiku doszło do rozmowy sam na sam z Lonką. Obcesowo zapytałem czy to prawda, że nocowała z Kołodziejem? Po krótkim namyśle przyznała się bez żadnego usprawiedliwiania, bez odrobiny skruchy. Wypomniałem jej, że w ciągu mojej dwumiesięcznej choroby nie odwiedziła mnie w szpitalu, a tylko jeden raz napisała zdawkowy list. Tłumaczyła się brakiem czasu, czemu zaprzeczyłem. Na zakończenie powiedziałem, że teraz już nie mam nic do roboty w Ratoszynie. Dołączyliśmy się do towarzystwa. Wszyscy bacznie przyglądali się naszym minom, chcąc wywnioskować, jakie zapadły postanowienia w naszym narzeczeństwie. W czasie opuszczania mieszkania odwołałem na bok Kołodzieja i zwymyślałem go. Nazwałem go szubrawcem, łobuzem. Zasłużył, aby mu dać w mordę. Ale szkoda ręki.

## **Zerwanie narzeczeństwa**

Z konfrontacji z Lonką w Ratoszynie wynikało, że nasze drogi się rozchodzą w różnych kierunkach, do czego przyczynił się Kołodziej, Judasz przewrotny, i głupia, naiwna Lonka. Po upływie kilku dni przyszli do mnie dwaj chłopcy z Ratoszyna, wręczając mi list. Rzuciłem okiem na krótką treść listu i wyczytałem zdanie Lonki, abym nie uważał już jej za narzeczoną. Chłopcom kazałem czekać na odpowiedź. Napisałem, że to przyjąłem do wiadomości. Podkreśliłem w liście tym, że lepiej zrobiła, zrywając narzeczeństwo teraz niż później, przez co jesteśmy wolni i nie będziemy siebie zadręczać podejrzeniami i kłócić się w przyszłości. Chłopcom dałem parę groszy i odprowadziłem ich z listem do Lonki. List spaliłem na środku mieszkania, a popiół po zamieceniu podłogi wrzuciłem do wiadra na odpadki kuchenne. Po upływie kilku dni napisałem list do rodziców Lonki, zawiadamiając o zerwaniu z przyczyny Kołodzieja i Lonki.

Węzeł gordyjski został rozwiązany bezboleśnie. Jestem wolny i zadowolony, że nie ja pierwszy zerwałem. Teraz będę żył spokojnie, przestając myśleć o mał-



żeństwie. Lonka zmieniła posadę. Zaczęła pracować w Biskupicach w gminie Jaszczów. Po okupacji widziałem ją w Lublinie w sklepie nauczycielskim, gdzie byłem księgowym. Za mąż nie wyszła. Wyglądała na przygnębioną. Siostra Maryśka wyszła za Partykę z Ratoszyna, syna chłopca.

## **Prosta ścieżka**

Z każdym dniem moje sprawy sercowe zaczynają przybierać realny kształt. Byłem częstym gościem u Jasi, gościem oczekiwanym.

Oto 10 lutego siedzieliśmy obok siebie na otomanie. Matka była zajęta w kuchni, co sprzyjało poufnyim rozmowom. W pewnym momencie Janka rzuciła pytanie o przyczynę picia wódki i palenia papierosów, na co nie dałem odpowiedzi. Po kilku dniach powtórzyła to samo pytanie. Przypomniałem jej pierwszą odmowę na moje wyznanie miłości. Tłumaczyła się nieznaną miłością życia. Wyczułem żal, skruczę wypowiedzianą cicho, nieśmiało. Teraz lepiej poznała mój charakter i oceniła moją wytrwałość. Powiedziałem jej, że może i lepiej się stało 16 maja 1922 roku, gdyż w czasie mojej choroby nie martwiła się o mnie jako o osobę obcą, nie związaną głębszym uczuciem. A może jej nie odpowiadały moje warunki materialne, na co otrzymałem odpowiedź: „Gdyby to było powodem i teraz odpowiedziałabym tak samo, a kolega widzi, że tak nie jest”. Te słowa przyjąłem do wiadomości z wdzięcznością. Złożyłem serdeczny pocałunek na jej ręce.

Poprosiłem o wyhaftowanie na dwóch chusteczkach moich inicjałów, a przy odbiorze wznosiłem pocałunek w rękę, ofiarowując jej kamerton do strojenia skrzypiec. Innym razem wyhaftowała mi monogram do palta, w zamian za to wręczyłem jej album na fotografii.

4 maja 1924 roku wieczorem Jasia z matką urządziły przyjęcie towarzyskie, na które zaprosiły prócz mnie jeszcze inne osoby z inteligencji chodelskiej. Między innymi był też obecny sąsiad Jasi aptekarz Dąbski i ksiądz wikary, prefekt szkolny Machoń. Zebrani czuli się dobrze, swobodnie. Wznoszono toasty na cześć gospodyni domu i Jasi.

W pewnym momencie ksiądz Machoń zaproponował wzniesienie toastu i wychylenie kieliszków na cześć narzeczonych. Słuchałem i uszom nie wierzyłem, że to jest mowa o mnie i Jasi.

Znalazłem się w głupim położeniu. Wszak oficjalnie nie byliśmy jeszcze „po słowie”, więc przyjęcie do wiadomości i podziękowanie jeszcze nie było aktualne, ale protestować nie mogłem, aby nie postawić Jasi w kłopotliwej pozycji. Zaprzeczyć też nie wypadało, aby mojej milej, kochanej sympatii nie urazić i nie czynić przeszkód do zamierzonego oświadczenia się i prośby o rękę. Więc przyjąłem ten toast bez zabierania słowa na ten temat – milczeniem. Jeszcze bez oświadczenia się już wszyscy byli przekonani, że jesteśmy

narzeczonymi. Po przyjęciu goście zaczęli tańczyć w takt gramofonowej muzyki do późnego wieczora.

## **Ostatnie oświadczyiny**

Przeanalizowawszy naszą poprzednią rozmowę, nabrałem przekonania, że sprawa moja jest na dobrej drodze. Teraz należało tylko wybrać odpowiednią porę i oświadczyć się, oczywiście już nie listownie. Wybrałem sobotę 7 czerwca. Na rynku spotkałem kolegę Różyckiego, który poinformował mnie, że Janka wyszła na spacer z Klepcarżówną (on wszystko musi wiedzieć). No i kłapa... Udałem się do listonosza po listy, a potem do Sawickiego po gazety. Zajrzałem do środka mieszkania. W pokoju ciemno, nikogo w mieszkaniu nie ma. Więc we trzech udaliśmy się do Łukasiewicza „na jednego”. Wieczorem już nie zachodziłem. Przenocowałem u Różyckiego. W niedzielę rano 8 czerwca byłem w kościele. Z daleka widziałem ukochaną i ukloniłem się. Po tym spotkaliśmy się i wspólnie udaliśmy się do jej mieszkania. Tu bez długiego wstępu oświadczyłem się. Uważnie wysłuchała moich słów i wyraziła zgodę na małżeństwo. Przypieczętowaliśmy naszą rozmowę długim pierwszym serdecznym pocałunkiem. Od tego czasu przeszliśmy w rozmowie na „ty”.

W drugim dniu Zielonych Świąt, 11 czerwca, poprosiłem o zgodę matkę Jasi, która chętnie zgodziła się na małżeństwo córki ze mną. Wręczyłem narzeczonej pierścionek złoty z rubinem za 50 złotych (parę miesięcy wcześniej w miejsce zdevaluowanych marek wprowadzono złote).

Od tego momentu byłem stałym gościem u Januśki. Ponieważ wszyscy nauczyciele wyjechali na wakacje, więc jakiś czas sypiałem w sąsiednim pokoju koleżanki Drapalskiej. Sawicka wszelkimi sposobami starała się dowiedzieć gdzie sypiam, do tego celu posługiwała się nawet swoją służącą.

Januśka z matką powzięły nagłą decyzję wyjazdu z wizytą do mojej rodziny w Urzędowie. Nie zdążyłem nawet uprzedzić moich domowników, więc rodzice i Frozyna nic nie przygotowali na przyjęcie takich nieoczekiwanych gości. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Po zapoznaniu się z moją rodziną udaliśmy się we trójkę (towarzyszył nam bratanek Janusi Tadzio) do „miasta”. Znajomi uważali Tadzia za syna Jasi, pytali się mnie czy moja narzeczona jest jego matką i czy ja się żenię z „wdówką”. Duży kłopot mieliśmy z furmanką. Powoził Adamczyk, dając swoją kobyłę do pary do ogiera Tomasza Kasperskiego, u którego w ciągu ostatniego roku pobytu w Trzcińcu mieszkałem. Ogier ten zaczął napastować kobyłę nawet zaprzężony do wozu. Adamczyk nie mógł sobie poradzić z „kawalerem” w Chodlu podczas naszego wsiadania na furmankę. Janusia pytała dlaczego koń tak napastuje drugiego, dlaczego się tak „gryzą”. Nie wiem czy nie była świadoma takiego postępowania ogiera, czy tylko udawała, że nie wie.

## **Przygotowania do wesela**

13 lipca udaliśmy się z Janušką do księdza proboszcza Ozimińskiego w Chodlu w sprawie zapowiedzi. Ksiądz przyjął nas bardzo życzliwie i ustalił terminy ogłoszenia zapowiedzi. W Ratoszynie w czasie pobierania dodatku gminnego rozmawiałem z panem Nowakowskim o moim małżeństwie i posadzie dla mnie i żony. Radził mi objęcie posady kierownika szkoły w Radlinie. Z propozycji nie skorzystałem.

W tym czasie 4 sierpnia wypadły moje imieniny (Dominika). Januška poszła do sklepów poczynić zakupy artykułów spożywczych. Po powrocie wręczyła mi chusteczkę kieszonkową. Spodziewałem się, że mi złoży życzenia. Rozczarowany chciałem zaraz odejść do domu. Na prośbę matki zostałem na obiedzie. Korzystając z wolnej chwili, udałem się do inwalidy, skąd przyniosłem pół litra wódki. Jasia była bardzo zgorszona. Poprosiłem ją na kanapkę (miejsce naszych pogawędek) i wyjaśniłem cel tego zakupu. Razem z matką zaczęły mnie bardzo przepraszać, że o imieninach moich nic nie wiedziały. Narzeczoną natychmiast poszła do sklepu kupić zakąskę. Zaprawiła wódkę sokiem, nakryła stół, przy którym siedliśmy do „biesiady”, podczas której obie złożyły mi imieninowe życzenia. Atmosfera była bardzo przyjemna. Niestety, wieczór się zbliżał, zostać nie mogłem, musiałem wracać do swego Trzcina, do pustego pokoiku.

6 sierpnia 1924 roku w towarzystwie matki udaliśmy się do Lublina. Jasia kupiła sobie materiał na ślubną sukienkę, welon i inne drobiazgi, ja zaś kupiłem dla narzeczonej białe pantofle do ślubu i dwie złote obrączki za 53 złote. Potem całą grupką udaliśmy się w odwiedziny do Ludka Staszycza na Tatarach. Żona Ludka przyjęła nas gościnnie. Po sutym obiedzie poszliśmy do urzędu parafialnego przy kościele Nawrócenia św. Pawła (Bernardynów), a otrzymawszy informacje związane ze ślubem, wróciliśmy do Chodla, a ja do Trzcina. Po upływie kilku dni wybrałem się do urzędu parafialnego w Chodlu po dokumenty, które przed ślubem należało złożyć u bernardynów. Jadąc do Chodla, mieliśmy z Adamczykiem przykry wypadek. Na równej drodze kobyła się potknęła i tak nieszczęśliwie upadła pod wóz, że rozbiła sobie nozdrza. Z trudem udało nam się ją podnieść i pojechać dalej. Ten upadek mocno mnie zaintrygował i zaniepokoił. Czyżby to miał być jakiś ostrzegawczy znak? W Chodlu bez żadnych przeszkód skompletowałem dokumenty, oczywiście za opłatą, i następnego dnia pojechałem do Lublina. Janusi w domu nie zastałem, gdyż udała się do krawcowej, która szyła jej sukienkę.

14 sierpnia byliśmy u spowiedzi, a później z księdzem wikarym rozmawiałem na temat mego ukłęknięcia przy ołtarzu. Ksiądz zaproponował nam zrobić próbę. Z trudem ukłęknałem na stopniu ołtarza i bez żadnej pomocy sam z pozycji klęcznej wstałem. Próba udała się. Będę mógł śmiało klęknąć w czasie ślubu.

Na czas załatwiania formalności, zakupów i organizacji wesela na trzy dni zainstalowałem się w Hotelu „Nowopolskim” przy ulicy Świętoduskiej. Januška odprowadzała mnie. Przed udaniem się na nocleg codziennie spacerowaliśmy we dwoje do późnego wieczora. Te spacerunki pod rękę sprawiały mi wielką przyjemność.

Największy kłopot mieliśmy z lokalem, gdzie miało się odbyć przyjęcie gości i urządzenie wesela. Karol miał szczupłe mieszkanie (jeden mały pokój), u Ludka było więcej miejsca, ale na Tatarach bardzo odległych od Śródmieścia. Przyszła nam z pomocą ciotka Ryglewiczowa, odstępując nam własne mieszkanie do naszej dyspozycji przy ulicy Foksal (późniejsza 1 Maja). Ryglewicz z zięciem Wacińskim prowadzili zakład ślusarski w podwórzu za szkołą Arciszowej. Feluś Waciński przejął się naszym kłopotem. Starał się w granicach możliwości dopomóc nam w zorganizowaniu wesela. Sam postarał się o orkiestrę, małą ale dobrze zgraną (skrzypce, akordeon i bęben). W tym czasie reperowali w warsztacie powóz jakiegoś właściciela podmiejskiego majątku. Skontaktował się z dziedzicem i otrzymał zezwolenie na przewiezienie nas do kościoła do ślubu tym powozem, zaprzężonym w parę pięknych „cugowych” karych koni dworskich. Ciotka Ryglewiczowa odstąpiła nam swoją kuchnię do przygotowania posiłków dla gości i czynnie pomagała z córką Leokadią przygotować kolację.

## Wesele

Nareszcie przyszedł dawno z niecierpliwością oczekiwany dzień 16 sierpnia 1924 roku. Januška dłuży czas ubierała się, w czym jej pomagała matka, ciotka i J. Klepcarzówna. Asystentki długo radziły, poprawiały suknię, upinały welon. Zadbaly, aby wszystko dobrze leżało na pannie młodej. Z moim ubieraniem nie było żadnego kłopotu. Kiedy już wszystko było zapięte na ostatni guzik, podeszliśmy z Janušką do matki, prosząc starym zwyczajem o matczyne błogosławieństwo, którego dokonała z wielką uroczystością i rozrzewnieniem. Wsiadliśmy do powozu, a z nami starsza drużna Janina Klepcarzówna, szkolna koleżanka, i drużba Marian Staszyc, brat Januški. Drużna zaopiekowała się bukietem kwiatów, który kupiłem od kwiaciarki. Za nami ruszyła dorożka z matką, ciotką, Wacińskimi, a za nimi dorożką jechali moi bracia Stefan i Bolek. Przy wysiadaniu przed kościołem zauważyliśmy jeszcze jednego pasażera naszego powozu, a był nim Tadzio Staszyc, kilkuletni chłopiec, bratanek Jasi, który w czasie ruszania z miejsca ukradkiem usiadł z tyłu powozu na resorach i w takiej pozycji dojechał do kościoła zobaczyć ślub swojej ciotki, która kilka lat z babcją wychowywała go u siebie w Chodlu. Do kościoła przyjechaliliśmy trochę za wcześnie.

Po otwarciu kościoła ustawiliśmy się pod chórem. Wyszedł ksiądz z zakrytą stii, na organach grała córka organisty, gdyż ojciec jej Pecyk chorował na ból



Młoda para: Dominik Wośko z żoną Janiną z domu Staszyc.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

zębów. Majestatycznie ruszyliśmy do ołtarza. Janusię prowadziłem pod rękę, w drugiej trzymała piękny bukiet kwiatów. Odpowiadaliśmy księdzu spokojnie, z godnością. Przy słowach: „i nie opuszczę cię aż do śmierci” głos mi się trochę załamał ze wzruszenia, ale spokojnie, choć ciszej, odpowiedziałem. Z ukłonieniem przed ołtarzem nie miałem żadnego kłopotu. Na zakończenie ceremonii ślubnej półgłosem ksiądz przemówił do nas w tonie życzliwym, przyjacielskim. Już na środku kościoła znajomi, przyjaciele i członkowie rodziny zaczęli nam składać życzenia.

Po przyjeździe do Ryglewiczów zostaliśmy powitani przez gospodynię domu chlebem i solą. Chociaż mieszkanie było małe, ale wszyscy goście mieli znośne miejsce przy stole. W czasie przyjęcia tradycyjnym zwyczajem musieliśmy z Janusią osłodzić picie serdecznym obopólnym pocałunkiem. Stół był jak na nasze możliwości zastawiony obficie. Po skonsumowaniu kolacji stół i krzesła poutykaliśmy po kątach, aby środek pokoju mógł służyć do tańca. W takt muzyki ruszyły pary. Ja oczywiście w pierwszej parze z moją żoną daliśmy przykład do naśladowania. Matka była zadowolona z przyjazdu syna Mariana z Warszawy, który asystował Jasi Klepcarżównie i ładnie się bawił. Zabawa przeciągnęła się do wczesnego ranka niedzielnego. Moi bracia wcześniej opuścili zabawę, gdyż żaden z nich nie tańczył.

### Po ślubie

Po skończonej „biesiadzie”, tańcach, które trwały do późnej godziny nocnej, gdy byliśmy już zmęczeni tymi przeżyciami, należało pomyśleć o odpoczynku, o śnie. A jak przeżyłem pierwszą noc poślubną? Krótko mówiąc: oryginalnie, nie tak szablonowo, jak to czynią inni młodzi małżonkowie. Ze względu na późną porę, ciasnotę w mieszkaniu, dezorganizację życia normalnego, rozłożyliśmy sienniki i poduszki na podłodze i ułożyliśmy się pokotem. Janusia zajęła miejsce obok matki, a ja ułożyłem się obok Mariana. Inni rozmieścili się, jak komu było wygodniej. Wprawdzie ciotka Ryglewiczowa podsunęła myśl, abyśmy z Jasią ułożyli się do snu obok siebie, ale zarówno żona, jak i ja nie skorzystaliśmy z propozycji. Przespaliśmy noc twardym, choć krótkotrwałym snem jak kawaler i panna.

Po dwóch dniach pobytu w Lublinie złożyliśmy wizytę inspektorowi szkolnemu, panu Płużańskiemu, który oświadczył mi, że z powodu braku miejsca nie będę mógł razem z żoną pracować w Chodlu. To oświadczenie deprymująco wpłynęło na nasze samopoczucie. Tegoż samego dnia wyruszyliśmy w „podróż poślubną” do Niedrzwicy, a stąd furmanką do Chodla. Wieczorem zjawiłem się w Trzcińcu, aby zobaczyć jak wyglądają sprawy po mojej kilkudniowej nieobecności na posadzie.

Rano Wilk oświadczył mi, że nie będę mógł nadal mieszkać u niego, gdyż jemu jest potrzebne mieszkanie. W jednej izbie, która była jednocześnie i kuchnią, nie może się pomieścić jego rodzina, składająca się z sześciu osób. Ale nie to było motywem wypowiedzenia mieszkania. Chciał się zemścić za to, że szukałem żony w Ratoszynie, Chodlu, a nie chciałem się ożenić z jego najstarszą córką, Celiną, którą mi podsuwała Wilkowa. Wilkowi przyrzekłem, że za kilka dni opróżnię mu pokój, w którym przemieszkałem cztery lata, a za który Dozór Szkolny płacił czynsz razem z lokalem szkolnym.

Dowiedziałem się, że Tomasz Kasperski ma mały pokój jeszcze nie wykończony. Tomasz zgodził się za umówioną cenę doprowadzić dla mnie



mieszkanko do stanu używalności. Po kilku dniach chłopcy szkolni pomogli mi przenieść mój skromny dobytek do nowego mieszkania. To obciążało mój stan materialny. Teraz z własnej kieszeni ponosiłem wydatki na czynsz i kupno opału, co poprzednio finansował Dozór Szkolny.

### **Sprawa sądowa**

Moi dzierżawcy gruntu szkolnego zobowiązali się każdej jesieni po zbiorach wypłacać mi za dzierżawiony grunt w naturze – żytem. Jeden z nich, Jurak, widząc, że mój pobyt w Trzcińcu będzie krótkotrwały, postanowił wykorzystać nadarzącą się okoliczność i nie zapłacić. Zagroziłem mu, że będę dochodził zapłaty na drodze sądowej, na co mi odpowiedział, że mnie się zapłata za dzierżawę nie należy, bo mam za pracę w szkole wynagrodzenie ze Skarbu Państwa. Jeżeli sąd zasądzi zapłatę, to wtedy dopiero zapłaci. Sporządziłem podanie do sądu, załączyłem umowę, którą zawarłem z Jurakiem. Po tygodniu otrzymałem wezwanie do sądu w Chodlu. Sprawę rozpatrzył starszy ławnik w zastępstwie chorego sędziego. Zaraz na wstępie zastępca spytał czy Jurak zapłaci. Ten przygotował sobie przemówienie i wyjaśnienie niepłacenia.

Sędzia mu przerwał i zapytał czy to on podpisywał umowę, pokazując ją oskarżonemu. Jurak spojrział na kartkę i przytaknął, że to jest ta sama umowa. Sędzia rzekł: „Skoro tak, to należy dzierżawę zapłacić w ciągu dwóch tygodni”. Jurak jeszcze chciał coś powiedzieć, ale sędzia akta zamknął, podał sekretarzowi i wywołał drugą sprawę. Jurak upokorzony opuścił lokal sądu. Po dwóch tygodniach przyniósł równowartość w pieniądzu za 2 metry\* żyta. Niezależnie od tego musiał pokryć kosztą sprawy sądowej. Takie było rozwiązanie sprawy.

### **Ostatni rok w Trzcińcu**

2 września po nabożeństwie w Chodlu rozpocząłem pracę szkolną. Podobnie jak w poprzednich latach miałem dużo wysiłku przy zorganizowaniu pracy szkolnej, ułatwieniu dzieciom kupna książek i innych pomocy naukowych. Sklep spółkowy został zlikwidowany, co pogorszyło sprawę z aprowizacją. Na jego miejsce Józef Ptasinski otworzył prywatny sklepik we własnym domu, kupionym od Juraka, który swój majątek sprzedał, a kupił sobie nowe, trochę większe, gospodarstwo w Borowie.

Prace społeczne zaniechałem, gdyż teraz w dni powszednie musiałem zająć się rzetelnie sprawami szkolnymi, aby mieć wolną niedzielę celem wyjazdu z Tomaszem do „rodziny” do Chodla. Wracalem furmanką Tomasza

---

\* „Metr” to zwyczajowa nazwa cetnara metrycznego, czyli 100 kilogramów – przyp. red.

w poniedziałek raniutko, aby normalnie zacząć pracę w szkole. To powtarzało się przez rok szkolny 1924/1925.

W latach 1922, 1923 i 1924 zastępca inspektora szkolnego pan Wiśniak wizytował szkołę w Trzcińcu. Ocena pracy: „Metoda dobra. Rezultaty pracy zupełnie dobre”. W czasie pierwszej wizytacji towarzyszył inspektorowi prezes Dozoru Szkolnego pan Nowakowski, właściciel majątku w Ratoszynie. Po przeprowadzeniu wizytacji poprosiłem obu panów do mieszkania. Inspektor zauważył stojący na oknie krupnik (spirytus + miód = pół litra), rzekł: „Na intencję dobrej wizytacji chyba nas pan poczęstuje tym złotym napojem”. Postawiłem pół litra krupniku i kieliszki oraz chleb (zakąski żadnej nie miałem). Po kilku minutach butelka została opróżniona. Odjeżdżając, życzył mi dalszej tak dobrej pracy.

Żona miała kłopoty i nieprzyjemności u siebie we własnej szkole. Chciała nadal uczyć klasę II, a kierownik szkoły pan Sawicki, nie chciał się na to zgodzić. W klasie II zostawił jej język polski i wychowawstwo i dał jej klasę I. Nawet płacz żony go nie wzruszył. Stosunki koleżeńskie uległy znacznemu pogorszeniu między Januską a Sawickim, który mścił się za to, że wesele nasze odbyło się w Lublinie, a nie na miejscu w Chodlu. Ominęła go sposobność uczestniczenia w przyjęciu i dobrej „popijachy”.

Stosunki z żoną układały się pomyślnie ku zadowoleniu obu stron. Natomiast stosunki z teściową układały się mniej pomyślnie. Teściowa chciała dalej przewodzić z pominięciem mojej osoby. Uważała mnie za przybysza, tego, co to wżenił się do nich i teraz chce rządzić i korzystać z mieszkania i jego urządzenia, umeblowania itp. Doszło do kilku nieporozumień: że ją lekceważymy, swobodnie się zachowujemy, nie dajemy jej spokojnie spać itp. Ingeruje w stosunki rodzinne; decyduje do kogo mamy iść z wizytą, kogo u siebie przyjąć, czy pojechać do Urzędowa w czasie świąt, czy kamieniem siedzieć w domu.

W miarę upływu czasu stosunki się polepszają. Stosunki z Sawickimi też uległy poprawie. Każdej niedzieli po rannym nabożeństwie wstępują do nas na drugie śniadanie, gdzie można dobrze podjąć przysmażonej kaszanki, a czasem wychylić „jednego”.

Janusia często wychodziła do pobliskiego sklepu czy do szkoły z odkrytą głową, przeziębila ją i zapadła na migrenę. Skarżyła się na duży ból głowy w godzinach przedpołudniowych. Zażywała tabletki od bólu głowy, kupując sama w aptece, a potem posyłała dzieci. Zauważył to aptekarz, Dąbski. Pytał dzieci, dla kogo to kupują. Po otrzymaniu odpowiedzi powiedział dziewczynkom, żeby powiedziały „swojej pani”, że tak często tabletek sprzedawać nie będzie, bo nadmierne używanie ich jest dla zdrowia szkodliwe. W rozmowie od jakiejś kobiety dowiedziała się, że można tej choroby pozbyć się za pomocą gorczycy. Więc kupiła pół szklanki gorczycy. Utarła ją w moździerz, lekko nawilżyła oliwą, posmarowała czoło i obwiązała dokładnie na noc bandażem. W nocy spać nie mogła, bo piekła ją ta gorczyca. Rano zdjęła ten bandaż

i zobaczyła całe czoło popryszczone i czerwone. Z matką zatrwożyły się na widok takiego zeszpeconego czoła. Aptekarz doradził wyrzucić gorczycę, a czoło obficie nasmarować oliwą. Po kilku dniach wszystko wróciło do normalnego wyglądu. Razem z gorczycą pozbyła się migreny raz na zawsze, do końca swego życia.

## **Zmartwienie Jasi**

Jak zwykle przyjechałem w sobotę do Chodla. Matka w czasie nieobecności żony nieśmiało, oględnie zawiadamia mnie, że Jańcia zaszła w ciążę, której na razie nie spodziewała się. Ona jeszcze nie chce mieć dziecka, stara się uwolnić od płodu. Zapytała się o moje zdanie w tej sprawie. Odpowiedziałem jej, że to dla mnie jest zaskoczeniem, ale jeżeli już tak się stało to niech żadnych zabiegów nie robi, wszak jesteśmy legalnym małżeństwem i nie ma powodu się wstydzić. Nadeszła Januśka. Z mojej miny i zachowania się matki wywnioskowała o treści naszej rozmowy. Po przywitaniu biedaczka rozplakała się. Wziąłem ją w objęcia, ucałowałem, pocieszyłem ją, oświadczając, że to prędzej czy później musiało nastąpić. Płacząc tuliła się do mnie i mówiła, że wie o tym, ale dlaczego to nastąpiło tak prędko, że chciała być jeszcze jakiś czas wolna od obowiązków matki. Wyjaśniłem, że to nastąpiło we właściwym czasie, w połowie października, to jest równo w dwa miesiące po ślubie. Tej sprawy nie można odkładać na lata. Teraz, dokąd jest młoda, łatwiej jej będzie urodzić i wychować dziecko. Jak dobrze się ułoży, będziesz miała swoje ładne dziecko, z czego będziesz zadowolona, patrząc jak rośnie i rozwija się mały człowieczek. Prosiłem ją, aby żadnych zabiegów nie robiła, bo to jest sprawa niebezpieczna, a czyn nieetyczny. Biedulka uspokoiła się i pogodziła z losem. Przrzekłem jej, że w miarę możliwości pomogę jej wychowywać nasze pierwsze dziecko, o którym marzyłem, zawierając związek małżeński.

## **Stosunki towarzyskie**

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowy 1925 Rok. Proponowałem wyjazd na święta do Urzędowa, do czego nie doszło, gdyż matka osobiście udała się do Lublina i sprowadziła rodzinę Karola. Była to ich pierwsza wizyta od zawarcia naszego małżeństwa. Matka i Jasia były bardzo zadowolone, mogąc przyjmować braterstwo. Po kilku dniach Karol z rodziną wrócili do domu. W dniu Trzech Króli doszło do wyjazdu do Urzędowa. Tym razem Frozyna, Antoś i Stefan dołożyli starań, aby nam uprzyjemnić pobyt w moim „starym gnieździe”. Matka i Janusia czuły się dobrze. Antoś urozmaicił nam czas grą na kornecie i na przemian na skrzypcach. Chóralnie śpiewaliśmy kolędy, w czym przodowała matka, z czego bardzo się cieszyłem, że nasze



Rynek w Chodlu, w tle kościół parafialny.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

stosunki tak ładnie się zaczęły układać. Jednokonną furmankę z Trzcianca odprawiliśmy do domu, bo Antoś parą ładnych koni odwiózł nas do Chodla.

Zajęci pracą, nawet nie spostrzeżliśmy jak minął karnawał (bez żadnych zabaw), Wielki Post i nadeszły Święta Wielkanocne. Teściowa z żoną przygotowały posiłek. Zaprosiliśmy gości: dwóch księży, Sawickich, Pietroniową. Teściowa uwijała się po mieszkaniu, z Jańcią podawały do stołu. Goście pięknie się bawili. Dodać należy, że teściowa umiała gości przyjąć i ich bawić.

Z wydarzeń szkolnych to było święto Konstytucji 3 maja, do którego każda szkoła przez kilkanaście dni przygotowywała się. Utartym zwyczajem z kościoła udawała się procesja z chorągwiami pod drewniany krzyż obok cmentarza grzebalnego. Na jaką pamiątkę ta figura była postawiona, tego nie wiedziałem. Pod figurą zebrani odśpiewali „Boże coś Polskę” i litanię. W czasie

marszu młodzież śpiewała patriotyczne pieśni z „Witaj majowa jutrzeńko” na czele. Pod figurą jeszcze było przemówienie o znaczeniu Konstytucji 3 maja. Każda szkoła niosła duży papierowy narodowego koloru sztandar i małe dwukolorowe chorągiewki, przygotowane na lekcjach robót ręcznych. W czasie defilady na rynku przygrywała orkiestra z Księża, słynni na okolicę Mazurzy. Czasem wiatr zerwał papierowy sztandar, a w rękę chorążego został kawałek kija. Najokazalej wyglądał „sztandar” trzciniecki. Na podłodze w pokoju rozłożyłem białą karbowaną bibułkę, a na nią czerwoną, i sklepiłem. Na czerwonym tle umieściłem własnoręcznie wyciętego białego orła, a na białym tle podobiznę Kościuszki i napis „Witaj majowa jutrzeńko” oraz nazwę szkoły. Ten mój sztandar w postaci chorągwi był duży, mocny, napisy czytelne. Za moją szkołą kroczyła młodzież Koła Wiejskiego, ale z flagą narodową biało-czerwoną, a co najważniejsze, że była uszyta z materiału (czerwone i białe płótno). W defiladzie brała udział młodzież szkolna parafii Chodel i gminy Godów powiatu puławskiego. Dziewczynki ze szkoły w Siewalce wystąpiły w strojach ludowych.

## **Tyfus brzuszny**

Zbliżały się Zielone Świąta. Mieliśmy zamiar udać się do Urzędowa, wziąć udział w wielkiej uroczystości odpustowej ku czci św. Otylii, patronki parafii urzędowskiej. W tym dniu do Urzędowa ciągnęły kompanie pielgrzymów z okolicznych parafii. Na spotkanie każdej kompanii wychodziła procesja z miejscowego kościoła, aby przywitać gości z orkiestrą strażacką. Po nabożeństwie ciągnęły grupy pielgrzymów do kaplicy uroczystującej św. Otylii, położonej na skarpie nad łąkami. Tam czerpali wodę z tryskających źródeł i obmywali sobie twarze, wierząc w cudowne działanie wody na wzrok.

W sobotę w czasie lekcji dwóch chłopców przyniosło od Januśki list, w którym wzywa mnie do natychmiastowego przybycia do Chodla. Momentalnie skończyłem lekcje i pojechałem do żony. Jaśkę zastaję w łóżku obłożnie chorą. Matka siedziała przy niej i płakała rozpaczliwie. W domu nikogo więcej nie było. Cisza, smutek w całym mieszkaniu. Teściowa krótko opowiedziała o początku choroby. Januśka często posyłała z lekcji dziewczynki do sąsiednich domów po wodę, aby ugasić pragnienie w upalne dni i dostarczyć organizmowi potrzebnego w czasie ciąży płynu. Po dwóch dniach temperatura ciała podniosła się do 39°C. Chora półprzytomna męczyła się na swoim łóżku. Doktor Lebla, który mieszkał w tym samym domu na I piętrze, radził dać chorej na przeczyszczenie, co stanu zdrowia nie polepszało i bólu głowy nie uspokoiło. Trzeba nieszczęścia, że lekarz na kilka dni wyjechał do Lublina (może, widząc poważny stan choroby, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za nieudane leczenie). Zawezwany felczer Dusicki stwierdził, że to jest połączone z porodem.

Pojechałem do Opoła około 12 kilometrów drogi do lekarza Skroczyńskiego, któremu opowiedziałem o stanie choroby, jednak odmówił mi przyjazdu, motywując swoją chorobą. Poradził mi, abym z tą sprawą zwrócił się do lekarza fabrycznego (cukrownia) doktora Słęka. Tu znów przeszkoda. Musi jechać do chorego do Rudy Maciejowickiej, a bryczka już na niego czeka od godziny. Więc proszę go o wyjazd do Chodla po powrocie od chorego, na co mi odpowiedział, że nie muszę tutaj na niego czekać. Moja furmanka niech jedzie do wyznaczonego miejsca (nazwy nie pamiętam), tam przesiądzie się na mój wóz i razem pojedziemy do Chodla. Tak też się stało. Przesiadł się. Po zbadaniu żony oznajmił nam, że to jest dur brzuszny. Przepisał leki i radzi natychmiast chorą odwieźć do szpitala. Zapytał nas, co mamy zamiar zrobić z płodem, który wcześniej czy później musi umrzeć, a ratować należy chorą.

Rozplakaliśmy się na tę decyzję. Zaproponował nam szpital w Opolu. W domu leczyć będzie niemożliwe; chora musi mieć dobre warunki i lekarza na każde wezwanie. Matka nie chciała się zgodzić na Opole. Woli raczej Lublin bez względu na to, jaki będzie przebieg choroby. Poparł ją Sawicki. Ja w zasadzie zgadzałem się z nimi, tylko nie wyobrażałem sobie, jak tak ciężko chorą w dziewiątym miesiącu ciąży furmanka przewiezie na tak dużą odległość. Udaliśmy się z Sawickim na pocztę i zapytaliśmy się telefonicznie czy w szpitalu będzie miejsce. Po przedstawieniu stanu choroby po pewnej chwili uzyskaliśmy odpowiedź, że zasadniczo miejsca brak, ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, przyjmą chorą do leczenia.

Spakowaliśmy niezbędne rzeczy osobiste, a zeszyty i pomoce naukowe rozdaliśmy dzieciom do odniesienia do szkoły. 3 czerwca 1925 roku o godzinie 12 ułożyliśmy chorą na furmance, otulili pościelą i we troje ruszyli z Chodla do Lublina, żegnani przez przyjaciół, których Januśka miała bardzo dużo, i ciekawą publiczność oraz rozplakane dzieci. Całą drogę jechaliśmy wolno. Często musieliśmy przystawać, aby poprawiać siedzenie chorej, zmieniać pozycję. Najtrudniejszym odcinkiem drogi był przejazd po „kocich łbach” w Bełżycach. Zmuszeni byliśmy zdjąć Janusię z wozu i ten odcinek drogi odbyła pieszo podtrzymywana pod rękę przeze mnie i jej matkę. Przy zdejmowaniu i wsiadaniu jęczała, narzekała, a my nic jej nie mogliśmy dopomóc. Na godzinę 8 z trudem dojechaliśmy do Lublina. Na razie Jasia zatrzymała się u Karola, a my z matką udaliśmy się do szpitala załatwiać formalności. Po kąpieli została umieszczona w separacie. Chorą przyjął na leczenie doktor Korczak. Teściowa uprosiła doktora, aby mogła zostać przy bardzo ciężko chorej córce na noc. Lekarz biorąc pod uwagę stan chorej z ociąganiem zgodził się na pobyt matki razem z córką. Zdawał sobie sprawę, że żadna pielęgniarka nie mogłaby dać takiej opieki, jaką da rodzona matka. Więc matka ubrana w biały fartuch szpitalny czuwała nad chorą i w dzień, i w nocy. Jasia upominała się o poduszki pod głowę, których jej matka dostarczyła kilka sztuk, że wystarczyło pod głowę i plecy. Skrupulatnie podawała płynne pożywienie i dbała o czystość chorej. Liczyła godziny i obserwowała czy nie zacznie się



przedwczesny poród (poronienie). Po każdej wizycie pytała o stan zdrowia, a lekarz ze swojej strony pytał jak chora czuła się podczas snu i na jakie dolegliwości się uskarża. Nawiasem dodam, że obie dużo się modliły, po czym chora stawała się spokojniejsza, a matka mogła się zdrzemnąć w fotelu. Chorą żonę odwiedzałem, ale tylko na odległość. Do środka separatki lekarz mi zabronił wejścia, a matka udzielała mi informacji. Po tygodniu matka powtórzyła mi słowa lekarza, że kryzys mija jak dotąd szczęśliwie. Przyjąłem tę wiadomość z największą radością. Po następnym tygodniu dowiedziałem się, że żonie pozwolił na krótkie chwile usiąść na łóżku przy wydatnej pomocy teściowej, a jednocześnie powiedział Janusi i matce, że „wygraliśmy batalię” i pokonali chorobę. 26 czerwca 1925 roku po 23 dniach choroby żona opuściła szpital bez żadnego szwanku dla płodu. Lekarz zaproponował żonie odbycie połogu w szpitalu. Na krótki czas zatrzymały się obie u Karola, który mieszkał przy ulicy Bonifraterskiej (później Biernackiego), naprzeciwko szpitala. Jakaż była nasza radość, gdy żonę u brata zastałem przy zmywaniu szklanek po śniadaniu. Teraz słuchałem z wielkim zainteresowaniem opowiadania o przebytej chorobie.

Na tydzień musiałem jechać do Trzcianca celem dokonania żniwa na polu. Wracając, przywiozłem bieliznę i pościel. Przygotowujemy się do porodu.

Na propozycję ciotki Ryglewiczowej opuszczamy ciasne mieszkanie u Karola. Zainstalowaliśmy się u Ryglewiczów w mieszkaniu, gdzie przed rokiem odbyło się nasze wesele, przy ulicy Foksal numer 10. Żonie wrócił apetyt. Domagała się obfitego pożywienia. Teściowa stopniowo, powoli powiększała porcje, aby nadmiar pożywienia nie obciążał przewodów trawienia, osłabionych tyfusem. O tym nie wiedziała nauczycielka z Urzędowa, M. Gruchalska, która po przebyciu kryzysu w chorobie spożyła więcej jedzenia, rozchorowała się i skończyła życie w szpitalu. Ciotka zarekomendowała nam doświadczoną akuszerkę. Udałem się do niej i zamówiłem w razie potrzeby przyjęcia dziecka. Chętnie zgodziła się. Teraz we trzy zabrały się do kompletowania bielizny dla noworodka. A czas rozwiązania się zbliżał.

## **Witaj pierworodny**

Wieczorem 18 lipca żona odczuła pierwsze przedporodowe bóle, które nas zaniepokoiły. Kolacji normalnej spożyć nie mogła. Teściowa przygotowała łóżko. Mnie natychmiast posłała po akuszerkę, która się przygotowywała do nocnego snu. Po przybyciu na miejsce zbadała pacjentkę, rozłożyła na stole wszystkie akcesoria, które mogą się przydać w odpowiedniej chwili. Mężczyźni opuścili pokój, aby nie krępować ruchów akuszerki. Biedna Januśka na przemian siadała, chodziła, próbowała się położyć. Zaciskała usta, pojękując cicho. W tych męczarniach minęła krótka noc lipcowa. Rano bóle nasiliły się i przedłużały. Matka przygnębiona i zdenerwowana proponuje

akuszerce wezwać do pomocy lekarza, na co otrzymała odpowiedź, że lekarz jest niepotrzebny. Ryglewicz, syn jego Manius i zięć zabrali się do pracy codziennej w warsztacie ślusarskim, córkę Lodzię i „Dziubę” ciotka wysłała do koleżanek, a ja siadłem na ławce przed domem, próbowałem czytać, ale w czasie jęków żony żadnego słowa przeczytanego nie rozumiałem, zaszedłem do pracujących w warsztacie, ale i tu nie znalazłem uspokojenia. Znow siadłem na ławce. Zaaferowane kobiety pośpiesznie wchodzą i wychodzą, nie odzywając się do mnie żadnym słowem. Poczulem się bardzo osamotniony. W pewnym momencie usłyszałem w mieszkaniu wyjątkowo głośne stękanie chorej i słowa akuszerki: „Jeszcze mocniej, jeszcze silniej, zaraz, zaraz...”. Jęki Janusi urwały się, co mnie mocno zaniepokoiło. Słychać było jakieś przesuwanie mebli, szmer... Po kilku minutach rozległ się nowy krzyk, którego przed tym nie było, charakterystyczny krzyk: „U-a... u-a”. Na ten krzyk wszyscy czekaliśmy kilkanaście godzin. Chciałem już biec do mieszkania, ale zawałałem się, myśląc, czy to nie za wcześnie idę.

W tym momencie wyszła ciotka Ryglewiczowa, mówiąc, że można wejść. Pamiętam ten obrazek: akuszerka owija w pieluszki dziecko, teściowa jej podaje nową pieluszkę, żona cichutko spokojnie leży na łóżku zmęczona, z przymkniętymi oczami i spotniałą twarzą i włosami. Ciotka wynosi miednicę z wodą po umyciu noworodka. Po chwili wszystko się uspokoiło. Ciotka zwróciła się do mnie: „A przywitajże swego syna... patrz jaki ładny”. Natychmiast podszedłem do stołu, na którym dziecko leżało w beciku i złożyłem na czole swego pierworodnego pierwszy gorący ojcowski pocałunek. Radość rozpieła moje piersi, a serce gwałtownie kołatało. Mam synka, którego mi urodziła moja kochana, droga, z trudem zdobyta Januśka. Obok stała akuszerka, uśmiechnięta ciotka i teściowa zadowolona ze szczęśliwego rozwiązania porodu. Zbliżyłem się do łóżka. W tym momencie żona otworzyła oczy. Na ustach pojawił się lekki uśmiech. Ucałowałem moją małżonkę, dziękując jej za urodzenie naszego pierwszego dziecka i to w dodatku upragnionego syna. Uregulowałem należność za ciężką pracę akuszerce, ciotka zabrała się do przygotowywania obiadu dla rodziny, a teściowa jeszcze chwilkę pozostała przy stole, uważnie wpatrując się w swego wnuka. A wnuk tymczasem zaczął płakać, upominając się o pierwszy obiad na tym świecie.

Żona poprosiła, aby teściowa podała jej dziecko do łóżka. Wspólnie podaliśmy nasz skarb Janusi, pomogli jej nakarmić pierwszy raz swoje maleństwo. Pierwszy raz w swoim życiu obserwowałem, jak żona karmiąc przygląda się z rozradowanym sercem swemu drogiemu dziecku. Zapomniała o niedawnych bólach. A działo się to 19 lipca 1925 roku.

Obserwowaliśmy pomarszczoną na rączkach skórkę, dowód niedokarmiania dziecka w łonie matki w czasie ich wspólnej choroby.

Po upływie kilku dni żona wstała z łóżka. Zaczęła powolutku chodzić po mieszkaniu, przygotowując się do chrztu synka. Na wniosek bratowej Karolowej wybraliśmy na pierwsze imię Zdzisław, a na mój dodaliśmy drugie

imię Wincenty, bo w dzień urodzenia 19 lipca było Wincentego a Paulo. Do chrztu podali: Klepcarzówna, nieodłączna koleżanka z seminarium i współpracownica na posadzie nauczycielskiej w Chodlu, i Feliks Waciński, zięć ciotki Ryglewiczowej, współpracownik w warsztacie ślusarskim, a mój inicjator zabawy weselnej w ich mieszkaniu. Synek nasz został ochrzczony w kościele Bernardynów (Nawrócenia św. Pawła) w Lublinie. Po powrocie żony do zdrowia, nie chcąc dłużej przeszkadzać Ryglewiczom i Wacińskim w ich normalnym życiu, postanowiliśmy za parę dni wrócić do Chodla, na miejsce pracy żony, do własnego mieszkania.

## W Chodlu

Januśka z teściową zaczęły robić przygotowania do wyjazdu. Kupiliśmy metalową bujaną kołyskę dla Zdzisia oraz zapas bielizny osobistej i pościelowej. Sprowadziłem półciązarówkę, na której umieściliśmy nasze rzeczy. Obok szofera ulokowała się żona z maleństwem, a ja z teściową usiedliśmy koło spakowanych rzeczy. Podziękowawszy Ryglewiczom za gościnę, ruszyliśmy w podróż, którą odbyliśmy wygodnie, szczęśliwie i prędko. Przy wysiadaniu na chodelskim rynku przed domem pana Nowakowskiego zaczęli nas witać znajomi, koleżeństwo i gromada dzieciaków z klasy żony. Przeżyliśmy przyjemną chwilę: wyjeżdżaliśmy z Chodla furmanką z płaczem i zmartwieniem we troje, a wróciliśmy uradowani samochodem we czworo. Żona z teściową po rozlokowaniu się zajęły się przygotowaniem posiłku dla nas i kąpieli dla synka. Niepokoiło nas to, że dziecko często płakało przeciągle – prawdopodobnie odczuwało jakieś bóle, uspokajało się na czas karmienia go przez żonę piersią.

Po upływie dwóch dni żona, wymęczona chorobami, musiała iść z dziećmi do kościoła na nabożeństwo przed rozpoczęciem pracy w szkole, ja zaś zmuszony byłem udać się do Trzcince po dzieci na nabożeństwo, a matka żony zajęła się wychowywaniem maleństwa. Głupstwo zrobiłem, że nie poczyniłem żadnych kroków celem uzyskania dla żony urlopu macierzyńskiego. W owym czasie ta sprawa nie była należycie uregulowana odnośnymi przepisami prawnymi, tak jak to jest obecnie.

Zorganizowałem pracę szkolną w Trzcince i rozpocząłem normalną naukę z myślą, że znów wypadnie mi żyć „w separacji” podobnie jak to było w ubiegłym roku szkolnym. Po trzech dniach nauki otrzymałem list od kierownika szkoły w Chodlu pana Sawickiego, abym natychmiast przerwał u siebie naukę i zgłosił się do pracy w szkole w Chodlu, gdyż tymczasowa nauczycielka Morawska, po wyjściu za mąż za nauczyciela w gminie Godów pana Wróblewskiego, opuszcza posesję i tym sposobem zwolniło się miejsce w szkole dla mnie. Pospiesznie zgłosiłem się do kierownika, który kategorycznie zażądał rozpoczęcia mojej pracy od dnia jutrzejszego.

Poinformowałem go, że tak nagle nie mogę tego uczynić z powodu braku formalnego przeniesienia na piśmie. Oświadczył mi, że tę sprawę załatwił z inspektorem telefonicznie i uzyskał zezwolenie zatrudnienia mnie w Chodlu. Jeszcze następnego dnia rozpocząłem naukę u siebie. Dzieciom powiedziałem, że już ich od jutra nie będę uczył, gdyż przeniesiony zostałem do Chodla. Dzieci posmutniały, dziewczynki fartuszkami zaczęły ocierać łzy z oczu. Pożegnawszy się z nimi, udałem się do opiekuna Bednarskiego z prośbą o przejęcie inwentarza szkolnego. Zdziwiony opiekun zapytał o przyczynę opuszczenia dotychczasowej osady. Musiałem mu opowiedzieć o moim małżeństwie, przybyciu dziecka na świat i konieczności przeniesienia się do żony, abyśmy mogli razem mieszkać i pracować w jednej szkole. Prędko zapoznałem go ze stanem inwentarza, sporządziliśmy w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach protokół zdawczo-odbiorczy. Po pożegnaniu się z nim załadowałem swoje rzeczy na wóz, którym Kasperski ostatni raz odwiózł mnie do Chodla.

4 września rozpocząłem pracę w nowej szkole z III klasą. Po kilku dniach otrzymałem na piśmie z Inspektoratu przeniesienie z ważnością od dnia 1 września 1925 roku. Więc teraz już zostałem w Chodlu. Nie zdążyłem pożegnać się z Wilkami, którzy mi okazali wielką pomoc przy zainstalowaniu się w pierwszych tygodniach w Trzcińcu przed pięcioma laty. Pożegnanie to nie byłoby rozczulające. Wilk miał do mnie żal, że urząd gminny odmówił mu bonifikaty podatku, jak to uczynił w stosunku do Franciszka Ptasińskiego, którego dwaj synowie byli w wojsku. Nie miał kto pracować w gospodarstwie i przy obsłudze pasieki. Podania napisałem dla obu gospodarzy, wyluszcżając powody bonifikaty. Przeczytałem im. Wilk powiedział, że tak napisałem, aby podatek dla niego nie był anulowany, więc wójt odmówił mu spełnienia prośby.

## W Chodlu, 1 września 1925 – 31 sierpnia 1928 roku

Zainstalowaliśmy się w mieszkaniu Janusi w domu pana Nowakowskiego w Chodlu, w rynku. Dom ten, jednopiętrowy, zbudowany z białego wapieniaka, górował nad innymi, przeważnie parterowymi domkami. Na parterze znajdował się sklep spożywczy, spółdzielczy, apteka pana Dąbskiego i jego mieszkanie, mieszkanie nasze, składające się z jednego pokoju i ciemnego przedpokoju, mieszkanie koleżanki Drapalskiej oraz wspólna kuchnia. Na piętrze był posterunek policji i mieszkanie komendanta Białkowskiego oraz gabinet lekarski doktora J. Lebli i jego mieszkanie. Na piętrze było jeszcze jedno mieszkanko (jeden pokojik) zamieszkane przez kolegę Różyckiego, garbatego, kawalera. Mieszkanie nasze było zaciszne, ale za małe na naszą rodzinę: teściowa, ja, żona i nowy lokator Zdziś, najmniejszy, ale najgłośniejszy. Wnuk teściowej, Tadzio Staszyc, pozostał u swoich głuchoniemych rodziców w Lublinie. Uczęszczał do szkoły na Czwartku w Lublinie do klasy V,



Dom pana Nowakowskiego przy rynku w Chodlu. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

w której przesiedział równo trzy lata, do czego przyczyniła się mała zdolność, brak chęci do nauki i niedopatrzenie ze strony upośledzonych rodziców. Na facjatce mieszkała wdowa Pacholska z córką i dwoma synami. Na piętrze była jedna sala szkolna, w której uczyła moja żona po południu klasę II. Na podwórzu były komórki na opał lokatorów, był również areszt gminny, w którym odbywali karę aresztowani za drobne przestępstwa, a także ludzie zatrzymani przez policję za naruszenie porządku publicznego. Sąsiedztwo to nie było przyjemne. Często było słyhać „śpiew” pijaków, przekleństwa i krzyki niecenzurowane aresztowanych.

## W domu

Tak nam się warunki ułożyły, że teściowa wzięła na swoje barki ciężką pracę prowadzenia gospodarstwa: sprzątanie mieszkania, gotowanie posiłków, a co najważniejsze – wychowywanie naszego pierworodnego synka Zdzisia. Z tym mieliśmy poważny kłopot. Dziecko bardzo często płakało, wilo się od jakichś wewnętrznych bólów, zanosilo się od krzyków. Teściowa, doświadczona matka w wychowywaniu swoich własnych pięciorga dzieci, nie mogła sobie poradzić z naszym maleństwem. Nosiła go, huśtała, kąpała, prała pieluszki. Całym szczęściem, że mogliśmy jej trochę pomóc. Żona uczyła w sali szkolnej w tym samym domu II klasę (około 40 dzieci), mogła zajrzeć do mieszkania w czasie przerw międzylekcyjnych i pokarmić synka piersią. Ja uczyłem klasę III rano, a po południu mogłem w miarę swoich możliwości pomóc w wychowywaniu dziecka. Nosiłem go na rękach, chodząc rytmicznym, umiarkowanym krokiem po mieszkaniu. Synek uspokajał się i zasypiał w beciku na rękach. Ostrożnie układałem go do kołyski. W domu zapanował na parę godzin spokój, co umożliwiło teściowej przygotowanie obiadu. Produkty kupowaliśmy z żoną w miejscowym sklepie. Parę razy tygodniowo Żydówka „Krzywonosek” przynosiła mięso lub kurczaka na obiad. Życie pomimo tych trudności układało się harmonijnie. Wieczorem zabieraliśmy się z żoną do poprawiania zeszytów i przygotowania lekcji na dzień następny. Dziecko nakarmione piersią, napojone zaparzoną rumianką uspokajało się i zasypiało na krótko. Zwolniona teściowa wcześniej układała się do snu, aby odpocząć i nabrać sił do pracy następnego dnia. Po kilku miesiącach bóle stopniowo przestawały dokuczać i męczyć synka. Odetchnęliśmy.

## W szkole

Warunki w szkole układały się nam pomyślnie; panowała harmonijna współpraca koleżeńska, życzliwość wzajemna między współpracownikami i rodzicami dzieci. Szczególną sympatią cieszyła się Januśka. Młodzież star-



szych klas pobierała naukę w głównym własnym, parterowym, murowanym domu na skraju osady, na miejscu dawnego cmentarzyska w pobliżu brzożowego zagajnika. Dzieci początkowych klas uczyły się w wynajętych lokalach: w domu pana Nowakowskiego w rynku była jedna obszerna i wygodna sala, druga mniejsza w pobliżu głównego budynku, u Białkowskiego. W głównym budynku prócz trzech izb szkolnych i malutkiej kancelarii było mieszkanie kierownika szkoły pana Ludwika Sawickiego z Borszczowa (wschodnia Galicja), w którym mieszkał z żoną i trojgiem dzieci w dwóch pokojach z kuchnią. Dozór Szkolny z wójtem gminy Chodel, panem Krzeszowskim, postanowili nadbudować z drewna główny budynek. W tym celu zwieziono już trochę materiału budowlanego w postaci kilkunastu sosen. Architekt powiatowy miał jakieś zastrzeżenia co do budowy. Sprawa rozbudowy szkoły utknęła w miejscu. Z biegiem czasu materiał budowlany został rozkradziony i do budowy nie doszło. Taka wyżej zorganizowana szkoła jedna jedyna na terenie gminy była konieczna.

Grono nauczycielskie w Chodlu:

kierownik szkoły Ludwik Sawicki – doświadczony pedagog,

Janina Staszyc-Wośko – pracowita, zdolna, sympatyczna,

Janina Klepcarzówna – pracowita, trochę sztuczna,

Joanna Lipowcówna – nie otrzymała świadectwa maturalnego,

Józef Różycki – lwowiak, pracowity, wścibski,

Jan Stadnicki – lwowiak, zdolny, studia na KUL, Ukrainiec,

Zofia Drapalska – z Galicji, pracowita,

Zofia Rachalska – starsza nauczycielka, praktyczna,

Albrecht – student KUL, pracowity, koleżeński.

Prefektem był ksiądz wikary Stokrocki (proboszczem parafii Chodel był ksiądz Piotr Ozimiński – staruszek; w tej parafii był kiedyś proboszczem ksiądz Piotr Ściegienny, rewolucjonista, skazany na katorgę przez rząd carski).

W klasie III, liczącej 42 dzieci, zabrałem się do pracy. Moją pracą systematyczną i miłym stosunkiem do dzieci zyskałem u dzieci i rodziców zaufanie i sympatię. Teraz miałem na lekcji do czynienia z jedną klasą, więc mogłem ześrodkować swój wysiłek w jednym kierunku. Nie rozpraszałem uwagi na inne oddziały, jak to było w Trzcincu. W klasie miałem trzech uczniów żydowskich i dwie dziewczynki Żydówki. Tu miałem trochę kłopotu, gdyż w młodszych klasach dzieci żydowskie pomimo usilnej pracy i starań dzieci z powodu braku znajomości języka polskiego nie mogły wypowiedzieć się i wykazać znajomości przepracowanego materiału. Po opanowaniu języka polskiego były dobrymi uczniami. Stosunki koleżeńskie między dziećmi polskimi i żydowskimi układały się pomyślnie, bez zadrażnień.

Kierownik szkoły obdarzał mnie pełnym zaufaniem. Często powierzał mi czynności, które sam winien wykonać. Na przykład 11 listopada 1925 roku powierzył mi zorganizowanie pochodu z całą szkołą z okazji piątej\* rocznicy

\* Tak w oryginale, w roku 1925 była siódma rocznica odzyskania niepodległości – przyp. red.

Odzyskania Niepodległości Polski. Czwórkami, ze śpiewem patriotycznych pieśni, obeszlśmy dokoła kilka razy rynek. Pochód około 300 dzieci wzbudził duże zainteresowanie widzów (kierownik w tym czasie pojechał z wizytą do nauczycielki do Trzcina). Powierzał mi często lekcję o Polsce współczesnej w klasie VII. Do takiej lekcji musiałem się gruntownie przygotować, gdyż takiego przedmiotu w seminarium nie uczono. Musiałem być mądrzejszy od dzieci o jedną lekcję naprzód.

## **Zmiany mieszkań**

W rok po moim sprowadzeniu się do żony zjawił się u nas właściciel domu Nowakowski i oznajmił nam, że w ciągu kilku dni mamy to mieszkanie opróżnić dla Żyda Cukiermana, który kupił od niego tę kamienicę. Zdziwiło to nas i mocno zaniepokoiło. Widząc nasze zafrasowane miny, pocieszył nas, że postara się dla nas o mieszkanie zastępcze. Po krótkiej naradzie zaproponowaliśmy mu, aby Pacholska z facjatki przeniosła się do innego domu, a my zajmiemy jej małe mieszkanie. I tak się stało.

Więc zamieszkaliśmy w tym mieszkaniu, składającym się z małego, niskiego pokoju i malutkiej kuchni. W parę dni po zainstalowaniu się złożył nam wizytę nowo przybyły do parafii ksiądz Zieliński, syn felczera w Modliborzycach. W trakcie rozmowy podszedł do kołyski do siedzącego Zdzisia. Wziął go na ręce, zaczął huścić, a potem ze słowami: „Rośnij duży” podniósł go do góry. A ponieważ mieszkanie było niskie, a ksiądz młody, dobrze fizycznie zbudowany, wysoki, wznosząc dziecko do góry stuknął głową synka o sufit. Dziecko się rozplakało, my zaniepokojeni tym uderzeniem wzięliśmy płaczącego Zdzisia i obejrzelni jego główkę. Na szczęście dziecku nic się nie stało; nawet dużego guza nie było. Wizyta nie udała się dla obu stron.

W tym mieszkaniu spędziliśmy niecały rok. Było zbyt szczerpłe dla nas czworga członków rodziny. Do dziecka zaangażowaliśmy 16–18-letnią Julkę Wyroślakównę z Chodla. Niania serdecznie zajęła się dzieckiem, które próbowało stawiać pierwsze kroki. Teściowa została trochę odciążona. Dokładniej mogła się zająć sprawami domowymi. Tak się złożyło, że urząd gminy został przeniesiony do prywatnego domu wójta i sekretarza gminnego w jednej osobie pana Wiktora Krzeszowskiego. Z gospodynią domu, teściową wójta, panią Bogusławską doszliśmy do porozumienia i za umówiony roczny czynsz płatny z góry zajęliśmy mieszkanie. Nawiasowo wspomnieć należy, że instytucje i urzędy w Chodlu były w wynajętych prywatnych domach:

a) Urząd gminny mieścił się początkowo w domu Bogusławskiego, a później został przeniesiony do prywatnego domu wójta-sekretarza gminnego pana Krzeszowskiego.

b) Posterunek policji rozlokował się w domu pana Nowakowskiego. Urzędował sierżant Grabowski, Nowak, a później Białkowski.



Zdzisław Wincenty, syn Janiny i Dominika, w wieku około 8 miesięcy. Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

c) Lekarz pan Lebla mieszkał i przyjmował chorych w domu Nowakowskiego, a felczer Dusicki we własnym domu, położonym tuż koło cmentarza grzebalnego.

d) Ksiądz proboszcz Ozimiński mieszkał i urzędował w domu żydowskim Cukiermana w rynku.

e) Urząd pocztowy i mieszkanie prywatne pana Sadurskiego mieściło się w domu Bogusławskiego.

f) Organistówka i sala prób chóru kościelnego były w prywatnym domu organisty - rolnika, pana Morawskiego.

g) Apteka i mieszkanie państwa Dąbskich znajdowały się w domu pana Nowakowskiego w rynku.

h) Sklep spożywczy - spółdzielczy w domu Nowakowskiego.

i) Szkoła miała swoje lokum, ale w miarę rozwoju gmina i Dozór Szkolny odnajmowali salę w domu Nowakowskiego i drugą w domu prywatnym Białkowskiego.

Jedna i jedyna remiza strażacka miała swoje lokum we własnym murywanym domu w „brzózkach” koło cmentarza grzebalnego. W tej remizie odbywały się zebrania gminne, imprezy kulturalno-oświatowe, posiedzenia rady gminnej i doraźne zebrania sądu pokoju.

## Zdziś

Zdziś nam podraślał. Widocznie bóle mu minęły. Sypia spokojnie. Budzi się wtedy, gdy ma mokro, o czym daje znać płaczem. Po zmianie pieluszek znów spokojnie zasypia. Leżąc w kołysce, bawi się swoją nóżką. Za wszelką cenę stara się palec nóżki włożyć do ust, ale tego dopiąć nie może, co go denerwuje. Bardzo lubił się kąpać w waniencie. Był niezadowolony, gdy go babcia z mamą zaczynały wycierać ręcznikiem. Julka go chwyciła i obcałowywała nieraz tam, gdzie nie trzeba, ku zgorszeniu żony, a szczególnie teściowej, która poza nim nie ma nic droższego na świecie. Często stawaliśmy całą gromadką i obserwowaliśmy zachowanie się dziecka. Na dźwięk dzwonka natychmiast reagował, zwracał w tę stronę główkę i wyciągał rączki po niego. Cieszyliśmy się, że dobrze słyszy, a szczególnie babcia, gdyż obawiała się głuchoty. Dość wcześnie zaczął „gaworzyć”, wymawiać jakieś sylaby. Ulubioną zabawką była grzechotka, którą nieporadnie chwycił rączkami i podnosił do ust. Po roku zaczął chodzić przy pomocy babci i Julki. Jakaż była nasza radość, gdy pierwszy raz odważył się samodzielnie postąpić kilka kroków od stołu do krzesła, z czego był bardzo zadowolony. Z nowej pozycji obejrzał się, aby skontrolować przebyta „drogę”. Za poradą doktora Trojanowskiego żona zaczęła go dokarmiać kaszką manną z mlekiem. Pokarm z piersi żony zaczął mu nie wystarczać. Po kilku tygodniach żona z teściową postanowiły zaniechać karmienia piersią. Przeszedł na własny „wikt”, na kaszkę. Pierwszego dnia zdawało się, że pogodził się z losem i zjadał swoją porcję w oznaczonych godzinach. W ciągu następnych dni dopominał się o pierś. Zanosił się od płaczu i rozpaczliwie wołał: „Mamo dań titi”. Żonie stanęły łzy w oczach, zawahała się czy znów przedłużyć karmienie piersią, tym bardziej że żołądek nie trawił należycie nowego pokarmu. Już miała zamiar poczęstować go dawnym przysmakiem. Okazało się, że pokarm w piersi zaczął zanikać, wyciśnięty był gruzelkowaty, nie nadawał się już dla dziecka. Babcia prócz kaszki dawała mu po jedzeniu trochę zaparzonego rumianku. Żołądek zaczął funkcjonować normalnie, mamusia mniej się do dziecka zbliżała. Karmienie piersią poszło w zapomnienie.

W tym okresie przeżywaliśmy jeden dzień trwogi. Od uderzenia pioruna powstał w Chodlu groźny pożar. Wprawdzie paliły się drewniane domy

w dalszym sąsiedztwie, ale łatwopalne drewno sprzyjało poszerzeniu się pożaru. W pobliskiej studni zabrakło wody, ale za to była dostateczna ilość wody w strumieniu koło domu Woźniakowskiego i w nieco dalszej odległości w rzece Chodelce. Straż pożarna i mieszkańcy Chodla nie dopuścili do dalszego poszerzania pożaru. Po kilku godzinach wyteżonej akcji pożar zlokalizowano. Spaliło się kilka domów. Skończyło się kilkugodzinnym strachem. Fakt ten zmobilizował wójta do budowy remizy strażackiej.

## **Wotum nieufności**

Na konferencjach i zebraniach Ogniska Nauczycielskiego gminy Chodel często padały zarzuty pod adresem prezesa Dozoru i wójta o niedbałe traktowanie spraw szkolnych: niepunktualne wypłaty za wynajęte izby szkolne właścicielom domów, co wprowadzało zdrażnienia między gminą, Dozorem Szkolnym a nauczycielstwem, które tą sprawą najbardziej było zainteresowane, częsty brak opału dla szkół, brak pieniędzy na utrzymanie porządku i czystości w szkołach, zaleganie z wypłatą należności nauczycielom na mieszkanie, brak budowy budynków szkolnych, brak zaopatrzenia szkół w najniezbędniejsze pomoce naukowe. Inspektorzy szkolni stawiali coraz większe wymagania nauczycielom w tym względzie, co przyczyniało się do zaognienia stosunków między nauczycielami a władzami szkolnymi. W Ratoszynie doszło do tego, że kierownikowi szkoły Pyzikowi zagrożono dyscyplinarnym dochodzeniem za zły stan gospodarki szkolnej. Na zebraniu Ogniska doszło do gwałtownej dyskusji na powyższe tematy. Na wniosek kierownika z Chodla pana Sawickiego i kierownika szkoły w Ratoszynie pana Pyzika jednogłośnie została podjęta uchwała wyrażenia wotum nieufności dla prezesa Dozoru Szkolnego pana Nowakowskiego. Wyciąg z protokołu z wnioskiem nieufności został przesłany do Inspektoratu Szkolnego w Lublinie. W czasie najbliższego pobytu prezesa Dozoru w Inspektoracie Szkolnym doszło do dyskusji na ten temat. Oburzony prezes złożył rezygnację ze sprawowania funkcji prezesa. Wiadomość tę przyjęli z oburzeniem okoliczni ziemianie i wójt gminy. Uważali bowiem, że stała się krzywda prezesowi, któremu tak się odwdzięczyli nauczyciele za jego ofiarną społeczną pracę. W tym było trochę racji. Dotąd sprawy finansowe prezesa były stosunkowo dobre, pomagał nauczycielom, ale to trwało stosunkowo krótko. W miarę rozwoju kryzysu gospodarczego w Polsce na spłatę obciążeń finansowych majątku prezes zmuszony był sprzedać Żydkom las, kamienicę w Lublinie, młyn w Rudzie, kamienicę w Chodlu. O dalszym łataniu dziur w finansowaniu spraw szkolnych nie mogło być mowy, a nauczyciele domagali się regulowania przysługujących im należności. Każdego petenta Filipina, zaufana garderobiana, nie wpuszczała do dworu, tłumacząc nieobecnością pana dziedzica w domu. W tym pomagał jej Morus, bardzo zły pies, wylegający się na ganku dworu. Mnie też spotkała taka „przyjemność”, kiedy

Morus zagroził mi drogę i porwał mi całą nogawkę u spodni na strzępy, lekko kalecząc swymi zębami nogę. Byłem bardzo zdenerwowany tym psim wyczynem. Do dworu szedłem nie dla przyjemności, a celem załatwienia mojej życiowej sprawy szkolnej.

W ciągu kilku tygodni nie mieliśmy prezesa Dozoru; sprawy finansowe przez ten czas załatwiał nam wójt. Na wniosek nauczycieli został prezesem pan Truszkowski, kuzyn Nowakowskiego, który we dworze pełnił funkcję administratora majątku w Ratoszynie. Interesantów-nauczycieli załatwiał w swoim mieszkaniu. Tu ani Filipina, ani Morus nie odgrywali żadnej roli.

Pan Nowakowski nie omieszkął zemścić się na projektantach wotum nieufności. Kolega Pyzik po kilku miesiącach, ożeniwszy się z krawcową, musiał opuścić Ratoszyn. Na towarzyskim zebraniu-przyjęciu i „popijaszce” u wójta w czasie toastu swoją porcją wódki pan Nowakowski oblał twarz koledze Sawickiemu. Towarzystwo z aplauzem przyjęło ten wyczyn byłego prezesa. Po kilku miesiącach Sawicki przeszedł na emeryturę i, pobudowawszy sobie willę, zamieszkał z rodziną w Świdniku.

Po upływie roku pan Nowakowski sprzedał majątek w Ratoszynie i z rodziną wyemigrował do robotniczej Łodzi. Żona jego, była nauczycielka w Ratoszynie, po ukończeniu Wyższego Kursu Nauczycielskiego objęła posadę nauczycielską w Łodzi. Nie wiem jak się poczuła na nowej posadzie, ucząc dzieci proletariatu, do którego będąc „dziedziczką” czuła wstręt. Czekaając na prezesa w gabinecie, usłyszałem przez otwarte drzwi, jak mnie nazywała „socjał” podczas swego obiadu.

## Ocena mojej pracy

Na wniosek nowego prezesa Dozoru Mariana Truszkowskiego Rada Szkolna przy Sejmiku Powiatowym w Lublinie powołała mnie do składu Dozoru w charakterze sekretarza. Przejeliśmy z prezesem dokumenty Dozoru. W pierwszym rządzie uporządkowaliśmy sprawę inwentaryzacji. Dotychczas każda szkoła zakupione pomoce inwentaryzowała w zwykłym zaszczyt szkolnego typu. U siebie Dozór Szkolny spisu inwentarza nie posiadał. Drukarnia Dżala na nasze zamówienie przygotowała duże, w twardej i estetycznej oprawie, książki inwentarzowe dla każdej szkoły i jedną grubą dla całej gminy. Teraz prezes w każdej chwili mógł się zorientować, co każda szkoła posiada i czego jej brakuje. Nowo nabyte pomoce księgowaliśmy u siebie, a kierownictwo szkoły to samo czyniło w swojej książce.

W dalszym ciągu byłem sekretarzem Ogniska Nauczycielskiego oraz płatnikiem na gminę Chodel. Poprzednio pobory nauczycielskie pobierał w Inspektoracie prezes i rozprawdzał na terenie gminy dla każdego nauczyciela. Obecnie płatnik gminny pobierał pensje i wypłacał poszczególnym nauczycielom. Dla nauczycieli była to sprawa ułatwiona, ale dla płatnika





Przed szkołą powszechną w Chodlu, 1927 rok. Dominik Wośko stoi pierwszy z prawej, kierownik szkoły Sawicki stoi pierwszy z lewej, Janina Wośko siedzi druga od prawej w środkowym rzędzie, czwarta od prawej Janina Klepcarzówna (z białym kołnierzem), w pierwszym rzędzie na środku stoi 2-letni Zdziś. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

bardzo uciążliwa. Tym bardziej, że został wprowadzony bilon, którego przewiezienie nastroczało wiele kłopotów. Po pobory jeździłem furmanką Ciekuta, który przewoził pocztę do Niedrzwicy, a dalej pociągiem. Dla samoobrony musiałem kupić rewolwer. Złożyłem podanie do starostwa w Lublinie na prawo kupna i posiadania broni. Starostwo zażądało od komendanta posterunku w Chodlu opinii o mojej osobie. Po kilku dniach komendant Nowak oznajmił mi o przychylnym załatwieniu sprawy z podkreśleniem „oblania” tego interesu. Rad nie rad musiałem się na to zgodzić. W knajpie u Żydka Chanyna zasiedliśmy do „popijachy” (ja, komendant i dwóch posterunkowych). Ponieważ nie miałem „wprawy”, po kilku kieliszkach ze śledziem poczułem się niedobrze. Musiałem w pośpiechu opuścić towarzystwo, aby nadmiaru się pozbyć. Nie było to ani przyjemne, ani budujące. Tym bardziej, że syn Chanyny był moim uczniem. Po tygodniu otrzymałem pozwolenie. Kupiłem belgijski rewolwer 4,35 i naboje. Tak uzbrojony jeździłem co miesiąc do Lublina po pobory. Raz jeden, wracając z Lublina bryczką z Truszkowskim, w pobliżu Bełżyc wieczorem w lesie zatrzymało nas dwóch mężczyzn. Zaświecili nam w oczy latarką elektryczną, popatrzyli na mnie i Truszkowskiego, przeprosili i oddalili się w las.

W czasie Świąt Wielkanocnych odwiedziliśmy Karola, brata żony. W ustępie rewolwer wypadł mi z kieszeni na podest, odbił się od deski i wpadł

w „oczko”. Syn właścicielki domu opróżnił dół kloaczny i wyciągnął „zdobyczą” w opłakany stan. Kosztowała mnie ta operacja pół litra wódki z zakąską.

W roku 1939 w czasie mobilizacji komendant posterunku w Biskupicach zarekwirował broń i tyle ją widziałem.

W roku 1926/1927 w Chodlu przeprowadził wizytację szkoły inspektor szkolny Jakubiński. Był obecny na dwóch lekcjach. W arkuszu ocen zapisał: „Inteligentny, sumienny, pracowity, zdolny. Uczy z zamiłowaniem. Metoda dobra. Wyniki pracy dobre”.

Po wyjeździe kolegi Stadnickiego, który zaocznie ukończył KUL, objąłem w klasach VI i VII fizykę i chemię.

W roku 1927/1928 dokładną wizytację przeprowadził Michał Pawlak, który w arkuszu ocen napisał: „Bardzo sumienny, pilny i pracowity. Do lekcji przygotowany. Zawód swój traktuje poważnie. Docenia znaczenie pomocy naukowych i zaopatruje w nie szkołę. Cieszy się zaufaniem ludności. Wpływ wychowawczy dodatni. Wiadomości uczniów bardzo dobre. Ocena bardzo dobra”. Był u mnie na pięciu lekcjach pod rząd. Należy podkreślić, że był bardzo wymagający od nauczyciela i uczniów. Po upływie tygodnia od skończonej wizytacji otrzymałem pisemne wezwanie do Inspektoratu. Jadąc do Lublina, rozmyślałem nad powodem do stawienia się przed oblicze inspektora. W myśli szukałem przyczyny, a może winy za jakieś zaniedbanie czy przeoczenie. Bo chyba za to, że czasem łobuziaka, chcąc go przywołać do porządku, pociągnąłem za nos. Zaraz od progu odezwał się inspektor: „Czekam na pana”. Otworzył szufladę od biurka, podał maszynopis na ćwiartce arkusza i powiedział, abym to podpisał. Pośpiesznie, nie czytając, podpisałem i zwróciłem do rąk inspektorskich. „Nie przeczytał pan?” padło zapytanie. „No to ja panu przeczytam: Za gorliwą, sumienną i owocną pracę w nauczaniu i wychowaniu młodzieży został pan nagrodzony kwotą 25 złotych”. W czasie tego czytania obserwowałem wyraz twarzy pana Pawlaka czy prawdę mówi, czy sobie ze mnie kpi. Odłożył papierek na bok, sięgnął do kasetki i wręczył mi 25 złotych brzęczącą monetą. Wtedy przekonałem się naocznie, że nie kpił ze mnie. Przed odejściem jeszcze dorzucił: „Niech pan dalej tak pracuje”.

Pożegnawszy się serdecznie, wyskoczyłem z biura, zbiegłem po schodach i na ulicy zacząłem przeżywać tak dla mnie ważny i przyjemny moment w moim życiu. W kilka dni później dowiedziałem się, że taką samą nagrodę otrzymał kierownik szkoły w Ratoszynie Sitarczuk. W gminie pracowało 32 nauczycieli, a nagrodę otrzymało tylko dwóch. W niektórych szkołach nauczyciele otrzymali naganę na oczach uczniów w klasie. W Borowie sam inspektor zaczął lekcję, bo koleżanka Krauzówna spóźniła się. W Zosinku uczył dzieci prawidłowo śpiewać hymn narodowy itd.

W tym czasie inspektor Pawlak wizytował również klasę Janusi. Obie lekcje się udały. Po skończonej wizytacji dał żonie do przeczytania ocenę pracy. Uważnie obserwował czytającą. Zapytał żonę: „Czy pani zadowolona

z tej oceny?”. Rozpromieniona odpowiedziała: „Tak, bardzo jestem zadowolona”, na co rzekł inspektor: „Tak napisałem, bo na taką ocenę pani zasłużyła swoją gorliwą pracą”. W domu opowiadaliśmy teściowej o przebiegu wizytacji, z czego matka była bardzo zadowolona, dodając, że wszystko byłoby dobrze, gdyby jeszcze do Lublina było bliżej. Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej kierownik złożył ogólne sprawozdanie o wyniku wizytacji i podziękował gronu nauczycielskiemu za jego pracę. Wyraził przekonanie, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby wszyscy nauczyciele więcej używali przy nauce pomocy naukowych.

W rozmowie z żoną zastanawialiśmy się nad tym, czy nie byłoby wskazane poprosić inspektora o przeniesienie nas do miejscowości o lepszej komunikacji, aby matka mogła częściej bywać w Lublinie i odwiedzać groby swego męża i dwóch synów na cmentarzu w Lublinie przy ulicy Lipowej. Podzieliliśmy się tym z matką, która przychylnie się ustosunkowała do naszych zamiarów.

Zbliżał się koniec roku szkolnego. Zaczęliśmy robić przygotowania do tej uroczystości. Żona miała się zająć zorganizowaniem wystawy rysunków i prac ręcznych. Dużym zainteresowaniem cieszyła się wystawa z modelarstwa: zwierzęta ulepione z gliny (specjalność żony).

## **Dokształcanie**

Dokształcanie nauczycieli odbywało się poprzez prowadzenie pokazowych lekcji i dyskusję na ten temat, opracowywanie referatów i wygłaszanie ich na zebraniach Ogniska Związku Nauczycielstwa Powszechnego oraz na kursach wakacyjnych organizowanych przez władze oświatowe. Większość nauczycieli spontanicznie, dobrowolnie garnęła się do samokształcenia, poświęcając na to czwartą część wakacji. Niezależnie od tego w czasie zajęć szkolnych pracowała nad pogłębieniem wiadomości.

Ja, nie chcąc odrywać się od zajęć w szkole, zapisałem się na zaoczny Wyższy Kurs Nauczycielski prowadzony przez Związek Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, a kierowany przez Jędrzejowicza. Na każdy miesiąc otrzymywałem tematy i wskazówki z podaniem podręczników. Wybrałem kurs geograficzno-przyrodniczy. Opracowane tematy wysyłałem do Warszawy do oceny. Po kilku dniach przejrzone i skorygowane prace otrzymywałem z powrotem. Prócz tematów przedmiotowych pisałem wypracowania z logiki, psychologii. Największy kłopot miałem z chemią. Wiadomości teoretyczne należało wyprowadzić z przerobionych własnoręcznie ćwiczeń i doświadczeń, do czego nie miałem ani w domu, ani w szkole przyrządów i odczynników. Tu się załamałem. Zawiadomiłem dyrekcję kursu o mojej rezygnacji po pięciu miesiącach pracy. Przekonałem się, że bez uszczerbku dla zdrowia nie będę mógł należycie wywiązywać się z obowiązków szkolnych i zaocznie studiować. Jednak całkowicie z dokształcaniem nie zerwałem.

W czasie wakacji od 2 do 27 sierpnia 1927 roku brałem czynny udział w kursie chemii i ćwiczeń praktycznych, zorganizowanym przez Inspektorat, a prowadzony przez profesora Deca, wykładowcę w Gimnazjum im. Staszica w Lublinie. Tu mi była pomocna waga aptekarska, którą mi zrobił szwagier Karol, pracownik w Fabryce Wąg Hessa w Lublinie. Dodać wypada, że z powodu trzymiesięcznej choroby i pobytu w Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie wiadomości moje z tego przedmiotu były fragmentaryczne. Po opuszczeniu szkoły w Chodlu przez J. Stadnickiego kierownik szkoły mnie powierzył ten przedmiot. Z powierzonych zadania wywiązałem się należycie.

W czasie drugich wakacji brałem udział w kursie wakacyjnym z biologii, organizowanym przez Inspektorat Szkolny, a prowadzonym przez Józwiaka w Warszawy. Interesowałem się również współczesną literaturą. W tym celu prenumerowałem i czytałem „Wiadomości Literackie”. Dobre wyniki w pracy miałem z nauki w zakresie geografii i botaniki. Lekcje takie więcej wyczerpywały mnie. Trudniej było uczniom ześrodkować uwagę na wysunięty temat.

Moja żona zaczęła mnie naśladować w prowadzeniu lekcji w terenie. Ponieważ uczyła dzieci w młodszych klasach, gdzie uczniom trudniej było skoncentrować uwagę, klasy były liczniejsze, często musiała podnieść głos, wskutek czego nadwreżyła struny głosowe, ochrypła. Przez kilka lat musiała się leczyć u doktora Ossowskiego.

---

### **Przewrót majowy 1926 roku**

[Po zabójstwie Gabriela Narutowicza Józef Piłsudski] ułatwił sprawę wyboru na prezydenta Stanisława Wojciechowskiego (20 grudnia 1922 roku), który był przyjacielem Marszałka, bojownikiem o wyzwolenie ojczyzny. Piłsudski w 1923 roku wycofał się z życia politycznego i osiadł z rodziną (żona i dwie córki) w Sulejówku we własnym małym dworku. Zajął się pracą pisarską i z dala obserwował czynność państwową rządu i sejmu. Obserwując walkę stronnictw politycznych, których było w Polsce kilkanaście, o władzę, korupcję, niemoc rządu postanowił wrócić do pracy politycznej.

12 maja 1926 roku stanął na czele wojska zgrupowanego przez oddanych sobie generałów, ruszył wojennym marszem do Warszawy. Na moście przez Wisłę spotkał się z prezydentem Wojciechowskim. Rozmowa trwała krótko. Prezydent zażądał zaniechania walki, podporządkowania się prawowitej władzy państwowej, skierowania żołnierzy do koszar; zagroził wyciągnięciem konsekwencji w razie oporu. Piłsudski nie chciał nawet słuchać wywodów prezydenta. Bez pożegnania rozeszli się: prezydent wrócił do stolicy, a Piłsudski do „swojego” wojska. Rozgorzała walka, trwająca około trzech dni. Żołnierze rebelianckich oddziałów, w odróżnieniu od żołnierzy wiernych prezydentowi, nosili na lewym ramieniu opaski, na których była umieszczona duża litera „P”. 15 maja Piłsudski wszedł do rządu Kazimierza Bartła w charakterze ministra spraw wojskowych, a 31 maja został przez

Zgromadzenie Narodowe R.P. wybrany na prezydenta, ale wyboru tego nie przyjął. Pozostał na stanowisku ministra spraw wojskowych i generalnego inspektora armii oraz Naczelnego Wodza Sił Zbrojnych na wypadek wojny.

1 czerwca 1926 roku Zgromadzenie Narodowe na wniosek Piłsudskiego wybrało Ignacego Mościckiego na prezydenta R.P.P. Był on synem powstańca 1863 roku. Ukończył Politechnikę w Rydze. Był uczonym fizyko-chemikiem światowej sławy.

W roku 1926 ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego był prof. Kazimierz Bartel\*, kuratorem Okręgu Szkolnego Lubelskiego – Ignacy Pytlakowski, inspektorem szkolnym w Lublinie – Bolesław Kaczorowski, a jego zastępcą – Michał Dubaj.

### **Zwrot na prawo**

Po przewrocie majowym rządy polskie prowadziły na prawo politykę według życzeń Piłsudskiego, który nieprzychylnie odnosił się do prac sejmu. Posła opozycyjnego nazywał „ślubowanymi portkami”. Tymi słowami zniechęcał posłów, hamował każdą śmielszą inicjatywę. Rządy w dalszym ciągu się zmieniały. Zanim nowo skompletowany gabinet i poszczególni ministrowie zdążyli się rozpatrzyć i zorganizować sobie pracę, a już sejm uchwała wotum nieufności. Gabinet upada – powołany nowy, a ten po zaledwie kilku miesiącach znów musiał ustąpić, dając miejsce następnemu. Gabinet Prystora pracował dość długo na ówczesne warunki bo 2 lata 3 miesiące i 9 dni. Najdłużej rządził rząd pod premierostwem ostatniego gabinetu przed wojną Sławoja Składkowskiego, bo 4 lata 4 miesiące i 15 dni.

Chcąc ugruntować swoją dyktaturę, Piłsudski zamierzał przeprowadzić zamach na sejm. Przed rozpoczęciem obrady sejmu zaczęli oficerowie schodzić się do gmachu sejmowego przy ulicy Wiejskiej pojedynczo, po kilku, uzbrojeni w szable przy boku i z rewolwerami przy pasie. Zapełnili kuluary sejmu, korytarze i miejsca dla ciekawych obywateli na galerii. Zbliżała się godzina rozpoczęcia obrad. To masowe najście oficerów do sali sejmowej zaintrygowało marszałka sejmu Daszyńskiego. Zjawił się również i Piłsudski, zajmując miejsce członka rządu. Minął termin rozpoczęcia obrad, a Daszyński, przeczuwając coś złego, sejmu nie otwiera. Znicierpliwiony Piłsudski udał się za kuluary i groźnie zapytał marszałka o przyczynę zwlekania rozpoczęcia obrad. Marszałek mu odpowiedział, że pod naciskiem obecnych na sali uzbrojonych oficerów posiedzenia sejmu nie otworzy. Usłyszał odpowiedź, że głupstwa plecie, nazywając oficerów uzbrojonymi. Wszak oficer według regulaminu zawsze jest przy szabli i rewolwerze, a więc nie są oni uzbrojeni, aby komukolwiek grozili użyciem siły. Na zapytanie Daszyńskiego, w jakim celu naraz przyszła tak duża ilość oficerów otrzymał odpowiedź, że oficerowie chcą wysłuchać przemówienia swego wodza; darzą go wielkim zaufaniem i miłością. Tymi słowami nie uspokoił marszałka. Piłsudski wzruszył ramionami i głośno powiedział: „Dureń”. Marszałek mu odpowiedział: „Dureń czy nie dureń, ale w tej sytuacji posiedzenia nie otworzę”. Piłsudski wrócił na salę na swoje miejsce,

---

\* Od 2 października 1926 roku, gdy premierem był Józef Piłsudski – przyp. red.

a oficerowie jak niepyszni pojedynczo i grupkami wycofali się z sali obrad. Tym razem do zamachu na sejm nie doszło.

Chcąc okazać swoją siłę, stan moralny i wyszkolenie armii, zarządził koncentrację kawalerii, na czele której ze sztandarami, orkiestrami w szyku bojowym na swej kasztance wyruszył w stronę granicy czesko-polskiej szlakiem Sobieskiego zdążającego na odsiecz Wiednia. Przy granicy przyjął defiladę żołnierzy z kilku dywizji, poczem inną drogą wrócił z „bohaterską armią” do Warszawy. Marsz ten zaniepokoił społeczeństwo, ale wzbudził ciekawość ludności, która mieszkała blisko szlaku marszu.

Ze względu na podeszły wiek oraz pogarszający się stan zdrowia, Rydza-Śmigłego, swego „najlepszego ucznia”, mianował marszałkiem, swoim następcą. Pragnąc spopularyzować i umocnić pozycję nowego marszałka, zorganizował przejażdżkę w otwartym samochodzie głównymi ulicami stolicy. Mieszkańcy Warszawy owacyjnie witali obu marszałków jadących w jednym samochodzie. Teraz Piłsudski był spokojny i pewny, że Rydz-Śmigły będzie kontynuatorem przewodniej linii rządzenia i panowania w Polsce po śmierci I wodza.

Jeszcze jeden drobny, ale charakterystyczny zdarzył się fakt: ulubiona kasztanka, na której jeździł komendant I Brygady od samego początku wojny, straciła życie. Piłsudski rozkazał ją zamumifikować i umieścić w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Po kilkunastu miesiącach eksponat zaczął się psuć (pleśnieć), więc go usunięto z muzeum.





## W Bystrzejowicach, 1 września 1928 – 31 sierpnia 1931 roku

Po dłuższym namyśle postanowiliśmy zmienić miejsce pracy. Złożyliśmy w końcu czerwca podanie do Inspektoratu, prosząc o posadę bliżej Lublina, o dobrej komunikacji. Inspektorat przychylnie ustosunkował się do naszej prośby, proponując posadę dla mnie i żony w Bystrzejowicach w trzyklasowej szkole powszechnej. Mnie zaproponował kierownictwo szkoły. Celem poznania warunków pracy na nowym miejscu udaliśmy się z żoną do Bystrzejowic, położonych przy szosie Lublin–Piaski Luterskie, oddalonych o 16 kilometrów od Lublina i 4 kilometry od Piask. Po szosie często kursowały autobusy. Od szosy do szkoły należało przejść zwykłym gościńcem około pół kilometra. Szkoła była zamknięta, gdyż kierowniczką Olimpia Rufińska wyjechała na wakacje. Po obejrzeniu budynku na zewnątrz zajrzeliśmy przez okno do wnętrza. Chcąc zasięgnąć bliższych informacji, skierowaliśmy się do pobliskiego sklepu spółdzielczego. Kierowniczką sklepu Borkowska wraz ze swoim sparaliżowanym mężem, leśnikiem, udzielili nam informacji, że Rufińska odchodzi na emeryturę, część swoich gratów już wywiozła.

Wróciliśmy do Chodla, poinformowaliśmy teściową, że do przystanku autobusowego blisko, mieszkanie dla nas będzie przygotowane w budynku szkolnym, sklep na miejscu i do kościoła parafialnego w Kawęczynie około 1 kilometr drogi. Zapadła decyzja, że posadę przyjmujemy. Po kilku dniach zgłosiłem się do Inspektoratu i przywiozłem przeniesienia z ważnością od 1 września 1928 roku. Przystąpiliśmy do uzupełniania umeblowania domu. Stolarz Żydek zrobił nam szafę kuchenną, a Zygmunt Bogusławski duży stół sosnowy na dębowych nogach do pokoju jadalnego. Handlarz Żydek zaopatrzył nas w mały zapas węgla kamiennego do kuchni. Sprowadził nam z Lublina cztery gięte półfotelowe krzesła. Z teściową w Lublinie kupiliśmy dwa żelazne łóżka z niklowanymi zakończeniami obudowania oraz dwie kapy pluszowe zielonego koloru. O przeniesieniu z Chodla zakomunikowaliśmy naszej gospodyni, Bogusławskiej, z prośbą o zwrot nieodmieszanego komornego, które zapłaciliśmy z góry za okres całego roku. Gospodyni niechętnie uwzględniła naszą prośbę, gdyż rada by była, gdybyśmy mogli długo mieszkać u niej. Zostawiłem rodzinę jeszcze w Chodlu, gdyż udałem się na miesięczny kurs wakacyjny do Lublina. Na kursie biologii wykładał kolega Józiński, ursynowiak. W czasie wakacji poprzednio ukończyłem kurs ćwiczeń praktycznych z chemii, a obecnie drugi z biologii, gdzie przeprowadziliśmy dużo ćwiczeń z użyciem mikroskopu i lupy. Na tym nie poprzestałem uzupełniać swą wiedzę. Później złożyłem podanie do Inspektoratu z prośbą

o udzielenie mi bezpłatnego urlopu rocznego celem ukończenia Wyższego Kursu Nauczycielskiego fizyko-matematycznego. Niestety Kuratorium Szkolne w Lublinie odmówiło mi przyjęcia, a przecież na okres jednego roku zrzekłem się poboru pensji.

Zacząłem przerabiać materiał Wyższego Kursu Nauczycielskiego geograficzno-przyrodniczego. Otrzymałem z dyrekcji tematy i prace wysyłałem do oceny do Warszawy. Nie zdołałem pogodzić pracy w szkole i uczyć się drogą korespondencyjną zaocznie na kursie. Z wielkim żalem musiałem zrezygnować z tej formy kształcenia się. Nawiasowo dodam, że za naukę płaciłem ze swoich skromnych poborów.

W ostatnich dniach wakacji wyjechałem do Bystrzejowic celem dopilnowania remontu szkoły i zorganizowania transportu swych rzeczy z Chodla do Bystrzejowic. To zajęło mi trzy dni. Zatrzymałem się na ten czas u Samborskiego. Umówiłem się z Wyszogrodzkiem i Cichoszem, którzy zobowiązali się przewieźć nasze graty do Bystrzejowic. Przyjechaliśmy do Chodla po rzeczy przed wieczorem. Furmani przenocowali w Chodlu. Rano załadowaliśmy nasz inwentarz na furmankę, siedli całą rodziną i w godzinach wczesnego wieczoru stanęli na miejscu nowej pracy. Za przewóz zapłaciłem ze swojej kieszeni.

Wnieśliśmy swoje rzeczy do mieszkania. Po remoncie wyschły ściany i podłogi, ale pozostał przykry zapach po czarnym, ospałym kocie Rufińskiej.

## Szkoła

Szkoła w Bystrowicach (tak nazywali swoją wieś mieszkańcy) mieściła się we własnym drewnianym budynku; na zewnątrz była „oszalowana” deskami, a wewnątrz ściany były otynkowane. Kryta była słomianą strzechą, którą mieszkańcy pokryli kilka lat temu, gdyż stara strzecha nie zabezpieczała od deszczu, w czasie którego woda bezceremonialnie lała się do środka na podłogi i ściany. Stary budynek, pamiętający jeszcze czasy carskie, pod wpływem działań atmosferycznych osiadł w podłoże gleby. Do środka prowadziły trzystopniowe schody od strony niżej położonej ulicy, na „ganek”. Z korytarza na prawą stronę drzwiami wchodziło się do dwóch izb szkolnych i kuchni, a na lewo do mieszkania nauczycielskiego, które składało się z dwóch pokoi i starej, przed dwoma laty opuszczonej kuchni. Obiektywnie rzecz biorąc, warunki odpowiadały moim życzeniom. Przed szkołą na pochyłości powierzchni gruntu był ogródek kwiatowy, a za budynkiem znajdował się sad (około 20 jabłoni), a za nim kawałek ziemi około 2 arów na ogród warzywny. Obiekt szkolny nie był ogrodzony żadnym płotem. Przy miedzy od strony sąsiadki Kanclerzowej rósł szpaler starych (przemarzniętych w czasie surowej zimy) morw. Wzdłuż miedzy od strony Wosiaka – sołtysa, ciągnął się zagon (grzęda), z którego korzystali Borkowscy. Z sadu i ogrodu korzystałem sam,

gdyż nauczycielki odmówiły przyjęcia części ogrodu warzywnego do wykorzystania do uprawy warzyw.

Boiska szkolnego przy szkole nie było. Młodzież szkolna czas przerw międzylekcyjnych spędzała na ulicy przed szkołą. Tą uliczką rzadko przejeżdżały furmanki i przechodzili ludzie. Uczniowie bawili się również w sadzie między jabłonią na murawie. Tu również w dni pogodne prowadziłem zajęcia w zakresie wychowania fizycznego.

Inwentarz szkolny przejąłem od Wojciecha Kędry, opiekuna szkolnego. Z przejściem nie było żadnego kłopotu. Na dowód przejścia wystawiłem pokwitowanie dla opiekuna na zwykłej ćwiartce papieru. W szkole nie zastałem żadnych pomocy naukowych z wyjątkiem starych, wysłużonych, mocno sfatygowanych ławek i tablic szkolnych do pisania kredą, a właściwie kawałkami wapienia (opoki), które uczniowie przynosili z domu. Nie było żadnej biblioteczki i obrazów do nauki historii i geografii. W kącie klasy zastałem dwie mapy zwinięte w rulony, też mocno podniszczone.

## **Nauczyciele**

Z poprzedniego grona została tylko koleżanka Antonina Chrzowa; koleżanka Rufińska przeszła na emeryturę i wyjechała, a koleżanka Stryjka została przeniesiona na moje miejsce do Chodla po przyjeździe moim do Bystrzejowic. Na ich miejsce przybyliśmy my z żoną oraz koleżanka Stefania Hawryszówna z Borowa, gmina Chodel. My we dwoje z rodziną zainstalowaliśmy się w szkole, koleżanka Chrzowa zamieszkała u Samborskiego w Bystrzejowicach B, a koleżanka Hawryszówna zamieszkała u Kowalczyka w Bystrzejowicach A (blisko szkoły).

Najbardziej „pokrzywdzona” była koleżanka Chrzowa, która musiała opuścić bezpłatne mieszkanie w szkole, gdzie spędzała „beztroskie” życie. Stałym codziennym gościem był „doświadczony” kawaler, dziedzic majątku w Kozicach Górnych. Codziennie przyjeżdżał konno na wierzchowcu. Konia zostawiał na rogu szkoły, uwiązawszy go do specjalnego haka. Późną porą po „przyjemnym” spędzeniu czasu z rozwódką Chrzową i starszą kierowniczką szkoły, wdową, wracał do domu, aby następnego dnia powtórzyć wizytę. Nasze przybycie przerwało te eskapady. Można się było domyślać, co czuli i czego nam życzyli Chrzowa i Kisielnicki.

## **Nowy rok szkolny 1928/1929**

Nowy rok szkolny 1928/1929 rozpoczęliśmy nabożeństwem w drewnianym kościółku (kupionym na Bronowicach w Lublinie) w Kawęczynie odległym od Bystrzejowic o około kilometr drogi. Nabożeństwo celebrował ksiądz proboszcz

Zygmunt. Po nabożeństwie odbyło się posiedzenie Rady Pedagogicznej, na którym zostały przydzielone wychowawstwa i przedmioty nauczania. Trochę było kłopotu z przydzieleniem przedmiotów w nowo organizowanej klasie VI.

Trudniejsze przedmioty – fizykę, chemię, a później Naukę o Polsce Współczesnej i wychowanie fizyczne oraz geografii ja objąłem, żona otrzymała klasę I i naukę języka polskiego, Hawryszówna z niechęcią matematykę (tego przedmiotu w starszych klasach nie uczyła jeszcze), Chrzowa historię. Ksiądz Zygmunt objął naukę religii, za którą Inspektorat płacił w zależności od ilości przeprowadzonych lekcji. Niezależnie od tego delikatnie przypomniał rodzicom dzieci o „owiesku” dla swoich koników. Widocznie odczuwał potrzebę zasilenia swojej kasy, aby odpowiednio utrzymać siebie i „kuzynkę”, gdyż dochód z usług w tej małej parafii nie wystarczał na „skromne” utrzymanie „rodziny”.

Pani Chrzowa uczyć miała klasę IV w wynajętym lokalu „murowańcu” obok mleczarni w domu Pawlaka. Izba szkolna była urządzona prymitywnie. Nawet nie było drewnianej podłogi, którą po długich staraniach z mej strony ułożono w drugim półroczu.

## Uczniowie

Uczniowie do szkoły przychodzili z Bystrzejowic A, B i Komasaćki oraz z folwarku w Bystrzejowicach, Kawęczyna wsi i dworu, a także z kilku chat w przysiółku pod lasem. Poziom nauki w klasach był nierównomierny; należało dokładać dużo starań, aby go wyrównać. Uczniowie z dalej położonych miejscowości często się spóźniali na naukę w szkole, szczególnie w zimie.

W starszych klasach duży odsetek uczniów był przerośnięty, mieliśmy z nimi sporo kłopotów. Często dochodziło do bójek między chłopcami z różnych wsi. Te zatargi musiałem likwidować, ale praca moja nie poszła na marne. Po kilku miesiącach zdarzały się tylko sporadyczne przypadki.

Do klasy VI przyjęliśmy nowego ucznia z Lublina. Był nim bratanek mojej żony Tadeusz Staszyc ze szkoły numer 3 na Czwartku w Lublinie. Uczeń ten wychowywał się u mojej teściowej i chodził do klas młodszych w Chodlu. Z chwilą naszego poślubienia się z Janusią do klasy V uczęszczał do szkoły numer 3. Ponieważ rodzice jego Karol i Leokadia, oboje głuchoniemi, nie byli w stanie nim się zaopiekować i pomagać w nauce, więc klasę V powtarzał przez trzy lata. Na prośbę mojej teściowej i żony zgodziłem się przyjąć go na mieszkanie i do naszej szkoły. Na podstawie ostatniego świadectwa należało go zapisać do klasy V na czwarty rok. Teściowa prosiła, abym go wziął do klasy VI, co było sprzeczne z przepisami szkolnymi. Wziąwszy pod uwagę jego położenie rodzinne i to, że przez trzy lata nauki w jednej klasie jakieś skromne wiadomości na pewno zdobył, postanowiliśmy urządzić „egzamin”, na którym przed „komisją egzaminacyjną” wykazał się



Siódma klasa szkoły w Bystrzejowicach w roku 1929. Janina Wośko siedzi druga z lewej, Tadzio Staszyc stoi czwarty z lewej, pomiędzy nimi Zdziś, Dominik Wośko stoi pierwszy z prawej. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

znajomością przerabianego w klasie V materiału naukowego. „Komisja” ta uznała, że może być przyjęty do klasy VI. Koleżanka Chrzowa była „zachwycona” jego odpowiedziami z historii, choć sama słabo orientowała się w materiale naukowym.

Teściowa prosiła mnie, abym go otoczył opieką i pomocą w razie napotykaných trudności, na co się zgodziłem. Dzięki tym posunięciom ukończył w tej szkole klasę VII i otrzymał świadectwo ukończenia szkoły. Po tym jakiś czas chodził do szkoły rzemieślniczej w Lublinie, której nie ukończył. Zaczął pracować w fabryce samochodów, skończył kurs pilotażu. Po odbyciu służby wojskowej w niepodległej Polsce pracuje w fabryce samochodów ciężarowych, dobrze zarabia. Założył rodzinę, zeniąc się z Janiną Mościbrodzką, dochował się syna Janusza. Obecnie wybiera się do przejścia na emeryturę. Miałem z nim przejście w klasie VII. Na lodzie pobili się z uczniem klasy VII Kędrą. Miałem zlikwidować zatarg. Wstyd mi było, że mój podopieczny bił się z wiejskim chłopakiem. Ukaralem go fizycznie. Kędrę groźnie napomniałem. W podnieceniu zastosowałem dwie różne kary na niekorzyść Tadzia. Ten wypadek wywołał niesmak u niego i u mnie, co dziś i ja, i on mi to pamięta. Grunt, że wyrwałem go z klasy V, dałem możliwość skończenia szkoły i tym samym dałem mu możliwość dobrego i należytego przygotowania do życia. Ustrzegłem go od niebezpieczeństwa, jakie mu zagrażało ze strony kolegów lubelskich, którzy nawet w Bystrzejowicach chcieli mu szkodzić.



## **Mała rodzina**

W pierwszą niedzielę września 1928 roku pierwszy raz z Bystrzejowic udaliśmy się do naszego kościoła parafialnego w Kawęczynie. Janusia ze swoją matką szły na przedzie, trzymając za rączki naszego pierworodnego synka Zdzisia, ja zaś kroczyłem za nimi. W domu została służąca, Kanclerzówna. Idąc w takim szyku, obserwowaliśmy krajobraz. Kilka kobiet minęło nas – spieszyły się do domu przygotować dla domowników obiad.

Przed młynem zatrzymaliśmy się na chwilę. Zdziś przyglądał się temu małemu drewnianemu młynowi z małym nasiębiernym kołem. Młyn ten był własnością siostry Woźniaka, członka Dozoru Szkolnego, która wyszła za mąż za Balloda – Czecha, który po skończonej wojnie nie wrócił do Czech. Tu się ożenił, mełł zboże na mąkę. Wcześniej umarł, pozostawiając młodą wdowę z trojgiem dzieci we młynie. W pracy pomagał wdowie student Akademii Rolniczej, Lodowski, który później ożenił się z Ballodową.

Przechodziliśmy koło plantacji tytoniu Woźniaka. Nad tytoniem górowała tabliczka z napisem: „Plantacja państwa”. Napis ten widocznie miał odstraszać amatorów od zrywania liści tytoniowych. Zastanawialiśmy się nad tym, dlaczego kościół, plebanię i organistówkę pobudowali w szczerym polu, z dala od wsi Bystrzejowice, wsi Kawęczyn i dworu.

Po skończonym obiedzie, korzystając z ciepłej i słonecznej pogody, usiedliśmy całym gronem rodzinnym na ganku na dwóch ławach, odpoczywając po przebyciu tam i z powrotem dwukilometrowej drogi do kościoła. Niebawem przyłączył się do naszego towarzystwa sąsiad Stanisław Wosiak, sołtys, a po tym koleżanka Chrzowa. Wosiak pytał się nas, jak nam się podoba kościół. Wyraziliśmy zdziwienie i pytanie dlaczego ten skromny drewniany kościółek, plebanię i organistówkę wybudowali na takim odludziu, z dala od wsi. Sołtys wyjaśnił nam, że te budowle pobudowano dopiero kilka lat temu. Poprzednio Bystrzejowice i Kawęczyn należały do parafii w Mełgwi. Ze względu na dużą odległość i nieporozumienia między mieszkańcami a proboszczem parafii Mełgiew księdzem proboszczem kanonikiem Żyszkiewiczem (urodzonym i zamieszkałym na Bęczynie w Urzędowie) po długich debatach w Kurii Biskupiej w Lublinie mieszkańcy postanowili oderwać się od parafii Mełgiew i utworzyć nową parafię w Kawęczynie. Wyłonił się problem usytuowania i budowy kościoła. We wsi nigdzie nie było odpowiedniego miejsca. Bogaty chłop z Kawęczyna wysunął propozycję, że bezpłatnie pod budowę oddaje 1 morgę ziemi na końcu wsi Kawęczyn. Mieszkańcy, podziękowawszy za tak wspaniały gest, przystąpili do budowy kościoła i plebanii. Kupili kościółek na Bronowicach, rozebrawszy go na części, bezpłatnie furmankami zwieźli materiał na plac budowy. Umówiony praktyczny cieśla z pomocą chłopów złożył go na miejscu. Wyłonił się problem z urządzeniem cmentarza grzebalnego. Na razie ciała zmarłych chowają na cmentarzu w Mełgwi, do chwili kupna placu pod nowy cmentarz.



Chłop, ofiarodawca placu pod kościół, wybudował w pobliżu nowy, ładny domek z myślą o założeniu w nim sklepu spożywczego.

Koleżanka Chrzowa radziła, aby w porozumieniu z proboszczem wstawić kilka krzeseł za balustradę przy wielkim ołtarzu dla nauczycieli. Z powodu braku wolnych krzeseł i sprzeciwu teściowej zaniechaliśmy tego uczynić. Na następnych nabożeństwach teściowa ze Zdzisiem zajmowali miejsce w ławkach w środku kościoła, a my z Janusią stawaliśmy obok nich.

Życie rodzinne ułożyło się pomyślnie. Teściowa sprząta mieszkanie, gotuje posiłki w kuchni i nadśluchuje, jak odpowiada w klasie wnuk - Tadzio. Zadane lekcje sam odrabia, usamodzielnia się. Ja uczę rano, żona po odbyciu swoich godzin języka polskiego w starszych klasach uczy dzieci w I klasie. Podstawowe produkty żywnościowe kupujemy na miejscu w sklepie spółdzielczym. Mięso przynosił nam Żydek „Śpiewak” z Piask. W czasie pierwszej bytności przedstawił się teściowej: „Państwo tu są krótko i nie wiedzą kto ja jezdem. Nazywają mnie Śpiewak, bo śpiwam na weselach. Wszystkie goście bardzo się cieszą po moim prześpiwaniu i śmieją się razem ze mną. Jo tu wszystkich znum i une mnie tyz znaju. Maju ze mnie wygone: temu list na pocztę zaniese, temu minsa kupie świeżego, jeszcze ciepłego, od gospodyni jajka kupie cy kawolecek masła, gospodarzowi tytuń z Piasków przyniese. Jak un sie cieszy z tego, jaz mnie po plecach poklepie. Casem to i chłopokowi po kryjomu machorki kupie. Jo to i do dworu wstąpie, że dobry cilińciny uni tyz potrzebuj. Handlowałem i z paniu Rufińsku, oj co to była za osoba. Una beze mnie żyć nie mogła. Oj, una była troske grymaśna, ale minso to kosała co tydziń przynosić. Była hunorno, za wszystko jakuratnie płaciła. Jo mogę i to państwu minso przynosić. Pinindzy to jo nie chce, jak przyniesę, to mi pani zapłaci. Nic nie oszukam. A moze kilka jabłusek dostanę, bo mi w gardle zaschło”. No i przynosił przez trzy lata, z czego byliśmy i on, i my zadowoleni. Z tej wizyty długo śmialiśmy się, a szczególnie Zdziś, który po odejściu Żyda naśladował jego ruchy.

## Zdzisio

Zdzisio po pracy w szkole był przedmiotem centralnego zainteresowania. Szczególnie teściowa interesowała się jego wychowaniem. Razem z żoną czuwały, aby mu się nie stała jakaś przykreść. Do pomocy mieliśmy służącą - najpierw Kanclerzównę, potem Rozalię Stanisławkównę z Komasacji, a później Ratajewiczównę z Włodawskiego. Była ona zdrowa, krępej budowy, brunetka o wesołym usposobieniu, bardzo przychylna dla naszego domu, a szczególnie dla Zdzisia. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy, jak ona zręcznie wykonywała prace lewą ręką. Ona była u nas najdłużej. W ciągu ostatnich miesięcy naszego pobytu w Bystrzejowicach rolę pomocy domowej pełniła inteligentna Hela Stanisławkówna z Bystrzejowic B. Z czteroletnim

Zdzisiem całymi godzinami bawiła się przy szkole. Synek był zachwycony nią i jej zabawami. Sympatia między nimi była tak wielka, że Zdziś na widok tańczenia na zabawie Heli z kawalerem rozplakał się, mówiąc, że on nie chce, aby ona tańczyła z „obcym” chłopcem.

Często wychodziliśmy we troje na spacer, w czasie którego Zdziś lubił zatrzymać się nad mrowiskiem i obserwować pracę mrówek. Musieliśmy z żoną zatrzymać się, aby chłopcu nie przeszkadzać w obserwacji przeniesienia przez mrówki żdźbła trawy do mrowiska. W czasie odpoczynku nad rowem przy szosie przez zapomnienie zostawiłem laskę, którą znalazł uczeń i po kilku dniach oddał mi zubę.

Zdzych umiał i sam się zabawić jazdą na białym dużym koniu; zabawkę tę kupiliśmy mu w Lublinie. Pewnego dnia przyszedł do domu i w czasie obiadu zmartwiony powiedział nam, że jego siwek umie się tylko kołysać na biegunach, a nie chce posuwać się po drodze, jak to robią konie przy wozie. Jednak po obiedzie włożył na głowę piękną czapkę ulańską, do ręki wziął szabelkę i znów zaczął cwałować na siwku aż do zmęczenia.

W pochmurne, deszczowe lub zimne dni siadał na podłodze i układał początkowo przy mojej pomocy, a potem samodzielnie domy, wieże, mosty z drewnianych klocków. Często przychodzili do niego synowie Wosiaka: jeden sześć-, a drugi dwuletni. Wspólnie układali budowle. Chłopcom tym nie udawało się nic zbudować. Zdziś zdenerwowany rozrzucił klocki i sam przystąpił do budowy ze słowami: „O tak się buduje naszą szkołę”. Żona spojrzawszy na mnie rzekła: „A może on będzie inżynierem, bo lubi budować i chłopców uczy tej sztuki”. Przewidywanie to sprawdziło się znacznie później. Czasem w okresie wiosny z Janusią przychodził do mnie do ogrodu warzywnego, gdzie kopałem ziemię do posiania nasion warzywnych. Tu obserwował moją pracę. Raz zauważył wykopaną wijącą się dżdżownicę. Chwilę popatrzył na jej bezradne ruchy. Gwałtownie pobiegł do żony, z obrzydzeniem opowiedział o zachowaniu się dżdżownicy, prosząc swoją mamusię, aby mnie odwołała od pracy, bo robak może mnie ukąsić. Z trudem udało nam się przekonać go, że dżdżownica nic złego mi nie zrobi, ani jemu. Uspokojony dalej obserwował robaka, który przez ten czas zdążył już do połowy schować się w pulchną ziemię.

Wieczorem po kolacji brałem go na ręce, sadowiłem okrakiem na moim lewym ramieniu i zaczynałem miarowo chodzić po pokoju. On, oparłszy się o moją głowę, natychmiast zasypiał. To powtarzało się parę lat.

Czasem okazywał upór i nie chciał się podporządkować woli starszych. Pewnego jesiennego dnia chciał wyjść na ganek. Babcia z żoną zgodziły się na to. Teściowa podeszła do niego z paltem. On kategorycznie sprzeciwił się włożeniu palta. Janusia próbowała włożyć, lecz i tu spotkała się ze sprzeciwem. Koniecznie chciał iść bez palta. Babcia zamknęła drzwi na skobelek znajdujący się nisko we drzwiach. On odemknął skobel i już miał otworzyć drzwi. Obie kobiety zwróciły się do mnie o interwencję. Przerwałem swoją pracę,

bez słowa wziąłem go za rączkę i włożyłem palto. On biernie poddał się mojej decyzji. Uważnie popatrzył się na mnie i powiedział: „Teraz mogę już iść?”. Uśmiechnąwszy się do niego, otworzyłem drzwi i odprowadziłem go na ganek. Kobiety ze zdumieniem zapytały się, jak ja to zrobiłem. Odpowiedziałem im, że tu trzeba mniej słów, a więcej zdecydowanego czynu.

W kilka dni później Tadzio bawił się z nim w pokoju w chowanym. Zdziś chował się za szafę stojącą w rogu pokoju. Tadzio podszedł do szafy, wsunął rękę za szafę i sięgnąwszy w kierunku Zdzisia, stuknął go palcem w oko. Synek wrzasnął głośno z płaczem. Żona wzięwszy go za rękę wyprowadziła z tej kryjówki. Łzy kroplami spływały z ukłutego zamkniętego oka. Przerażeni tym zajściem, nakłanialiśmy Zdzisia do otwarcia, chcąc zobaczyć chore oko. W żaden sposób nie mogliśmy nakłonić go do otwarcia oczka. Spokojnie przyniosłem miednicę z czystą, zimną wodą i umyłem mu twarz. Przy wycieraniu twarzy ręcznikiem otworzył oko. Z ulgą odetchnęliśmy, widząc czyste zdrowe oko. Najbardziej przeżył te nasze obawy Tadzio, który był mimowolnym sprawcą tego zajścia.

## Hodowle

Obok szkoły w szopie drewnianej krytej słomą była obszerna drewutnia. Powierzchnię podzieliłem na dwie części. Lewą stronę wypełniłem liśćmi zgrabionymi w czasie pierwszej jesieni w sadzie. W kącie drugiej zgromadziłem opał: węgiel, drewno na podpałkę, porżnięte stare klocki z przemarzniętych suchych morw, a w drugim kącie połamane stare zniszczone ławki.

W tym kącie przebywały dwie kury, które na życzenie teściowej kupiłem u jednej gospodyni. Liczyliśmy na to, że będziemy je karmić odpadkami z kuchni, a w zamian za to będą świeże jajka do codziennego użytku w kuchni. W tej szopie nie było drzwi do zamykania, więc kury miały możliwość poruszania się po podwórzu i sadzie. Kury te teściowa nazaczyła przez obcięcie wystających piór w ogonach, aby w razie pomieszania się z kurami sąsiadki łatwo je było odnaleźć i umieścić w szopie. Kurki były młode i tej jesieni nie znosiły jeszcze oczekiwanych jajek. Po kilkunastu dniach zginęła jedna. Szukaliśmy, pytali gospodyni-sąsiadki. Poszukiwania nie dały rezultatu, po kilku dniach zginęła druga osamotniona kura. Znów poszukiwanie, pytanie dzieci, czy nie widziały kurek z obcięzonymi piórami. Nikt nic nie wiedział, nikt nie widział. Kurki przepadły. Pozostały wspomnienia i nieziszczone nadzieje oraz krytyka kto za to był odpowiedzialny.

\*

Korzystając z informacji starszych uczniów, kupiłem parę królików i umieściłem je we wspomnianej drewutni. Tym razem wejście do drewutni zagroziłem deskami. Króliki prędko oswoiły się i dobrze się czuły w kącie

z rupieciami i stosie zgrabionych liści. Wykopały sobie w uleżałych liściach nory, gdzie chowały się przed wchodzącymi ludźmi. Ze Zdzisiem obserwowaliśmy zachowanie się zwierząt, co synka bardzo interesowało. Pod koniec zimy dużo przebywały w norach. Zaobserwowaliśmy, że w norze przybyły na świat małe króliczki. Uczniowie również interesowali się tym przychowkiem. Z nadejściem wiosny króliki zaczęły wychodzić na podwórze i do sadu. Nawet zaczęły się chować w stosie chrustu, który był złożony u sąsiada Kanclerza. To mnie zaniepokoiło. Staralem się je wyłowić i umieścić w drewnitni. Na mój widok zaszywały się coraz głębiej w chrust. Młody Kanclerz zdołał je jakimś sposobem wyłowić i oddać mi zdziczałe zwierzęta. Po pewnym czasie zrobiło się w drewnitni pusto... Króliki przepadły, podobnie jak i kury. Zdziś był bardzo zmartwiony. Prosił o kupno innych. Jednak prośby jego po zdobytych doświadczeniach nie uwzględniłem.

\*

Natomiast kupiłem mu szczeniaka od Nory, wilczycy u Pawłowskiego w Lublinie, właściciela domu przy ulicy Bonifraterskiej 16 (dziś Biernackiego). Zdziś ogromnie się ucieszył. Całymi godzinami bawił się z tym szczeniakiem, hasając po podwórzu i sadzie. Po długich dyskusjach w rodzinie nadaliśmy mu na moją propozycję nazwę Lupus (wilk). Szczeniak chował się zdrowo. Kupiłem podręcznik *Tresura wilka* i zaczęliśmy zajęcia z Lupusem. Piesek był pojętny. Umiał warować, czołgać się, skakać przez linkę, chodzić na smyczy u nogi w czasie spaceru i układania. Trochę było kłopotu z noclegiem w korytarzu. Musiałem wcześniej wstawać uprzątnąć korytarz przed przybyciem dzieci do szkoły.

\*

W kwietniu wyczytałem w gazecie ogłoszenie, w którym była poruszona sprawa hodowli jedwabników. Państwo Witaczkowie z Milanówka zachęcali właścicieli morw do tej „intratnej” pracy. Nawiązałem z nimi kontakt, w rezultacie czego otrzymałem wskazówki do hodowli i sposobu zbycia oprzędów. Ponieważ duży procent morw rosnących wzdłuż działki w czasie surowej zimy przemarzł i usechł, więc zamówiłem 5 gramów jajeczek i materiały do hodowli. Zgodnie z instrukcją ożywiłem gąsienice w mieszkaniu. Początkowo kartony z gąsienicami nie zajmowały dużo miejsca. W miarę rozwoju hodowle przenieśliśmy do pustych sal szkolnych na czas wakacji. W hodowli pomagał mi bratanek żony, Tadzio Staszyc. Zdziś zawsze mi towarzyszył w tej pracy. Szczególnie bardzo mi był potrzebny do zrywania liści z dużych drzew. Często pomagali mi w tej pracy uczniowie naszej szkoły. Przy okazji obserwowali moją pracę i rozwój gąsienic. Nawet rodzice interesowali się tą sprawą. Często odwiedzali nas. Szczególnie zainteresowanie wykazywali w czasie oprzędów. Dziwili się niewspółmiernie, że takie „robaki” snują ledwo widzialne cieniutkie nici jedwabiu. Po dojrzaniu kokony „uśpiłem” nad parą wrzącej

wody, wysuszyłem i wysłałem do centrali sklepu do Milanówka. Po kilkunastu dniach otrzymałem pismo z podziękowaniem za tak dobrze wychodowane jedwabniki i dyplom uznania oraz należność pieniężną. Nie była ona zbyt wielka, ale miałem tę satysfakcję, że pierwsza w moim życiu hodowla udała się. Nawiasowo dodam, że Zdziś gołymi rączkami bez obrzydzenia zbierał upadłe na podłogę „kluski” i kładł na podścielone kartony, czego nie mogła zrobić ani moja żona, ani teściowa. Tą moją hodowlą interesował się soltys Wosiak, opiekun szkolny Kędra i członek Dozoru Szkolnego Woźniak, a także nauczyciele naszej szkoły i gminy Piaski, a szczególnie kierownik szkoły w Piaskach kolega Florentyn Kotliński, przewodniczący Ogniska Nauczycielskiego gminy Piaski.

## **Migawki szkolne**

Moje posunięcia w szkole były traktowane krytycznie. Nie podobało się uczniom wchodzenie do klasy parami i wychodzenie na przerwę pojedynczo na plac przed szkołą. W momencie wychodzenia kilku uczniów starszych klas upraszczało sobie wyjście. Aby jak najprędzej być na dworze, próbowało poza moimi plecami wychodzić oknem, co było łatwe do urzeczywistnienia, z uwagi że okno było nisko w stosunku do podłogi w klasie, a także powierzchni poza oknem. Dla takiego Staszaka wystarczyło dać krok i już był za oknem na placu. Na zwróconą uwagę patrzył się na mnie z ironicznym uśmiechem, a za oknem kolegom mówił: „Też nowość, czego chce od nas ten »Moszko«” (przekształcenie mojego nazwiska). Koledzy gruchnęli śmiechem. „Za Rufińskiej wychodziliśmy jak kto chciał, a ona nic na to nie mówiła”. Wiadomość, że udzielam korepetycji Majewskiemu z języka niemieckiego dała okazję do krytyki: „On chce pokazać, co umie”.

Nauczycielkom też nie podobały się moje hospitacje lekcji. Do lekcji na piśmie nie przygotowywały się, więc lekcje na tym cierpiały. Wymownym przykładem była hospitacja lekcji historii u koleżanki Chrzowej, która rewolucję francuską zbyła lapidarnym powiedzeniem, że to była „taka ruchawka”, o czym się dowiedzą z książki w domu. Pod koniec lekcji rozplakała się, zwalając winę na niegrzeczne dzieci. Od tej pory sama zaczęła się przygotowywać do lekcji i robić sobie plan przy podawaniu wiadomości. Na innej lekcji o „dziewicy orleańskiej” przekonała się naocznie o skuteczności posługiwania się ilustracją przyniesioną przeze mnie do klasy, obrazu z własnego zbioru pomocy naukowych.

Na lekcji matematyki w klasie VII, prowadzonej przez koleżankę Hawryszównę, któryś z uczniów rzucał kasztanami w tablicę, co spowodowało śmiech uczniów i zdenerwowanie nauczycielki. Gdy wszedłem do klasy i pod koniec lekcji poprosiłem wykładowczynię o zapytanie uczniów, o czym się uczyli na lekcji, zapanowało zdziwienie, konsternacja uczniów. Wyraziłem

swoje niezadowolenie i powiedziałem, że takie zachowanie może się skończyć oceną niedostateczną i zaważyć na otrzymaniu świadectwa o ukończeniu szkoły. Te wybryki więcej nie powtórzyły się.

## **Szkoła a społeczeństwo**

Mieszkańcy byli pozytywnie ustosunkowani do szkoły i nauczycieli. Starsze pokolenie było zżyte ze starą szkołą, czynną jeszcze za czasów przed pierwszą wojną światową. Wychowankowie tej szkoły, poważni gospodarze, doceniali naukę i ze szkołą byli związani uczuciowo. Chętnie wspominali nauczyciela Pytlakowskiego, a później przez kilka lat po wojnie nauczycielkę Rufińską. Zaraz po zainstalowaniu się mnie na miejscu zgłosiła się delegacja spółdzielni mleczarskiej z prośbą o sprawdzenie rachunkowości mleczarni, gdyż tu zaistniał fakt manka. Zgodziłem się im pomóc, do czego nie doszło, gdyż nie byłem członkiem spółdzielni i nie należałem do komisji rewizyjnej. Zaproponowali mi zapisanie się na członka i przeprowadzenie rewizji dokumentów, na co nie mogłem się zgodzić, gdyż do spółdzielni nie odstawiałem mleka. Kilkakrotnie komisja rewizyjna z Okręgowego Zarządu sprawdzała rachunkowość w różnym składzie i za każdym razem potwierdziła defraudację. Nie chcąc sprawy przewlekać i nadawać biegu na szerszym forum, zaproponowała gospodarzowi (kasjerowi) dobrowolnie uregulować braki w kasie. Niedobór był poważny, więc kasjer i księgowy zarazem, Wróbel, musiał sprzedać kawałek ziemi i za uzyskane w ten sposób pieniądze uregulować braki.

W życiu społecznym pracowali uświadomieni gospodarze: sołtys, najbliższy sąsiad szkoły – Stanisław Wosiak, Stanisław Woźniak – członek Dozoru Szkolnego, Wojciech Kędra – opiekun szkolny, Pochwatka – wójt gminy Piaski, Adam Krysa – nowy kasjer mleczarni, Chrzastowski – prezes Spółdzielni Spożywczej w Bystrzejowicach, Samborski – prezes Ochotniczej Straży Pożarnej, bardzo odczytany człowiek, rozporządzający sporą własną biblioteką, i inni.

Młodsza generacja przygotowywała się do pracy poza rolnictwem. Na przykład Ignacy Kołodziejczyk studiował prawo na KUL, Kutwa i Samborski pobierali naukę w seminarium duchownym, Chomczyński kończył Gimnazjum Staszica w Lublinie, Podlodowski studiował na uniwersytecie w Warszawie, Borkowski, syn sklepikarki, studiował w Warszawie na Wydziale Nauk Rolniczych.

W tym czasie została uruchomiona poczta, której kierowniczką była Borkowska, co ułatwiało kontakt ze światem oraz przyczyniło się do czytelnictwa gazet oraz wzmożenia korespondencji. W ten sposób została odciążona poczta w Piaskach (odległa o 4 kilometry drogi).

138 rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja była już blisko. Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej postanowiliśmy należycie uczcić rocznicę w naszej



szkole. Na parę tygodni przed tym żona moja udała się do Lublina do kierownika szkoły powszechnej numer 3 na Czwartku pana T. Wolskiego z prośbą o informację, jak wygląda ich sztandar szkolny. Kierownik chętnie wyjął z gabloty sztandar i rozłożył na biurku w kancelarii. Żona dokładnie obejrzała, wynotowała dane o treści napisów, rozmiarze, przymocowaniu sztandaru do drzewca itp. Zakupiła biały i czerwony atlas i po przyjeździe zaczęła haftować białego orła na czerwonym tle i napis „Bóg i Ojczyzna”. Po stronie białej nakleiliśmy portret Kościuszki i wyhaftowała napis: „Szkoła Powszechna w Bystrzejowicach”. Pracę tę wykonywała bezpłatnie w godzinach wolnych od nauki. Aby zdążyć na czas na 3 maja musieliśmy dokończyć matkę naszego ucznia, Skwarczyńską. Miejscowy stolarz przygotował drzewce, pomalował czerwona farbą. W wigilię obchodu rocznicy sztandar był gotowy. Inspektor szkolny pan M. Dubaj zastał żonę moją przy haftowaniu liter. Zainteresował się pracą żony i sztandarem, pochwalił Janinę za robotę i przystąpił do hospitacji szkoły. W czasie nabożeństwa, na które przybyliśmy ze szkolną dziatwą, ksiądz proboszcz Zygmunt poświęcił sztandar. Chór szkolny odśpiewał odpowiednie pieśni przygotowane przez dzieci pod moim kierownictwem. Wracaliśmy okrężną drogą przez Kawęczyn, Bystrzejowice A, a potem przez Bystrzejowice B do szkoły. „Chorąży” – uczeń Staszak, w asyście dwóch dziewczynek kroczyli na przedzie pochodu. Wiatr powiewał, a płótno sztandaru łopotało przy śpiewie wszystkich dzieci pieśni „Witaj majowa jutrzeńko”. Ludzie wychodzili ze swoich domów i ciekawie przyglądali się i słuchali pieśni, śpiewanej przez ich dzieci w pochodzie. Na zakończenie w sadzie do ustawionych parami dzieci w kole przemówiłem w krótkich słowach o Konstytucji 3 maja 1791 roku. Na tym uroczystość się skończyła i dzieci rozeszły się do domów. Nawiasowo dodam, że sztandar został ufundowany ze składek uczniowskich na Komitet Rodzicielski. Ksiądz Zygmunt ofiarował na sztandar pieniądze zebrane w tym dniu na tacę. Z powodu małej frekwencji ludzi na nabożeństwie zawartość tacy wynosiła zaledwie kilkanaście złotych (symboliczna pomoc finansowa).

Dziesiątą rocznicę wskrzeszenia Polski w szkole obchodziliśmy bardzo uroczyście. Temat ten był poruszany na lekcjach historii i innych lekcjach. Z uczniami klasy VI opracowałem obrazek historyczny, w którym uwytkuliliśmy walkę pokoleń o niepodległość i kaźń patriotów na Syberii i w kazamatach więziennych oraz radość z uzyskania wolności. Wieczorem dla rodziców daliśmy bezpłatne przedstawienie, a później to samo powtórzyliśmy dla dzieci.

## Pożary

Sucha jesienna pora – zmrok. Siedliśmy do stołu celem spożycia kolacji; Januśka trzyma na kolanach Zdzisia, teściowa zastawiła stół. Zaczęliśmy konsumować skromną codzienną kolację. Wtem ciszę wieczorną przerywa

oddalony krzyk: „Pali się - ratunku”. Wskoczyłem na ganek. W pierwszej chwili nie zauważyłem żadnego pożaru w Bystrzejowicach A, ani w okolicy młyna. Przede mną przebiegł jakiś mężczyzna w stronę Kawęczyna. Po zejściu po kilku stopniach z ganku zauważyłem wielką łunę, a potem wielkie języki płomienia przedzierające się przez kłęby czarnego dymu w odległości około 200 metrów od szkoły. Wróciłem do domu, aby uspokoić rodzinę, że pożar ten nie grozi nam bezpośrednio. Żona z teściową zabrały się do pakowania w tłumoki pościeli i ubrania. Poradziłem, aby zaprzestały tej czynności. Wyszliśmy do sadu, skąd dobrze było widać miejsce pożaru. Żona uspokoiła płaczącego Zdzisia. Zaleciłem żonie, teściowej i synkowi wrócić do domu. Z Tadzkiem udaliśmy się na miejsce wypadku, gdzie odbywały się dramatyczne sceny: rozlegał się płacz kobiet, okrzyki mężczyzn, szczekanie psów. Nadbiegli strażacy ze sprzętem przeciwpożarowym. Beczkami i wiadrami zaczęto dostarczać wodę z pobliskiej rzeczki. Młodzi mężczyźni powłazili na sąsiednie zabudowania, które zakrywali mokrymi płachtami i workami. Tłum ludzi dostarczał wodę do polewania tych nakryć. Mężczyźni rozebrali sąsiednie płoty, aby po nich nie rozprzestrzeniał się ogień, grożąc zapaleniem się sąsiednich zabudowań. Wypędzali inwentarz żywy z płonących budowli, a także sąsiednich. Ktoś krzyczał: „Uwolnić psa z łańcucha i puścić go na wolność”. Coraz to przebiegały w szalonym galopie uwolnione konie. Kwiczały świnię, ciągnię bezceremonialnie po ziemi, kobiety wyłapywały kury, umieszczając je w bezpiecznym miejscu. Paliły się zabudowania gospodarze wójta Pochwatki i Wyszogrodzkiego.

W tym czasie wójt biegł na przełaj przez pola, sady i ogrody z Piask, gdzie urzędował, wołając zmęczonym głosem: „Moje świnię”. Sąsiedzi uspokoiili go wiadomością, że świnię, krowy, konie, kury, a nawet nieszczęśliwy pies, zostały z pożaru usunięte i nic im nie grozi.

Nadjechała straż pożarna z Piask na pomoc miejscowym strażakom. Późną nocą pożar został umiejscowiony i wygaszony. Sąsiednie zabudowania, oddalone o kilkanaście metrów, otoczone sadami, ocalały. Do samego rana nie kładliśmy się spać (z wyjątkiem Zdzisia) i rozmawialiśmy o przyczynie pożaru, stratach materialnych i pomocy sąsiedzkiej oraz strażackiej.

\*

Innym razem wybuchł pożar we dworze w Kawęczynie. Od lokomobili zapaliła się sterta młóconego zboża i stodoła. W tym czasie pożarowi towarzyszył silny wiatr, który roznosił palącą się słomę. Od tego zapaliła się stodoła na wsi oddalona o 300 metrów. Ludzie komentowali przyczynę pożaru. Tu winili administrację dworską, że w dzień Matki Boskiej Zielnej (zniesione święta) zaczęli młócić dworskie zboże. Uważali to za karę boską. Pożar zlokalizowano. Dużo ludzi patrzyło na pożar biernie.

Te pożary zmobilizowały mieszkańców Bystrzejowic do zaopatrzenia straży przeciwpożarnej w nowy sprzęt strażacki i wybudowania remizy strażackiej

usytuowanej na błoniu w Bystrzejowicach B. Kilkunastu młodych mężczyzn zapisało się do straży. Zaczęły się intensywne ćwiczenia oddziału strażackiego.

W czasie poświęcenia remizy omal nie doszło do pożaru nowo wybudowanej remizy. W czasie nabożeństwa wiatr targnął firankami, które zetknęły się z zapalonymi świecami na prowizorycznym ołtarzu przy ścianie budowli. Zapaliła się firanka. Ksiądz proboszcz na chwilę przerwał celebrowanie nabożeństwa i gołymi rękami zmiął palącą się firankę i w ten sposób nie dopuścił do wybuchu pożaru.

W kilka dni po tym fakcie przeprowadziłem lustrację szkoły. Na strychu szkoły była rozrzucona słoma, która leżała kilka lat od chwili zmiany poszycia przy przewodach kominowych. Z uwagi na to, że przewody murowane były z wapniaka, posiadały szczeliny, więc o pożar było łatwo. Zaweźwałem opiekuna szkoły Kędrę, pokazałem te przewody, które zostały zalepione zaprawą murarską. Wymusiłem również remont pieców szkolnych i wstawienie nowych rusztów, których przedtem w piecach nie było. Teraz byłem spokojniejszy.

## **Pomoce naukowe**

W związku z reorganizacją szkoły z czteroklasowej na siedmioklasową miałem wiele kłopotu i pracy z zaopatrzeniem szkoły w pomoce naukowe, których dotąd zupełnie nie było. Starą kuchenną szafę przystosowałem jako miejsce gromadzenia pomocy. Sporządziłem nowe półki i na nich gromadziłem zdobyte pomoce: minerały w pudełkach zrobionych na lekcji robót, suszone owoce, gałązki rzadkich roślin i owady. Zaprenumerowałem „Ilustracje szkolne” do poglądowej nauki historii i geografii, wycinki z gazet, zaprenumerowałem „Płomyk”, „Płomyczek” i wydawnictwa pedagogiczno-dydaktyczne, a także odczynniki do nauki chemii.

Gromadziłem książki do biblioteki szkolnej, które z uczniami oprawiłem w twarde, mocne okładki (introligatorstwo). W brakujące odczynniki zaopatrywałem się u kolegi Kotlińskiego w Piaskach.

Pewnego zimowego dnia udałem się saniami do Piask, gdzie zdobyłem sól w nafcie w probówce. Wracając wieczorem do domu, furman Motyka wjechał w rów. Sanie się wywróciły i my znaleźliśmy się w głębokim śniegu. W czasie upadku trzymałem mocno w garści probówkę, aby nie dostał się do niej śnieg. Nafta się wylała, ale mokry śnieg nie dostał się do probówki. W przeciwnym razie groziło mi zapalenie sodu, rozerwanie probówki i poparzenie rąk.

Dużą pomocą było radio. Najpierw w Lublinie w firmie „Lumen”, prowadzonej przez kupca Żyda, kupiłem aparat kryształkowy. Żadne manipulacje nie pomogły w odbiorze. Więc aparat ten zwróciłem w zamian za aparat bateryjny „Markoni” o dwóch lampach, który w owym czasie uchodził za szczyt techniki radiowej. Za pomocą słuchawek otrzymałem dobry odbiór. Słuchaliśmy na zmianę ja, żona, teściowa oraz częsty gość sołtys Wosiak.

Zaprosiłem też i uczniów VII klasy, którzy nie mogli się nadziwić, że z dalekiej Warszawy dobrze słyhać muzykę i przemówienia. To było pierwsze radio w Bystrzejowicach i okolicy. Wszyscy nam zazdrościli tej imprezy. Pierwszy raz zetknąłem się z radiem w Chodlu u księdza wikarego. Wdzięczny byłem Wosiakowi, że pozwolił mi koniec anteny umieścić na kalenicy dachu swojej stodoły. Sąsiedzi straszili Wosiaka, że piorun w czasie burzy uderzy w antenę i sprowadzi groźny pożar stodoły, co oczywiście się nie stało.

## Wizytacja szkoły

26 listopada 1929 roku wizytował szkołę inspektor M. Dubaj. W arkuszu służbowym dosłownie zapisał: „Oddział VI zapisanych 11, obecnych 10 uczniów. W oddziale VII zapisanych 12, obecnych 9 uczniów. Oddział VI. Bitwa pod Raclawicami. Lekcja oparta na obrazach. Opowiadanie nauczyciela przystępne – barwne. Lekcja opracowana. Powtórzenie o Konstytucji 3 maja, targowicy, Kościuszcze. Wiadomości uczniów dobre. Oddział VII. Wyżyna Śląska. Lekcja opracowana, uczniowie szkicują mapę, orientują się na mapie dobrze. Nauczyciel wkłada dużo pracy. Wiadomości uczniów bardzo dobre. Wyniki bardzo dobre. Jako kierownik dba o szkołę. Ludność do szkoły odnosi się bardzo dobrze i życzliwie. Akta szkolne utrzymane w porządku. #Dubaj zastępca inspektora szkolnego”.

Za swoją gorliwą pracę otrzymałem satysfakcję, co mnie bardzo cieszyło. Należy jeszcze dodać, że i moja żona z wizytacji była bardzo zadowolona. Dobrze spełniała rolę nauczycielki, żony, gospodyni domu i wychowawczyni naszego kochanego Zdzisia oraz opiekunki swojej matki.

## Współpraca

Współpraca z miejscowymi koleżankami układała się poprawnie. Ponieważ codziennie spotykaliśmy się w toku pracy w szkole, więc nie zachodziła potrzeba składania sobie specjalnych wizyt. Koleżanki pracowały sumiennie, wykonywały swoje obowiązki rytmicznie. Moje uwagi przyjmowały ze zrozumieniem dla ogólnego dobra. W tym okresie koleżanka Hawryszówna wyszła za mąż za inkasenta wydziału podatkowego pana Czubaszka. Ślub odbył się w Kawęczynie, a wesele w Bystrzejowicach B w domu Kowalczyka. Z nauczycielami innych szkół spotykaliśmy się comiesięcznie w Piaskach na lekcjach praktycznych, prowadzonych przeważnie przez nauczycieli siedmioklasowej szkoły powszechnej w Piaskach. Szkoła ta była największa w gminie, najlepiej zaopatrzona w pomoce naukowe, do czego przyczynił się zapobiegliwy, energiczny, cieszący się dużym zaufaniem i autorytetem kolega Florian Kotliński. On był również sekretarzem Dozoru Szkolnego, przewodniczącym Ogniska

Nauczycielskiego ZNP. Brał czynny udział w życiu i pracach społecznych swoich rodzinnych Piask. Został wyróżniony i nagrodzony przez starostę lubelskiego złotym krzyżem zasługi. Jego dom był otwarty dla nauczycieli, gdzie często spotykali się oni w celu zasięgnięcia informacji i pomocy. On również prowadził kasę pożyczkowo-oszczędnościową. Brał czynny udział w życiu politycznym, propagując prace Klubu i Bloku Współpracy z rządem polskim.

W tym okresie odbyły się wybory do Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej w Bystrzejowicach, gdzie brałem czynny udział w charakterze przewodniczącego Komisji Wyborczej. W czasie głosowania zjawiała się rodzina dziedzica Koźmiana z majątku w Wierzchowiskach, co wzbudziło duże zainteresowanie obecnych w lokalu wyborczym. Po wyjściu ze szkoły w czasie wsiadania do powozu starszy Koźmian zwrócił się do swego syna Jana, wyrażając się, że warunki nauczania nie są najlepsze w ciasnych, niskich izbach starej szkoły. Syn Jan, który wydawał wielkie sumy na urządzenie polowań i safari w sawannach afrykańskich, przytaknął, co skwapliwie podchwycili wyborcy.

Szkoła w Bystrzejowicach była drugą szkołą po Piaskach pod względem organizacyjnym.

Piaski były ośrodkiem życia kulturalnego, gospodarczego i politycznego. Tu odbywały się jarmarki, targi cotygodniowe. Sklepy były obficie zaopatrzone w różne towary. Tu był kościół rzymskokatolicki, którego proboszczem był ksiądz kanonik Stodulski, i świeżo zorganizowany i wybudowany kościół narodowy, którego proboszczem był Gozdalski pochodzący z Urzędowa, były kleryk Seminarium Duchownego w Lublinie. Między wyznawcami obu kościołów były częste zatargi, gdzie chodziło o sprawę pogrzebu zmarłego na cmentarzu katolickim.

Było dwóch lekarzy: doktor Warzański, prezes Dozoru Szkolnego, i doktor E. Trejwisz – Żyd, oraz felczer Wendrowski.

Była również czynna i dobrze zorganizowana straż pożarna, kasa Stefczyka. Wójtem był Pochwatka z Bystrzejowic.

Stosunki towarzyskie między nauczycielami innych szkół były luźne, dorywcze. Ograniczały się do zwiedzania wystaw prac uczniów podczas zakończenia roku szkolnego. Pamiętnym dniem było zakończenie roku szkolnego w Józefowie, gdzie kierownikiem był Felicjan Wójcik. Uroczystość zaczęła się w sobotę po południu, a skończyła w niedzielę rano. Wójcikowie gruntownie przygotowali się do przyjęcia: zaopatrując stół w alkohol i smaczne zakąski. Przy „popijaszce” i muzyce gramofonowej oraz tańcach prędko minęła krótka noc czerwcowa. Nawiasowo dodać należy, że kolega Wójcik nie cieszył się dobrą reputacją między nauczycielami z Piask. Przyczyną tego była manipulacja z przejściem zbankrutowanej spółdzielni nauczycieli i spożywców w Piaskach. Jakimś nieznanym mi sposobem cały pozostały majątek spółdzielni przeszedł w ręce kolegi Wójcika. Przy spotkaniach nauczyciele odmawiali podania mu ręki, z czego niewiele sobie robił.

Na miejscu bliżej spotykaliśmy się spośród rodziców tylko z Wosiakiem, który był u nas częstym gościem. Kilka razy do spółki zabiłszy wieprza. Żona moja z Wosiakową przyrządziły smaczną kaszanę i zrobiły wspólnie aromatyczne kielbasy. Te zapasy wystarczały nam na całe tygodnie; przy spożywaniu tych wiktuałów „dzielnie” pomagała nam oddana, pracowita i grzeczna służąca Patajewicz z Podlasia, a z odpadków korzystał pies Lupus.

Na zebraniach rodzicielskich i wywiadówkach kilka razy poruszałem sprawę budowy nowej, z prawdziwego zdarzenia, szkoły. Motywowałem tym, że budynek jest stary i chyli się ku upadkowi, sale szkolne małe, ciasne, niskie i ciemne, a dzieci z każdym rokiem przybywa i nie ma gdzie ich umieścić. Położenie nowej szkoły upatrywałem na dużym placu szkolnym pośrodku wsi. Tę opinię przy różnych okazjach powtarzałem wójtowi, prezesowi Dozoru i sekretarzowi gminnemu. Za każdym razem spotykałem się z aprobatą z zastrzeżeniem, że budowa nowej, murowanej, dużej szkoły pociągnie za sobą kolosalne wydatki finansowe i dużo pracy. Inspektor szkolny też popierał tę moją myśl i radził dalej propagować budowę.

## Śmierć teściowej

Znane jest powszechnie powiedzenie, że nieszczęście najczęściej przychodzi wtedy, gdy się go najmniej spodziewamy. Tak było i wtedy. Uczeń VII klasy Pawlak przyniósł słoik gęstej i świeżej śmietany. W kuchni wręczył go teściowej. W tym czasie z Tadzkiem uprzątaliśmy piwnicę. Właściwie to był nieobmurowany dół pod spiżarnią. Wchodziło się do niego po 4-5 ziemnych stopniach, a głową dotykało się powały. Trochę światła sączyło się przez otwór służący do zsypania kartofli. Kilka razy wychodziłem z tego dołka z wiadrzem wypełnionym ziemią i śmieciami. Teściowa krzątała się koło kuchni, przygotowując dla naszej rodziny obiad. W chwili, kiedy odnosiłem śmieci na śmietnik, teściowa ze słoikiem skierowała kroki do spiżarni. Potknęła się o próg i upadła do tego dołka. Pobiegnę do niej i pomogłem jej wstać. Naturalnie śmietana przy upadku wylała się. Teściowa żadnych widocznych obrażeń ciała nie doznała. Po obiedzie każdy zajął się swoją pracą. Żona pomogła matce przy zmywaniu naczyń kuchennych. Minęło starym utartym trybem kilka dni bez żadnych zakłóceń. Przygotowywaliśmy się do zakończenia roku szkolnego.

Wieczorem 10 czerwca 1929 roku teściowa przygotowywała po kolacji łóżeczko do spania dla swego ulubieńca Zdzisia. Nachyliwszy się nad łóżeczkiem, wspięła się na palce nóg, aby równomiernie rozłożyć kołdrę na łóżku. W tym momencie głęboko westchnęła, a potem przeraźliwie jęknęła i bezwładnie upadła na podłogę. Zerwaliśmy się wszyscy na równe nogi i podbiegliśmy do niej. Synowa Janina Staszyc, żona Mariana, obmyła jej obficie twarz zimną wodą. Teściowa, widząc nasze wystraszone miny, zapytała: „Co się stało?”.



Ułożyliśmy ją do łóżka. Początkowo spokojnie leżała, potem zaś zaczęła się kręcić i wić po łóżku, a następnie wpadała w omdlenie. Natychmiast pobiegłem do Wyszogrodzkiego z prośbą o wyjazd do Piask do lekarza. Doktora Warzańskiego zastałem już w łóżku. Przedstawiłem cel mego przybycia. Doktor z pewnym ociąganiem się wstał, ubrał się i po godzinie byliśmy na miejscu przy chorej. Zbadał chorą, przepisał leki, oświadczając, że teściowa ma bardzo wysokie ciśnienie. Odwiozłszy lekarza, udałem się do apteki w Piaskach, którą oczywiście z powodu późnej pory zastałem zamkniętą. Jakiś spóźniony przechodzień wskazał mi mieszkanie aptekarza, który oświadczył mi, że apteka już kilka godzin zamknięta i radził mi, abym jutro rano się zgłosił do apteki. Wytłumaczyłem mu, że doktor Warzański polecił mi, abym natychmiast zdobył leki, bo choroba sercowa jest poważna. Aptekarz zapytał jeszcze kto ja jestem i jaki jest stosunek pokrewieństwa z chorą. Zastanowił się chwilę, a potem udaliśmy się do apteki. Po kilkunastu minutach wracałem tą samą furmanką z lekami do domu. Po przyjęciu leków chora poczuła się lepiej. Spała całą noc z przerwami. Przy chorej na zmianę czuwałem ja i synowa. Rano powtórzyliśmy leki. Z nadejściem wieczora chora zażądała przywiezienia lekarza. Tak trwało trzy dni. Podczas trzeciej wizyty doktor Warzański okazał pewne rozdrażnienie i niechęć wyjazdu. Radził mi użyć pijawek do przystawienia ich do karku chorej. Z wielkim trudem udało mi się zdobyć te pijawki u jakiejś starej kobiety. Pijawki (5-7) nassały się krwi do woli i same odpadały na poduszkę. Chwilowo chora poczuła się lepiej, nawet zaczęła się pytać czy Zdzisio nie jest głodny. Znow żąda lekarza. Tym razem udałem się do doktora Trejwisza, który chętnie przyjechał, napisał receptę. Sprowadzone leki nie przyczyniły się do poprawy zdrowia. Po dwóch dniach znow przywozłem tego samego lekarza. Teraz zastosował zabieg chirurgiczny. Przeprowadził punkcję lędźwiową. Spuścił około pół litra krwi. Chora poczuła się osłabiona i spokojnie leżała, przyjmując leki. W pewnym momencie do żony mojej powiedziała: „O jakbym chciała jeszcze z wami pożyć”. Janusia rozplakała się i powiedziała, że jeszcze będzie żyć. Zawiadomiony syn Marian przyjechał do swojej ciężko chorej matki z Warszawy. Zapoznał się z sytuacją. Żona jego Janina nalegała, aby wrócił do Warszawy, gdyż inaczej straci pracę, o którą w owym czasie było bardzo trudno. Pożegnawszy się z matką, żoną i córeczką Celinką, udał się do szosy piaseckiej na przystanek autobusowy. Po upływie godziny wrócił, oznajmiając żonie, że autobus odjechał, a następny będzie dopiero jutro. Jak się później okazało, nie zamierzał jechać. Chciał być jeszcze przy matce.

Głowa teściowej obsunęła się z poduszki, więc podszedłem, aby poprawić jej położenie. W tym momencie wzięła mnie za szyję, przycisnęła mnie i mocno ucałowała w twarz. W oczach pokazały się łzy, gdyż intuicyjnie zrozumiałem, że żegna się ze mną i jakby chciała okazać życzenie, abym się zajął jej córką, a moją żoną, po jej śmierci. W kilka godzin później straciła przytomność i wkrótce umarła 17 czerwca 1929 roku.

Zdzisia trzymaliśmy z dala od chorej, a gdy mu żona powiedziała, że babcia umarła, rozplakał się, przytulił do matki i powiedział: „Ja nie chcę, aby babcia umarła”. Tym powiedzeniem bardzo rozrzewnił Janusię. Woźniak, członek Dozoru Szkolnego, polecił mi zawiesić naukę w szkole na trzy dni.

Marian pomógł mi w czynnościach związanych z pogrzebem. Teściowa na kilka dni przed śmiercią wyraziła życzenie pochowania jej w grobie rodzinnym na cmentarzu przy ulicy Lipowej w Lublinie, co uczyniliśmy 19 czerwca.

Na transport ciała z Bystrzejowic do Lublina należało uzyskać zgodę lekarza powiatowego. W tym celu udałem się do Lublina. Tu ustaliliśmy termin przyjazdu lekarza i wyprowadzenia ciała z domu żałoby. W oznaczonym terminie zgłosił się lekarz, opieczętował trumnę, ksiądz Zygmunt załatwił czynności obrzędowe. Ulokowaliśmy trumnę na wozie i w godzinach popołudniowych Kanclerz – furman, ruszył w drogę. Na plac przed katedrą wjechał późnym wieczorem. Ciało zostało wniesione do katedry, skąd rano po nabożeństwie kondukt ruszył na cmentarz, gdzie w grobie rodzinnym spoczęła pod płytą kamienną. W ceremonii pogrzebowej wzięła udział rodzina zmarłej, kilka innych osób i grono nauczycielskie naszej szkoły. Żona moja w wielkim smutku, ale spokojnie pożegnała się ostatni raz i na zawsze ze swoją matką i opiekunką.

Po skromnym posiłku w jadalni przy hotelu „Nowopolskim” przy ulicy Świętoduskiej wróciliśmy do Bystrzejowic. Każdy zajął się swoją pracą i życie zaczęło toczyć się w nowych warunkach.

Marian odjechał do Warszawy, zostawiając u nas swą żonę i córeczkę, kilkuletnią Celinkę. Bratowa otoczyła troskliwą opieką moją żonę i Zdzisia.

Po kilku dniach zakończyliśmy pracę w szkole: nastał czas wakacji w ciszy wiejskiej i spokoju. Żona ze swą bratową całymi godzinami w towarzystwie Zdzisia, Celinki i Lupusa spacerowały po szkolnym sadzie i ogrodzie oraz przygotowywały zapasy żywności na zimę.

## **Budowa nowej szkoły**

Nasza praca w złych warunkach lokalowych szkoły, dyskusje w gminie, Dozorze Szkolnym, Opiece Szkolnej, w Inspektoracie Szkolnym i na zebraniach rodzicielskich przyczyniły się do tego, że zaczęto poważnie zastanawiać się nad sprawą budowy nowej szkoły. Sprawa ta dojrzała do tego stopnia, że został powołany komitet budowy w składzie następującym: przewodniczący Chrzastowski, sekretarz D. Wośko, skarbnik Krysa, członkowie – Woźniak, wójt Pochwatka, sołtys Wosiak oraz przedstawiciel szkoły w Wierchowiskach Stanisławek.

Plac pod budowę, około pół hektara przy szosie piaseckiej, ofiarował bezpłatnie młody dziedzic Jan Koźmian. Miałem trochę nieprzyjemności

z tego powodu, że władze szkolne: inspektor Kaczorowski i kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego Lewicki oraz Urząd Gminy Piaski przeforsowali, że szkoła zostanie wybudowana nie na naszym placu szkolnym, jak ja to proponowałem w porozumieniu z mieszkańcami Bystrzejowic, a przy szosie dla dzieci z Bystrzejowic, Kawęczyna i Wierzchowisk położonych po drugiej stronie szosy piaseckiej, a ja na to się zgodziłem. Chociaż szkoła będzie budowana na terenie dworu w Wierzchowiskach, ale będzie figurowała jako Szkoła Powszechna w Bystrzejowicach. Na zebraniu, w którym uczestniczył również dziedzic Koźmian, ustalono, że na budowę szkoły będą wpływać pieniądze ze składek rodzicielskich, subsydium z Kuratorium i Inspektoratu oraz sum dobrowolnie uchwalonych od hektara. Tu nastąpił rezonans, gdyż pan Koźmian oświadczył, że dwór od hektara pieniędzy płacić nie będzie, gdyż z góry zapłacił wartością dużego placu pod szkołę i urządzenie boiska. Ponadto mieszkańcy Bystrzejowic i Wierzchowisk w czynie społecznym będą dawać pracę.

Urząd Gminy w Piaskach porozumiał się dziedzicem w Kozicach Górnych, że wapniak będzie łamany na terenie dworskim pana Kisielnickiego. Gmina będzie się z nim rozliczać w czasie płacenia podatków gminnych.

Początkowo w czynie społecznym kamień łamali mieszkańcy Bystrzejowic i Wierzchowisk, ale praca posuwała się ślamazarnie wskutek braku fachowości robotników. Więc wynajęto mężczyzn, którzy mieli już praktykę w łamaniu i układaniu urobku w pryzmy. Teraz zaczęto bezpłatnie zwozić materiał na plac budowy i składać go należyście, zabezpieczając materiał przed niszczeniem przez warunki atmosferyczne. Członkowie komitetu budowy przyjmowali materiał i kwitowali przyjęcie.

Na placu budowy w prowizorycznym pomieszczeniu zamieszkał stróż, który później został woźnym szkolnym, Kanclerz. Zdarzały się wypadki, że niesumienni furmani po drodze zrzucali z fury kamień do rowu, aby ułatwić koniom ciągnięcie wozu. Furmani ci złapani na gorącym uczynku byli publicznie piętnowani. Zaprzestali tej praktyki i dowozili materiał w całości na miejsce przeznaczenia.

Projekt budynku szkolnego sporządził architekt powiatowy inżynier Różański, a budowę ścian prowadził mistrz murarski pan Kotliński z Piask. Roboty stolarskie i ciesielskie wykonywał Kasperek z Bystrzejowic.

W ciągu jednego roku została szkoła wymurowana i nakryta blaszanym dachem. Pod koniec wakacji został przygotowany parter do przyjęcia uczniów, dalsze wykończenie miało nastąpić w drugim roku.

Łącznie z budową szkoły jako jej przedłużenie budowano na piętrze również lokum dla kierownika szkoły, woźnego i nauczycieli.

W czasie wakacji został przeprowadzony remont starej szkoły.

Z końcem wakacji zgłosiłem się do Inspektoratu celem ustalenia programu zatrudnienia nauczycieli i rozmieszczenia poszczególnych klas.

## Komasacja dwóch szkół

Zastępca inspektora pan Dubaj polecił mi przeprowadzenie się do nowego budynku i zajęcie mieszkania dla kierownika. W tym czasie murarze murywali w mieszkaniu ścianki działowe. Wiedząc, że na stanowisko kierownika będzie rozpisany konkurs, prosiłem inspektora, aby do chwili decyzji zostawił mnie w starym mieszkaniu, na co pan Dubaj nie chciał się zgodzić. Więc, spełniając polecenie swego zwierzchnika, przewiozłem swoje rzeczy do nowego mieszkania i zajęłem się organizacją dwóch nowych sal i kancelarii szkolnej.

Zaledwie przemieszkałem parę dni, gdy w godzinach rannych burza zerwała blaszany dach ze szkoły i porzuciła pogięte i połamane szczątki w pobliskim bajorze. Zebrał się zarząd komitetu budowy i powziął decyzję o powiadomieniu władz szkolnych, które poleciły przewodniczącemu wyciągnięcie z błota szczątków, dokupienie nowych materiałów i zainstalowanie nowego dachu. Ten wypadek deprymująco wpłynął na psychikę żony, która widziała w tym dopust Boży, że budynek nie był poświęcony przez księdza. Kategorycznie oświadczyła, że bez poświęcenia nauki w szkole nie podejmie. Przynależem jej solennie, że jej żądaniom wkrótce stanie się zadość. Czas naglił, zostało jeszcze tylko kilka dni do rozpoczęcia pracy w szkole. W czasie najbliższego pobytu w Lublinie dowiedziałem się, jakie kroki poczynił Inspektorat w tej ważnej sprawie; którzy nauczyciele i gdzie mają pracować. A więc: kolega Stopyra, kierownik w Wierzchowiskach, zostaje przeniesiony do Lublina do Kuratorium jako radca prawny (miał ukończone wyższe studia), a jego żona do jednej ze szkół w mieście. Kolega Burek został przeniesiony do jednej ze szkół w powiecie. Kolega Stanisław Deputat będzie uczył w nowej szkole. W Wierzchowiskach w eksponówce\* zostaje koleżanka Jaworska, która z nowo poślubionym mężem – rolnikiem, zostaje na miejscu. W Bystrzejowicach: ja z żoną będziemy uczyć w nowej szkole, koleżanki Chrzowa i Hawryszówna (obecnie Czubaszkowa) zostaną na miejscu w eksponówce i będą uczyły klasy I, II i III w dwóch izbach. Sala szkolna w „murowańcu” w Bystrzejowicach zostanie zlikwidowana i oddana do użytku właściciela domu, Pawlaka. Została przydzielona nowa nauczycielka, Żółtkiewiczówna, która zamieszkała w pokoiku przeznaczonym w przyszłości jako pokój nauczycielski i magazyn pomocy naukowych. Nowo przybyły ksiądz Samolej będzie udzielał nauki religii w nowej szkole i eksponówce w Bystrzejowicach.

W wyniku tych przesunięć w eksponówkach uczyło	3 nauczycieli,
w nowej szkole uczyło	<u>5 nauczycieli,</u>
w sumie	8 osób.

Wykaz nauczycieli:

- 1) w eksponówce w Wierzchowiskach, klasy I i II – Jaworska,
- 2) w eksponówce w Bystrzejowicach – Chrzowa, Czubaszkowa,

---

\* Eksponówka – stara szkoła nadal używana po wybudowaniu nowej szkoły – przyp. red.

3) w nowej szkole: Dominik Wośko, Janina Wośko, Stanisław Deputat, Żółtkiewiczówna, ksiądz Samolej.

Wożnym etatowym był Kanclerz. Jemu postawiliśmy warunek, że w ciągu krótkiego czasu nauczy się pisania i czytania. Do nauki dobrowolnie zgłosiła się moja żona. (Jednego analfabety będzie mniej).

### **W nowej szkole**

1 września 1930 roku uczniowie z Wierzchowisk, klasa I i II, pod opieką Jaworskiej udali się na nabożeństwo do swego kościoła parafialnego w Mełgwi. Nabożeństwo celebrował ksiądz kanonik Żyszkiewicz (urodzony w Urzędowie). Młodzież starsza z Wierzchowisk i wszyscy z Bystrzejowic pod nowym sztandarem ruszyła czwórkami do kościoła parafialnego w Kawęczynie. Tu nabożeństwo celebrował proboszcz i katecheta ksiądz Samolej. Następnego dnia uczniowie zajęli miejsca w wyznaczonych salach szkolnych. W tym dniu dzieci zaopatrzyły się w podręczniki i inne pomoce naukowe. 3 września zaczęła się normalna praca szkolna.

Uczniowie z rezerwą obserwowali się nawzajem, tworząc grupki według miejsca zamieszkania. Po kilku dniach uczniowie żyli się między sobą; nie było nienawiści i kłótni. Nauka potoczyła się naturalnym trybem. Pomiędzy nauczycielami też nie było żadnych rozdzźwięków. Ucząc w starszych klasach, zauważyłem lepszy poziom nauki u dzieci ze szkoły w Bystrzejowicach. Aby ułatwić dzieciom zakup pomocy naukowych, zorganizowaliśmy spółdzielczy sklepik szkolny. W korytarzu umieściliśmy ręcznik i miednicę do umywania rąk, jedno wiadro z czystą wodą do picia i dwa kubki, drugie do zlewania brudnej wody. Wodę czerpaliśmy ze studni obok szkoły. Szkoła i plac szkolny nie były ogrodzone. Jesienną porą było błoto przed szkołą i na drogach, któredy chodziły dzieci z odległych wsi. Trudno było przejść i przejechać. Czasem ksiądz Samolej przyjeżdżał furmanką, do której była zaprzężona jego biała kobyła. Idąc zostawiał kalosze w błocie, które potem wyciągała jego siostra i przynosiła na plebanię.

Szkoła mieściła się w trzech punktach odległych od siebie o kilometr drogi. Kierowanie taką rozrzuconą szkołą było bardzo trudne.

### **Poświęcenie szkoły**

Czyniąc zadość życzeniom żony, poczyniłem pewne kroki w tym kierunku. Ponieważ gmach szkolny nie był całkowicie wykończony, więc poświęcenie sal miało być skromne. Ksiądz miał bez żadnej asysty poświęcić. Na to „poświęcenie” nikogo z władz szkolnych, przedstawicieli Dozoru Szkolnego i społeczeństwa nie zapraszałem. Członek Dozoru pan Woźniak na swoją rękę



**Zdziś na koniku przed nową szkołą w Bystrzejowicach.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków**

zaprosił gości z Piask. Na to nie byłem przygotowany. Po dokonaniu obrzędu przez księdza Samoleja przemawiał Woźniak. W swoim przemówieniu podkreślił, że dużo roboty wykonano przy wznoszeniu murów szkolnych bez uszczerbku finansowego dla mieszkańców. „Szkoła już jest i na opłatę składek nikt morga ziemi nie sprzedał”. Później zabrał głos kierownik szkoły w Piaskach Kotliński. W poufnej rozmowie ze mną podkreślił, że organizacja uroczystości nie była przygotowana i wypadła „fatalnie”. Odbyła się bez przyjęcia gości. Po rozejściu się gości ksiądz z furmanki swojej przyniósł dwie butelki wódki, które w gronie nauczycielskim miejscowej szkoły zostały opróżnione. Pozostał niesmak po nieudanej uroczystości.

## **Choroby**

W kilka tygodni po wprowadzeniu się do nowego mieszkania (dwa pokoje i kuchnia), którego ściany i sufit nie zdążyły wyschnąć po świeżym tynko-



waniu, zachorował nam Zdziś. Bardzo kasłał i zalił się na ból w piersiach i głowie. Sprowadzony lekarz z Lublina Trojanowski stwierdził zapalenie płuc. Bardzo zaniepokoiłiśmy się tą wiadomością. Przepisał odpowiednie leki, poinformował nas o sposobie leczenia go w domu. Chwilami w wysokiej temperaturze tracił przytomność, majaczył. Na zmianę z żoną kilka nocy dyżurowaliśmy, podawali przepisane leki. Po kilku dniach zaczął uspokajać się i wracać stopniowo do zdrowia. To zmartwienie, zabiegi i niedospane noce fatalnie odbiły się na zdrowiu żony. Zachorowała na żółtaczkę. Całe szczęście, że choroba miała przebieg łagodny, obeszło się bez umieszczania chorej w szpitalu.

W tych ciężkich chwilach dużą pomoc i szczerę serce okazała pomoc domowa Hela Stanisławkówna. Sprzątała mieszkanie, gotowała, prała bieliznę, a co najważniejsze troskliwie opiekowała się Zdzisiem. Całe godziny bawiła się z nim, obmyślając interesujące zabawy i gry. Nieodłącznym towarzyszem zabaw na podwórzu był Lupus, wspaniały i mądry wilk. Zdziś całymi godzinami w stroju ułańskim z szabelką w dłoni dosiadał swego siwka na biegunach. Dziwił się tylko, że ten konik tylko kotłusze się, a nie posuwa się naprzód. Swoją nianię synek bardzo polubił; nie pozwalał jej z nikim rozmawiać. W czasie wiosennym Hela tańczyła na zabawie z chłopcem. Widząc to, Zdziś z płaczem przybiegł do żony ze skargą, że Hela nie bawi się z nim, a tańczy na placu zabaw z kawalerem. Hela musiała taniec przerwać, ale po chwili wróciła do przerwanej zabawy, bo ja zabrałem go razem z Lupusem na spacer na piasecką szosę. W niedzielę żona poświęcała czas na opiekę nad pierworodnym.

W tym okresie wyjeżdżałem do Lublina na próby chóru nauczycielskiego, który zorganizował i prowadził pan Chmura. Ten chór składał się z nauczycieli Okręgu Szkolnego Lubelskiego. Na zakończenie sezonu pod koniec roku szkolnego daliśmy koncert w Miejskim Teatrze w Lublinie. Występ ten zaszczylił kurator pan Lewicki wraz z pracownikami Kuratorium i Inspektoratu Szkolnego miasta Lublina i powiatu lubelskiego. Dochód z koncertu został obrócony na fundusz dozbrojeniowy wojskowy.

## **Niespodziewana wizytacja**

W drugiej połowie czerwca, w sobotę, zacząłem pielenie chwastów w morrowej szkółce, którą założyłem na wiosnę. Przez otwarte okno w czwartej klasie słycać głos nauczycielki panny Żółtkiewiczówny i szmer dzieci na lekcji robót. Dzwonek – modlitwa i dzieci pospiesznie wychodzą z budynku szkolnego. W tym czasie podszedł do mnie woźny Kanclerz i powiedział, że jakiś pan chce ze mną rozmawiać. Udałem się w stronę drzwi wejściowych do szkoły. Podchodzi do mnie nieznany mężczyzna i pyta, czy ja jestem kierownikiem tej szkoły. Otrzymawszy ode mnie odpowiedź, oznajmił mi, że

on jest wizytatorem Kuratorium Lubelskiego i chce obejrzeć klasy, które są już wolne, gdyż dzieci po skończonej nauce udały się już do swoich domów. We drzwiach natknęliśmy się na nauczycielkę opuszczającą klasę. Rozejrzał się po klasie i w ostrej formie zwraca mi uwagę, że w sali szkolnej na podłodze są śmieci, skrawki papierów, wiórki po struganiu drewna. To jest niedopuszczalne, aby dzieci w takim brudnym stanie zostawiały salę szkolną, w dodatku w nowo wybudowanej szkole. Mojego tłumaczenia, że ostatnią lekcją była nauka robót ręcznych nie uznaje. Z podkreśleniem oznajmia mi, że po każdej lekcji dzieci po sobie powinny posprzątać i salę zostawić czystą. Zajrzał do drugiej sali, która tym razem była czysta.

W kącie przy podeście schodów na piętro stała miotła oparta o ścianę. Znowu nowa uwaga, żeby miotła tak nie figurowała na widocznym miejscu w korytarzu szkoły. Dlaczego nie jest schowana? Odpowiedziałem mu, że szkoła jest jeszcze w budowie i żadnego miejsca nie ma na przechowywanie sprzętów do sprzątanía. To też go nie przekonało. Wychodząc z budynku powiedział, że tak być nie może. Podkreślił, że Kuratorium wielkie sumy pieniędzy włożyło w budowę szkoły, która musi być reprezentacyjna przy tak ruchliwej szosie. Wywnioskowałem, że to są preteksty, aby mnie utrać i pozbawić kierownictwa. W rozgoryczeniu oznajmiłem mu, że szkoła ta jest mi droga i bliska sercu. Ja też tu na miejscu dałem wkład pracy przy budowie i o tym nigdy nie zapomnę. Bez pożegnania wizytator Bugajski udał się do pobliskiej szosy, gdzie czekał na niego samochód, wsiadł do niego triumfalnie, zadowolony z pognębenia mnie. Będzie miał atut przy decyzji konkursowej na kierownika szkoły. Wiedziałem, że moje dni kierownictwa szkoły już są policzone. Zobaczymy, co będzie dalej.

Jak się później dowiedziałem od kolegów, pan Bugajski wracał z wizytacji szkoły w Piaskach i po drodze zajrzał do naszej szkoły, aby zebrać potrzebny mu materiał do decyzji, jaką ma podjąć w czasie debaty konkursowej na stanowisko kierownika nowej szkoły w Bystrzejowicach. W czasie wizytacji w Piaskach dokonał „pogromu” w gronie tamtejszej szkoły. Kierownika szkoły pana Kotlińskiego też spotkała „przyjemność” za brak stałego podziału godzin w szkole. Zdziwił się niepomieranie, jak można było skutecznie pracować przy prowizorycznym podziale godzin.

Po upływie dwóch dni zjawiał się sam inspektor Kaczorowski. Odwołał mnie z lekcji. Zajrzeliśmy do sali szkolnej, gdzie uczyła moja żona. Przywitawszy się z nią, rzucił baczny okiem na salę, dzieci i nic nie mówiąc wycofał się na korytarz, przemierzył go wolnym krokiem tam i z powrotem. Zatrzymawszy się przy drzwiach wejściowych do szkoły z uśmiechem na twarzy zapytał mnie jak to było w sobotę w czasie pobytu wizytatora w tej szkole. Opowiedziałem mu szczegółowo o przebiegu lustracji szkoły. Wysłuchawszy mojej relacji powiedział, że pan Bugajski był wstrząśnięty, widząc „nieporządki” w szkole, polecił mu dokładniej zbadać tę sprawę na miejscu. Oczywiście przyznał „rację” swemu zwierzchnikowi, bo przecież nie mógł postąpić inaczej. Zauważył

jednak, że te „usterki” są usunięte. Radził mi, abym spocznik na schodach prowadzących na piętro przyozdobił zielonymi gałązkami. Szkoda, że nie doradził mi, jak zabezpieczyć gałązki od wyschnięcia, aby na drugi dzień nie były zwykłymi śmieciami. Nie skorzystałem z jego rad w 100%, ale ustawiłem dwie pelargonie w doniczkach i poleciłem woźnemu codziennie podlewać kwiaty. Z uśmiechem na twarzy pożegnał się ze mną i wrócił samochodem do miasta. Z rozmowy, wyglądu jego twarzy i sposobu bycia wywnioskowałem, że wspólną sprawę z wizytatorem załatwił pomyślnie na moją niekorzyść.

Zbliżał się koniec roku, a z nim rozpoczął się okres intensywnej pracy związanej z zakończeniem nauki.

## Koniec pracy w Bystrzejowicach

Po nabożeństwie w Kawęczynie młodzież zebrała się na placu. Grono nauczycielskie urządziło gry na boisku, ja zaś z kolegą Deputatem przystąpiliśmy do ostatniego przygotowania do wystawienia sztuczki teatralnej „Baśń o sierotce Marysi i dwunastu miesiącach”. Młodzież pościagała skąd się tylko dało krzesła, stołki, ławki i to wszystko ustawiliśmy w długim korytarzu szkoły. Wychowawcy parami wprowadzili dzieci i ulokowali je na przyniesionych meblach i parapetach szkolnych. Sztukę tę reżyserowałem przez parę tygodni, a w czasie przedstawienia suflerowałem, stojąc za kotarą na scenie. Młodzież zachowywała się poprawnie i z uwagą śledziła przebieg przedstawienia.

Po przedstawieniu wychowawcy rozdali uczniom świadectwa szkolne. Klasa VI świadectw nie otrzymała na skutek polecenia inspektora Kaczorowskiego, że uczniowie będą powtarzali naukę ze względu na wprowadzenie nowego przedmiotu: języka niemieckiego. Musiałem uczniom wyjaśniać konieczność tego postępowania. Rodzice też nie byli zadowoleni z przebiegu tej sprawy.

Po rozejściu się uczniów zaprosiliśmy z żoną całe grono nauczycielskie na skromne przyjęcie. Mieliśmy zamiar już wstać od stołu, gdy nagle odezwał się głos księdza Samoleja, że zakończenie roku szkolnego jeszcze się nie skończyło. Po tych słowach, przeprosiwszy zebranych, wyszedł z pokoju. Po kilku minutach wrócił z workiem pod pachą, skąd „wyłuskał” kilka butelek wódki. Ze zdumieniem patrzyliśmy i słuchali słów księdza: „Proszę nie wstawać, bo teraz zacznie się prawdziwe zakończenie roku szkolnego”. Poszły w ruch kieliszki, toasty, życzenia. Podniosła się „temperatura”. Ksiądz Samolej przewodniczył i kontynuował „popijachę”. Jedni wzdragali się, inni rozochoceni dotrzymywali kroku. Ksiądz z Deputatem rozpoczęli „rywalizację”. Deputat stwierdził, że on będzie zwycięzcą w tej sprawie, co ksiądz przyjął z uśmiechem politowania. Skończyło się na tym, że Deputat siedział już na parapecie okna nieprzytomny, mnie żona odprowadziła do łóżka, a ksiądz chodził po pokoju i korytarzu. Zatrzymawszy się przy Deputacie zaśpiewał: *Requiescat in pace*, przez co wywołał salwę śmiechu podchmielonych gości.



**Koniec roku szkolnego 1930/1931 w nowej szkole w Bystrzejowicach.  
Fot. ze zbiorów rodziny Wošków**

Następnego dnia zostaliśmy zaproszeni przez państwa Wójcików na zakończenie roku szkolnego w Jadwisinie. Zakończenie było „ciężkie” i długie, trwało bowiem od wieczora jednego, a skończyło się ranem następnego dnia. Prowodzyrem tej imprezy był „z urzędu” ksiądz Samolej, który wykazał swoje taneczne zdolności. Ksiądz Samolej jako uczeń gimnazjum wstąpił do wojska. Jako ułan jazłowiecki brał udział w wyprawie Piłsudskiego na Kijów. Po ukończeniu Seminarium Duchownego w Lublinie otrzymał posadę jako proboszcz w Kawęczynie. Alkoholik. Pił do upadłego w każdym towarzystwie i przy każdej okoliczności. Kobiety złorzeczyły mu za rozpijanie ich mężów. Zachowaniem swoim gorszył parafian. W sklepie po wypiciu z towarzyszami – kompanami, do których i ja niestety należałem, odczuł potrzebę oddania moczu. Korzystając z chwilowej nieobecności w sklepie Borkowskiej, napełnił puste butelki po piwie moczem i starannie ustawił je na półce. Cieszył się z dokonanego „figła”.

Po dłuższym czasie dowiedziałem się o śmierci „bohatera”. Zachorował na galopującą gruźlicę, która wśród takich ludzi zbierała obfite żniwo. Osierocone dwie siostry, straciwszy finansową podporę, w wielkim smutku wróciły do rodzinnego Wilkołaza.

Nawiasowo dodać należy, że w Bystrzejowicach dużo piłem, tak jak nie czyniłem na żadnej innej posiadzie. Wszystko minęło. Nastaly wakacje, które spędzaliśmy na miejscu. Zająłem się żniwami pszenicy, którą posiałem na nowej działce szkolnej. Zbiór w czasie pogodnego lata był dobry.

## Po konkursie

W drugiej połowie sierpnia zostałem wezwany do Inspektoratu Szkolnego, gdzie mnie przywitał zmieszany pan Dubaj. Poprosiwszy mnie, abym usiadł w wygodnym fotelu przy biurku, z szuflady wyciągnął paczkę z papierosami, którymi mnie chciał usłużyć poczęstować. Odmówiłem przyjęcia, tłumacząc się swoim niepaleniem. Od razu wyczułem, że ten papieros będzie odgrywał rolę słodkiego cukierka, który miał osłodzić gorzycz podanej gorzkiej pigułki. I nie myliłem się. Pan Dubaj spełnił nieprzyjemny obowiązek, oznajmiając mi, że przed trzema dniami Kuratorium rozpatrzyło podania kandydatów, którzy w drodze konkursu ubiegali się o kierownictwo szkoły. Do konkursu zgłosiło się dwóch kandydatów: ja i pan Całyniuk, kierownik szkoły w Janowie Lubelskim. Podchwyciłem, że ja podania nie składałem i nie stawałem do konkursu. Pan Dubaj wyjaśnił mi, że moją kandydaturę wysunął Inspektorat Szkolny. Z konkursu zwycięsko wyszedł pan Całyniuk, jako posiadający ukończenie Wyższego Kursu Robót i Ćwiczeń Praktycznych. Spokojnie wysłuchałem tej relacji. Pan Dubaj proponuje mi kierownictwo dwuklasowej szkoły w Brzezicach koło Piask, na co odrzekłem, że w tej sprawie naradzić się muszę z moją żoną, która jest bardzo zainteresowana zmianą posady. Przyrzekłem, że za kilka dni zgłoszę się w Inspektoracie i dam konkretną odpowiedź.

Razem z żoną udaliśmy się do tych Brzezic celem poznania terenu i warunków pracy w szkole. Kierowniczką tej dwuklasowej szkoły, pracująca tu od dłuższego czasu z siostrą przyjęła nas oziębło; była formalnie zaskoczona celem naszej wizyty. Szkoła mieściła się we własnym małym drewnianym budynku, zlokalizowana na szerokim wygonie. Przed szkołą były ładnie rozplanowane klomby z dobrze pielęgnowanymi kwiatami, a za szkołą mała szopa gospodarska. Do środka nie wchodziliśmy. Po pobieżnym obejrzeniu razem z żoną ustosunkowaliśmy się do warunków szkolnych krytycznie. Gdyby mi zaproponowali tę posadę przed objęciem pracy w Bystrzejowicach, na pewno byłbym przyjął, ale teraz uważałem za dyshonor i degradację przejście ze szkoły wyżej zorganizowanej do szkoły niżej zorganizowanej. Jakbym się czuł wobec kolegów w gminie Piaski.

Zaraz udaliśmy się z żoną do Inspektoratu i tu oświadczyliśmy, że proponowanej posady nie przyjmujemy. Pan Dubaj znalazł się w kropce. Oświadczył nam, że lepszej posady z wolnym kierownictwem nie mają i dać mi jej nie mogą. Przypomniałem sobie moment, kiedy z Motyką wracałem wieczorem z Piask, widziałem na horyzoncie jasno oświetlone miejsce. Na moje zapytanie Motyka, mój furman, wyjaśnił mi, że to Trawniki tak są oświetlone światłem elektrycznym, dodając do tego informację, że tam jest stacja kolejowa, cukrownia i browar. Więc teraz podsunąłem inspektorowi myśl, aby mi dał posadę nauczyciela w tych Trawnikach. Inspektor, zastanowiwszy się chwilę, powiedział nam: „Szkoda, że o tym nie wiedziałem wcześniej, gdyż wczoraj mianowałem nowego nauczyciela w Trawnikach na miejsce chorej na gruźlicę



nauczycielki pani Radomskiej, która z powodu przeciągłej choroby otrzymała długi urlop". Wstał zza biurka, polecając nam zaczekać na niego pół godziny. Po powrocie z rozjaśnioną twarzą oznajmił nam, że był w Kuratorium, gdzie udało mu się przeprowadzić korektę i cofnąć zarządzenie. Więc będzie posada dla nas w Trawnikach. Decyzja zapadła. Polecił nam przygotowanie się do zmiany miejsca pracy.

Po powrocie do domu przeanalizowałem swoją trzyletnią pracę w szkole. Podsumowałem wyniki pracy, swoje osiągnięcia na tym stanowisku i wyciągnąłem wnioski. A więc wyniki pracy pedagogicznej: Zapis w arkuszu ocen za lata 1930, 1931, 1932; poprzednio 1927, 1928, 1929: „Bardzo sumienny, pilny i pracowity. Do lekcji przygotowany. Zawód swój traktuje poważnie. Docenia znaczenie pomocy naukowych i zaopatruje w nie szkołę. Cieszy się zaufaniem ludności. Wpływ wychowawczy dodatni. Wiadomości uczniów bardzo dobre. Ocena bardzo dobra”. Podpisali: „(-) Pawlak - Zast. Insp. Szk., (-) Dubaj - Zast. Insp. Szk.”, a dalej „Jak wyżej. Zeszyty szkolne przeglądane i starannie poprawiane. Stosunek do uczniów życzliwy. Wyniki pracy dobre. Usiłuje wyrównać poziom u uczniów, którzy w większej liczbie przybyli z innej szkoły. (-) Dubaj - Zast. Insp. Szk.”.

Dodać należy od siebie, że dużo pracy łożyłem na propagandę budowy szkoły i w czasie akcji budowy.

A pasywa: aktywnie nie współpracowałem z Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem, jak to czynił Kotliński w Piaskach. Nie założyłem przy szkole oddziału „Strzelca”, jak to czynił Sawicki w Mełgwi.

Nie zaprosiłem nikogo z władz szkolnych na poświęcenie sztandaru szkolnego. Nie zaprosiłem również nikogo na poświęcenie szkoły. Uważałem, że to są sprawy czysto szkolne - wewnętrzne, przez co naraziłem się Inspektoratowi i Kuratorium, które to władze były innego zdania, co obecnie uznają za słuszne. Ponadto utrzymywałem luźny kontakt z władzami, bo byłem przeciwnikiem „podlizywania się” władzom.

Ze spraw osobistych: utrzymywałem ściślejszy kontakt z miejscowymi „czynnikami”, który często był zakrapiany alkoholem, co mi groziło nalożeniem. W porę się spostrzegłem i przerwałem ten proceder. Pocieszałem się, przypomniawszy sobie treść motto, wypisanego na fotografii z zakończenia nauki w seminarium: „Znikną od prądów chwilowych zawiśli za widmem sławy ciągnący sztukmistrze, lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli i nie przepadną natchnienia najczystsze”.

Z takim bagażem osiągnięć i niedociągnięć opuściłem Bystrzejowice i zacząłem pracę na stanowisku zwykłego nauczyciela w Trawnikach. Życie wiele mnie nauczyło.



## W Trawnikach

### 1 września 1931 – 31 sierpnia 1944 roku

Otrzymawszy ustne zapewnienie o przeniesieniu do Trawnik od zastępcy inspektora Michała Dubaja i inspektora Bolesława Kaczorowskiego oraz dekret przeniesienia od kuratora szkolnego pana Lewickiego, wróciłem do domu.

Zaraz następnego dnia udaliśmy się z żoną do Trawnik, aby zapoznać się z miejscowością i warunkami pracy. Pierwsze kroki po opuszczeniu wagonu skierowaliśmy do prywatnego mieszkania kierownika szkoły pana Bolesława Cichulskiego. Prosił nas o informację w sprawie wynajęcia mieszkania. We czworo skierowaliśmy nasze kroki szosą w stronę przejazdu przez tor kolejowy. Idąc spacerowym krokiem, słuchaliśmy wyjaśnień, że właśnie tu w tej piętrowej białej kamienicy Bober prawdopodobnie będzie miał mieszkanie do wynajęcia. Państwo Cichulscy wrócili do domu, a my z żoną wstąpiliśmy do sklepu Bobra, który oznajmił nam, że jeden duży pokój na parterze jest niewykończony. Na piętrze trzypokojowe mieszkanie zajmuje lekarz Nasuto, a obok mieszka kolejarz w mieszkaniu dwupokojowym. Ten pracownik kolejowy ma przyznane mieszkanie służbowe przy stacji, więc to w krótkim czasie opróżni i będziemy mogli go wynająć. Mając kilka godzin wolnego czasu, sami we dwoje obejrzelśmy na zewnątrz nowo wybudowaną parterową szkołę z wapniaka, usytuowaną na lekko pochyłej skarpie rzeki Wieprz. Szkoła ta była pobudowana między wsią Trawniki a zabudowaniami cukrowni i osiedla stacyjnego. W domu stacyjnym była poczta. Przy stacji kolejowej w dużej piętrowej kamienicy mieszkało kilka rodzin żydowskich, trudniących się drobnym handlem i handlem zbożem (Helpery, Fuchs). Przy stacji mieszkał felczer Nergo i fryzjer Cieśliński. Trawniki należały do gminy Jaszczów, gdzie był również mały szpital oraz lekarz szpitalny. Po kilku latach urząd gminny przeniósł się do Biskupic. Tu był posterunek policji, kościół parafialny (proboszcz ksiądz Biały), cmentarz grzebalny, ładna siedmioklasowa szkoła podstawowa w piętrowym budynku. Drogą konkursową po Budyńskim objął kierownictwo Kazimierz Łoziński i zamieszkał w budynku szkolnym. Szkoła ta była przodująca pod względem organizacyjnym i poziomu nauki w całej gminie.

### **Żegnajcie Bystrzejowice!**

27 sierpnia 1931 roku od samego rana mieliśmy dużą krzątaninę z pakowaniem naszego skromnego inwentarza i składaniem pożegnalnych wizyt.

Nie czekając na przybycie nowego kierownika, Całyniuka, inwentarz szkolny protokółarnie przekazałem opiekunowi szkolnemu Kędrze. Oddając klucze od szkoły, odczułem jakieś upokorzenie, niewdzięczność. Łzy zakręciły mi się w oczach, odwróciłem głowę, aby nie dać poznać mego wzruszenia.

Podjechał Stanisławek, brat naszej pomocnicy – służącej Heli. Ulokowaliśmy na parokonnej, pojemnej furmance nasze rzeczy. Ze Stanisławkiem i Helą usadowiliśmy żonę ze Zdzisiem na furze, sam zaś obszedłem dokoła szkołę, otarłem „babskie” łzy, jeszcze raz ogarnąłem wzrokiem całość szkoły i mieszkania, tak jakbym raz na zawsze utracił coś, w co włożyłem dużo pracy i serca.

Konie ruszyły z miejsca żwawo, wóz potoczył się gładko po szosie w stronę Piask; wjechaliśmy na garb szosy, który niebawem zasłonił widok na Bystrzejowice, na Wierzchowiska, pałac Koźmiana i sadzawkę z pływającymi po niej łabędziami. Dobrze się złożyło, że osobiście nie przekazałem majątku szkolnego panu Całyniukowi, który nie był w tym czasie w szkole i nie był świadkiem, jak „mazgaj” musi wyjeżdżać, aby jemu zostawić gotową nową szkołę.

Po kilku godzinach drogi zza horyzontu wynurzył się komin fabryczny cukrowni w Trawnikach, a po tym reszta osady fabrycznej i stacja kolejowa. Jesteśmy na miejscu.

Bober był zaskoczony naszym tak prędkim przybyciem, bo w kierunku przygotowania mieszkania nic nie zrobił. Trudno. Złożyliśmy nasze rzeczy pod ścianą obok ganku. Furman pokręcił głową, widząc nasze zakłopotanie i odjechał do domu. Do niewykończonego pokoju wnieśliśmy nasze meble. Największy kłopot to był brak kuchni. Przez kilka dni żona uproszczony posiłek gotowała na kuchence elektrycznej. Ten cygański tryb życia trwał parę dni, potem przenieśliśmy się na piętro do mieszkania zwolnionego przez kolejarza. Nawiasowo dodać należy, że pan Bober wykorzystał odpowiedni moment, mieszkanie (dwa pokoje z kuchnią) odstąpił nam za bardzo wysoki czynsz miesięczny – 50 złotych, co równało się prawie połowie mojej miesięcznej pensji.

W przeddzień rozpoczęcia pracy w szkole odbył się pogrzeb Radomskiej, która forsownie pracując, przygotowywała się do egzaminu Wyższego Kursu Nauczycielskiego; zachorowała na gruźlicę, która spowodowała przedwczesną śmierć nauczycielki. Pozostało dwoje dzieci: Basia i Wojtek. W kilka lat później Basia umarła na żółtaczkę, a Wojtek w czasie kąpieli utonął w Wieprzu. Pozostał sam Radomski, który musiał pełnić funkcję kasjera na stacji kolejowej i zajmować się gospodarczymi sprawami w swoim ładnym, parterowym, murowanym domu. Radomska została pochowana na cmentarzu w Lublinie. Ja objąłem po niej posadę, a żona po przeniesieniu do innej szkoły nauczycielu Mareckim.

## Początek roku szkolnego 1931/1932

Tradycyjnym zwyczajem rok szkolny rozpoczął się 1 września 1931 roku nabożeństwem szkolnym w kościele parafialnym w Biskupicach, które celebrował ksiądz proboszcz Biały. Dzieci pod nadzorem wychowawców wróciły najbliższą drogą parami wzdłuż torów kolejowych (4 kilometry). W szkole otrzymały informację o zaopatrzeniu się w pomoce naukowe, o przebiegu nauki w następnym dniu itp. W głównym budynku szkoły im. Józefa Piłsudskiego będą pobierać naukę w czterech salach szkolnych. Była jeszcze wynajęta sala po zlikwidowanej ochronce dla dzieci pracowników cukrowni. Szkoła była dwa lata temu zbudowana z wapniaka w czynie społecznym mieszkańców Trawnik przy wydatnej pomocy cukrowni.

Posiedzenie Rady Pedagogicznej otworzył kierownik szkoły Bolesław Cichulski. W naradzie wzięli udział nauczyciele: Jadwiga Cichulska, żona kierownika, Janina Woško, Dominik Woško, Karolina Patkowska, Janina Fabisiakówna i ksiądz prefekt Supryn. Po krótkich targach zostały przydzielone wychowawstwa i przedmioty nauczania w starszych klasach. Z klasą I nie było żadnego kłopotu. Wychowawstwo w tej klasie i naukę wszystkich przedmiotów objęła moja żona, a to dlatego, że w szkołach zakorzeniła się tradycja, że nowo przybyli nauczyciele zaczynają pracę na nowych stanowiskach poczynając od klasy I. Drugim powodem, i chyba najważniejszym, był fakt rozpoczęcia nauki szkolnej przez naszego pierwotnego synka Zdzisia. Żona chciała go mieć pod swoją troskliwą opieką i obserwować jego pracę, rozwój umysłowy i fizyczny. Ja objąłem wychowawstwo i przedmioty nauczania po śp. Radomskiej w klasie V oraz w klasach VI i VII naukę fizyki, chemii i wychowania fizycznego, a także zajęć praktycznych z chłopcami.

„Stare” grono nauczycielskie obserwowało nas krytycznie. My z żoną przyjęliśmy przydział z zadowoleniem, bo nam najlepiej odpowiadało, ku zgorzseniu „starego” grona, które spodziewało się sprzeciwu z naszej strony przy przydziałach wychowawstwa i przedmiotów nauczania. Państwo Cichulscy pozytywnie ustosunkowali się do nas od pierwszego spotkania i ten stosunek przyjacielski trwał dwa lata.

Następnego dnia Cichulska oświadczyła nam, że z cukrowni możemy bezpłatnie otrzymywać każdego miesiąca po 5 kilogramów cukru na osobę. W sumie otrzymywaliśmy więc 10 kilogramów, co nam w zupełności wystarczało na cały miesiąc. Należało tylko przy odbiorze złożyć pokwitowanie na otrzymany cukier.

Po kilku dniach po odebraniu pierwszej porcji kierownik z zażenowaniem oznajmił mi na uboczu, że w cukrowni krążą pogłoski, że nie umiem się wysłowić na piśmie i popełniam błędy ortograficzne. Ze zdumieniem wysłuchałem jego uwagi i zapytałem, czy on widział i czytał moje pokwitowanie. Otrzymałem negatywną odpowiedź. Prosiłem go, aby osobiście obejrzał

kartkę, przeczytał i osądził znalezione usterki oraz podzielił się uwagami na ten temat ze mną. Ponieważ pan Cichulski, długoletni kierownik tej szkoły, utrzymywał bliższe stosunki towarzyskie z administracją cukrowni, więc pokazali mu moje pokwitowanie. Zaciekawiony tą sprawą księgowy Jan Dobrowolski razem z Cichulskim przestudowali ten „dokument” i żadnych uchybień nie znaleźli. W postscriptum napisałem: „...jestem dopiero od 2 dni naucz. tut. szkoły”. Te skrótły zaintrygowały magazyniera. Uznał to za błąd i nie omieszkał podzielić się swoimi spostrzeżeniami ze znajomymi, a ci puścili plotkę dalej.

Obok Zdzisia w klasie zasiadł drugi taki sam uczeń sześciolatek. Tym uczniem był Janusz Cichulski, syn kierownika szkoły. Zdziś przewyższał go znajomością czytania prostych wyrazów drukowanych, których samodzielnie nauczył się w czasie zabawy kartkami zerwanymi ze starego ściennego kalendarza. Najpierw wyszukiwał imiona moje, żony i babci, a potem szukał nazw dni tygodni i nazwy miesięcy. Na lekcjach opanował technikę czytania. Nauka przychodziła mu łatwo. Czasem to nawet i nudził się, gdyż musiał poczekać na opanowanie tego materiału przez resztę klasy. Kolegom chętnie pomagał. W ciepłej i pogodnej porze roku całe godziny spędzał nad wodą małego strumienia, wypływającego z niwy dworskiej majątku Trawniki, właścicielki Michalskiej. Woda zbierała się z podmokłej niwy w drenach i tryskała z ziemi tuż przy torze kolejowym, skąd pod mostkiem torowym wypływała w stronę szosy. I tu na małej łączce bawiły się dzieci w wodzie, którym przewodniczył Zdziś i jego sąsiad rówieśnik Zygmunt Zieliński, syn wyrobnicy wdowy pracującej we dworze, a mieszkającej z synem i córką w małym drewnianym domu dworskim, koło „naszej” kamienicy. Na tej polance nad strumykiem odbywały się gry, zabawy, gonitwy, skoki przez wodę itp.

Pewnego razu Zdziś niespodziewanie wpadł do domu z zakrwawioną nogą poniżej kolana. Zaniepokojony zapytałem jak to się stało, że noga krwawi. Objaśnił mi, że go ukąsił jakiś pies w czasie zabawy nad strumieniem. Obawiałem się czy pies nie był chory na wściekliznę, bo to komplikowałoby sprawę. W tym dniu lekarz Nasuto wyjechał na kilka dni do Warszawy. Od dzieci dowiedziałem się, że one chciały tego psa złapać i bawić się nim. To mnie trochę uspokoiło, że pies ukąsił we własnej obronie. Natychmiast nogę obmyłem, sączącą się krew mocno wycisnąłem i tę ranę przypieklełem rozgrzanym na ogniu gwoździem. Zdziś krzyknął, ale zaraz się uspokoił, nogę obandażowałem. Zdziś tego dnia nad strumień do bawiącej się gromadki dzieci już nie poszedł.

Z wielkim niepokojem śledziłem przebieg choroby. Zdawałem sobie sprawę, że ta straszna, nieuleczalna choroba atakuje chorego po upływie dłuższego czasu (około 9 dni) od chwili zakażenia. Po kilku dniach ranka pokryła się wąskim strupem, po następnych kilku dniach strup się wykruszył, została słabo widoczna blizna. Tak więc obyło się bez bolesnych zastrzyków, a po

kilku tygodniach sprawa ta poszła w zapomnienie, ale pozostała nauka na całe życie, aby unikać kontaktu z nieznanymi psami.

Na nowej posiadzie z żoną oddaliśmy się całkowicie pracy szkolnej. Bliższe stosunki towarzyskie utrzymywaliśmy tylko z Cichulskimi, a dobrosąsiedzkie z państwem Nasutami, okolicznościowe z właścicielem i pracownikami apteki państwem Englertami. Englertowie byli znani i cenieni w okolicy jako przykładna rodzina. Syn Englertów ukończył politechnikę w Belgii, a teraz pracował w fabryce uzbrojeniowej w Pionkach koło Kamiennej. Po śmierci starszego Englerta pracę w aptece podjęły dwie jego córki, panny Maria i Irena Englert. Z dworem i dziedziczką panią Michalską nie łączyły nas żadne stosunki. Michalską znali wszyscy jako skąpą egoistkę. W żadnej pracy społecznej nie udzielała się, prowadziła tryb życia zamknięty, zapatrzona w przeszłość swego rodu i całkowicie oddana pasji gromadzenia pieniędzy: słone ceny za wynajęte mieszkania w swoich domach przy stacji, sprzedaż placów przy stacji za dolary, sprzedaż zboża, buraków cukrowych i innych płodów rolnych. Nie cieszyła się sympatią swojej służby dworskiej: pokojówki, garderobianej, lokaja, stangreta i innych.

Szkoła w Trawnikach była należycie zorganizowana, zaopatrzenie w pomoce naukowe było dostateczne. Najlepiej był postawiony poziom z geografii, ponieważ sam kierownik był wykładowcą tego przedmiotu i troszczył się o zakup pomocy. Nawet było tellurium, służące do unaoczniania obrotu Ziemi wokół Słońca, a Księżyca dokoła Ziemi i powstawania pór roku. Z tą pomocą naukową zetknąłem się pierwszy raz w pracy nauczycielskiej.

Miałem duże kłopoty z wychowaniem fizycznym. Szkoła nie posiadała sali gimnastycznej i przyrządów do ćwiczeń. W dni pogodne lekcje prowadziłem na boisku szkolnym przed szkołą, a w lecie na łące nad Wieprzem. Zimą porą ćwiczyliśmy na śniegu na skarpie Wieprza. Ulubionym ćwiczeniem chłopców była walka śnieżkami i zdobywanie twierdzy. Do zajęć praktycznych (roboty z chłopcami) nie mieliśmy ani sali, ani narzędzi, ani materiału.

Te dwa przedmioty były w nauczaniu „michałkami”, na ostatnim planie. Skuteczność w nauczaniu zależała od pomysłowości nauczyciela, a nawet i dzieci, a także od pomocy rodziców. W szkole wyżej zorganizowanej dodatnią stroną było łączenie w komplety młodzieży według płci, czego nie można było robić w szkole niżej zorganizowanej (jedno-, dwuklasówkach). Jeżeli w szkole uczył mężczyzna, to dziewczynki były pokrzywdzone kosztem chłopców i odwrotnie: nauczycielka skuteczniej mogła pracować z dziewczynkami niż z chłopcami.

Ja uczyłem tych przedmiotów grupę chłopców z klas VI i VII. Zajęcia praktyczne w wielu punktach korelowały z wychowaniem fizycznym. Na robotach robiliśmy piłki ze szmat i korka, spleliśmy linę do przeciągania, pomiędzy drzewami umieściliśmy belkę z przyczepionymi drążkami lub linkami do wspinania się, belkę do ćwiczeń równowagi, skocznie wzwyż i w dal, stojaki

i łąty do skoków wżwyz, kozioł do skoków, trampolinę itp. W czasie zimy prowadziłem zajęcia na robotach – introligatorstwo. Dla klasy I robiliśmy pudełeczka na przechowywanie liter, modele brył geometrycznych do lekcji matematyki oraz oprawę książek w twarde okładki. Uczniowie pracowali chętnie, gdyż widzieli cel roboty, a potem mieli satysfakcję z wykonanej pożytecznej pracy.

## Święto 3 maja

Święto 3 maja rozpoczęło się nabożeństwem w Biskupicach, celebrowanym przez księdza proboszcza Białego. Szkoły z tej parafii udały się pod figurę za miastem na brzegu zagajnika. Do zebranych przemówił kierownik szkoły w Biskupicach Kazimierz Łoziński. Po drodze dzieci śpiewały patriotyczne pieśni. W godzinach popołudniowych dla miejscowej ludności w Trawnikach szkoła wspólnie z cukrownią urządziły uroczystość. Na miejscowym cmentarzu wojennym we wspólnej mogile Austriacy pochowali kilkuset swoich żołnierzy, którzy polegli w czasie I wojny światowej w Trawnikach i najbliższej okolicy. W oddzielnych pojedynczych grobach zostali pochowani polscy żołnierze, którzy zginęli na polu walki w okolicy Trawnik w czasie wojny 1920–1921 roku ze Związkiem Radzieckim. Corocznie przemawiała pani Dobrowolska, żona księgowego w cukrowni. Na placu przed szkołą przygrywała orkiestra z cukrowni pod batutą klarncisty Madeńskiego z cukrowni. Uroczystość skończyła się późnym wieczorem. W przerwach młodzież szkolna wygłaszała przygotowane deklamacje i popisywała się chóralnym śpiewem. W uroczystości brała również udział Ochotnicza Straż Pożarna z cukrowni.

## Kazio

Zaabsorbowani pracą szkolną i troskami rodzinnymi zostaliśmy zaskoczeni zbliżającym się końcem roku szkolnego i rozwiązaniem ciąży żony.

Po skończonym obiedzie Januśka poczuła się źle. Była zdenerwowana, nie mogła sobie znaleźć wygodnego miejsca. Wyczułem, że zbliża się dla niej ważna chwila. Po krótkim czasie oznajmiła mi, że teraz odczuwa wewnętrzne bóle, świadczące o prędkim porodzie. Przygotowaliśmy łóżko i bieliznę dla chorej i mającego przybyć gościa – oczekiwanego nowego członka rodziny.

Pospiesznie udałem się do zamówionej przed paru tygodniami akuszerki, która mieszkała w budynku dworskim. Pannę Gretę (nazwiska nie pamiętam) zastałem w domu, wybierającą się z wizytą do chorej kobiety w „czworakach”. Po wysłuchaniu mej prośby oznajmiła mi, że za dwie godziny będzie u nas. Dała mi wskazówki, jak mam postępować z moją zdenerwowaną żoną. I rzeczywiście po dwóch godzinach była już u nas.



Z chwilą zbliżającego się zmroku letniego dnia bóle z każdą minutą nasilały się. Biedna Januška wiła się i głęboko, przeciągle a nie głośno jęczała. Akuszerka i ja staraliśmy się żonę uspokoić, co do pewnego stopnia udało nam się zrobić. Dodam, że w ciągu ostatnich tygodni ciąży żony była u nas bratowa żony Marianowa. Akuszerka radziła mi, abym się zajął jakąś swoją pracą, a jak będę potrzebny to mnie zawoła. Rzeczywiście miałem co robić. Musiałem przygotować kolację dla siebie, bratowej, Zdzisia. Ułożyłem do snu Zdzisia w oddzielnym pokoju, okryłem go i uspokoiłem, że mamusia niedługo wyzdrowieje i znów wszystko będzie dobrze. Minęło jeszcze parę godzin. Akuszerka zażądała, abym jej pomógł lepiej ułożyć chorą. Januška była trochę spokojniejsza, zmęczona i cała spotniała. Wróciłem do Zdzisia i usiadłem na brzegu jego łóżeczka. Chyba się zdrzemnąłem, usłyszałem w pokoju ruch, słyszałem: „Proszę podać mi miednicę z ciepłą wodą”. Po chwili usłyszałem pierwszy głos noworodka. Przez uchylone drzwi Staszycowa mówiła, że mogę już wejść. Akuszerka podała mi dziecko ze słowami: „Niech pan powita swego syna”. Janusia zapomniała o bólu. Prosiła, żeby jej pokazać synka spowitego w beciku. Na obliczu chorej zawiła uśmiech i radość płynęła z głębi matczyngo gorącego, przepelnionego miłością serca. Oboje przyjeśliśmy swego oczekiwanego synka z wielką radością rodzicielską i dumą, a działo się to 13 czerwca 1932 roku kilkanaście minut przed północą.

Wczesnym rankiem przed pójściem do szkoły powitał swego malutkiego braciszka Zdziś. Trudno mu było się pogodzić, że ta malutka kruszyna w beciku jest członkiem naszej rodziny, a jego rodzonym bratem. Wracając ze szkoły, spotkałem na schodach doktora Nasutę, który miał mi za złe, że na czas porodu jego nie poprosiłem. Poród trwał krótko i przebiegał dla dziecka i żony pomyślnie. Po pięciu dniach żona już wstała z łóżka i z wielką troskliwością zajęła się dzieckiem.

Chrzest odbył się w kościele parafialnym w Biskupicach, a udzielił go ksiądz proboszcz Biały. Do chrztu podawali kierownik szkoły Cichulski i bratowa żony Marianowa. Przy chrzcie asystował Zdziś i córka Marianowej Celina (w drugiej parze).

Po przyjeździe z kościoła urządziliśmy dość duże przyjęcie w mieszkaniu Bobra na pierwszym piętrze w Trawnikach. Po przyjęciu Marianowa często wspominała chwilę, jak łyżką durszlakową nie mogła napić się wody (będąc po wódce).

Synek chował się zdrowo. Z żoną często woziliśmy go na spacer po szosie fajslawickiej. Sąsiadki obserwowały dziecko i podziwiały jego wygląd. Jedna z nich nawet serio twierdziła, że żona barwi dziecku policzki na kolor czerwony.

Dużą pomocą w pracy domowej była służąca Rozalia Góra. Specjalnie do dziecka zaangażowaliśmy dziewczynkę Surysiównę, a do prania bielizny przychodziła zawodowa praczka z Ewopola. W produkty spożywcze zaopatrywaliśmy się u Bobra. Do opalania i ogrzewania mieszkania kupowałem torf przy stacji kolejowej.

## **Spoliczkowanie**

Wczesną wiosną 1933 roku po skończonych lekcjach wchodziłem do kancelarii szkolnej celem zostawienia dziennika lekcyjnego. W progu zetknąłem się z koleżanką Fabisiakówną, która opuszczała kancelarię, bardzo zirytowana. Na progu odwróciła się i podniesionym głosem powiedziała do kierownika Cichulskiego: „Ta sprawa nie jest skończona. Wkrótce powrócimy do niej, a pan dowie się, czy wolno nauczycielkę siłą wyrzucać z kancelarii”. Kierownik stał za biurkiem i zbierał papiery. W podnieceniu nie mógł spokojnie słowa powiedzieć. Widząc moje zdziwienie, oznajmił, że Fabisiakówna po dzwonku ociągała się jeszcze z wyjściem z kancelarii na lekcję. Na zwróconą jej uwagę odpowiedziała impertynencko, że wyjdzie wtedy, kiedy będzie chciała. Cichulski uderzył ręką o biurko ze słowami: „Proszę natychmiast iść na lekcję”. Usłyszał odpowiedź, że on grubiańsko postąpił i udaje wielkiego kierownika, a w gruncie rzeczy jest tylko wielkim zerem. Wtedy otworzył drzwi i popchnął nauczycielkę na korytarz. Zostawiwszy dziennik poszedłem do domu. Następnego dnia rozeszła się wiadomość, że w czasie jego powrotu do domu zastąpił mu drogę Bartkiewicz, pracownik umysłowy cukrowni, a niedoszły narzeczony Fabisiakówny. Uderzył kierownika w twarz ze słowami: „To za Fabisiakównę. Przestań ją prześladować, bo następnym razem dam ci lepszą nauczkę, jak postępować z kobietami”. Podczas uderzenia Cichulskiemu spadły okulary, potłukły się i lekko zraniły mu nos.

Cichulski skierował sprawę do sądu. Przed rozprawą sędzia nakłaniał obie strony do pogodzenia się. Cichulski domagał się rozpatrzenia sprawy. Przedstawił kilku świadków naocznych, między innymi mnie. Ja tu nie miałem wiele do powiedzenia. Sędzia dopiął swego celu. Zobowiązał Bartkewicza do trzykrotnego ogłoszenia w prasie przeproszenia, którego nie mogliśmy się doczekać, bo chyba go nie było. Tak więc Cichulski nie otrzymał satysfakcji za czynne znieważenie. W gronie nauczycielskim zapanowała przygnębiająca atmosfera. Do końca roku pozostało wszystko bez zmian.

Na krótko przed zakończeniem Fabisiakówna składała egzamin kwalifikacyjny przed komisją pod przewodnictwem inspektora szkolnego Bolesława Kaczorowskiego. Na egzamin złożyła się pokazowa lekcja, a potem dyskusja nad nią i debata nad metodami uczenia i wychowania. Egzamin wypadł dodatnio. Teraz Fabisiakówna została kwalifikowaną nauczycielką.

## **Przesunięcia personalne**

Sprawa kierownika wzbudziła duże zainteresowanie w miejscowym społeczeństwie i różnie był komentowany ten wypadek. W gronie nauczycielskim też o tym się mówiło i tu zdania były podzielone. Większość dyskutantów była zdania, że kierownik był zbyt spoufalony w stosunku do sił, z którymi



**Szkoła w Trawnikach w pełnej krasie. Na stopniach Dominik Wośko i kierownik Władysław Hobot. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków**

współpracował dłuższy czas, wskutek czego stracił prestiż. Więc i Fabisiakówna lekceważyła kierownika i nie chciała się podporządkować jego poleceniom.

Kierownik powziął decyzję o zmianie miejsca pracy i złożył podanie do Inspektoratu z prośbą o przeniesienie do innej gminy. Inspektor szkolny pan Kaczorowski, zapoznawszy się z motywacją, w porozumieniu z kuratorem przenieśli państwa Cichulskich do Piask na stanowisko kierownika szkoły numer 2 na miejsce państwa Hobotów, którzy przeniesieni zostali na własną prośbę do Trawniki. (Przed kilkanaście laty oboje pracowali już w Trawnikach na posadach nauczycieli pod kierownictwem pana Cichulskiego). Kuratorium przeniosło również na inne posady koleżanki J. Fabisiakównę i K. Patkowską. Na ich miejsce przybyli Z. Todys, muzyk i śpiewak, i H. Ananiewicz z Bełżyc.

### **Praca w nowym składzie**

Kierownik Wł. Hobot po skończonym Wyższym Kursie Nauczycielskim objął matematykę, pani Hobotowa język polski, a pan Todys, wykorzystując swoje predyspozycje i zamiłowanie do śpiewu, zorganizował chór szkolny z prawdziwego zdarzenia, najlepszy chór w okolicy. Na konferencji nauczycielskiej wykonał kilka utworów na skrzypce oraz zaprezentował swoje zdolności śpiewacze i muzyczne. Stał się bardzo popularnym nauczycielem na terenie gminy. Na tej posadzie pracował tylko jeden rok. W czasie wizytacji inspektor Kaczorowski stwierdził, że dzieci jego klasy nie opanowały przewidzianego materiału naukowego, więc zawiesił go w czynnościach. Kierownik szkoły, interweniując, wyjaśnił, że Todys pracował rzetelnie, ale w ciągu kilku miesięcy nie zdążył wyrównać materiału, którego nie przepracowała w ubiegłym roku nauczycielka, za co nie może ponosić odpowiedzialności.

Inspektor cofnął swoje zarządzenie, ale Todysa jako specjalistę od muzyki i śpiewu zabrał do Lublina.

Na jego miejsce przysłał Franciszka Kaczmarka z Bychawy, który wychował się i skończył seminarium nauczycielskie w Westfalii, gdzie jego ojciec pracował w kopalni węgla. Inspektor poczynił starania, aby nauczyciele przyszli Kaczmarkowi z pomocą, gdyż ma słabo opanowany język polski (język niemiecki posiadał gruntownie). On również był muzykalny. Kontynuował pracę z chórem i zorganizował orkiestrę mandolinistów, do której należał mój synek Zdziś. Już po kilkumiesięcznej pracy orkiestra ta występowała na uroczystościach szkolnych. Po dwuletnim pobycie w Trawnikach, ożeniwszy się z nauczycielką z Bychawy, przeniósł się do tamtejszej szkoły. Na jego miejsce została mianowana nauczycielka M. Malicka, która miała dobre przygotowanie z muzyki i śpiewu i kontynuowała pracę swoich poprzedników. Ponieważ liczba dzieci w szkole się powiększyła, Kuratorium przeniosło z Bełżyc do Trawnik nauczycielkę H. Ananiewicz.

### **Pozaszkolna praca z uczniami**

Stan grona nauczycielskiego pod względem ilościowym, przygotowaniem pedagogicznym, specjalistycznym wykrystalizował się i ustalił. Młody kierownik szkoły cieszył się uznaniem grona nauczycielskiego i społeczeństwa. Na posiedzeniach Rad Pedagogicznych ustaliliśmy kierunki działania i sposób ich przeprowadzenia. Zaczęliśmy od pomocy słabszym uczniom w nauce celem zmniejszenia odsetka drugoroczności. Po lekcjach przychodzili również ci uczniowie, którzy tej pomocy nie potrzebowali, w celu pożytecznego i przyjemnego spędzania czasu wolnego pod okiem opiekuna – nauczyciela. Największym powodzeniem cieszyła się gra w siatkówkę pod nadzorem kierownika szkoły. Ja objąłem patronat nad zorganizowaniem i pracą drużyny harcerskiej – chłopięcej. Drużynowym początkowo był uczeń klasy VII P. Zachary, a zastępowymi Chamerski i M. Pieczkarek. Później drużynowym „Wilków” był Adolf Wróbel. Każdą projektowaną zbiórkę drużyny omawiałem z drużynowym i zastępowymi w przeddzień zbiórki. Czasem sprowadzaliśmy z Lublina instruktorów z Chorągwi Lubelskiej, którzy zapoznawali nas z nowymi kierunkami zajęć. Na zbiórkach ładnie wyglądali harcerze w swoich strojach, ćwiczeniach z laskami i śpiewach harcerskich piosenek. W czasie przemarszu na boisku ja przygrywałem na skrzypcach, Romek Psajek na kornecie i Król, który wybijał takty na werblu.

W suche i pogodne soboty po lekcjach urządzaliśmy wycieczki połączone z grą harcerską do pobliskiego kańskiego lasu. Wracaliśmy często późnym wieczorem. Ćwiczenia i gry terenowe prowadziłem z harcerzami w soboty. Harcerzy pasjonowały gry z podchodzeniem, marsze za znakami zostawionymi kredą, patykami, krzakami, z odszukiwaniem schowanych poprzednio przeze

mnie różnych drobnych przedmiotów. Po drodze prowadziłem ćwiczenia z obserwacji terenu, marsze za znakami, marsze w takt śpiewanych harcerskich pieśni. Budowaliśmy szałas z pozostawionych gałęzi z wyrąbanych drzew. Urządziliśmy wycieczkę do obozu harcerskiego biwakującej w lesie drużyny harcerzy z Lublina.

Dużym przeżyciem naszych harcerzy „Wilków” były ćwiczenia i gry przeprowadzone przez delegata, który przybył do nas z chorągwi harcerskiej z wizytacją. Po skończonych ćwiczeniach starsi harcerze składali przyrzeczenie i byli dekorowani krzyżami harcerskimi i otrzymywali stopnie sprawności harcerskich oraz legitymacje, z których byli bardzo dumni.

Zorganizowałem również zastęp młodzików, składający się z chłopców klas młodszych „Dzięciołów”. Do tego zastępu przyjęliśmy również mego synka Zdzisia. Praca z „Wilkami” i „Dzięciołami” sprawiała mi dużą satysfakcję. Miałem dużo pracy, gdyż musiałem obmyślać program ćwiczeń dla jednych i drugich.

Nie obeszło się i bez „potknięć”. Na przykład: na uroczystość 3-majową przygotowałem ładne ćwiczenia obrazowe z laskami. Chłopcy mieli wykonać to ćwiczenie w takt marsza. Orkiestra straży pożarnej z cukrowni zagrała ten marsz, a moi chłopcy zaczęli ćwiczenia, ale nie równocześnie w takt marsza. Moim kardynalnym błędem było to, że w przeddzień nie zrobiłem próby z orkiestrą. Nastąpiło zamieszanie w szeregach. Musiałem zrezygnować z tego ćwiczenia na oczach zebranej publiczności. Wycofaliśmy się z placu ćwiczeń speszeni. Obraz ten nie udał się. Kilka dni później na apelu kierownik powiedział, że harcerze nie dają dla szkoły nic nowego. To powiedzenie było dla mnie bardzo nieprzyjemne. Bez namysłu publicznie powiedziałem, że wycofuję się z pracy harcerskiej. Tę rezygnację kierownik przyjął do wiadomości w milczeniu. Pracę tę przerwałem. Nikt z nauczycieli nie chciał objąć opieki nad tą organizacją i tak została zahamowana praca do wybuchu wojny.

Pani Ananiewicz przygotowywała przedstawienia teatralne, pani Malicka nadal prowadziła chór szkolny i muzykę mandolinistów.

Nasza szkoła im. J. Piłsudskiego należała do typu tych szkół, gdzie skutecznie pracowały różne organizacje szkolno-uczniowskie. Nawet powszechna szkoła siedmioklasowa w Biskupicach, która miała lepsze warunki lokalowe (nowy piętrowy dom z mieszkaniem dla kierownika), pod tym względem ustępowała szkole w Trawnikach.

## Wieczorowy kurs

Kurs wieczorowy rozpoczynał pracę późną jesienią w jednej z izb szkolnych. Zgłosiło się kilkunastu młodych mężczyzn i kilka panien. Początkowo były omawiane tematy historyczne i krajoznawcze, które wynikały z treści





Rok 1933. Rodzina Dominika Wośko: żona Janina, syn Kazimierz (1 rok), syn Zdzisław (8 lat), za 5 lat urodzi się syn Tadeusz. Fot. ze zbiorów rodziny Wośków

życia. Poziom słuchaczy nie był jednolity. Byli tacy, którzy ukończyli 2-3 klasy szkoły powszechnej, a byli również i tacy, którzy mieli ukończoną szkołę średnią. Ci ostatni przychodzili z ciekawości, chęci popisania się swymi wiadomościami ze szkoły średniej. Na przykład: E. Kmiec po gimnazjum, Świdzki po szkole ogrodniczej. Korzyść praktyczna z nauki w takim zespole była znikoma. Z biegiem czasu urządziliśmy kurs, na którym słuchacze mieli opanować podstawowe wiadomości na poziomie szkoły powszechnej. Liczba słuchaczy po odejściu dwóch z ukończoną szkołą średnią powiększyła się przez przyjęcie innych. Zgłosiło się kilku mężczyzn żonatych. Do takich należał m.in. kowal Waryszak. Kierownik objął naukę matematyki i fizyki, ja geografię, botanikę i zoologię, Ananiewicz język polski. Tu nauka odbywała się codziennie od godziny 6 do 9 wieczór. Z tego był niezadowolony woźny szkolny Kopaczewski, gdyż wieczorem nie mógł sprzątnąć sali szkolnej. Nauka trwała dwie zimy. Inspektor Kaczorowski wyraził zgodę na egzamin po skończeniu materiału klas VI-VII. Przeprowadziliśmy egzaminy, stosując taryfę ulgową. Świadectwo z ukończenia szkoły powszechnej otrzymało kilkanaście osób. Nasza praca dała praktyczną korzyść.

Tak się złożyło, że inspektor szkolny wraz z podinspektorem Olszewskim po przeprowadzeniu wizytacji szkolnej wieczorem wzięli udział w zakończeniu pracy na kursie przy rozdawaniu świadectw. Obecność ich była bardzo krótka, gdyż spieszyli się do pociągu, którym mieli wracać do Lublina. Słuchacze bardzo cenili sobie udział władz szkolnych w ich uroczystej chwili.



Chcieliśmy gości jeszcze zatrzymać na popis orkiestry, zorganizowanej przez nauczyciela muzyki i śpiewu Franciszka Kaczmarka. Orkiestra ta składała się z muzyków, którzy poprzednio grali w orkiestrze straży pożarnej przy cukrowni oraz dokooptowanych, nowych członków, do których należeli nauczyciel F. Kaczmarek, ja, Mietek Sieczkarek – skrzypce, oraz Stadeński – klarncista, Psujek – kornecista i kilku chłopców mandolinistów.

W ciągu kilku tygodni opracowaliśmy repertuar, składający się z popularnych, ludowych utworów. Próby odbywały się w szkole wieczorową porą. Pewnej nocy włamał się złodziej i ukradł moje skrzypce, mandolę i dwie mandoliny. Miałem potem w domu przykrości ze strony mojej żony, gdyż te skrzypce były jej własnością. Na nich ćwiczyła, będąc uczennicą seminarium żeńskiego w Lublinie. Skrzypce te zostawiałem po próbach w szkole, nie chcąc ich nosić do domu, gdyż w wolnym czasie mogłem ćwiczyć na moich własnych, na których grałem, będąc uczniem Seminarium Nauczycielskiego w Ursynowie. Na czas wojny i mojej służby wojskowej w armii rosyjskiej macocha przechowała je w dole po kartoflach, wymoszczonym obficie słomą, obwinęte workami po ziemniakach.

## **Nowe choroby**

Wieczorną porą żona zaczęła się uskarżać na ból głowy. Ponieważ podobne bóle przeżywała często poprzednio, więc byliśmy przekonani, że po przyjęciu proszku od bólu głowy choroba w ciągu nocy minie. Jednak tak się nie stało. W dalszym ciągu ból ją męczył, poczuła ogólne osłabienie. Nie mogło być mowy o tym, aby mogła pójść do szkoły do pracy. Poprosiłem doktora Nasutę, który mieszkał w tym samym domu Bobra. Lekarz zbadał chorą, zaaplikował lek i polecił robić kompresy na głowę i piersi z wody o temperaturze pokojowej. Następnego dnia spotkaliśmy się z lekarzem na schodach. Zapytał mnie, jak się czuje chora. Oznajmiłem mu, że chora czuje się gorzej, a w nocy bardzo mało spała. Przyrzekł odwiedzić chorą wieczorem. Słowa dotrzymał. Po zbadaniu chorej powiedział, że tu nie ma nic poważniejszego. Przed odejściem żona powiedziała mu, że na piersiach czuje pod palcami chropowatą powierzchnię skóry, czy czasem nie jest to szkarlatyna. Znów obejrzał i stwierdził, że to jest prawdopodobnie ta choroba. Zadecydował, że chorą trzeba odwieźć do szpitala. Udałem się na pocztę, która znajdowała się w budynku stacji kolejowej w Trawnikach. Poprosiłem kierownika, aby mnie połączył ze Szpitalem Jana Bożego, znajdującym się przy ulicy Bonifraterskiej (dziś ulica Biernackiego). Przedstawiłem jak wygląda choroba oraz podkreśliłem, że czynię to z polecenia doktora. Rozmowę prowadziłem z dyżurnym felczerem Pochwatką, który był bliskim znajomym mojej żony, gdyż mieszkał naprzeciwko szpitala w domu Batorowej, w którym mieszkał również brat żony Karol Staszyc. Przyrzekł, że postara się o miejsce w szpi-

talu i uzyska zgodę dyrektora szpitala, doktora Biernackiego. Po powrocie ze stacji powtórzyłem żonie treść rozmowy. Moja Januśka rozpląkała się i oznajmiła mi, że mówić nie może – jest sparaliżowana. Po kilku godzinach przyjechało pogotowie ratunkowe z Lublina. Przygotowaliśmy ze służącą Różą niezbędne rzeczy. Wyłoniła się nowa trudność. Co zrobić z małym rocznym Kaziem. Żona postanowiła dziecko zabrać do miasta do Karola. Zdzisł pozostał w domu. Koleżanka Ananiewicz przyrzekła zaopiekować się nim do naszego powrotu. Z trudem ulokowaliśmy się w samochodzie: ja, żona, służąca i Kazio. Do samochodu przyszedł również doktor Nasuto, pomógł nam przy wsiadaniu i dał wskazówki, jak mamy przez drogę opiekować się chorą. Po godzinie dojechaliśmy do szpitala. Służąca Rozalia Góra z Kaziem wysiedli przed mieszkaniem Karola. Bratanek żony Tazio, który był w tym czasie na podwórzu, zabrał Kazia i Różę do swego mieszkania, a ja z chorą żoną ruszyliśmy pod górkę do szpitala. Żonę na noszach posługacze zabrali do pokoju przyjąć. Formalności z przyjęciem żony trwały bardzo krótko. Pożegnawszy się z biedną moją Januśką, wróciłem pociągami do Trawnik.

Wyłoniła się nowa trudność z przygotowywaniem posiłków dla mnie i Zdzisia. Przyszła nam z pomocą pani Bobrowa, żona właściciela domu, Józefa Bobra. Służąca Bobra, siostra naszej służącej, Janina przynosiła nam obiady na górę. Po dwóch dniach telefonicznie dowiedziałem się od siostry miłosierdzia, że choroba jest poważna, gdyż od tych kompresów chłodnych przeziębiliśmy szkarlatynę. Trochę była to i moja wina, że bezkrytycznie stosowałem zalecenie lekarza.

Minęło znów parę dni. Telefonicznie siostra miłosierdzia poinformowała mnie, że żona jest przytomna, ciągle się modli. Kazio ze służącą razem śpią na dużym kufrze z powodu braku zapasowego łóżka, czują się dobrze.

Po kilkunastu dniach wybrałem się do szpitala. Jaka była moja radość, kiedy u Karola zastałem żonę rozmawiającą ze służącą. Kazio w pierwszej chwili nie poznał swojej mamy, nazywając ją „panią”, co wycisnęło łzy mojej żony. Kryzys minął szczęśliwie. Po kilku dniach znów przyjechałem do Karola i tu znów zastałem żonę, która mi oznajmiła, że lekarz ją dziś wypisze ze szpitala i będzie mogła wrócić do domu. Uszczęśliwiony, pomogłem jej przy wypisywaniu się ze szpitala.

Późnym wieczorem byliśmy już wszyscy w Trawnikach. Lekarz Nasuto dał żonie trzydniowe zwolnienie od pracy szkolnej.

Później dowiedzieliśmy się, że żona zaraziła się szkarlatyną od uczennicy Legieciówny, córki starszego torowego na stacji w Trawnikach, w domu którego druga jego córka chorowała na szkarlatynę, o czym nie wiedzieliśmy. W czasie robót Legieciówna dała żonie haftowany monogram z prośbą o ocenę pracy.

\*

Zaledwie minęło kilkanaście miesięcy od powrotu żony ze szpitala, gdy zachorował na szkarlatynę Kazio, w 1934 roku. Poczyniliśmy wszystkie

możliwe starania, aby go odizolować od reszty rodziny. Leżał więc w swoim łóżeczku spokojnie i nudził się. Lekarz Nasuto dwa razy dziennie odwiedzał go, podawał leki. Żona pamiętała o jego wyżywieniu i stosowaniu odpowiedniej diety. Po paru dniach zachorował Zdziś. Więc już mamy dwóch chorych na jedną chorobę. Teraz umieściliśmy w tym łóżku obu chłopców. Choroba miała przebieg łagodny. Chłopcy rozmawiali, nawet śmiali się, oglądali „Płomyczki”. Byliśmy bardzo zdziwieni tym faktem, że obaj synkowie pomimo szczepienia przeciw szkarlatynie zapadli prawie jednocześnie na tę chorobę.

Z żoną byliśmy zwolnieni od pracy szkolnej na kilkanaście dni. To odbiło się ujemnie na przebiegu nauki w szkole, gdzie naraz zabrakło dwóch sił nauczycielskich. Łagodna choroba, dobre humory synków, prędki powrót do zdrowia łagodziły nasze rodzinne zmartwienie.

## **Praca społeczna w środowisku**

Na terenie Trawnik pracowała Liga Ochrony Powietrznej (LOP). Prezesem Koła był Józef Bober, były legionista, ranny, odznaczony Krzyżem Zasługi, sekretarzem D. Wośko, a skarbnikiem Karpiński, ogrodnik przy cukrowni w Trawnikach. Zadaniem organizacji była sprawa propagandy (odczyty) rozbudowy lotnictwa celem obrony powietrza w razie wybuchu wojny i gromadzenia środków finansowych na ten cel przez wpłatę składek na rzecz organizacji oraz urządzenie imprez dochodowych (zabawy) w budynku cukrowni. Prowadzone były ćwiczenia z użyciem masek przeciwgazowych. Prace te były prowadzone z dobrym skutkiem w środowisku.

\*

Drugą organizacją był Polski Związek Zachodni. Celem tej organizacji było szerzenie świadomości o zagrożeniu Polski ze strony Niemiec.

Początkowo organizacja ta pracowała w środowisku kolejarskim. Założycielem jej był zawiadowca stacji w Trawnikach Domański – prezes, i skarbnik Radomski. Koło liczyło kilkunastu członków. Prezes wszedł w porozumienie z gronem nauczycielskim, a przy jego pomocy z terenu przybyła większa liczba członków. Nastąpiła reorganizacja. W wyniku wyborów ukonstytuował się zarząd. Na prezesa został powołany D. Wośko, na sekretarza Porfiry Mironowicz, który zmienił obywatelstwo rosyjskie na polskie po działaniach wojennych (Polski z ZSRR). Prowadził prywatne przedsiębiorstwo przewozowe za pomocą pary własnych koni. Skarbnikiem zaś został Franciszek Legieć, kierownik techniczny odcinka kolejowego w Trawnikach.

Organizacja ta urządzała odczyty, zbierała składki, urządzała składkowe zabawy, które cieszyły się dużym powodzeniem i finansowym poparciem społeczeństwa. Pracą tą zainteresował się starosta powiatowy w Lublinie, Dańkowski, który na skutek informacji dostarczonych przez Komarnickiego,

pracownika tej organizacji na szczeblu powiatowym, przyznał mi nagrodę za dobre wyniki pracy w Kole w postaci Srebrnego Krzyża Zasługi. Termin dekoracji został przez starostwo ustalony na dzień 1 września 1939 roku.

\*

W dalszym ciągu brałem czynny udział w pracy Ogniska Nauczycielskiego (Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych). Z wyjątkiem koleżanki Ananiewicz wszyscy nauczyciele należeli do ZNSP. Przewodniczącym Ogniska był kierownik szkoły w Białce Andrzej Sawicz, sekretarzem kierownik szkoły w Trawnikach Wł. Hobot. Pracownicy administracji cukrowni mieli mu za złe, że należy i pracuje w ZNSP, organizacji postępowej. Nawet radzili mu zaniechać tej pracy, na co się nie zgodził. Czynności skarbnika powierzono mnie jako płatnikowi, którego obowiązkiem było pobieranie i wypłata poborów nauczycielskich pracownikom oświaty. Teraz po pobory nie musiałem jeździć do Lublina; otrzymywałem je na poczcie w Trawnikach z rąk kierownika poczty Borysa Gryzinka. Podczas wypłaty potrącałem składki członkowskie. Około 70% wysyłałem do Zarządu Głównego ZNSP, 25% do Zarządu Wojewódzkiego, 5% pozostawało w Ognisku na wydatki administracyjne i prenumeratę czasopisma „Ognisko”.

Pewnego razu po wypłacie i pobraniu poborów moich i żony zauważyłem brak 10 złotych. W tym czasie wybieraliśmy się z żoną na zabawę Polskiego Związku Zachodniego. Musiałem się śpieszyć, aby dopilnować organizacji zabawy. Muzyka grała walca, pary taneczne wirowały w takt muzyki. Ja zaś przysiadłem na krześle pod ścianą i myślałem o tym, jak to mogło się stać, że nam brakuje 10 złotych. Przy poborach 212 złotych na osobę te 10 złotych miało pewne znaczenie w domowym budżecie. W czasie przerwy tanecznej podszedł do mnie Sawicz ze słowami: „Nad czym się tak »ojczie« frasujecie?”. Mówiąc to, z uśmiechem spoglądał na mnie. Więc mu powiedziałem o braku 10 złotych. Ten sięgnął do kieszonki kamizelki i podając mi 10 złotych w palcach, powiedział: „A może to?”. Zawahałem się przyjęcia. On mi wyjaśnił, że w czasie wypłaty dałem mu 10 złotych za dużo. Pieniądze przyjąłem i obróciłem je na wspólną „popijachę” w czasie zabawy.

---

### **Strajk nauczycieli**

Praca nauczycielska od samej chwili odzyskania niepodległości była bardzo nisko opłacalna, a może nawet najniżej spośród prac innych pracowników państwowych. Nauczyciele i ich rodziny żyli w niedostatku, ale do poprawy swojej egzystencji nie uciekali się do organizowania strajków celem wymuszenia poprawy warunków pracy. Zaraz po odzyskaniu niepodległości społeczeństwo polskie żywiłowo przystąpiło do organizowania szkolnictwa, chcąc nadrobić zaległości na polu powszechnej oświaty z okresu zaborów. Wyłoniła się sprawa lokali na szkoły i brak nauczycieli. Pospiesznie przystą-

piły władze szkolne do wynajmowania lokali i angażowania pracowników na polu oświatowym. Młodzi ludzie gremialnie zgłaszali się do pracy, nie pytając, co za to otrzymają. W większości wypadków byli to ludzie po skończeniu paru klas gimnazjalnych. W czasie wakacji, a nawet i w toku pracy, doksztalcali się na różnych kursach, zdobywali ogólne wykształcenie, a szczególnie wykształcenie pedagogiczne. Większość z nich kierowała się maksymą poety Słowackiego: „Niech żywi nie tracą nadziei i niosą przed narodem oświaty kaganiec”. Nie bez znaczenia był fakt, że nauczyciel jako pewną rekompensatę za niskie pobory miesięczne, był uprawniony do otrzymania 2 mórg ziemi do własnego użytku, bezpłatne mieszkanie, opał i mógł korzystać z kilku bezpłatnych podwód celem zakupienia sobie produktów żywnościowych. W praktyce z powodu braku wolnej ziemi nie mógł jej otrzymać. Podobnie z czasem stracił prawo do bezpłatnego mieszkania. W zamian za ziemię przez kilkanaście miesięcy otrzymywał z urzędu gminnego nikły ekwiwalent, a sprawa mieszkania w ciągu kilku lat stała się nieaktualna. Sprawa mieszkaniowa i ekwiwalent były kością niezgody między nauczycielem a gminą. W końcu gminy przestały wypłacać gotówkę. Podwoły otrzymywali nauczyciele wyjątkowo, tylko dla odbycia podróży na konferencje nauczycielskie. Dostarczanie podwód przez sołtysa spowodowało rozdzwienki między wsią a nauczycielem.

Pozostały tylko czyste szczupłe pobory miesięczne. Z powodu wzrastających cen na produkty żywnościowe MWRiOP zmuszone było w drugiej połowie miesiąca wypłacać dodatkowe sumy, które i tak nie mogły zabezpieczyć przed niedostatkiem. Związek Nauczycieli Szkół Powszechnych starał się ulżyć doli nauczycieli przez organizację pomocy lekarskiej, ze składek nauczycielskich budując w Zakopanem sanatorium dla nauczycieli chorych na gruźlicę. Z biegiem czasu napływało dużo nauczycieli o pełnych kwalifikacjach, zdobytych w licznych seminariach nauczycielskich. Państwowe seminaria męskie i żeńskie w Lublinie kształciły młodzież, dając jej podstawowe wykształcenie ogólne i pedagogiczne.

Wprowadzone zostało obowiązkowe powszechne nauczanie. MWRiOP otwierało jednak coraz mniej nowych szkół. Nie wszystka młodzież mogła być objęta nauczaniem. Dla młodych absolwentów-nauczycieli zabrakło miejsca w szkołach. Pierwszeństwo pracy w szkole przysługiwało tym osobom, które zgłosiły się do rocznej bezpłatnej pracy nauczycielskiej.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja: dzieci jeszcze czekają na szkołę, nauczyciele również, a dla jednych i drugich nie ma miejsca w szkole. Bezpłatnie pracowali po roku w Chodlu Bęczyński z Borowa, a w Trawnikach Puch z Ewopola. Po tej bezpłatnej pracy zostali przyjęci do pracy w szkołach.

W owym czasie stosunki polityczne między Polską a ZSRR były mocno napięte, nieco później uległy pewnej poprawie. 25 lipca 1932 roku podpisany został pakt o nieagresji między tymi państwami. Z tej okazji Związek Nauczycielstwa Polskiego wydał „Płomyk” numer 16, którego treść była poświęcona temu zagadnieniu. Redakcja „Płomyka” dość obszernie omówiła obecny stan gospodarczy Związku Radzieckiego, a między innymi uwytkliła znaczenie gospodarki na Syberii, która znana była w Polsce jako miejsce kary za przestępstwa polityczne. Po ukazaniu się tego „Płomyka”

w prawicowej prasie polskiej zawrzało oburzenie na ZNP, że gloryfikuje Związek Radziecki. Redaktorów artykułów nazywano zdrajcami i domagano się przykładowego ukarania winnych.

W tymże samym czasie rząd generała Sławoja Składkowskiego rozpoczął kampanię centralizowania pokrewnych działów administracji państwowej. Między innymi proponowano zniesienie inspektoratów szkolnych, podporządkowując je starostom powiatowym. ZNP zajął negatywne stanowisko w obawie niebezpiecznego oddziaływania czynnika politycznego na nauczycieli i całe szkolnictwo. Premier Sławoj Składkowski zarządził skonfiskowanie „Płomyka” i zawieszenie działalności ZNP. Opiekę nad majątkiem Związku i jego agencjami powierzył „kuratorowi” Musiałowi.

W odpowiedzi na te drastyczne posunięcia ZNP ogłosił ogólnopolski strajk nauczycielski. Na pospiesznie zwołanym zebraniu Ogniska Nauczycielskiego w Trawnikach prezes Ogniska Andrzej Sawicz poinformował nas nauczycieli o tych posunięciach premiera. Wywiązała się burzliwa dyskusja na ten temat. Jednomyślnie podjęto uchwałę, że od dnia następnego przerwiemy pracę w szkole.

Zarząd Oddziału Powiatowego i Wojewódzkiego pod przewodnictwem prezesa Wycecha miał zorganizować protestacyjny pochód ulicami w Lublinie. Zaczęli gremialnie zjeżdżać nauczyciele z powiatu, miasta i województwa lubelskiego do siedziby ZNP na Krakowskim Przedmieściu. Do zorganizowania i przemarszu pochodu nie doszło, gdyż policja zgrupowana przed lokalem Związku i na sąsiednich ulicach podchodziła parami do wchodzących i wychodzących nauczycieli, ujmowali każdego pod rękę i odprowadzali z dala od punktu zboru. Nasza delegacja nie zdążyła przed tym przyjechać. Dowiedzieliśmy się później, że policja postępowała stanowczo, ale kulturalnie przy odprowadzaniu przybyłych nauczycieli.

Na apel władz szkolnych i wskazań zarządów Ognisk po dwóch dniach podjęliśmy pracę w szkole. Wszyscy skarbnicy Ognisk otrzymali dyrektywy, aby przerwać wpłacanie składek nauczycielskich na konto Zarządu Głównego ZNP (Musiała). Podano nam inne konto. Kurator Musiał został pozbawiony pieniędzy składkowych. Po wyczerpaniu gotówki kurator znalazł się w krytycznym położeniu finansowym, nie mógł kontynuować prac byłego Zarządu.

Premier Sławoj Składkowski zaniechał likwidacji inspektoratów szkolnych, odwołał kuratora, anulował swe rozporządzenie o zawieszeniu działalności ZNP.

Wszystko wróciło do poprzedniej normy. Zaległe składki zdeponowane na innym koncie wraz z bieżącymi wpłynęły do Zarządu ZNP, który ze zdwojoną energią zaczął pracować dla dobra ogółu nauczycieli.

### **Polityka zagraniczna**

W tym okresie czasu Adolf Hitler, kapral armii austriackiej – malarz, rozpoczął swą pracę nad zjednoczeniem Niemiec. Najpierw otrzymał honorowe obywatelstwo Bawarii, a nieco później obywatelstwo niemieckie. Wbrew traktatowi wersalskiemu odbudował armię niemiecką, a w roku 1933 zdobył stanowisko kanclerza oraz objął dowództwo nad całą armią



niemiecką. W odpowiedzi na pakt o nieagresji ze Związkiem Radzieckim zawarł w roku 1934 układ z Polską – „Deklarację o niestosowaniu przemocy” celem zabezpieczenia Niemiec od wschodu. Teraz już mógł w ciągu 10 lat z rozmachem wcielić w życie swój program, zawarty w książce *Mein Kampf*. Rząd niemiecki nawiązał dobrosąsiedzkie stosunki z Polską. Rząd polski urządził galowe polowanie w Puszczy Białowieskiej. W tym polowaniu wzięli udział marszałek Goering, Goebbels – minister propagandy, Ribbentrop – minister spraw zagranicznych, generałowie i czołowi politycy, a ze strony polskiej premier generał Sławoj Składkowski, prezydent Mościcki, minister obrony Kasprzycki, pułkownik Beck – minister spraw zagranicznych i inne ważne osobistości. Tak się zaczęła idylla polsko-niemiecka wesoło, ale koniec miała w późniejszym czasie dla Polski bardzo smutny.

Zawarcie porozumienia odbiło się i w życiu szkolnym. Nie chcąc rozdrażniać Niemców, władze szkolne wyraziły ciche życzenie skreślenia dwóch ostatnich zwrotek z *Roty* Konopnickiej w czasie nauki śpiewu, gdzie była mowa: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz i dzieci nam germanił...”, „...aż się rozpadnie w proch i pył krzyżacka zawierucha”.

### **Kryzys gospodarczy**

Kryzys objął całą Europę, USA i Kanadę, ale w Polsce ludność odczuła go najbardziej. Magazyny fabryczne były zawałone towarami, gdyż nie można ich było sprzedać w innym państwie. Ten stan rzeczy zmuszał fabrykantów do zamykania zakładów. Robotników zwalniano z pracy. Szerzyło się bezrobocie, a razem z tym nędza w rodzinach robotniczych. Zasiłki nie rozwiązywały zapotrzebowania na produkty żywnościowe, kupno ubrań, zapłacenie czynszu za mieszkanie, kupno opału itp.

Ludzie całymi dniami nachodzili Ubezpieczenia Społeczne i biura pośrednictwa pracy. Smutny to był widok, gdy się patrzyło na tłum ludzi przed magistratem w Lublinie, którzy z koziołkami i piłą prosili przechodniów o dorywczą pracę przy rąbaniu drzewa czy ostrzeniu noży, sprzątaniu mieszkań czy odnoszeniu pakunków.

W tym czasie zostały zamknięte cukrownie w Trawnikach, Rejewcu i Milejowie. My też odczuliśmy to, choć w mniejszym stopniu, bo straciliśmy bezpłatny cukier w naszej cukrowni. Dyrektor Jałowiecki i urzędnicy likwidowali zakład; samochód oddali straży pożarnej we wsi Trawniki. Domy fabryczne opustoszały, a lokatorów mimo niskiego czynszu było trudno znaleźć. Ogrodzenie zostało rozebrane, szyby w oknach potłuczone, drzewa wyważone.

Strajki i demonstracje były na porządku dziennym. Największe nasilenie było w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku. Wybuchł strajk chłopów, którzy domagali się podwyżki cen na artykuły rolne. Ceny zboża były nieproporcjonalnie niskie w stosunku do towarów przemysłowych.

Handel zagraniczny był w impasie. Bo czymże można było handlować? Nowe fabryki jeszcze się nie rozbudowały, a istniejące zamknięto. Płodów rolnych też mieliśmy ograniczoną ilość, a jeżeli wywoziliśmy, to po bardzo niskiej cenie, np. sprzedawaliśmy cukier do Anglii, a angielscy chłopcy naszym

cukrem karmili świnie. Kupcy zagraniczni mieli na składach olbrzymie zapasy materiałów fabrycznych, których nikt nie chciał, a właściwie mówiąc, nie mógł z braku pieniędzy kupić.

Premier Sławoj Składkowski, chcąc zatuszować biedę, wydał zarządzenie porządkowania ulic, podwórzy czy malowania płotów na wsiach, choćby nawet i chrustowych na Polesiu i Podlasiu – „Zakwitła kolorowa Polska”.

Drugim „hobby” premiera były zaskakujące, nieoczekiwane „naloty”. Znienacka do odległych miejscowości samolotem czy pociągiem lub samochodem na pięć minut przed terminem wpadał do urzędów celem skontrolowania punktualności rozpoczęcia urzędowania. Biada temu kierownikowi urzędu, którego pracownik nie był na miejscu pracy punktualnie na 5 minut przed rozpoczęciem pracy.

Głośnym echem w sferach nauczycielskich odbił się taki „nalot” na kuratorium szkolne w Warszawie. W czasie wakacji premier zjawił się w biurze kuratora Ignacego Pytlakowskiego. I, o zgrozo, kilku urzędników spóźniło się do pracy, a co najgorsze, że i kuratora nie było. Naczelnik kancelarii poinformował „orła”, że kurator jest na urlopie w Zakopanem. Odchodząc, zostawił wizytówkę z wezwaniem do siebie kuratora za dwa dni. Pytlakowski przerwał urlop, zgłosił się w oznaczonym terminie. Tu premier pokazał swoją władzę. Skarcił Bogu ducha winnego kuratora. Nie przyjął do wiadomości tłumaczenia się, że korzysta z prawnego urlopu i nie mógł w tym dniu być w swoim gabinecie. Otrzymał „winowajca” odpowiedź, aby wracał na przerwany urlop, a po powrocie przygotował akt zdawczo-odbiorczy swemu następcy. Tak skończył się kuratorski urlop i kariera Pytlakowskiego (byłego kuratora w Lublinie).

### **Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem**

Rozpoczętą przez Piłsudskiego walkę z sejmowładztwem kontynuowali jego następcy. Uważali oni, że liczne partie polityczne reprezentowane przez posłów w sejmie dużo czasu i energii poświęcały na gadulstwo, krytykę rządu, powodując upadki gabinetów, a mało wkładały pozytywnej pracy dla dobra państwa.

Chcąc położyć kres częstym zmianom rządów, upoważnili płk. Koca do założenia Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Chodziło o to, aby wyeliminować z życia politycznego elementy postępowe – lewicowe. Wzmogły się procesy przeciw komunistom i socjalistom. Głośny był proces w Lublinie, gdzie na ławie oskarżonych zasiadły córka kuratora lubelskiego Lewickiego i Wanda Wasilewska. Po tym procesie kuratora Lewickiego uznano za nieprawomyślnego i zwolniono z posady, powołując na jego miejsce kuratora Klebanowskiego.

Rozpoczął się masowy werbunek członków do tworzącego się BBWR. W skład tego bloku wchodziło dużo ludzi zajmujących posady urzędników państwowych, wojska, policji, a nawet nauczycieli różnych typów szkół. Nowy kurator szkolny Klebanowski i inspektor szkolny Kaczorowski mogli się poszczycić swymi osiągnięciami przy werbowaniu nauczycieli do wymienionego Bloku. Wojewoda lubelski de Tramecourt i starosta powiatowy lubelski Dańkowski współpracowali z władzami szkolnymi.

Przy organizowaniu Bloku władze szkolne spotykały się często z oporem nauczycieli, którzy w większości nie solidaryzowali się z tymi pociągnięciami. Głośnym echem odbił się spór Karola Kurpiewskiego, przewodniczącego Okręgu Szkolnego Poleskiego ZNP z kuratorem okręgu szkolnego Petrykowskim. Minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Wojciech Świątosławski musiał ten spór zażegnać.

Pragnąc skaptować nauczycieli do spraw politycznych i zachęcić do pracy w BBWR, premier Sławoj Składkowski wystąpił z wnioskiem o ustanowienie specjalnego medalu brązowego, srebrnego i złotego za długoletnią pracę nauczycielską, a pani prezydentowa Michalina Mościcka zaprosiła delegatów z każdego Ogniska z całej Polski na przyjęcie do Zamku Królewskiego w Warszawie.

## **II Konstytucja 1935 roku**

Konstytucja uchwalona 23 kwietnia 1935 roku dawała większą swobodę działania prezydentowi Mościckiemu i rządowi. Z konstytucji z roku 1921 usunięto artykuły o prawach i obowiązkach obywateli Rzeczypospolitej Polskiej.

### **Gospodarcza poprawa państwa**

W tym okresie zmniejszyło się bezrobocie przez uruchomienie Fabryki Wag Hessa, maszyn rolniczych Moritza i Wolskiego w Lublinie i innych podobnych w całym kraju. Zaczęto budować fabrykę samolotów Plage i Laškiewicza, gdzie dużą rolę odegrał konstruktor Drzewiecki. W czasie próbnych lotów na nowych samolotach dużo było awarii i katastrof. Złośliwi nazywali tę fabrykę „fabryką trumien”. Dużo bezrobotnych znalazło pracę przy budowie lotniska w Świdniku oraz zakładaniu kanalizacji, którą prowadziło amerykańskie towarzystwo „Ulan”.

Zakłady pracy fundowały z dobrowolnych składek karabiny maszynowe. Do tego patriotycznego czynu włączyły się szkoły i nauczyciele. Fundowali karabiny maszynowe, które na krótki okres były wystawiane na publiczny pokaz w siedzibie szkoły lub gminy. A czas na uzupełnienie uzbrojenia był najwyższy, gdyż Hitler na wiecach w Niemczech z trybuny głosił hasło „wolnej przestrzeni dla 75-milionowej Rzeszy”. Wprawdzie nie wymieniał państw, których kosztem ma być powiększona przestrzeń życiowa, ale każdy z nas wiedział, że to było możliwe tylko przez naruszenie granic Polski i Francji. Agitacja Hitlera i jego zausznika Goebbelsa, ministra propagandy, przyczyniła się do zacieśnienia ścisłej współpracy politycznej tych 2 państw.

### **Centralny Okręg Przemysłowy**

Duży nacisk położono na dozbrojenie armii. W tym celu zaczęła się gorączkowa praca przy budowie fabryk w Centralnym Okręgu Przemysłowym w Polsce „B”. Pragnąc odciążyć przemysł Śląska i oddalić się od granicy polsko-niemieckiej, lokalizowano te fabryki w miejscowościach, gdzie przemysłu nie było, a ludzie czekali na pracę. Powstał zakład petrochemiczny w Pionkach, fabryka zbrojeniowa w Budzynie (Kraśniku) w lesie, w Poniatowej też w lesie. Fabryki te w dużym promieniu były ogrodzone

drutem kolczastym, nocą pilnowali ich uzbrojeni strażnicy, których łatwo było odróżnić po żółtym otoku na czapkach. Wstęp na teren fabryki dla osób niezatrudnionych był surowo wzbroniony. W Świdniku produkowano maszyny dla wojska. Takich fabryk było znacznie więcej, wymienilem tylko te, które zaczęto budować na Lubelszczyźnie – krainie rolników.

Do wykonania tych zadań prócz robotników fizycznych, którzy byli najczęściej bez kwalifikacji, duże było zapotrzebowanie na pracowników umysłowych, a tych dostarczały wyższe zakłady naukowe: Politechnika Warszawska, Lwowska, Krakowska oraz Uniwersytet Warszawski, Jagielloński najstarszy w Polsce, Lwowski im. Jana Kazimierza, nowo utworzony Wileński im. Stefana Batorego, Wyższa Szkoła im. Wawelberga i Rotwanda w Warszawie, która kształciła młodzież do budowy i obsługi maszyn, Średnia Szkoła Rzemieślnicza w Lublinie, Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie bez prawa wydawania dyplomów. Studenci tej uczelni składali egzaminy przed komisją składającą się z profesorów dojeżdżających ze Lwowa.

W Lublinie szkolnictwo średnie reprezentowane było przez Gimnazjum im. Stanisława Staszica typu humanistycznego, Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego typu fizyko-matematycznego, gimnazjum Szkoły Lubelskiej ogólnokształcącego, Szkołę Handlową im. Vetterów, która dostarczała fachowych pracowników dla handlu, ekonomistów i pracowników biurowych – koedukacyjna, gimnazja żeńskie Sobolewskiej, Urszulanek i Kanoniczek. Były również gimnazja męskie i żeńskie żydowskie im. Szapirów. W zakresie wiedzy teologicznej kształcono w Seminarium Duchownym w Lublinie oraz w wyższej szkole rabinackiej „Jeszybot”.

Seminaria nauczycielskie zasilają szkolnictwo powszechne wykwalifikowanymi nauczycielami z Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego, Żeńskiego i Koedukacyjnego. Szkoła Ochroniarska Papieskiej przygotowywała pracownice ochronek (przedszkoli). Szkoły te przeważnie uczyły w wynajętych lokalach. Szkół powszechnych w Lublinie było około 20. Na Bronowicach wybudowaną największą Szkołą Powszechną nr 1.

---

## Oddźwięk

Poprawa stosunków finansowych państwa uwidoczniła się również i w zawodzie nauczycielskim. Ceny na produkty spożywcze i przemysłowe ustaliły się, więc można było ułożyć budżet rodzinny. Teraz zaczęliśmy z żoną składać skromne kwoty i lokować w Kasie Przemysłowców i Rolników Lubelskich w Lublinie. Pierwszą wpłatę w sumie 100 złotych, zaoszczędzoną w ciągu dwóch miesięcy, wpłaciłem do wspomnianej instytucji finansowej. Myśl o oszczędzaniu i lokowaniu oszczędności podsunęła nam teściowa, której mąż to samo kiedyś robił i na tym dobrze wyszedł, gdyż w czasie bezrobocia wycofywał oszczędności na wydatki rodzinne. W ciągu kilku lat nasze

oszczędności osiągnęły około 5000 złotych. Zaznaczyć należy, że oszczędzaliśmy bez uszczerbku dla życia naszej rodziny. Mieliśmy „służącą” do posług w gospodarce, „niańkę” do dzieci, a do prania co kilka tygodni przychodziła praczka do prania bielizny z Ewopola. Początkowo służącą była Róża Góra, a dziećmi opiekowała się Maria Surysiówna z Trawnik. Żona mogła sobie kupić futro „żrebaki”, a ja pokryłem kozuch, kupiłem czarny krepowy garnitur z najlepszego bielskiego materiału za 150 złotych u lubelskiego krawca Adamczyka. Uzupełniliśmy umeblowanie, kupując nową piękną pluszową otomanę, komplet półfoteli, tremo. Wawrzycki, stolarz z Trawnik, zrobił nam dębową bieleźniarkę, dwa nowe stoliki dębowe, parawan, a stolarz z Ewopola Słowik zaopatrzył nas w dębową biblioteczkę, dwie konsolki pod kwiaty oraz duży rozsuwany stół do pokoju jadalnego.

Zmieniliśmy mieszkanie w tym samym domu u Bobra, zajmując mieszkanie opróżnione przez lekarza Nasutę, który przeniósł się do wolnego mieszkania na terenie byłej cukrowni.

Nie zaniedbałem również uzupełniać mojego księgozbioru, kupując książki o treści pedagogicznej, słownika wyrazów obcych spotykanych w polskiej literaturze Areta.

## **Zmiany w rodzinie**

Pracowaliśmy z żoną w szkole uczciwie, osiągając dobre wyniki w pracy ku zadowoleniu kierownika szkoły Wł. Hobota i władz Inspektoratu i Kuratorium oraz cieszyliśmy się zaufaniem miejscowego społeczeństwa.

W 1934 roku w czasie wakacji wyruszyliśmy z żoną, Zdzisiem i Kaziem na kilkudniowy wyjazd do Warszawy, do brata żony Mariana. Największą atrakcją dla nas, a szczególnie dla naszych dwóch synków, było zwiedzanie stolicy, pobyt w ZOO, fotografowanie się z małymi lwami i wielbłądem. Wróciliśmy szczęśliwie do domu zmęczeni podróżą, ale z dużym bagażem przeżyć w stolicy.

W następnym roku przed wakacjami na wniosek kierownika udałem się z grupą 18 uczniów klasy VII do Warszawy na wycieczkę. Zadanie to było dla mnie dość uciążliwe. Sam musiałem wykupić bilety, prowadzić wycieczkę ruchliwymi ulicami miasta. Zwiedziliśmy Belweder, Stare Miasto, Ogród Botaniczny, Park Łazienkowski i inne obiekty. Największy miałem kłopot z uczniem Słowikiem, któremu obficie płynęła krew z nosa wskutek fizycznego wysiłku na upale słonecznym. Dzieci usiadły na murze okalającym park, a sam udałem się w poszukiwaniu wody do obmycia twarzy i zatrzymania krwotoku. Gdy wróciłem z wodą zaczęli się zatrzymywać przechodnie, dając mi rady, jak zatamować krwawienie. Między innymi podeszła pani, przedstawiając się, że jest lekarzem. Pomogła mi sporządzić tampon z gazy i ligniny, namoczonych w zimnej wodzie, moczyć nim nos i szyję chłopca. Po tym



W Lublinie, 1935 rok. Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

zabiegu krew zaczęła przestawać płynąć. Reszta czasu wycieczki odbyła się pomyślnie. Wróciliśmy po dwóch dniach do Trawnik. Nocowaliśmy w Domu Nauczyciela przy ulicy Smulikowskiego w pobliżu Wisły.

\*

W 1937 Zdziś złożył egzamin do I klasy Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie, po ukończeniu VII klasy w Trawnikach. Egzamin ten był przeprowadzony z zastosowaniem testów sprawdzających inteligencję ucznia. Dyrektorem gimnazjum był Tadeusz Moniewski. Zakupiliśmy synkowi nowy mundurek uczniowski, płaszcz z błyszczącymi srebrnymi guzikami i uczniowską czapkę ze znaczkiem. Z wielką przyjemnością obserwowaliśmy nowego ucznia gimnazjalnego. Najbardziej radowało się serce mojej kochanej żony, matki troskliwej swego pierworodnego synka.



Drugą radosną chwilą był fakt wstąpienia do szkoły w Trawnikach synka Kazia. Chcieliśmy go posłać do szkoły po skończonych 6 latach życia, ale inspektor Kaczorowski odmówił nam przyjęcia synka do I klasy. Z żalem musiał czekać na osiągnięcie przewidzianego wieku, skończenie 7 lat życia. Po dwóch tygodniach inspektor zmienił zdanie, godząc się na przyjęcie syna do szkoły. Kazio, obrażony, nie skorzystał z tego i poszedł do szkoły w przewidzianym terminie po zakończeniu działań wojennych w 1939 roku. Więc mieliśmy już dwóch synków – uczniów.

W odstępie sześciu lat po Kaziu przybył nam trzeci synek, Tadzio, na wyraźne żądanie Januśki. Ciąża przebiegała normalnie. W ósmym miesiącu zbadał żonę ginekolog. Oświadczył, że embriion rozwija się normalnie, zalecił częstą kąpiel w ciepłej wodzie, co skrupulatnie przeprowadzaliśmy. Nadszedł czas porodu, którego kulminacyjnym punktem była godzina 8 wieczór. Na wezwanie przybyła znana nam już akuszerka z dworu w Trawnikach. Poród zaczął się przedłużać, zaniepokojona akuszerka zaproponowała wezwanie lekarza. Tak się fatalnie złożyło, że doktora Nasuty w domu nie było, gdyż wyjechał na kilka dni na zebranie lekarzy. Ta wiadomość sparaliżowała nas. Nie namyślając się długo, w nocy wsiadłem na rower i udałem się szosą fajślawicką do Piask Luterskich (9 kilometrów). Zgłosiłem się do doktora Warzańskiego, który już spał. Kiedy wyłuszczyłem mu cel przybycia, oznajmił mi, że ze względu na jego wiek i brak siły potrzebnej przy rodzeniu dziecka z przykrością musi odmówić mi tej przysługi. Nowa trudność, nowe rozczarowanie. Widząc moje zakłopotanie, poradził mi zwrócenie się z prośbą do doktora Trejwisza (Żydka). Ten z pewnym ociąganiem się i rezygnacją zgodził się na przyjazd do Trawnik. Zaczął się ubierać, a mnie polecił poszukać podwodę. W Piaskach (miasto) nie znalazłem takiego człowieka, który mógłby pojechać. Poprosiłem go, aby mi wskazał adres i nazwisko furmana. Po krótkiej chwili namysłu, podał mi żądane dane furmana, który miał parę koni i wynajmował się do wyjazdu w podobnych wypadkach. Słońce już wschodziło, gdy zapukałem do okna gospodarza, który jeszcze był w łóżku. Niechętnie mi otworzył drzwi, ale zgodził się jechać, podając mi cenę za wyjazd. Chętnie się zgodziłem. Wsiedliśmy z doktorem na wóz, który pospiesznie ruszył do Trawnik. Z biciem serca myślałem o tym, jak czuje się chora i co zastaniemy w domu. Żona w dalszym ciągu męczyła się na łóżku. Zbadał ją dokładnie i oznajmił, że w tym wypadku nic nie poradzi, gdyż dziecko ułożone jest w położeniu poprzecznym. Chorą należy natychmiast zawieźć do Lublina do szpitala. Chorą ułożyliśmy wygodnie na wozie. Obok niej usiadła żona Mariana, która w owym czasie przez kilka dni była u nas w Trawnikach, ja usiadłem obok furmana. Lekarz dał żonie zastrzyk, który miał uspokoić chorą i wstrzymać proces rodzenia. W godzinach południowych stanęliśmy w Szpitalu Jana Bożego przy ulicy Lubartowskiej. Chorą wzięli lekarze pod swą opiekę i ułożyli wygodnie w separacie. Ja wróciłem do domu pociągiem.

W tym czasie były w Lublinie ćwiczenia przeciwlotnicze. Służba pomocnicza była zaabsorbowana ćwiczeniami. Bóle powróciły. Sama żona leżała już na stole operacyjnym. Na krzyk żony zjawił się młody lekarz. Energicznie zabrał się do pracy i przyjął dziecko.

Rannym pociągiem razem ze Zdzisiem udaliśmy się do szpitala. W poczekalni natknęliśmy się na Marianową, która z zakłopotaną miną powiedziała, że jest synek, a nie córka, której z żoną spodziewaliśmy się. Z radością przyjąłem tę wiadomość, nie bacząc na płęć przybyłego dziecka. Żona czuje się zmęczona tak długim rodzeniem, ale jest szczęśliwa po tym porodzie. Nasz „maluch” upomina się o pierś, o pożywienie. Lekarz, jak mi później powiedziała żona, polecił, że tego „żarłoka” musi żona wziąć na „garnuszek”, bo matkę zamęczy. Tu jeszcze dodam, że w drodze do szpitala Zdzis wstąpił do kościoła oo. Kapucynów pomodlić się o zdrowie matki i dziecka. Ten fakt z rozczuleniem przyjąłem do wiadomości i zapamiętałem wielką miłość pierworodnego syna do swojej drogiej matki.

Tadzio urodził się 24 września 1938 roku.

Po pięciu dniach wróciła żona z dzieckiem przy mojej i Marianowej pomocy do Trawnik.

Mieliśmy trochę kłopotu w związku z chrztem. W czasie ciąży koleżanka Hobotowa, żona kierownika szkoły w Trawnikach, sama wysunęła propozycję podania do chrztu dziecka, a kiedy już wybieraliśmy się do kościoła, cofnęła swoją propozycję i mimo usilnej prośby żony nie chciała się zgodzić na chrzestną. Z tego powodu między nami nastąpił rozdzwiek na długie lata. Więc zaprosiliśmy na chrzestnych Tadeusza Staszycza, bratanka żony, i jego narzeczoną Janinę Mościbrodzką z Lublina. Chrzest odbył się w kościele św. Pawła (Bernardynów).

Nasz malutki - trzeci Budrys - rozwijał się normalnie. Żona, niepomna rady lekarza, karmiła go piersią, a po upływie kilku miesięcy był już dokarmiany kaszką mąną na mleku. Dodać należy, że tak nam się składało, że porody naszych synów odbywały się w miesiącach wakacyjnych lub powakacyjnych. Żona nie korzystała z przysługujących urlopów macierzyńskich. Chodziła na dłuższe spacery, wioząc synów w wózku. Często towarzyszyłem jej sam lub ze starszymi synkami. Niańki mieliśmy dobre, które bardzo kochały naszych pupilów i dokładnie spełniały polecenia mojej żony.

Zdzisiowi w nagrodę za dobre postępy w nauce kupiliśmy duży rower firmy Zawadzkiego, a Kazio po Zdzisiu w spadku korzystał z rowerka na trzech kółkach skonstruowanego przez wujka Karola Staszycza.

Zdzis systematycznie uprawiał sport (siatkówkę) razem z gronem kolegów i koleżanek na placu przed kuźnią Kuczyńskiego. Do tej grupki młodzieży należał Franio Kuczyński, syn kowala, Alina Turkowska (sympatia Zdzisia), Ciszówna, Flora Panecka, Adolf Wróbel, drużynowy harcerstwa, i inni. Kazio miał inne towarzystwo. Najchętniej bawił się z Bobrównami, córkami Józefa Bobra, naszego gospodarza domu. Dzieci całymi godzinami bawiły się nad



Zdziś (12 lat) i Kazio (5 lat) z bratem mamy Karolem Staszycem w Lublinie, 5 grudnia 1937 roku. Fot. ze zbiorów rodziny Wošków

strumykiem, który wypływał z niwy dworskiej i toczył swoje wody pod mostem kolejowym. Często wyglądaliśmy oknem, chcąc się przekonać czy nie dzieje im się krzywda i nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Kazio od czasu do czasu szedł z Bobrownami, Basią i Martą, do ogrodu i sadu na porzeczkę i na strąki grochu polnego. Pewnego razu Bober, rozmawiając z moją żoną, rzekł: „Niech się pani popatrzy (wskazując na alejkę w sadzie), jak Kazio maszeruje, założywszy ręce na plecach, prosto do grzędy z grochem”. Żonie trochę było głupio patrzeć, ale Bober z uśmiechem powiedział: „Niech sobie urwie parę strączków, bo dzieci ten przysmak bardzo lubią”.

Stosunki z gospodarzem układały się dobrze. Nie mogło być inaczej. Wszak w jego sklepie zaopatrywaliśmy się w produkty żywnościowe i dawaliśmy mu możliwość zarobku przy handlu. Kazio często obserwował pracę przy patroszeniu ubitej świni i robieniu kielbas i szynek przez brata Bobra i masarza. Ułożyliśmy się z Bobrem, że po zakupy do sklepu szła służąca z notesem, do którego kupiec wpisywał nazwę pobranego towaru i cenę za niego. Każdego pierwszego dnia w miesiącu, po wypłacie pensji, regulowałem należność za zakupy. Nie bez znaczenia był fakt płacenia co miesiąc wysokiego komornego

w wysokości 75 zł, co równało się jednej trzeciej części mego miesięcznego nauczycielskiego wynagrodzenia za pracę w szkole. Łączyła nas wspólna społeczna praca w LOPP – on był prezesem stowarzyszenia, a ja sekretarzem.

W tym czasie za 1 kilogram cukru płaciliśmy 1 złoty, za kilogram kielbasy czy szynki 4 złote 20 groszy, a słoniny 3 złote 40 groszy.

## **Myślę o przyszłości**

Często zmieniały się programy nauczania, a w związku z tym przybywało coraz więcej pracy w studiowaniu ich. Celem przyjscia z pomocą nauczycielom władze szkolne organizowały kurso-konferencje w czasie wakacji. Jedna z nich, w której brałem udział, była zorganizowana w 1933 roku, druga metodyczno-organizatorska w 1934. Wykładowcami byli inspektor szkolny Kaczorowski i podinspektorzy Lachcik i Olszewski. Konferencje te zamykała naczelnik Kuratorium Komorowska. Prace w organizacjach prowadziłem nadal: w LOPP jako sekretarz, a w Polskim Związku Zachodnim jako przewodniczący tego koła w Trawnikach.

Przy szkole założyłem szkółkę drzewek morwowych. Pojedyncze drzewka przy pomocy harcerzy posadziliśmy na obrzeżu boiska szkolnego. Prowadziłem w szkole propagandową hodowlę jedwabników. W tej pracy pomagali mi uczniowie VII klasy. Z powodu braku większego miejsca część hodowli prowadziłem w domu. Tu mi pomagał Zdzisio. Spadłe z papieru gąsienice bez najmniejszego obrzydzenia czy wstrętu podejmował z podłogi, trzymając w garści te „kluski” (kokony). Umorzenie i suszenie odbywało się w domu. Do hodowli używałem liści z drzewa morwowego rosnącego u Borowca i z żywopłotu kolejowego przy ogrodzie kierownika odcinka kolejowego Szpryngiera. Wysuszone kokony wysyłałiśmy drogą pocztową do Doświadczalnej Stacji Jedwabnika w Milanówku prowadzonej przez Witaczków.

\*

Czytając gazetę, trafiłem na ogłoszenie o sprzedaży działek z parcelowanej niwy dworskiej w Konstantynowie nr 2 w gminie Konopnica. Zacząłem rozmawiać na ten temat z moją żoną. Żona kategorycznie sprzeciwiała się kupieniu działki, motywując tym, że jej ojciec, Andrzej Staszyc, kupił 6 mórg ziemi na Zadębiu. Miał zamiar gospodarować na roli podobnie do swego ojca, zamieszkałego we wsi Tatary blisko Lublina. Nawet pobudował murowany domek i kuźnię dla swego teścia Muszyńskiego, byłego kowala w cukrowni. Przenieśli się z całą rodziną na nową posesję, nie porzucając pracy w fabryce wag Hessa. Synowie jego Karol i Feliks pracowali w tej fabryce razem z ojcem, a Leon, uczeń aptekarski, miał pracę w aptece w Lublinie. W domu zostali teściowie Muszyńscy oraz żona Andrzeja Marianna z córką Janiną. Ten stan rzeczy nie trwał długo. Dochodzenie do pracy w mieście było uciążliwe.

Po pracy musieli pieszo wracać przez tory kolejowe i wąwozy do domu. W 1904/1905 roku grasowały bandy opryszków, napadali „łobuzy” na przechodniów i zabierali im pieniądze, a nawet i palta. W obawie przed napadem postanowili Staszycowicze zlikwidować nowo nabyte gospodarstwo i wrócić do Lublina. Mężczyźni utrudzeni pracą w fabryce i podróżą nie mogli więcej czasu poświęcić na uprawę roli i hodować nowo kupionego konia. Cały ciężar pracy w gospodarce spadł na żonę, moją „Jańcię” i starszuchów Muszyńskich. Wróciwszy do miasta, zamieszkali na Czwartku w wynajętym lokum. To były przyczyny niechęci kupna działki.

No, trudno! Musiałem się liczyć ze zdaniem żony. Wszak dotychczasowe oszczędności mogliśmy zrobić we wspólnym porozumieniu, więc i na wydatkowanie ich musi być wspólna decyzja, korzystna dla obojga. Jednak myśli o kupnie działki nie porzuciłem. Oddałem to czasowi. Na kupno działki w okolicy Lublina wcześniej jeszcze dałem ogłoszenie w prasie. Teraz otrzymałem propozycję kupna działki na Bronowicach, koło cegielni. Wyruszyłem do miasta celem poznania położenia obiektu i ewentualnej ceny. Przy stacji kolejowej w Lublinie natknąłem się na Białkowskiego, byłego komendanta posterunku policyjnego w Chodlu. W krótkiej rozmowie dowiedziałem się od niego, że ta dzielnica nie cieszy się dobrą opinią. Białkowski radził mi kupić działkę na Helenowie, gdzie on mieszka od 2 lat i zna ludność z tej dobrej strony. Posłuchałem rady i do Bronowic nie poszedłem, a kroki skierowałem do Konstąntynowa nr 2.

Pod adresem wskazanym w ogłoszeniu zgłosiłem się do właściciela majątku, Żulińskiego, mieszkającego w starym drewnianym i trochę zaniedbanym dworku na „Poczekajce”. Dziedzic powiedział mi, że zostały jeszcze dwie działki: nr 22 i nr 25. Zaznaczył, że sprawę pomiarów i sprzedaż działek załatwia adwokat Nowicki. Odnalazłem go w mieście. Poinformował mnie o warunkach kupna-sprzedaży. Ponieważ nie miałem zgody żony ani pieniędzy przy sobie, więc umówiliśmy się, żeby działkę nr 22 zarezerwował na przeciąg tygodnia.

Wracając do domu, ułożyłem plan działania na zgodę żony. Powiedziałem: „Może kupimy tę działkę”. Żona mi odpowiedziała: „Znów to samo, szukasz nieszczęścia, czy ci tu źle mieszkać, spokojnie pracować, nie zaprzętać sobie głowy działką”. Snułem wizję przyszłego życia w swoim własnym domku, jej pracy na grządkach kwiatowych, mojej pracy przy kilku posadzonych jabłoniach, gruszach, krzakach porzeczek, agrestu, malin. Chłopcy mieliby w bród owoców, nie musieliby skradać się po porzeczkach tak, jak to czasem robił Kazio. Działka jest blisko miasta, a w dalekiej przyszłości może i miasto rozbudowywać się w tym kierunku. Oszczędności ulokowalibyśmy w ziemi, której ogień nie strawi, woda nie zaleje, a złodziej nie ukradnie. To byłaby najlepsza, najpewniejsza lokata. Gdyby były jakieś trudności finansowe, to przecież można by działkę sprzedać z zarobkiem. Żona cierpliwie słuchała i lekko się uśmiechała. Zapytałem kiedy kupimy. Znów przecząca odpowiedź, że to wszystko



nie jest potrzebne. Łudziłem się, że teraz ją przekonałem i działkę kupimy. Zabrała się do podawania obiadu, na który chłopcy czekali z pół godziny. Po obiedzie powiedziałem żonie czy chce, czy nie chce, a działkę tę kupię. Żona spojrzała na mnie i powiedziała: „No to kup tę swoją działkę, żebyś na mnie nie narzekał, że ci życie zatrulałam i będziesz taki nieszczęśliwy”. Na to tylko czekałem. W podzięcie mocno ucałowałem żonę, czemu się nie sprzeciwiała. No, sprawa zaklepana. Po kilku dniach, 28 marca 1933 roku pojechałem do Lublina do adwokata Nowickiego, który dał mi kartkę papieru, gdzie wyraził zgodę na kupno. Z tym pismem zgłosiłem się do dziedzica Żulińskiego. Tu zawarliśmy „Przedwstępną umowę przyrzeczenia kupna-sprzedaży”. Na kupno wpłaciłem zadatek w kwocie 200 złotych, a resztę należności w kwocie 1754 złote uiszczę w dniu aktu rejentalnego. Żulińscy: Zofia i Włodzimierz wycenili 51 groszy za jeden metr kwadratowy.

Wróciwszy do domu, żona zapytała jak załatwiłem sprawę. Opowiedziałem o całym przebiegu transakcji. Żona powiedziała mi: „No, teraz chyba jesteś zadowolony”.

1 maja 1933 roku notariusz Bielski sporządził akt notarialny. Wpłaciłem pozostałe 1754 złote w złocie i 8 złotych za znaczki stemplowe. Z tym dokumentem „na skrzydłach ptaka” wróciłem do domu. Pierwszy raz w życiu załatwiłem tak ważną sprawę. Nawiasem dodać należy, że wszystkie swoje ważniejsze sprawy załatwiałem po dwukrotnych próbach.

## **Budujemy nowy dom**

W czasie wakacji pokazałem żonie działkę. Mocniej osadziliśmy kolki graniczne w ziemi. Ułożyliśmy się na ściernisku i wygrzewali na swojej własnej działce. Żadnych zabudowań w pobliżu nie było. Przez cały rok ziemia leżała odłogiem. Czasem ktoś z Węglina czy Rur Jezuickich pasł krowy na tym ugorze. Podatek od działki płaciłem w Urzędzie Gminnym Konopnica. Gmina ta znajdowała się za młynem na Bystrzycy.

Naszym wschodnim sąsiadem był Henryk Danowski, a zachodnim Władysław Czubaszek. Oni nie budowali nic. Ogólna powierzchnia działki wynosiła 3831 metrów kwadratowych = 20 metrów szerokości, a 191,5 metra długości. Za działką Danowskiego trzy działki kupił doktor Skibiński, a za działką Czubaszka na zachód kupili państwo Wójtowiczowie, oboje nauczyciele pracujący w szkole powszechnej w Płusowicach. Pierwszą i najwcześniejszą budowlą była komórka na działkach doktora Skibińskiego, w której w czasie lata zamieszkał z żoną dzierżawca, ogrodnik Palusiński. Ten ogrodnik w drugim roku po kupnie działki dzierżawił i moją. W pierwszym roku zapłacił mi symboliczną zapłatę, a po następnym lecie opuścił dzierżawę i wyjechał w nieznanym kierunku, nie uściwiwszy czynszu dzierżawnego ani mnie, ani Skibińskiemu. Pozostała pusta szopa i wiercona studnia, w której



woda zanikła i wyschła. Doktor Skibiński miał zamiar uruchomić jakąś fabryczkę, ale władze miejskie odmówiły mu lokalizacji i pozwolenia na budowę, gdyż ta dzielnica była przeznaczona wyłącznie na budowę domów jednorodzinnych. Działki te oddał kochance, a ta rozsprzedała kawałkami. Na jednej z tych działeczek pobudował domek drewniany Jan Basak, zawodowy sierżant Wojska Polskiego.

Najpierw zaczęli budować dom w stylu zakopiańskim Wójtowiczowie. W czasie budowy kolega Wójtowicz miał ciekawą historię. Po zwiezieniu materiałów budowlanych należało dopilnować ich przed rozkradzeniem. Więc pilnuje, leżąc na papie. W nocy na pustkowiu pod dachem kopuły nieba było chłodno, więc po kilku miarkach wódki, którą bardzo lubił, ułożył się wygodnie na papie i zasnął snem sprawiedliwego. Wczesnym rankiem chłód nocny go obudził. Jakie było jego zdziwienie, że głowa mu opuściła się nisko na ziemię. Przetarłszy oczy zobaczył, że spod głowy zniknęła mu papa, pozostały tylko ślady stóp nocnego gościa.

Jeszcze jedną budowlą w tym czasie był zakopiański dom murowany na stromym zboczu „zimnych dołów”, własność naczelnika Kuratorium lubelskiego, pana Wojciechowskiego. Tę budowlę zaprojektował inspektor Barczewski.

Postanowiliśmy z żoną budować dom murowany. Zacząłem rozglądać się i radzić od czego zacząć. Ale najpierw kupiłem drzewka w szkółce w majątku Lemszczyzna: 30 jabłoni, 10 grusz, cztery wiśnie, dwie czereśnie, cztery śliwy, trzy orzechy włoskie, paliki. Dworską furmanką w czasie rześkiego deszczu ze śniegiem późnojesiennym, cały przemoknięty, zziębnięty zajechałem do pani Wójtowiczowej z prośbą o zezwolenie zadołowania drzewek na okres zimy na jej podwórku. Wczesną wiosną z pomocą Grymuzy posadziliśmy drzewka przed planowanym domem i za nim. Z wyjątkiem jednego „żelaziaka” wszystkie drzewka się przyjęły i po kilku latach zaczęły owocować ku uciesze mojej rodziny. Szenhaus, właściciel małego domu, pracownik poczty, zaopatrzył mnie w krzaki agrestu i porzeczek, a u ogrodnika pracującego w sadzie KUL kupiłem 30 krzaków malin, które posadziłem przed domem wzdłuż miedzy. Poza domem między jabłonią posadziłem również grzędę malin. Porzeczeki posadziłem rzędem pośrodku działki między gruszami, a agrest rzędem pomiędzy jabłonią. W kwiaty zaopatrzyła mnie pani Wójtowiczowa. Tak więc spełniły się moje życzenia. Synowie i żona teraz mieli pod dostatkiem owoców, które im zrywałem i przynosiłem na ulicę Kościuszki nr 4\*.

Ruszyłem do budowy. W tym celu skierowałem kroki do magistratu celem zamówienia projektu domu. Wprawdzie kupiłem książeczkę z 24 planami domków jednorodzinnych, ale nie znalazłem planu, który by mi odpowiadał. W magistracie powiedzieli mi, że dom mój ma być wybudowany na terenie powiatu, ale miasto musi mieć wgląd na budowę z myślą rozbudowy miasta i wchłonięcie w przyszłości tych terenów do miasta. Zapytałem, kto by mi mógł taki plan sporządzić. W korytarzu obejrzałem plan domu zaprojektowany

\* Na ulicy Kościuszki w Lublinie rodzina Wošków mieszkała już po wojnie - przyp. red.

przez inżyniera Barczewskiego dla Wojciechowskiego. Postanowiłem znaleźć jego adres. Na korytarzu podszedł do mnie młody człowiek i zaproponował zrobienie takiego planu, tylko ten plan musi podpisać inżynier. Pomyślałem, że taki obrót rzeczy połączony będzie z kłopotem znalezienia takiego inżyniera. Nie przyjąłem jego oferty. Stanowczo postanowiłem, że zrobi mi plan inżynier, co ułatwi i przyspieszy zdobycie planu.

Inżynier Barczewski zdziwił się dlaczego jego o to proszę, a nie kogoś innego, na co odpowiedziałem, że widziałem plan sporządzony przez niego dla Wojciechowskiego, który będzie budował dom w mojej dzielnicy. Zamówiłem plan, uzgodniłem cenę. Po tygodniu zgłosiłem się po odbiór, ale nie byłem zadowolony, gdyż wejście do domu zaproponował od strony zachodniej, a nie wschodniej od strony Lublina. Powiedział, że zrobi tę poprawkę za dwa dni. W oznaczonym terminie 18 marca 1938 roku znów się zgłosiłem i po zapłaceniu 200 złotych zabrałem plan do domu. Później miasto upomniało się o kopię tego planu, którą inżynier zrobił za dopłatą 6 złotych. W Wydziale Powiatowym otrzymałem lokalizację, za co zapłaciłem 30 złotych, a w Magistracie Miasta Lublina 10 złotych.

Korzystając z ferii świątecznych 5 stycznia 1939 roku w cegielni „Jerzysław” na Helenowie dokonałem zakupu 30 000 sztuk cegieł za kwotę 1050 złotych (35 złotych za 1000 sztuk) loko plac budowy. Dnia 4 i 5 lipca 1939 roku w składzie Kupersztoka zakupiłem materiał drzewny na futryny i deski na pakamerę za 214 złotych. Materiał ten wybrał Grymuza, za co zafundowałem mu śniadanie za 2 złote. Za dwurazową furmankę zapłaciłem 7 złotych. Piasek dostarczał mi Rojek po 3 złote 90 groszy za furę piasku. Wodę przywoził Gąsior ze Sławinka po 3 złote za stulitrową beczkę. Belki żelazne nabywałem u Wolmana, płacąc za 3,8 metra bieżącego 28 złotych 30 groszy. W wapno zaopatrywał mnie Lizut po cenie 3,9 grosza za 1 kilogram loko plac budowy. W czasie budowy w nocy pilnował chłopiec Grymuzy za opłatę 42 złote za miesiąc. Za robociznę przy kopaniu fundamentów i piwnic płaciłem robotnikowi za ośmiogodzinny dzień pracy 3 złote.

23 lipca 1939 roku murarze wyleźli z ziemi po zmurowaniu fundamentów i piwnic, upominając się o „glajchę”. Kupiłem dwie butelki wódki, kilka butelek piwa, a żona zakąskę, co wszystko razem kosztowało mnie 30 złotych. Murarze byli bardzo zadowoleni, oświadczając, że takiej glajchy już dawno nie mieli. Trochę zostawiliśmy dla wozaka.

W narożniku fundamentów złożyliśmy kilka drobnych monet, a żona dołączyła jakiś obrazek świętego i to wszystko ja z żoną po jednej kielni zaprawy zamurowaliśmy na szczęście w czasie zamieszkania w tym domu.

W czasie budowy odwiedził nas pan Żuliński, były właściciel działki, interesując się rozmiarami budynku i rozkładem mieszkań.

Przybył również Karol Krupa, kierownik szkoły ćwiczeń przy Męskim Seminarium Nauczycielskim w Lublinie; on kupił takich działek siedem po jednej dla każdej ze swoich córek. On najbardziej interesował się rozkładem

i ilością piwnic. Doradził mi powiększyć liczbę piwnic, motywując tym, że w przyszłości miasto się rozbuduje i piwnice mi się przydadzą. Posłuchałem jego rady i zaczęliśmy wyrzucać ziemię pod częścią piętrową domu. Uznałem za słuszną uwagę, że w przyszłości nie wolno będzie budować komórek na opał i skład narzędzi. W wyniku tej pracy przybyły mi jeszcze dwie piwnice, ale dużo płytsze, jednak człowiek średniego wzrostu, tak jak ja, może się swobodnie poruszać bez zginania kręgosłupa.

Moje środki finansowe wyczerpały się, więc oznajmiłem kierownikowi budowy Walentemu Zielińskiemu o decyzji przerwania robót. Ten się zmartwił i zapytał o przyczynę przerwy. Oznajmiłem, że Kasa Rolników i Przemysłowców zawiesiła wypłaty z powodu bankructwa. On mi zaoferował pożyczkę. Zgodziłem się na to, dając mu weksel z warunkiem, że będę spłacał z mojej pensji ratami. Zgodził się na ten warunek i praca poszła dalej normalnym trybem. Weksle wykupiłem po wyzwoleniu od jego żony, gdyż mąż jej został w czasie wojny zabity przez Niemców w czasie handlu tytoniem. Mam czyste sumienie. Ogółem na wybudowanie parteru wydałem 5301 złotych 72 grosze. Wojna przerwała budowę na kilka lat.

## **Moja choroba - Rudka**

Moją pracę szkolną i społeczną zakłóciła choroba. Wskutek przeziębienia opanował mnie silny, długotrwały kaszel. Żadne zabiegi domowe nie przerwały kaszlu. Musiałem się położyć do łóżka na same Święta Wielkanocne. Wezwany lekarz Nasuto przepisał mi leki, które żadnej ulgi w chorobie nie przyniosły. Udzielił mi kilkudniowego zwolnienia z pracy. Podobny był skutek leczenia przez miejscowego felczera, Nergę. Na podstawie świadectwa lekarskiego inspektor szkolny Krupaczak udzielił mi urlopu zdrowotnego na okres od 26 kwietnia do 21 czerwca 1939 roku.

Choroba się przeciągała, kaszel się nasilał, gorączka mnie męczyła. Lekarz w Lublinie zalecił prześwietlenie, w wyniku czego skierował mnie do sanatorium dla chorych piersiowo do Rudki. Musiałem kilka dni przeczekać do chwili zwolnienia miejsca w sanatorium. Po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi wybrałem się sam jeden z małą walizką w podróż. Przed Siedlcami zużyłem resztki leków, a buteleczki wyrzuciłem przez okno wagonu na puste pole. 3 maja wysiadłem na docelowej stacji Mrozy. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu wsiadłem do wagonika ciągniętego przez konie.

Po przybyciu na miejsce lekarz skierował mnie do jednoosobowego pokoju. Po zainstalowaniu się zbadał mnie lekarz, w rozmowie zapytał z kim przyjechałem. Odpowiedziałem mu, że sam przyjechałem ze swoją walizką, czemu lekarz wyraził zdziwienie, że sam dałem sobie radę w mojej podróży.

Więc lecę się. Przyjmuję podawane mi leki, ściśle przestrzegam przepisów regulaminu. Po obiedzie w sali ogólnej codziennie zakład zamykają, gdyż

chorzy mają jednogodzinną sjęstę i silentium\*. Po kilku dniach stan mego zdrowia polepszył się na tyle, że mogłem przez kilka godzin spacerować po parku. Wieczorową porą bardzo nam dokuczały komary, przeciwko którym służba szpitalna rozpylała środki chemiczne owadobójcze. Dla urozmaicenia tego monotonnego życia były wieczorem wyświetlane filmy lub organizowano wieczory poetyckie. Odwiedził mnie Marian, brat mojej żony. Interesował się przebiegiem choroby i jej leczeniem. Przed odjazdem radził mi opuścić sanatorium i nie kontaktować się z chorymi.

21 czerwca zostałem wezwany do dyrektora sanatorium. Po dokładnym zbadaniu mego zdrowia oznajmił mi, że będę wypisany. Stan mego zdrowia okazał się dobry, a pobyt w sanatorium już nie jest konieczny. Widocznie przez pomyłkę lekarza w Lublinie zostałem tu skierowany. Następnego dnia pożegnałem współtowarzyszy niedoli, odjechałem konnym tramwajem do stacji Mrozy, a stąd do Lublina, do domu. Żona i moi chłopcy radośnie mnie powitali. Po kilkudniowym wypoczynku po podróży stanąłem do pracy w szkole, w domu i kontynuowania rozpoczętej budowy domu. Przez kilka dni pracowałem intensywnie, chcąc nadrobić zaległości w nauce uczniów. Przeprowadziłem z uczniami repetycję. Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej dokonaliśmy klasyfikacji uczniów. Napisałem świadectwa, które wręczyłem uczniom na zakończenie roku szkolnego.

## Przed burzą

Korzystając z wakacji, chodziliśmy całą rodziną na dłuższe spacery, opowiadając przeżycia ostatnich tygodni. Mały, 11-miesięczny, Tadzio chował się zdrowo podczas mojej nieobecności. Kazio dostał promocję do następnej klasy, Zdziś również dostał promocję do III klasy Gimnazjum im. Staszica. Żona była przemęczona pracą szkolną i domową, gdyż wszystkie gospodarskie troski musiała sama przeżywać. Obserwowaliśmy pracę robotników, którzy na Wieprzu przyjmowali bale dębowe i sosnowe i zbijali w wodzie tratwy, aby materiał budowlany drogą wodną wyekspediować do Wisły, a potem do portu w Gdyni.

W tym czasie byliśmy świadkami utonięcia kilkuletniej dziewczynki, Kondysówny, która pod opieką ojca-robotnika bawiła się na tratwie. Poślizgnęła się na mokrym balu i wpadła pod tratwę do Wieprza. Nie pomogły usilne poszukiwania ojca i robotników. Drugiego dnia ciało wypłynęło przed służą na rzece.

Wieczorem słuchaliśmy radia, skąd nadchodziły niepokojące wieści. Hitler na wiecach nawoływał Niemców do konsolidacji mieszkańców Rzeszy do walki o przestrzeń życiową. Na stacji spotykaliśmy „turystów” niemieckich.

---

\* Czas, kiedy obowiązuje cisza – przyp. red.

## Druga wojna światowa

### Sygnal i natarcie

31 sierpnia 1939 roku odbyło się posiedzenie Rady Pedagogicznej, na której zostały przydzielone wychowawstwa klasowe i przedmioty nauczycielom siedmioklasowej Szkoły Powszechnej im. J. Piłsudskiego w Trawnikach. Kierownik szkoły obywatel Hobot sporządził rozkład lekcji, aby zacząć normalną systematyczną pracę w szkole. Następnego dnia mieliśmy się udać dorocznym zwyczajem z dziećmi do kościoła parafialnego w Biskupicach na rozpoczęcie roku szkolnego. Żona przygotowała Zdzisia do odjazdu do III klasy Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie, a Kazia do do I klasy szkoły powszechnej w Trawnikach.

Rano wcześniej przygotowała śniadanie dla całej rodziny. W tym czasie uruchomiłem radioaparat „Markoniego”, aby wysłuchać porannej audycji. Na chwilę przerwał spiker swą pracę, a z głośnika rozległ się głos prezydenta Mościckiego: „Dzisiaj dnia 1 września 1939 roku o godzinie 5<sup>45</sup> Hitler zerwał »Deklarację o niestosowaniu przemocy« z dnia 26 stycznia 1934 roku, a armia niemiecka przekroczyła granicę Polski, rozpoczynając wojnę, której chcieliśmy uniknąć. Całą winę tego postępowania ponosi Hitler. Nasze przygraniczne pułki stawiają opór. Będziemy się bronić przed naporem germańskim, a Pan Bóg rozsądzi spór, a historia opíše ten podstępny napad”. Zaległo w mieszkaniu milczenie, skamieniałem przy aparacie.

Po kilku godzinach minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Wojciech Świątosławski oznajmił, że zajęcia w szkołach zostały zawieszane do odwołania.

Chciałem pojechać do Lublina, aby z rąk starosty powiatowego Dańkowskiego otrzymać dawniej zapowiadany Srebrny Krzyż Zasługi i legitymację. W tym celu poszedłem na stację, gdzie od kasjera Radomskiego otrzymałem informację, że biletów na przejazd koleją osobom cywilnym nie sprzedają, gdyż wagony i całe pociągi są zajęte przez wojska udające się na front. Wróciłem do domu i powiedziałem o tym żonie, która kategorycznie sprzeciwiła się memu wyjazdowi i opuszczeniu w takiej ciężkiej chwili domu i rodziny, motywując tym, że pociągi są bombardowane z samolotów niemieckich i o nieszczęście bardzo łatwo.

Spotkałem się z kierownikiem szkoły, z którym omawialiśmy ten historyczny fakt. Dołączył do nas mieszkaniec Trawnika, Kaliniak. W rozmowie dowiedziałem się, że on idzie do młyna kupić mąkę. Udaliśmy się do młyna

we trzech. Ja miałem zamiar kupić worek mąki, ale po zastanowieniu się zmieniłem decyzję i kupiłem dwa worki pytlowanej żytniej mąki. Kaliniak wrócił do domu po furmankę, którą przewiózł swój worek, kierownika i dwa moje. Mąka ta nam była bardzo potrzebna w czasie trwania wojny. Po upływie kilku godzin dowiedziałem się, że całą mąkę w młynie wykupili już po cenie dwukrotnej i więcej sprzedawać już nie będą. Młynarz Jabrzyński zamknął młyn.

Żona kupiła u Bobra 2 kilogramy soli, 3 kilogramy cukru oraz ostatnie dwie paczki biszkoptów i to były wszystkie zakupy.

Bober sklep zlikwidował. Przeniósł się z rodziną do Lublina, gdzie urządził sobie duży sklep na Krakowskim Przedmieściu. Domem i ogrodem zajął się jego młodszy brat Leon.

## **Ostatnie zarządzenia**

1 września została ogłoszona mobilizacja kilku roczników rezerwistów. Rezerwiści śpieszą z Trawnik i okolicznych wsi do stacji. Odprowadzają ich żony, dzieci i rodzice. Kobiety głośno płaczą, dzieciaki im wtórują. Ostatnie ucałowania, pożegnania. Rezerwiści zajęli miejsca w wagonach. Temu i innemu zakręciły się w oczach łzy, które ukradkiem ocierają z policzków. Pociąg ruszył. Tłum ludzi wraca do domów, do swoich obowiązków. Kobiety paskami papieru oklejają szyby, pragnąc je zabezpieczyć od potłuczenia w razie ewentualnego bombardowania.

W tym dniu wezwany zostałem przez komendanta posterunku policji w Biskupicach celem złożenia na jego ręce rewolweru belgijskiego kaliber 3,45 razem z nabojami. Zdziwiony byłem, gdyż miałem legitymację i zezwolenie starostwa na prawo posiadania broni celem samoobrony. Dał mi pismo starostwa lubelskiego do przeczytania, z którego dowiedziałem się, że na czas wojny osoby posiadające broń palną obowiązane są pod rygorem osobistej odpowiedzialności złożyć broń myśliwską i krótką do depozytu policji. Tak więc pożegnałem się i pozbyłem raz na zawsze mojego pięknego rewolweru razem z futerałem skórzanym i 84 nabojami.

## **Praca społeczna**

W godzinach przedwieczornych żona dyrektora Jełowickiego zwołała zebranie kilkunastu osób z miejscowej inteligencji do biura cukrowni w likwidacji w Trawnikach celem omówienia groźnej sytuacji w państwie w czasie rozpoczętej przez Hitlera wojny z Polską. Po krótkiej dyskusji powołany został Komitet Pomocy Wojennej żołnierzom. Komitet ze swej strony wyłonił kilka sekcji: porządkowej, finansowej, żywnościowej i propagandowej.



Mnie przydzielono sekcję propagandową, gdyż w tej sprawie miałem pewne doświadczenia, pracując w Związku Zachodnim na stanowisku prezesa koła. Komisje (sekcje) przystąpiły do pracy: zorganizowano bank żywnościowy dla żołnierzy na stacji, patrolowano osiedle dla utrzymania porządku, pracowano przy kopaniu okopów na niwie dworskiej w pobliżu stacji kolejowej celem chowania się tam ludności w czasie bombardowania osiedla. Praca propagandowa ograniczała się na razie do zachowania spokoju, zwracania uwagi na nieznaną ludźmi kręcących się w pobliżu stacji, torów kolejowych, pompy wody i mostu żelaznego kolejowego na Wieprzu.

Następnego dnia był już uruchomiony punkt dożywiania. Żołnierze byli obdarowywani kanapkami, gorącą herbatą i owocami, a szczególnie pomidorami, które w tym roku szczególnie piękne urosły i dobrze dojrzały. Punkt ten był szczególnie licznie odwiedzany przez osoby, które z terenów Polski zajętych już przez Niemców zmuszone były emigrować z zachodu na wschód naszego kraju.



## Spis treści

Przedmowa .....	5	Pasę bydło .....	57
		Zimne, zimne rosy, a ja jestem bosy...	58
<b>Moi przodkowie i rodzina</b> ...	13	<b>W szkole ludowej</b> .....	59
Rodzeństwo dziadka .....	13	Pierwszy dzień mojej nauki .....	59
A jak wyglądali dziadek i babcia? .....	15	Pierwsze tygodnie mojej nauki .....	62
Bocasty i Cerwóny .....	16	Raniec = tornister .....	63
Rodzina babci .....	17	Przygoda z butami .....	63
Rodzina dziadka .....	18	„Akrobata” Franek .....	64
Rodzina Ambrożkiewiczowej .....	20	Wielkanoc .....	65
Rodzina Józefa, syna Wojciecha .....	22	Koniec pierwszego roku szkolnego .....	66
Rodzina mego ojca Marcina .....	25	Moje pierwsze wakacje .....	66
<b>Dzieciństwo</b> .....	29	Doroczny odpust w Urzędowie .....	67
Aaa, aaa, kotki dwa .....	29	Kłopoty gospodarskie .....	69
Pierwszy raz śmierć była blisko .....	29	Powitanie drugiego braciszka .....	70
Za naukę trzeba płacić .....	30	Drugi rok nauki. Oddział I .....	71
Bawimy się .....	30	Drugi płacz mojej matki .....	73
Budujemy nowy dom .....	34	Tragiczna śmierć mojej matki .....	73
Nowy krok w postępie kultury .....	35	Końcowe tygodnie mojej edukacji w szkole ludowej .....	74
Nowe życie w nowym domu .....	36	Galówki .....	75
„Papieroski” .....	37	Wizytacja .....	75
Pomagam babci .....	38	Galówka w bóżnicy .....	76
Do lasu po mech .....	38	Końcowe dni nauki w szkole ludowej .....	77
Ośnik .....	39	Rozróbki uczniów w drodze do domu .....	78
Wyprawa po wiklinę .....	40	<b>Wiejskie życie</b> .....	79
Nie umiecie zapalić .....	40	Drugie małżeństwo mojego ojca .....	79
Domisł zginął .....	41	„Kopanina” .....	80
Pierwszy płacz matki .....	43	Żniwa .....	81
Na targu w Józefowie .....	44	Młocka .....	83
Kwaszenie kapusty .....	45	Kopanie kartofli .....	85
Sąsiedzkie pogwarki .....	45	Opał na zimę .....	86
Ostatnie tygodnie życia dziadka .....	48	Wolny czas .....	86
Wielkie pranie .....	49	Rok 1905 .....	87
Pierwsze kroki nauki czytania .....	49	A w Urzędowie? .....	88
Zamknięcie „okólnika” .....	51	My też .....	89
Milusi „pacyfista” .....	51	Oj, te doły, doły .....	90
Kto wyżej? .....	52	A co w kościele? .....	91
Nie boję się os? .....	53	Ksiądz Klubecki a parafianie .....	92
Tragiczna śmierć Romka .....	54	Odwilż .....	94
Mała „motoryzacja” .....	55	Kary konik, kary .....	95
Chciałem mieć „pasiekę” .....	56		
Drugi rok „edukacji” .....	56		

„Czarna sotnia” . . . . .	97
Sadzimy nowy las . . . . .	98
Jedziemy po drewno . . . . .	99
Inne usługi dworskie . . . . .	99
Wszystkich Świętych . . . . .	100

**Nowa Szkoła Jagiellońska,  
1906–1911 . . . . . 101**

Nowa Szkoła Jagiellońska, 1906–1911 . . . . .	102
Nauka w klasie wstępnej . . . . .	103
Nie wolno w klasie hałasować . . . . .	104
A co robiłem w domu po lekcjach? . . . . .	104
Stosunki koleżeńskie w szkole . . . . .	105
Zakończenie roku szkolnego . . . . .	106
1907/1908 . . . . .	106
Klasa I, rok 1908/1909 . . . . .	107
Nauczyciele i przedmioty . . . . .	108
Wystrzał na lekcji . . . . .	108
Pałka do palanta w pokoju nauczyciela . . . . .	108
I mnie się zdarzyło . . . . .	109
„Tańcy, tańcy martyszka” . . . . .	110
Babciu pomóż! . . . . .	111
Wielki klasista, „taki umny” . . . . .	111
Zakończenie roku szkolnego . . . . .	112
Przerwa w nauce 1909/1910 . . . . .	113
Gry i zabawy . . . . .	115
Jankiel w niewoli . . . . .	116
Adamie, gdzie jest twój wóz? . . . . .	116
Krowy się pasą, a my? . . . . .	117
Pasienie świni . . . . .	117
Kumo, pożyczcie mi sitka . . . . .	118
Komórka do wynajęcia . . . . .	118
Chodzi lis koło drogi . . . . .	118
Bydło się pasie, a my gramy w karty . . . . .	119
Moja szkoła 1909/1910 . . . . .	120
Moi uczniowie . . . . .	121
Śmierć babci, 1910 rok . . . . .	122
Wracam do szkoły do klasy II, 1910/1911 . . . . .	123
Grono nauczycielskie . . . . .	124
Migawki z życia szkoły . . . . .	125
Koniec nauki w Szkole Jagiellońskiej . . . . .	127
Kuję żelazo dokąd gorące . . . . .	128
Przygotowania . . . . .	129
Jedziemy do Warszawy . . . . .	129

**Seminarium, 1911–1915 . . . . . 131**

Na miejscu . . . . .	132
Ursynów . . . . .	132

Sale sypialniane . . . . .	135
Jadalnia . . . . .	136
Pałac . . . . .	136
Pierwszy dzień nauki . . . . .	138
Drugi dzień nauki . . . . .	140
Coś ty Górka zrobił? . . . . .	141
Czy to pożar? . . . . .	141
Nasi nauczyciele . . . . .	142
Złodziej . . . . .	144
W czytelni i bibliotece . . . . .	145
Koniec I półrocza . . . . .	145
Zagraj polkę . . . . .	147
Nasza choinka . . . . .	147
Wigilia . . . . .	149
Kołodnicy . . . . .	150
Ostatnie dni ferii Bożego Narodzenia . . . . .	152
Zima w Ursynowie . . . . .	152
Pomoc koleżeńska . . . . .	153
Dobrzy ludzie pomogli . . . . .	154
Pogrzeby (B. Prusa) . . . . .	155
Wycieczka do Raszyna . . . . .	155
Koniec roku szkolnego 1911/1912, kurs I . . . . .	156
Pierwsze wakacje . . . . .	156
Kurs II, 1912/1913 . . . . .	157
Plan tygodniowy lekcji . . . . .	159
Pierwszy raz . . . . .	160
Wizytacje . . . . .	160
Koszykarstwo . . . . .	161
Zajęcia w niedzielę . . . . .	162
Wieczornica . . . . .	162
Podróże z przygodami . . . . .	164
Humory . . . . .	165
„Wyczyny” . . . . .	166
Przymusowe święta . . . . .	166
Forty dokoła miasta Warszawy . . . . .	167
Goście . . . . .	168
Koniec roku szkolnego II kurs, 1912/1913 . . . . .	170
Wakacje . . . . .	170
Kurs III, rok 1913/1914 . . . . .	171
Zaczynamy pracę . . . . .	172
Praca szkolna . . . . .	173
Migawki . . . . .	174
Ostatnia wizytacja, 3 czerwca 1914 roku . . . . .	176
Ostatni egzamin w Ursynowie . . . . .	177
Żegnaj Ursynowie raz na zawsze . . . . .	178
I wojna światowa 1914–1918 . . . . .	180
Początek wojny . . . . .	180
Powrót Moskali . . . . .	183
Podwoły . . . . .	183
Rekwizycje . . . . .	184
Sforsowanie Wisły . . . . .	184

Wyprawa do Józefowa . . . . .	186
Budowa kolei . . . . .	186
Mój pierwszy „oblany” egzamin . . . . .	186
Kurs IV, rok 1915 . . . . .	188

## **W rosyjskim mundurze . . . . . 191**

Przyspieszony pobór rekrutów urodzonych w 1894 roku . . . . .	191
Jadę do wojska . . . . .	192
A na frontach? . . . . .	193
W Orenburgu . . . . .	194
Pierwsze dni służby . . . . .	194
W szkole podoficerskiej . . . . .	197
Przysięga . . . . .	198
Stosunek do mnie i do Polaków . . . . .	199
Marny strzelec . . . . .	200
Ofiara bezdusznego drylu . . . . .	201
Ciężka praca w 7. kompanii . . . . .	202
Sytuacja na froncie . . . . .	202
Służba wewnętrzna . . . . .	203
Na stepie . . . . .	204
Modły . . . . .	207
Pożar . . . . .	208
Rok 1916 w Orenburgu . . . . .	209
Zima . . . . .	210
Przegląd wojsk . . . . .	211
Zainteresowanie Polakami . . . . .	212
Kurs saperów . . . . .	213
Podróż Orenburg–Orsk (250 kilometrów) . . . . .	214
W Orsku . . . . .	216
Do Petersburga (Piotrogradu) . . . . .	218
Do Moskwy . . . . .	221
Znów w Orenburgu . . . . .	222
Sprawy gospodarcze . . . . .	222
Powrót do koszar . . . . .	225
A co na frontach? . . . . .	227
Nowy 1917 Rok . . . . .	228
Rewolucja lutowa (pałacowa) . . . . .	230
7. kompania w akcji . . . . .	230
Ogólna manifestacja. Pochód . . . . .	232
Wiece (mityngi) . . . . .	233
Polskie wiece i zebrania . . . . .	233
Wolność . . . . .	235
Normalizacja pracy . . . . .	236
Egzamin . . . . .	237
Ostatnie dni pobytu w Orenburgu . . . . .	237
Kulturo, kulturo przyjdź! . . . . .	240
Wyjazd na front . . . . .	241
Wypad . . . . .	246
W Jadwinówce . . . . .	247
Kiereński na froncie . . . . .	248

W szpitalu . . . . .	249
W kancelarii kompanii . . . . .	250
W kancelarii batalionu . . . . .	251
Bezdomny (wolny) . . . . .	255
Wracam na ojczyznę łono . . . . .	260

## **Początki pracy nauczycielskiej . . . . . 263**

Wyobcowany . . . . .	263
Pierwsza posada . . . . .	265
Wracam do Seminarium . . . . .	270
Choroba. Szpital . . . . .	274
Rekonwalescent . . . . .	276
Wyteżona praca . . . . .	277
Matura . . . . .	278
Ostatnie moje wakacje . . . . .	282
Wojna polsko-radziecka . . . . .	283
Mobilizacja . . . . .	285

## **Na posadzie w Trzcińcu . . . . . 287**

Wyprawa po nominację . . . . .	287
Niefortunny „klusownik” . . . . .	289
A teraz do roboty . . . . .	291
Moja druga posada . . . . .	291
Mój byt w Trzcińcu . . . . .	292
Nauczyciele gminy Chodel . . . . .	294
Wizyty . . . . .	295
Pierwsza szkolna choinka . . . . .	296
Praca społeczna w Trzcińcu . . . . .	297
Kursy wieczorowe . . . . .	299
Koło Młodzieży Wiejskiej . . . . .	300
Ognisko ZNP . . . . .	301
Dziesiąty Pawilon . . . . .	302
Zakończenie roku szkolnego 1920/1921 . . . . .	304
I Zjazd Ursynowiaków . . . . .	306
Ursynów . . . . .	308
W kopalni węgla kamiennego . . . . .	309
Do Częstochowy . . . . .	313
Za gapiostwo drogo się płaci . . . . .	314
Refleksje . . . . .	315
Zimny prysznic . . . . .	320
Wyprawa do Baranowicz, 4 lipca 1922 roku . . . . .	321
Ślub siostry, 15 lipca 1922 roku . . . . .	323
Niespokojne wakacje . . . . .	324
Pogrzeby . . . . .	324
Początek trzeciego roku nauki 1922/1923 . . . . .	326
Szkoła bez izby szkolnej . . . . .	326

Lekcja praktyczna. Śpiew III i IV oddziału .....	327	Hodowle .....	385
Wybory do Sejmu .....	328	Migawki szkolne .....	387
Refleksje .....	328	Szkoła a społeczeństwo .....	388
Lonka .....	331	Požary .....	389
Skok do Czortkowa .....	332	Pomoce naukowe .....	391
Intensywne leczenie. Szpital .....	335	Wizytacja szkoły .....	392
Operacja .....	336	Współpraca .....	392
Rekonwalescencja .....	337	Śmierć teściowej .....	394
Powrót choroby .....	341	Budowa nowej szkoły .....	396
Powrót do Trzcinka .....	343	Komasacja dwóch szkół .....	398
Powrót z ferii .....	344	W nowej szkole .....	399
Na zakręcie .....	345	Poświęcenie szkoły .....	399
Spoliczkowanie .....	346	Choroby .....	400
Zerwanie narzeczeństwa .....	346	Niespodziewana wizytacja .....	401
Prosta ścieżka .....	347	Koniec pracy w Bystrzejowicach .....	403
Ostatnie oświadczenia .....	348	Po konkursie .....	405
Przygotowania do wesela .....	349		
Wesele .....	350	<b>W Trawninkach</b>	
Po ślubie .....	352	<b>1 września 1931 – 31 sierpnia</b>	
Sprawa sądowa .....	353	<b>1944 roku</b> .....	407
Ostatni rok w Trzcinku .....	353	Żegnajcie Bystrzejowice! .....	407
Zmartwienie Jasi .....	355	Początek roku szkolnego 1931/1932 .....	409
Stosunki towarzyskie .....	355	Święto 3 maja .....	412
Tyfus brzuszny .....	357	Kazio .....	412
Witaj pierworodny .....	359	Spoliczkowanie .....	414
W Chodlu .....	361	Przesunięcia personalne .....	414
		Praca w nowym składzie .....	415
<b>W Chodlu,</b>		Pozaszkolna praca z uczniami .....	416
<b>1 września 1925 – 31 sierpnia</b>		Wieczorowy kurs .....	417
<b>1928 roku</b> .....	363	Nowe choroby .....	419
W domu .....	364	Praca społeczna w środowisku .....	421
W szkole .....	364	Strajk nauczycieli .....	422
Zmiany mieszkań .....	366	Polityka zagraniczna .....	424
Zdziś .....	368	Kryzys gospodarczy .....	425
Wotum nieufności .....	369	Bezpartyjny Blok Współpracy	
Ocena mojej pracy .....	370	z Rządem .....	426
Dokształcanie .....	373	II Konstytucja 1935 roku .....	427
Przezwrot majowy 1926 roku .....	374	Gospodarcza poprawa państwa .....	427
Zwrot na prawo .....	375	Centralny Okręg Przemysłowy .....	427
		Oddźwięk .....	428
<b>W Bystrzejowicach,</b>		Zmiany w rodzinie .....	429
<b>1 września 1928 – 31 sierpnia</b>		Myślę o przyszłości .....	434
<b>1931 roku</b> .....	377	Budujemy nowy dom .....	436
Szkoła .....	378	Moja choroba – Rudka .....	439
Nauczyciele .....	379	Przed burzą .....	440
Nowy rok szkolny 1928/1929 .....	379		
Uczniowie .....	380	<b>Druga wojna światowa</b> .....	441
Mała rodzina .....	382	Sygnal i natarcie .....	441
Zdzisio .....	383	Ostatnie zarządzenia .....	442
		Praca społeczna .....	442